This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

DZIEŁA

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

WYDANIE JEDYNIE PRAWNE

OGŁOSZONE Z WIEDZĄ MATKI AUTORA.

TOM I.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1863.

DK4355
M6A2
1863
v.1

Podług fotografii zdjętej z obrazu znajdującego się w ręku familii.

rytował na miedzi S. Łukowski.

Maurycy Mochnacki.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO
W POZNANIU.

LISTY

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

I

BRATA JEGO KAMILA

WYSZŁYCH Z WOJSKIEM POLSKIÉM DO FRANCYI

w roku 1831.

PISANE Z PARYŻA, METZ I AVIGNON DO RODZICÓW SWOICH W GALICYI.

5.N.
285: I - V
416-419

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1863.

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

fumigated 10/1981

LISTY

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO

i

BRATA JEGO KAMILA.

WSTĘP.

Dla uzupełnienia wiadomości o pracach i życiu Maurycego Mochnackiego, znakomitego pisarza polskiego i publicysty, postaraliśmy się z niemałym trudem wydostać z rąk familii listy jego pisane do rodziców, mieszkających w Galicyi. Obok listów Maurycego Mochnackiego są i listy brata jego Kamila i ich przyjaciela Michała Podczaszyńskiego, które do wyjaśnienia faktów historycznych ówczesnéj epoki, szczególniéj zaś emigracyi polskiéj wielce się przyczyniają. Kto zaś był ten Michał Podczaszyński, każdy o nim zasięgnąć może wiadomości u właściwego źródła. Te listy w emigracyi pisane, były przedmiotem powszechnéj ciekawości, zajęcia ogólnego — były porywane, wyjaśniając charakter, wyświecając duszę wzniosłą tego człowieka, którego całe życie dla miłości ojczyzny jedynie poświęconém było. Matka Maurycego skrzętnie je zbierała, do-

gadzając sercu własnemu. Uwagi swoje nad niemi dla siebie samėj w notach poczyniła, nie miała nigdy zamiaru ogłaszać ich drukiem. Przydała w końcu myśli własne o młodocianym wieku, charakterze, skłonnościach, obyczajach i sposobie wychowania Maurycego. Nareszcie pozbierała z pism rozmaitych i zapisywała sobie co o nim było gdzie mówiono i pisano. Wszystko więc co matka Maurycego Mochnackiego dla pamiątki familijnėj, ku zadowoleniu serca macierzyńskiego, zaspokojenia własnėj ciekawości zebrała, to na wszechstronne żądanie osób interesowanych wiernie drukiem tu ogłaszamy.

Maurycy Mochnacki był synem Bazylego, szlachetnie urodzonego Polaka z Galicyi. Bazyli Mochnacki pobierał nauki w Podolińcu, we wsławionym swojego czasu konwikcie u księży Pijarów, gdzie występował już jako mówca na obchodach, do czego przez starszyznę wybierany bywał. W roku szesnastym życia swojego udał się do Krakowa wraz z inną młodzieżą do powstania Kościuszki, w którém tyle się odznaczył, że przez samego Kościuszkę ozdobiony był krzyżem żelaznym; ztamtąd powrócił do domu rodzicielskiego w krakusce i o kuli, jak go na portrecie koledzy odmalowali. Następnie w akademii lwowskiéj dokończył nauki. Najulubieńszém późniéj zatrudnieniem Bazylego była literatura i nauka pra-

wa, ku czemu miał tyle zdolności i szczególniéj trafnego poglądu obok nieskażonéj prawości charakteru, że najważniejsze interesa i najbardziéj zawikłane w Galicyi najpierwszych panów i magnatów polskich jako Radziwiłłów i Potockich, powierzane mu były skwapliwie, pomimo że nie był nigdy adwokatem. W roku 1809. podczas poselstwa Ignacego Miączyńskiego do Napoleona I. w Wiedniu, użyty był Bazyli jako sekretarz legacyi, za co ozdobiony został krzyżem legii honorowéj. Ożeniony z Maryą Pągowską, zacnéj rodziny panną, zostawił pięcioro dzieci: Maurycego, Klementynę, Kamila, Olimpię i Tymoleona. Obok licznych nauczycieli i mistrzów we Lwowie, po największéj części trudnił się osobiście kształceniem umysłu i serca swych synów, szczególniéj Maurycego i Kamila, a jako pełen zapału młodzieńczego, obdarzony wielką pamięcią, posiadający nauki encyklopedycznie, potrafił tak dalece ich usposobić, że Maurycy bez uczęszczania do szkół publicznych, jedynie z domowéj edukacyi potrafił złożyć *examen maturitatis* w Warszawie w r. 1820. Było wielkiém podziwieniem ówczesnego rektora Lindego, że Maurycy z domowéj edukacyi mógł tak wysoko posiadać język łaciński. Wszystko więc co Maurycy umiał i posiadał, pochodziło od jego ojca Bazylego, który dla edukacyi synów nietylko ogro-

mną praktykę prawną porzucił, ale nadto i cały swój majątek poświęcił.

Bazyli Mochnacki w r. 1818. porzuciwszy majątek dziedziczny Bojaniec, w cyrkule żołkiewskim położony, oraz prawne interesa, pojechał z całą familią dla dalszéj edukacyi dzieci do królestwa Polskiego. W Warszawie otrzymał niebawem posadę assessora w prokuratoryi królewskiéj, a następnie radzcy prawnego w komisyi oświecenia. Tu odznaczał się szczególnémi zdolnościami i prawością charakteru, za co przez ministra oświecenia przedstawiony był na najpierwszego z kolei referendarza stanu, co jednak wielki książę Konstanty wykreślił, mówiąc, że synów chować nie umie; na tym go též urzędzie rewolucya r. 1830. zastała.

Po rewolucyi zawikłany w sprawy polityczne, lubo sam nie brał nigdzie czynnego udziału i do żadnych ważniejszych wypadków rewolucyjnych zaplątany nie był, gdy jednak wpływał na umysły pismem i mową, gdy miał dwóch synów w rewolucyą zawikłanych, tym sposobem skompromitowany, bojąc się o własną osobę, uchodzić musiał roku 1831. do Lwowa. Tu pozbawiony całego mienia, bez najmniejszych dochodów, znosił cierpliwie wraz z całą familią biedę i tułactwo pomiędzy swoimi przez lat cztery. Gdy zaś mu przyjaźniejsza gwiazda przy-

świecać poczęła, gdy pracą i staraniem przychodzić znowu zaczął do majątku i wziętości, skołatanego burzami politycznemi, dręczonego tylu przeciwnościami losu śmierć zaskoczyła. Umarł roku 1844., w 67. roku życia w skutek wyczerpania sił żywotnych i choroby piersiowéj chronicznéj. Pochowany w Czartowcu, cyrkule kołomyjskim, w majętności swojego syna najmłodszego Tymoleona.

Maurycy Mochnacki do matki.

Metz, dnia 14. Stycznia 1832. Place de Chambres. Hôtel de Victoire.

Kochana Mamo! List, który mi Kamil przysłał w Paryżu, list, z którego dowiedziałem się tyle rzeczy smutnych, zajmujących całą duszę moją, zarazem pociesznych o zdrowiu Ojca, o zdrowiu polepszającém się kochanéj Mamy, o życiu i bezpieczném schronieniu Rodziców, których całe życie moje czciłem jak dobroczynne bóstwa, jak aniołów w niebie, jak świętych błogosławionych, list ten jest nieocenionym skarbem moim. Pierwszy to moment od wzięcia Warszawy do téj chwili, że spokojnie odetchnąć mogę. Myśl jakiegokolwiek nieszczęścia, broń Boże śmierci, niebezpiecznéj słabości rodziców moich, których szanuję i nad życie kocham, myśl ta niepokoiła mnie we śnie, zasmucała na jawie, prześladowała i ścigała w długiéj podróży, na wielkim świecie, na ustroniu i w najpiękniejszéj kompanii. Myśl ta, to przeczucie, instynkt sprawowały, że najpiękniejsze widowiska Paryzkie, gościnność sama cudzodziemców, żadnego dla mnie powabu nie miały. Wszak Mama wiesz to dobrze, że w mojém sercu nikt nie mieszkał prócz Rodziców moich, że tylko ich obraz moją duszę napełniał od lat dziecinnych, że tylko ich szczęście było mojém szczęściem. Inszego nie znałem i nie znam zajęcia. Zestarzałem się za młodu w namiętnościach politycznych. Ale

dom Mamy, familia nasza była zawsze całym moim światem i piosnką całego życia mojego, wszystkich dni moich. Chociaż nie mam honoru znać pani Cieńskiéj, proszę Mamy, żebyś raczyła wynurzyć jéj najtkliwszą wdzięczność za jéj dobre serce, za jéj grzeczne przyjęcie. — Cóż ja napiszę Mamie? Sam nie wiem od czego zacząć i na czém skończyć. Historya moja jest tak długa, tak dziwna, jak romans, a na parę tygodni przed wyjazdem za granicę, tak zawikłana, jak kabała w hiszpańskiéj tragedyi. — Odpowiedział pewno Kamil na wszystkie pytania, jakie Papa czyni w swoim liście. Ja to tylko dodaję, bo nie wiem co on tam popisał, że Krukowiecki szkaradnie mnie oszukał i wszystkich nas rewolucyjnych patryotów. Przed nocą 15. Sierpnia widywał się zemną dosyć często, grał rolę poczciwego człowieka. Zapewniał, że jeżeli weźmie władzę, rozwinie natychmiast wszystkie środki ratowania kraju, jakie mu podawaliśmy. Te środki były następujące: 1. usunąć od rządu całą partyą Czartoryskiego i Skrzyneckiego, tudzież nieznośniejszą jeszcze partyą de juste-milieu, partyą Niemojewskich, którą opanowała mania władzy nieusprawiedliwiona żadnym talentem, żadną mocą ducha i głowy. W momentach krytycznych Krukowiecki przyrzekł, że nikt z tych hreczkosiejów Kaliskich doktrynerów i magów nie wejdzie do rządu. 2. Zaliwskiego, który miał wziętość u ludu, uczynić naczelnikiem straży bezpieczeństwa, a Zwierzchowskiego, popularnego i poczciwego człowieka, komendantem gwardyi narodowéj. 3. Poruczyć główne funkcye rządowe ludziom młodym rewolucyjnym, pełnym zasług i zdolności. 4. Obwarować barykady, podłożyć wszędzie prochy, żeby w razie przemocy Moskale razem z brukiem w powietrze wylecieli. — Rewolucya przywiedziona do rozpaczy niedołężnością sejmu, niepojętemi ideami księcia Adama i zgubną nieczynnością Skrzyneckiego, pod takiemi tylko warunkami w układy wchodziła z Krukowie-

ckim, który jéj wszystko to obiecywał i któremu ona nawzajem ofiarowała cześć i sławę. Stary lis pochlebiał młodzieży, od któréj wszystko zależało. Zyskał popularność przywarami złego rządu, który sprawę naszą do upadku widocznie nachylał. Nieszczęście publiczne, błędy Czartoryskiego i upór Skrzyneckiego nadawały Krukowieckiemu przewagę. Rozjątrzenie umysłów było wielkie. Lud się rozdąsał, Moskale coraz ściśléj nas otoczyli. — Zjawia się noc 15. Sierpnia, noc straszna jak wszystko to, co nosi na sobie cechę zemsty i złości ludu. Noc ta nie była ani mojém ani Lelewela dziełem. Było w naszéj mocy teroryzmem wydźwignąć sprawę polską z przepaści, ale myśmy o innéj rozmyślali nocy, o innym teroryzmie. Nie mógłem pojąć, na co się to przyda wieszać szpiegów nioboszczyka Konstantego, szpiegów bezbronnych i uwięzionych, których kat mógł za dekretem sądu powiesić. Nie mógłem pojąć, na co się toprzyda wtenczas, kiedy tyle innych daleko szkodliwszych ludzi i niebezpieczniejszych wysokie sprawowało urzędy. Nie Makrot i Szlaja, ale naczelnicy władzy z generałami zdrajcami, powinni byli pokutować na latarni za wszystko złe, jakie nabroili, po części z nierozumu, po części ze złéj woli. Noc ta jednak nie była moją sprawą, bo ja sam co tylko nie byłem powieszony w skutek intryg pewnego księdza, który rozumiał, że ja się z arystokracyą przeciwko rewolucyi połączyłem. Lecz ostrzegł mnie służący Jędrzej, który był u nas przed rewolucyą, który mnie sprzyjał. Ale noc ta równie i Moskali sprawą nie jest. Tę plotkę roznieśli po Europie stronnicy Czartoryskiego. Była to tylko nieumiejętnego ludu zemsta źle kierowana, z któréj jednak trzeba było umieć korzystać. Lud się skompromitował w obliczu nieprzyjaciela, mógłże ten lud nie bronić się do upadku po takim rozlewie krwi zaprzedanéj carowi? Mógłże zyskać przebaczenie po nocy 15.? Ja z téj tylko strony tę noc widziałem i dla

tego tak chłostałem Dębińskiego w Dzienniku powszechnym, że to moskiewską nazywał robotą, co przeciwko Moskalom z taką korzyścią użyte być mogło. Plotek i bajek bez miary.—Krukowiecki pokazał się ludowi w nocy 15. pod pozorem ukrócenia nieładu, rzeczywiście dla zalecenia siebie samego popularnym względom. Obwołano go najprzód gubernatorem, nazajutrz został wszystkiém, gdyż rząd z pięciu złożony rozsypał się. Czekaliśmy niecierpliwie naszego systematu, lecz wszystka nadzieja została omylona. Stary intrygant ogarnąwszy władzę, rozdzielił ją między Kaliszanów, gdyż na to, co mu dała noc 15. imieniem ludu, chciał zyskać sankcyą od sejmu, ani jednego warunku nie dotrzymując rewolucyi. Zaliwskiego pod marnym pozorem z stolicy oddalił, komendę gwardyi narodowéj dał Łubieńskiemu. Chrzanowskiego, najpodlejszego z generałów, utrzymał na gubernatorstwie, prochów nie podłożył, barykad nie umocował, żadnego nawet rozporządzenia nie zrobił do obrony ulic i domów. Warszawa powinna była być drugą Saragossą. Ale co gorsza, pod pozorem opatrzenia stolicy w żywność, wyprawił Ramoryna z najlepszą piechotą w liczbie 18000 i najdzielniejszemi pułkami jazdy. Ludu nie uzbroił, mostu zwiniętego na placu broni nie kazał przenieść na Pragę na przypadek rejterady; młodych rewolucyonistów, żeby mu nie zawadzali, starał się oddalić. Na to wszystko Kaliska partya będąca u steru rządu obojętnie patrzała, a tém samém dzieliła winę z Krukowieckim. Kaliszanie swoim obyczajem bawili się, biesiadowali bezpiecznie, kiedy sprawa rewolucyi upadała. Mógłżeby Krukowiecki tak postępować, gdyby u rządu znajdowali się ludzie rewolucyjni? Byłżeby zdradził? nie — ja temu nie wierzę. Bylibyśmy go kazali powiesić lub rozstrzelać, gdyby był czémkolwiek publiczną sprawę naraził na niebezpieczeństwo. Paszkiewicz byłby nigdy nie zdobył Warszawy, albo byłby się zagrzebał

w gruzach tego miasta razem z całą jego ludnością. Inaczéj los zrządził, gotując nie nam, ale carowi zwycięztwo przez Krukowieckiego i partyą Kaliską, która o tyle w téj mierze podpada zarzutowi, o ile jawnéj zdrady nie pojmowała albo przed narodem ogłosić nie chciała. Z głębokim żalem w sercu chodziłem i jeździłem po ulicach téj Warszawy, która wkrótce miała się dostać w moc nieprzyjaciela. Napróżno patryotów namawialiśmy, aby się porozumieli między sobą. Niezgoda, ta jedyna przyczyna słabości rewolucyjnéj partyi, wstrzymywała młode głowy w niechęci i rozdziele. Napróżno pod przewodnictwem Zwierzchowskiego zawiązało się w domu pani Chłędowskiéj towarzystwo tajne. Nic zguby naszéj odwlec nie mogło. Napisałem wreszcie do Krukowieckiego list pełen wyrzutów. Odpisał mi natychmiast po swojemu, to jest: niegrzecznie, własną ręką swoją podarł nominacyą, którą mi napisać kazał na referendarza czyli radzcę stanu, czego już nie pamiętam, a co już dzienniki rozgłosiły. Zacząłem wojować z Kaliszanami w Dzienniku powszechnym, i jeżeli Papa chce dowiedzieć się jaka była moja konduita od nocy 15. do wzięcia Warszawy, niechaj czyta artykuły w téj gazecie z moim podpisem umieszczane. W wilią szturmu pojechałem do Wysockiego, komendanta najważniejszego stanowiska na Woli. Ale 10 tylko dział broniło tego punktu, choć szańce 27 dział potrzebowały. Mówił mi dowódzca, że w nocy spodziewa się więcéj dział i piechoty. Nazajutrz ani jeden żołnierz nie przyszedł mu w pomoc. Cóż dziwnego, że Wolę wzięto za dwie godzin. Trudno wypowiedzieć, co się ze mną działo w ostatnich chwilach attaku. Była godzina czwarta z południa. Od huku dział domy się trzęsły. Już pierwsza linia szańców zdobytą została. Kamila z końmi, rzeczami, Wojciechem posłałem na Pragę, gdzie się wszyscy udawali, sam zaś dla pilnego interesu na chwilę poszedłem do kommissyi wojny. Tam

spotkałem gubernatora Chrzanowskiego, który zawsze był moim nieprzyjacielem, z czego się chlubię. Powiedział mi impertynencyą. Nie zwykłem niegrzeczności zostawiać bez odpowiedzi. Powiedziałem mu te słowa w największém uniesieniu i wobec całego sztabu: „Generale! widać że cię już zalatuje dziegieć moskiewski, kiedy śmiesz obrażać zasłużonego oficera polskiego, lecz pamiętaj, że jeszcze Moskale nie weszli do Warszawy.“ Wyrazy te niesłychanie obraziły Chrzanowskiego. Zawołał na swego adjutanta: „Zawieść tego pana na Wolskie rogatki, weź dwóch żołnierzy, niech zginie od granatów nieprzyjacielskich.“ Odpowiedziałem natychmiast: „Tak się nie godzi. Pan już nie jesteś gubernatorem. Jeżeli masz do mnie urazę, strzelać się z nim będę lewą ręką!“ Ale już Chrzanowskiego nie było w sali. Dał znak, żeby rozkaz jego wykonano. Wsiadłem więc na konia z kapitanem od służby i dwoma żołnierzami, którzy mnie i siebie i Chrzanowskiego przeklinali. Jechałem powoli wstrzymując konia. Towarzysze moi z prawicy i lewicy mnie otaczali. Kapitan jechał przedemną, żałując i mnie i siebie i żołnierzy, albowiem już na ulicy Elektoralnéj proch nas krztusił, tuż koło nas pękały granaty. Przyszła mi dobra myśl. „Kapitanie, rzekłem do mojéj straży, obydwaj zginiemy, nim dojedziemy do Wolskich rogatek, gdzie się już tyraliery moskiewskie z naszymi ucierają. Daję słowo honoru, że sejm przed dwoma godzinami dał dymissyą Chrzanowskiemu. Rozkaz jego nieważny, bo już nietylko gubernatorem, ale i generałem nie jest.“ — „Co mówisz, kolego,“ przerwał mi kapitan. — „Tak jest, odpowiedziałem, zboczmy na inną ulicę, a dowiesz się wszystkiego. Usłuchał mię. Kłusem wróciliśmy na ulicę Senatorską. Spotkaliśmy kilku znajomych. Opowiedziałem wszystko; prosiłem, aby się natychmiast udali do Chrzanowskiego i nastraszyli go, że zginie, jeżeli niesprawiedliwego nie odwoła rozkazu. Jak przeczuwałem, tak się

téż stało. Za kwadrans przyleciał goniec na koniu od Chrzanowskiego z rozkazem, aby mnie w placu aresztowano. Oddano mię pod straż. Chrzanowski tymczasem pobiegł do Krukowieckiego dla zasiągnienia wiadomości, co ma ze mną zrobić. Wystaw sobie Mama, jaką instrukcyą dał Krukowiecki Chrzanowskiemu, ten to przyjaciel naszego domu, nikt temu nie uwierzy, ale mi to naoczni powiadali świadkowie na Pradze i w Płocku. „Vous livrerez Maurice Mochnacki aux Russes, ou mieux faites le fusillier sur le champe. Il m'outragea aussi moi-même. Il m'a ecrit une lettre pleine des injures.“ Chrząnowski chciał wykonać to zlecenie, ale mnie już nie zastał w więzieniu. Po co się tak troskliwie o mnie wypytywał? Po co groził oficerom w placu? Gdy się zmierzchać zaczęło, gdy wszystkie ulice dymem były zapełnione, gdy ogień artyleryi zapalił przedmieścia, wtenczas jakaś niewidzialna ręka, bo nie wiem kto, otworzył drzwi ciemnego pokoiku na ratuszu, gdzie byłem zamknięty. Porwałem się z miejsca i bocznemi schodami wyszedłem od nikogo w zgiełku niepoznany. W tylu krwawych bitwach się znajdowałem, ale nigdy większym cudem pewnéj nie uszedłem śmierci albo wygnania nad brzegami lodowatego morza. Jakiż widok na ulicach Warszawy? Dzieci, kobiety, starcy, lud w rozpaczy. Żołnierze rozpierzchnieni bez ładu; artylerya, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno jak w wilczéj jaskini. Tylko łuna na niebie od pożarów naokoło pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświecała. Zapłakałem wśród tego zgiełku. Wszystko to zdawało mi się być strasznym snem, utworem gorączki, która mnie wtenczas trawiła płodem ognistéj imaginacyi. — Zbliżyłem się do mostu, osłabiony bólem nieznośnym w prawém ramieniu od blizny, która się rozjątrzyła, upadający prawie na sile. Wchodzę do domu przy ulicy i rzucam się na krzesło w pokoju niewiedzieć czyim.

Lampa drżąca dogorywające rzucała światełko. Postrzegam koło siebie dzieci i kobiety zapłakane. Los dziwny zrządził, że między niemi znajdowała się pani Lubinowa.[1]) Dla czego się tam znajdowała, nie wiem, zapewne z Leszna musiała się tam schronić. Dla czego ja tam trafiłem? tego także nie wiem. Ta dobra, ta kochana kobieta, prawdziwie igrzysko losu, nie chciała wierzyć, że mnie widzi przed sobą. Płakała jak dziecko. Cóż się z nią teraz dzieje? i z Klimką naszą?[2]) z którą się nawet pożegnać nie mógłem. Nazajutrz cała Polska na Pradze już się znajdowała. I wojsko, i sejm i wszyscy uczciwi ludzie. Rozum dyktował połączyć się z Ramoryną bez żadnego namysłu, a potém rzucić się albo do opuszczonéj Litwy, albo przejść Wisłę między Rachowem a Józefowem dla połączenia się z Rożyckim. O tośmy wszyscy błagali generałów i ludzi wpływ mających. Ja sam ze łzami zaklinałem marszałka sejmu, żeby téj ostatniéj nadziei polskiego narodu upaść, ostatniéj mocy rozchwiać się nie pozwolił. Jeżeli jeden gran dobréj wiary pozostał w sercu Władysława Ostrowskiego, nie zaprzeczy, że go o to usilnie, do naprzykrzenia molestowałem. Ale nadaremnie, co się chwiać zacznie, tego żaden filar nie wesprze. Władysław Ostrowski, poczciwy człowiek, dobry Polak, nie miał téj mocy temperamentu, żeby nie uledz zdaniu generałów, którzy już na Pradze wszystko według woli cara i pożytku Rossyi nastroić chcieli. Dla tych małych ludzi grube epolety stały się siecią szatańską. Żeby je zachować, zawczasu skarbili sobie łaskę imperatora podawaniem złéj rady. Drobnostki uwodzą młode niedoświadczone kobiety. Francuzi za trufle duszę i ciało Burbonom przedawali, jak mówi mój kochany Michał w Paryżu,[3]) zalecając mi trufle, które

---

[1]) Ciotka Maurycego, wdowa. [2]) Rodzoną siostrą. [3]) Podczaszyński.

w rzeczy saméj są wyśmienite. Nasi generałowie, kreatury rewolucyi, za szlifę całą Polskę oddali w moc cara. Poruszeniem z Pragi do Modlina, z Modlina do Płocka, w téj materyi pisałem list obszerny do Mamy pod adresem pana Sagatyńskiego, rozumiejąc, że się Mama we Lwowie znajdujesz. List ten musi być we Lwowie.

Z Płocka udaliśmy się do szpitala wioski pani Rutkowskiéj. Pełno było szpiegów w obozie naszym, a za obozem pełno Baszkierów i Kirgizów, którzy chwytali zmierzających do granicy pruskiéj. Dzięki obywatelom, którzy mnie i Kamila manowcami i lasami do granicy bezpiecznie doprowadzili. Nie mieliśmy żadnych prawie pieniędzy od rządu, którego członkowie nie życzyli sobie *par une raison très puissante*, żebym ja dostał się do Francyi i pisał za granicą. Mieli racyą. Wiedzą Kaliszanie, jaką rolę grać będą w piśmie o rewolucyi polskiéj, nad którém obecnie pracuję, widzieli że przy takich świadkach nie będą mogli fanfaronować w Paryżu, dla tego w mądrości swojéj ułożyli, żebym ja przez W. Księztwo Poznańskie udał się do Galicyi z Polski, ale ja dla téj saméj przyczyny zwyciężywszy mnogie przeszkody, udałem się do Paryża. Rybiński sprawiedliwszy od Niemojewskiego, kazał mnie i Kamilowi wypłacić z kassy wojskowéj po 20 #. Na kwarantannie w Gołubiu obadwa wygraliśmy po 20 #, azatém mieliśmy 80 #. O tych pieniędzach udaliśmy się w dalszą drogę pod obcemi nazwiskami. Byliśmy w rzeczy saméj u Kalstayna ale nie wiem zkąd się mógł dowiedzieć, jakich gości przyjmuje u siebie. Trzeba nam było wstąpić do niego dla braku koni. Dla uniknienia kwarantanny postanowiłem udać się do Sztetyna z Bydgoszczy, tam wsiąść na okręt i popłynąć do Francyi albo do Anglii. Na nieszczęście nie było w Sztetynie okrętów, któreby zaraz odpływały. Kazano nam czekać dni 12. Ja się niezmiernie spieszyłem i miałem racyą; bo trudno było dowie-

rzać aliantom Rossyi. Prócz tego przeprawa przez Sund w tėj porze roku zdawała się najbieglejszym marynarzom niebezpieczną i zawodną małemi statkami, które burza aż na brzegi Norwegii zanosi. Dalėj więc z Sztetyna do Saxonii ruszyliśmy. Tu trzeba było znowu odbywać kwarantannę przez 20 dni. Dziesięć dni bawiliśmy w wiosce na ustroniu koło pomnika Gustawa Adolfa na polach Lipska. Zabrakło mi cierpliwości. Przerywając kwarantannę znowu w górę przez Hallę do Hanoweru ruszyliśmy; ztamtąd do Bruxelli, przez Bruxellę i Valenciennes do Paryża. Całą tę podróż trzeba było odbywać extra-pocztą, co niezmiernie wiele kosztowało, tak dalece, że w Bruxelli już ani grosza ze 80 # nie było. Przejeżdżający tamtędy poseł Wołowski Franciszek, pożyczył nam 150 franków, z których połowę już mu oddałem. Niemcy na ręku nas nosili. Gdybym był chciał, byliby mnie zbogacili jak Krezusa; nie potrzebowałem pieniędzy i od wszelkich wymówiłem się darów, *które dumie wygnańca, dobremu tonowi tułacza uwłaszają*. Oberzyści na drodze nie chcieli rachunku podawać. Polacy tak wszystkich interesują, że aby nie być celem ciekawości i utrudzających pytań, w Niemczech udawałem Francuza, a we Francyi Niemca. — Paryż jest to cudowne miasto, dla mnie nigdy nie ocenione. — Emigracya polska przeszkadzała mi pisać o rewolucyi w Paryżu. Komitet polski wyprawiał Michała Podczaszyńskiego do Metz w interesach swoich. Udałem się więc do Metz z rękopismem mojém i tu cztery do pięciu tygodni zabawię, póki go nie skończę. Na wydaniu tego dzieła w Paryżu wszystko zależy. Tym tylko sposobem położyć zdołam kres plotkom, bajkom, obmowie. Sprawę naszą broni historyczna prawda, którą napróżno u obcych zaćmić usiłują ułomki różnych stronnictw polskich za granicą. Wreszcie będę miał dużo pieniędzy za to pismo, pieniędzy potrzebnych mnie i Kamilowi do odbywania dal-

szych podróży i do przyjęcia Papy w Paryżu, jeżeli się da namówić do podróży. Przysiągłem sobie, że będę w Anglii, w Szkocyi, we Włoszech. Wielkiego potrzebuję ruchu, żeby nie myśleć o Polszcze, długich wojażów na morzu i na lądzie. Bogu dziekuję, że kochany mój Papa wyzdrowiał. Jego zdrowie jest elementem mojego życia. Jego życie jest powietrzem, którém oddycham za granicą. Jeżeli go przeżyję, czego Boże nie dopuść, czuję, że na ten czas dostanę pomięszania zmysłów i długo żyć nie będę. O moja Mamo kochana! Gdzie się podziały te czasy, kiedyśmy razem byli, w jednym domu? Któż był nademnie szczęśliwszy w ten czas? Pierwszy głos przez ścianę, który mnie ze snu budził, był to głos ojca, tak dobrego, tak kochanego, jakim niebo żadnego na świecie syna nie uszczęśliwiło. Cała rodzina przed rankiem u Mamy się zgromadziła. — Mama żywiłaś swoje dzieci, moja Mamo kochana! Kiedy się te czasy znowu wrócą? czasy patryarchalne, sławione od poetów jak urojenie.... Może nigdy. — Na to potrzeba Polski; ażeby Polska była, na to trzeba rewolucyi w całym świecie. Za lat kilka może ja przyjdę do Mamy z dalekich stron, żeby znowu porzucić ojczystą ziemię. Któż to wie? kto przewidzi?

Metz jest bardzo przyjemne miasto. Ludzie uprzejmi, przyjaciele Polaków. Michał mój w wielkich względach zostaje u dam tutejszych, do których się umizga bez końca i bez miary, a które go, jak wieść złośliwa biega, wzajemną zaszczycają uprzejmością. Codziennie go zapraszają na obiady, na wieczory, których ja jako przyjaciel jego uczestnikiem być muszę. Osobliwie jest jedna pani, któréj cnoty, dowcipu i rozumu pan Michał wychwalić się nie może. Nie powiem, jak się nazywa, bo nie chcę zdradzać cudzych sekretów. Już jest w pewnym wieku i dosyć poważna. Michał taki sam, jakim był zawsze, poczciwy, dobry, przyjacielski, znacznie wyłysiał;

kazał sobie modną sporządzić perukę, w któréj ładniejszym będzie chłopcem, niżeli był kiedykolwiek. Napróżno mu wystawiam, że Czacki i Ossoliński był jak on łysy, że Platon peruki nie nosił, że Juliusz Cezar łysinę laurowym wieńcem zdobił, on woli jedno spojrzenie pięknych dam w Metzu, jak sławę Czackiego i Cezara. — Kamil w Paryżu przykłada się do nauk wojskowych, ale jednego razu znalazłem na jego stoliku korespondencyą z rozmaitemi niewieściemi podpisami,— miniaturę, niewiem czyją? Cale nieźle wygląda, list na wpół dokończony, pełen tkliwych wyrazów. Komu odpisywał Kamil nie wiem. — Cóż robić moja mamo droga? Młodzi muszą być młodzi wszędzie i zawsze, ja tylko może téj słabości nie podpadam, co ztąd pochodzi, że mną inne niemniéj mocne i powszechne namiętności władają. Kamil niezmiernie lubi opery, szczególnie włoską, nad którą nie masz nic cudowniejszego na świecie. Pani Malibran, Pryma Donna téj opery Rossyniego przez niego kierowanéj w Paryżu, daleko przechodzi pannę Sontag, a Lablasz i Rubini są największymi śpiewakami w Europie. Do tych trzech głosów przydać należy talent pani *Szreder-Devrient*, a wyobrazić sobie nie podobna coś bardziéj zachwycającego nad to połączenie najpierwszych talentów. Paris c'est une des passables retraites, dla takich jak my rozbitków rewolucyjnéj nawy. — Gurowski, dobry chłopiec, rozgniewał się na mnie, żem z Paryża wyjechał bez uwiadomienia go o tém; ale ja go przeproszę. Dużo jest Polaków w Paryżu. Los ich nie najgodniejszy zazdrości. Wielu nie zna języka, nudzą się i obmawiają jeden drugiego, dla tego wyjechałem z Paryża. Jak każda emigracya tak i nasza ma swoje gorycze. Prędzéj czy późniéj wszyscy oficerowie potrzebujący wsparcia od rządu, będą go musieli przyjąć pod pewnemi warunkami, to jest: wyjadą do Awinionu lub Chateau-Roux. Gdzie jak utrzymuje Michał Podczaszyński

kura z oliwą prowanską jest najwyborniejszym przysmakiem. Z Awinionu do Algieru, a w Algierze grób! Mam jednak dobrą nadzieję, że Kamil mój kochany w Awinionie kur z oliwą jeść nie będzie. Znajdziem sposoby utrzymania się w Paryżu bez łask rządu, który jest w całéj Francyi znienawidzony, a który w Paryżu chwieje się i trzęsie jak trzcina nadłamana. — Tymoleona [1]) do Awinionu wyprawiać nie radzę, bardzoby tego żałował. Ztamtąd nigdyby nie wrócił do ojczyzny.

Pomimo ostréj pory roku śmiem papy prosić, żeby bez żadnéj zwłoki przyjechał do nas. W Paryżu taniéj jak w Warszawie żyć można. Policzę coby kosztowało papę na jeden miesiąc: 25 franków pokój bardzo pięknie umeblowany z łóżkiem, pościelą i wszystkiemi wygodami; obiad 60 fr. wytworny z winem, nasz tylko 30 na miesiąc kosztuje; kawa i inne mniejsze potrzeby 30 fr., co wszystko razem czyni na miesiąc sto kilkanaście franków. A tylko na 4 lub 6 pierwszych miesięcy niechaj przywiezie z sobą pieniędzy, potém żadnego ambarasu w téj mierze mieć nie będzie. Ręczę na duszę moją, że damy sobie radę. Podróż nietylko nie osłabi go, ale owszem, przyczyni zdrowia. Eilwagieny są to bardzo wygodne powozy, w których spać można.

Najusilniéj proszę papy, aby mnie jakimkolwiek sposobem przysłał: 1. Numera Dziennika Powszechnego od 15. Sierpnia do wzięcia Warszawy. 2. Rękopism mój drugiego tomu o literaturze, który ma Felix Miaskowski, znany Klementynie [2]). 3. Dwa exemplarze pierwszego tomu pisma mego o literaturze. 4. Broszurkę moją wydaną podczas rewolucyi. — Te pisma, osobliwie dziennik Powszechny, bardzo mi są potrzebne do dokończenia rzeczy o rewolucyi polskiéj, która w Paryżu wyjdzie po polsku, po francuzku, po niemiecku, po angielsku.

---

[1]) Trzeciego brata. [2]) Siostrze.

Przewiduję, że z tego mnóstwo osób cieszyć się nie będzie miało żadnéj przyczyny. Ale prawda powinna być znaną całemu światu, żebyśmy na przyszłość odnieśli korzyść z doświadczenia. — Gdyby Ludwik N. mógł pisywać do mnie, bardzoby dobrze było. Jeźli przyjaciel Skrzyneckiego, były minister spraw zagranicznych Ho... znajduje się w Galicyi, powinienby dla sławy i dobra sprawy naszéj wejść zemną w korrespondencyą.

Kochanéj cioci Zosi zasyłam serdeczne uściśnienie, jako i Olimpce i Klimce Głogowskiéj, ale ją proszę, żeby miała w pamięci co jéj potylekroć mówiłem w Warszawie. Jéj tylko jeden zarzut zrobić można: że jest nadto dobra. Kamil nie wart jest takiego przypisku, jaki w liście Papy czytałem jéj ręką kreślony. To trzpiot. — Że mąż Klementyny nie ma żadnéj posady w Warszawie, z tego się bardzo cieszę. Kto teraz w służbę wchodzi, niewart być Polakiem. — Uwaga polityczna kochanego Papy: „że łatwiéj jest despocie podnieść się z upadku, jak Rzeczypospolitéj skorzystać ze zwycięztwa," bardzo mi się podobała. Ja tego dowodzę w całém piśmie mojém, że Europa błądzi mniemając, jakoby wojna i rewolucya nasza rozbiły urok moskiewskiéj potęgi; tylko miałkie umysły tą się nadzieją pocieszają. Rossya jest teraz niebezpieczniejszą, niżeli była przed naszą rewolucyą. — Przystępuję teraz do wyjaśnienia zapytań papy:

a) Nie pojechaliśmy do Krzeszowic, bo z dnia jednego na drugi ociągających się zaskoczyły wypadki wojskowe, a Kamila rzecz sądu zatrzymała. Wkrótce potém przecięta została wszelka kommunikacya.

b) Na to pytanie o sądzie, Kamil jako członek jego niechaj odpowie sam. Relacya była; wyrok zapadł, ale go nie wykonywano. Lud oburzony zdradami szukał ofiar i poświęcił je swojéj zemście. Noc ta była głupstwem, gdyż nie miała politycznego charakteru i skutków. Pro-

szę Papy, żeby czytał Dziennik Powszechny, w którym tłómaczę przyczynę na to i skutki téj rzezi.

c) Nie była to sprawa ani Moskalów, ani Lelewela, ani Prądzyńskiego, jak już miałem honor nadmienić, ale to był skutek słusznego gniewu ludu warszawskiego, którego Krukowiecki może bardziéj jeszcze podburzył, a następnie nie uzbroił do obrony. Jakże mogli Moskale widzieć stolicę, która zkompromitowana do zaciekłości, trudniejsza do opanowania była. Tę bajkę, jak wiele innych, zmyślili i za prawdę przedali nieprzyjaciele rewolucyi, stronnicy Czartoryskiego i Skrzyneckiego.

d) Na to w ciągu listu odpowiedziałem. Jest rzeczą niewątpliwą, że mnie w nocy 15. Sierpnia powiesić chciano, że mnie Chrzanowski chciał wydać Moskalom, a Krukowiecki rozstrzelać. Wszyscy z naturalnych pobudek. Nie masz ani jednego stronnictwa w polskiéj rewolucyi, któreby mnie nie ścigało. Prześladował mię Konstanty i więził, a potém Chłopicki i Szyrma, a potém arystokraci, a potem Kaliszanie, którzy na fundamencie pisma z muru od Karmelitów więzionego pod okiem Hankiewicza i Nowosielcowa, głosili i głoszą dotąd, że ja byłem zaprzedany Moskalom, ja, w którego pokoju zrobiona była noc 29. Listopada.... Prześladował mię ksiądz z Towarzystwa Patryotycznego. Wszyscy czernili, a nikt nie wspierał, od początku do końca, chociaż skutek zawsze pokazywał, że miałem racyą.

e) W Zakroczymie byliśmy. — Co tam robiono, jak wszędzie i zawsze, nic. — Grali w karty i upijali się żołnierze, oficerowie i panowie radni. Gazety tam wydawanéj byłem w części redaktorem. Duch w niéj dobry.

f) Że Romaryno był konwojem Czartoryskiego do Galicyi, to prawda.

g) W Frankfurcie nad Odrą nie widzieliśmy Wąsowicza.

h) Urlopy, dymissye mamy. Dwa miesiące temu jak

przybyliśmy do Paryża. Ja piszę i gram na fortepianie, Kamil także pracuje i bawi się. Tymczasem komitet główne nasze zaspakaja potrzeby. O nikiem nie myślimy, tylko o Papie. — Zdrowie nasze dobre. — Ręka boli kiedy deszcz pada, co nigdy w Paryżu nie ustaje.

*) Interes Radomińskiego zrobiony jak Papa kazał. Wziął papier 200 złt. i gazety, resztę chętnie czekać przyrzekł. O folwarku tyle razy pisaliśmy do Papy, że go za wiedzą pułkownik Pągowski wziął w administracyą. Andrzéj Krzyżanowski za Plutarcha winien nam 120 złtp., które raz zapłacił za książki sprowadzone z Niemczech. Ale poczta odchodzi. Kończę prosząc o drugi list do Paryża pod adresem Michała Podczaszyńskiego: Par l'entremise de Monsieur Cassin, membre du Comité Polonais. Rue Jaran No. 12. à Paris.

Maurycy Mochnacki.

Daléj pisze Michał Podczaszyński.

Metz, 20. Stycznia 1832.

Kochana Pani! Po tak długiém niewidzeniu, niepisywaniu, z radością czytałem list Pani do Maurycego; polepszające się jéj zdrowie, odzyskana spokojność umysłu, wszystko mnie to cieszy. Miło mi zawsze było zwracać myśl ku ojczyźnie; ale téj ojczyzny nikt nie był reprezentantem dla mnie, prócz moich przyjaciół, a tych przyjaciół na palcach jednéj ręki za wiele byłoby liczyć. Maurycego kochałem zawsze — kochałem jego rodziców. Każdego z Polski przybywającego o nikogo więcéj nie pytałem.

Dziś jesteśmy razem z Maurycym i niepodobieństwa żądać nie możemy, abyście Państwo byli z nami we Francyi, poprzestać musimy na ich listach tylko. Te li-

sty przyszły po długiém oczekiwaniu. Maurycy nie posiada się z radości i ja dzielę jego ukontentowanie. Od Państwa zależy przedłużać nasze szczęście. Wam tylko będzie szło o poświęcenie kilku momentów. Muszę się śmiać z Maurycego, widząc jakie dziecińśtwa robi ze zbytku radości. Czyta i odczytuje listy, nad każdém słowem robi uwagi, objaśnienia. Ale wierzaj mi Pani: nie wolno ci na los się uskarżać. Pani masz synów godnych jéj uczuć. Nikogo człowiek tyle kochać nie może i szanować jak oni swoich rodziców. Maurycy ten sam co był, a jeźli się w czém zmienił, to na korzyść. Jeżeli był dla mnie dawniéj kochanym, nietylko nic mu nie ujął czas z tego, co mi go kochać i szanować nakazywało, ale dodał nowe dary, które obok zasług jego dla ojczyzny położonych, obok chlubnych dowodów męztwa, stawiają go w najmilszéj i najpożądańszéj dla serca mego postaci.

Takim jest Maurycy, — ale ja takim nie jestem jak mnie on w swoim liście określa. Robi parodyę ze mnie, wszystko co mówi trzeba na odwrót czytać, oprócz jednéj łysiny, która rzeczywiście chłodzić mi zaczyna głowę. Ale o peruce fałsz wierutny, równie jak o starych i młodych kochankach. Być może, że nie jestem taki dziwak jak dawniéj, ale za to nic mię nie bawi, unikam więcéj ludzi, jak się im zalecam. Jeżeli w Metz chodzę na obiady i wieczory, czynię to raczéj z musu, towarzysząc innym Polakom. Od przyjazdu Maurycego do Metz w wielkim jestem ambarasie, wszystkim się on podobał, wszyscy go rozrywają. Młodzi go szanują, starzy poważają. Nikt w całym Metz nie gra jak on na fortepianie. Wszędzie odbiera oklaski. — Damy już zrobiły sobie na niego projekt. Chcą aby grał na koncercie dla ubogich.

Michał.

List Kamila Mochnackiego do rodziców.

Paryż, dnia 14. Stycznia roku 1832.

List najdroższego Papy, Mamy i innych osób, zawsze drogich naszemu sercu, pisany pod datą 27. Grudnia r. 31., zastał mnie samego w Paryżu. — Po raz pierwszy od sześciu miesięcy ujrzałem pismo mojego Ojca.... Poznałem je o 10 kroków, gdy bryftregier wszedł do mojego pokoju. Byłem tak uradowany, tak uszczęśliwiony, że długi czas minął nim zdołałem list otworzyć. Dosyć mi było na adresie, dosyć na pierwszéj literze, którą kreśliła tak szacowna, tak droga dla mnie ręka! Minął przecie ten sześciomiesięczny, długi jak wiek cały czas, którego potrzeba było przeżyć pośród ustawnéj obawy, dręczącéj niepewności o los, o życie nawet najlepszego z Ojców! Lecz minął już. Oby nigdy nie wrócił. W liście, którego wczoraj odebrałem, znalazłem to wszystko, czego dusza moja pragnęła, od czego zależał mój byt, moje szczęście na teraz i na przyszłość. Tak szczęśliwych dni może nie wiele naliczę w mojém życiu. Lecz nie troszczę się o to, bo widzę pewien porządek w naturze i czuwanie Opatrzności. Żądałem zdrowia dla moich rodziców, nic więcéj tylko zdrowia. W dzień i w nocy modliłem się o to do Boga, on wysłuchał mojéj prośby. Niech mu będzie wieczna chwała! Powtarzam, że to jest pierwszy list i pierwsza pewna wiadomość po rozstaniu się mojém z Ojcem, pierwszy téż raz odetchnąłem wolniéj i myśl moja odetchnęła po raz pierwszy po tylu trudach, niepokojach wewnętrznych! Uprzedzam, mało porządku będzie w tym liście, bo téż taki sam nieporządek panuje w mojém sercu. Nie jestem zdolny zebrać wszystkich myśli; cisną się wszystkie na raz tłumem bez ładu, bez kolei, a ustawne przerywają łzy, lecz łzy radości, najwyższego szczęścia. — Oprócz jednego listu od Gr.......éj, który do Paryża przyszedł dnia 18. Grudnia

1831, nie odebraliśmy ani jednéj literki od czasu wstąpienia na ziemię pruską, ani z Warszawy, ani z Krakowa, ani z Galicyi, ani z żadnego innego miejsca. W liście od Gr.......éj znaleźliśmy bardzo mało wiadomości, a i te, które znaleźliśmy, to tak kusę i niedostateczne, że zamiast zaspokojenia naszéj troskliwości, pomnożyły niepokój i obawę. Ustne więc tylko dochodziły nas wieści, to o niebezpiecznéj słabości Mamy, to o ścisłych poszukiwaniach patryotów w Krakowie, to o tém, że Rossyanie wywieźli Papę z Krakowa; to znowu, że Papa znikł gdzieś, i nikt nie wiedział, co o tém myśleć. Na nieszczęście żaden z opowiadających nie podawał tego co mówił za pewne, donosili nam tylko to, co z wieści słyszeli. Ta niepewność z jednéj strony, a z drugiéj wielkie do prawdy podobieństwo w rozniesionych pogłoskach, o mało nam rozumu nie odjęło. Pisaliśmy do Lwowa, do pana Jana Henryka po cztery razy, w różnych epokach, lecz na żaden odpowiedzi nie odebraliśmy. Pod tymże samym adresem, w pierwszéj połowie Grudnia, pisał Maurycy list bardzo obszerny, w którym donosi o tém wszystkiém prawie, co się z nami działo przed kapitulacyą, po kapitulacyi, aż do wstąpienia na ziemię pruską. Lecz czy te listy nie dochodziły do Lwowa, czy téż pana Jana Henryka nie znajdowały w tém mieście, dosyć, że żadna, a żadna odpowiedź się do nas nie dostała. Na list Gr.......éj odpisałem natychmiast, to jest 17. Grudnia; nic nie pisałem nawet takiego, coby mogło utrudnić jego przyjście do Warszawy, a jednak dwudziesty siódmy dzień już mija dzisiaj, a odpowiedzi nie ma, choć na każdy list pisany z Paryża, powinna odpowiedź najregularniéj z Warszawy przychodzić we dwadzięścia dwa dni. Mogą sobie więc wystawić najukochańsi moi Rodzice, jakie smutne nasze było położenie, jak przykro było czekać i czekać bez końca, liczyć dnie i godziny, lecz liczyć zawsze nadaremnie. — Nim odpowiem

na wszystkie pytania i na wszyskie kategorye w liście Papy, niech mi wolno będzie zapytać przedewszystkiém, czy Galicya jest pewném schronieniem dla Papy; czy w miarę ostrzejszych poszukiwań ze strony naszych nieprzyjaciół, nie dopuści się rząd Austryacki pogwałcenia najświętszych praw narodów, a jeszcze świętszych praw gościnności i czy można dostatecznie ufać przyjaciołom naszych nieprzyjaciół? i téj nieufności czy nie usprawiedliwią przykłady po rewolucyi 94. roku? Ta myśl mię zabija. Cóż może być świętego dla dzisiejszéj europejskiéj polityki; gdyby nie jéj chytrość i egoizm i podstępy, czyż bylibyśmy upadli? W całéj Europie niemasz dla nas pewnego przytułku. Polaków wszędzie się boją, zewsząd ich odpychają. Odrętwienie, ślepota, wszystkich opanowała; otworzą oczy, ale wtenczas, kiedy już będzie za późno. — Piszę to z miejsca, które komuś podobało się nazwać rajem, siedliskiem wolności. Trzy kolory w firmie są dziś parodyą. Naród woli swej niema; w izbach podłość i niedołężność; a wszędzie obok głupoty, zapomnienie własnego interesu. Najwięcéj egoizm, którego popierają czcze, drobiazgowe formy i doktryna Burbońska. Pan Casmir Perier, rzucił carowi pod nogi trzydzieści milionów Francuzów, a trzydzieści milionów Francuzów zapomniało o swojéj sławie, wielkości i potędze dawnéj. O tém wszystkiém obszerniéj będę pisał, w tym liście dla tego czynię wzmiankę, żeby zwrócić uwagę Papy na niebezpieczeństwo jego położenia. — Niedowierzajmy, bo nikt w Europie niedowierza.

Aby pierwszą ciekawość zaspokoić, wrócę do interesu, który nas bliżéj dotycze. Nadmieniałem z początku listu, że list Papy mnie samego w Paryżu zastał. Maurycego tu nie ma, wyjechał przed kilku dniami do Metz z Podczaszyńskim; dla czego zaś wyjechał, wyjaśni się w ciągu opowiadania. Przyjechaliśmy do Paryża dnia 2. Listopada r. p. Ponieważ drogę spiesznie odbywaliśmy,

nigdzie się nie zatrzymując, przybyliśmy więc prawie pierwsi do Paryża. Byli jednakże już Bonawentura Niemojewski, ex-prezes rządu Morawski, minister Biernacki, kilku posłów i kilkunastu innych rodaków, którzy po największéj części należeli do partyi Kaliskiéj. Wiadomość o naszém przybyciu uderzyła Kaliszanów, a szczególniéj Niemojewskiego, który wcale sobie tego nie życzył, nie spodziewał się, i nawet w Płocku, gdy porzucił kraj i interesa, wyraźnie oświadczył: „Dobrzeby było, żeby panowie Mochnaccy nie udawali się do Paryża, lecz żeby szukali schronienia gdzie na wsi w kraju lub w Galicyi, bo ich wszędzie wydadzą.“ Dla tego, abyśmy nie byli w stanie piechoto nawet dojść do Paryża, kazał nam wyliczyć po dwieście złotych z kassy. Na nic się nie przydały zabiegi pana Niemojewskiego. Naczelny wódz Rybiński od kilku dni upominał nas, abyśmy myśleli o sobie. Poczciwy człowiek nie mógł być prawda naczelnym wodzem, ani się przydał na zwierzchnika wojskowéj władzy w owym krytycznym czasie, lecz cnoty jego prywatne, których dał dowód w owéj epoce, na całe życie zaszczyt mu będą przynosiły. Wiedział o tém, jak mocno byliśmy skompromitowani, wiedział także, jakie mnóstwo szpiegów pod koniec namnożyło się w obozie polskim, jakie zewsząd otaczały nas niebezpieczeństwa; przestrzegał więc ustawnie, kazał się mieć na ostrożności, a w końcu, gdy zdecydowano się przejść granicę pruską, zawołał nas do siebie, z własnéj szkatuły dał nam po dwadzieścia dukatów i paszporta pod cudzém imieniem; najchlubniejsze dymissye dla odniesionych ran. Mnie w nagrodę mojéj dziesięcioletniéj służby z podwyższeniem stopnia (to jest w stopniu majora), bo na kapitana awansowałem przedtém, przechodząc do pułku 10. Powiedział do nas: „Bóg nie poszczęścił naszéj świętéj sprawie, nachylamy się co chwila do grobu, może już za kilka godzin Polski nie będzie. Postanowiłem wejść z wojskiem

do Prus. Wy macie wiele nieprzyjaciół, nie chcę was mieć na sumieniu, ratujcie się jak możecie, tylko w Paryżu będziecie mogli odetchnąć.“ Uściskał nas i pożegnał. Dobrze mówił, że tylko w Paryżu będziemy mogli odetchnąć. Podróż nasza trwała 30 dni, lecz jakie jéj niebezpieczeństwa towarzyszyły, jakim dziwnym sposobem przedarliśmy się pomiędzy Baszkierami i Czerkiesami przez granicę, opowiem późniéj. — Wracam do Paryża. — Nie było więc miło Kaliszanom, gdy się dowiedzieli o naszém przybyciu. Wiedzieli o tém, że ich czynności będą rozbierane i wykazywane w prawdziwém świetle; wiedzieli, że wiele rodaków wyznaje nasze zasady i że będą popierać nasze usiłowania. Nie mieli przeto czasu do stracenia. Szło im o to, aby jak najprędzéj uformować komplet w Paryżu, stanąć na jego czele, zebrać wszystkie fundusze skarbu polskiego, które były przy ambassadorze, toż samo fundusze ze składki zebrane, i rozrządzać pieniędzmi podług upodobania i woli, bo Kaliszanie lubią rządzić krajem, choć ich Pan Bóg nie powołał do tego zawodu; lecz jeszcze więcéj lubią rządzić pieniędzmi, to ich najmilsza jest zabawka. Ochota więc rządzenia i mienia pod swoją dyspozycyą wiele pieniędzy, nie opuściła wcale naszych dygnitarzy po upadku nawet ojczyzny. Nie mogli oni rządzić Polską i opuścili ją, a przyjechali do Paryża, bo tu jeszcze coś było do zyskania. Były kapitały, jak mówiłem wyżéj, przysłane z Polski dawniéj na wydatki ambassady; były fundusze, któremi zarządzał Jelski w Londynie; daléj inne, przez ajentów przysłane na zakupienie broni. To wszystko razem uregulowane i w jedną sumę zebrane, mogło było Bóg wie jak długo służyć sprawie naszéj i bez żadnéj cudzéj łaski na wyżywienie nieszczęśliwych wygnańców. Lecz panowie nasi przyjechawszy do Paryża, tak zręcznie umieli się z sobą porozumieć, że teraz tylko sława chodzi po Paryżu, że były niegdyś znakomite polskie

sumy. Ale gdzie są? gdzie się podziały? w czyim znajdują się ręku? Tego nikt nie wie i w Bogu nadzieja, że nikt nie będzie wiedział. My za naszém przybyciem do Paryża w dość krytycznêm znajdowaliśmy się położeniu. Poczta w Prusiech niesłychanie droga i kwarantanny, które nas do rozpaczy przyprowadzały, wypróżniły ze szczętem nasze woreczki. Stanąwszy w Hotelu, nie mieliśmy ani jednego grosza. Zaledwie zdołaliśmy poszukać Podczaszyńskiego, który zawsze ten sam, zawsze poczciwy, nie zmienił się na jotę, o mało co nie oszalał z radości, gdy nas zobaczył; niechciał sam sobie wierzyć. Śmiał się i płakał i skakał razem pod sufit. Ściskał Maurycego, swego przyjaciela od młodości, nie można było z nim przyjść do mowy. Tysiąc pytań zadawał, na żadne nie czekał odpowiedzi, o Mamie, o Papie, o Cioci Zosi, w najczulszych wyrazach się rozwodził. Zawsze mu na myśli stało przypomnienie dawnych rzeczy, pobyt jego w naszym domu w Warszawie, obowiązki wdzięczności, przywiązanie prawdziwie synowskie; zgoła nic go Paryż nie zepsuł, doskonały chłopiec, ale trudno z nim dojść do ładu; trzpiot, roztrzepaniec, a nieznośny gaduła. Nakoniec zdołaliśmy zwrócić uwagę na nasze interesa. Fundusze Michała nie mogły na długo wystarczyć, stanęło tedy na radzie, aby przykładem innych rodaków pójść do Niemojewskiego, w którego ręku znajdowały się pieniądze, i wziąść na pierwsze nasze potrzeby. Nie łatwa expedycya. Maurycy nie mógł iść, bo w sporach politycznych nieraz go upokorzył, tak w Warszawie, jak téż i w Modlinie i w Zakroczymie i w Płocku, i choć nie potrzeba było prosić o łaskę, zawsze jednak nieprzyjemneby mu było spotkanie z człowiekiem, którego niechęć wyrażała się tak jawnie ku nam. Padł tedy wyrok, abym ja, en ma qualité d'ancien militair, poszedł do Niemojewskiego i zrobił interes. Poszedłem więc. Nikt sobie nie wystawi co go nabawiłem kłopotu

moją wizytą. Nie miałem żadnéj potrzeby oszczędzać go, mówiłem wyraźnie co rozumiałem o wszystkich jego rządach w ogólności i w szczególności o tém, co się działo pod jego kierunkiem po kapitulacyi. Krztusił się dygnitarz i wykręcał jak wąż. Nic nie pomogło, wypowiedziałem wszystko, nie zapomniawszy w końcu gorzko mu wymawiać, że szczerze pragnął, abyśmy się nigdy nie dostali do Paryża. Kiedy oni razem skarb Polski rozrywali na wszystkie strony i ładowali pełne szkatuły złotem, aby w Paryżu w rozkoszach i dobrém winie mogli utopić żal po stracie ojczyzny, wtenczas ludziom ubogim, lecz poczciwym i mocno w rewolucyi skompromitowanym, których wszędzie zemsta dzikiego pognębiciela dosięgnąćby potrafiła, dawano jakoby z łaski w nagrodę poświęceń po 200 złtp. Pot wystąpił na czoło exprezesowi. Student z najwyższéj klassy lepiéjby się tłómaczył jak ten nieuk polityczny. W każdém słowie prawie się zacinał, trudno go było zrozumieć, ledwom mógł zebrać treść tego co powiedział. Składał wszystko złe na Rybińskiego i na jego wówczas nieograniczoną władzę w wojsku, nie wiedząc o tém nic, że nam samym Rybiński w ostatku oświadczył: „Gdyby nie Niemojewski i jego głupie pryncypia, Polska by była ocalona.“. Nakoniec powiedziałem mu, że potrzebuję zasiłku na pierwsze potrzeby. Żądałem trzysta franków dla siebie i dla brata. Bez najmniejszego oporu wyliczył, aby się tylko pozbył niemiłego gościa, dodał jednak, że to daje z funduszu skarbu polskiego. Od tego momentu przekonał się Niemojewski, że nasza obecność w Paryżu może być szkodliwą jego dalszym zamiarom. Już było do trzydziestu Polaków w Paryżu, mając przeto na myśli uformowanie komitetu i objęcia naczelnictwa nad nim, zaprosił wszystkich Polaków do siebie, aby utworzyli komitet i obrali członków i prezesa, a uczynił tę inicyatywę *ex re* dawnego swojego prezesostwa. Nim jednak

Polacy się zebrali, biegał do wszystkich, ujmował dla siebie różnemi sposobami, według wszystkich prawideł sejmikowych, zbierał głosy dla siebie i dla swoich przyjaciół Kaliszanów, i tak dobrze wszystko przygotował, że na zebraniu ogólném został obrany większością głosów prezesem, a przyjaciele i krewni członkami. Przewidywaliśmy, jakie będą skutki i jakie rządy tego komitetu, lecz nie można było na samym wstępie wojny rozpoczynać, tegośmy tylko dokazali, że ten komitet i prezes jego przyjął nazwisko *tymczasowego* aż do zebrania się większéj ilości Polaków, i że nie wolno mu będzie wdawać się w żadne czynności polityczne. O ten warunek szło nam najwięcéj i to z następujących powodów: Wiadomo nam było, bo to wiadome całemu światu, jaki jest stan wewnętrzny Francyi i jéj ministerstwo; wiadomo całemu światu, jaką hańbą ten rząd okrył się i jakiéj niedołężności dał dowód, dopomagając upadku Polski, swojéj najwierniejszéj siostry na północy, dla któréj zapomniał nawet najpierwszych obowiązków wdzięczności. Wykrywa się nawet teraz szereg nieprzeliczonych podłości, których panowie Perier i Sobestiani używali, aby odwrócić Skrzyneckiego od jedynych i najpewniejszych środków zakończenia wojny z Rossyą, to jest za pomocą oręża i bitew. Wykazuje się tedy, że rząd francuzki nietylko nie miał myśli pomagać Polakom, ale owszem szczerze sobie życzył, aby sprawa ich upadła i to jak najprędzéj. Łatwo sobie pomyśleć, dla czego takie jego było życzenie. Filip wstępując na tron rewolucyjny, obiecał być królem rewolucyjnym; nazwał się Roi-Citoyen; obiecał odzyskać przewagę w Europie i oderwać się od przymierza świętego. Obiecał protegować system liberalny, obiecał żyć skromnie, zmniejszyć podatki, podać rękę nieszczęśliwéj klassie, która zdziałała rewolucyą, posadziła go na tronie *des baricades*. Tego wszystkiego nie dotrzymał Filip, owszem otoczy-

wszy. się ministrami, z których niezgrabnéj polityki cała Europa się śmieje; zapomniał czém jest i na jakim tronie siedzi, nadto zachciało mu się uznania od świętego przymierza. Cała Francya mówi, że trzeba pobić przymierze, a uznanie się znajdzie. Pan Perier zaś mówi, że trzeba pokój zachować, a nie dawać złego przykładu, a mocarstwa uznają Filipa. I w skutek tego systematu policya niesłychane popełniła gwałty. Szpiegów mnóstwo, podatki nic niezmniejszone, lista cywilna króla ogromna, robotnicy z głodu umierają, *une detresse génerale* opanowała umysły wszystkich Francuzów. Rząd francuzki wszystko jest gotów poświęcić, aby tylko utrzymać się na téj rutynie i niezawodnie poświęci. Dla udowodnienia świętemu przymierzu, że czuwa u siebie wewnątrz nad porządkiem, podżega sam potajemnie komploty *des emeutes*, które potém oczywiście bardzo łatwo za pomocą policyi i żandarmów uspakaja. Po odegraniu takiéj komedyi [a]), wszystkie dzienniki ministeryalne przez kilka dni opisują ze wszystkiemi detalami zdarzenia, wykazują niebezpieczeństwo jakie zagrażało państwu i stolicy, a kończą zazwyczaj wielkim panegirykiem na chwałę rządu, który *par de grandes mesûres et sa profonde sagesse* potrafił przewidzieć i uchronić kraj od nieszczęść. Rzadko kiedy takie sceny odbywają się bez krwi rozlewu. Ponieważ trzeba przyznać, że wszyscy prawie są usposobieni do zmiany rzeczy, ze zgrozą patrzą na zbrodnię rządu, więc posłyszawszy o jakimsiś rozruchu, nie wiedząc że to sidła, lecą w dobréj myśli i radziby rzeczywistą uskutecznić rewolucyą, lecz wtenczas oddziały zbrojne i policya zaczajona wypada zawsze w przemagającéj sile i nielitościwie zabija, rąbie, strzela, i w oka mgnieniu wszystko się kończy, znikają z sceny winni i niewinni, na placu boju zostają tylko żandarmy, kilku rannych lub zabitych, smutne ofiary podstępu i nikczemności rządu. — Również dla udowodnienia świętemu

przymierzowi, że rząd obecny nie trzyma się bynajmniéj zasad rewolucyi lipcowéj, pozwolił upaść Włochom, Belgom, a Polakom, ponieważ byli mocni i własnemi środkami mogli byli pobić Moskali, nietylko że nie chciał pomagać, jak to wyżéj powiedziałem, ale owszem za pomocą oszustwa, nie drogą officyalną, lecz potajemnie przez ajentów potrafili opanować Czartoryskiego i Skrzyneckiego; obiecywali Bóg wie co, pokazywali gruszki na wierzbie, byle tylko dać czas Paszkiewiczowi do przejścia Wisły i zajęcia korzystnych pozycyi. Czartoryski z upodobania słuchał podszeptów ajentów; Skrzynecki zwlekał do ostatka, bo mu powiedziano: *Je ne ferme encore deux mois sans livrer une bataille décisive, Votre patrie sera sauvée, nous en sommes!* Widzieliśmy jak się to skończyło, jak nasza ojczyzna była sauvée. Upadliśmy — zostały spełnione życzenia ministerstwa francuzkiego.

W takim tedy stanie rzeczy, przyjechawszy do Paryża przewidzieliśmy, że Polacy wygnańcy nie mile będą widzeni przez rząd; prosty więc interes i rozum nakazywał nie żądać nic od niego, żadnéj łaski; trzymać się jak najdaléj pod zasłoną instytucyi i praw krajowych; utrzymywać się w Paryżu tak długo, póki własne fundusze i składki przez naród złożone wystarczą, a przez ten czas impozycyą i szlachetną wytrwałością zmusić rząd, aby przez wzgląd na usługi, jakie uczyniliśmy Francyi, przez wojnę naszą z Rossyą, przez proste obowiązki wdzięczności i ich własny interes, uczynił to dla nas, co było zgodne z naszym honorem narodowym i z sprawą, którą podnieśliśmy w Polsce i bronili ją z takiém poświęceniem przez dziesięć miesięcy. Chcieliśmy po prostu odwołać się do ludu francuzkiego i przez powszechną opinią to wymódz na rządzie, czegoby on z własnéj woli nie uczynił. Jakaż była natura naszego żądania? Żeby dobrze być zrozumianym, muszę zwrócić

uwagę Papy na niektóre prawa francuzkie. Konstytucya francuzka odmawia każdemu cudzoziemcowi praw obywatelstwa. Kto chce używać tych praw musi się naturalizować, a to nie może inaczéj nastąpić jak przez pobyt pięcioletni w kraju. Nikt nie może wejść do wojska francuzkiego, kto nie jest Francuzem. Ponieważ zaś według dawnego zwyczaju z wszystkich krajów wygnańcy znajdywali schronienie na ziemi francuzkiéj, żeby tedy obmyślić dla nich sposób do życia, a nie sprzeciwić się ustawom, uformowano nie wiem w którym czasie *Legią Cudzoziemską*, *Une Legion Etrangère*. Ta legia pobiera żołd taki jaki i armia francuzka i składa się z rozmaitéj klassy cudzoziemców. I tak Włochów, Hiszpanów, Niemców, Moskalów, Anglików. Zgoła banda łotrów z całego świata. Ta legia z natury swojéj tak różnorodna, nie używa żadnéj reputacyi militarnéj, a musi wysługiwać się za żołd, który pobiera, najprzykrzejszą i najcięższą służbą. Jeżeli potrzeba pobić Beduinów w Afryce, posyłają legią cudzoziemską; potrzeba gdzieś dopełnić osady na drugim końcu świata, posyłają legią. Zgoła na pierwszą potrzebę i na każde zawołanie musi być wszędzie i zawsze w pogotowiu legia. Ani tam zrozumieć nie może jeden drugiego, ani podobna zaprowadzić karności wojskowéj. Co żołnierz to inny obyczaj, inne wyobrażenie; dezercya ustawna; niesforność, złodziejstwo, pijaństwo bezprzykładne. W takiéj tedy legii rząd francuzki przeznaczył miejsce dla wygnańców Polaków. Łatwo sobie wystawić nasze oburzenie, gdyśmy się dowiedzieli o tém postanowieniu. Ja sam odebrałem inwitacyą od generała komendanta, który proponował mi wejście do legii z zachowaniem stopnia sztabs-oficera. Odpowiedziałem, że nie przyjechałem służyć widokom rządu i nie myślę zaprzedawać się jemu za 4000 franków rocznéj pensyi; jeżeli jestem w Paryżu to dla tego, że niemogę być w Polsce, lecz i w Paryżu nie przestanę myśleć o Polsce.

Wracając do opowiadania o komitecie naszym, pokazuje się, iż mieliśmy słuszność domagać się aby ten komitet w żadne nie wdawał się porozumienia z ministrami, bo wiedzieliśmy, że ztąd wypadłyby skutki, jakich sobie życzył rząd. Jednak pomimo przyrzeczenia exprezes dawnego rządu a prezes tymczasowy tymczasowego komitetu *poussé par la manie de gouverner*, zaraz na drugi dzień zameldował się w przedpokoju pana Perier. Nigdy nikt mocniéj nie był ukarany za swoję głupotę. Minister nie przyjął prezesa. Wizyta ta jednak nie została w utajeniu. Zaraz dowiedzieliśmy się, a opierając się na niedotrzymaniu warunków, zapowiedzieliśmy zmianę komitetu i prezesa. Tymczasem większa część Polaków zebrała się już w Paryżu. Niemojewski nie tracił darmo czasu, chciał koniecznie utrzymać się na prezesostwie. Daléjże znowu do sejmikowych reguł. Zapraszał do siebie jednych, do drugich sam chodził i już prawie był pewnym, że na powtórnym obiorze zostanie potwierdzonym. Niebezpieczeństwo było wielkie, trzeba było stanowczego kroku. Zwołaliśmy radę prywatną w celu obmyślenia środków uniknienia złego, lecz przekonaliśmy się, że Niemojewski już zanadto wielu porobił sobie przyjaciół. Zostawał tylko jeden środek zwrócić opinią przez jawne publiczne ocenienie niedołężności dyplomatycznéj exprezesa i szkód jakich się stał przyczyną podczas swoich rządów. Maurycy, Gurowski wzięli się do roboty i przez jeden wieczór napisali o tém broszurę, którą wydrukowali po polsku i rozdali wszystkim Polakom. Nagle otworzyły się oczy! O ile ktoś dobrze mówił i chwalił Niemojewskiego, o tyle po przeczytaniu broszury ganił, narzekał na niego. Odnieśliśmy najkompletniejszy tryumf. Nie mam miejsca opisania co się działo na obiorze komitetu stałego, to tylko powiem, że nikt nie był tak upokorzonym jak Niemojewski i partya kaliska we własném mieszkaniu, bo tam wszyscy Polacy się zebrali

a było ich ze stu. Musiał siedzieć w przedpokoju, bo w salonach obradowaliśmy nad organizacyą komitetu stałego, wyboru prezesa i członków. Jednomyślnie Niemojewski zrzucony z prezesostwa, ustąpił miejsca Lelewelowi. Komitet nowy nazwany *Le comité permanent national*, ma porządną organizacyą swéj ustawy i prawo obmyślania środków egzystencyi Polaków wygnańców. Lecz umiał się Niemojewski zemścić za zniewagę sobie wyrządzoną; funduszów skarbowych nietylko że nie oddał, ale nadto wyparł się najuroczyściéj jakoby je kiedy miał pod swojém rozporządzeniem. Lecz ponieważ wymówił się przedemną, jak to zapisałem wyżéj o wizycie mojéj, że mi z funduszów skarbowych daje trzysta franków, napisał więc natychmiast po obiorze nowego komitetu list do mnie, w którym domaga się zwrotu trzystu franków, oświadczając wyraźnie, że te pieniądze nie były wcale z funduszów skarbowych, których nigdy nie miał i nie ma, ale z funduszów jego własnych. Dodał w końcu, że jeżeli mi mówił o jakich funduszach, to się miało rozumieć o funduszach komitetu francuzkiego.b) Tym sposobem znikły wielkie summy polskie. Otóż to pod zarządem takich ludzi miała rewolucya polska się utrzymać, i takim sposobem skarb 94 milionów powierzony jednemu z Kaliszanów spełzł na niczém! Nie dosyć na tém: posuwa daléj swoją zemstę już nie na nas, ale w ogólności na wszystkich Polaków prawie przytomnych w Paryżu, do piekielnych udając się środków. Z ministrami ma porozumienie, obczernia, obgaduje rodaków, ochrzcił ich jedném nazwiskiem zbrodniarzy nocy 15. Sierpnia. Wyperswadował ministrom, że wszyscy Polacy, którzy znajdują się w Paryżu, umoczyli rękę w krwi niewinnéj, a sam Lelewel mordował dzieci i bezbronne niewiasty w czasie téj pamiętnéj nocy. Ministrowie wierzą i tém mocniéj się nas boją i tém nienawistniéj na nas patrzą. Już była nawet kwestya *d'un coup d'état*,

to jest żeby jednéj nocy porwać wszystkich Polaków i wywieść do Awinionu. Lecz głos ludu odezwał się z daleka jak głos gromu i zadrzał tron Filipa, a ministrom jego okazało się widmo Polignaca i los jego wspólników. To pewna, że najmniejszy gwałt Polakom wyrządzony ze strony rządu, stałby się przyczyną odrodzenia Francyi.c) Nie wiem jak daléj będzie i o ile Lelewel odpowie naszym życzeniom. Mam jednak nadzieję, że Izby pozwolą Polakom przez excepcyą naturalizować się, albo postanowią uformować legią polską d) zupełnie odmienną od legii zagranicznéj, któraby żadnych stosunków z nią nie miała. W takim tylko razie syn Papy Kamil pokręciwszy wąsa, przypasze szablę i założy szlify.

Obok tych wszystkich zamieszań, kłopotów i nieporozumień, Maurycy raźno się wziął do opisywania rewolucyi polskiéj, lecz ustannie mu przeszkadzano. Nic nie pomogła nawet praktyka z dawnego warszawskiego czasu z zamykaniem się na klucz. Wybijano drzwi nielitościwie, zabierano czas, jeszcze nielitościwiéj wypalano tytuń; fajek, stambułek, których tu trzeba strzedz jak oka w głowie, bo niesłychanie drogie, a takie słabe, że za najmniejszém uderzeniem tłuką się, niepodobna było nastarczyć. Często nawet zdarzało się, że gość pod pretextem naradzenia się o dobru ogólném, przyszedłszy z rana, wypijał moją bez miłosierdzia lub Maurycego porcyą kawy. To wszystko o mało nas do desperacyi nie przyprowadziło. Maurycy, któremu pierwsze już rozdziały Historyi rewolucyi udały się nad wszelkie oczekiwanie, postanowił tedy potajemnie wynieść się z Paryża dla dokończenia swego dzieła, a ponieważ Michał Podczaszyński siedzi w Metz, posłany od komitetu dla ułatwienia Polakom dostania się do Paryża, więc tamże i Maurycy zmierzył swoje kroki. Utrzymuję jednak z nim prawie codzienną korrespondencyą. Zakres tego rozciągnął się dłużéj jak rozumiałem z pocz

opisałem jednak jeszcze bardzo wiele rzeczy, które koniecznie muszą dojść do wiadomości Papy, a dopełnią odpowiedzi dopiero na jedno z 12 kategoryi w liście Papy. Żeby więc odpowiedzieć na wszystkie, przynajmniéj 12 razy więcéj trzeba napisać. Uczynię to cząstkowo, i tak w przyszłym liście dokończę opowiadania o tém, co się tu dzieje z nami w stosunku do rządu, a potém zacznę od 14. Lipca, to jest od rozstania się z Papą.

Do mojéj najdroższéj Mamy.

Pośród radości i szczęścia nieopisanego, którego doznaję po odebraniu wiadomości, że już nie ma niebezpieczeństwa ze słabością Mamy, z boleścią napotkałem na wyrazy ręką Papy kreślone, że Mama jeszcze często zapada. Miałożby takie być przeznaczenie, aby po stracie najpiękniejszych nadziei i po upadku ojczyzny, niewolno nam było cieszyć się najpiękniejszą i jedyną pociechą zupełnego zdrowia naszéj dobréj Mamy. O nie! Ja wierzę w Opatrzność i w rządy Boskie. On nas nie stworzył dla tego aby nas ustawnie dręczył i martwił. On zleje na mamę wszelkie pomyślności i zupełném zdrowiem obdarzy. A któż tego więcéj godzien? Kto na to więcéj zasłużył? Nie ten święty, co za wiarę dał się ukamienować, ani ten co ostrą pokutą całe życie dręczył ciało, ale ten, kto w powołaniu matki nie ustąpi żadnéj z matek na całym świecie. Ja nie mam nic, tylko takiego ojca i taką matkę, jakże jestem bogaty! Tego skarbu nie chcę stracić aż z mojém życiem. Oczekuję z największém upragnieniem przez najpierwszą pocztę wiadomości własną ręką Mamy pisanéj o jéj zdrowiu. Mam nadzieję, że będzie dla mnie pocieszająca. Jaka będzie moja przyszłość, tego nie wiem; ale czy uczyniliśmy zadosyć przestrogom, które czytam w liście Mamy, niechaj zaświadczy nasza przeszłość. Zawsze jednak święte będą dla mnie wszystkie przestrogi i wszy-

stkie napomnienia mojéj najdroższéj Mamy. Jakbym rad je słyszeć z własnych ust Mamy i za każde słowo ucałować stopki najukochańszéj Mamy! Co się zaś tyczy *opery i baletu*, te są wszędzie jednakowe na całym świecie, a jeżeli w Paryżu są złośliwsze i szkodliwsze jak w Warszawie, za to téż Kamil w Paryżu jest rozumniejszy jak był w Warszawie, a zresztą niech mi przebaczy kochana Mama że powtórzę przysłowie: *Nie taki diabeł straszny jak go malują.*

Przypiski do listu.

a) Sam przed kilkoma dniami byłem świadkiem podobnéj sceny przy Notre-Dame. W czasie ciemnéj nocy pokazał się ogień na wierzchu wysokiéj wieży; kilku ajentów zebrało się na dole, jeden wystrzelił, a drudzy zaczęli krzyczyć: aux armes! aux armes! W momencie zebrała się garstka ludu, nim ci zniknęli, a na ich miejscu wysunął się z ciasnéj uliczki szwadron mocny żandarmów, wpadli na tłum, tratowali, strzelali, w moment wszystko się uciszyło.

b) Komitet francuzko-polski pod dyrekcyą Lafayetta uformował się w początku rewolucyi polskiéj; exystuje dotąd; zbiera składki i oddaje je naszemu komitetowi narodowemu, który reguluje wydatki. Każdy Polak wygnaniec w Paryżu pobiera z tych funduszów dotąd pensyą wyrównywającą pensyi podporucznika w Polsce.

c) Mówię to o Paryżu, bo wiadomo zapewne Papie, że Polakom wyjeżdżającym do Francyi, pod żadnym pretextem nie wolno przyjechać do Paryża. Za paszportem odsyłani są do Awinionu albo do Chateau-Roux; lecz kto przedtém ordynansem przyjechał do Paryża, ten jest już nietykalny. Ukradkiem jednak przemykają się do Paryża, a dosyć tylko minąć rogatki, aby utopić się w tém mieście jak w morzu.

d) Dotąd utrzymuje pan Perier, że uformować legię i nazwać ją Legią Polską, byłoby to samo, co wypowiedzieć wojnę Rossyi. — Co za nonsens!

List (drugi) Kamila Mochnackiego.

Paryż, 20. Stycznia 1832. r.

Zapomniałem w ostatnim liście moim (który z Paryża wyszedł dnia 14. Stycznia, to jest nazajutrz po odebranym liście od Papy najukochańszego) wspomnieć, iż list Papy, datowany pod dniem 24. Grudnia 1831. roku, powinien był z Polanki przyjść do Paryża w 10 lub 11 dni, to jest dnia 6. lub 7. Stycznia. Dla czegoż ja go odebrałem dopiero 13. Stycznia? to jest późniéj o całe 6 dni? Może choć datowany d. 27. Grudnia, nie wyszedł zaraz z Polanki? Raczy najukochańszy Papa tę wątpliwość wyjaśnić, spodziewam się zaś listu od Papy 3. lub 4. Lutego, to jest we 20 lub 21 dni po wyjściu mego pierwszego listu z Paryża. Niecierpliwie będę oczekiwał tego dnia, a lękając się, żeby moje listy nie przyszły już po wyjeździe Papy z Polanki, spieszę z dokończeniem opisu tego, co się dzieje w Paryżu a ma związek z nami. Opisałem już co zaszło między Polakami zebranymi w Paryżu, a partyą Kaliską; dodam tylko teraz z których ona członków rzeczywiście się składa i zkąd się wzięło to nazwisko. Nazwisko to nie jest przez nas wymyślone, ma swój początek historyczny, który zasięga pierwszych dni naszéj rewolucyi. Przypomni sobie Papa posiedzenie Kuryera Polskiego, którego Maurycy stworzył 1° dla spopularyzowania tego pisma popularnemi imionami, 2° dla podsunienia się pod wpływ Wincentego Niemojewskiego, 3° dla wyzondowania i ocenienia dyspozycyi rozmaitych fakcyi, których naczelnicy tam się znajdowali. Na posiedzeniach tych, Kaliszanie najmocniéj upierali się przy zachowaniu dawnych form konstytucyjnych przy rządzie monarchicznym, i dali nawet początek téj śmiesznéj deklaracyi sejmu, że rewolucya nasza nie ma nic a nic w sobie republikanckiego, i że reprezentanci przyrzekają w obec Europy

nie myśleć o innéj formie rządu, tylko o formie konstytucyjno-monarchicznéj. Trzymali się więc Kaliszanie najściśléj teoryi Benjamina Constant (notabene teoryi tylko dwóch pierwszych tomów tego pisma, więcéj nie czytali bo za długie). Tych uczniów Benjamina Constant nazwać chcieliśmy Benjamistami; lecz Wincenty Niemojewski, szef partyi, dowiedziawszy się o tym przydomku, postanowił, aby jego i prozelitów jego nazywać partyą Kaliską. Od tego czasu partya ta exystuje i składa się po większéj części z samych pokrewnych bliższych i dalszych w linii pokrewieństwa, których nadto stosunki majątkowe, sąsiedztwa i miłéj dawnéj przyjaźni nienaruszonym połączyły węzłem. Z rozmaitém szczęściem wojowała ta partya w ciągu całéj rewolucyi. Mocna przed dyktaturą, jeszcze mocniejsza po dyktaturze, najmocniejszy prawie w owym czasie wywierała wpływ na opinią powszechną. Nie lubiła zawsze associaciów publicznych, towarzystwa patryotycznego; nie cierpiała członków, nazywała sans-culotami, Jakubinami, ludźmi przedajnymi, którzy względem swojéj ojczyzny nigdy prawych zamiarów nie mieli; ale za to sama nie przestała myślić o dobru ojczyzny, rozebrała między siebie najwyższe urzędy, a niższe magistratury dalszemi w linii pokrewieństwa obsadziła członkami. Rządzili więc Kaliszanie zawsze i wszędzie, przed dyktaturą i po dyktaturze, za Radziwiłła i za Skrzyneckiego i po Skrzyneckim, i przed Krukowieckim i po Krukowieckim; zgoła od dnia 29. Listopada aż do dnia 22. Września, w którym to dniu Bonawentura Niemojewski, widząc, że nie ma już co robić w Polsce, wziął co było do wzięcia i przyjechał do Paryża. — Nie ma miejsca wyliczać wszystkie przymioty i wszystkie wielkie korzyści, jakie rewolucya polska odniosła z egzystencyi téj zacnéj kongregacyi. Znane są Papie aż nadto dobrze jéj pryncypia, z których zawsze śmieliśmy się w Nowéj Polsce (gazeta tak nazwana).

Najlepiéj z nich wszystkich miał w głowie i w sercu Wincenty głuchy, ale w Płocku wyraźnie oświadczywszy bratu Bonawenturze et Companie: „że wolałby już z Jakobinami i demagogami mieć do czynienia, niż z takimi nieukami politycznymi, nie mógł już dłużéj i nie chciał wglądać w ich działania“; a gdy mu brat począł dokuczać, poczciwy starzec bez eskorty i podobno bez pieniędzy uciekł z Polski. Złapali go téż natychmiast Czerkasy, którzy i na nas mieli apetyt.

Inni Kaliszanie oprócz zaciętości, uporu, przywiązania do pieniędzy i nieograniczonéj ochoty do urzędów, żadnéj innéj nie posiadali zalety. [a])

Wodzi rej między nimi obecnie Morawski, ex-minister spraw zagranicznych. Ten przechodzi ich wszystkich w zawodzie intryg i obmów. Od początku rewolucyi aż do Sierpnia siedział w Paryżu, niby użyty do ambasady. Przez ten czas cały ani o Polsce, ani o rewolucyi myślić nie chciał; pod koniec, kiedy powodzenie oręża polskiego rokowało szczęśliwe zakończenie wojny, zaczął Morawski głosić swoje wielkie zdatności i talenta; zręcznie zalecał siebie jako człowieka, bez którego Polska obejść się nie może. Nic jednak na los położyć nie chciał, i dopiero jak mu z Warszawy na piśmie zagwarantowano prezesostwo w banku, wyjechał z Paryża i przybył do Warszawy. O mało co się nie zawiódł w swoich rachunkach, bo nim zdołał objąć prezesostwo w banku, zleciał Skrzynecki, a potém Czartoryski abdykował. Byłby dyplomatyk osiadł na lodzie, lecz Kaliszanie nie zapomnieli o kuzynie i sprzymierzeńcu. Wakowało ministerstwo interesów zagranicznych; oddali więc je Morawskiemu. Bolesno jest wspomnieć na te czasy; opiszę je w następnych listach. — Wspomniałem je dla tego tylko teraz, że Morawski, który jak się wykazuje, nie położył najmniejszych zasług, tutaj w Paryżu odgrywa rolę wielkiego patryoty, bez przestanku intryguje i pełną garścią

rozsiewa między Polakami niezgody. Z tego źródła wyszła znowu wzmianka o piśmie Maurycego u Karmelitów, jego pobyt w cenzurze i znajomość z Szaniawskim. Wszystko to po tyle razy wznawiane, dziś już najmniejszego nie czyni efektu, a chlubna przeszłość Maurycego podczas rewolucyi i rany jego trzykrotnie odniesione, są dostateczną tarczą, o którą rozbijają się wszystkie potwarze i nikczemne usiłowania tych pigmejczyków. Tegoż rodzaju napaści doznaje także Gurowski. Dobrze umiał Morawski wiadomości o jego dziadku, który z Katarzyną, czyli téż z Pawłem, miał w Petersburgu porozumienie, rozsiewać i inne plotki, to o opuszczeniu przez niego wojska, to o krzyżu, to o osobistych jego widokach w rewolucyi, zgoła nie ma nic pod słońcem, czegoby nie wymyślił i nie rozgadał; lecz Gurowskiemu sprzykrzyło się refutować, i kiedy to piszę, może już jeden z nich nie żyje, bo w lasku Boulogne ma się rozstrzygnąć, kto się mniéj boi umrzeć.

Więc tedy partya Kaliska, do któréj należy: Bonawentura Niemojewski, Aloizy Morawski, Działyński, Tymowski, Wołowski Franciszek b), Platerów 5, Plichta, Kaszyc, Kunat, Chłapowski, lecz nie generał, Zenowicz poseł, wielu jeszcze innych, zaraz po wywróceniu tymczasowego komitetu (o którym w przeszłym liście) uczynili protestacyą, w któréj oświadczyli, że nie chcą mieć nic wspólnego z tymi, którzy go wybrali (obierających było 100). Że komitet wybrany przez naszą wolę nie ma prawa egzystować, nie powinien mieć politycznych celów, i że kiedy Polska już wróciła do dawnego porządku, więc nikt nie ma prawa na całym świecie protestować przeciw temu co się dzieje, oprócz jednego sejmu i rządu, który wszakże tego nigdy nie uczyni, bo to się może nie podobać ministrom i królowi francuzkiemu, a nadewszystko panu Pozzo di Borgo i panu jego w Moskwie. Naśmialiśmy się z téj protestacyi i na ogólném

zgromadzeniu zebraném, postanowiliśmy ogłosić przez wszystkie pisma publiczne egzystencyą komitetu, jego członków, celów, widoków, praw i t. d., a do tego czasu już na całym świecie wiedzą, że Polacy nietylko ratując życie udali się na ziemię francuzką, lecz udali się także tam, aby mogli czuwać nad dobrem ludu polskiego i za najmniejszą sposobnością wrócić na ziemię ojczystą z bronią w ręku, którą nam wytrąciła zdrada i nikczemność własnych naszych rodaków. — W takim tedy stanie stały rzeczy w Paryżu, gdy przyszła wiadomość, że kolumna z 10 lub 12,000 żołnierzy polskich złożona, nie chcąc wracać do Polski z Prus, mają przyjść do Paryża, że generał Bem tę kolumnę prowadzi. Komitet polski wysłał natychmiast emissaryusza z 50,000 franków naprzeciwko téj kolumny; lecz zaledwo upłynęło dni kilka, przybył Bem sam do Paryża z dwoma adjutantami. Niemojewski, który się najpierwszy dowiedział o jego przybyciu, poleciał natychmiast i wystawił mu w najfałszywszém świetle i komitet i Polaków zebranych w Paryżu; zaklął go na wszystko, aby nic nie miał do czynienia z takim komitetem, tylko aby się najprędzéj udał do ministrów, którzy mu dadzą wszelką pomoc, jakiéj zażąda do sprowadzenia wojska do Francyi. — Bem usłuchał, lecz mocno potém tego żałował. Komitet Narodowy ze swojéj strony znowu najgrzeczniejszym listem zaprosił Bema (nie wiedząc nic o intrydze Niemojewskiego) do siebie na posiedzenie, celem wspólnego naradzenia się o sposobach sprowadzenia żołnierzy; lecz Bem, zamiast przyjścia sam na sessyą, taką odpowiedź przysłał:

Do komitetu polskiego.

„List komitetu odebrałem wraz z jego ustawami. Z boleścią serca wyczytuję, że komitet ten przywłaszcza sobie władzę, któréj mu tutaj nikt nadać nie mógł i nie

może. W imieniu narodu mogą tylko działać posłowie i deputowani, zebrani za granicą podług ustaw konstytucyjnych; w imieniu wojska tylko wybrani od wojska; takim jest w Paryżu generał Kniaziewicz. Jeżeli zaś niektórzy Polacy chcą żyć w Paryżu pojedyńczo, niech się utrzymują z jałmużen, które wyciskać umieją, niech rozszarpują summy, które szlachetne narody na dobro nieszczęśliwych przeznaczają; ale niech się nie odważają przemawiać w imieniu narodu. Jako żołnierz oświadczyć tu muszę, że ta garstka wojowników, z którymi tu do Francyi przybywam, jest złożona z ludzi, co krew swoją za wolność i niepodległość narodu przelewali i przelewać będą; co wszystko dla kraju poświęcili i poświęcą, a nie mając na celu jak tylko najświętszą sprawę narodową, z upragnieniem czekają momentu, w którymby do kraju z bronią w ręku powrócić i życie swoje dla dobra nieszczęśliwéj ojczyzny poświęcić będą mogli. Wszystko to czuwać będzie tymczasem nad sławą krwawo nabytą, a biada temu, któryby ją niszczyć odważył się. Nie chcą oni mieć żadnych stosunków z tymi, co tylko po brukach paryzkich i warszawskich, dalecy od wszelkiego niebezpieczeństwa, czas swój tracili i tracić umieją, a korzystając z okoliczności, najświętsze poświęcenie narodu i chwałę oręża sobie przywłaszczają i na dobro osobiste używają.“

Jenerał Bem.

Komitet odbywa zawsze posiedzenia przy drzwiach otwartych. Znajdowaliśmy się właśnie w towarzystwie kilkunastu oficerów właśnie w owéj chwili, kiedy ten list przyniesiono i w głos odczytano. Wypisałem dla tego co do słowa ten list Papie, żeby w całéj obszerności dać wyobrażenie o duchu partyi Kaliskiéj, która raz dla pomszczenia się za różne zniewagi i znowu dla osłabienia powagi i znaczenia komitetu c) wtrąciła Bema w ta-

kie błoto, że, aby wyjść z niego, długo potrzebował czasu i zachodu. Oczywiście Bem o niczém nie wiedząc, łatwo dał się usidlić. Napisał ten list pod wpływem Morawskiego i Niemojewskiego i zaadresował do komitetu polskiego; nie napisał on nic sam z siebie, tylko to, co mu kazali napisać; lecz bynajmniéj nie wiedział, jakie to pociągnie za sobą skutki. Partya Kaliska toż samo wprawdzie powtarzała zawsze, ale to tylko ustnie i dobrze się strzegąc, żeby ją ktoś nie uchwycił au flagrant delit i nie pociągnął do odpowiedzialności osobistéj; lecz osiodławszy Bema, mocno była z tego kontenta, że go jako organ swój do zemsty użyć mogła. — Przeczytaliśmy więc ten list z największém oburzeniem. Jeden człowiek, pan Bem, nie wchodząc z jakich to uczynił powodów, poważył się zhańbić komitet, ciało reprezentacyjne, wolą ogółu postanowione, zarzucił rozszarpanie sum, a co największa, dotknął anteriorów rodaków oficerów, zebranych w Paryżu, jakoby bruki ślufowali w Warszawie i dalecy byli od niebezpieczeństw, ma się rozumieć wojny. — Takiéj obrazy oczywiście żaden oficer nie mógł znieść, jakoż oczywiście, który tylko posłyszał słowa listu, lub go sam przeczytał, porwał natychmiast za pióro i w imie obrażonego honoru wojskowego napisał do generała Bema, wzywając go do honorowéj rozprawy. W okamgnieniu zobaczył Bem na swoim stole list, opatrzony podpisami 30 oficerów, z których każden pragnął krwią zmazać hańbę, którą go okrywały słowa listu pana Bema. Nie byłem tam, lecz mi mówiono, że Bem przeczytawszy kartel zbladł jak trup. Taki kartel niczém więcéj oczywiście nie jest, tylko wyrokiem śmierci; niepodobna żeby z 30 kul jedna go nie trafiła. Trzeba było prędko zdecydować się. Zostawał mu wybór między śmiercią a upokorzeniem się nikczemném; jednakże tak był zmieszanym, że nie był w stanie nic stanowczego odpowiedzieć. W tym stanie stagnacyi przepędził cały

dzień; żaden z Kaliszanów nie przyszedł wydźwignąć go z przepaści, w którą wtrąciła go ich intryga. Nazajutrz dzień, gdy się nikt nie zgłosił od pana Bema, ja i Maurycy napisaliśmy osobny bilet następującéj treści:

Do Pana Bema.

„Na wyzwanie wczorajsze nic Pan nie odpowiedziałeś; milczenie to uważamy za powtórzenie obrazy, którą wyrządziłeś naszemu honorowi. Nie byliśmy dalecy od niebezpieczeństw, i niezbijaliśmy bruków w Warszawie, to zaświadczają rany, któremi jesteśmy okryci, i krzyże które nam dano w nagrodę zasług wojskowych. Przed 29 Listopada, kiedy pośród największych niebezpieczeństw układaliśmy rewolucyą, Pan właśnie wtenczas daleki byłeś od niebezpieczeństw i zbijałeś bruki po Lwowie. W dzień 29 Listopada, kiedy my niepomni na przemoc i wyraźne niebezpieczeństwo, nieśliśmy życie nasze dla oswobodzenia ojczyzny, Pan wtenczas zbijałeś bruki po Lwowie. Kiedy późniéj, my tylko dobro ojczyzny mając na celu, w niebezpiecznych wyprawach pojedyńczo rzucaliśmy się w obozy nieprzyjacielskie, Pan wtenczas zbijałeś bruki po Lwowie. Nakoniec po rozpoczęciu wojny my już staczaliśmy krwawe boje, i sztandary nieprzyjaciołom odbieraliśmy, a Pan jeszcze daleki od niebezpieczeństwa zbijałeś bruki po Lwowie, czekając na którą stronę przeważy się zwycięztwo. Przyjechałeś nakoniec wtenczas do Polski, kiedy same korzyści z rewolucyi osiągnąć mógłeś. Biłeś się pan dobrze, wyznajem, ale któryż żołnierz polski nie bił się dobrze? Dopełnienie obowiązku nie jest jeszcze zasługą. Był czas kiedy oddawano panu naczelne dowództwo, nie przyjąłeś go pan, choć więcéj do tego miałeś zdatności niżeli inni. Mógłeś Pan kraj uratować pod Warszawą, mógłeś toż samo i w Modlinie i w Płocku. Dla czegoż pan tego nie zrobiłeś? bo naczelnemu dowódzcy towarzyszyło niebezpieczeństwo.

Teraz kiedy ani wojska niema, ani niebezpieczeństwa, ani nieprzyjaciela, narzucasz się na wodza i odmawiasz zasług oficerom, którzy chyba dla tego są mniéj zasłużeni, że zawsze poczciwie myśleli o dobru ojczyzny, i że z rewolucyi nie wynieśli szlif generalskich. Jutro o godzinie 12 z południa stawisz się pan w lasku Bulońskim z swoim sekundantem, inaczéj za obelgi jeszcze większe cię obelgi spotkają."

(podpisano) *Maurycy Mochnacki.*
Były porucznik wojsk polskich.

Kamil Mochnacki.
Były major wojsk polskich.

Oto jest przysmaczek, który musiał zjeść pan Bem, w skutku swojéj nierozwagi i zbytecznéj swojéj powolności, i nadstawienia ucha podszeptom nędzny fakcyi. Może za obelżywy był ten list, i istotnie nie należałoby tak surowo karać kroku, który nie pochodził ze złego serca i z występnych zamiarów. Lecz wiedzieliśmy, że taką tylko impozycią będziem mogli wykazać nikczemność i bezsilność zabiegów partyi kaliskiéj. Otworzył oczy Bem przeczytawszy list, sam sobie wierzyć nie chciał, że do niego pisany. Wreszcie po długiéj rozwadze powiedział do swojego sekundanta „słusznie jestem ukarany, niepowinienem się był dać uwieść; wystawiono mi rzecz w innem świetle. Nawet nie wiedziałem kto z Polaków znajduje się w Paryżu, nie miałbym sumienia bić się z oficerami których tak mocno obraziłem. Idź, proszę cię do p. Mochnackich, powiedz im, że nigdy nie miałem na myśli odmawiać zasług, które nabyli. Młodszego cenię i ceniłem jako towarzysza broni, dobrego żołnierza, o starszym dziwne rzeczy mi powiadano to prawda. Ale ponieważ bił się z Moskalami, już ma prawo do szacunku, a o opinie polityczne rozumiem,

że się ze mną nie będzie strzelał." Co do słowa nam to powtórzył sekundant, dodał, że jeżeli nie dosyć na piśmiennném przeproszeniu, Jenerał Bem gotów jest zawsze i wszędzie podać rękę i rzecz tę publicznie odwołać, aby wszyscy ci którzy się w jego liście obrażonemi widzieli, dostateczną i zupełną mieli satysfakcyą. Maurycy odpowiedział: „że miło mu jest w ten sposób widzieć rzecz załatwioną. Co się zaś tyczy opinii politycznych, o te nie ma do nikogo żadnych pretensyi, i z nikim się o nią strzelać nie będzie." Bem zaraz nazajutrz wyjechał z Paryża, bo niepodobna mu było znieść wszystkie *propos*, które na konto jego łatwowierności w Paryżu puszczano. Wiem tylko, że przed wyjazdem mało nie obił Morawskiego. Lecz cała ta awantura była dowodem, że komitet Polski nie stoi jeszcze na mocnych zasadach. Każdy za siebie indiwidualnie mógł się upomnieć i Bema do odpowiedzialności pociągnąć. Lecz komitet, ciało moralne, jakże potrafi odbić cios? Radziliśmy więc Lelewelowi, aby rzecz całą przez pisma publiczne ogłosił, i zbił te fałszywe mniemania, że my nie mieliśmy prawa tworzyć komitetu, i że utworzony przez nas komitet nie ma prawa egzystować. Już się nawet skłonił był Lelewel do tego kroku, ale taż sama niepewność w postępowaniu, taż sama nieśmiałość, która cechowała prezesa towarzystwa patrjotycznego w Warszawie, ministra oświecenia i członka rządu, cechuje toż samo prezesa komitetu polskiego w Paryżu. Lelewel nigdy nie odpowiedział naszym oczekiwaniom w rewolucyi, a teraz tę samą musimy naganiać powolność. Ale cóż mam Papie pisać co to jest Lelewel i komu on winien reputacją pierwszego w rewolucyi członka? Lecz on téj reputacyi nie utrzyma. Sam bezsilny nigdy stanowczego kroku nie zrobi, słuchać innych nie chce; bo rozumie że sam wszystkiemu podoła, a do ludzi którym wyższości umysłowéj zaprzeczyć nie można, wyraźną okazuje nie-

chęć i szkólną prawie zazdrość, dał tego najlepsze dowody co do Maurycego. Już to od samego przyjazdu do Paryża, wiedział bardzo dobrze, że jeśli go opuścimy, on będzie musiał ustąpić przed niemi. Chodził więc co dzień, szeptał do ucha, czynił maleńkie obserwacyje, drwinkował, ale zawsze po cichu, zawsze w kąciku. Kiedy się pisały broszury mające zadać cios Kaliszanom, był w najwyższéj radości, podskakiwał Himcio, i krztusił się w naszym pokoju, w którym pełno było dymu od fajek. Sam nawet egzemplarze pieczętował i rozpisywał adresa. Ale jak tylko broszury uczyniły swój skutek, i on zajął miejsce w komitecie Niemojewskiego, począł utrzymywać że broszury zanadto mocno persyflowały Kaliszanów, i że niegodziło się znowu tak źle o nich sądzić. Utworzyliśmy potém towarzystwo literackie na kształt towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Obraliśmy Lelewela prezesem, Maurycego wiceprezesem. To się niepodobało Himciowi, zdaje mu się, że ustawnie Maurycy stoi mu wszędzie na drodze. Nawet zerwał raz posiedzenie, ponieważ Maurycy i my inni nie chcieliśmy przyjąć jego projektu w pewnéj materyi literackiéj. To wszystko dowodzi słabość charakteru i niepolityki jego, dowodzi także że nie takiego człowieka potrzebowała nasza rewolucya, a teraz że byt nasz w Paryżu nie pewną ma w nim gwarancyą. Ale cóż począć? wiek ten tak obfity w wypadki jakże jest ubogi w ludzi prawdziwie zdatnych i godnych takich zjawisk politycznych! Lelewel jakby na złość nie pojmuje swego własnego interesu; ani jest w stanie ocenić tego wielkiego powołania, do którego go przeznaczyła rewolucja! Ustawnie zbacza z drogi, któréjby się powinien trzymać z poświęceniem wszystkich względów. Przez swoje drobiazgowe o rzeczach sądzenie, nie raz psuje moralnie przez nas zbudowane dzieło, nie raz nawet kompromituje siebie i nas. Nie dziwno gdy się toczył interes z Bemem. Postano-

wiliśmy uczcić Zaliwskiego, który właśnie wtenczas przyjechał do Paryża publicznym obiadem, i ofiarować mu pałasz z napisem. Nie dla tego chcieliśmy to uczynić, aby Zaliwski rzeczywiście był wart takiego zaszczytu, lecz aby pokazać Bemowi i innym generałom tu przytomnym, również Niemojewskiemu i innym, że umiemy cenić zasługi, i że choć Zaliwski nie wielkie ma zdolności, położył jednak dla kraju zasługi większe jak oni. Na ten obiad złożyli się wszyscy Polacy. Lecz ani Bem ani inni jenerałowie, ani Niemojewski nie miał być wcale proszonym na tę uroczystość. Lelewel poszedłszy po rozum do głowy, potajemnie uczynił inwitacią do Niemojewskiego zapraszając go na obiad. Godnie został za ten krok ukaranym, bo Niemojewski et Comp. odpisali mu, że nie przyjdą, bo lękają się aby Polacy popiwszy się na obiedzie, nie zrobili jakiéj burdy. Nię koniec na tém. W ciągu obiadu zamiast skromnego przymówienia się przy ofiarowaniu pałasza, Lelewel wystąpił z oracyą długą jak kazanie, w któréj wystawił Zaliwskiego większym i sławniejszym, niżeli którykolwiek z bohaterów wieków starych, i średnich, i nowych. Zrobił go największym wojownikiem, największym politykiem, prawdziwym i jedynym reprezentantem rewolucyi i rękojmią przyszłego bytu Polski. Rozumieliśmy, że żartuje sobie z Zaliwskiego. Sam Zaliwski słuchał za stołem z największém podziwieniem, i sam nie wiedział nawet, że go mają za tak sławnego człowieka. Słowem Lelewel przewybornie dopełnia swojéj missyi, nic nie opuszcza coby mogło i jego poniżyć, i nam szkodzić. Lecz któż nam winien? to nasze dzieło własne. W téj chwili pocieszna mię dochodzi wiadomość. Niemojewskiemu i wielu bardzo Kaliszanom kazano natychmiast wyjechać z Paryża. Niewiem jak to tłomaczyć, lecz to zapewne jest dzieło Lafayetta i paną Maugin wielkich przyjaciół Polaków, którzy już dawno myśleli tym sposobem zatamo-

wać niepokój między Polakami, i w samém źródle złe uleczyć. I istotnie tym tylko sposobem skończą się niezgody; dałby tylko Bóg, żeby to jak najprędzéj przyszło do skutku. Na tym kończę opis wypadków zaszłych w Paryżu, a teraz wracam do familii. Dziś z rana odebrałem list od Gr......éj z Warszawy. O mój Boże! cóż to za nieszczęśliwy stan i jakie okropne położenie téj kobiety. Rzewnemi łzami oblałem list kochanéj Klimki, jéj los jest daleko smutniejszy niżeli nasz i nas wszystkich, a tém smutniejszy jeszcze, że jéj na razie tak pomódz nie można. A do tego ten mąż, z którym ona nie była i nie może być szczęśliwą, czyż nie korzysta może z oddalenia familii i nie pogorsza tego nieszczęśliwego pożycia? Pisze mi, że jest chora, że nawet z łóżka nie wstaje, a od trzech miesięcy nie bierze żadnéj pensyi, dopiero mąż będzie pobierał po 100 złt. miesięcznie. Czyliż będą w stanie za to się utrzymać? Z tego listu wyczytuję, że najukochańszy Papa zamyśla przybyć do nas, i że to nawet niedługo nastąpi. Jakże już prędko? w którym miesiącu? w którym dniu? czemu ani wzmianki o tym nie ma w liście najdroższego Papy? Nic nie może być stósowniejszego, nic wspanialszego jak ten plan. Zawsze jeden z nas będzie przy Papie, dałby Bóg, żeby mnie był przeznaczony ten zaszczyt pielęgnowania najlepszego z Ojców. Czy byłby kto w stanie godniéj dopełnić tego świętego obowiązku? Jakich potrzeba Papie objaśnień? Jakie poczynić przygotowania na przybycie Papy? Radzę jednak nie odłączać się od przedmiotów do wygody służących, wszystko, wszystko z sobą wziąść, bodaj nawet więcéj zapłacić za *porto*, zawsze się to opłaci na miejscu. Czy nie lepiéj swoim powozem przyjechać i tylko konie najmować, albo też swoim powozem i swojemi końmi; konie ogromnie płacą w Paryżu. Więcby się koszt powrócił. Bez służącego Papa się nie obejdzie, a tu ten artykuł jest najważniejszy i najkosztowniejszy. Ale bio-

rąc z sobą człowieka trzeba mieć wielkie zapewnienie o jego uczciwości i wierności, bo najwięcéj się zdarza, że aby zajechał tylko do Paryża to porzuci, wszystko to trzeba będzie najskrupulatniéj roztrząsnąć jak lepiéj, jak taniéj, obrachować koszt poczty na siebie, na człowieka i rzeczy, i czyli nie lepiéj będzie za to kupić wóz mocny kryty i konie, nie zapominając o wyżywieniu przez drogę koni. Ja rozpytawszy się dokładnie napiszę instrukcje, i przyślę do użytku Papie najukochańszemu. Czyby niemożna wydobyć z szafy Maurycego z Warszawy plan na wielkim arkuszu, który ja zaraz po nocy 29 listop. narysowałem, a bez którego nie można dokładnie opisać poruszeń wojskowych. W liście Klimeczki dowiaduję się że Tymek [1]) jest w wielkich zamysłach, sam pisze, że kupuje kocz i cztery konie, i że jedzie starać się o jakąś Duchesse. Szczęść mu Boże, tylko żeby się nie potknął na téj śliskiéj drodze. Czy w Polance nie ma żadnych wiadomości pewnych o tém co sądzicie w Warszawie? Czy to prawda że Wysocki umarł po amputacyi nogi? jeżeli są o nim jakie wiadomości, czekamy na nie z największą niecierpliwością. Rozumiem że Papa zbiera troskliwie materiały do opisu czasów ostatnich, i że sam pracuje nad historyą rewolucyi, nikt tego tak dokładnie nie dokona jak Papa. Ja troskliwie pracuję nad częścią strategiczną, ale wiele mi jeszcze brakuje objaśnień i faktów, które potrzeba zbierać po gazetach, po raportach, czego tu wszystkiego nie ma i nie będzie, póki ktoś w Polsce wyszukaniem tego się nie zatrudni i nie przywiezie. Relacią sądową w sprawie jenerała Jankowskiego i Bukowskiego, któréj tylko trzy egzemplarze wyszło na świat, bo resztę Krukowiecki kazał spalić, pożyczyłem na dwa dni przed kapitulacyą Warszawy kasztelanowi Bieńkowskiemu. Prosiłem Klimeczki

---

[1]) Brat najmłodszy.

aby ją *coute qui coute* odebrała i przysłała do Paryża, albo Papie oddała, to jest ważny autentyk i potrzebny do historji. Co się téż dzieje z wojskami które wstąpiły na ziemię Galicyjską? Gdzie się podziało takie mnóstwo oficerów, czy powrócili do Polski? Jakie pułki znajdują się jeszcze w Austryi, a które wróciły? Czy wielu jest oficerów we Lwowie, i Piotruś Mochnacki czy wrócił już do matki? Stryjaszek i synowie jego gdzie się teraz znajdują? Na co wszystko spodziewam się znaleść odpowiedź w pierwszym liście, który przyjdzie z Polanki, a szczególniéj o zdrowiu najdroższéj mamy, która koniecznie swoją własną ręką o tém nam doniesie. Proszę cioci Zosi pisać jak najobszerniéj, jak najdłużéj, co porabia, na czem całe dnie schodzą i wieczory zimowe, i o tym wojażu z Warszawy do Krakowa. Czy nie zazdrości mi Paryża, opery włoskiéj, na któréj teraz jakby umyślnie dla Polaków, zebrali się najsławniejsi śpiewacy i śpiewaczki? Czy nakoniec Klimka Głogowska szczerze postanowiła nic więcéj nie pisać do swojego brata, tylko jak się masz i bywaj zdrów. Ja na to jeszcze lakoniczniéj odpowiem, a odpowiedź tę ciocia za mnie uczyni i pocałuje ją w same oko (jeżeli pozwoli), Olimpkę ściskam serdecznie.

Szanownéj pani Cieńskiej i całéj zacnéj rodzinie zasyłam wyraz mego prawdziwego szacunku.

Kamil.

Przypiski do listu.

a) Bonawentura Niemojewski przyjechawszy do Paryża oddał wizytę Lafayetowi, siedział u niego przez pół godziny, i wyszedł nic nie powiedziawszy oprócz znanego frazesu: „J'ai l'honeur d'étre vôtre ect.“ Nazajutrz dzień Lafayet oddał jemu wizytę, Niemojewski znowu nic nie powiedział tylko: „J'ai l'honeur d'étre vôtre ect.“ Lafayet rozumiejąc, że Niemojewski dla wielkiego żalu i smutku po stracie ojczyzny z ludźmi rozmawiać niechce powróciwszy do siebie z rozrzewnieniem rzekł do swego przyjaciela pana Mercier:

„Je viens d'arriver de monsieur Niemojewski. A, mon ami! quelle tristesse! quelle profonde douleur. Le desâstre de l'infortune Pologne s'expriment sur le visage de son digne Representant! et qui ne dit rien, mon general." Odpowiedział pan Mercier: „Je le connais bien ce digne Representant. Il ne dit rien, parceque il n'a rien á dire."

b) W komitecie prezyduje Lelewel, członkami są Sołtyk i Zwierkowski, Chodźko i kilku innych posłów. Organizacią ogólnych zebrań i wyboru członków komitetu, napisał Lelewel z Maurycym, i ustawy te jednomyślnie przyjęte, są wydrukowane.

c) Tymowski i Wołowski zkąd inąd bardzo szanowni, dali się uwieść Morawskiemu i przeszli pod sztandar kaliskiéj partyi, lecz choć wyznają ich zasady, nie mieszają się do niczego.

List Michała Podczaszyńskiego.

Metz, 21. Stycznia 1832. r.

Wypowiedzieć nie mogę, jaką nam sprawił radość list pański, Maurycemu się zdawało, że się nowo na świat narodził, mnie, że mój ojciec zmartwychwstał; i rzeczywiście jeżeli kiedy zazdrościłem komu szczęścia, to panu D. że masz takie dzieci, a im, że mają takiego ojca. Wiele smutnych szczegółów dowiedziałem się z listu pańskiego, ale smutniejsze wiadomości, wszystkim znajome, musiały we mnie osłabić ich skutek. Dzieliłem dziś radość nieocenionego mi przyjaciela, i z pomyślnych wiadomości z nim się cieszyłem.

Pisze pan, że rozsądny i mądrze przewidujący nadal rząd austryjacki, bynajmniéj nie utrudza korespondencyi Polaków z Polakami. Wierzę temu i w zupełnéj ufności ten list oddaję na pocztę. Wiem bowiem, że tylko *bezduszne* Moskale targają związki przyrodzone lub towarzyskie między ludźmi i naigrawają się z najświętszych uczuć, i karzą rodziców, żony i dzieci, za winy synów,

mężów i ojców. I nic tyle w duszy mojéj nie pragnę, jak żeby Austrya namyśliwszy się kiedy uznała tę niezaprzeczoną prawdę: iż bez Polski nie ustali się nigdy pokoju w Europie, i że nic pomyślności ucywilizowanych państw tyle się nie sprzeciwia, jak owe mocarstwo bez duszy i serca, które w nikim przyjaciela widzieć nie może, na każdego głowę spiski knuje, i różne przybierając maski, nikomu tyle nie szkodzi swoją ambicyą jak Austryi, naszéj odwiecznéj aliantce. We Francyi rzeczy idą najgorszym trybem, lada dzień spodziewamy się wejścia wojsk obcych, sama pora roku temu się tylko sprzeciwia. Wojna na wiosnę jest nieochybna. Filip dla uniknienia jéj wtrącił nas w przepaść, a dziś wygnańców na ziemi przyjaznego nam narodu prześladuje. Bał się wojny, w którejby wyszedł zwycięzcą, i na długie wieki utwierdziłby tron swéj rodziny z zasadami monarchicznemi, i zyskałby popularność w narodzie, który zapomina nawet o swoich niezgodach domowych, gdy idzie o sprawę Polski. Tego naocznym byłem świadkiem po tysiąc razy. Znienawidzona u Francuzów Austrya, ze czcią była wspominana, ilekroć kłamliwy głos dzienników o opiekowaniu się jéj Polską doniósł. A dziś jeśli wojnę wyda Filipowi w imieniu tych samych zasad, które rozbiór Polski zdeptał i zniweczył, jeśli uznawszy swój błąd dawny wskrzesi Polskę; wierz mi pan, że znajdzie we Francyi i Niemczech niezliczonych przyjaciół, upadnie Filip z Mikołajem razem. Francya rządzona dobrze nie lęka się swych nieprzyjaciół. Niemasz walki, w którejby natura sama nie obiecywała jéj zwycięzkiego lauru; ale tak rządzona jak teraz, i tak łudzona przez obcych dyplomatów nadzieją powszechnego rozbrojenia, choć zwyciężyć może zewnątrz, nie uniknie największych nieszczęść, najsroższych kolei domowéj wojny. To co głos publiczny roznosi po Paryżu o projektach drobnéj i wzgardzonéj garstki republikanów, zgrozą przejmuje serce,

wzdryga się umysł na wspomnienie szkaradności, któreby z piekła tylko wydobyć było można. Rząd o tém wie i drzy, sztucznemi i przestarzałemi środkami usiłuje się zabezpieczyć. Nieufność powszechna zabija handel, dręczy umysły przywykłe do innego widzenia rzeczy, śmiech politowania wzbudza w rozsądnych, umysły twarde do fanatyzmu podnieca, słowem widzieć teraz Francyą i porównać ją z Francyą przed 25 Lipc. 1830 r. jest to pojąć dwa wyobrażenia, które abstrakcyjne tylko umysły bez faktów mogą przypuścić. Nie jeden z boleścią serca musi zawołać: dla czego było Karólowi X. gwałcić konstytucyą? ale tak jest i tak być musi. Przeszłość zwrócić ani zmienić nie można. Oby oczy moje nie oglądały, co bliska przyszłość gotuje kochanéj mojéj Francyi!

Rewolucya polska nie jest tu dobrze znana, ale dały się upowszechnić pewne zasadnicze myśli, które lubo intryga jadem fałszu usiłuje ustawnie skazić, znajomość pewnych kardynalnych faktów próżnemi czyni te marne intrygi. Sprawa Leduchowskiego na sejmie o zwaleniu rządu narodowego, jakowymś przypadkiem z największemi szczegółami była ogłaszana w dziennikach niemieckich, a z nich w Paryzkich gazetach. Leduchowski imieniem intrygantów był uczczony, zła i dobra strona naszéj arystokracyi połączyła się przed oczami cudzoziemców afektem. I to jedno prawie podnosi zasłonę polityki Czartoryskiego i Skrzyneckiego, lecz za to dzień niewyjaśnił jeszcze nocy 15. Sierpnia. Jest to forteca, którą zdobyć trudno, i byle Maurycy do reszty dał sobie wyperswadować, że pisząc jak on historią lepiéj zbłądzić jak skłamać, byle wyznał, że i on i jego towarzysze dali się oszukać przez Krukowieckiego, i że Kaliszanie są tylko ludzie nikczemni, ale nie zdrajcy, mniemam, że pokonawszy nieprzyjaciół na głównych strategicznych punktach, łatwo zwycięzkim orężem zdobędziemy całą krainę prawdy, nad którą panowania nie bez racyi za-

4*

przeczają nam nasi nieprzyjaciele. Czartoryski gardłuje za sobą w Londynie, i nie zasypia wieczorów u księżnéj Leaven, która jak mówią rządzi bardzo Graiem. Żona jego w Paryżu, skrzętnie także pracuje chcąc oswobodzić z pod konfiskaty dobra mężowskie. Nie masz obelg jakich nie miota na rewolucyą. Ale cóż, kiedy ja roztrąbiłem po Paryżu rzecz bardzo ważną, o któréj się jeszcze przed rewolucyą lipcową dowiedziałem, a to z najpewniejszych źródeł. Książę Adam Czartoryski przewidując zamieszki w Europie (o co mu było nietrudno gdyż znosił się z malkontentami wszystkich krajów), wziął w Styczniu 1830 na kontraktach kijowskich 4 miliony rubli, tytułem pożyczki od rządu rossyjskiego, a oprócz tego miał długów prywatnych bez miary. Czyż niemam racyi mniemać, że każdy kmiotek polski więcéj stracił przez rewolucyą, jak ten mąż szanowny, który nawet i imie patrioty zyskał, nie mając do niego przedtem żadnego prawa, chyba że mówić będziemy o intrygach jego w celu otrzymania od Aleksandra namiestnikostwa, o intrygach które znam od wielu znakomitych Moskali! Wszystko to w swoim czasie i na swojém miejscu powie się pokrótce, jasno, bez namiętności, i z należytém uszanowaniem. W Paryżu teraz teatr Cirque Olympique wystawia od dwóch miesięcy co dzień bez przerwy sztukę pod tytułem les Polonais, w któréj wszystkie fakta wojenne naszéj ostatniéj rewolucyi obrazowo są wystawione. Teatr ten jest dramatyczno koński, a jego kawaleria szarżuje, strzelają z armat, z karabinów, rzucają bomby, sypią kartaczami. Panna Platerówna ze dwadzieścia razy bije Moskalów na czele swoich ułanów, (szkoda że niezasłużone imie Platerów na tym zyskuje.) Wystawiony jest i pan Joachim Lelewel w jaratacce i czapce rogatéj, z czego niechybnie się rośmiał patrząc z parteru. Le Nonce Lelewel jest żwawy junak z podkasanemi połami, bije się jak lew z Moskalami, a sam

wzrok jego zabija biednego Dybicza. Szarlatany Francuzi inaczéj wielkich rzeczy pojąć nie mogą jak przez trywialne czyny, wszystko u nich powinno być namiętnością. Piękna w nagości swojéj prawda nie wzrusza ich, łagodny i boski promień jéj spojrzenia nie oświeca i nie rozwesela ich duszy, serce ich bije dla Polski, ale rozumieć, co ona jest, znać skromną jéj wielkość, to przechodzi granice ich rozumu. Odradziłem był kiedyś damie jednéj polskiéj, aby nie tłomaczyła na francuzki język pana Podstolego, i sądzę, że tém zrobiłem przysługę krajowi.

Mój długi pobyt w Paryżu był mi o tyle przyjemnym, o ile mógłem niepatrzeć na to co się działo w Warszawie przed rewolucyą. Późniéj chciałem pojechać, ale nie miałem pieniędzy, a z lichą sumą nie śmiałem narażać się na pruskie areszta. Potem i nie żałowałem tego, gdym spostrzegł jakiś magowski patriotyzm panujący w Warszawie, gdym widział, że ta wielka myśl całéj naszéj historyi „niemasz Polski bez Litwy, ani Litwy bez Polski" choć nie była obcą naszym panom, nie mogła jakoś stać się duszą ich myśli wszystkich. Pewny byłem upadku naszéj sprawy, choć o tém w druku nie pisałem. Umysł mój tak był niespokojny, że często kilka myśli związać nie byłem w stanie, a gdy przyszła wieść o klęsce 7 Września, ani płakałem, ani się smuciłem. Owszem odetchnąłem.... bo mam ślepą wiarę od dawna, iż nie sobie samym, ale innym mocarstwom winni będziemy naszą niepodległość; że się nasi nieprzyjaciele muszą o nas pokłócić; że despotyzm mądry i systematyczny Austryi nigdy nie potrafi żyć w zgodzie z szalonym i najmniejszéj korzyści nieprzedstawiającym ludowi despotyzmem moskiewskim rządzonemu. Gdybym był w Warszawie, pewnobym był czynnym w rewolucyi a wtenczas... ale z daleka patrząc bezczynnym wolno było tak myśleć, wolno i błądzić. Żyłem samotny....

Wspominasz pan w swoim liście o Revue de deux mondes; miałem niejaki udział w jego redakcyi, i podług materiałów bardzo nielicznych skreśliłem w niéj obraz naszéj rewolucyi do nominacyi Skrzyneckiego. To pismo podobało się publiczności z oryginalnego jak mówiono ducha. Przyszlę panu jak się zdarzy sposobność. Prócz tego przez cztery miesiące pisałem artykuły o Polsce do dziennika *Temps*, który prócz przychylności do Polski nie miał czystego ducha, a potem zupełnie spłowiał z najpiękniejszego jakim był przed rewolucyą. Więcéj pisać o Polsce pewno nie będę; bo prawdziwi jéj autorowie są we Francyi. Ale się zawiązało w Paryżu *towarzystwo naukowe tułaczów polskich* do tłomaczenia dzieł polskich i do robienia z nich wyjątków. Ma to być zbiór z 50 tomów. Księgarze funduszy na druk dostarczają. Mnie się dostało zrobić dykcyonarz sławnych ludzi i rys ogólny literatury. Lelewel tak wybrał, ale żąda niepodobieństwa, bo nie mam materyałów dostatkiem. Jeżeli możesz pan przez Kraków zgłosić się do kogo do Warszawy do Leona Łubieńskiego syna jenerała, zechciéj mu przypomnieć, że mi darował eksemplarz *Niesieckiego*, który nieodbicie był, jest i będzie potrzebny w Paryżu. Ja go złożę bibliotece królewskiéj, a więc publiczność cała będzie z niego mogła korzystać. Maurycy bardzo usilnie prosi o pisma, które w swoim liście wyliczył. Co do mnie prosiłbym o dwa numera gazety podobno z miesiąca Maja 1828 r. w którym był mój artykuł: Rozmowa z Lafayetem o arystokracyi w Polsce. Chciałbym go mieć, bo nie mam kopii tylko zły brullion, a radbym czytać przypisek Lelewela, który ma być dowcipny. Porządnie tam schłostałem naszę arystokracyą i rozbroiłem ją w imieniu hrabiego. Sprawę Birbauma mamy w Paryżu, ale tak jak jest tłomaczyć nie można. Radbym, abyś pan obszerniéj tę rzecz wyłożył, suche fakta z akt urzędowych brane wcielił w pismo swoje, całkowicie lub

w części, a resztę do przypisków wpakował. Chciałem to sam zrobić, ale nie wiem wiele drobnych rzeczy do objaśnienia cudzoziemców koniecznych. Pismo to pańskie będzie niesłychanie ważném i interesującém, ale, powtarzam, trzeba ażeby było dłuższe, bo tak jak jest utworzy tylko sporą broszurę. We Francyi zaś księgarz niechce drukować dzieł, które tomu utworzyć nie mogą. Jest to źle, ale oni twierdzą, że broszury nie są dziełami, mało kto je czyta, nikt nie szanuje, giną w przepaści codziennych panfletów. Maurycy odradzając Tymoleonowi, aby nie jechał do Francyi, exagieruje prześladowania, którym cywilni raczéj Polacy, nie wojskowi podlegają. Prześladowania na tém zależą, że niedają Polakom paszportów tam gdzie chcą, i że ogólnie zbyt lichą jałmużnę dostają; bo tylko półtora franka na dzień, kiedy wojskowi biorą żołd podług swych stopni, tak zupełnie jak wojskowi francuzcy. Ale ja sam Tymoleonowi nie radzę jechać, w wojsku umieścić będzie niepodobna tylu polskich oficerów, a jeżeli legią utworzą, cztery razy będzie więcéj oficerów, jak potrzeba.

Ukłon mój jak najpiękniejszy zasyłam kochanéj Pannie Zofii i dziękuję jéj za wzmiankę o mnie w liście do Maurycego. Pannie Olimpii podobnież piękny ukłon zasyłam. Pani Głogowskiéj i Pannie Klementynie moje uszanowanie. Tymolka ściskam. Pisałbym więcéj, ale miejsca już nie mam. Ściskam cię więc serdecznie mój najdroższy Panie! i proszę cię, pozwól mi przez wzgląd na Maurycego zasłać ci jak syn ojcu moje ucałowanie.

Michał Podczaszyński.

Kamil Mochnacki do Maurycego.

Avignon, 27. Lutego 1832.

Mój najukochańszy Maurycku! Opuściłem Paryż bez twojéj wiedzy, twojéj rady i twojego zezwolenia. Widzę zachmurzone czoło i gniewem pałające oko: jaki nierozum, jakie szaleństwo! Lecz niestety, nie zawsze możem być rozumni i nie zawsze jesteśmy w stanie silną dłonią trzymać w pokorze wolę losów i zawziętéj przeciwności. Rozumiałem, że się już nie rozstaniemy po tylu niebezpieczeństwach, po tylu wspólnie przecierpianych nieszczęściach, po tylu niespodziewanych dziwnych wypadkach. Gdyśmy nakoniec stanęli w Paryżu w Hotelu Navarry, sądziłem, że już na przyszłość jedna czeka nas kolej i jedna będzie prowadzić nas gwiazda, gwiazda szczęścia lub nieszczęścia! Marna myśl — płochy sąd — ty na północy, ja na południu — sto mil nas rozłącza, i to dziś, a może jutro, może za godzinę oceany nas będą rozłączać, przedzielać; wtenczas w cóż ty się dla mnie obrócisz! w wspomnienie! w przeszłość! — Jak to? mój Maurycy dla mnie wspomnieniem... tylko wspomnieniem? O nie, zanadto nas wiele łączy stosunków, zanadto mocne powiązały nas ogniwa, abym był w stanie przyzwyczaić się do tego nieszczęścia i tę ostatnią, najboleśniejszą ponieść ofiarę. Wierzę, chcę wierzyć, i mocne, stałe mam przekonanie, że jeszcze z tobą się zejdę i z tobą się połączę, aby się już nigdy nie rozłączyć. Póki to nie nastąpi, cieszmy się i pokrzepiajmy nadzieją. Nie wiem czy jeszcze jesteś w Metz; list ten więc lub dojdzie lub nie dojdzie ciebie, dla tego nie posyłam w oryginale listów od naszych rodziców, które tu odebrałem 25. Lutego, jednakże posyłam dosłownie przepisane. Zrobisz mi największą uciechę, jeżeli mi odeszlesz pierwszy list od Papy i innych osób, które ci posłałem do Metz;

może ty sam co odebrałeś z Polanki, przyślij, zaklinam cię na wszystkie obowiązki. Nie uwierzysz, z jaką rozkoszą odczytuję te listy. Cała to moja pociecha i cała ulga w utrapieniach. Położenie nasze tutaj coraz krytyczniejsze. Zrzucił rząd maskę; już zapadła decyzya, w skutku któréj porucznik nasz powinien się utrzymać za 41 franków na miesiąc. Jeszcze mnie jako tako; bo do mojego stopnia większa przywiązana płaca, ale tylko sobie wystaw, biedni nasi oficerowie niższego stopnia, czyż podobna aby wyżyli za 41 franków? Tu drożéj jak w Paryżu, bo za sam obiad na miesiąc 50 franków potrzeba płacić. Nie wiem, czy ci co pisali z Paryża o mnie i czy wiesz, dla czego wyjechałem. Gdybyś był w Paryżu zemną, możebyśmy się nie dali, ale sam nie byłem w stanie się oprzeć. Lub nieprzyjaciele tę sztukę wyrządzili, lub téż losy się sprzysięgły na moję swobodę, któréj używałem po waszym wyjeździe w moim ciemnym pokoiku; to jednak pewno, że les autorités locales paryzkie żywo mi już dokuczać poczęli. Kazano mi najprzód zgłosić się po paszport wolnego pobytu w mieście. Poszedłem na policyą; tam mi powiedziano, że policya miejska oficerom polskim nie daje paszportu wolnego pobytu i że do sztabu głównego oń zgłosić się trzeba. Odpowiedziałem, że do sztabu nie pójdę, ponieważ sam cywilny, z władzą wojskową nic mieć nie chcę do czynienia. Powróciwszy do siebie, zastałem już list od pana Gazana, szefa sztabu, w którym bardzo grzecznie uprasza, abym się stawił do sztabu. Odpisałem panu Gazanowi, że jeżeli prywatny ma do mnie interes, to wie, gdzie mieszkam, bo list do mnie adresował; jeżeli zaś urzędowy, to mnie powinien zawiadomić w sposób urzędowy, abym wiedział a quoi s'en tenir. Niedługom czekał; zaraz nazajutrz odebrałem urzędową inwitacyą i poszedłem do sztabu. Szef sztabu

z uprzejmą grzecznością powitawszy mię, prosił siedzieć i taką z nim miałem rozmowę:

G. Vous-êtez donc M. Camil Mochnacki, major polonais?

Ja. Oui M., à vos services.

G. Le ministre de guerre m'a chargé de vous demender M., à quel titre restez-vous à Paris, si vous-êtes un officier polonais?

Ja. Vous me pardonnerez M.! mais je ne comprends pas votre question.

G. Eh-bien M., pas la note que vous voyez (pokazał mi notę), le ministre vous demende pourquoi vous restez ici à Paris, etant un officier polonais.

Ja. Monsieur, votre question, ou la question de votre ministre, me parait bien extraordinaire, si je ne dirais pas drolle; peut-être serait plus convenable pour moi et pour l'honneur de ma nation, de ne pas repondre; mais pour ne pas manquer aux convenences et à la delicatesse, je repondrais, mais je vous previente M., que je le ferai d'autant plus que je parle avec un militair. Vous me demendez donc M., à quel titre je reste à Paris? c'est à dire de quel droit je reste à Paris? où encore autrement, quel droit ont-ils les Polonais de rester à Paris? Eh bien M., repondez-moi le premier, quel titre et quel droit faut-il avoir pour pouvoir rester libre de sa volonté et de ses actions? Est ce bien en France, dans cette France autant vantée par ses institutions liberales et ses grandes idées liberales, qu'on m'adresse une telle question? Il faut donc avouer que la grande pensée et la haute opinion de votre independance n'etait pour nous qu'une illusion qui des notre arrivée dans votre payé est tout-a-fait deçue. Quand à moi j'ai l'honneur de vous dire M., que je n'ai pas d'autres titres et ni des autres droits poure rester a Paris, que les titres et les droits d'un malheureux, qui a perdu momentanement sa

patrie, et qui s'est sauvée sur votre sol, fuyant l'oppression et le vengeance d'un sauvage Tiran. Je ne veux pas des secours de votre gouvernement. Je ne suis pas venue mendier votre pain, je ne veux pas prendrè des engagements avec un gouvernement, qui n'a pas jamais pensé sincerement avec la Pologne, et qui s'est fletri au temps de notre guerre, de crimes politiques....

G. Vous m'embarrasez M. un peu par ce langage, vous-êtez un militaire, vous conesez bien ma position..... Nous autres, nous ne sommes que les executeures des ordres des nos autoritées. Mon devoir me prescrit de se tenir dans des droites limités de l'obeisance, je ne fait donc rien de ma propre volonté — je respecte votre malheur, mais cela n'empêche pas de vous repeter que le ministre a droit de vous démander si vous voulez servire dans la legion, qui sera composée des militaires polonais, et dont le depôt se forme apresent à Avignon?

Ja. Je vous ai dit M. que jusqu'a un certain temps, je ne peux pas entrée en aucune service.

G. Vous aurez donc la bonté de fair une déclaration par écrit.

Ja. Très volontier.

Napisałem, że nie chcę i nie mogę wchodzić w służbę wojskową w obecnym czasie, podpisałem i dałem mu. Przeczytał i oddał mi, mówiąc:

G. Il ne s'agit pas de cela M., vous aurez la bonté de faire une autre déclaration. Vous ecrirez, que vous renoncez au grade, et que vous ne voulez pas servire dans la legion pour apresent et pour l'avenir.

Ja. Comment je dois renoncer au grade que je possede au prix de mon sang. Renoncer au grade, dont m'a doné ma patrie? O Monsieur, ne vous degradez pas par de telles demandes, ou je cesserai de croir que je suis en France, que je parle avec un Français....

G. Mais M., vous vous trompez sur moi. Soyez en

sûr que je vous veux tous le bien et tous le bonheur que votre malheur mérite, je sent que votre position est bien penible, mais que faire, il faut pourtant se decider.

Ja. Je ne me decide à rien, j'ai besoin de quelques jours pour refléchir. Mais soyez sûr que jamais je ne renoncerais à mon grade, ni je me vendrai à votre gouvernement.

Wyszedłem, i od tego czasu co dzień lub w sztabie, lub u komendanta miasta takie zjadałem przysmaki. Co dzień prawie przychodzili policyanty po paszport wolnego pobytu; a tu o paszporcie ani słychać. I byłbym nakoniec wybiegał sobie pozwolenie, ale dowiedziałem się, że przeszło 500 oficerów już do Awinionu się zebrało. Nie sądząc przeto za dobre, być wtenczas w Paryżu, kiedy wszyscy moi koledzy i całe prawie rycerstwo w Awinionie. Wziąłem rozkaz i opuściłem Paryż. Miałem jeszcze i inne, daleko ważniejsze powody do tego kroku; ale tych papierowi nie powierzę. Opowiem, jeżeli się kiedy zejdziemy; a teraz czytaj list Papy, Mamy, nie opuściłem ani jednéj literki.

Kamil.

Maurycy Mochnacki do Matki.

Metz, dnia 4. Marca roku 1832. Place de chambres. Hôtel de Victoire.

Kochana Mamo! Już cały miesiąc upływa, jak pisałem z Metz do Polanki, przez Wiedeń, Wadowice, pod adresem pani Cieńskiéj, któréj i teraz miło mi jest posłać wyrazy najtkliwszéj wdzięczności, że zacnym Rodzicom moim w losie przeciwnym podała tak gościnną i przyjacielską rękę. Trzeba na to nieszczęścia, żeby dwa ogromne listy moje, zawierające tyle szczegółów, nie doszły. Tém bardziéj mnie to zasmuca, że listy Kamila z Paryża dochodzą, azatém zdawaćby się mogło,

że on odemnie troskliwszy i pilniejszy w pisaniu do Mamy, na co ja się żadną miarą nie zgadzam. — Ten Kamil niepoczciwy, bez mojéj wiadomości, nie napisawszy nawet do mnie, z Paryża pojechał do Awinionu, gdzie dawniéj papieże mieszkali; z Awinionu napisał do mnie list, który Mamie posyłam. Przyzwoicie wyłajałem go za projekta o Ameryce i myśli o *kabankach* nad rzeką Orynoką, które mu niekiedy do głowy przychodzą. Obawiam się jednak, żeby rzeczywiście tego do skutku przywieść nie chciał, tém bardziéj, że kiedy ja go upominam i powagą starszego brata nastaję, on w to bije, że jest starszy stopniem odemnie, bo ja porucznik, a on major wojsk polskich. Cóż robić, moja Mamo, z tymi młodymi ludźmi. Proszę jednak i Mamy i Papy i ciotki Zofii, a szczególniéj panny Klementyny, żeby listem z Polanki, Kamila od tego projektu wojażowania po nowym świecie odwieść raczyli.

Już drugi miesiąc w Metz siedzę z Michałem. W Paryżu nie mógłem tak spokojnie pisać o rewolucyi naszéj, jak w tém dobrém i przyjazném mieście, gdzie wszystkie nienawidzące siebie na wzajem stronnictwa polityczne w tém tylko są zgodne, żeby Polaków kochać i poważać. Nic grzeczniejszego na świecie jak Francuzi w ogólności, ale Francuzi w Metz są wzorem dobroci, gościnności i patryotyzmu. Michał ma tu charakter urzędowy jako delegowany z komitetu centralnego Lafayetta; ja zaś bez żadnego charakteru dyplomatycznego, dla tego tylko w Metz zostaję, żebym był razem z Michałem, którego zawsze kocham, bo poczciwy chłopiec, wreszcie dla tego, żeby w Paryżu nie kłócić się z różnemi szczątkami rewolucyjnych partyi, które mnie znudziły i pisać mi nie dozwalały. Nie masz ani jednego znakomitszego domu w Metz, któryby nas obudwóch ciągle nie zapraszał, to na obiady, to na wieczerze, to na bale. — Co do obiadów i wieczorów wszędzie bywamy, a na balach

nigdzie, bo nie wypada takim emigrantom. Jak w całéj Francyi, tak i tu są patryoci, to jest republikanci, *juste milieu*, to jest wybrani rządu; urzędnicy, generałowie i t. d., a nakoniec Karliści, to jest przyjaciele Karola X. i Henryka V. Pierwsi chcą wojny z całym światem, drudzy chcą wiecznego pokoju, trzeci chcą Burbonów, a wszystko dla interesu. Pierwsi rozumieją, że Wagram otworzy szerokie pole ich talentom, drudzy myślą, że wojna przywiedzie ich do ubóstwa, bo mają do stracenia i urzędy i majątki, naostatek Karliści chcą Karola X., Jezuitów, pieniędzy i urzędów. Możeż być zgoda między tymi ludźmi? Lecz to nas bynajmniéj nie obchodzi; my ze wszystkimi żyjemy w zgodzie, w istocie zaś najmocniéj sprzyjamy republikanom, nieprzyjaciołom rządu i Karola X.; bo jeżeli kiedykolwiek Polska ma egzystować, to pewnie nastąpi w skutek powszechnéj wojny, a w tę wojnę nikt nie uwikła Francyi, tylko republikanie, którzy są silniejsi, jak się komu zdaje, bo mają lud za sobą. — Pyta mi się ciocia Zosia, co ja sądzę o damach francuzkich. Są równie przyjemne i uprzejme jak Polki, ale nie są tak piękne. Co do innych zalet, na to niech Michał i Kamil odpowiedzą, bo oni lepiéj jak ja znają charaktery dam francuzkich. Domy w których często bywamy, są najpierw pani Buchot, pani Walat, pani Dornes, pani Bardin, pani Gonial, Soyo, Genira i Poltier, który był w Polsce, i bardzo jeszcze wiele osób znakomitych. W Metz zabaw takich jak w Polsce nie ma; nie ma takiéj wesołości. Tańce są bardzo wytworne, ale nudne, bo jednostajne i nie bardzo podskoczne: Kadryl, Menuet, Anglez. Wieczóry rzadko kiedy tańcujące, najczęściéj tak tu jak w Paryżu, albo prowadzą dyskursa polityczne, albo grają na fortepianie i śpiewają, albo grają w karty i nudzą się śmiertelnie. Obiady nieznośnie długie, ale w Metz jeszcze dłuższe jak w Paryżu: od godziny piątéj do dzie-

siątéj trwają; sam obiad składa się z kilkunastu potraw, a desser z drugich kilkunastu; wytworność kuchni francuzkiéj daleko przechodzi niemiecką. Ja jednak wolę naszą polską, bo nie jest tak rozmaita. — Jednego razu w Paryżu wszyscy redaktorowie dzienników (prócz Karlistowskich i juste-milieu paryzkich) i wszyscy członkowie *marquants* oppozycyi w Izbie dawali wielki polityczny obiad, na który zaprosili Lelewela, Gurowskiego, Chodźkę i mnie; Lafayette prezydował. Dla czego nikogo z Niemojewskich partyi nie prosili, tego nie wiem; to jednak pewna, że to była sławna uczta, bo o niéj wszystkie gazety francuzkie, a z francuzkich angielskie, a z tych niemieckie szeroko pisały. Lafayette jest to miły starzec, nie tak nudny jak Niemcewicz, ale jak on, już bez żadnéj energii; daleko tylko większy polityk, większy dworak, wzór niewypowiedzianéj dobroci i przyjemności. Byłem u niego w domu kilka razy z Lelewelem i Romanem Sołtykiem, którego bardzo kocham i z nim razem pamiętniki moje wydam. Gdyby nie burzliwe umysły emigrantów naszych, gdyby nie częste pojedynki, od których trudno się wykręcić, byłbym nie wyjechał z Paryża. — Jenerał Bem, tęgi żołnierz, ale nie polityk; przyjechawszy do Paryża zrobił porządne głupstwo; zdawało mu się zapewne, że jest w głównéj kwaterze Skrzyneckiego! Napisał list pełen impertynencyi i do Lelewela i do komitetu. Ubliżył wielu oficerom, między innymi i mnie i Kamilowi. Nie żartem tedy ja i Kamil poszliśmy do hotelu Bema, a nie zastawszy go, napisaliśmy do niego list u portiera, jeszcze niegrzeczniejszy, wyzywający go na pojedynek. Toż samo uczyniło przeszło 25 oficerów. Bem nazajutrz wszystkich nas przeprosił i wyjechał z Paryża. Sekundanci jego mówili, że cierpi czasem pomięszanie zmysłów. — Łubiński pojedynkował się z Tańskim, Gurowski Adaś z Morawskim, Leduchowski z młodym Gurowskim i t. d., a wszystko za opinię po-

lityczną. Szczęściem kula rozumniejsza od nich, nikogo nie zabiła i nie raniła. Skutek naturalny każdéj emigracyi. Taką jak nasza, jest także emigracya włoska, hiszpańska i portugalska. Nieszczęścia umysłów nie ostudzają, nie mitygują, ale je owszem rozjątrzają. Jeden drugiemu przypisuje upadek kraju, wtenczas, kiedy go już nic uratować nie może. Jeden drugiego obwinia, chociaż wszyscy winni. — Tak zwani arystokraci polscy obwiniają Kaliszanów; Kaliszanie rewolucyonistów; rewolucyoniści Kaliszanów i arystokracyą, to jest: Skrzyneckiego i Czartoryskiego. A ja utrzymuję, że wszystkie trzy partye zawiniły, *bo wszystkie trzy były słabe.* Ja do żadnéj nie należę, mnie wszystkie prześladowały i obgadywały. Ja wiem tylko, że kiedy one się wodzą, ja tymczasem piszę. I tak je wystawię nie tylko przed współczesną Europą, ale i potomnością jak zasłużyły. Co do mnie niechaj ludzie jak chcą mówią, nikt jednak nie odsądzi mnie od tego, że w gruncie rzeczy zawsze miałem racyą. Chciano mię zabić, kiedym powstawał na Chłopickiego. A w kilka tygodni przekonała się cała Polska, że dyktatura niezmiernie zaszkodziła narodowi zwłoką czasu, bo nie korzystaliśmy z chwilowego osłabienia Rossyi, a gdym wrócił z prowincyi do Warszawy, na rękach mię noszono nazywano prorokiem. Cóż to pomogło? Po upadku dyktatury Sejm, większość w Izbie począł bruździć. Powstawałem w pismach publicznych na Izbę, czegoż się można było spodziewać od Izby, którą albo Małachowski z Leduchowskim albo Niemojewski rządził podług upodobania, która wszystko czyniła po niewczasie. Z początku gniewano się na mnie, żem powstawał na Izbę, w końcu atoli przed nocą 15 Sierpnia generałowie Horodyski i Skrzynecki dzielili ze mną to zdanie, że z Izbą *à la Cromvell* postąpić należało. Namawiałem do tego Skrzyneckiego, ale nie jego to głowy robota. Dzielnie się bił pod Dobrem, pod Ostrołęką; ale żadnéj nie ma

politycznéj edukacyi. Ksiądz Puławski dowiedziawszy się o tych moich stosunkach i projektach z Skrzyneckim, myślał że ja za pomocą arystokratów dążę do władzy, i tylko com nie padł tego mniemania ofiarą w nocy 15. Sierpnia. Żeby nie poczciwy Jędrzy, który jak mama pamięta służył u mnie przed rewolucyą, byłbym pewno zginął téj nocy albo następnéj. Po upadku arystokracyi kaliska partya opanowała władzę pod Krukowieckim, i wszystko uczynić mu pozwoliła, czego tylko trzeba było do oddania Warszawy w ręce Moskali. Powstawałem na Kaliszanów. Cóż ztąd za korzyść? Oto Chrzanowski chciał mię wydać Paszkiewiczowi, a Krukowiecki rozstrzelać kazał. Prawie cudem uniknąłem tych niebezpieczeństw. Jeżli znowu będzie kiedykolwiek rewolucya w Polsce, z daleka będę patrzył na nią. W tym jednym roku przeżyłem długi wiek doświadczenia, i z bliską widziałem ludzi. W tym jednym roku zestarzałem się za młodu, a historya moja nie jednemu zdałaby się bajką wymyśloną dla dzieci. Lecz wierz mi mama, że te wszystkie kłopoty, polityczne namiętności, nieszczęścia prywatne i publiczne za nic ważę, zapominam o nich, ile razy pomyślę sobie, że Mama jesteś zdrowa, że Papa w bezpieczném schronieniu się znajduje. Martwi mię tylko i niepokoi Klementyna [1]). Czemu ona nie chce pojechać do Żułkwi? Boże! oświeć radą swoją tę kobietę. Niechaj jéj Mama napisze, że ją nie będziemy kochali, jeżeli nie postara się o to, żeby wyjechać mogła z téj przeklętéj Warszawy. Teraz proszę kochanego Papę, żeby miał na względzie następujące słowa moje. Od przybycia do Francyi ciągle pracuję nad pismem o rewolucyi, do téj chwili rękopism mój już jest tak wielki, że go ledwo na 20. arkuszach druku zmieszczę. Pismo to albo ku końcowi Maja albo w połowie Lipca zacznie się druko-

[1]) Siostra.

wać w języku francuzkim. Jeżeli będziemy mieli z Sołtykiem tyle pieniędzy ile trzeba, to zarazem i po Polsku w Paryżu druk się zacznie. Ale mi wiele jeszcze rzeczy braknie. Wszystko co piszę, piszę z pamięci, która mi nie zawsze wiernie dostarcza tego co trzeba do skreślenia całego obrazu. A zatem o co już w pierwszych listach prosiłem Papę to znowu jego względności zalecam. Potrzeba mi konieczuie i nieodzownie następujących materyałów:

Najprzód, broszurka pod moim imieniem wydana w początkach rewolucyi. Powtóre, dziennik powszechny od 15 Sierpnia do wzięcia Warszawy. Przez ten czas albowiem dziennik powszechny był moim organem. Cóż bym za to nie dał, aby można zebrać cały komplet tego dziennika od początku rewolucyi do końca! Nie podobna, żeby tego dokazać nie można we Lwowie albo w Warszawie za pomocą K...... albo Jana Henryka Sagatyńskiego albo Lelowskiego, gdyby się Klimka do niego o to udała. Dla mnie byłby to skarb nieoceniony. Czyby o to stryja nie można obligować? Po trzecie, cały kurier polski. Dla szczegółów, dla rozkazów dziennych nieoceniony materyał. Poczwarte te numera gazety Staats-Zeitung, które zawierają raporta Dybicza, raporta Paszkiewicza, artykuły jakiekolwiek dotyczące naszéj sprawy. Miaskowski wziął w opiekę swoję rękopism mój drugiego tomu dzieła o literaturze polskiéj. Proszę tedy Papę o przesłanie mi tego rękopismu i kilka eksemplarzy pierwszego tomu o literaturze. Klementyna zna Miaskowskiego. Nie wiem jakim sposobem Papa przyśle mi to wszystko? czy przez okazyą, czy deliżansem, czy rularzem? To pewna jednak, że bez tego nie dam sobie rady. Bardzo wiele zależy nam na wydaniu tego pisma. Konekcye moje we Francyi są takie, że jeżeli wyjdzie z druku, pewnie całą Europę przebiegnie. Pisze Papa o plotkach, o potwarzach na rewolucyą miotanych. O! nie

to co bają, plotą albo szykanują w Galicyi, w Krakowie, w Warszawie, ale to co my tu, a raczéj co ja tu w Paryżu powiem o rewolucyi polskiéj, to będzie miało swoje europejskie znaczenie, prawdę i odgłos. Niechaj będzie sto razy więcéj plotek i potwarzy, my na to mamy wyśmienite lekarstwo. 1000 dzienników, opinią Europy co dzień nastrajających, jak nasz dziadunio w Bużańcu zegar swój nad kominem nastrajał codziennie. Że których błąd uwodzi, albo sumienie za złe sprawy niepokoi, sądzą może, że teraz tak będzie jak po rewolucyi Kościuszkowskiéj, że i cnoty i błędy i zdróżności milczenie ze strony emigrantów polskich, a obojętność ze strony opinii ludów zasłoniły. Bardzo się mylą. Pierwéj nikt nie pisał, a teraz kto może to pisze, a to co napiszemy będzie czytane. Z nocy, z zaczajenia ukryte wypłyną na jaw sprawy. Potwarcy i plotkarze zawstydzeni będą, a co gorsza umilkną pod kolosem opinii powszechnéj, któréj oszukać nie podobna. Tego wymaga honor sprawy narodu polskiego. Najusilniéj proszę Papę żeby się zajął przysłaniem tych materyałów do Metz pod adresem: A Monsieur Dornes Avocat, Place d. Louis No. 36. Jeżeli z Metz za parę tygodni pojadę do Paryża, Dornes mi to przyśle do Paryża. Listy do mnie w Metz najlepiéj pod imieniem Michała adresować: Place de Chambrea. Hôtel de Victoir. Niecierpliwie ich oczekujemy.

Maurycy Mochnacki.

Michał Podczaszyński do matki Maurycego.

Metz, 6. Marca 1832.

Dwa listy od państwa odebraliśmy, nie wiem czy to wszystkie, ale widać, żeście dwóch naszych nie odebrali, ostatni zwłaszcza z Metz był bardzo obszerny i z ró-

żnemi szczegółami. Jaką nam radość sprawują wasze listy, nie potrafię tego wysłowić. Niebo błogosławi wam i niejedna familia może wam zazdrościć. Cała familia prócz kochanego Łosia z największych niebezpieczeństw ocalała. Porąbani... pokłuci... postrzelani... wygnańcy nakoniec bez pieniędzy, ale dzięki Bogu zdrowi, i nie opłakujecie straty niczyjéj. A wewnętrzne uczucie daje każdemu z was najpiękniejsze świadectwo, i za szczęście prawie każe poczytywać z całym narodem prześladowanie. Ach jak jest wielki ten naród polski, upokarzać się musi umysł przed nim, dawniéj szczęśliwe powodzenie laury odbierało, a dziś niedolę. Niemcy z grobów powstają. Co żyje, idzie cześć oddawać Polakom, ich przyjaźń jest dla nas raczéj szałem jak uczczeniem. Dziwy tu z wygnańcami wyrabiają. Ameryka północna i południowa szle haracze swoje wygnańcom. I wyspy na oceanie spokojnym nie zapominają nawet o nich i zewsząd brzmi chór uwielbienia. Co to będzie jak cudem jakim nasi opiekunowie pokłucą się i wskrzeszą Polskę? w tém jedném mam tylko nadzieję. Na Francyą nic nigdy nie rachowałem i nie rachuję; bo choć ten rząd upadnie, choć Filip uciecze do Ameryki, gdyż już co miesiąc szle miliony zawczasu, choć naród ten odzyszcze swoją godność, czy czas będzie staczać wojnę po stracie tak silnéj podpory jak była Polska? Zostaje nam tylko albo wyrzec się nadziei, albo w urojeniach pociechę znajdować. Wolę urojenia. Rząd francuzki jest naszym wyraźnym nieprzyjacielem. Ale my mamy naszego alianta w całym narodzie. Żadna niesprawiedliwość tak go nie oburza jak barbarzyńska zniewaga najniewinniejszych i najpopularniejszych uczuć jego dla Polski. Cieszyć się więc trzeba raczéj niżeli smucić z prześladowań Polaków we Francyi. Prześladowania te są zbyt małe obok najgorętszego entuziazmu całego narodu, a tę korzyść przynoszą, że do reszty zabijają rząd. Całe

miasta w Lotaryngii, Burgundyi, Delfinnii i Provancyi wychodzą na spotkanie naszych obdartych wygnańców. Zewsząd się wznoszą przekleństwa na rząd bezbożny, i przy witających okrzykach: Niech żyje Polska! sztandar dwukolorowy obok trójkolorowego powiewa w miastach i wsiach. Gwardye narodowe w szeregach cześć oddają, strzelają z armat i śpiewają marsylijskiego marsza. Dziewczęta w białych sukniach rzucają kwiaty pod nogi Polakom, a to wszystko dzieje się mimowolnie, bez przygotowania bez namysłu. Coby to było, gdyby jeszcze dyrekcya jaka nadana była tym protestaciom przeciw zbrodniom Filipa?

Filip i cała rzesza oprawców Polski zgrzyta zębami na taki widok; chciałby ale nie może oprzeć się, jest bezsilny, razi go ten blask, ustępuje przed nim, ucieka się w najochydniejsze jaskinie, z których może bezpiecznie szkodzić nam. Wypędza tych co są w Paryżu, odmawia paszportów innym. Usiłuje posłać kogo może do Algieru na rzeź. A teraz postanowił, aby nie dawać więcéj oficerom polskim żołdu oficerów francuzkich, ale tylko w stosunku 500 franków na rok, to jest: żeby najpierwszych nawet potrzeb zaspokoić nie mogli; bo sam stół w Avignon wynosi na osobę w stósunku 720 franków na rok. Z tego wszystkiego bardzo się cieszę, długo to nie potrwa. Ministerium upadnie, a wojna na wiosnę jest prawie niewątpliwa. W Paryżu było ostatnią razą 180 Polaków utrzymywanych kosztem komitetu centralnego. Teraz wszyscy musieli się rozjechać, prócz wybranych pięćdziesięciu. Bo pieniędzy już zabrakło komitetowi. Wojskowi jadą do Avignon, Besançon i Lunel. Cywilni do Chateauroux, Tuluzy, Bayony, Bordeaux, a najwięcéj rozjeżdża się po wsiach do domów prywatnych. Ja mało się z tego nie smucę, owszem przedstawiałem zawsze komitetowi że przyjdzie kryzys; lepiéj było dawniéj wysyłać ich do depot, żeby brali pieniądze

od rządu, a tylko im cokolwiek dodatków płacić. Teraz mądry Polak po szkodzie, oszczędzają kiedy goli. Co téż tu się działo w Paryżu, kiedy tyle było Polaków. Plotki, komeraże, łajania, potwarze, czuby, pojedynki, słowem same brudy i brudy. Przyjechawszy tam z Metz na trzy dni tylko, szczęśliwie wyprawiłem z téj paszczy Maurycego. Teraz pracuję sobie spokojnie, wolny i niepodległy, i błogosławi mię za to. Źleś Pani wyczytała w Constitutionnel, że my jesteśmy w komitecie. Była to lista członków towarzystwa naukowego tułaczów. To towarzystwo upadło i rozwiązało się, a my już nie jesteśmy członkami. Komitetów polskich w Paryżu jest dwa. Jeden centralny pod prezydencyą Lafayetta; złożony z samych bałwanów członków izby z lewéj strony i z dziennikarzy. Polaków w nim niemasz. Drugi pod prezydencyą Lelewela, ma tytuł narodowego; obrany jest przez Polaków bawiących w Paryżu i zgromadzenie swoje miewających. Członkami jego są: Zwierzchowski, Chodźko, Węgrzyn, Kraytsir, posłowie litewscy Hłuśniewicz, Przeciszewski, Putkiewicz, tudzież dwaj klubiści, krzykały, intryganty, zawieruchy, Adam Gurowski i Krępowicki, tak zwany Katonem polskim, z powodu sposobu mówienia powabnego, czułego i tchnącego niby to miłością ojczyzny. Roman Sołtyk był także, ale się odrzekł wszystkiego, i teraz czas podziela między pracami nad historyą rewolucyi i miłostkami, których ma bardzo wiele, według dawnego zwyczaju. Na jego miejsce wszedł do komitetu Erazm Rykaczewski. Lelewel z klubistami do ładu trafić nie może; tak mu stanęli kością w gardle swemi intrygami, że twierdzi, iż w Warszawie nie miał tyle zgryzot. Gurowski okulbaczył był Maurycego, korzystając z jego talentów i zdolności i wszędzie go na sztych wysadzał. Maurycy dobry jak anioł, zbyt towarzyski, nieumiał się odczepić od niego i chcąc nie chcąc brnął z nim razem. Dopiero kiedy do Metz wyjechał, nikomu

nic nie mówiąc; wszyscy się zdziwili, a Gurowski do wściekłości przyprowadzony, najhaniebniejsze kłamstwa na niego rozsiewał, a będąc w stanie zaszkodzenia mu, to intrygami swemi zrobił, że go pozbawił funduszu utrzymania się. To dopiero przekonało Maurycego, że Gurowski wcale nie jest szlachetny; boję się jednak, żeby się z nim znowu nie pobratał jak przyjedzie do Paryża. Krzywda, jaką mu ten podlec wyrządził, z największą łatwością da się naprawić, śmiejmy się z tego. Nigdy ja tego człowieka nie lubiłem. Bez planu w działaniach, bez zdania o ludziach i rzeczach, nic nie ma stałego, wszystkiego żąda czego nie masz, a że wiele rzeczy nie masz, więc się czasem zdaje, że ma racyą, ale dobréj rzeczy nie żąda dla tego, że dobra, tylko dla tego, że jéj nie ma, jak prędko chwyta, tak prędko porzuca, do żadnéj myśli stale się nie przywięzuje, w żadném żądaniu wytrwać nie może, bredzi, tumani, poniewiera wszystko, czego najlepszego się tknie, to znikczemni i spodli w swoich rękach. Namiętności jego zapalone nie wiodą do niczego dobrego, szlachetnego, ani rozumnego. Jedném słowem, właściwsze mu miejsce w kozie, lub u Bonifratrów, jak w radzie. Obecność jego i Krępowickiego w komitecie hańbi ten komitet w oczach wszystkich prawie wygnańców. Oficerowie tędy przechodzący ciągle mi to śpiewali.

Ja tu wysłany zostałem przez komitet centralny. Komitet narodowy przysłał mi upoważnienie do działania w jego imieniu. Komitet w Metz jest najrozumniejszy ze wszystkich. Sam jeden potrafił oszczędzić i przesłać na sprowadzenie żołnierzy 16,000 franków. Prócz tego zawiązał się tutaj komitet dam, który już kilkunastu oficerom uszył najpiękniejszą bieliznę i jako prezent od sióstr ofiarował. Teraz gotuje 1600 koszul, gatek, chustek i szkarpetek, dla tych, co szli przez Sztrażburg. Kiedy gdzieindziéj z wydatkiem kassy komitetowi się

uszczuplają, tu w miarę ubytku przybywa, tak, że może jeszcze ze 30,000 posyłamy dla Maćków. Na sesyach komitetu dam, żaden z mężczyzn, prócz mnie i Maurycego nie może bywać. Po sessyi dopiero przychodzą mężowie i bracia. Pani Bauchotte, prezydentka, zasiada z Maurycym do fortepianu, toż czynią i inne członki, tak iż posiedzenie wcale nie bywa nudne, a talent Maurycego jest jednozgodnie uwielbiany. — Maurycek zawsze charmant, teraz zrobił się wielkim elegantem. Zawsze uczesany, ogolony. Ja mu chustkę zawięzuję, ja mu większą połowę faworytów i podbrodek obcinam. Do niepoznania chłopiec; zawsze wesoły, gadatywus, a nadewszystko kochany. Rzadziéj się z sobą kłócimy jak dawniéj, bo niemało ostygł, sprzeczamy się często, ale i zgadzamy często, daje sobie każdą rzecz wytłómaczyć, słowem, odmienił się. Ma on tu słabość do jednéj osóbki, panny Klementyny S...... Wypiera się, kłamie, ale ja mam wprawne oko. Gdyby to nie on, pewno przyszłoby z nami do rozprawy, bo panna bardzo piękna, najczulsza ze wszystkich Francuzek, a gra na fortepianie z taką duszą, że pan Maurycy w głowę zachodzi. Nic piękniejszego jak sobie zaczną komplementa prawić. — Ah, jak pan grasz! mówi panna. Ah, pani! to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Pani czarujesz swoją grą.... — Panna się wypiera, kawaler toż samo, a my drudzy patrzymy tylko i czekamy, aż oboje zasiędą do fortepianu. Panna niesłychanie czuła i ma brzydki zwyczaj wzdychać przy fortepianie, i kawaler się uśmiecha, stara się trącać przez omyłkę — a w końcu z rozognionemi oczami i sentymentalną buzią oboje wstają od fortepianu. Wtedy ja z całéj siły biję w ręce, brawo! brawo! a Maurycy wypiera się wszystkiego. — Chcecież państwo wiedzieć jak wygląda owa panna? Kibić wysmukła, niewysoka, nóżka tak drobna, że ją ledwo widać, rumieniec lekki, na dróbnych ustach dziecinna niewinność igra. Oczy cza-

rowne, wielkie, żywe jak ogień, ale zawsze z daleka od przedmiotu, na który patrzą; swawolna trochę. Ale żę panna lękliwa jak młody jelonek, trudno się jéj przypatrzyć. Cała zaś postać tak jest ujmująca, że sądziłby kto, że to coś wyższego od kobiety. Francuzi się na niéj nie znają. Ja sam nie dostrzegłbym wiele rzeczy, gdyby mię nie wiodło elektryczne światło pana Maurycego, którego pierwszy raz usłyszałem uwielbiającego wdzięki kobiecę. Co to będzie? co to będzie! Onegdaj byliśmy na wieczorze Valetier. — Posyłam Pani drukowany wyjątek z *Courier de la Moselle*. Doczytasz się tam Pani, co świat mówi o Maurycym i o jego panience. Prozą i wiersze do nich się ściągają. Pan Maurycy mści się na mnie i bez względu na to, że ja stary i łysy, posądza mnie o afekta, to jednak prawda, że w tym cieniu prawdy nie masz. Nasza przyjaźń z Maurycym w podziwienie tu wprawia Francuzów, bo u nich tego nigdzie nie widać. Sądzą więc, że to nie musi być bez racyi. A jaka racya! — Oto wypadło mi z dyskursu, że Maurycy ma bardzo piękną siostrę, a to więc jest racyą. O pani Gr.......éj mówić nie wolno!!! A panna Olimpia niech sama powie, czy te podejrzenia są sprawiedliwe. Pan Maurycy tyje, bardzo mu z tém dobrze, kuchnia francuzka tuczy. Wczoraj byliśmy u pani Bauchotte na obiedzie. Lucullus, Cambaures i pan Sagatyński nie wstrzymaliby się od pochwał, tak wszystko było wyborne. Uważam, że panu Maurycemu najbardziéj smakowały ryby morskie. Nakoniec, jaki dano desser i wino Bordeaux! Ostrygi ja go nauczyłem jeść; w Paryżu jeszcze zaprowadziłem go z Kamilem do traktyerni i kazałem dać sześć tuzinów ostryg i trzy butelki białego Burgunda. Kamil trzy ostrygi zjadł i ustał. Maurycy fanfaronował, że je lubi, że je jadał w Wiedniu, co jest farsa; parłem go więc i zachęcałem moim przykładem. Jadł więc, aż mu oczy się wielkie robiły, ale miłość własna przemo-

gła i zjedliśmy oba wszystko co było na stole i zapiliśmy winem dla strawności żołądka, a odtąd Maurycy został amatorem ostryg i tak się zna na nich, że mnie samego zawstydza. Kamil miał w Paryżu romans z panną Klementyną R.... (Na tym padole płaczu same Klementyny my wszyscy spotykamy.) Ona mówiła, że go kocha...., major Tarczyński o tém się dowiedział przed kilkoma dniami, a ja jeszcze pierwéj. Tarczyński się chwali przed Kamilem, Kamil go miał za fanfarona i tylko milczał, a ja z nich obu i z panny się śmiałem. Ale raz przynosi służąca list Kamilowi od panny Klementyny, ten daje jéj czekać, a nas wyprawia. Zaraz mówi służąca, tylko odniosę na górę list panu Tarczyńskiemu. Czyj to był list? panny Klementyny. Złapana tedy została na gorącym uczynku. Ztąd gniewy. Ja na trzy dni wtedy z Metz przyjechałem. Panna skarżyła mi się na niesprawiedliwości tych ichmościów majorów. — Sens moralny: nie wierz Paryżankom. — Takie prawie wszystkie Francuzki. Maurycy twierdzi, że na prowincyi są lepsze, a Kamil wzdycha do Polski. — Żebym nie obraził niczyjéj skromności, nie powiem o czyjéj osobie on najwięcéj myśli. Napróżno Maurycy radzi mu, żeby się ożenił tutaj z jaką bogatą kobietą, a to dla tego, żeby on mógł mieć przy tém małżeństwie pokoik z wygódkami. Kamil jest głuchy na te namowy; a kiedy go znudzi swemi kazaniami, to tak czasem go wyłaje, że ten musi umilknąć. I mnie podobne rady daje.

Proszę nam przysłać dokładny swój adres, żeby listy nasze pewniéj dochodziły. W Topoczyżku koło Wadowic u pana Wilkoczewskiego był w Listopadzie, może jest dotąd, oficer polski Józef Jaśkie....; przed kilku dopiero dniami odebrałem list jego, datowany 9. Listopada. Ma mnie za wuja swego i myli się pewnie; myśli, że ja jestem z téj familii, która toż samo nazwisko nosi co ja; ani jego, ani téj famili nie znam. Pieniędzy żadnych przy-

słać nie mogę bo nie mam. Ale niech stara się dostać do Lipska; ztamtąd da mu komitet na drogę do Francyi. Ja za nim, jako za siostrzanem moim, pisałem do Lipska do Karóla Schneidera.

My tu w Metz przyjemnie czas przepędzamy na pracy wspólnéj; po południu czasem idziemy wizyty oddawać; o piątéj na obiad, potém na wieczory lub na teatr idziemy. Teatr nas nic nie kosztuje, dyrektor jego ofiarował nam lożę. Mieszkania są wygodne we Francyi, tylko bardzo zimne i pieców niemasz, jeno kominki i trzeba grzać się przy nich jak robią u nas cyganie, z jednéj strony aż się piecze przy ognisku, a z drugiéj marznie. Ja już do tego przywykłem, ale biedny Maurycy parawanami i płaszczami się zakrywa, a czasem pisze przy stoliku okryty kołdrą. Mrozów wprawdzie niemasz téj zimy nad trzy stopnie; nie było zimno, ale temperatura jest nieznośna. — Bądźcie Państwo zdrowi; kochajcie, jakeście dotąd kochali, to jest jak syna waszego. Ja na to jedynie starać się będę zasługiwać. — Pannie Zofii, pannie Olimpii, pannie Klementynie, pani Głogowskiéj i całemu domowi najpiękniejszy zasyłam ukłon.

Michał Podczaszyński.

Nota.

Jakim był ów Michał P., nieoceniony, niezrównany przyjaciel Maurycego i Kamila, list ten świadczy, a ile lekkością swoją w osnowie tego pisma chciał zrobić roztargnienia w smutku w jakim byliśmy po rozłączeniu się z synami, tyle drogimi sercom naszym! Bytność doświadczonego i starszego, przytém rozsądnego i światłego, już od kilku lat zamieszkałego w Paryżu przyjaciela, kochanka synów moich, stała się rękojmią, słodką pociechą dla nas i stanowiła naszą spokojność. — Składaliśmy dzięki Opatrzności, która tak zrządziła, że Michał z domu naszego w Warszawie w skutek prześladowania rządu, opłakany od nas, uleciał z pośro-

dka nas do Francyi; o, ile to łez kosztowało Maurycego! a jak w przyszłości stało się dogodnym czyli najszczęśliwszym w całém naszém położeniu wypadkiem! Równie doskonałego obrazu, jakim był w istocie Michał, trudno skreślić: młody, postawą i figurą piękny, fizyonomia znacząca, wesoła, łagodna, uśmiechająca się, oczy wielkie, niebieskie, ni blond, ni brunet, ni chatin. Dusza wielka, głowa otwarta, serce najlepsze, kochające. Kochał moich synów dla ich serc dobrych i dla niepospolitych uzdatnień. Listy Michała z Paryża do nas były nam pociechą. Trzebaż było o Boże, aby i on wkrótce po moich synach równie na suchoty umarł!

Marya M.

Wyjątki z „Courier de la Moselle“: pochwały talentu Maurycego na fortepianie, oraz wiersz do owéj Panny, o któréj Michał wspomina, a z którą grał na 4 ręce. Działo się to 4. Marca 1832. roku.

Concert de la Société Filharmonique de Metz, au benefice de Pauvres.

Artykuł niepodpisany, z którego wyjątki te są:

„Ce jour-là je faisais de l'aristocratie, car je savais quelle devait avoir un resultat avantageux pour la classe souffiant. J'avais donc superbement loué pour ma femme pour un vicil amateur et moi, une modeste baignoire. Je compté bien y entendre incognito et le concert et les observations de mon amateur, mais le lux d'eclairage de la salle, ne me laissait pas ce plaisir....“

„Mon amateur s'ussit dans le fond de la lôge les yeux fermês, le menton appuyé sur la pomme de sa canne. On a chantait le cantique de Moïse. Il nous supplia de ne pas l'interompre, il nous dit à voix basse et du plus grande serieux du monde; ils peuvent chanter a présent cet admirable cantique; me voilà dans les cieux! Il y resta, se bien que long-temps après que les dernières voix euvent répété, Benissons le Seigneur! Il n'avait encore ouvert ni les yeux, ni la bouche, s'avez vous, me dit-il, en se levant tout à coup. Que cela est parfaitement executé, faut-il vous dire pourquoi? C'est par ce que vos amateurs ils ont de l'ame. L'ame monsieur, me dit-il en se resseyant, l'ame c'est tout la musique. Notre homme avait le malheur pour une dilettante d'avoir l'onion un peu dure, et pas un son de la harpe, sur laquelle on execu-

tait en moment une fantaisie fort rémarquablé ne put faire vibrer son tympan. Il ne cessa d'accuser la nature de l'avoir traité en marâtre....."

„Mais-il voulut aller embrasser le proscrit polonais, qui avait tenu le piano pour le concerto de Hummel. Cet homme là me disait-il est artiste jusqu'au bout du doigts. Je ne m'etonne pas qu'il se soit sacrifié pour son pays. Ces gens le sentent. Je les aime, allons le voir, il excusera ma demarche. Nous parleron, musique, gloire, liberté, il accueillera un vieuil artiste, qui a commencé par chanter avec enthousiasme il y a 40 ans les vers de Chémin. la musique de Gossek, et qui depuis ce temps s'enflamme pour tout ce qui est beau, grande, génereux!

„J'ai peine à le retenir un moment pour lui apprendre que cet officier polonais avait voulu retarder son depart de Metz afin d'acquitter, disait-il envers nos concitoyens une partie de la dette d'hospitalité que ses compatriotes avaient contractés parmi nous....

„A peine se mourait l'accompagnement final du cheur du siège de Corinthe, à peine mon amateur avait-il crié son derniere bravissimo! Qu'il se dirigeait vers la demeure du proscrit polonais. Je le laissai fair sa visite à dix heur du soir, et je reviens chez moi où j'écrivis, tel qu'on vient de la lire ce compte rendu d'une agréable soirée. — Puis je me dis. Je demenderai pour tout ceci une place dans quelque journale. Et si la famille voyageuse parvient malgré la Prusse, l'Austriche en quelque lointaine ville en Gallicie, si elle tombe sous la maine de quelque famille polonaise. Si la Mère que aura peut-être un fils en France à Metz y jette les yeux; alors elle aura aussi sa part des plaisirs de cette soirée, et les applaudisements qui ont accueilli son savant et modeste fils, ma feuille les lui raportera, et le fera retentir dans son coeur de Mère!..."

Jaką przyjemność uczuło serce matki, gdy istotnie kartkę tę gazety dostałam; jak cudownie zgadł ów dobry, który instynktem się rządząc, dowiedziawszy się, że rodzice owego Proscrit Polonais mieszkają w Galicyi, zrobił tak trafny przypisek. W istocie w Galicyi, w cyrkule wadowickim, we wsi Polanka mieszkaliśmy u kuzyny naszéj Cieńskiéj, właścicielki owych dóbr. Radość z odebranéj téj gazetki; pewność, że to mowa o moim Maurycym; chęć nakoniec owego nieznajomego, aby matce zrobić udział w przyjemności, którą jéj syn w Metz sprawił, wszystko to wywołało uczucia tak wdzięczne, tak przenikające, które się opisać nie dadzą. Są tam jeszcze wyrazy w téj gazetce tyczące się Maurycego, gdy był

przy fortepianie w Metz: „La sublime harmonie qui s'echappe en ce moment du piano, c'est un combattant d'Ostrołęka, qui chante en s'accompagnant le marche de Dombrowski, ou qui varie avec un talente remarquable le chant si grandioso de notre Marseillaise...."

Kamil Mochnacki do Rodziców.

Avignon, 7. Marca 1832.

Listy najukochańszych Rodziców z dnia 29., 30., 31. Stycznia nie zastały mnie w Paryżu, odesłano je tu do Avignon, gdzie się obecnie znajduję. Stało się więc to, czego się najmocniéj obawiałem; musiałem wyjechać z Paryża; gdybym był razem z Maurycym, możebyśmy się we dwóch nie dali, ale sam, napastowany bez ustanku od władz miejscowych, sztabów wojskowych, wszystkiego rodzaju urzędników paryzkich, nie mógłem się oprzeć woli rządu i wyjechałem z Paryża. Wszelkiego rodzaju sztuk użyto: groźby, podchlebstwa, namowy; wreście, gdy wszystko na nie się nie przydało, udano się do piekielnych środków: nakazano władzy policyjnéj, aby się domagała odemnie paszportu wolnego pobytu w mieście; przysyłano mi więc codziennie żandarma, który mnie ze snu z rana budził, a gdym poszedł na policyą po paszport, odmawiano, że nie mają prawa udzielić oficerom polskim paszportów, i że po nie trzeba do sztabu wojskowego się udać; w sztabie zaś mówiono mi, że oficerowie polscy nie Paryż, ale Avignon na miejsce pobytu mają przeznaczone. Protestowałem publicznie, krzyczałem na cały głos, że nie jestem oficerem; żem w kraju moim był oficerem, lecz wziąłem dymissyą; teraz chcę być uważany za obywatela, któremu prawa miejscowe tak dobrze służą, jak każdemu cywilnemu Francuzowi. „Zgoda," odpowiedział

z całą flegmą jenerał komendant, „możesz być pan cywilnym, złóż deklaracyą na piśmie, że się wyrzekasz swego stopnia i wszelkiego prawa służenia wojskowo w legii, którą rząd na korzyść przyszłości waszéj chce uformować.“ Ja mu odpowiedziałem, że oni nie mają prawa domagać się téj ofiary odemnie, bo ja nie we Francyi, ani od rządu francuzkiego nabyłem tego stopnia; lecz z ochotą, bez najmniejszéj zwłoki opuszczę Paryż. Wyrzekam się nawet swéj rangi i prostym żołnierzem będę służyć w legii; ale niech rząd da na piśmie także zapewnienie, że ta legia rzeczywiście w interesie i na korzyść naszéj przyszłości będzie uformowaną. Tu najczęściéj milczał i zręcznie z jednéj strony mi ukazując, że takiego zapewnienia nie żądają wszyscy oficerowie polscy, którzy są już w liczbie kilkuset zebrani w Avignon; z drugiéj znowu strony grzecznie i uprzejmie ściskał mię za rękę w dowód przyjaźni swojéj ku mnie. Ukazał mi konfidencyonalną notę ministra wojny, w któréj miało być polecone szczególną baczność na mnie zwrócić; oraz jak najprędzéj mnie wyprawić do Avignon; albo wymódz na mnie takowe zrzeczenie się. „Wchodzę w pańskie położenie,“ mówił mi daléj, „nie pojmuję sam, co może ministra do tego kroku względem pana przywieść, ale sam pan przekonasz się, że taka jest jego wola. Et vous savez que nous autres, nous ne sommes que les executeures des ordres de nos autorités.“ — „Ale dla czego ja sam jeden z pomiędzy tylu oficerów stałem się przedmiotem troskliwości ministra i czy mi będzie wolno zapytać się go, czy ma prawo żądać odemnie deklaracyi, która mi odbiera możność służenia mojemu krajowi? Czy nie dla tego istotnie ją wymyślił, że najprzód był pewnym i najmocniéj przekonanym, że jéj nigdy nie podpiszę. Godziż się takich podstępów używać, które nietylko ministra, ale was wszystkich, całą Francyą, wstydem i hańbą pokrywa?

Powiedz pan swemu ministrowi, żem dobrze zrozumiał całą tę rzecz; chcę wierzyć, że legia ma być uformowaną na korzyć przyszłości naszéj, i z tą wiarą jadę do Avignon; ale jeżeli rząd nie ma uczciwych zamysłów względem nas, jeżeli zastawił sidła tylko, jeżeli rozumie, że zgromadziwszy nas w Avignon, sto mil od stolicy, w kraju nieprzyjaznym, między nieprzyjaznymi ludźmi, będzie nas już trzymał w swojéj mocy i na wszystkie żądania powolnymi uczyni, to powiedz mu pan, niech się nie myli. Polacy nigdy, nigdy nie przystaną żadną służbę, na żadne warunki, sprzeciwiające się ich interesowi i ubliżające ich godności narodowéj." — Wyjechałem więc z Paryża. To mnie wszelako pocieszało, że jadę dzielić los wszystkich ziomków i towarzyszów broni. Zastałem w Avignon przeszło 800 oficerów, wszyscy w największéj niepewności i trwodze. — Okolica cudna, prawdziwy raj, ale mieszkańcy niegodziwi; charakter i temperament meridyonalny, niesłychanie gwałtowny. — Cała ludność prawie jak w Wandei do dawnéj dynastyi przywiązana i do dawnego we Francyi porządku. Zawistném okiém spojrzała na Polaków, obrońców i martyrów nowych wyobrażeń i sprawy liberalnéj. Publicznie wyrażają ducha zawiści i niechęci ku Polakom. Co większa, biega wieść o morderstwie, popełnioném na jednym z naszych kolegów, znikł gdzieś nagle, a policya ma wiadomość, że w mieście gdzieś ukryto trupa. — Przelatując jeden Francuz przez ulicę zmrokiem, sięgnął puginałem, przeszył rękaw i zadrasnął rękę Polakowi, potém umknął i śladu po nim nie ma. Wszystko to dla osłodzenia nam losu wygnania i przyniesienia ulgi naszemu opłakanemu położeniu. Lecz nie dość na tém. Świat się zadziwi. — Przed kilkoma dniami przysłało ministeryum decyzyę, na mocy któréj żołnierz polski będzie pobierał dziennie po 3 sous, a oficer niższego stopnia 40 franków miesięcznie. Z powszechném oburzeniem i ze wzgardą nie

przyjęliśmy tych pieniędzy i jak najprędzéj napisaliśmy adres do Izb, który, ponieważ dobrze maluje nasze położenie, przesyłam. Od odpowiedzi Izb będzie zależało jak sobie dalėj postąpim. Teraz żołnierzy utrzymujemy ze składek, a sami z dawniejszych oszczędności żyjemy. Zastałem więc w Avignon 800 oficerów; ponieważ zaraz prawom dyscypliny wojskowéj poddać się nie chcieliśmy, przestano nam więc już perswadować, że musimy słuchać rozkazów władz wojskowych. Radzimy się więc sami. Z tych 400 oficerów zastałem już wybraną radę czyli komitet, czyli reprezentacją, która rzeczywiście jest areopagiem naszym i najwyższą władzą między Polakami bawiącymi we Francyi. Istotnie téż komitet narodowy w Paryżu będzie teraz tylko wykonawcą naszych postanowień i poleceń. Jeszcze dotąd nic nie postanowiono stanowczego. Jednakże zaczynamy regulować pierwsze i znaczniejsze potrzeby, i tak, ponieważ nie daliśmy się podciągnąć pod zarząd władz miejscowych, więc postanowiła rada statut karny dla tych, którzyby wykroczyli w rzeczy saméj przeciw przyzwoitości lub honorowi. Bardzo to było potrzebne. I strzegą się oni mocno, ażeby w czém nie uchybić jeden drugiemu i nie sformalizować Francuzów, którzy nakoniec muszą nam oddać sprawiedliwość, i sami nienawidzą rządu dzisiejszego, sami narzekają na te niegodne jego z nami postępowanie. Skoro przybyłem do Avignon spotkał mię niepospolity zaszczyt. Rada na mocy prawa sobie udzielonego, mianowała mię członkiem honorowym i zaprosiła do zasiadania w swojém gronie. Skorom się znalazł między nimi, zarzucili mię różnego rodzaju pracą, żem przez trzy dni od stolika nie wstał. Musiałem redagować adres do Izb, pisać statut karny, organizacją Rady, listy do Lafayeta, Mangena i innych przyjaciół naszych w Paryżu. W tém dowiaduję się, że ktoś z boku wniósł projekt na radę do usunięcia wszystkich członków honorowych. Nie mógłem

oczywiście przenieść tego na sobie, abym nie dał uczuć Radzie, że nie prosiłem się o to, aby mnie wezwała do podzielania prac. Niemiło mi przeto słuchać że jest kwestya o usunięcie członków honorowych. Napisałem w téj treści list do Rady i prosiłem o spieszne udzielenie mi dymissyi. Wcale nie spodziewałem się tego co nastąpiło. Nietylko że Rada mi dymissyi dać nie chciała, ale owszem do powtórnego zasiadania w gronie swém zaprosiła. Bóg da, że połączywszy nasze siły, do jednego celu zmierzywszy wszystkie nasze usiłowania, będziemy w stanie postawić mocne czoło przeciwnościom, i stałością naszą, wytrwałością wywalczyć tutaj godne i uczciwe postanowienie, które nas nie pozbawi przynajmniéj wszystkich nadziei powrócenia do kraju. — Nie wiem czy list mój drugi, w kilka dni po pierwszym z Paryża wysłany, doszedł do rąk najukochańszego Papy. Czy Papa więcéj listów nie pisał po tym, który jest datowany 29, 30., 31. Stycznia? Lękam się bardzo, żeby mnie teraz nie mijały listy Papy. Jednakże śmiem prosić, aby odtąd kochany Papa i szanowna Rodzina listy wprost do Avignon pod tym samym adresem poste restante przysyłali, a przysyłali jak najczęściéj. To cała moja uciecha w téj nieszczęśliwéj epoce. Cóż tu było radości, jakem odebrał list ostatni, który mi z Paryża przysłali! A jak dostateczny! Co w nim wyrazów sercu memu ulgę przynoszących! Nie mogłem się zdecydować posłać go Maurycemu do Metz. Już był na poczcie zaadresowany do niego, ale tak mi się potém przykro zrobiło, żem poszedł na pocztę i odebrał go, przepisałem co do słowa (oprócz kilku wierszy, które wcale do niego nie należą) posłałem go w kopii. Wiem że się będzie gniewał i dąsał, ale to darmo, ja daléj od Polanki jak on. Bóg wie kiedy mnie dójdzie znowu jaki list, będę się przynajmniéj tym pocieszał, który mam w ręku. Jednakże broszurki mu nie posłałem; jestem tak uszczęśliwiony, że

ją mam w ręku, iż nikomu, nawet bratu rodzonemu nie powierzę wykonania poleceń Papy najukochańszego. Po polsku drukować ją prawie niepodobna. Leez już się wziąłem do tłumaczenia, wiernie przełożę na język francuski i pod imieniem Papy kochanego wydam tu na na miejscu w Avignon albo w Lionie. To mi przyjdzie z największą łatwością. Spodziewać się należy, że koszta druku sama pokryje. Proszę tylko kochanego Papy o dalszy ciąg i o objaśnienie, czy będzie wolno w Galicyi czytać ją w publiczności. Jest to prawdziwy skarb. Ja wiem, że Maurycy nie posiadałby się z radości, gdyby ją w swoim miał ręku, ale na to nie ma sposobu, chyba każę przepisywać i w miarę tego jak będę miał nadsyłane, będę jemu kommunikował. Proszę także najdroższego Papy, aby w dalszym ciągu tego krótkiego rysu, kiedy przyjdzie mówić o saméj rewolucyi naszéj, najmniejszego, najdrobniejszego nie opuszczać detalu, żadnego nazwiska nie zataić, a jeżeli są w ręku Papy dowody autentyczne, raporta z gazet, listy, wszystko to umieścić, nawet w rzeczach militarnych śmiało decydować. Zdanie Papy publicznie szanowane i cenione ustali prawdę i niezgodną kwestyą rozwiąże, od czego zależy nadanie prawdziwego kierunku opinii, oraz wykazanie w prawdziwéj istocie natury naszéj rewolucyi. Obiecałem ja wprawdzie w ostatnich moich listach nadsyłać cząstkowo rys zdarzeń i wypadków zaczętych po wyjeździe Papy z Warszawy. Teraz jednak tak jestem zajęty, zarzucony raczéj rozmaitemi nagłemi pracami, że jest mi prawie niepodobna z tego przyrzeczenia się uiścić. Niemniéj jednak o tém myślę i o wszystkiém napiszę, a szczególniéj o sprawie obwinionych o zdradę kraju, o rewolucyi 15. Sierpnia, o łotrostwie niepraktykowaném Krukowieckiego, o oblężeniu i szturmie Warszawy, daléj o kapitulacyi, wyjściu wojska, o obozach pod Modlinem, Płockiem i Szpitalem, o Niemojewskim,

Rybińskim, a nakoniec o wejściu w granice pruskie. O tém wszystkiém z detalami napiszę i mogę to uczynić, ponieważ w tych epokach i sam figurowałem i starałem się wtajemniczyć w najciemniejsze skrytości, ale do tego potrzeba i czasu i wolnéj myśli. Jaki jest los naszego dobrego i nieszczęśliwego L., tego trudno się dowiedzieć; dobra przynajmniéj i ta wiadomość, że się nie znajduje w ręku nieprzyjaciół. Nie wiem, czy Maurycy zadosyć uczyni żądaniu Papy co do zamieszczenia wiadomości stósownéj w gazetach. Ale ja lękam się, czy on sam nie szkodowałby na takim demarszu. Ludwik Nabielak przybył tu do nas i odetchnął na chwilę po niebezpieczeństwach, które go spotykały po drodze; sam będzie pisał do Galicyi, a tymczasem zasyła uszanowanie mojéj kochanéj rodzinie i prosi, by o nim nie zapominać. W poprzednim moim liście donosiłem, iż z listu Klimeczki (siostry) wiem o projekcie Papy względem przyjechania do Paryża. Czy można się spodziewać, że ta myśl będzie zrealizowaną? Nie pojmuję jednak, dla czego w liście najukochańszego Papy najmniejszéj wzmianki o tém nie ma. Życie w Paryżu niesłychanie mało kosztuje, a nakoniec, gdy Papa przyjedzie, może już będziem uregulowani, a klimat boski, pod niebem francuzkiém małożby się przyczynił do zachowania w dobrym stanie zdrowia kochanego Papy? Ja się powoli pozbywam wszystkich kaszlów i bólów piersi w téj rajskiéj krainie. Ale prawie niepodobna dla nas mieszkańców północy oswoić się z tem południowém słońcem w Avignionie. Już od półtora miesiąca najpiękniejsza wiosna, a teraz już gorąca dokuczają! A jakie położenie! Alpy jak na dłoni, tylko końca ich okiem dojrzeć nie można, a wierzchołki białe odwiecznym śniegiem pokryte, szklnią się od słońca i błyszczą w niedoścignionéj przestrzeni jak lampa wieczności. O jakby to miło było mieszkać w tym raju, ale w innych okolicznościach, nie w tak

smutnéj dla nas epoce. Gdyby tak z Polski naszéj wyjechać z pod słomianych strzech naszych i biednych chatek, przenieść się na niejaki czas do tych grodów wspaniałych, do tego kraju zamożnego, gdzie słomianego dachu nie obaczy, choćby z latarnią po całym kraju szukał, a potém powrócić na ziemię rodzinną i znaleść się wpośród familii, znajomych i przyjaciół!... O jakby to miło było, ale darmo, Bóg inaczéj zrządził! Woli jego słuchajmy, a żyjmy nadzieją. Od wyjazdu mego z Paryża nie miałem żadnéj jeszcze wiadomości od Maurycego. Tak nagły i prędki był mój wyjazd, że nie mógłem mu dać znać o téj zmianie. Ztąd jednak mój list już go musiał dojść. Spodziewam się więc niedługo od niego wiadomości, może mi razem przyśle co z Polanki, bo wiem, że on od siebie pisał do najukochańszego Papy długi i obszerny list, w którym wiele detalów miał umieścić. Pismo jego o rewolucyi musiało już do tego czasu się powiększyć. Czekają jego wyjścia na świat z największém upragnieniem. Sam doczyta się w liście Papy żądania, aby było cząstkowo przesyłane do Polanki, rozumiem, że się będzie starał zadosyć uczynić woli najukochańszego Papy. Od Klimeczki Gr........éj już bardzo dawno żadnéj nie mieliśmy wiadomości. Zbieram się pisać do niéj, wspomnę także, żeby przyjęła ofiarowane mieszkanie w zamku Żołkiewskim. Biedna nieszczęśliwa kobieta! Jak się téż jéj nie wiedzie. Bóg da, że się to niedługo zmieni. A teraz proszę przeczytać adres, który z woli ziomków napisałem do Izb, będzie on drukowany po wszystkich pismach:

Reprezentanci Narodu Francuzkiego!

Gdyśmy broń podnieśli przeciwko ciemiężycielowi naszemu, zdumiał się świat cały. Ludy umiejące cenić niepodległość i myśl wolności, poklaskiwały z daleka naszéj odwadze i śmiałości naszych przedsięwzięć. Francya sama

od lat niepamiętnych węzłem przymierza braterskiego z nami spokrewniona, ujrzała w tym czynie, w téj wielkiéj, uroczystéj rezygnacyi narodu polskiego, najmocniejszy, najjawniejszy dowód tożsamości uczuć i charakterów. Była mocna wówczas Polska, choć zewsząd nieobliczone groziły niebezpieczeństwa, nie ulękła się. Groźne postawiła czoło najstraszniejszemu w Europie mocarstwu, bo ją krzepiła myśl waszéj przyjaźni, jéj ducha zasilało wasze tchnienie. Od stóp do wierzchołka zatrząsł się kolos północy. Zachwiała się w swoich posadach strażnica barbarzyństwa i ciemnoty. Lecz także od brzegów Wisły do Niemna i Bugu rozpłynęła się krew polska i w niespełna 8 miesięcy na brzegach Wisły, Niemna i Bugu zaległy mogiły stu tysięcy braci naszych Polaków. Lecz ich skonaniu przyświecała gwiazda swobody europejskiéj. Europo wolna odpowiedź: czyśmy mało w twéj sprawie położyli zasług? Francuzi! odpowiedzcie, wiele naszych braci przed niedawnym czasem pod waszemi znakami poległo, za waszą całość i niepodległość? odpowiedzcie, czy teraz przed kilku miesiącami w okamgnieniu Polska uzbrojona, zapalona duchem wolności i swobody, nie była przedmurzem, o które się wyszczerbił miecz wspólnego nam nieprzyjaciela.

Lecz Bóg nieposzczęścił naszemu dziełu! W jego niezgłębionych wyrokach jeszcze raz naszą ziemię miała pokryć żałoba. Skonała Polska w Polsce, lecz w naszych sercach byt Polski nie skonał. Z bólem w duszy pożegnaliśmy ziemię rodzinną. Z powszechnym żalem rozstaliśmy się z naszemi znakami i oddaliśmy krwią naszą i łzami rzewnemi obmyte działa; jedyny i ostatni zakład rzeczywistéj naszéj egzystencyi! Lecz z pełną wiarą, z całą ufnością myśl naszą podnieśliśmy ku wam. Jeden okrzyk wielki, uroczysty, jak wielkie nasze nieszczęście, rozległ się między Polakami. Francya! Francya! powtarzały ostatki plemienia, napiętnowanego niełaską Boga,

Francya naszą ojczyzną, Francya powróci nam nasze znaki! Ona osłodzi los wygnania, pokrzepi nadzieją, za krzywdy nasze przed światem się upomni.

Na skrzydłach téj nadziei przybywamy do granic Francyi. Zbiega się zewsząd życzliwy lud; rozrywają między siebie poczciwi mieszkańcy nieznanych przyjaciół z dalekiéj krainy, tulą na swém przyjazném łonie nasz płacz i naszą żałobę. Ah, Francuzi! wtenczas pojęliśmy waszą wielkość, wtenczas po pierwszy raz rozjaśniły się nasze skronie, i w téj chwili dopiero po raz pierwszy żałować przestaliśmy, żeśmy to życie nasze unieśli z pogromu bitew i tylu niebezpieczeństw. Lecz nie długo trwała nasza radość. Gwiazda nieszczęścia, która śmiertelnym kirem powlekła koniec naszéj rewolucyi, pobytowi naszemu na ziemi francuzkiéj miała przyświecać. — Przybywamy do Awignonu, jak z raju na ziemię, jak z ziemi do grobu. Obojętność, niechęć, nieżyczliwość otoczyły nas w około. Odnowiły się rany serc naszych, bo postrzegliśmy, że nie wszyscy Francuzi jednemi ku nam tchną uczuciami. Wieści głuche, posępne, bez ustanku się szerzą, powolność, zwłoka, niejasne rządu z nimi postępowanie, do reszty rozbroiły urok, w którym rozkołysał się nasz umysł przy wstąpieniu na ziemię francuzką. Wreszcie kto uwierzy, kto się nie zadziwi? Ostatnia decyzya ministeryalna pozbawia nas wszelkich sposobów utrzymania życia we Francyi. Żołnierzowi polskiemu naznaczono 3 sous, aby wyżywił się dziennie w okolicy, gdzie mieszkaniec więcéj zysku pragnie, niżeli jest zdolny przynieść ulgi jego położeniu. A więc ten żołnierz, szukając przytułku na ziemi francuzkiéj, cóż znalazł? oto nędzę i co gorsza, nabył tego przekonania, że rząd o nim pamiętać niechce. — Atoli rząd wasz jest pełen cnót i patryotyzmu. Jest on tłómaczem i wykonawca waszéj woli i najskrytszych wa-

szych myśli. Rząd wasz uczynił to, co było w jego możności co rozumiał być zamkniętém w swoich atrybucyach.

Reprezentanci Narodu! Garstka wolnych ludzi przybyłych na waszą ziemię, głos swój do was podnosi. W naszym bycie jest zamknięty byt wielkiego ludu co wam zawsze był przyjazny. Reprezentanci! czy myślicie, że nam to życie tak miłe i pożądane? Wyrzeknijcie z wysokości waszego majestatu: Polacy, wasza Polska powstanie, ale wy poświęćcie wasze życie. O, Francuzi! Głos ten ostatniego z nas nie dojdzie jeszcze, kiedy pierwsi z kolei dobrowolnie z największą uciechą za swobodną myśl wstąpi do grobu. Wyrzeknijcie ten miły, ten święty dla nas głos. Lecz póki na to się nie zdobędziecie, nie dajcie nam przynajmniéj z głodu umierać, utrzymajcie nasz byt; może wam jeszcze na co się przyda, może niejedną wyrządzi przysługę. A jeżeli bogata Francya udzieli szczątku swoich żyznych plonów na wyżywienie garstki nieszczęśliwych, są jeszcze w Polsce bogate krainy i serca w niéj poczciwe biją; nasi ojcowie starzy i matki nasze szczodrze wam odpłacą dług przez nas zaciągnięty, ale nie żądacie tego, późne wieki i sąd historyi odda wam sprawiedliwość. Sąd potomności wyrzeknie — cześć i sława Francyi, cześć i sława wielkiemu narodowi, co umiał pojąć nieszczęście braterskiego ludu, podał mu rękę i od wiecznéj zagłady ochronił."

(Podpisy.)

Ten jest adres, który posłaliśmy do Izb. Rozumiałby kto, że potrzebaby się spodziewać bardzo pomyślnego skutku, albowiem od odpowiedzi będzie zależało utwierdzenie przyjaźni dwóch ludów, albo wieczny rozbrat między nami. Ja jednak nie wielką mam nadzieję. Nic sobie dobrego nie rokuję. Z tego tylko jestem rad, że to postępowanie rządu z nami rozdraźnia coraz mocniéj

lud francuzki, a szczególniéj w północnéj i zachodniéj Francyi. Ze wszystkich stron miasta domagają się w petycyi spiesznéj zmiany obecnego położenia naszego. Domagają się legiów polskich i znaków naszych, zastrzegając, abyśmy nie byli użyci na Arabów i Beduinów. Rząd więc albo nie uczyni żadnéj a żadnéj koncessyi i wtenczas zmusi nas do opuszczenia Francyi, albo téż ulęknie się i uczyni zadosyć woli narodu, a wtenczas będzie nam dobrze. Wkrótce to bardzo, bo za kilka dni musi się rozstrzygnąć. O każdéj zmianie nie omieszkam zawiadomić najukochańszą rodzinę moją, którą raz jeszcze upraszam o przysłanie listów wprost do Avignonu poste restante pod tym samym adresem; przybędzie wprawdzie trochę pracy najukochańszemu Papie, bo osobno do jednego, osobno do drugiego syna wypadnie pisać, ale w rozdzieleniu téj łaski niechaj sprawiedliwość Salomona towarzyszy. Nadto domagam się, aby najukochańszy Papa swoim ojcowskim rozkazem zobowiązał Maurycego do kommunikowania mi wszystkich od familii listów, u mnie nic nie zginie, żadna literka się nie straci i dochowa się do czasu, w którym Bóg pozwoli nie same listy, ale i osoby które je pisały do serca przycisnąć.— Po raz pierwszy dopiero z listu drogiéj mojéj Mamy doczytałem się niektórych bliższych wiadomości co do kłopotów i trosków, jakiemi serce naszéj dobréj Mamy przez cały rok było rozdrażnione. Teraz przynajmniéj pisze Mama, że jéj jest dobrze, że spokojne i szczęśliwe prowadzi życie w domu szanownéj pani Cieńskiéj... O! jak ja czczę i szanuję tę panią Cieńską, choć nieznam, może nigdy nie będę znał, jak jednak ją kocham z całéj mojéj duszy! jak wielbię jéj cnoty i dobre serce! Jakże to mało takich ludzi na tym świecie. Wdzięczność nasza dla niéj i szacunek do śmierci w sercach naszych nie wygaśnie. — Mamie, kochanym ciotkom Zosi i Zuzi najserdeczniéj dziękuję za ich listy i Klimeczce dziękuję za

przypomnienie mi niektórych wspomnień, które i tak aż nadto dobrze były mi pamiętne, czasem nawet gniewam się, że pamiętam. Na cóż zdała się ta pamięć coby na zawsze powinna być zapomniana? — Czy Tymolek często pisuje do Polanki? Jeżeli kochane rodzeństwo będzie do niego pisać, proszę mu nakazać, aby pod tym adresem pisał i do Avignonu; nie pięknie jest, że zapomina o braciach, którzy go tak szczerze kochają i wszelkiego szczęścia życzą w górnolotnych jego antrepryzach. Jeżeli się zrealizują nasze nadzieje, pewno lepiéj dla niego będzie, jeżli przyjedzie i z nami się połączy — lecz potrzeba jeszcze zaczekać; — niech tymczasem siedzi, jeżeli mu tam miło i dobrze.

Na znak, że tu nie próżnuję, posyłam rodzinie wezwanie Rady Polaków do mnie uczynione, abym jéj grona nie opuszczał. Widać, że mam znaczenie i w znakomitości niepospolitéj przepędzam życie. — Ściskam rączki, nóżki najukochańszego mego Papy, Mamy, Ciotek, Siostr i proszę o jak najwcześniejsze wyexpedyowanie do mnie listu.

Kamil Mochnacki.

Rada Polaków w Avignonie

do Pana Majora Kamila Mochnackiego,

Członka honorowego Rady.

Odpowiadając na prośbę Pana o udzielenie mu dymissyi dla objawiającéj się opinii między kolegami, niechętnéj przeciwko członkom honorowym, podaną, ma honor oświadczyć Panu, że ta opinia jest tylko szczególną kilku kolegów. Pochodzi ona zapewne ztąd, że dzielący ją nie wiedzieli powodów, jakie miała Rada na uwadze, wzywając niektórych kolegów na członków ho-

norowych. Nie widzi więc Rada potrzeby, abyś się Pan z jéj grona usunąć miał i owszem wzywa go, abyś na posiedzenia ciągle uczęszczał i w sprawie ogólnego dobra naszego z nami prace podzielał.

Avignon, 4. Marca r. 1832.

Mauryoy Mochnacki do Matki.

Metz, dnia 9. Marca 1832 roku. Place de Chambres. Hôtel de Victoire.

Kochana Mamo! — Nie będąc pewny czy listy które adresowałem do Polski przez Wiedeń dójdą, piszę wprost do Lwowa pod pewnym adresem. Już czwarty list; oby był szczęśliwszy. Kamil w Paryżu otrzymał dwa listy. Ja w Metz drugi miesiąc siedzę, żeby zatrudnień moich paryzkie niepokoje nie przerywały. Być może że za kilka dni pojadę z Michałem do Paryża, dla wydania pisma o rewolucyi, które koniecznie wydać muszę: najprzód dla tego aby różne bajki i plotki ustały, a powtóre aby stąd finansową korzyść odnieść. Cieszę się niezmiernie że kochani rodzice moi są zdrowi i bezpieczni. Nie mam wyrazów do wynurzenia najtkliwszéj wdzięczności dla pani Cieńskiéj, że tak dobra jak anioł w rozbiciu nieszczęśliwym naszéj ojczystéj nawy użycza przytułku. O co w pierwszych listach prosiłem kochanego Papy, o to proszę i dziś; od tego koniecznie zawisł cały los mojéj literackiéj antrepryzy. Potrzeba mi do wydania wspomnionego już prawie skończonego dzieła o rewolucyi polskiéj materyałów następujących:

1. Dziennik powszechny cały od początku do końca rewolucyi. Gdyby to było niepodobna więc przynajmniéj numera od 15. Sierpnia do wzięcia Warszawy przez nie-

przyjaciela. W tym czasie dziennik był moim organem, artykuły z moim podpisem zawierają ogólną charakterystykę narodowego powstania. Rzecz bardzo mi potrzebna do mojéj historyi.

2. Kurier polski cały, pisemko to od początku do końca rewolucyi, nie tak dla ducha jako raczéj dla szszegółów, bardzo ważne dla mnie.

3. Broszurka moja pierwsza w początkach rewolucyi wydana.

4. Zjednoczenie całe.

5. Te numera z gazet Stats-Zeitung, które zawierają urzędowe raporta moskiewskie dotyczące ogólnych poruszeń wojskowych.

6. Proszę Papy o wiadomości szczegółowe z pewnych źródeł opisane, dotyczące się poruszeń naszego wojska od bitwy pod Ostrołęką aż do 15. Sierpnia. Przez ten czas ranny chorowałem, i nic nie wiem. Mnie się zdaje, że najlepiejby było te wszystkie wiadomości i materiały albo Deliżansem albo Rularzem, albo jeżeli się zdarzy pewna okazya posłać do Metz pod adresem a Monsieur Dornes Place St. Louis numero 36. z Metz przyszle mi to wszystko wielki nasz przyjaciel i opiekun Adwokat Dornes, jeżeli w Paryżu będę się znajdował.

Gdyśmy z Kamilem polski obóz nad granicą opuszczali, oddałem mój rękopism Felixowi Miastkowskiemu, którego Klementyna zna w Warszawie, drugi tom o literaturze polskiéj. Dobrzeby było, bym i ten rękopism mój i kilka egzemplarzy tomu pierwszego mego o literaturze mógł tu otrzymać. Co do powyższych materiałów osobliwie dziennik powszechny i Kurier polski to Ku... wynajdzie w Warszawie albo Jan Henryk.

Niezmiernie się martwię, że Klementyna[1]) nie opu-

[1]) Siostra.

ściła dotąd Warszawy. Niech z sobą co chce robi, ale niechaj w tem przeklętém mieście nie siedzi.

Kamil jest w Avignon. Listy do mnie proszę jak wyżéj pod adresem Michała do Metz pisać, z Metz przysłane będą do Paryża. Ja i Michał napisaliśmy kilka obszernych listów do Polanki, które widać nie doszły.

Jeżeli Horodyski, były minister spraw zagranicznych znajduje się w Galicyi, powinienby wejść ze mną w korespondencyą, mającą na celu Skrzyneckiego. W Konduicie Skrzyneckiego prócz jawnych błędów są takie zawiłości, że je tylko Horodyski osobliwie po bitwie pod Ostrołęką roztrząsnąć może. Ponieważ poczta odchodzi nie mogę dłużéj pisać. Całuję rączki Mamy.

Maurycy Mochnacki.

Ja także za każdym razem nie pomijam sposobności, pisania do państwa. Odwołuję się więc do dawnych moich listów, a ponieważ będziecie państwo posyłali Maurycemu wiele druków, proszę przysłać zarazem i dla mnie dwa numera gazety polskiéj z miesiąca Maja 1831 w którym się znajduje mój długi artykuł z przypiskami Joachima Lelewela, pod tytułem: O arystokracyi w Polsce, rozmowa z Lefayetem.

Michał Podczaszyński.

Kamil do brata Maurycego Mochnackiego.

Lyon, 30. Marca 1832.

Najukochańszy mój Maurycy!

Jestem w drodze do Paryża, lecz wątpię, abym dojechał, tak to jest dziwne i nadzwyczajne co mnie tam prowadzi. Polacy w Avignionie w liczbie 1000 jedną wolą i jedną myślą wywrócili komitet Paryzki. Utworzyli na-

tomiast inny, ale jaki? Świat się zadziwi! ale co robić? fiat voluntas! Nowa rada centralna, która ma zastąpić komitet narodowy, składa się z Kniaziewicza, pana Sierawskiego, Lelewela, Czartoryskiego, Ostrowskiego, Zwierkowskiego, Chodźki, Bema, Mycielskiego, Goreckiego, nakoniec z Kamila Mochnackiego i Stolcmana. Nadaremne były moje protestacje, wymówki i uchylania się. Trzy razy podawałem się do dymissyi od obowiązków członka rady w Avignonie, trzy razy wzywałem moich ziomków, aby kogo innego w moje miejsce posłali do rady centralnéj Paryzkiéj; nic nie pomogło, za każdą razą większością absolutną z tysiąca wybrany, musiałem przyjąć tytuł. Jadę teraz zasiąść w gronie wspomnionych dygnitarzy. Tylko zważ, jakiém okiem będą na mnie patrzyć. Śmiech mię bierze i rozpacz, gdy wspomnę co o tém ludzie powiedzą? i jak mnie będą sądzić. Opatrzyłem się jednak w wyciągi z protokułów rady w Avignionie, w których jasno i wyraźnie tłomaczyłem się: co myślę o téj proponowanéj radzie centralnéj. Ja zupełnie nie pochwalam składu jéj osób, ja jestem za utrzymaniem komitetu narodowego dotąd egzystującego, ja przewiduję, że rząd centralny proponowany, nie tylko że nas zdepopularyzować może, ale nadto złożony z osób które postarzały się w próżniactwie, żadnego kroku nie uczyni któryby mógł polepszyć nasze położenie. Jestem wszakże zdecydowany natychmiast z téj rady się usunąć, gdyby panowie członkowie zatwardzieli w przesądach absolutnie rządzić chcieli interesami Polaków i pogardzali wolą tych, którzy mi los swój powierzyli. A zatém dwie mogą nastąpić ostateczności, albo mnie będą się starali pozbyć sami, co ja spostrzegając natychmiast wezmę dymissią, albo téż ulększy się władzy, którą nadała mi wola wszystkich, będą musieli tak robić, jak ja zechcę i uważać we mnie: le vrai Representant du peuple. Ale któż może liczyć na tę moc i na tę władzę?

Dziś Polacy w Avignionie wynieśli mię na sam szczyt, uwierzyli we mnie, bezwarunkową położyli we mnie ufność, a jutro może mnie będą wieszać, infamią obłożą. Chciałbym zasięgnąć twojego zdania w tém trudném mojém położeniu, a raczéj chciałbym dysponować jedną cząstką twego głębokiego rozumu i nieporównanéj mądrości abym się nie potknął, i nie uczynił nic takiego, coby mnie skompromitować i naszą sprawę na szwank narazić mogło. Proszę cię więc pisz do mnie niezwłocznie, ale już do Paryża. Rue Marais Sainte Germaine. Hôtel Pont des Arts Nr. 3. Proszę cię także, abyś natychmiast Papie o tém doniósł i uprzedził, że jego listy w Avignonie mnie nie zastaną. Przeproś że nie piszę, ale uczynię to jak tylko chwilkę czasu znajdę wolnego. Michała ściskam serdecznie.

Kamil Mochnacki.

Maurycy do ojca.

Kochany Papo!

Pierwszy do mnie list pisany pod datą 10. Marca 1832. z niewypowiedzianą radością otrzymałem z Polanki. Więc państwo przekonaliście się, że ja równie jak i Kamil w pisaniu listów jestem czynny, i żadne zatrudnienie milsze i pożądańsze dla mnie nie jest. Skończyłem pracę moją w Metz, to jest historją rewolucyi, i dziś z Metz do Paryża wyjeżdżam. Michał w kilka dni po mnie wyjedzie. Kamil z Avignonu jako delegowany od tamtejszych oficerów przybył do Paryża, a zatém obaczę się z nim prędzéj nad spodziewanie. Dla czego się opóźnił w korespondencyi z szanownemi rodzicami, to najlepiéj pokazuje jego list pisany do mnie z Lyonu, który załączam. Posłać Papie odpis mego dzieła arku-

szami w listach jest rzecz niepodobna. Czyż nie łatwiéj i nie lepiéj to uskutecznić będzie można, jak już pismo wydrukowane będzie? Żeby wyszło to pismo w języku francuzkim, do tego trzeba jeszcze trzy miesiące czasu. Praca ogromna ale niezmiernie potrzebna. Jeżeli można dostać z komitetu Galicyjskiego forszus na edycią, byłoby bardzo dobrze. Toby mnie postawiło w możności zawarcia bardzo korzystnych układów z księgarzami paryzkimi. Toby mnie wyrwało z potrzeby sprzedania za bezcen mego rękopismu, albo w pisaniu i drukowaniu stósowania się do woli, a częstokroć do kaprysów edytorów. Ja tylko jeden jestem we Francyi, który chcę i mogę tę przysługę wyrządzić narodowi. Po rewolucyi kościuszkowskiéj nikt nie pisał. Nikt nie pisał z czasów barskiéj konfederacyi. Nikt z czasów wojen napoleońskich. Dla czego? Rzecz naturalna, bo jak Sallustius mówi: trudno jest działać, ale trudniéj jeszcze działanie opisać jak należy. Po upadku sprawy naszéj alientostwo w tem najużyteczniéj i najchwalebniéj wyrazićby się mogło żeby się Galicjanie przyłożyli do druku tak potrzebnego. Znam i poważam Eufrazego Miączyńskiego. Proszę Papy aby był łaskaw list który do niego piszę i załączam jak najspieszniéj osobiście oddać. Skutek będzie nieomylny; bo Eufrazy Miączyński bardzo mnie kochał i cenił. Mojém zdaniem niechaj Papa kilka tysięcy franków za jego pośrednictwem weźmie na ten użytek, i przyjedzie do Paryża, jabym niebu za to podziękował, gdyż najwięcéj mi idzie o to, abyśmy razem byli. Niezmiernie dziś jestem zatrudniony, bo się wybieram w drogę do Paryża. Azatem z Paryża list obszerniejszy napiszę. Ten zaś do dokończenia zostawiam Michałowi, polecając się względom i pamięci kochanych rodziców.

Maurycy Mochnacki.

Wyprawiłem, dziś Maurycego do Paryża, a sam zostanę w Metz, tylko dopóki od niego nie odbiorę listu. Pojechalibyśmy byli razem, ale ja na żaden sposób nie mógłem porzucić Metz, a on w niem dłużéj pozostać. Adres pod mojém i Cassina imieniem jest dobry. On odbierze i mnie odda lub odeszle gdzie będę. Spodziewam się zawsze tam być, gdzie i Maurycy. Zresztą tu taki zwyczaj adresowania do osób, o których się nie wie z pewnością, gdzie mieszkają. Że listy nasze długo zalegają na poczcie, że może dotąd ostatniego z nich Państwo nie odebraliście, w tém nie nasza wina; trzeba w każdym liście powtarzać najdokładniéj swój adres. Francuzi tak robią i dobrze się dzieje. Piszę teraz podług adresu Kamila. — Maurycek na wyjezdnem kazał mi obszernie napisać, czy dobrze czy źle, byle obszernie, o dobroć nie zaręczam, ale o obszerność nie tak trudno, niechże więc będzie i obszernie. Żałuję bardzo, żem się wypaplał w poprzedzającym liście z miłostkami majora Kamila. Słowo daję że nie wiedziałem że to może komu przykrość zrobić w Polance, a jeszcze komu, osobie tak interesującéj. Odwołuję więc; co powiedziałem był fałsz i plotka, pogłoska zbita od dawna, a nigdy bym nie śmiał tego pisać, gdyby mię ten wietrznik Maurycy objaśnił o stanie rzeczy. Z politycznych wiadomości nie wiele mogę państwu donieść, bo czytuję Constitutionela. Zły to dziennik teraz zaprzedany ministrom, choć jak może ukrywa się z tém. Lepszy już National, ale prawdziwie dobrego nie masz we Francyi. Zawsze tak sądziłem, ale nic mnie tak nie utwierdziło w mojém przekonaniu jak mój kilkomiesięczny pobyt na prowincyi. Paryż ze swoją centralizacją władzy reprezentacyi i opinii publicznéj odrodził się w potwór. Co się dzieje na prowincyi to ledwo zasługuje na uwagę Paryża. Potrzeba chyba krwawych scen, jak w Wandei, w Lyonie, Grenoblu, Nimen itd., inaczéj ledwie wiedzą,

że jest 86 departamentów. Strzeżmy się takiéj centralizacyi, jeśli doczekamy się niepodległości. Sprawa polska ściśle jest połączona we Francyi ze sprawą narodu. To tylko szkoda, że kiedy departamenta wschodnie gorzeją miłością dla niéj, Paryż nikczemnik zasypia. Nie uczucia ja jego obwiniam, ale zawsze centralizacją z któréj gdy siła ruchu da fałszywy działaniu kierunek, nie w mocy jest indiwidiuw oprzeć się sile odpierającéj. Umysły wszystkie jak planety jakie obracają się około myśli fałszywych. I chyba zewnętrzna jaka potęga, niby kometa obcego systematu, przybywszy zbija ją z toru i inną myśl wskazuje. Nasi wygnańcy w znacznéj części umieszczeni w Avignon, stolicy prawie złego ducha przestali się już uskarżać na mieszkańców, którym się bardzo podobało, że wielu z nich chodzi do kościoła, kiedy żaden liberalista francuzki pod karą uchodzenia za Jezuitę lub Karlistę, nie śmie się tam pokazać. Rzeczywiście jest, że Polacy z natury swojéj są przyjaciołmi wszystkich partyi we Francyi, prócz téj, która panuje, a téj ani liberaliści, ani Karliści nie cierpią. Co teraz rząd zrobi z wygnańcami w Avigniońie, o tem się państwo dowiecie z listu drukowanego. Nie smucić się z tego, ale radować potrzeba, nie odstręczać, ale zachęcać Polaków do jechania tutaj. Dziś jest źle, a jutro będzie dobrze, bo musi tak bydź. Ani głowa Filipa, ani potęga jego, ani szczekania partyi du juste-milieu, nic w tem nie poradzą. Tą a nie inną drogą zwykły dążyć do upadku wszystkie systemata polityczne we Francyi. Filip gwałtem łączy nasz interes z interesami Francuzów, i jeszcze parę takich aktów, a albo on poleci, albo z gruntu wywróci system Periego. Nasi do Ameryki nie pojadą. Kamil jest autorem tego projektu, a ja go za to nie ganię; bo bez podobnego rozumowania nie podobna działać jak rozum i honor rozkazuje. Z listu Kamila, który tu w oryginale

załączam, dowiecie się państwo o utworzeniu nowego komitetu narodowego przez Polaków będących w Avignionie. Wybór tych osób czy będzie potwierdzony przez wygnańców w innych miastach, tego nie wiem; to tylko wiem i to pewna, że akt ten jest wyraźną reakcją arystokratyczną, która koniecznie musiała wyniknąć z obecności w komitecie narodowym dwóch klubistów, sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, najgorzéj jednak widzianych w wojsku. Ja przewidywałem tę reakcyą, wciąż pisywałem do komitetu narodowego, jak źle jest widziany przez Polaków na prowincyi, i że potrzeba żeby dwie osoby z niego ustąpiły. Nic to nie pomogło i same intrygi panowały w Paryżu. Potrzeba było gwałtu i reakcyi do wyrzucenia dwóch ludzi kompromitujących sprawę narodową. Ci ludzie widząc przychodzące ze wszech stron protestacye przeciw sobie, postanowili gwałtem rządzić wygnańcami, i nie ustąpić aż gdy cały komitet upadnie i gdy zgromadzenie ogólne Polaków w Paryżu rozwiązanem nie zostanie. Żądali, aby komitet narodowy w obec Europy oświadczył się za rzecząpospolitą, żeby wydał wojnę wszystkim królom. Mieli przez parę dni 30 krzykaczów w swojéj partyi. Potem liczba tych ostatnich na 14 zeszła, a wreszcie gdy od razu 318 protestacyi przyszło z Besançon, partja ich do trzech się zmniejszyła, i to są Katony, Wasyngtony Polskie. Porzucili tedy komitet Gurowski i Krępowicki, a widząc że co żyje powstaje na nich, usunęli się nawet z ogólnego zgromadzenia Polaków w Paryżu razem ze trzema swemi podporami Płuzańskim, Pułaskim i Janowskim. Czyński zrobiłby to samo, lecz wysłany został do Niemiec w ambasadzie. Wstydu nawet nie mieli wszyscy pięciu swój postępek ogłosić w gazetach. Francuzi się dziwili i litowali. Teraz mniemana partja republikańska złożona ze dwóch Mechesów, z jednego księdza i jednego warjata i z jednego nieznajomego mi.

Chcą oni władzę najwyższą ogarnąć nad wygnańcami, w potrzebie łby im ścinać na przypadek rewolucyi w Paryżu, a potém jeśli da Bóg doczekać w oswobodzonéj przez nią ojczyznie, szczęśliwie i spokojnie władać całym narodem. O wy Różnieccy Lubowidzcy! nierobiliście tyle złego narodowi. Rzecz idzie o ułożenie z tych osób konwencyi polskiéj, czy czegoś innego w Paryżu. Ale dosyć już o tem; Maurycy poleciał do Paryża i narobi im bigosu. Ja za tydzień najdaléj pojadę, także mu będę pomagać.

Maurycy dzieło swoje już ukończył, pojechał tylko do Paryża, aby tam z materiałów jakie są korzystać, a przed przyjściem z Galicyi dzienników, o które prosił, trudno mu będzie do druku podać rękopism. Są myśli ogólne, w których się z nim zgadzam, są w których przeciwnego jestem zdania, są wreszcie zupełnie moje. Co do pierwszych całe klamantes przeciw nieudolności partyi rewolucyjnéj, przeciw Lelewela słabemu charakterowi. Sprzeciwiam się zaś jemu, i będę pisał moje przeciw jego dziełu za to, że ciągle panegiryki sadzi władzy despotycznéj, którą samą uważa za zdolną ratować naród niechcąc rozumieć; że czy despotyzm, czy arystokracja, czy sejm, czy klub, czy konfederacja, mogą zbawić lub zgubić kraj, jeżeli władza celu narodu nie pojmuje, jeśli nie zrozumiewa jego życzeń. Zresztą zabijam go tą uwagą, iż despotyzm dyktatorski zfałszował rewolucyą u nas, a zcentralizowana i prawie despotyczna władza Krukowieckiego zupełnie ją zabiła. On jest przeciw sejmowi, ja tylko za zawieszeniem działań jego w czasie rewolucyi. Dużośmy się w téj mierze kłócili; ma on swoje racje, mam i ja moje, ale sprzeciwiam się także jego sposobowi uważania potęgi Rossyi za bardzo straszną teraz. Jeśli się objaśniemy wzajemnie, ja mu dorobię rozdział o narodowości władzy najwyższéj, i o dążności Rossyi od 19 wieku. Będzie to krótko, jasno

i w wielkim związku z przedmiotem. Jeśli zaś nie zgodziemy się, to nie napiszę o tém. Moje postrzeżenia w téj mierze już były częścią drukowane w Revue Encyclopedique i zasłużyły na pochwałę tych osób, o których zdanie dbałem, częścią są jeszcze w moich notatkach. Przyrzekłem mu także napisać rozdział o chłopach naszych, nie wiem czy mi się to uda, choć mam dosyć materiałów. Wreszcie Maurycy zupełnie przyjmuje moje myśli o arystokracyi, którą lekko tylko dotknąłem w mojéj rozmowie z Lafayetem, które późniéj w Revue des deux Monde nieco rozwinąłem, a które dziś wyraźniéj dla Maurycego wykładam. Udziału w dziele Maurycego mieć nie będę, i co sam zrobię to on powie w przypisku że jest mojéj ręki, co weźmie z pism moich to zacytuje że jest moje. Zresztą niech sam za siebie odpowiada, tak jak ja za siebie. Sołtyk Roman ma mu wygotować niektóre rzeczy, i za to go za współautora swego na tytule dzieła przybiera. Bardziéj zaś uczyni to dla imienia, bo dosyć znać Sołtyka, żeby wątpić o jego zdolnościach autorskich. W każdym względzie będzie to bardzo ważne dzieło, takie nawet, jakiego żadna epoka naszéj historyi nie miała. Maurycy choć bredzi często, ale bredzi rozumnie, a tysiące prawd które wykłada, sowicie nagradzają zboczenia w ogólnych widokach. Wydziwić się nawet nie mogę, zkąd mu się wzięła bezstronność; jemu, co od czasu jak go znam, zawsze mu ganiłem duch stronniczy. Jeśli w przeciągu trzech miesięcy mógł on zacząć i skończyć swoje dzieło, nie ulega wątpliwości, że w przeciągu drugich trzech zupełnie wygotuje do druku, pierwéj nawet w miarę jak się zacznie tłomaczyć, będzie drukować, ale żeby opóźnienia nie było, żeby nie stracił na spekulacyi, potrzebuje pieniędzy. Wiele tam państwo dostaniecie tyle weście, połowę lub dwie trzecie, niech weźmie ojciec autora na podróż do Paryża, a resztę autorowi przyszle. Jadąc do Paryża

proszę nie brać ani bryczki, ani koni, ani człowieka. Przed kilku dniami, węgrzyn jeden z wojska polskiego przyjechawszy dwoma końmi, musiał je za bezcen sprzedać, nie dla tego żeby tu konie nie popłacały, ale że trudno od razu znaleść kupca. Francuzi są jak żydzi, nie opuszczają sposobności korzystania, czekać zaś aż się kto nadarzy, niepodobna; bo koszta utrzymania koni są niezmierne. Człowieka nie brać, bo w Deliżansie koszt podwójny. Jadąc, koniecznie starać się przejeżdżać przez Metz, zgłosić się tam do pana Dornes adwokata, Place St. Louis Nr. 36., tudzież do pana Woizhaye adwokata rues des Cleres. Pierwszy z nich mnie szczególniéj, drugi Maurycemu szczególniéj się podobał, oba zaś są nasi najwięksi przyjaciele. Kamil fałszywie wystawił koszta pobytu w Paryżu. Obiadu dobrego za franka nie dostanie, ja sam pięć lat żyłem, więc wiem o tém lepiéj. Jadałem był przez kilka miesięcy za franka, ale się rozchorowałem, dziewięć miesięcy kawęczałem z tego. Doktór mi wyraźnie zabronił tanio jadać, bo dają mięso stare, któremu chlorkiem zły odór odejmują, dają koty zamiast królików, tłustość stara bez odoru zamiast masła, zupom kolor i smak mięsny nadają za pomocą smażonéj cebuli etc. Przymuszony więc byłem jadać za 50 franków miesięcznie i to nie w traktierni, ale à table d'hôte, bo w traktierni wszystko piękniéj za tę cenę, ale wszystko złe, trzeba chyba drogo zapłacić żeby jeść dobrze. Przypadkiem tylko, na kilkanaście dni przed przybyciem do Paryża Emigrantów, znajomy mi od dawna poczciwy Niemiec jeden nazwiskiem Szteinhauser, otworzył prywatnie table d'hôte na 30 franków miesięcznie, ubogo to, kuso, ale uczciwie, tak jednak mało że bez dobrego śniadania nie obejdzie się. Potem że tam sejmiki polskie wciąż się odbywają, niepodobna więc jadać spokojnie. Trzeba z pewnością na 50 franków rachować dobry obiad gospodarski, bez wymysłów układ zrobiemy

uczciwie. Jeżeli droga do Paryża wypadnie na Frankfort nad Menem, życzę tam uprowidować się w drobiazgi angielskie, bo tego nie masz we Francyi. Dla mnie proszę kupić trzy scezoryki podwójne lub poczwórne, byle dobre. Jeden ja zatrzymam, drugi Maurycy, a trzeci będzie dla złodzieja. Sprowadziłem sobie z Londynu żelastwa, ale mi wiecznie kradli oddawający wizyty. Wolę więc mieć na zapas jeden scezoryk dobry, wydatek na to zwrócę. Pobyt nasz w Metz był najprzyjemniejszym, Maurycy twierdzi, że nigdy w życiu tak szczęśliwym, i tak swobodnym nie był. Żyje on jak żył dawniéj, tylko mniéj jada, o jednéj kawie czeka cierpliwie do piątéj obiadu. Ja przeciwnie, i śniadanie jem odlewane i obiad z apetytem, polskich obyczajów nie zapominam, a na późne obiady się krzywię. Bywaliśmy bardzo często na zaproszonych obiadach, ale nieznośny jest zwyczaj we Francyi, po obiedzie kilka godzin z damami się bawić. Kiedy muzyka jest to jeszcze dobrze, ale kiedy jéj nie masz, zmykam bez ceremonii zostawiając Maurycego, albo jeżeli można wymykamy się obydwa do bliskiéj jakiéj kawiarni, i tam sobie palimy cygara. U Maurycego zawsze język jak na kołowrotku, wciąż gada i ma o czem. Każdemu dogodzi, każdemu się podoba, nawet i Karlistom. W poprzedzającym liście doniósłem był o sympatjach miłosnych pana Maurycego do panny Klementyny S... wszystko była szczera prawda... dodać tu tylko winienem, że wyjeżdżając nie jedną, ale trzy zostawił. Pani B. młoda i ładna mężatka najszacowniejsza z dam tutejszych, która z twarzy i z charakteru wiernym jest obrazem Francuzek, chociaż konduity ich nie ma. Trzecia zaś jest panna jedna, któréj ani imienia ani pierwszéj nawet litery nie wymienię. Te trzy oblubienice nazywam trójcą miłości Maurycego, czego bowiem która niema to zawsze w dwóch drugich znajdzie. Przymioty mają jednakowe, ale zalety odmienne, różne charaktery

różne talenta. Zawsze atoli panna Klementyna ma potężną przewagę, straciła tylko łaskę, kiedy gotując się na koncert przyszedł do niéj z rana przed ósmą, panna blada w papilotach źle wyglądała, ostygł więc nieco dla niéj, ona to spostrzegła, a że niesłychanie czuła, więc biedna kilka nocy nie spała i była jeszcze bledsza. Matka się skarzyła przed Maurycym, a ja mu śpiewałem z familii szwajcarskiéj, a nikt tego nie zgadnie dla czego smutną bywa!" Przyszedł nakoniec dzień koncertu. Maurycy miał wybrać dla siebie fortepian, wiele dam oświadczyło mu się ze swemi instrumentami, bo tutaj jak na całym świecie damy szukają zaszczytu nie z siebie ale z tego co do nich należy. Czy to mąż, czy kochanek, czy pies, czy fortepian, i Maurycy wiele miał do wyboru doskonałych fortepianów, ale wahał się w wyborze między dwoma tylko i to najgorszemi; ponieważ jeden był pani B. a drugi panny Klementyny S. Pierwszy nie równie był lepszy, wszyscy amatorowie to przyznali, wniesiono go nawet na teatr, ale Maurycy po długiém wahaniu odesłał go nazad, a dał pierwszeństwo fortepianowi panny Klementyny! Pan Solleral major stary od Saperów, wielki oryginał, człowiek co się uczy polityki z Monitora, dyrygował Orkiestrą. Na próbach gdzie brakło instrumentu chrapliwym głosem przez nos dośpiewywał solo. Nakoniec tak się umachał rękami, tak się kręcił, że nazajutrz dostał kurczu, w prawéj ręce drgania, w nogach boleści, głowy bólu, gorączki i niestrawności żołądka. Myśleliśmy że to cholera morbus. Zaczął się koncert od Symfonii, chorów, ouvertur. Pani B. także śpiewała w chórach, a trzecia osoba trójcy, osoba którą nie wymieniam ani pierwszéj litery nazwiska, choć lepiéj śpiewa jak panna Sontag, nie chciała z siebie robić widowiska. Maurycy to ganił, a ja pochwalałem, bo ta panna jest bardzo piękna, a jak śpiewa jeszcze piękniejsza. Nie wiadomo czy wdziękom,

czy talentom dawano oklaski, a ona tak skromna, tak lękliwa, że kiedy w pokoju ma śpiewać, ziębnie od strachu i czarną kawę pić musi. Po śpiewach, po symfoniach, po solach na arfie i klarynecie, pan Solleral wyprowadził na scenę naszego delikwenta. Tysiąc oklasków, tysiąc lornetek błyszczały zewsząd przy rzęsistém świetle, powitali go z tysiącznemi okrzykami, a ile było loż, tyle bateryi perspektyw. Za nic Grochów, za nic Ostrołęka, co tam było strachu dla Maurycego. Ale się nie zląkł i grał koncert Humla. Tak się zaś wyelegantował, żebyście go państwo nie poznali. Pozwolił mi z sobą zrobić co chciałem, obciąć włosy, faworyty, ogolić cały podbródek etc. Wszystko było jak można najpiękniéj. Kto powiedział że on nieładny chłopiec, grubo się pomylił. Tak zaś dobrze elegancją poznał, że niewiedzieć dla czego cały dzień fajki nie palił, kazał nakupić dla siebie wódek pachniących, pomady do włosów, do faworytów, w życiu tego nie miał w zwyczaju. Że grał doskonale, to nie nowina, że po każdym solo, po każdym passażu rzęsiste sypano brawo, to nic dziwnego. Wszystko mu się udało dobrze. Pan Solleral stojąc za nim nieraz o mało nosem o fortepian nie uderzył, tak się nachylał, wykręcał, raz nawet wybijając takt w ferworze muzykalnym wyciął w głowę Maurycego, szczęściem że mało kto to widział. Maurycy 23 Marca był królem dnia w Metz; o nikim nie mówiono tylko o nim. Posyłam państwu artykuł jednego z tutejszych dzienników, mowa tam jest i o Maurycym i o Polance. Rrzeczywiście to dziwny chłopiec, obywatel znakomity. Znają go tu wszyscy z gazet, żołnierz dobry, bohater Grochowa i Ostrołęki i dnia 29. Listopada chlubnemi ranami okryty, pisarz wyborny, mówca rzadki nawet we francuzkim języku, literat, filozof, polityk, artysta, a co lepsza nad wszystko że kochany najukochańszy. Ja tu aż hardym się zrobiłem, widząc, że mówiąc o nim i mnie téż wspo-

minają „Musi to być nielada człowiek kiedy ma takiego przyjaciela," tak mówiono o mnie, „tylko że zimny, roztargniony tetryk, potem nieznany." Przypomniałem sobie nieraz ów wiersz Szubrawski o X. Laterna: „Sprawa mizerna bo X. Laterna, ni u herbarza, ni u księgarza, ni u drukarza, ni dziennikarza nieznany etc." Po koncercie pani B. przysłała Maurycemu exemplarz koncertu Humla i napisała własną ręką, czyli rączką, jak Maurycy mówi, że mu na pamiątkę daruje. Co się działo w czasie koncertu z biedną panną Klementyną, o tém proszę się domyśleć. Miałem dobrą perspektywę i nie spuszczałem jéj z oka. O królu Salomonie! jakżeś ty mądrze powiedział, żadne oko nie dostrzeże drogi ptaka na powietrzu, drogi łódki na wodzie i drogi miłości. Dosyć o tém. — — Jeśliście państwo nie odebrali dotąd ostatniego listu naszego, proszę się zgłosić po niego czy do Lwowa czy gdzieindziéj. Przez jenerała Rożyckiego proszę przesłać co tylko można. Posyłam tu list Maurycego do Miączyńskiego, i mój list urzędowy. Proszę aby jeden i drugi skutek swój otrzymały. Pani Głogowskiéj, pannie Zofii, pannie Olympii, pannie Klementynie moje najniższe ukłony i uszanowanie. Państwu zaś samym nic więcéj powiedzieć nie mogę nad to, że was kocham i cenię sercem syna.

Michał Podczaszyński.

Z Metz dnia 27. Marca 1832. Place de Chambres hôtel de Victoire.

Maurycy Mochnacki do Matki.

Paryż dnia 18. Kwietnia 1832. Rue d'Anjou D'aufine hôtel de Navarre Nr. 5.

Kochana Mamo!

Od pierwszego Kwietnia tu siedziémy, z Kamilem razem zjechaliśmy się do Paryża, on z Avignon, ja z Metz, gdzie skończyłem rzecz o rewolucyi polskiéj. Wiele mi jednak do czynienia zostaje, trzeba tłómaczyć, tłómaczenia francuzkie dawać Francuzom do poprawy, zbierać materjały les pièces justificatives i t. d. a szczególnie potrzeba pieniędzy na druk, gdy to wszystko skończone będzie; inaczéj bowiem niebyśmy nie zarobili. Wiem, że wrócą się koszta edycyi, ale kłopocę sobie głowę zkąd na to wziąść pieniędzy. W tym celu pisałem do Eufrazego Miączyńskiego, i proszę Mamy, żeby także napisała do niego w interesie pomienionym. Komitet galicyjski bardzoby dobrze zrobił, gdyby wszedłszy w położenia nasze, posłał dwa do trzech tysiący franków do Paryża pod adresem Podczaszyńskiego na ten tak ważny interes, z wyrażeniem w liście, żeby na ten a nie inny cel pieniądze przysłane obrócone były. Najmniejszego niemam wyobrażenia o tym komitecie. Więc nie wiem co Miączyński zrobić może; wiem tylko z pewnością że dla mnie uczyni co będzie mógł po dawnéj znajomości. Czy Papa nie wrócił jeszcze od czasu jak ostatni list Mamy odebraliśmy? Czy zdrów? Czy wszyscy, Mama, Ciocia Olimpka, pani Cieńska, cała moja kochana familia zdrowa? Proszę Mamy o najdokładniejsze wiadomości w téj mierze. My jak możemy opieramy się cholerze, która dziwy w Paryżu wyrabia. Widać że ta choroba tem dzielniejsza im większa atrakcja massy. Co za postrach, jaka trwoga w tym ludnym, ogromnym Paryżu, od 29. Marca do dnia dzisiejszego 14,000 ludzi umarło. Quelle mortalité imposante! Buletyny urzędowe

jak mogą tak kłamią, albo zmniejszyć obawę, ale to nic nie pomoże, bo na ulicach tylko trumny i karawany, albo łóżka osłonione płótnem pokazują się. Bladość i smutek tak rozpostarty na twarzach ludzi, że jak cienie chodzą i tak wyglądają, a w nocy jeszcze gorzéj. Mój Boże! co się to z Paryżem stało, dawniéj do pierwszéj godziny po północy pełno świstu, hałasu pojazdów, ludzi na wszystkich placach, niezliczonym rozsypujących się gminem. Śpiewy, tańce, gry, krotofile, a teraz o godzinie 9. w wieczór żywego ducha nie spotkać, umarłych tylko wożą a wożą, już nie w karawanach, ale po kilkunastu trupów na jednym wozie. Postrzegłszy raz w nocy taki wóz, dostałem kataru, zdawało mi się że zamiast woźnicy siedzi na wozie pierwszy minister cholery, która teraz tyle znaczy dla Francuzów, ile największe mocarstwo na świecie, tak się jéj wszyscy boją, że osobliwie francuzka, a przedewszystkiém wielkie panie paryzkie umierają z samego strachu. Izby przeklęte Justemilieu uchwaliwszy najniegodziwsze prawo dla cudzoziemców, uciekło z Paryża. Czemuż nie siedzieli w Paryżu? możeby doktrynerów przerzadziła cholera. Kto w Boga wierzy, umyka z zapowietrzonéj stolicy. Ale gdzie się kto schroni przed cholerą, która jak czarownica po powietrzu wojażuje. Lud Paryzki nie chciał z początku wierzyć temu i zbuntował się naprzeciwko władzy rozumiejąc, że go oszukują. Ogromne massy pospólstwa oblegało *Quais*, mosty St. Denis. Musiało ministerstwo użyć siły. Przypuszczono szarże do ludu przez kilka dni. Lud uwolnił więźniów w St. Palagie, już się zanosiło na coś okropnego, gdy w tém nagły postęp cholery, któréj wszelka irytacja sprzyja, uwolnił massy od supozycyi pod tym względem, a rząd od potrzeby przekonywania ich bagnetami, że rzeczywiście cholera zabija ludzi. Ja i Kamil kilka dni byliśmy także słabi, ale nie na cholerę tylko na cholerynę, to jest na początki cholery.

Lecz wyzdrowieliśmy nic nie jedząc, prócz rosołu i mięsa, a szczególniéj pijąc bardzo wiele herbaty z czerwoném winem i paląc wiele tytuniu, to jest jedyne lekarstwo. W skutku prawa przez izbę ustanowionego *Perier* może z nami zrobić co mu się podoba, zupełnie teraz Polacy od jego woli zależą. Pozzo di Borgo wygrał więc sprawę z emigracją polską, nie bez porozumienia się z takimi ludźmi jak *Plater*, *Jelski*, *Łubieński*. Ci prawdziwi agenci cara w Paryżu zostają w ścisłém porozumieniu z Kniaziewiczem starym, który ich słucha, i popularność imienia swego na złe dla emigracyi naszéj używa. Rzecz się do tego nachyla, że ministerstwo francuzkie emigracją polską za pomocą Kniaziewicza, albo odda w moc Moskalów, albo wyszle czy do Algieru, czy do Martyniki, czy do Gwadalupy, byle tylko we Francyi tyle Polaków nie było, bo to kole w oczy cara. Bo ta emigracja we Francyi jest na kształt korony drzewa, mającego korzenie swoje szeroko rozpostarte w ziemi polskiéj. Każdy z nas cośmy tu przybyli zostawił w kraju ojca, matkę, braci, siostry, krewnych, przyjaciół, znajomych. Ten stan owdowienia ojczyzny, ten stan narodowego sieroctwa dziwnie sprzyja interesowi przyszłéj Polski, i nie dozwoli zabliźnić się głębokim ranom, które ostatnie powstanie wznowiło i zakrwawiło, utrzymuje emigracja każda pozostałych w nadziei, w oczekiwaniu, w niespokojności. Otóż tego właśnie car sobie nie życzy, a pełnomocnik jego co może robi, żeby pobyt we Francyi Polaków stawał się coraz nieznośniejszy. Za jego to przyłożeniem się Izba nous a declaré hors de loi, to jest wszystkich cudzoziemców, a zatem i Polaków. Teraz zależymy nie od praw krajowych, ale od administracyi. Za jéj przyłożeniem się coraz zmniejszają gażę oficerom naszym, tak że już teraz nie tylko ubrać się, ale nawet jeść co nie mają. Nareście za sprawą Moskwy przerzucają Polaków z miejsca na miejsce, aby mieszkańcy

którzy ich kochają nie mogli im życzliwości swojéj okazać. Słowem Ludwik Filip et le Gouvernement d'Epiciers są uniżonymi sługami cara, który szpony swoje jak djabeł z Petersburga aż tu rozciągnął, żeby nas ztąd porwać i na stepach lodu osadzić. Co się z nami daléj będzie działo, tego nie wiem; to pewna jednak, że kiedy cholera przeminie, nieobejdzie się bez scen, bez podburzeń w imieniu krzywdy, którą rząd dla dogodzenia carowi emigracyi naszéj wyrządził. Bil reformy przeszedł w Anglii. To straszne skutki za sobą pociągnie. Ja się do niczego nie wdaję, siedzę cicho zajęty pracami które mi coś przyniosą w swoim czasie. Lecz jak będziemy żyli z Kamilem trzy czy cztery miesiące w Paryżu, tego nie wiem, z Paryża się nie ruszę, bo mi idzie o moje dzieło. Dzieło to wydać muszę, żeby się plotki w Europie nie szerzyły. Zresztą wypowiedzieć Mamie nie mogę co to jest emigracja. Daj Boże żebyśmy w kraju życie nasze skończyć mogli. Nic mię bardziéj nie martwi jak straszne głupstwo szanownych współziomków naszych. W rewolucyi wierzyli Chłopickiemu, który był po prostu instrumentem Lubeckiego, tu wierzą Kniaziewiczowi, który jest (choć sam nie wie o tém) instrumentem Pozzo di Borgo, nastraja za pomocą Platera, Łubińskiego, Jelskiego, wszystko co chce car, lecz wkrótce przekonają się co jest Kniaziewicz. Zostawiam Kamilowi miejsce, ściskam rączki kochanéj Mamy i całemu domowi, Pani Cieńskiéj zasyłam moje ukłony.

Maurycy Mochnacki.

Kamil Mochnacki do Matki.

Najukochańsza moja Mamo! Na ostatni list, który pisałem z Avignon do Polanki, żadnéj jeszcze odpowiedzi nie odebrałem; wiem jednak, że doszedł, bo to z o-

statniego listu Mamy, pisanego do Maurycego, dowiedziałem się. Jeżeli Mama pisała do Avignon, to mnie list zawsze dojdzie, bo zostawiłem w téj mierze stósowne polecenia. Nie pisałem zaś do tego czasu dla tego, że mocno jestem zatrudnionym i nigdy w takich kłopotach się nie znajdowałem jak teraz. Donosiłem w ostatnim liście, że byłem zmuszonym wyjechać z Paryża przez władze miejscowe, które podmówione przez nieprzyjaciół, koniecznie domagały się mego wyjazdu. Pojechałem więc do Avignon i bez przykrości nawet żadnéj to uczyniłem, bo natura ciągnie wilka do lasu, i mnie téż ciężko odzwyczaić się od życia i towarzystwa wojskowych; miło mi zawsze znajdować się między tymi, z którymi przepędziłem moje młode lata. — Niedługo jednak siedziałem w Avignonie. Podobało się ziomkom i towarzyszom broni, zaszczycić mię swojém zaufaniem i mianować Członkiem Rady Centralnéj, któréj w Paryżu kierunek interesów polskich ma być powierzony. Nadaremne były moje wymówki i oświadczenie, że nie czuję się na siłach odpowiedzieć tak wysokiemu zaufaniu i że położenie Polaków w obecnéj epoce zbyt jest trudne, aby każden przyjmujący na siebie obowiązek opiekowania się i czuwania nad ich losem, nie miał przed oczyma całéj odpowiedzialności, jaka spadnie na niego, jeżeli się pomyli, lub nie wykona poruczeń, lub téż wpadnie w sieci zręcznie zastawione przez mnogich nieprzyjaciół. Wykręcałem się jak mógłem; nic nie pomogło. Utrzymano mię, czyli raczéj narzucono urząd, który, jak powiedziałem, niezliczonych przykrości dla mnie staje się przyczyną. Już musiał Maurycy poprzednio donieść, którzy są ci, których Polacy zwołali do Rady Centralnéj. Są to ludzie znani już ze swego nieugiętego uporu w przesądach i zastarzałych zdaniach. Za nic nie poświęcą swoich zasad. Ale noszą imiona, które magiczny wpływ wywierają na naszych ziomków. Nic

więc u Polaków nie może się obejść bez Czartoryskiego, bez Niemcewicza, Kniaziewicza i t. d. Może sobie więc Mama wystawić, jak trudno dla mnie i zadosyć uczynić temu co Polacy żądają i zostać w zgodzie z dygnitarzami, którzy nic nie mogą dokładnie pojąć, tém mniéj, wykonać woli ziomków. Jest więc wielkie niebezpieczeństwo, bo *Perier* każdego z nich oszuka, zrobi to z Polakami, co mu się będzie podobało, a wina spadnie na nas, żeśmy pozwolili dać się oszukać. W miarę tego jak się pogorsza nasze położenie i ja téż jaśniéj zaczynam się tłumaczyć przed tymi, którzy mnie swoim reprezentantem zrobili, a nakoniec powiem wyraźnie, że za nic dopóty nie ręczę, dopóki będą wpływać do naszych interesów ludzie, którzy potylekroć już nas zgubili i teraz jeszcze na emigracyi polskiéj nie omieszkają wytłoczyć pieczęć swéj zarozumiałości i niedołężności aż nadto znanéj. Mam wszakże nadzieję, że co bądź się stanie, ja jednak z honorem wyjdę z téj sprawy i nikt nie będzie miał prawa obwinić mię o niedopełnienie powinności, bo jestem bardzo czynny, na wszystko patrzę, wszystkiego przestrzegam i z każdego kroku przed Polakami najskrupulatniéj zdaję sprawę. . . . . .

Jest więc teraz wielka różnica między mną i Maurycym. Ja z natury mego urzędowania w Paryżu jestem ustawicznie zajęty w pracach; on przeciwnie zeszedł do najprywatniejszego życia; nic go nie interesuje, i oprócz książki, którą chce drukować, o niczém nie myśli i nie spekuluje, tylko o sposobach wydrukowania jéj, lecz małéj rzeczy mu braknie, bo tylko 3000 franków, już nawet postanowił nakoniec zakochać się i ożenić z jaką bogatą wdową, ale także mu małéj rzeczy brakuje, bo takiéj bogatéj wdowy któraby się w nim zakochać chciała. Jest więc w największéj desperacyi, przy tem cholera go strasznie niepokoi, non par exellence nie lubi cholery i granatów, więc twierdzi że jeszcze kampanii nie

skończył, i dopóty nie skończy, dopóki będzie się znajdował w stanie obronnym przeciwko téj drapieżnéj cholerze, broni się więc od niéj ustawnie, to jest: pije niezmiernie kawę i herbatę, ale tak nieznośnie że ani kawy, ani herbaty, ani wina nastarczyć nie można.

Muszę tu oskarzyć brata przed kochaną Mamą. Napisał on podobno coś bardzo złośliwego na mnie i poważył się nawet dotknąć w swoim liście mojéj kochanéj siostry Klimki Głogowskiéj. Dowiedziałem się o tém wszystkiém z listu Mamy który, mu podkradłem; bo nie dosyć, że się dopuścił występku obmowy, ale nadto miał serce schować przedemną tę część listu Mamy, w którym o tém była wzmianka, i wyparł się wszystkiego. Choć śmiem sobie tuszyć, że to co powiedział o mnie niegodziwy Maurycy, nie znajdzie wiary u szanownéj rodziny; jednak na usprawiedliwienie moje nic więcéj nie powiem jak tylko to, że choćbym rzeczywiście dopuszczał się takich zdrożności, o które mnie obmawia, zapewneby o tém ludzie nie wiedzieli, a tém mniéj on, który odwieczne ma upodobanie wtrącać się w to co do niego nie należy, domyślać się, wpadać w dowcipne wnioski, zabawiać się plotkami. Lecz wszystko to darowałbym mu, i porachował na karb jego troskliwości braterskiéj gdyby sam zachowywał: un stricte regime de la retenu et de modestie precieuse, ale na nieszczęście doszły do mojéj wiadomości takie rzeczy, które wcale o czém inném świadczą. Bawiąc w Metz tak się przysiadał do jednéj młodéj Karlistki, dopóty jéj szeptał w ucho przy fortepianie, że aż za nim owa Karlistka przyjechała do Paryża, i nie małego go nabawia kłopotu; teraz wywija się jak wąż między cholerą a Karlistką. Lecz o tém wszystkiém niech Mama nie wspomina przed ludźmi, i ta moja prośba niech będzie dowodem, że ja nie jestem tak złośliwy jak on. Siostrę Klimkę przepraszam za wszystkie inkonwenanse które Maurycy

popisał, i proszę niechaj wierzy, że pan Maurycy oprócz wielu innych złych nałogów, łączy nałóg najszkaradniejszéj zazdrości, który mocno jest zaszczepiony w jego duszy.

Z największą niecierpliwością oczekujemy téj epoki, w któréj już z pewnością będziemy mogli spodziewać się przyjazdu naszego kochanego Papy. Teraz jednak tak niebezpieczny jest pobyt w Paryżu, że nigdybym sobie nie życzył przyjazdu Papy w tym miesiącu, ani dopóty, dopóki zupełnie cholera nie ustanie, co jednak sądzimy, że niezadługo nastąpi. Pisaliśmy do Klementyny Gr...... niedawno, i prosiliśmy aby pan Jan Henryk kilka słów nam przysłał, co się dzieje z Tymoleonem? Czy jest już w Galicyi; bo według tego co piszą o Polsce i Galicyi, nie sądzę, aby tam dla niego było bezpiecznie. Jak tylko zorganizują się Polacy we Francyi i już coś stalszego z nami się stanie, nie zapomnę obmyśleć środki do sprowadzenia go tutaj; bo gdzie tyle oficerów żyje i utrzymuje się, tam i on by mógł się utrzymać, ale jeszcze trzeba zaczekać. Ja tu w Paryżu zapewne będę jakiś czas bawił. Nie źle mi z tem bo jestem au courant de choses, o wszystkiem naprzód wiem, i w każdéj potrzebie mogę sobie zaradzić i o utrzymanie życia zupełnie się nietrwożyć, bo to co skarb daje oficerom mojego stopnia pozwala mi być bardzo à mon aise.

Czytałem w jednym z ostatnich listów przypisek do mnie nieznajoméj kuzynki, któréj dobroć serca umiem ocenić i szanować. Te kilka słów jéj własną ręką pisanych świadczą to wszystko co wiedziałem dobrego i zaletnego o szacownéj kuzynce z opisów mojéj rodziny. Proszę Mamy w imieniu mojém podziękować i zaręczyć nieznajomą moją kuzynkę, że będę usilnie starał się zasługiwać na jéj względy, i że mnie nigdy większy zaszczyt spotkać nie mógł. Czy mama jeszcze długo za-

bawi w domu pani Cieńskiéj? Czy jeszcze Klimka z panią Głogowską tam się znajduje? Na jak długi czas Papa wyjechał? Co ciocia Zosia porabia? Zapewne się nie nudzi wśród tak miłych i uprzejmych osób, i tak dobrych Polek.

Proszę Mamy napisać do Klimeczki Gr..... że od lutego żadnego od niéj listu nie odebraliśmy; dla czego to? Niech nie pisze nic takiego, coby mogło utrudnić przechód listu, lecz niech napisze że jest zdrowa, że jéj córki rosną i gotują pociechę matce, czy będzie mieszkać w Żółkwi? co się z jéj mężem dzieje? Ja rozumiem, że da sobie radę. Papa przysłał tylko dwa poszyty swego pisma o rewolucyi, czekamy z niecierpliwością na resztę. Maurycemu jest ono wielką pomocą, a ja przetłomaczę na francuzki język i wydam tu. Całuję rączki i nóżki Mamy dobréj, kochanéj i całemu domowi, Pani Cieńskiéj zasyłam moje uszanowanie.

Kamil Mochnacki.

Maurycy Mochnacki do rodziców.

Paryż, dnia 12. Lipca 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Przyczyna żeśmy prawie od półtora miesiąca nie pisali, azatem żadnego nawzajem listu nie odebrali z Polanki, było ciągłe oczekiwanie ważnego jakiego zdarzenia, w skutku którego możnaby napisać coś stanowczego, i wziąść jaką radę. Zacząłem był pisać na dniu pogrzebu *Lamarka* 6. Czerwca wśród wielkiego hałasu w Paryżu, ale siódmego podarłem list. Te dwa dni 5. i 6. Czerwca, w których mnóstwo warjatów zginęło dla rzeczy pospolitéj, w których Polacy żadnego udziału nie mieli, zaszkodziły jednak tak nam, jako i całéj sprawie euro-

pejskiéj wolności. Wojsko liniowe i gwardia narodowa, to jest: siła zbrojna nie myśląca i majątek uzbrojony myślący, to wszystko szczerze się biło z republikanami, których męztwu heroicznemu wydziwić się nie można, ale których porywczość niepohamowana żadnemi względami wszystko zepsuła, wszystko skompromitowała. Widziałem stósy trupów saméj młodzieży, wystawionych do rozpoznania nad Sekwanną. Miły Boże! nikt się do nich przyznawać nie chciał! Żadnego nie było starszego nad lat dwadzieścia, a rany, to w głowę to w piersi. Władza upoiła się roskoszą zwycięztwa. Mierni, ale przezorni przyjaciele monarchii, która w błocie Paryzkim się urodziła, myśleli że wielkich rzeczy dokonali zwyciężając garstkę młodzieży, garstkę desperatów wielkiemi massami jazdy i piechoty liniowéj. Po tém zwycięztwie władza wybiegła z granic swoich, ogłosiła się za nieograniczoną, absolutną w Paryżu, to jest: w całéj Francyi, bo system administracyi jest centralny. Oblężenie stolicy żadnego wrażenia nie sprawiło na jéj massach. Nie dziwię się, że Francuzi rzeczypospolitéj niechcieli, to rzecz bardzo naturalna. *La republique n'est pas pour des Epiciers.* Ale że po zwycięztwie nad rzecząpospolitą, którą utłumić pomogli rządowi, dali sobie odjąć wszelkie swobody prawem zabespieczone, że najnikczemniejszemu ministerstwu pozwolili dopełnić aktu tak arbitralnego, na któryby się Napoleon nie zdobył w chwilach potęgi swojéj; że taki stan rzeczy mógł trwać w Paryżu dni kilkanaście, to przechodzi moje pojęcie. Tysiąc kilka set osób aresztowano, między niemi dwóch Polaków: Rykaczewskiego i Szwajgiera, których lud na dni pięć postrzegłszy w entuziazmie swoim dla Polski, porwał, uzbroił i na czele iść kazał; przekonano się o ich niewinności, i przed kilku dniami uwolniono. Sąd kassacyjny z samych prawie Karlistów złożony uznał wszystkie wyroki sądów wojennych za nieprawne. Uczynił to nie

z patriotyzmu, ale dla uratowania Karlistów uwikłanych w tę sprawę. Ta decyzja sądu kassacyjnego postawiła ministerium w osobliwszéj pozycyi. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy powinni oni głowy swoje oddać pod gwilotynę za przełamanie arbitralne ustaw, których Francya przez lat trzydzieści walki nabyła. Przyrządzają się więc straszne rzeczy. Znowu ma nastąpić trzęsienie ziemi. Filip boi się zwołać izby. Karliści intrygują, księżna Berry ciągle bawi w Wandei i organizuje wojnę domową. Lipcowi rewolucjoniści postanowili wytępić Karlistów, Paryż zburzyć, monarchią Filipa w powietrze wysadzić, Europę wyswobodzić finalnie. Rząd przewidując to wszystko, ogromnemi massami wojska otacza stolicę. Nie wiem, jak się to wszystko skończy; to pewna jednak że po śmierci Periego władza straciła głowę. Z tym człowiekiem runął filar du juste milieu. Młody Montalive nie da sobie rady. Soult wyjechał do wód. Dupina wyintrygowano, nie podobały się dworowi jego maniery, jego trzewiki kute gwoździami, jego flamendzka faciata. Trwa więc ciągle anarchia w gabinecie Tuileryjskim.

Mieszkamy w najpiękniejszéj quartier Paryża. Hotel nasz wytworny, ale żeśmy Polacy, więc tani; za dwa pokoiki i gabinet do pisania, za usługę, bieliznę do łóżek, płacimy tylko 40 franków na miesiąc, to jest rzeczą niesłychaną na ulicy Rivoli; o dwa kroki od hotelu mamy ogród Tuilleryjski, codziennie o godzinie 4. do 5. parę tysięcy kobiet, parę tysięcy mężczyzn przechodzi się po alejach tego ogrodu. Tu się zbiega arystokracja finansowa de la Chossé d'Antin z cząstkami feodalnéj de St. Germain. Publiczność pochmurna, mało mówiąca, straszna. O kilka kroków mamy plac wielki Ludwika XVI. gdzie mu głowę ucięto, Sekwannę i pola Elizejskie. W tyle hotelu Bulewary i ulica Castiglione, gdzie także są przechadzki bardzo liczne. Nic piękniejszego jak kli-

mat Paryzki w téj porze, jest to ciągła wiosna. W tym samym hotelu mieszka nasz kochany Nastuś Dunin, a o kilkanaście kroków od nas poważny jego generał i bardzo sławny nawet w Paryżu Dwernicki w hotelu Vindrowskim. Ja bardzo jestem zatrudniony, piszę wiele i bardzo wiele gram na fortepianie, zostanę artystą z potrzeby. Historja moja, któréj dotąd wydać nie mogłem, wyjdzie niezawodnie w języku francuzkim. Pojednałem się ze wszystkimi moimi antagonistami rewolucyjnymi, prócz z szczątkami towarzystwa patriotycznego, które mnie bardziéj nienawidzi teraz jak kiedy, dla tego właśnie że nic nie chcę mieć z nimi do czynienia. Ni ztąd ni z owąd przyszło coś do głowy Sultowi dać rozkaz Kamilowi, aby we 48 godzin wyjechał z Paryża do Avignonu. Domyślamy się, że ten rozkaz był inspirowany przez Kniaziewicza, którégo Kamil wyłajał za dziwactwo i kaprysy, jakie okazywał w ciągu negociacyi z emigrantami. Mocno się to nam nie podobało; bo jak to od razu wyjechać z Paryża z najlepszego hotelu tak bliskiego ogrodu Tuilleryi, i pędzić 180 mil do Avignonu, gdzie tak gorąco, do tego potrzeba najprzód wiele pieniędzy, a potem bardzo wiele ochoty, nareście rozdział między dwoma braćmi zakrwawił serca nasze. Postanowiliśmy tedy wykręcić się z tego, ale cóż? przychodzi komisarz policyi z quartier de Tuillerii i oświadcza najgrzeczniéj Kamilowi, że pan musisz wyjechać, a jeżeli nie pojedziesz będziesz wytransportowany. Kamil tedy rad nie rad gotuje się do podróży. Złość mnie porwała niesłychana; pobiegłem do Kniaziewicza, do Platera i wystawiałem im, jakie skutki wynikną w zakładzie z arbitralnego ich postępku względem pełnomocnika emigracyi w Avignon i Lunel; bo zawsze Kamil w tym tu zostaje charakterze. Nie wiem jaki to skutek sprawiło, wszakże przypadek odwlókł wyjazd Kamila. W nocy zachorował on na zwyczajną swoją słabość piersiową, kaszlał i pluł krwią

przez trzy kwadrance. Z rana doktór Rostkowski, który to Papie tyle winien dobrego, puścił krew Kamilowi i skazał go na tak straszną djetę, że Kamil nieborak przez osiem dni nic a nic nie jadał, prócz poziomek i truskawek z ulicy du 29. juillet i ciągle prawie w łóżku leżał. Napisałem o tym wypadku panu Gisquet Prefektowi policyi i nikt się już nam nie naprzykrza. Kamil przychodzi do zdrowia, i namawia mnie, żebym z nim razem pojechał do Baden, gdzie się chce kąpać, żeby raz na zawsze pozbyć się tego przeklętego defeku w piersiach. Plan Kamila, według którego ten projekt uskutecznić mamy, jest taki: pojechać najprzód z Paryża do Lyonu. Kamil ma bardzo wielu możnych protektorów i przyjaciół, spodziewa się zatém, że za ich pomocą, ja będę mógł dać koncert i zarobić tyle pieniędzy, ile potrzeba do wód Badeńskich. Projekt nie zły, ale ambarasowny dla mnie, boby mnie to na czas niejaki z Paryża wyrwało, nie bez uszczerbku dla pisma o rewolucyi, któremu teraz wszyscy radzi dopomagać. Wszakże muszę to zrobić; bo wolę żeby Kamil mój przewietrzył się trochę i przestał pokaszliwać, niżeli żeby pismo wyszło do druku.

Rękopism kochanego Papy mam u siebie; dalszego ciągu niecierpliwie oczekuję i artykułów moich z dziennika powszechnego. Listy do nas trzeba adresować tak: A Monsieur Monsieur Maurice, Camille, a Paris. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terrasse Nr. 50. Gdybyśmy nie byli w Paryżu, dojdą nas za pośrednictwem gospodarza, mającego instrukcją jak postąpić w téj mierze. Zostawiam teraz miejsce Kamilowi.

Maurycy Mochnacki.

Kamil Mochnacki kontynuuje w tym samym liście.

Aby taka długa przerwa w korespondencyi nadal nigdy miejsca nie miała, postanowiłem każdego dnia dziesiątego pisywać do najukochańszych rodziców najregularniéj i najniezawodniéj. W téj przerwie zaszło wiele wypadków, lecz te znane są już przez pisma publiczne całemu światu; a co do Polaków tym zawsze jednakowo się dzieje po prowincjach, a w stolicy mocniéj ich teraz prześladują niżeli kiedy. Nie wchodząc w żadne powody i tłomaczenia, kazał rząd wielu emigrantom wyjechać, między tymi jestem ja, kolega mój w urzędowaniu i missyi Karól Sztolcman, wojewoda Antoni Ostrowski, Lelewel i t. d. Antoni Ostrowski postanowił nieusłuchać rozkazu, a nadto tak przyzwoicie znalazł się na audiencyi u Montaliveta, że ten się aż przeląkł i rozkaz odwołał. Ja mógłbym zostać w Paryżu, ale o to się nie staram, zwłaszcza że dla słabości zdrowia koniecznie muszę pojechać do Baden. Wody te mają pomódz mojéj słabości, tak przynajmniéj mówią doktorowie, ale mnie się zdaje, że tylko czas może mnie wyleczyć i niesłychanie umiarkowane życie. Nie są to suchoty; bo już od dwóch lat przeszło kaszlę prawie ciągle. Po kilkanaście razy w tym przeciągu miałem gwałtowne napady krwi, a jednakże nie umarłem jeszcze, więc musi to być słabość, która mnie się będzie trzymać do czasu, a potém sama opuści. Podług ostatniego listu Papy datowanego z dnia 4. Maja z Nowosiołek, musi teraz Papa znajdować się w Szczawnicy, może i cała familia tam się znajduje; lecz nie możemy sobie wytłomaczyć dla czego przez tak długi czas nie odebraliśmy żadnéj wiadomości z Polanki, nawet Maurycy nie odebrał tego listu o którym Papa wspomina z Nowosiołek że osobno do niego pisze. Była téż dość głośna wieść, że wszystkim Polakom emigrantom kazano wyjechać z krajów austry-

jackich. Nie sądzę, aby ten rozkaz stósował się także i do Papy, gdyż w liście ostatnim z wielką pociechą wyczytaliśmy, iż Papa uzyskał naturalizącją i wolność wyjechania dla interesów za granicę, skoro tego będzie sobie życzył. Dotąd jeszcze jesteśmy razem z Maurycym, a nie wiem jak daléj będzie. Chciałbym żeby zemną pojechał do Lyonu, zkąd alboby wrócił do Paryża, albo zemną pojechał do wód. Tam przez cały Wrzesień myślę bawić, a na zimę wrócę do Avignon albo do Paryża. Ale to wszystko jest projekt, licznym zmianom może uledz; a czy można w naszem położeniu na coś stałego liczyć? Los Emigrantów tak zmienny, tak niestały, dziś tu, jutro tam, pojutrze znowu gdzieindziéj; i lepiéj jest z tém, bo w ustawnym ruchu, w ciągłych niepewnościach nie ma czasu ważyć i zastanawiać się nad ogromem nieszczęścia które nas spotkało. Ale czyż my to pierwsi tułacze na świecie, małoż to królów pomazańców włęgało się po tym świecie, tak jak dziś Polacy? a może téż przyszłość ta, do któréj wzdychamy bliższa jest niżeli nam się zdaje! Dobrze tutaj jest, jeżeli dobrze być może na wygnaniu, ale lepiéj byłoby w rodzinnym kraju; stokroć lepiéj razem z osobami, do których przywykliśmy od dzieciństwa, bez których żyć trudno tak jak bez powietrza! Człowiek młody na wygnaniu bez lat starzeje się. Słowo w słowo tak się dziać miało po rewolucyi Kościuszki. Cała arka rozbita zbiera się powoli we Francyi, w Paryżu mało kto żyje z Polaków, wszystkich jest zaledwo kilkadziesiąt, i ci co są, myślą wyjechać na prowincją; bo Paryż cudne miasto, ale to miasto dla Emigrantów, albo raczéj dla każdego ubogiego człowieka jest najnudniejszą pustynią, a przydać do tego, że władze zawsze się naprzykrzają i strzegą jak ludzi niebezpiecznych dla porządku publicznego. Więc lepiéj sobie siedzieć na prowincyi i wyglądać cierpliwie końca. Ja jestem bardzo kontent, że z powodu tego rozkazu

opuszczenia Paryża, missja moja i urzędowanie się skończyło. Święte były słowa Papy w ostatnim liście, niejedną musiałem połknąć przykrość i niemało zażyłem trudu, a jednak nic nie dało się uczynić dobrego dla Emigracyi polskiéj. W rzędzie licznych przywar i zastarzałych nałogów najdobitniéj wyraża się u nas choroba imion, Polacy zawsze zostawali pod magią imion, i teraz jeszcze nie są rozczarowanemi zupełnie. Wierzą w znakomite imiona, bo ci znakomici mężowie, co je noszą, nie przestają jasno tłomaczyć i dowodzić, że byli jacyś Jakóbini, co zgubili Polskę, że gdyby nie ci Jakóbini, i nie noc 15. Sierpnia, Moskale nie weszliby nigdy do Warszawy, nareszcie że gdyby ci Jakóbini nie odebrali im w kraju władzy, Polacy nie potrzebowaliby się tułać po całym świecie. Lecz nie dosyć tego co przeszło, starają się oni teraz wyperswadować całéj Emigracyi, że nikt położenia ich nie polepszy tylko oni, że nikt Polski nie wskrzesi tylko oni. Lecz cóż to jest wskrzesić Polskę według nich? Oto ubłagać Mikołaja, aby raczył najłaskawiéj przebaczyć wszystkie przestępstwa, bunty szałem młodzieży niedoświadczonéj zdziałane, aby powrócił osiem województw z konstytucją; ta jest meta, do któréj dążą, choć nader cicho i ostrożnie, aby się nie zdradzić. Czartoryski, którego charakter Papa tak cudnie skreślił w swoim liście, przesiaduje sam w Londynie, czasami tylko zjeżdża do Paryża. Wtenczas pokoje jego otwarte, życie wystawne, zabawy i wieczory sute. Każden ciekawy idzie po nowiny, i wychodzi obładowany najlepszemi na przyszłość widokami, najpiękniejszemi nadziejami. Ludzi, mami, mówi, że wszystko od niego zależy, że wszystko zrobi dla Polski, a rzeczywiście jemu o to idzie, aby we Francyi Emigracją rządził, a na ośmiu województwach został namiestnikiem. Kniaziewicz z Bemem gorliwie mu tu w Paryżu służyli, taili się oni ze wszystkiem przed nami, i uwodzili wszelkiemi sztukami,

ale przekonawszy się, że ani arbitralnie rządzić, ani oszukać emigracyi niemożna, usunęli się od wszelkiego uczestnictwa w rzeczach dotyczących się dobra ogółu, i cały gniew swój wywierają na nas. To zdziałali w rządzie, że nam wyjechać z Paryża kazano. Mniejsza o to; ja o Paryż nie stoję, a wszyscy na tém zyskali, że przecie ten Kniaziewicz śmieszny sługa arystókratów, nadęty dumą i przesądami, przestał opiekować się sprawą, którą dawniéj w Paryżu zgubił, a teraz chciałby jéj jeszcze w tym samym Paryżu pogrzeb sprawić.

Mowa Fergusona w parlamencie angielskim, o któréj Papa musiał czytać w gazetach, niesłychanie nas wszystkich uradowała. Nie sama rzecz, bo któż chce myślić o Polsce kongresowéj, ale sposób wyśmienity, w którym ta rzecz przełożona została. Pierwszy to głos publiczny za nami podniesiony w Europie, i to jak śmiało, z jaką dumą a pogardą dla cara! *Monstre à face humaine*, to były jego wyrazy. Za ten jeden tytuł powinien car wojnę wydać.

Tymczasem rząd francuzki bynajmniéj nie naśladuje swojego sprzymierzeńca sąsiada, uciska jak może Emigracyą polską, jedynie dla przypodobania się temu carowi. Śmierć Periego w niczem nie polepszyła stanu naszego, a rewolucja piątego i szóstego pogorszyła go. O niczem też Polacy nie myślą i niczego więcéj nie pragną, jak jakiego stanowczego poruszenia, czy to w kraju, czy za granicą, któreby pociągnęło zmianę systemu obecnego narodowego. Rząd chce formować legiony w Afryce, uczynił już prepozycje, ale żaden z oficerów polskich, tak mi się przynajmniéj zdaje, służby w Afryce nie przyjmie. Mówią że będą gwałtem przymuszać, i żołnierzy już podobno porwali. Ale jest na to jedyny sposób wyjść z Francyi. Ale gdzie? na to trudno odpowiedzieć.

Wiadomości żądane w liście ostatnim względem Lubeckiego będą Papie nadesłane, toż samo lista szkoły

podchorążych, po którą do Avignonu i Besançonu posłałem, zkąd mnie także uwiadomią, kto żyje, a kto zginął. Bardzo to miło będzie moim dawnym kolegom, że taki znakomity historyk jak Papa o nich wspomni. Lecz także warte wspomnienia te osiem imion, którzy pierwsi zaprzysięgli Moskali wygnać z kraju. Nie jest to małe faktum, bo z tego małego związku utworzyła się konspiracja, a z konspiracyi rewolucja 29. Listopada. Imiona te są wspomnione w raporcie Wysockiego.

Co też Tymolek porabia? czy mu się niechce do Francyi? i radbym i nierad, żeby przyjeżdżał. Największa zawada jest ta mała gaża, z któréj niepodobna prawie się utrzymać. Podporucznik bierze na miesiąc czterdzieści kilka franków, wszyscy téż podporucznicy w nędzy żyć muszą. Ale jeżeli nie osiądzie w Austryi, to cóż będzie robił? Czemu téż nie napisze choć parę liter do nas? Od cioci Zosi spodziewaliśmy się bardzo długich i obszernych listów, zwłaszcza że ma o czém pisać, a tymczasem niema nic, C'est impitoyable!

Czytaliśmy z uciechą listy braci Januarka i Edwarda; ściskamy ich serdecznie, równie stryjenkę i stryja Aleksandra. Ale ten Januarek co za flegmatyk! Od czasu jak w Zimnie koziołki razem wywracaliśmy, dopiero cztery wiersze do mnie napisał.

Pani Cieńskiéj i całéj szanownéj rodzinie zasyłamy nasze uszanowanie. Oczekujemy z największą niecierpliwością na listy od Papy, Mamy, Cioci i t. d. kochający syn

Kamil Mochnacki.

Kamil Mochnacki do Rodziców.

Paryż, dnia 24. Lipca 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Najukochańsi Rodzice!

Wydziwić się nie możemy, dla czego żadnego listu nie odbieramy, już blisko od trzech miesięcy! Z każdym dniem jesteśmy niespokojniejsi. W tych dniach dopiero oddano nam listy od Krzyżanowskiego i Łagowskiego, które jeszcze w Maju były pisane. Nie wiemy także czy nasz ostatni list doszedł do Polanki; nie wiemy zupełnie co się dzieje z naszymi w Polsce, co także w Galicyi, nawet nie jesteśmy pewni czy szanowna rodzina jeszcze znajduje się u pani Cieńskiéj. W przeciwnym razie upraszamy najpokorniéj ukochaną panią Cieńską o odesłanie tego listu do miejsca, w którém się familja nasza znajduje, i o pisanie do nas kilku liter, zawiadomiających nas czy list przed dziesięciu dniami posłany doszedł, i co się dzieje z naszą rodziną? U nas nic dobrego nie słychać. Czterysta kilkadziesiąt żołnierzy zaambarkowanych w Gdańsku, rząd francuzki przeznaczył do Algieru do legii cudzoziemskiéj, którą tamże uformować zamierzył. Wydał także odezwę do oficerów naszych konsystujących po zakładach, aby kto chce zaciągał się do téj legii. Usilne nasze starania i zabiegi zdziałały to, że dotąd jeszcze nikt nie przyjął służby w Afryce; lecz niewiadomo jak będzie daléj. Bo władze zręcznie po zakładach intrygują, osłabiają ducha i dwoją umysły. Tém łatwiéj dojdą do celu, gdy w niektórych naszych znakomitych panach mają stronników gorliwie popierających zamiar wypędzenia nas do Afryki. Nie dosyć nikczemności ze strony rządu francuzkiego, potrzeba jeszcze, żeby i swoi w złośliwości swoich dusz pomagali nieprzyjaciołom do pogorszenia losu tułactwa. Względem

żołnierzy przeznaczonych do Algieru napisaliśmy petycją do ministrów, którą jenerałowie nasi im wręczyli. Ale w odpowiedzi odebraliśmy od ministra wojny te oświadczenie „Que la decision du Gouvernement à l'egard de refugies polonais soldats destinés pour Algerie ne peut pas changér." Zostaje jeszcze droga do króla, ale ten zapewne decyzyi ministerstwa swego nie zmieni. Jest więc jedyna nadzieja w oczekiwanéj zmianie systemu polityki gabinetu Tuileryjskiego, do czego go koniecznie powinna zmusić groźna postawa przymierza świętego, którego armie coraz bliżéj mają się ku granicy Francyi, które to przymierze już wyraźnie oświadczyło przez swój organ: sejm konfederacyi niemieckiéj, co myśli we względzie systemu dominującego we Francyi. Nie znać wszakże w Paryżu, aby rząd przewidywał i lękał się wojny. Dziennik ministerialny, a szczególnie Monitor który jest najurzędowniejszy, ustawnie zbija wszystkie pogłoski rozchodzące się na wojnę, i zapewnia Francją że nigdy mniéj nie było podobieństwa do wojny jak dzisiaj. Jeden Soult, który instynktowym sposobem poczuł Austryjaków i Prusaków, nie dowierza coś zapewnieniom pokoju, krzątać się zaczyna koło siły zbrojnéj, chce 400 batalionów gwardyi narodowéj zmobilizować, i pod tym tylko warunkiem chce podobno zostać w ministerstwie. Mówią, że otrzyma dymissią.

Ja bawię dotąd w Paryżu, i zapewne dopóty będę bawił, dopóki nie będę mógł wyjechać do wód. Doktor dworu Baron Broussais wydał mi świadectwo, iż w mojéj słabości nie byłbym w stanie odbyć podróży do Avignonu. Tém świadectwem zastawiam się przed policyją, która często nawiedza moje mieszkanie. Zapewniają nas także jenerałowie, że za pomocą tego świadectwa, ponieważ pan Broussais jest bardzo znakomitą personą, wyrobi odwołanie rozkazu ministerialnego. Takie odwołanie już zyskali wojewoda Ostrowski i Lelewel, z któ-

rego. Emigracja jest coraz bardziéj niekontenta, i słuszny jest pod tym względem sąd Emigracyi polskiéj, bo nikt tyle nie zdepopularyzował nas we Francyi przez niestósowne użycie środków, jak Lelewel ze swoim komitetem. Lecz Lelewel nie chce w to wierzyć, i kto chce mieć w nim największego nieprzyjaciela, to niech mu powie, że jest lepszym antykwariuszem, profesorem jak politykiem. Z tego powodu mieliśmy nieszczęście wypaść z łaski szanownego Himcia. Przyjechał tu jenerał Chrzanowski, Bóg wie, z jakiemi instrukcjami. Przyjęli go Polacy jak zasłużył, ma jednak przyjaciół. Niedawno jenerał Dębiński, Xenofont naszéj rewolucyi, wystąpił publicznie w dziennikach z jego obroną. I powiedziałby kto że w tym wieku już cuda się nie dzieją! Co téż się z Tymolkiem dzieje? Jesteśmy wszakże pewni, że z Polski oddawna już wyjechał, gdyż tam wcale nie byłoby bezpiecznie dla niego siedzieć, po tych ukazach, które obowiązują do wojska moskiewskiego, tych wszystkich dawnych wojskowych polskich, którzy przed rewolucją lat piętnaście nie wysłużyli, lub stopni oficerskich nie mieli. Prosimy o uwiadomienie nas najspieszniejsze o Tymoleonie. Posyłamy pismo wydane przez Michała Podczaszyńskiego dla użytku Emigracyi polskiéj. Są w niém ważne wiadomości, i tém ważniejsze, że z akt urzędowych czerpane.

Kamil Mochnacki.

Z mojéj strony zasyłam państwu zapewnienie, że ani jednéj minuty nie ma w naszem życiu teraźniejszém, w którembyśmy kochanych rodziców, i całéj szanownéj rodziny nie mieli w żywéj pamięci. O listy prosimy, bo to jedyna pociecha emigrantów. Zapewne Papa musi się kąpać w téj porze. Ja także myślę Kamila do Baden wyprawiać, bo tego on potrzebuje. Proszę Papy o przysłanie dalszych pamiętników, które będziemy drukowali.

Już od dwóch miesięcy żadnéj nie mamy wiadomości z Połanki. Upraszamy o odesłanie załączonego listu do Józefa Krzyżanowskiego od jednego z jego przyjaciół, który lękając się go skompromitować, życzyłby sobie aby ten list przez okazyją mu był posłany, jeżeli to być może do rąk własnych oddany. Powiadają że listy do Krakowa pocztą przybyłe są otwierane.

Maurycy Mochnacki.

Maurycy Mochnacki do Rodziców.

Paryż, dnia 7. Sierpnia 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

List kochanéj Mamy i Cioci z dnia 28. Lipca odebrałem dzisiaj, i odpisuję. Bogu dzięki, Kamil mój wyzdrowiał. Kiedy minęło niebezpieczeństwo, mogę Mamie teraz opisać jak było wielkie. Schudłem ze strachu; wszakto on kaszlał krwią przez tydzień cały, a przez miesiąc bez krwi, ale bardzo gwałtownie. Lecz dzisiaj jest zdrów, wesół, i pojutrze wyjeżdża do Baden, gdzie kąpać się będzie przez sześć tygodni. Jego słabość ten przynajmniéj dobry skutek wzięła, że tytuniu nie pali, i że otrzymaliśmy obadwa od Soulta Permis de sejour w Paryżu z gażą, on dla bólu w piersiach, a zatém dla niemożności wyjechania do Avignon, a ja jako garde malade. Broussais, doktór Soulta, widział Kamila, i dał mu takie świadectwo, że zacny nasz i kochany jenerał Dwernicki, gdy się Soult oddalił na kilkanaście dni z Paryża, wyjednał nam u Rygniego który go zastępował, Permis de sejour. Dwernicki nie tylko jest wielkim wojownikiem Polski, ale najlepszym, najgodniejszym szacunku człowiekiem w prywatnych stósunkach. Niechaj to Mama rozpowie w Galicyi, że Emigracja w nim je-

dnym tylko ma rzetelnego opiekuna. Kamil jako major bierze 100 franków; ja jako porucznik mam 60 franków na miesiąc. C'est pour tant quelque chose, choć mało, ale to jest stała. Taki jest stan naszych interesów. Niezmiernie się cieszę że Tymolek jest w Galicyi. Biedny chłopiec musi się bardzo martwić że nie może być z nami. Ale ja mu po bratersku radzę, niechaj nie myśli o Francyi. Nie wszystko dobre co daleko, a doświadczenie nasze niech mu służy za naukę; że największe nieszczęście jest być wygnańcem między obcymi. Niemasz żadnéj perspektywy dla Polaków we Francyi; rozproszą się, bo po roku zabraknie funduszów. Rząd się z tém nie tai, że tylko do roku codziennie po 6000 franków na Emigracyą Polską wydawać będzie, a potém przymusi ją do służenia w Legii Zagranicznéj w Algierze. Jabym umarł ze zgryzoty, gdyby to którego z braci moich spotkać miało, bo ja wiem co to jest Legia Zagraniczna i wiem co jest afrykańskie niebo. Dzisiaj w naszych Depot nic niema prócz samych plotek, pojedynków i niedostatku. Niedawno Szlegla zabito, jednego z najdzielniejszych oficerów. Czy niema sposobu dostania z Polski całego dziennika rewolucyjnego: Dziennika Powszechnego? Bez tego pismo moje z druku wyjść nie może. — Tak mię nudzą niezgody między Polakami, że nic o tych komerażach nie napiszę; powiem tylko, że Lelewel jest wszystkich plotek źródłem, jak i był. Łatwiéj z każdą koteryą jak z jego stronnikami. Proszę Papy o dalszy ciąg manuskryptu, przerwanego w liście z miesiąca Maja. — Niechaj Mama będzie łaskawa uwiadomić mię, czy doszła do Polanki książka o Literaturze Polskiéj, z przypisem moim do Pani Cieńskiéj. Ja i Kamil nigdy nie przestaniemy dziękować niebu, że dla Mamy naszéj w tak zacnym domu u tak dobréj siostry, a tak kochanéj kuzyny, schronienie przeznaczyło. Proszę Mamy, niechaj ta ciotka nasza to wie od Mamy, że obok

wdzięczności dozgonnéj za przytułek dla familii prześladowanéj od losu, mamy obydwaj największą admiracyą dla jéj cnót tak rzadkich, tak niepojętych w czasach powszechnego egoizmu na świecie. Wszystko co Mama pisze o cioci Cieńskiéj, takie czyni mi o jéj charakterze wyobrażenie, że prawdziwie nie widzieć mamy i nie módz ustnie wyrazić co czujemy dla téj, która jest teraz aniołem naszéj Mamy, jest dla nas równém nieszczęściem. Niechaj jéj to Mama wszystko powie i zarazem odda list, który tu do niéj osobno załączamy, i niech Mama podziękuje za łaskawą pamięć o nas.

Je m'en vais vous dire, chère Maman, que je me suis réconcilié avec tout le monde ici exepté Lelewel, personne ne me garde aucune, pas même le Prince Adam Czartoryski, qui avec toutes ses faiblesses politiques est encore plus traitable, que ce pedant de docteur, qui au lieu d'agir dans le vrai internet de l'émigration ne fait qu'embrouiller les idées et rendre notre position de plus en plus hostile vis-à-vis du gouvernement, par ses miseries. — Si on a de la confiance en lui chez vous en Galicie on à tort. Ses beaux jours sont passés, il ne lui reste qu'une morgue insuportable, une humeur acuriâtre, et touts les defauts d'une ambition personelle mal degnisée, et service chez nous plus mal encore. Lelewel est ici ce qu'il avait été à Varsovie, un adversaire russe de tout ce qui ne peut lui servir d'instrument. Il veut être le premier personage de l'émigration. — Pour faire se personnage il employe toutes les moiens même les plus abjects. Il ne se lasse nullement d'egarer le jugement de nos jeunes gents aux depôts. Il espere de devenir le président du Conseil de nos réfugies. Mais il ne réussira pas. Le Comité qu'il préside actuellement nous à fait trop de mal, pour que cela puisse demeruer comme eu. C'est ce que je peut vous predir chère Maman. C'est que je n'aurai pas

d'ennemie plus acharné, plus implacable que lui, si la Pologne renaitra un jour. Nous venons de l'apprendre quil exerce une certaine influence dans plusieures parties de la Pologne le serait facheux. Il s'entoura des personnes, qui le flactent qui n'ont rien faits pour la Pologne. — Comme je lui parle toujour sans detour: il comence a me haïr et a me denigrer. Il a fait imprimer par ses agens des bien vilaines choses ici et en Allemagne sur mon compte. Je suis sûr qu'il fera parler mal de moi et de Camil chez vous en Galicie. — Si cela arrive jusqu'a vous Maman, il est important que vous sachiez d'ou partira le coup. Je ne manquerai pas de vous envoyer si l'occasion se presentera les brochures qu'on publie ici. De la reste tout va assez bien et si nous parviendront à déjouer les petites intrigues de Lelewel, nos ne serons que mieux encore. Votre Niece, ma très chère Maman, est une personne extrement aimable. J'ai regret de n'avoir pas en le bonheur de la connaitre en Pologne. C'est encore un motiv de plus de desirer le prompte rétablisement de notre patrie. Dites Maman à Mademoiselle Zenon, que nous proscrits nous sommes infiniment sensibles a l'honneur qu'elle nous a fait en nous adressant quelques petits mots. — L'éloge quelle a fait de mon ouvrage est plus beau, que le livre que j'avais écrit, quand je n'avais rien mieux à fair. C'est plus que je n'avais pas mérité. Enfin je vois ma très chère Mêre, que vous vous trouvez au sein de la plus aimable de toutes les societées, au sein d'une famille qui vous aime jusqu'a s'interesser au sort de vos enfants, qui errent dans le monde. Dites Maman aussi à notre très chère tante Sophie, que dans la journée il y a toujour de moments, que nous consacrons à elle, uniquement à elle, et qu'aprés avoir vu tant de monde, nous n'avions jamais recontrai une personne qui lui soit comparable, pour la bonté du coeur, pour la

douceur du caracteur, pour l'agrement des manières et la culture d'esprit. Je donnerai, je ne sais quoi? pour pouvoir la voir et vous Maman à ce moments. J'aurais mille choses à vous dire, en attendant je veux rever cette entrevue; il est imposible que je ne soit avec le temps un peu plus riche, que je ne le suis aprésent, si mes affaires ainsi que je l'éspera iront mieux cet hiver. Alors je n'irais pas, je ne partirai pas. Mais je m'envolerai pour vous voir, pour passer quelques moments avec vous, et puis pour retourner en France. Ces instantes seront le plus précieux de ma vie. Il y a une place, un vide immence dans le coeur humain, que rien au monde ne peut remplire, que la maison des parents; que l'affection d'une mêre comme Vous chère Maman; comme les regards d'un pêre comme notre cher Papa, que Dieu nous à donné, sans doute pour nous faire oublier l'horreur de notre position, et de la solitude au milieu de la foule. Qui osera nous dire que nous ne sommes de Anachoretes sans vous? Quel autre lieu nous ratache à se monde, qui est cependent ci grand, si magnifique et si plein de vie? — Je laisse à Camille le soin d'achever cette lettre.

Maurice Mochnacki.

NB. Dla czego Nastasia umarła? Co Klementyna[1]) robi? Dla Boga, po co ona siedzi w Warszawie? Wolałbym ją widzieć umarłą, jak w tém mieście. Ztąd nic dobrego nie wyniknie. Moja najdroższa Olimpio[2]), tyle razy Ciebie całuję, ile jest liter w twoim krótkim liście. Pewnie żałujesz że mnie niema, bo nie masz się na kogo gniewać.

---

[1]) Siostra.
[2]) Także siostra młodsza.

Kamil Mochnacki do Rodziców.

Jestem na wyjezdném. — Wody, które mają dokończyć moją kuracyą, leżą w księztwie Badeńskiém w Niemczech. Wszyscy powszechnie doktorowie przepisują mi te wody za jedyny środek odzyskania zupełnego zdrowia. Skoro przyjadę na miejsce, natychmiast będę pisał do najukochańszéj Mamy i uwiadomię jak adresować i w które miejsce, bo teraz sam nie wiem jeszcze, która będzie najbliższa poczta od moich kąpieli. — Wyjeżdżam z Paryża na te kilka tygodni z największą uciechą i nigdybym tam nie powrócił, gdyby to odemnie zależało, gdyby Maurycego zatrudnienia literackie nie zatrzymywały go koniecznie w tém mieście. Lelewel ze swoim orszakiem jest prawdziwą przyczyną wszystkich niepokojów, wszystkich rozdwojeń, które dla emigracyi naszéj są zgubniejsze, niżeli wszystkie przykrości tułactwa. Chce koniecznie, aby świat w nim uznał pierwszą osobę rewolucyi, choć do tego żadnego nie ma prawa. Otoczył się ludźmi, którzy mu służą za narzędzia do zawracania głowy naszéj walecznéj młodzieży. Szerzy pomiędzy niemi opinie niestósowne, ani do miejsca, ani do czasu. Jest dla nich rewolucyjnym w całém znaczeniu tego słowa. Sto razy jest rewolucyjniejszym, aniżeli był w rewolucyi. Utrzymuje w ciągłéj nienawiści przez podszepty i plotki jednych względem drugich, zawsze to mając na względzie, że gdzie dwóch walczy, tam trzeci zyskać musi, a przy tém wszystkiém jest zawsze tak pokorny, tak potulny, ustawnie biedujący, lamentujący, że nazwano go tutaj Jezusem Litewskim. Nie poczuwa się nigdy do złego i jest nakształt un renard modeste et honteux qu'une poule aurais pris. Pan Januszkiewicz o którego Mama w ostatnim liście tak się dopytuje, jest jednym z najgorliwszych ajentów Lelewela. Pan Januszkiewicz postrzegłszy, że ja, jako pełnomocnik moich

kolegów w Avignonie mieszkających, mam najłatwiejszy sposób oświecenia ich w względzie chytréj polityki Lelewela, starał się wszelkiemi sposobami zgubić mnie w ich opinii, a nie znajdując prawdy, kłamał bez litości. Lecz ten spór nie wyszedł mu na dobre. Rada w Avignon przekonawszy się, że pan Januszkiewicz rozsiewał bajki dla swoich własnych widoków i widoków Lelewela, złożyła sąd na niego, który pana Januszkiewicza publicznie mianował potwarcą. Z tych to zapewne przyczyn pan Januszkiewicz w swoich listach do pani Larysse nie wspomina nigdy o nas, i dobrze robi; ja mu tego za złe nie biorę. Otóż to takie, kochana Mamo, są roskosze na wygnaniu. Zazdrościmy tym naszym rodakom, którzy po stracie ojczyzny w gościnnych domach w Galicyi znaleźli schronienie i pociechę w dobrych sercach naszych ziomków Galicyanów. Zazdrościmy po tysiąc razy Mamie i Cioci Zosi pobytu w domu najukochańszéj Cioci Cieńskiéj, a dobrego serca w tym czasie zepsucia i egoizmu nigdy dostatecznie nie możemy ocenić. Wieleż to razy obadwa z Maurycym przenosimy się w tę szczęśliwą przyszłość, kiedy będziemy mogli osobiście wynurzyć to wszystko, co czujemy dla téj nieocenionéj Cioci i stopki jéj po tysiąc razy ucałować za przechowek udzielony Mamie w nieszczęściu; a jéj córka, kuzyna Zenonka, cóż to za dobroć, jakże miłe wyrażenie się w przypiskach do ludzi nieznanych, którzy na takie względy nigdy sobie nie zasłużyli. — Proszę Mamy i Cioci Zosi utrzymywać w téj opinii Ciotkę Cieńską i jéj córkę Zenonkę, że my nie jesteśmy tak źli jak o nas złośliwi ludzie i nieprzyjaciele rozsiewają w kraju i za granicą, i że wdzięczność uważamy za najpierwszą cnotę.

Więc Tymolek uszedł przecie szczęśliwie ze szponów drapieżnych cara. Chwała Bogu! Lękałem się tego bardzo. Na nieszczęście nie tak prędko z nim będziemy się mogli połączyć; pod tym względem niechaj zupełnie na

mnie się spuści, ja najlepiéj będę wiedział kiedy go tu ściągnąć. Teraz to w żaden sposób nie może nastąpić; bo prawie niepodobna utrzymać się z pensyi przywiązanéj do jego stopnia. Zapewniam go wszakże, że przy każdéj formacyi legionów polskich nie zapomnę o nim i dla niego o miejsce niezawodnie się postaram. Będę to mógł zrobić, ponieważ jenerał Dwernicki, który w emigracyi najpierwsze trzyma miejsce, jest z wielką ku nam przychylnością, nie jednę już zrobił nam przysługę i zapewne jeszcze nie jednę zrobi. Nic Mama nie pisze o zdrowiu Papy. Czy jeszcze kaszli? i jak mu pomagają wody szczawnickie. Czy już zapomniał zupełnie o projekcie odwiedzenia Francyi na jesień. Za wielkie to szczęście żeby nas tak łatwo spotkać mogło.

Przepędzę teraz bardzo przyjemnych kilka tygodni u wód. Miejsce ma być bardzo miłe. Mieszkańcy życzliwi. Liczne zgromadzenie przybywających do wód. O niczém tam myśleć nie będę tylko o Polsce i o Szczawnicach. Nie wiem czy nasz list ostatni datowany 25. Lipca z trzema numerami pisma wydawanego przez Michała Podczaszyńskiego doszedł do Polanki. Jak się dowiemy że doszedł, poślemy dalsze numera; bo nie chcemy na darmo posyłać. Olimpię ściskam serdecznie.

Kamil Mochnacki.

Jako przytomny téj korrespondencyi i wspólnie dzielący nas teraźniejszy wojaż z synami Pani Dobrodziejki, mam za największą przyjemność złożyć jéj moje uszanowanie wraz z moją córką. Żona moja z córką jest w Poznańskiém.

Józef Borzęcki, Pułkownik.

Maurycy Mochnacki do matki.

Montmorency, Eaux bonnes, dnia 20. Sierpnia r. 1832.

Nie z Paryża piszę do Mamy, ale z miejsca, gdzie Rousseau dziewięć lat mieszkał. Kamil nie mógł wytrzymać drogi do Baden [1]) i z Chalons o 40 mil od Paryża wrócił. Podróż deliżansem jest niezmiernie gwałtowna. Jazda prędka, prawie bez odpoczynku dzień i noc, słabowitym nie służy. Wreszcie w Szampanii, którą przejeżdżać trzeba, jest tak zwany proch żółty, la poussier jaune, od którego konie w powozach padają. Bardzo to Kamilowi zaszkodziło. Zaczął znowu krwią kaszleć i według rady doktora z Chalons powrócił do Paryża czwartego dnia po swoim odjeździe. Lecz że powietrze w Paryżu jest zbyt ciężkie, więc uradziliśmy by mieszkał parę miesięcy na wsi, kiedy się do Baden dostać nie mógł. Teraz tedy znajduje się on w Montmorency a raczéj Eaux bonnes, jednę milę od Montmorency a 5 mil od Paryża. Ja go czasem odwiedzam, bo codziennie kilka publicznych powozów idzie z Paryża do Montmorency i wraca. Jest to prześliczne miejsce, powietrze szczególniejsze i zawsze wiosenne. Kamil uczuł tu znaczną ulgę w piersiach i już nie kaszli i na osłach jeździ. I ja także pokochałem to niewinne a bardzo poczciwe stworzenie. Lecz wystaw sobie Mama, że i nasz poczciwy Longin Michał wsiada na osła i razem z nami po górach tutejszych wojażuje. Jest modą jeździć na osłach w Montmorency. Mnóstwo kobiet, mnóstwo elegantów paryzkich przybywa tu codziennie, i wyszedłszy z pojazdów, siada natychmiast na osłów. Z Paryża w półtora godziny za 30 sous mogę się dostać do Montmorency, więc często się widuję z Kamilem. Codziennie wieczorem w téj wiosce zbierają się chłopcy, dojrzali ludzie, dziewczęta,

---

[1]) Dla chorujących na piersi niestósowne są kąpiele w Baden.
Przyp. wydawcy.

matrony i tańczą przy odgłosie muzyki umieszczonéj na rusztowaniu, albo raczéj na galeryi okrytéj dachem. Taniec zawsze jednakowy jak był przed wiekiem kadryl. Nic zabawniejszego jak widzieć te wszystkie dos à dos, chasses, wykonywane przez najstarszych i najmłodszych ludzi. Czasem tylko galopada przerywa monotonią tego narodowego tańca.

Michał Podczaszyński dziękuje Mamie za pamięć o sobie; napisze sam do Mamy. Teraz jest bardzo zatrudniony, został bowiem dziennikarzem emigracyi. Posyłam wyjątek z jednego numeru jego pisma, gdzie umieściłem list do Hubego w materyi pisma w karmelickim klasztorze. Przekonasz się Mama, że obmowa, komeraże nie ucichły z upadkiem narodowéj sprawy. Czy kochany nasz Papa kąpie się ciągle w Szczawnicy? Czy długo tam będzie bawić? Czy jest zdrowszy? O tém niech Mama będzie łaskawa napisać szeroko. Czy pan Jan Henryk S. długo jeszcze zabawi w Tręczynie? Pismo, które Podczaszyński wydaje, całe będzie w Galicyi. Wtenczas wszystkie numera dojdą do Polanki. Mamy więc we Francyi Polskę en abregée, któréj polityczne interesa Dziennik ten i sławę i plotki wyraża. Dziś z Montmorency wracam do Paryża, żałuję bardzo, że tu ciągle z Kamilem bawić nie mogę. Widziałem tu Èrémitage Roussa: dwa małe pokoiki, gdzie przez dziewięć lat mieszkał, stolik przy którym pisał swoją Heloizę i Emila, lampę, którą zapalał w ogrodzie, szczątki łóżka, na którém sypiał. Te pamiątki dziwne wrażenie czynią. Jak teraz cicho w mieszkaniu ubogiego filozofa poety, który tyle hałasu narobił. Jak ta Francya jest zachwycająca na wsi, może jeszcze piękniejsza jak w Paryżu, chociaż powinniśmy przestać łudzić się nadzieją, że ztąd coś dla Polski wyniknie.

Maurice M.

Kamil Mochnacki kończy ten list.

Najkochańsza Mamo!

Od czasu jak oddycham powietrzem wiejskiém, tak zdrowie moje się polepsza i piersi tak się znacznie wzmacniają, iż zupełnie nie powątpiewam o zupełném przyjściu do zdrowia, co może jeszcze przed zimą nastąpi. Tu dopiero najlepiéj przekonywam się o różnicy klimatu Francyi i Polski. Dnie schodzą najmiléj na przechadzkach, na czytaniu książek i na rozpamiętywaniu różnych pomyślnych i niepomyślnych okoliczności. Do tych przyjemności, których prawdziwie po rozłączeniu się z rodzicami i po upadku kraju, pierwszy raz doświadczam, nic mi już nie braknie, tylko mojéj Mamy, Papy, Cioci i całéj rodziny, która myśl moją i serce jedynie zaprząta po całych dniach i nocach. Listy z Polanki są bardzo rzadkie. Nie wiemy o Papie od 4. Maja, o jego zdrowiu, o jego planach na przyszłą zimę. Spodziewamy się, że o tém wszystkiém dostateczne odbierzemy objaśnienie wkrótce, a tymczasem prosimy przyjąć zapewnienie naszego najszczerszego synowskiego przywiązania.

Kamil Mochnacki.

Michał Podczaszyński do matki Maurycego.

9. Września 1832.

Kochana Pani!

Wiele dziwnych rzeczy słyszałem i czytałem, ale nic mnie tak nie zadziwiło, jak powątpiewanie w liście Pani i Panny Zofii, czy może z Maurycym nie zadarliśmy kozła. Wiesz Pani, że nawet w małżeństwie, które jest

zwykle wzorem jedności, zachodzą czasem nieporozumienia, a cóż dopiero w przyjaźni? Lecz my z Maurycym zawsze jesteśmy na dawnéj stopie, a jeżeli gniewamy się, to jest, jeżeli ja się gniewam, nie trwa to dłużéj nad 4, 5, a najdłużéj 6 minut. Potém już starsi jesteśmy jakeśmy byli, a w myślach naszych daleko więcéj mamy zbliżone wyobrażenia jak dawniéj. Dawniéj kochałem Maurycego, dziś go jeszcze więcéj kocham i szacuję. Kamil był wtenczas dzieckiem. Dziś Kamil, pan majór, ma więcej taktu w głowie jak my obadwa. Że nie mieszkamy w jednym domu, to pochodzi z tego, że ja nie chcę opuszczać choć lichego domu i lichego gospodarstwa, bo od czterech lat tam mieszkam, bo dla mnie mają szczególniejsze względy, bom przywykł jak do złéj żony, bo wreszcie mogę przez rok mieszkać na kredyt. Maurycy i Kamil nie znajdując się w tych samych okolicznościach, wynieśli się na lepszą ulicę, gdzie w porządniejszym sto razy domu, mniéj płacą za piękne pokoje. Próżne były rady, prośby i groźby Maurycego, przykrém doświadczeniem nauczyłem się szanować dawny kredyt, a że nie jestem w stanie zacząć pracować gdzieindziéj na nowy, wolę codzień o milę do Maurycego chodzić, jak opuścić mój stary kącik. Wydaję pismo, a w każdym prawie jego numerze umieszczam artykuły Maurycego, co dostatecznym jest dowodem, że się z sobą nie gniewamy. Potem coby mi przyszło z gniewu; tyle razy byłem zwiedziony w przyjaźni, że gdyby nie Maurycy, powiedziałbym że jéj nie masz i że jéj nie może być na świecie. Zerwać mogę stosunki z takimi tylko przyjaciołmi, którzy do Maurycego nie chcą być podobni w téj mierze. Słowem Maurycek mój jest bardzo ważną figurą w mojém życiu, a tak go kocham jak jeszcze nikogo. Nie mam ani rodziców ani familii, ani żony ani kochanki, bo jak żyję się nie kochałem, a na starość z łysiną zapóźno już o tém myśleć. Przyjaciele

mnie zdradzali zawsze i zawodzili, korzystali z mojéj dobroduszności i ludzie mi zbrzydli. Przed przyjazdem Maurycego, słowo daję, że improwizowałem sobie przyjaciół, wmawiając w nich przymioty, których nie mieli. Jakże mi musi być bolesno czytać w listach z Polanki powątpiewanie o mojéj dla Maurycego przyjaźni. Dla Maurycego, który podobno prędzéj mnie pochowa jak mnie zobaczy dla siebie obojętnym. Z Lelewelem inaczéj się rzeczy mają. Nie był on moim przyjacielem ale bożyszczem (idole), o tyle go kochałem o ile wielbiłem w nim wielkość. Ale w emigracyi przekonałem się czém on jest; teraz zwłaszcza tak się zepsuł, że ani cienia dawnego charakteru, dawnego rozumu w nim nie masz. Nie przewiduje nigdy jutra, i tak stracił rozsądek, że nawet dla własnego interesu nie chce zmodyfikować swojéj konduity. Bóg moim świadkiem, że mi ten człowiek nic złego nie zrobił, i że bynajmniéj przez moje usta nie przemawia osobista uraza. Moja niechęć ku niemu wszczęła się w Metz przez korrespondencye, kiedy wiernie i szczerze pracując dla sprawy ogółu, postrzegłem że Lelewel w urzędowych działaniach swoich wbrew interesowi ogółu działa i nie chce służyć emigracyi, ale raczéj żąda, aby ona jemu służyła. Nie będę tu wyliczał jego grzechów, bo o tém w swoim czasie z dowodami w ręku historycznie rzecz wyłożymy, a tu miejsca na to niema. Z Metz mu najostrzejsze urzędowne listy pisałem. Przyjechawszy do Paryża, chciałem go objaśnić, sądząc że błądzi, że w imie ojczyzny da się przekonać; lecz nietylko to skutku pożądanego nie sprawiło, ale go obraziło do najwyższego stopnia. Lelewel stał się moim nieprzyjacielem. Urząd Kamila jako Delegowanego z Avignonu, dał mi jeszcze lepiéj poznać Lelewela, tak, że mogę zaręczyć, że jeżeli są niezgody i nieporozumienia w Emigracyi, Lelewel do nich nie mało się przyczynia. Nie wiem czy takim był w rewolucyi; to jednak pewno, że się zupełnie

odmienił, z powolnego, wyrozumiałego, stał się fanatykiem zapalonym, co moment w ferwor niezwykły sobie wpada, unosi się, nie daje sobie słowa powiedzieć; ślepy jest i nie widzi, że go namiętności w prawdziwém świetle ludziom okazują. Derezonuje, bredzi, bluźni, a zawsze we własnym interesie. Wychudł, wybladł, oczy ma dwa razy większe jak miał krwią zalane; chorował niedawno, żółcią womitował. — Niemasz już miejsca pisać w tym liście, całuję więc rączki kochanéj Pani — jako syn, jako brat Maurycego. — Proszę mi nie odmawiać drogiego imienia Matki.

Michał Podczaszyński.

Nota.

Poginęły listy poprzednie z Sierpnia, opisujące wypadek osłabnienia Kamila, jadącego do Baden, który tak strasznego dostał ataku krwioplucia, że go bez przytomności przywieźli z Chalon do Paryża, list o tém sam biedak pisał swoją własną ręką do Matki. Charakter zwykle humorystyczny Michała Podczaszyńskiego, w jego ostatnim liście dowodzi także zmianę w jego zdrowiu. W rzeczy saméj tetryczał coraz bardziéj, jako téż w roku 1835. w miesiącu Lipcu po długiéj chorobie w suchotach on trzeci po Kamilu i Maurycym zakończył życie.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Ojca.

Paryż, 16. Września 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Tarasse Nr. 50.

Kochany Papo!

Pospieszam z odpowiedzią na list Papy z daty 27. Sierpnia z Szczawnicy, który mnie wraz z listem naszego kochanego i nieocenionego Józefa Krzyżanowskiego doszedł. Obadwa z Kamilem uczyniliśmy tę uwagę, że w powodzeniu o przyjaciół nie trudno; ale szczęśliwy, komu los nadarzy mieć takiego przyjaciela w rozbiciu zwłaszcza powszechném. Cieszy mię pewność otrzymania funduszu na druk mojego pisma o rewolucyi, nad którém od przybycia do Francyi ciągle pracowałem. W innym czasie staranoby się o człowieka, mogącego zdać sprawę narodowi z tego, co naród uczynił w jednéj z najważniejszych epok swego bytu; dzisiaj, aby to przekazać potomnéj pamięci w prawdziwém świetle, trzeba niemal wpraszać się i narzucać; tak jakby wielu było konkurrentów. Powiedział Sallustiusz: „Nie wiedzieć co trudniéj, czy działać, czy opisać co się stało.“ Nikt mniéj nie dba o własną sławę jak Polacy. Dopuszczają żeby cudzoziemcy z podmuchów albo domowych fakcjonistów, albo z wrogów zewnętrznych, opacznie wystawiali naszą sprawę; a rodakowi, któryby gruntownie starał się zbadać i wyłożyć rzecz jaśnie, żałują lichego wsparcia, żeby dzieło tak potrzebne dla kraju mógł ogłosić. Wierz mi Papa, że ta materya rozżaliła mię do najwyższego stopnia. Kogo tylko z możniejszych Polaków spotkałem za granicą, każdemu niemal czyniłem propozycyę, aby się przyłożył do edycyi mojego pisma; każdy chciał się podjąć bez wyjątku, ale z warunkiem, żeby to co wyjdzie, jemu pochlebiało. Cóżby na tém zyskała prawda? Potworcy czyli towarzystwa niby literackie, mają fundusz

i pretensye do pisania historyi; lecz cóż napisali? Jedni drukują paszkwile, drudzy panegiryki, każdy — *pro domo sua*, albo płacą obcych bazgraczów w Niemczech i Anglii.

W ostatnim liście swoim piszesz mi Papa o 3000 złotych polskich. To nie mała różnica! Manuskrypt mój urosł do wielkości ogromu. Polaków drukarzy w Paryżu nie masz. Francuzi składając text obcy, daleko drożéj płacić sobie każą niżeli zwyczajnie. Księgarstwo podupadło; w miarę bankructwa tylu entreprenerów wszystko podrożało. Jakożkolwiek bądź, podejmują się wydrukować dzieło moje w Paryżu, ale za trzy tysiące franków, nie zaś za trzy tysiące złotych polskich. I tak nie obejdzie się jeszcze bez zaciągnienia długu w drukarni, ktory mi jednak przyjdzie łatwo zapłacić, bo jestem pewny, że całą edycyę w lot rozkupią Polacy. Nie masz familii, któréjby to dzieło nie interesowało, nie masz miejsca w całéj Polsce, gdzieby go przemysł księgarski nie dostawił. Od momentu jak otrzymam wexel na rzeczoną summę, dzieło wyjdzie za 8 najdaléj 10 tygodni. Transport jego do Galicyi, to jest: do Lwowa, odbędzie się z łatwością, za pośrednictwem tych samych komunikacyi, które zwykle dotąd podobne komunikacye ułatwiają. Główny skład Kuna i Milikowskiego. Dołożę wszelkiego starania, żeby edycya była bardzo porządna, ale przez wzgląd na ułatwienie transportu, daléj na zmniejszenie wydatków na papier, druk będzie bardzo drobny i skoncentrowany. Zawsze proszę Papy, żeby dla słabego wzroku, tego pisma sam nie czytał, ale mocniejszym oczom czytać je sobie kazał. Za jaką cenę egzemplarze sprzedawane być mają, późniéj to z sobą ułożymy, mała być nie może.

Co do wydania téj historyi w języku francuzkim, rzecz ta pójdzie swoim trybem. Tłumaczą i w Anglii mój rękopism; żeby go nie skrzywdzono, sam pojadę w tym

albo w przyszłym miesiącu do Londynu. W piśmie mojém jest wstęp obszerny, poświęcony polityce Carskiego Sioła. Ta materya Anglików najwięcéj interesuje. Jeżeli mi się powiodą moje muzykalne spekulacye w Londynie, będę mógł wydać w języku angielskim ważną rzecz pod tym względem dla sprawy polskiéj.

Opinie moje bardzo wielu mają przeciwników. Nie wszystkim miło będzie czytać obraz kreślony przez świadka, który sam na wszystko patrzył, a w najważniejszych epokach był czynnym. Z téj przyczyny sama roztropność radzi nie rozgłaszać przed czasem, że ma wyjść pismo moje; wszakże z obawy, żeby po francuzku nie wyszło, nie jeden raz, ale kilka starano mi się nawet za pośrednictwem rządu francuzkiego pobyt w Paryżu uczynić niepodobnym. Trzy razy kommissarz policyi du quartier de Tuillerie, gdzie mieszkam, przyniósł nam rozkaz ministeryalny opuszczenia stolicy w 48 godzin. Ten rygor był wymierzony naprzeciw historykowi narodowego powstania, z podszeptu takich ludzi, którzy mi w oczy tysiąc grzeczności prawią, a w duchu najgorzéj życzą. Nie chcę do żadnéj koteryi należeć, więc wszystkie w całéj emigraccyi mam przeciwko sobie. Ale czyżbym mógł być bezstronnym w całém mojém dziele, gdybym nie stanął na punkcie, z którego wszystkie opinie widzieć można, nie dzieląc żadnéj? Co innego działać, co innego pisać; w działaniu trzeba być koniecznie w jakiéjś partyi, bo trzeba siły i wpływu, w opisywaniu trzeba być nad wszystkiemi partyami, żeby zachować zimną krew i flegmę historyczną. Proszę Papy zalecić mnie szanownemu panu Boguszowi, i zapewnić o mojéj wdzięczności. Czyn jego jak przyjdzie do skutku, będzie czynem prawdziwie obywatelskim. Przyłożyć się do wyjaśnienia prawdy dotyczącéj ostatniego powstania narodowego przez ułatwienie druku dzieła jedynie prawdę mającego na celu, jest to zapobiedz fałszom, które ją każą

dzisiaj; a gdyby nie zostały wyświecone, skalałyby ją może na długi czas. Nie bez obawy naprzykrzam się kochanemu Papie i ponawiam prośbę o Dziennik powszechny od początku rewolucyi aż do wzięcia Warszawy. Niechaj kosztuje co chce transport, pismo to *koniecznie* mieć muszę. Potrzebne mi jest pour les pièces justificatives. Wyjątki jakie raz odebrałem, nie zaspokoją téj potrzeby. Roulażem możnaby go wyprawić ze Lwowa albo z Krakowa pod adresem do nas, jak zwyczajnie: à Monsieur Maurice Kamil.

Przypominam także obietnicę co do dalszego ciągu uwag Papy względem rewolucyi naszéj, dzisiaj z nich korzystam, późniéj oddzielnie wydrukuję i poszlę do Galicyi. Ostatni półarkuszek Papy zawiera charakterystykę rządu kongresowéj Polski. Papa przyrzekł dalszy ciąg administracyi Lubeckiego i charakterystykę figur rewolucyjnych. Z niecierpliwością tego oczekuję.

Kamil z Eaux-bonnes, 5 mil od Paryża pod Montmorency, gdzie już cały miesiąc przebywa, wróci pierwszego Października do Paryża. Wyszedł wprawdzie z niebezpieczeństwa, ale zupełnego zdrowia jeszcze nie odzyskał. — Tymoleon niechaj będzie cierpliwy, niechaj się powoli uczy języka francuzkiego. Niezadługo, tego niemal pewny jestem, tak się obrócą interesa nasze prywatne (o emigracyjnych nie ma co i wspominać), że z największą przyjemnością dla nas, a z wielkim pożytkiem dla niego, będziemy mogli, nie mówię wezwać kochanego braciszka listownie, ale może nawet sami pojechać po niego, a przynajmniéj, że to jeden z nas będzie mógł uczynić. Lecz dzisiaj, dzisiaj, z żalem to piszę, to być nie może. Do przyszłéj wiosny, może do połowy zimy. Wszystko to zależy od mojéj wycieczki do Londynu. Jeżeli wrócę z funtami szterlingami, Tymoleon będzie w Paryżu, gdyby w tym czasie poduczył się języka. Znam ja generała Peltier w Metz; tam doskonała

szkoła wojskowa, możeby mi się udało tam go uplacować. Pobyt Tymoleona we Francyi koniecznie musi być poświęcony nauce; próżnować on w zakładzie nie powinien, gdyżby był tak nieszczęśliwy, iżby, jak tylu naszych współbraci, złorzeczył tylko losowi. Wieluż to Polaków z Francyi wraca do kraju! Od Nowego Roku nikomu żołdu płacić nie będą. Cóż się stanie z nami? Pójdziem w ostatnią rozsypkę!! Będzie nas pełno we wszystkich częściach świata. Zgroza mnie bierze, gdy o tém pomyślę. Azatém Tymoleon będzie we Francyi, być powinien i musi, ale nie na żołdzie francuzkim. — Piękny mi żołd, 40 franków, gdzie wszystko tak drogo, że przy największéj ekonomii za 100 franków miesięcznie wyżyć nie podobna; wreszcie i tego żołdu od nowego roku odmówić obiecują. Człowiek obrotny, znający język, świat, artysta, rzemieślnik, wreszcie mogący pisać w języku francuzkim, może sobie dać radę, z wielką jednak trudnością, musi walczyć z niesłychanemi przeciwieństwy, pracować od świtu do zmroku; bo tu natłok ludzi wszelkiego gatunku, we wszystkiém niesłychana konkurencya. Zdaje się, że tu świat jest dyliżansem, albo przewozem, gdzie się każdy ciśnie. Każdy punkcik przestrzeni społecznéj tak jest zajęty, że go prawie szturmem zdobywać trzeba. Ztąd egoizm wygórowany i przebiegłość, o jakiéj w Polsce ledwo pojęcie mieć mogliśmy. — Ale cóż ja się wdaję w takie opisy? Czyż nie dosyć powiedzieć, że tu massy, krocie Francuzów powstają, nie dla sprawienia jakiéj metafizycznéj zmiany w kształcie rządu, ale jedynie dla tego, żeby nie umrzeć z głodu, *mourire pour travailler*. Pod tém tylko godłem zrobi się tu rewolucya, ale będzie krwawa — ostateczna — bo już nie idzie o głupie pryncypia, ale o realność, o *Chleb*. Pod tym względem Polska nasza, w dzisiejszém nawet spustoszeniu, jest Edenem w porównaniu z tą bogatą Francyą, za którą niedoświadczona młodzież tak tęskni.

Zkąd indąd cóż to za pożycie z ludźmi? Jakże ci sami Francuzi ze sobą żyją? Strach powiedzieć — lud rozwydrzony, pospólstwo dzikie, w Boga nie wierzy. Dwie są rzeczy okropne w naturze: kobieta bez religii i lud bez religii. Jak pierwsza, tak ostatni, dla własnéj ułomności potrzebuje wiary mocnéj i pomocy z nieba. W jednym miesiącu 30,000 Francuzów wymarło na cholerę. Z ulic cmentarze się porobiły. Żeby to żywego ducha w kościele zobaczyć. Pospólstwo w téj katastrofie upijało się. W wyższych klassach nie masz nic prócz manier, społeczność rozprzęgła się. Dla wszystkich zobojętnieli, wszystko za nic mają oprócz zarobku, a zarobek lubią dla małych uciech. Un homme comme il faut jest ten tylko w Paryżu, kto ma 100,000 franków dochodu, et à Londres ten jest pauvre diable, kto nie ma 20,000 funtów szterlingów. — Całuję rączki kochanego Papy.

Kamil pisał przed kilku dniami obszerny list do Polanki do Mamy, względem którego obadwaśmy się naradzali. — Zamiast pisać osobno do kochanego Józefa Krzyżanowskiego, proszę Papy, żeby z braterskiém od nas pozdrowieniem list ten jemu kommunikował. Jeżeli Papy w Polance nie masz, niechaj Mama będzie łaskawa ten list wprost do Krzyżanowskiego odesłać, a od niego dojdzie do Papy. Raz Mama wspomniała o Piotrze Mochnackim w taki sposób, że obawiać się o los jego słuszne mamy powody. Prosimy obadwaj o wyjaśnienie gdzie jest i co się z nim stało? Maxymiliana ściskamy serdecznie; cieszymy się, że ma ładną żonę. Pani Cieńskiéj, Mamie, Pannie Zenonie, Cioci Zosi, Olimpce, zasyłamy nasze ukłony. Od Klementyny żadnéj nie mamy wiadomości. Tymoleon niechaj do mnie koniecznie długo pisuje, ale na cieńkim, cieniuteńkim papierze; bo listy okropnie drogo kosztują. Z kochanym naszym kuzynkiem Hudziewiczem co się dzieje, i z Stasiem i maleńkim

Teodorem i z Pannami, o które się pan Kamil straszliwie wypytuje? Czy téż żyje kanonik Frazowski i Sufnowski we Lwowie; z Nowosiełek co słychać? o Arturze Pawłowskim wiecznie mnie się wypytuje Ledóchowski.

Maurycy Mochnacki.

Kamil Mochnacki do Rodziców.

Paryż, dnia 12. Listopada roku 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

List kochanych rodziców odebraliśmy na dniu 3. Listopada. Numera Dziennnika powszechnego były bardzo potrzebne. Zapłaciliśmy za tę expedycyę przeszło 30 franków od granicy francuzkiéj, to jest przeszło 50 złotych polskich. Co do reszty dziennika powszechnego, jeźliby się znalazł, listami pocztą posyłać będzie trudno gdyżby to przeszło 800 franków kosztowało. To najlepiéj da się uskutecznić rulażem. Kupcy w Krakowie i we Lwowie wiedzą co to jest za operacya. Interes z Panem Boguszem jeżeliby można było pospieszyć, toby bardzo dobrze było. — Nietylko interes publiczny, ale honor nasz wymaga spiesznego wydrukowania Historyi Rewolucyi, która, jak tylko wyjdzie w Paryżu, całkowicie przesłana będzie tam, gdzie Papa zechce, porozumiawszy się z Panem Boguszem i Krzyżanowskim. Projekt Londynu musi pójść w odwłokę, póki to uskutecznione nie zostanie. Prosimy Papę, żeby bez odwłoki listy trzy adresowane do Krzyżanowskiego posłał wraz z broszurami, w których się znajdują listy o rewolucyi polskiéj. Zamykają one ducha téj historyi, która ma być drukiem ogłoszona w Paryżu. Niepewność poczty krakowskiéj zmusza nas uskutecznić tę ważną expedycyę przez Po-

lankę. Szanownéj Ciotce Cieńskiéj, Mamie i Pannie Zdanonie, Cioci Zosi, Olimpce i całéj familii zasyłamy nasze ukłony. Cieszymy się niezmiernie z tego, że Papa poznał się we Lwowie z kanonikiem Frazowskim. Rzadko tak godnego człowieka na świecie. Ja się zaczynam mieć coraz lepiéj. Da Bóg, że na wiosnę jeszcze będzie lepiéj.

Kamil Mochnacki.

Maurycy Mochnacki do Ojca.

Paryż, dnia 25. Listopada r. 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Kochany Papo!

Na nas przyszła kolej uskarzać się na nieregularność korespondencyi. Już przeszło miesiąc nie mamy żadnéj wiadomości z Polanki. Co moment może się zmienić los Europy. Wielkie armie koalicyi rozpoczynają strategiczne poruszenia. Prędzéj może, jak się spodziewamy Emigracya polska ruszy w awangardzie rewolucyi. Dla téj przyczyny nie wiem, jak wiele wolnego czasu mieć będziemy. Możnaby zaręczyć na zimę, ale co najdaléj w Marcu nastąpić może. Zdaje się, nie podlega wątpliwości. Ludwik Filip długi szereg figlów swoich starał się zakończyć wystrzałem z pistoletu. Pokazało się, że ośmnastoletnia dziewczyna, panna Burry, z namowy ministra strzeliła do niego na wiatr. Strzeliwszy, zemdlała naumyślnie, mówiąc, że ten kto strzelił uciekł; aleć go nigdzie złapać nie mogą, bo tym mniemanym mordercą jest panna Burry, którą pan Thiers wziął w swoją opiekę. Ten wystrzał spowodował krocie adresów, tego też żądano.

Przeciwko dziennikowi Emigracyi Polskiéj Michała

Podczaszyńskiego Lelewel inne pismo Januszkiewicza wykoncypował. Galicya powinna wiedzieć zawsze, że w tém pisemku mnóstwo fałszów, brudów i potwarzy będzie. Jak téż stoi interes Pana Bogusza? Projekt Papy przepędzenia zimy w Krakowie, napełnia nas największą niespokojnością, bo tam zupełnie niebezpieczno. Kamil obszerniéj napisze, a ja zasyłam moje ukłony.

Maurycy M.

Dopisek Kamila Mochnackiego.

Dwa numera następne broszurek Podczaszego posyłamy szanownéj familii. Wiadomości w nich zawarte najlepiéj obznajmiają z bieżącemi interesami, tyczącemi emigracyi naszéj. Jest tam także ważny artykuł, stwierdzający okrucieństwa, których car dopuszcza się w zabranych prowincyach. U nas wojna jest *à l'ordre du jour*. I rzeczywiście nigdy nie było większego podobieństwa do najważniejszych zmian jak teraz. Francuzi niby się cieszą, niby smucą; to wszakże pewna, że małym kosztem nie wybrną z tego błota, w którém ich zanurzył nierozum i egoizm. Oppozycya pobita. Niewiadomo jeszcze kogo oszukuje Duppin, lecz bez żadnéj kwestyi, w jego ręku są losy Francyi, a tém samém losy całéj Europy. Cieszy się także i emigracya nasza z bliższéj niżeli kiedy wojny; ale po chwili zastanowienia uciechę zastąpują nieprzeliczone kłopoty, których nawet wojna, owe magiczne słowo, przyszłéj egzystencyi naszéj usunąć nie może. Czy będą formować legią? kiedy ją będą formować? Kogo użyją, a kogo nie? czy zostawią stopnie? czy dadzą znaki polskie legiom? Oto są pytania, które każdy czyni i na które nikt jeszcze stanowczo odpowiedzieć nie może. Największa jest trudność we wzglę-

dzie żołnierzy. To co mamy w zakładach, zaledwie starczy na jeden pułk, a oficerów wystarczyłoby na armią 40,000. Po umieszczeniu w jednym pułku kilkudziesiąt oficerów, cóż się stanie z resztą? Wszystkie te trudności dałyby się usunąć, gdybyśmy mieli po sobie króla i ministerstwo; ale niechęć ich, a prawie nienawiść ku nam, jest tak wyraźną, iż śmiało rzec mogę, że jeżeli z rozpoczęciem wojny Francuzi nie zwalą i doktrynerów, sami niezawodnie upadną przed potęgą koalicyi, a emigracyą nasza zmarnieje bez żadnego pożytku, ani dla Francyi, ani dla Polski. Nie dawno był Pac i Czartoryski z wizytą u marszałka Soulta, który traktując interes naszéj emigracyi, z największą obojętnością rzekł im nakoniec, że Polacy liczą na jaką wojnę generalną, o któréj on nic nie wie, lecz bardzo się mylą w swoich nadziejach; a choćby była wojna, to ich nie użyje. — I czegóż się nie mamy spodziewać po szatańskiéj polityce dzisiejszego rządu? Izby francuzkie mają podobno przec króla w adresie, aby wyrobił amnestyą u Mikołaja dla Polaków, co wskazuje, że mają myśl, inne dać przeznaczenie w budżecie dwom milionom, przeznaczonym na utrzymanie naszéj emigracyi. Niewątpliwie teraz jest czas bardzo ciekawy, i spodziewam się, że w bardzo krótkim czasie będę mógł donieść famili, quelque chose de plus positive względem naszego położenia. Teraz jest jeszcze wszystko jak było; siedzimy w Paryżu i zapewne póty będziemy siedzieć, póki nam nie dadzą innego przeznaczenia. Ja, choć wojskowéj służby robić nie mógłbym, wsiądę jednak z ochotą na konia, bo nieczynnym być nie myślę. — W gospodarstwie domowém naszém nastąpiła zmiana. Michał Podczaszy sprowadził się do Maurycego, a ja ztamtąd się wyniosłem. Unikam wrzawy dziennikarskiéj i nigdy niewychodzącego z ich pokoju dymu od fajek. Stoję jednak w tym samym hôtelu i to zyskałem, że nie chodzę teraz na trzecie piętro, co mnie

z największą trudnością przychodziło; nie połykam dymu, którego teraz moje piersi nie mogą znosić i mam jeden z najpiękniejszych pokojów na pierwszém piętrze z widokiem na ogród, z wszystkiemi wygodami i kominkiem, na którym ogień roskoszny wynagradza nieznośną mgłę, która w téj porze nigdy nie ustępuje z Paryża. — Cioci Cieńskiéj i całéj familii zasyłam moje ukłony.

Kamil Mochnacki.

Rozumiem, że poprzednie 5 numerów broszurek Michała w ostatniéj expedycyi zasłane, były kommunikowane kochanemu Krzyżanowskiemu. Odtąd będziemy osobno do niego, osobno do Polanki posyłać, bo o to sam najusilniéj prosił.

Maurycy Mochnacki do Matki.

Paryż, dnia 8. Grudnia roku 1832. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Kochana Mamo!

Wydziwić się nie możemy, dla czego od miesiąca przeszło z Polanki nie mamy żadnéj wiadomości, kiedy dotychczas korrespondencya szła zawsze jak najreguIarniéj. Nie spodziewamy się, żeby jakie nadzwyczajne nieszczęście zaszło. Stan rzeczy odmienia się tu bardzo. Od dwóch dni rozpoczęła się kanonada pod Anvers. Prusacy stoją na odwodzie. Paryżanie, to jest ci, którzy nie wierzą w długowieczność rządu Filipa, spodziewają się wojny, która pewnie będzie powszechną i o Wisłę się oprze. — Czy projękt Papy zimowania we Lwowie ustalił się? jeżeli tak, tobyśmy prosili o wiadomość jak adresować do Lwowa. Czy Państwo odebraliście wszystkie numera dziennika Michała? Teraz posy-

łamy nowych dwa egzemplarze; z tych jeden dla Krzyżanowskiego. — Życie nasze w Paryżu teraz pełne jest zatrudnienia. Sejm nasz ma się ukonstytuować w ciało polityczne. To zaelektryzuje Polskę. Nieprawdaż? Sejm ten może wiele dobrego zrobić, byle był zgodnym. Mógłby nawet w części naprawić to złe, które zrządził w rewolucyi swoją słabością; lecz na nieszczęście dzisiaj się na partye dzieli, a mało jest nadziei, aby te partye dla dobra ogółu się uciszyły. My, jak dotąd, ze wszystkiemi partyami zostajemy w największéj zgodzie. Ale żadną miarą nie możemy przyjść do końca z Lelewelem i demokratami, którzy coraz większe głupstwa robią. Kompromitują sprawę naszą za granicą. Oczernili się zupełnie przed cudzoziemcami. Rocznicę 29. Listopada w obecności Lafayetta znieważyli członkowie Towarzystwa Patryotycznego: Puławski, Czyński, Krępowicki, Saniawski. Za to téż mają być wymazani z listy emigrantów przez Komitet Centralny Emigracyi Polskiéj.

Proszę Mamy, żeby była łaskawa przysłać mi dzieło moje o Literaturze; bo niemasz ani jednego egzemplarza w Paryżu. Można to zrobić rulażem krakowskim albo lwowskim. Ten rodzaj transportu jest najtańszy i najpewniejszy. — Kamil jest zdrów, zawsze jednak pokaszluje, tak jak i Michał, tamten z rana, ten z wieczora. Przyczyną tego jest ustawiczna wilgoć i mgła paryzka. — Czy téż wody szczawnickie pomogły Papie? Czy Mama, szanowna Pani Cieńska i wszyscy w domu są zdrowi? Czy nie możnaby namówić Pana Sagatyńskiego, żeby do nas napisał, a szczególniéj do Pana Ledóchowskiego, który się codziennie o niego wypytuje. Ledóchowski, wojewoda Ostrowski, Zwierkowski, Trzciński, Jełowicki, Grabowski, syn znajomego Mamie posła, exkanonik w Jaratacce, Kamil i Dunin, zgromadzają się zawsze w jedno miejsce do hotelu *Vauban* na obiad, gdzie nie masz żadnego cudzoziemca. Ja i Michał by-

wamy tam czasem, ale nie zawsze, bo nie lubimy się trzymać jednéj godziny. — Czy Ciotka Zofia już jest w Warszawie? Niechaj Mama będzie łaskawa napisać do niéj, żeby za pomocą K..... zabrała cały dziennik powszechny do 15. Sierpnia, bo od téj daty Papa już go nam przysłał. — Tymoleonowi posyłam braterskie uściśnienie; niechaj będzie cierpliwy, a przekona się, że ma braci, którzy go kochają i codziennie o nim myślą, żeby się z nim połączyć. Gdzie jest Klimka i co robi? a Pani Głogowska i jéj Klimka?

Maurycy Mochnacki.

Nota.

Tak się zakończyła ta droga sercu mojemu korrespondencya z roku 1832., pełna podówczas pociechy, żalu, często smutku i trwogi. Wiele listów zaginęło z powodu, że mąż mój kommunikował je różnym osobom, że nie siedział z nami w Polance, że jeździł to do Lwowa, to aż za Lwów do wód w Szczawnicy; listy więc rozpierzchły się. Kamil udawał zdrowego, chociaż coraz bardziéj czuł się być niebezpiecznym, a dla mnie tém większy smutek rozdzierający moję duszę, że i wielka odległość i niepodobieństwo mienia pieniędzy, pozbawiały mnie wszelkiéj pociechy — gryzłam się. Również i Maurycy dręczony słabością Kamila, brakiem funduszów na wydrukowanie już ogłoszonego dzieła, oraz wiecznemi niesnaskami naszych emigrantów, dogorywał w ogniu życia swojego, wypalając się powoli jak lampa, do któréj nie dolewano nowego żywiołu. We Francyi pomiędzy emigrantami była to wojna wszelkich namiętności: rozpacz, zazdrość, złość, zemsta, drażniły na przemiany chych ludzi, z których każdy razem czy z osobna, gotów był nieść życie swoje w ofierze dla ojczyzny: wyprowadzeni z własnéj ziemi bez ładu, bez steru i pieniędzy, puszczeni na tułactwo i nędzę, byli na ostatku tak krzywo i niedołężnie rządzeni, gubieni, chociaż wiemy, że można było kassy nie oddawać, ludzi zaś i żołnierzy w porządku utrzymywać przynajmniéj czas jakiś. Prawdziwe było nasze nieszczęście, żeśmy nie mieli ani jednéj głowy, któraby zachowała charakter stały, mężny,

wytrwały i rozumny aż do końca; czuł to najbardziéj może syn mój Maurycy, który żył całą siłą duszy w téj jedynie naszéj wielkiéj sprawie. Nauczony najsmutniejszém doświadczeniem, pozbawiony wszelkiéj illuzyi co do osób i charakteru ludzi i dręczony losem rodziców, którzy wszystko dla téj sprawy poświęcili i wszystko w niéj stracili, ulegał powoli, czyli raczéj nachylał się ku upadkowi i taka była istotna przyczyna jego śmierci. Szczególna rzecz, i osobliwsza, przepełniająca miarę boleści serce matki, dla czego śmierć nietylko samych synów moich zabrała, ale nadto sięgnęła i tych młodych ludzi, którzy połączeni byli z nimi najmocniejszym łańcuchem przyjaźni od dzieciństwa, przez miłość ich wzajemną ku sobie, przywyknienie, nierozdzielność, szacunek wzajemny i stosunki. Anastazy Dunin, donosząc mi o śmierci Michała Podczaszyńskiego w jednym ze swoich listów, tak do mnie pisze: „Ja Ci więc, droga Matko nasza, zostałem sam jeden jako ostatnie ogniwo z łańcucha, który mię tak silnie wiązał do Maurycego, Kamila i Michała....“ Niestety! i ten prawdziwy przyjaciel mego Maurycego zszedł z tego świata, utonął na morzu, podług doniesienia gazet, płynąc z Anglii do Francyi. Zdaje się, jak gdyby wola Stwórcy naszego najwyraźniéj jawiła się z téj poczwórnéj śmierci tych młodych ludzi. Tu więc skłaniam głowę moją: tu święta rezygnacya jest cnotą błogosławioną, jest bronią naprzeciw saméj rozpaczy.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Matki.

Paryż, dnia 31. Stycznia 1833. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Najukochańsza Mamo!

List ostatni kochanych Rodziców bardzo nas przeraził; nie tyle co do stanu interesów, bo to być inaczéj nie mogło, ale co do niebezpieczeństwa, które Papie zagraża. Ponieważ Papy nie masz w Polance, więc proszę Mamy, żeby ten list bez zwłoki do Lwowa posłała. Z daleka może ja daleko lepiéj pojmuję moskiewskie zabiegi. Niewątpliwie opuszczono w liście proskrypcyjnéj

nazwisko Papy, żeby go zwabić do Warszawy, uwięzić i tym sposobem nas wszystkich przymusić do powrotu. Zaklinam Papę na wszystkie obowiązki, żeby nie pomyślił nawet o podobieństwie udania się do Polski celém zakończenia interesów. Niechaj folwarek na Czersku przepadnie, jak powrócimy, odbierzemy go z bronią w ręku. To jest tylko pułapka. Z drugiéj strony po tém wszystkiém co się stało, nie widzę bezpieczeństwa dla Papy i w Galicyi. — O mój Boże, co tu robić? Ja się zarówno dla Papy obawiam Polski jak Krakowa i Galicyi. O Krakowie ani myśleć; umarłbym, dowiedziawszy się że tam jest Papa. To być nie może żadną miarą. Prosimy więc Papę w Imię Boga, żeby o Krakowie nie myślał; tam nie masz żadnéj gwarancyi. Najlepiéjby było we Francyi; ale jakże się tu dostać, osobliwie teraz. Mój plan więc jest taki, od którego odstąpić nie mogę: Ponieważ Papa ani w Polsce, ani w Krakowie, ani w Galicyi bezpiecznie znajdować się nie może, więc pomimo wszelkich trudności, pomimo nawet pozornych niepodobieństw, nie gdzie indziéj, ale tylko we Francyi razem z nami być musi. Jak tego dokazać, nie wiem, to wiem tylko, że to jest jedyna kombinacya, która nas uspokoić może. Niechaj Papa nasz kochany koniecznie bez *zwłoki* dołoży wszelkich starań dla puszczenia się w tę drogę z Tymoleonem. — Wierz mi Mama, że myśl co do Bużańca, Czerska, co do własnego gospodarstwa, to tylko romans! To tylko jest prawdą w tym labiryncie tak wielkich nieszczęść, że Papa z Galicyi wydanym być może Moskalom! Co daléj we Francyi będziemy robić, to ja biorę na siebie, *za to moją głową, mojém życiem, mojém sumieniem odpowiadam.* Niechaj tylko Papa przyjedzie, już my sobie damy radę. Jeżeli cokolwiek wiary miałem w przekonaniu Mamy kochanéj, niechże Mama przez wzgląd na swoją własną i naszą spokojność popiera ten projekt zbawienny. Gdy Papa przyjedzie,

zapewne nie będziemy siedzieli w Paryżu dla trzech przyczyn: najprzód klimat paryzki dla Papy i Kamila jest niezdrowy przez całe pół roku; powtóre, że drożyzna w Paryżu jest wielka, po trzecie, że łatwiéj na prowincyi pomódz sobie. Obraliśmy w najpiękniejszym kraju w F.; w Bordeaux koło Toulouzy, albo Perpignan miejsce pobytu. Tymoleona umieścilibyśmy w zakładzie którym, a potém gdzie w instytucie naukowym. Wreszcie jest to chłopiec młody, nie tak jak my starty przez burze polityczne, azatém łatwiéj jeszcze jak my mógłby znieść twardą szkołę doświadczenia i niepowodzeń. Wierzaj mi Mamo! pomimo tego wszystkiego, co się zemną działo na tym świecie, czuję jeszcze w sobie tyle mocy ducha, i tyle energii charakteru, jak gdybym nigdy nie miał do czynienia z przeciwnościami, jak gdybym dopiero miał lat 17, a nie 30; bo podobno już zacząłem rok 30. Azatém z tego wszystkiego wypada, że damy sobie radę we Francyi. Ten jest mój plan, od którego odstąpić nie mogę. — Póki nie masz Polski całéj i niepodległéj, żaden z nas nie powinien być w Polsce. — Ta zima była dla nas wszystkich trzech, dla Kamila, dla Michała i dla mnie bardzo niedogodna. Kamil zapadł był znowu na piersi, a teraz jest w kuracyi sławnego doktora Marcinkowskiego, który kaszel jego widocznie zmniejszył; na wiosnę zalecił jemu południowe kraje. Michał jeszcze kaszle, i nieborak bardzo pracuje; redaguje dziennik swój, któremu nie źle się powodzi. *Ja sam, co mi się jeszcze nigdy w życiu nie trafiło, choruję przez 20 dni na bicie krwi do piersi*, ale teraz wszyscy mamy się lepiéj. Ucieszyła mię niezmiernie wiadomość o zdrowiu Papy. To większe dobrodziejstwo, jak gdybym cały Ryżaniec z Czerskiem odzyskał. Zapewne nie potrzebuję prosić Mamy, żeby była łaskawa ucałować od nas rączki Pani Cieńskiéj, téj wielkiéj Polki, téj prawdziwéj dobrodziejki naszéj, którą my razem z Mamą uwielbiamy.

Żadne słowa nie wyrażą wdzięczności mojéj i Kamila! Posyłam 5 numerów broszur, z których się Państwo dowiecie tego wszystkiego, co się u nas dzieje. Dla dyrektora Chłopickiego posyłalibyśmy osobno jeden numer, gdyby sobie tego życzył. Niechaj mu Mama każe powiedzieć przez kogo, że chociaż w początkach rewolucyi nie umiał odgadnąć czego chciałem, ani zrozumieć, czego odgadywać nie potrzeba było; nigdy jednak nie przestałem w nim widzieć znakomitego żołnierza i dobrego, choć oszukanego Polaka przez tego niegodziwego Lubeckiego. Jeżeli co chce napisać do dziennika Michała, niechaj to napisze, a pewnie wydrukowane będzie. — Przyjechał w tych dniach Nabielak z Szwajcaryi; znowu wszyscy razem jesteśmy. Jakie są partye w emigracyi i o co idzie, wszystko to broszury wyjaśnią. Portretów naszych nie posyłam Mamie, dla tego najprzód, że teraz bardzo pobrzydliśmy i wychudli przez różne zgryzoty polityczne emigracyi, azatém możeby się Mama przestraszyła własnych synów. Kamil jest tak chudy i blady jak upior; a ja, którego apetyt, sen i dobry humor nigdy nie odstępował, tylko co na upiora nie wyszedłem w tych 20 dniach, gdzie dla tego, aby mnie apoplexya nie uderzyła, nic a nic jesć nie mógłem. Azatém wtenczas dopiero poszlemy Mamie nasze portrety, kiedy cokolwiek odmłodniejemy, i to pod warunkiem, żeby ich Mama nikomu nie pokazywała. — Gurowski, o którego się Mama tak pytasz, jest waryat; nie żyję ja z nim dla tego, że oprócz Michała, Nastusia Dunina, Nabielaka i jenerała Dwernickiego, wszystkich Polaków unikam, choć z wszystkimi, oprócz Lelewela, jego partyi i byłego Towarzystwa Patryotycznego, jestem bardzo grzecznie. Nieprzyjaciół mam tyle, ile ich miałem zawsze, z tą tylko różnicą, że ci, którzy dawniéj najmocniéj przeciwko mnie powstawali, zaczynają się przekonywać, że ja miałem racyą, a ci, co to niby moimi byli

stronnikami, którzy w istocie byli tylko hipokrytami, dzisiaj, jak mogą, starają się mnie obmawiać; lecz ja nie dbam na to wszystko. Ja i Kamil daleko więcéj możemy w zakładach jak oni. Zakład w Avignon i w Bourgés ma prawdziwie godnych wojskowych, na których teraz wszystko zależy. Nasi panowie du *haute parage* znowu się zaczynają łudzić dyplomatycznemi romansami. Jest tu cała dyplomatyka co wierzy w Austryą. Chciałaby wynegocyować 8 województw, ale to się nie uda. Niedawno admirał minister Rygni powiedział: „Jeżeli dzisiaj coś się nie wykluje dla Polski z interesów wschodnich, to nigdy.“ — Ja zawsze utrzymuję, co gabinety o nas bez nas uradzą, to natychmiast się rozchwieje, ale co rewolucya powszechna może dla nas zdziałać, to na wieki zostanie. Lecz mniejsza o politykę, w któréj my tu jesteśmy zanurzeni, która mnie już nudzi. Cóż robi Klimka (siostra), czy zawsze jest wesoła? Czy zawsze będzie siedziała u podkomorzyny Zielińskiéj? List Mamy niezmiernie ucieszył Michała. Nie posiada się z radości, że on sierota na tym wielkim świecie, znalazł rodziców i został ich synem. Zawsze Michał tak piękny jak był, tylko szkoda że łysy i że tak lubi ostrygi, które rzeczywiście wyborne są w Paryżu. Gdyby nie ostrygi i łysina, gdyby nie nałóg palenia tytuniu, gdyby nie namiętność niczém nie powściągniona do rosbeefu angielskiego i ryb morskich, nie masz ani jednéj panny na świecie, któraby go od biedy kochać nie mogła. Dodaj Mama do tych wszystkich niegodziwych przywyknień naszego najstarszego Paryżanina nieposędliłe zamiłowanie do Bordeaux à *40 sous*, a będziesz Mama miała obraz tego samego Michała, który był w Warszawie. Najgorsza rzecz, że się widocznie starzeje, a myśli że jest młody. Powiada, że się ożeni i to w Polsce, gdy będzie cała. Dziennik jego czyni mu wielkę renomę w emigracyi i jest od wszystkich poważany. Z tego dziennika kupuje

drzewo, które tu jest tak drogie, jak szafran w Polsce; co większa, z tego dziennika wyprawia czasem takie zbytki; o jakich tylko u Wefura au petitrocher de local, albo w sławnéj restauracyi au Boeuf à la mode, wyobrażenie mieć można. Z tém wszystkiém życie nasze jest bardzo przykładne, skromne i pełne zatrudnień. — Ale Paryż jest to otchłań, świat, i dla tego gdyby Papa przyjechał, jabym przynajmniéj wolał gdzie indziéj mieszkać. — Cioci Zosi i Panu Sagatyńskiemu do Warszawy zasyłam ukłony. Więc Maxymillan Fredro znowu w Petersburgu..... Bardzo dobrze, niechajże przynajmniéj nie zapomina o sierotce naszym Porfirku. Mój Boże! ten chłopiec jak odłamek zgruchotanéj nawy, jak dźbło na pustyni — sam jeden, jak listek. Cóż się z nim dzieje? Moja Mamo, dla czego nas tak burze rozerwały? Dla czego tyle łez, tyle krwi upłynęło od 29. Listopada? O zapewne i ja jestem tego zdania, gdybyśmy mogli być, ale wszyscy, razem, w cichym domku, daleko za światem! Ale to niepodobna i być nie może. *My już tylko podobno na tamtym świecie będziemy razem.*

Przypuśćmy, że znowu Polska powstanie z woli ludów, czyż od Renu do Odry, od Odry do Wisły z pomiędzy miliona kul ani jedna nas nie trafi? Widzę ja dobrze przyszłość naszą. Przekonanie, że koniecznie będzie potrzeba zginąć w téj sprawie, tak się we mnie utwierdziło, że się zfamiliaryzowałem z ideą śmierci, jak z dzieckiem, i nielepiejże to tak umrzeć na starość? — W Polsce nie życzyłem sobie tego, w tylu bataliach będąc; ale teraz sam widzę, że ci, co zaczęli rewolucyę, powinni i muszą dla niéj umrzeć. Całuję rączki Mamy.

Maurycy Mochnacki.

Olimpkę tysiąc razy całuję i dziękuję jéj, że tak dobra i nie zapomina o mnie.

Nota.

Jakiż to duch wieszczy dyktował te ostatnie wiersze mego syna Maurycego. Istotnie i w tym liście i późniéj zdawało się, że śmierć swoję przeczuwał, że nawet ją widział. Lecz ja, matka nieszczęsna, bynajmniéj téj katastrofy ani przeczuwałam, ani nigdy przewidywać nie mogłam. Maurycy był tak zbudowany dobrze, młody, silny, bez najmniejszego defektu, młodość jego tak zakonserwowana; jednakże zgryzoty rozprządz potrafiły ten organizm pełen życia.

Marya M.

Kamil Mochnacki pisze daléj w tym samym liście.

Nigdy u nas nie było takiego smutku jak po odebranym ostatnim liście od kochanych szanownych Rodziców. Mieliśmy wprawdzie przed odebraniem tego listu rzeczywisty stan interesów Papy przed oczyma, ale naumyślnie przez próbę i przymus oddalaliśmy od siebie opłakany widok nieszczęść, które tak blisko nasze serca dotykają, a na których zaradzenie nie było żadnego środka. Teraz niepodobna już zostać w tym nieszczęsnym stanie daléj, w dłuższém oczekiwaniu czas tracić, a przez to na większe jeszcze tysiąc razy narażać się niebezpieczeństwa, byłoby to samo, co naigrawać się z Opatrzności, która pomimo tylu klęsk zachowała Papie najdroższy skarb, to jest: zdrowie, a nam dla tego przyświeca piękną przyszłością, że chce, abyśmy jéj doczekali i używali razem z wzorem najlepszych ojców. Co bądź można powiedzieć, wymyśleć, wyrozumować, wyargumentować, wykoncepować w materyi dzisiejszego naszego położenia, zawsze na końcu ten wypadnie wniosek, że Papa w Galicyi dłużéj pozostać nie może, więc we Francyi musi. Kraków, Galicya, Prusy, Austrya, kraje i kraiki książąt i książątek niemieckich są dzisiaj dla pewnych osób obładowanych odpowiedzialnością rewolu-

cyi tém samém, czém jest Warszawa pod dozorem Paszkiewicza, albo i sam Petersburg z sądami wojennemi. Prawdziwie dziwić się trzeba tęgości charakteru Papy, że tak długo dotrzymuje placu. Nigdybyśmy nie odważyli się namawiać Papę do kroku na pozór tak lekkiego, do téj awanturniczéj wyprawy, ale są pewne pozycje, które nic do namysłu nie zostawiają, w których się wahać nie można; bo wybierać nie ma w czém, a potém wiele téż to Polaków w takim wieku jak Papa emigrowało do Francyi i żyją przecież jako tako, choć nie mają trzech synów, których w ostatniéj potrzebie przedaćby można za jakie takie pieniądze Ibrahimowi egipskiemu, aby nimi straszył Moskali jak mu przyjdzie z nimi zadrzeć. Lecz nie ma co żartować z Baszą. Bodaj czy pierwsza zorza dla młodéj Polski nie błyśnie z Egiptu. To wszakże prawda, że jeżeli Basza weźmie Stambuł, nigdy Polacy nie będą mieli lepszéj okazyi odezwać się o swoje. Mając list kochanego Papy przed oczyma, nie mogę pojąć, dla czego dzienniki niemieckie tak często głoszą o łaskawości cesarza austryackiego dla emigrantów polskich i łatwości otrzymania obywatelstwa galicyjskiego. Czy te prześladowania są wymierzone na wszystkich Polaków skompromitowanych w rewolucyi? czyli téż tylko na niektóre osoby uprzywilejowane od nieszczęścia? Lecz niepodobna przypuścić nawet, aby Austryacy odważyli się wydać kogo w ręce Moskali, a czy pozwolą zostać w kraju lub nie, wszystko to jedno dla tych osób, które nietylko pozwolenia zostania w Galicyi, ale i funduszów na utrzymanie familii potrzebują. Uważam przeto za rzecz zupełnie zdecydowaną, projekt przybycia Papy z Tymolkiem do Francyi. I tę decyzją opieram na tym najważniejszym argumencie, że pobyt Papy w Galicyi, teraz szczególniéj po odpadnięciu interesów Czerska i Bużańca, nietylko że nie ma żadnego celu, ale nadto jest niebezpieczny i uciążliwy. — Tutaj we Francyi budżet nowy nie

zapomni o emigracyi, a dołożymy wszelkiego starania, abyśmy mogli być razem, dopóki nas ważne wypadki polityczne lub konieczna potrzeba nie rozłączy. Najlepiéjby było dla nas siedzieć w Paryżu, ale ten klimat jest dla mnie nieznośny i doktorowie nie radzą mi w nim żyć. Nadmorskie południowe prowincye będą najzdrowsze dla mnie i dla Papy, więc w nich się ulokujemy. Tymolek, byle tylko chciał, bardzo może korzystać z nauk, jakie są teraz z rozkazu rządu otworzone dla Polaków w Dijon i w Montpellier, będzie tam trochę kuso; bo pensja bardzo szczupła, ale cóż robić, któż jest teraz szczęśliwy, a nasz ród par excelence skazany jest na kłopoty, do tego potrzeba się przyzwyczaić, a co mnie w tém wszystkiém poucza, to ów nieoszacowany dar ekonomizowania w Tymolku i przyjaźń jego do zleżałego grosza, z którym się nigdy nie lubi rozłączać. Jest wprawdzie jeszcze jedna kwestya tycząca się kosztów podróży, i ta już przechodzi mój rozum, choć z drugiéj strony wiem, iż ta nie jest tak straszną, jak się na pozór wydaje. Czy wszyscy o swoim koszcie przybyli do Francyi, tego nie wiem, ale to pewna, że niesłychana liczba Polaków zawsze zjeżdża do Francyi z Galicyi, i że po drodze komiteta niemieckie wszędzie ułatwiają polskim emigrantom zręczność dostania się do granic francuzkich. Prosimy tylko Papy, aby po odebraniu tego listu napisał do nas co sam myśli o tym projekcie i o czém stałém nas uwiadomił. Téj wiadomości będziem oczekiwali z największą niecierpliwością, ponieważ mnie doktorowie wypędzają gwałtem z Paryża na południe, a nie mógłbym się teraz zdecydować, nie wiedząc, jakie będzie rozporządzenie w téj mierze Papy. Mamie mojéj najukochańszéj za pamięć i troskliwość o moje zdrowie jestem bardzo wdzięcznym. Prawdziwie lżéj jest chorować, jeżeli jest ktoś taki, co żałuje chorego. I ja téż mam najpewniejsze przekonanie, że z téj mojéj przeklę-

téj choroby wyjdę. Oszaleję z tymi doktorami. Jeden mnie kurował przez siedm miesięcy i nic mi nie pomógł. Teraz drugi przyszedł i znowu zaczyna na nowo kuracyą, oświadczając zaraz z góry, że cała poprzednia kuracja była zła, niestósowna. Wprawdzie ten doktór ma wielką reputacją, powiadają nawet że jest szczęśliwy, ale niepodobna nawet temu wierzyć co on powiada. Sądzi, że ja mam zapalenie płuc źle kurowane, a więc oczywiście leczy mnie teraz podług swojéj metody na zapalenie płuc, kuracja jest nieznośnie męcząca. Wizykatorye tak mnie zniszczyły, że ani smaku ani apetytu do niczego nie mam, choć z drugiéj strony znaczną czuję ulgę w kaszlu i gorączki już nie mam. Proszę kochanéj Mamy obszerniéj nam napisać o cioci Zosi, co porabia w Warszawie i jak się jéj tam wydaje postać rzeczy. Czy tam ciągle będzie bawić? Czy nie wie co o Piotrze Wysockim? Dobréj cioci Cieńskiéj zasyłam moję czołobitność, toż samo kuzynie i Olimpce.

Kamil Mochnacki.

Michał Podczaszyński do Maryi M.

Paryż, 2. Lutego 1833.

Kochana Pani!

Piszę ten list w dzień Najświętszéj Panny Gromnicznéj po kilkomiesięcznem milczeniu. Dziś jest pół zimy, u nas w Polsce mówią, że dzisiaj niedźwiedź po kilkomiesięcznym śnie zimowym obraca się na drugą stronę. Bojąc się, żeby Pani nie zrobiła jakiéj alluzyi z przerwania snu znanego z lenistwa zwierzęcia, wykręcałem się jak mógłem z listem, chciałem jutro pisać, ale Maurycy zagroził mi wyexpedyowaniem swojego listu dzisiaj.

Nie chcąc więc, abyś dłużéj Pani myślała, że przez lenistwo nie pisywałem, z radością bez względu na alluzją piszę. Długośmy oczekiwali na wiadomość z Polanki, i Maurycy był bardzo niespokojny, a lubo w ostatnim liście Państwa były niepocieszne nowiny, to żeście zdrowi zaspokoiło nas i cieszyło. My tu żyjemy dawnym trybem, tylko że się mniéj kłócimy. Pocieszamy się jak możemy i pracujemy po całych dniach. Przybył tu do naszéj familii zacny Nabielak, bardzo rad jestem ze znajomości z nim. Mieszka teraz w jednym domu z nami, ale się za kilka dni wyprowadza. Kamilek i kaszli i kaszli i krokiem z domu nie wychodzi. Zmienił teraz lekarza, wziął Marcinkowskiego, który od dziesięciu dni znacznie polepszył stan jego zdrowia. Maurycy także przez tydzień chorował, nawet w łóżku leżał. Naśmiałem się do woli z jego słabości, któréj przyczyną nic więcéj nie było tylko *kluski*. Jakaś baba polską kuchnię założyła. Maurycy tam był kilka razy, ale po nieszczęśliwych kluskach już więcéj nie poszedł. Kamilowi do domu noszą jedzenie, my z Maurycym zawsze razem jadamy, zmieniając kuchnię to na angielską, to na francuzką. Zatrudnienia nasze nie są także bez przyjemności. Ja jednak sam jeden zatrudniony wydawaniem mojego pisma, nie mało mam ambarasu. Pismo to nie źle idzie, dałem przykład innym. W Avignon zaczęto coś wydawać, ale ta antrepryza upadła. Lelewel Januszkiewicza wysadził, żeby wydawał pismo w Paryżu. Arystokraci zaczną coś nowego wydawać od Marca. Litwa swoje pismo za kilka dni zacznie ogłaszać. Meyzner w Besançon już dwa numera swego dziennika wydał. Gurowski wydał cztery numera pisma zwanego demokratycznėm. Ja z tego rad jestem nietylko jako Polak, ale dla tego, że moje broszurki mogą być porównywane z innemi, a z tego porównania to wynikło, że o 100 osób powiększyła się liczba moich prenumeratorów.

Komitet Lelewela rząd rozwiązał. Od tego czasu lepiéj się z Polakami obchodzi i ma im żołd podwyższyć. Maurycy radby wiedzieć co się dzieje z jego rękopismem drugiego tomu o Literaturze w Polsce i czy nie masz sposobu wydobyć ją z Warszawy i przesłać do Paryża; wydałby ją tutaj. Kamil gotuje piękne rzeczy do mego pisma, wkrótce będziecie je czytali Państwo. Posyłam Bolesława 5, Bolesława 6, Konrada, Leszka czarnego i Henryka P..., nadal regularniéj będziecie Państwo odbierali moje broszurki. Maurycego artykuły z największém uwielbieniem są tu czytane, i mogę to powiedzieć że jego pismo mojemu wielką nadaje reputację.

Ja od pół roku ciągle jestem niezdrów i kaszlę, ale nie bolą mnie piersi. Maurycego w nocy często budzę mojém kaszleniem. W ogóle klima tutejsze jest niezdrowe dla mnie. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Nic ani trochę nie mogę przywyknąć do tego kraju, choć już siódmy rok w nim bawię, mieszkańców nie lubię. Polska jedna jest dla mnie. Zawsze się chce tego co jest trudne, a może i niepodobne, chociaż ani na chwilę nie tracę nadziei. Z Polakami wcale nie żyjemy. Lelewel tak ich porozdzielał i tak przyuczył do podejrzliwości, do potwarzy, że dawni znajomi unikają siebie nawzajem, jeżeli chcą uniknąć kłótni, pojedynków i t. d.

Maurycego wszyscy w ogóle się boją, nawet milczenie jego i niekommunikowanie się z nikim, mają za dowód jakiegoś zamysłu. Lelewel szczególniéj wie Bóg co o nim wygaduje. Największe głowy powiadają o nim, że człowiek zły i przewrotny etc. Ja przynajmniéj tego nie widzę i nieraz się z tego śmiejemy. Jabym wolał jego serce jak głowę, żeby mi przyszło koniecznie jedno z dwojga wybierać. Ale z tego gadania dobre skutki wynikają, bo Maurycy niezmiernie imponuje wszystkim półgłówkom, a pisma jego w moich broszurach umieszczane jednają mu najpiękniejszą reputację w zakładach. Jeżeliby była

jeszcze nadzieja mieć dwa numera gazety polskiéj, o które dawno prosiłem, powtórzyłbym moją prośbę. Portret Maurycego każę zrobić. Radbym żebyś go Pani widziała w jego kostiumie pokojowym, muszę go nawet tak kazać odmalawać, ale nie dla Państwa tylko dla siebie. Sprawił sobie jakąś kurtkę zimową niezmiernie długą i szeroką, chustkę białą ogromną zawięzuje na szyję jak doktor Bartholo, a przytém dostał zkąd jakąś czapkę wysoką i w tył zagiętą, że wygląda jakby był człowiekiem z średnich wieków. Ukłon mój pannie Zofii, pannie Olimpii i Tymolkowi. Pani zaś rączki całuję i macierzyńskiemu błogosławieństwu polecam się.

Michał Podczaszyński.

Maurycy Mochnacki do matki.

Paryż, dnia 14. Lutego. Rue Rivoli Nr. 50.

Od czasu jak odebraliśmy ostatni list kochanéj Mamy zaszły co do nas nie małe odmiany. Doktorowie Kamila udecydowali, że dla odzyskania zdrowia musi koniecznie pojechać w okolice najbardziéj południowe Francyi, to jest do tego cypla, gdzie się kończy Francja południowo-wschodnia do Nièce, gdyż to miejsce naokoło prawie góry zasłaniają od wiatrów. Klima tamtejsze roskoszne i ciepłe. Ale jakaż odległość? Oto 230 lieu francuzkich od Paryża, czyli naszych przeszło 120. Zgodzono się jednomyślnie, że bez téj odmiany klimatu Kamil zdrów być nie może. A nikt nie chce pamiętać na to, że Kamil w obecnym stanie słabości swojéj nie może odbyć tak dalekiéj drogi w tym i przyszłym nawet miesiącu bez narażenia się na większe niebezpieczeństwo w drodze, niżeli żeby jeszcze parę miesięcy przeczekał w Paryżu do cieplejszéj pory. Jestem w niesłychanym

smutku, i od upadku sprawy naszéj nigdy mnie nic tak mocno nie przerażało. Kamil wierzy w to, że mu klimat pomoże, a więc trzeba jechać jak najprędzéj. Ja z nim pojadę, ale lękam się słoty, wiatrów nieustannych w tym czasie; bo to wywiera fatalne skutki na jego piersi bardzo już osłabione. Ta podróż będzie trwała ze dwadzieścia dni, bo Kamil nocą jechać nie może, bo mu tego doktorowie zabraniają. Wystaw sobie Mama położenie moje! My jesteśmy prawdziwe dzieci nieszczęścia. Muszę z jednéj strony codziennie patrzeć na to, że Kamil w Paryżu zostawać nie może i nie powinien, z drugiéj strony mam równie mocne przekonanie, że ta podróż w tym czasie jest dla niego bardzo niebezpieczna, a jednak pojadę z nim razem, bo on tego sobie życzy. — O moja Mamo! nie tracę ja nadziei, że on będzie zdrów, ale co się zemną teraz dzieje, to tylko Bóg świadkiem być może. Słabość jego jest alarmująca, teraz wszystkiego obawiać się zaczynam. Proszę jednak Mamy, aby tych słów a la lettre nie brała, a szczególniéj żeby Mama ani słowa o tém nie wspominała w listach swoich, które Kamil czytać będzie. Dnia 21. Lutego do kaszlu i bólu w piersiach przyłączył się wielki ból w boku, który oddech Kamila skraca i nieznośne cierpienie sprawuje. Użyto gwałtownych środków, wizykatorja na piersiach, synapizma na boku, pijawki i lekarstwa rozwalniające skutkowały nad wieczorem, ból w boku ustał i kaszel jest wolniejszy. Cała słabość przybrała charakter hemoroidalny, taki sam jak Papa miał. Wszystko redukuje się do tego, że Kamil ma podraźnienie płuc i cierpienia hemoroidalne, z czego wyjść może przy starannéj kuracyi.

Dnia 22. Lutego. Dzisiaj Kamil ma się daleko lepiéj, mamy nadzieję, że przy dyecie coraz lepiéj poprawiać się będzie stan jego zdrowia. Jest jednak bardzo osłabiony, ale ciągle trwa w przedsięwzięciu wyjechania na południe, nie wchodząc w to, że nie

wytrzymałby dwustu mil drogi w Marcu. Posyłam Mamie karteczkę którą on sam pisał, nie czytając tego co ja piszę, bo mu nie pokazałem, gdyż prosił mnie, żeby ani słowa nie wspominać o jego teraźniejszym aktualnym stanie słabości. Dzisiaj nie ma żadnéj obawy, pomimo zatrważających symptomatów. Naturalny rozsądek każe mi wierzyć, że nie ma suchot. Gdyby to były suchoty, czyżby był dawno na nie nie umarł? Trzeba także wiarę mieć w Boga! Dla czegoby nas chciał wśród tylu nieszczęść dobijać tém nowém, najokropniejszém nieszczęściem? Wreszcie i doktorowie są zdania różnego. Jedni tak, drudzy inaczéj mówią o téj saméj słabości. Brussaix jest zdania Rostkowskiego, który w tém wszystkiém widzi tylko cierpienia hemoroidalne i affekcją płuc. Spólność naszego losu; spólność niebezpieczeństw, któreśmy razem przetrwali, dzisiejszy stan spólnego osierocenia, odległość od Rodziców, których nie tak prędko obaczymy, a może nigdy, wszystko mi to każe uważać Kamila za jedyne i ostatnie dobro na tym świecie, które mi zawistny los jeszcze nie wydarł. Tak nauczyłem się być z nim razem, iż najodleglejsza myśl, że go stracić mogę, rozdziera całą duszę moję i czyni mnie niezdatnym do niczego, nawet do zniesienia reszty życia, któreby bez niego upłynęło.

Moja najdroższa Mamo! Nie w domu Mamy, ale tu dopiero można się było przekonać, czém jest brat dla brata. Kamil i Michał, otóż wszystko co mi zostaje z pomiędzy tysiąca ludzi, których znałem i poważałem. Michał Podczaszyński jest to tak poczciwe i kochane stworzenie, że sprawiedliwie przyjęłaś go Mama za swego syna. Nic delikatniejszego, nic lepszego, nic zacniejszego i nic lepiéj wychowanego na świecie nie widziałem. To jest pierwszy rozumny człowiek, u którego najlepsze serce z najlepszą głową zostaje w harmonii ścisłéj. Manuskrypt Papy kochanego odebrałem, proszę o dalszą

kontynuacją. Niebezpieczeństwo pobytu Papy w Gelicyi czyni mnie coraz niespokojniejszym. O powrocie Papy do Polski, o pobycie jego w Krakowie, we śnie nawet nie chciałbym myśleć. Papa tylko we Francyi razem z nami być może. Posyłam broszury. Całemu domowi, państwu Cieńskim zasyłam moje wyrazy prawdziwego szacunku i uszanowania.

Maurycy Mochnacki.

Kamil Mochnacki pisze daléj w tym samym liście.

20. Lutego.

Ja wybieram się w drogę, to jest, mam projekt z niezmiennéj woli moich najmiłościwszych doktorów opuścić Paryż i o 230 lieus w nadmorskim południowym departamencie Varskim na granicy Sabaudyi się ulokować, dla tego, aby już nie lekarstwami, ale powietrzem tych uprzywilejowanych okolic się leczyć. Nic ja nie mam przeciw temu, zwłaszcza, że i nasi francuzcy doktorowie co do mojéj słabości na to się zgodzili jedno, że mi klimat pomódz może; mówię że tylko na to jedno, albowiem co do metody traktowania, co do lekarstw i co do prawdziwéj istoty mojéj choroby, każden ma inne zdanie i każdy podług swojéj wiadomości radby mnie widzieć leczonym. Ja tylko jeden na tém najwięcéj cierpię, a możebym jeszcze więcéj późniéj cierpiał, gdybym przez prędki wyjazd z Paryża nie pozbył się od jednego razu i doktorów i ich uprzedzeń i zawiści jednego względem drugiego, i wszystkich zwad, za które najczęściéj pacyent pokutuje. Nie mam przeto nic naprzeciw zmianie klimatu, ale jak ja ten projekt wykonam i czy potrafię dwudziesto-dniową podróż odbyć w tém osłabieniu, do

którego mnie przywiodły nadzwyczajne środki Marcinkowskiego, tego nie wiem. I w tém jeszcze jest wielka trudność, że we Francyi nie ma innego sposobu podróżowania tylko dyliżansem. Tylko książęta krwi i ducowie i extra-pocztą jeżdżą, reszta wszystko pakuje się w dyliżanse, które jak wiatr po kraju we wszystkich kierunkach latają. Lecz czasem cztery i pięć dni z pojazdu się nie wysiada, czegobym ja nie zdołał wykonać, bo ani w nocy, ani w dnie dżdżyste podróżować nie mógłbym bez pogorszenia stanu zdrowia. Nie wiem więc jeszcze, jak się ta podróż urządzi, a kontent jestem że się zwleka, bo może i Papy się jeszcze doczekam w Paryżu. Od czasu kiedy po przeczytaniu listów Papy i po długiéj walnéj naszéj naradzie, zostało zdecydowaném, aby Papę skłonić do połączenia swego losu z naszym, ustawnie o niczém inném, jak tylko o téj szczęśliwéj chwili rozprawiamy, w któréj naszego najukochańszego Papę już między sobą mieć będziemy. Michał i Nabielak gotują także Papie swoje posługi i usługi jako rodzonemu ojcu. Do tego szczupłego ale wypróbowanego grona dołączył się jeszcze Łagowski, któremu trudno znaleść równego pod względem charakteru i cnót. W ostatnim liście z Polanki nie znaleźliśmy ani jednego słowa od Mamy, co nas mocno zgorszyło i zasmuciło. Spodziewamy się, że za to w najpierwszym liście dubeltowa miara familijnéj pogadanki nam się dostanie, a najbardziéj w jaki sposób przyszedł do skutku rozwód Klementyny? Co teraz porabia i co daléj pocznie ta nieszczęśliwa kobieta? Z tém wszystkiem mocno mię ucieszyła wiadomość tego rozwodu. A on czy wszedł w służbę? — Co się dzieje z pułkownikiem Pągowskim? Klemens i Felix są w Avignonie, ale gdzie Walery? a Franuś Łoś? Czy się téż godzi, aby do nas ani słówka nie napisał, i czy podobna tak mocno zamyśleć się o jednem, żeby o wszystkiém innem zapomnieć na wieki? Od Cioci

Zosi z Warszawy jakie są nowiny? Całuję rączki Mamy, Cioci Cieńskiéj i Panien.

Kamil Mochnacki.

Nota.

Te dwa listy kochanych synów moich zastanawiają mnie w sposób najboleśniejszy. Boleść, smutek Maurycego i trwoga o życie drogiego brata, wyrażone są z całą siłą jego wielkiéj duszy. Już on wiedział, że Kamil żyć nie może...... Podróż niby mająca stanowić nadzieję życia, była niepodobna do uskutecznienia: biedził się Maurycy, zrywał siły swoje, które téż i stargał od owego czasu nielitościwym sposobem. Mówiono, że ludzie zawistni zatruli pasmo życia Maurycego trucizną powolną, ażeby w ich politycznych stosunkach nie bruzdził swoją wielką zdolnością i talentem pisarskim; nie mylono się téż, bo kto list ten ostatni przeczyta, pozna, czy mógł Maurycy przeżyć ukochanego brata, którego dla wielkich przymiotów jego wielbił i adorował. Tęsknota po tak wielkiéj stracie i sieroctwo zabiły mego Maurycego. Są ludzie, którzy nie byliby w stanie przeżyć tak wielkich nieszczęść jakie nas spotkały; takim téż był mój Maurycy. Po jego śmierci ojciec Maurycego ugodzony w samo serce ciosem téj boleści, tarzając się od ucisku i smutku, wyrzekł te pamiętne słowa z największym żalem: „Wstydem jest przeżyć takich synów“. Co on powiedział, to ja czułam w głębi mojéj duszy, wstydziłam się w istocie tych nieszczęść naszych, nie rozumiałam siebie: zdawało mi się, że mię niebo upokorzyło, że wycisnęło pieczęć swéj niełaski na czole mojém, że napiętnowaną zostałam na całe moje życie, a tém samem przeklętą. Bóg się ulitował nademną; gorące modły i łzy w kościele księży Dominikanów zrządziły rodzaj cudownego uspokojenia się, sprowadziły świętą rezygnacyę dla mnie. Powoli nauczyłam się uważać w téj śmierci synów moich wyraźną wolę Boga, pewno zbawienniejszą dla nich, niż sądzić i wyobrazić sobie byłam w stanie podówczas. Oddałam ich Bogu w całéj świetności ich najpiękniejszych uczuć. Pamięć ich nie skalana żadnym czynem! Prawi synowie ojczyzny! Prawi synowie kochający nadewszystko rodziców, zostaną dla potomności wielkiém wspomnieniem, przykładem wielu cnót i przymiotów duszy i serca.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Matki.

Paryż, dnia 6. Marca r. 1833. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Kochana Mamo!

Ostatni list Mamy z dnia 21. Lutego dzisiaj o godzinie czwartéj z południa odebrałem i natychmiast odpisuję. Jak zapewne Mama musiała już wyczytać z ostatniego listu, który wraz z nowemi broszurami posłałem przed dziesięciu dniami, *Kamil był w bardzo wielkiém niebezpieczeństwie*. To niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło! Obowiązek sumienia i miłość braterska każą mi być szczerym. — Niechaj Rodzice dzielą moję obawę, bo ja jéj znieść sam nie jestem w stanie! Dla Kamila nie masz innego ratunku, tylko powietrze południowe. Same tylko klima może zagoić rany w jego płucach i wstrzymać gwałtowny kaszel, często ze krwią zmięszany, który go piętnaście przeszło dni utrzymuje w takim stanie, że ani na jeden kwadrans, ani na jedną minutę zasnąć nie może.... To złe, które fizycznie młodego człowieka attakować może, zdaje się *wysilać na Kamilu* całą moc swoją. Bezsenność nieustanna od dwóch tygodni. Wizykatorye, apertury, pijawki, synapizma, niestrawność ciągła, ból głowy chwilami tylko przerywany, daléj cierpienia hemoroidalne z boku do krzyżów przechodzące, oddech ciężki, duszący, oto obraz niesłychanéj męczarni przez tak długi czas. Ten tylko znieść może, kto jak mój Kamil kochany ma lat 27. Trzeba mojéj olbrzymiéj konstytucyi, żeby nie umrzeć natychmiast z żalu i desperacyi. Nie będę nic taił przed Mamą. Kamil jest na kształt cienia, a ja nakształt szyldwacha, który z bronią w ręku stoi na warcie przy łóżku tego cienia i strzeże, żeby się jak para w powietrzu nie rozpłynął. Położenie moje okropne i humor tak zmieniony, że samego siebie

nie poznaję. Może téż dla tego i głupstwa piszę. Ale Mama, która jesteś tak dobra jak anioł, wybaczysz, wybaczysz mi to wszystko. Sama myśl, że Kamila podług opinii doktorów — którym jednak nie wierzę — stracić mogę, przekonywa mnie, że jest jeszcze jedno nieszczęście, którego nie znałem ze wszystkich innych nieszczęść mnie znajomych, najnieznośniejsze. Z tém wszystkiem, pomimo opinii lekarskiéj, nie zgasła jeszcze ostatnia nadzieja w mojéj duszy. Jeżeli to prawda, co doktorowie mówią, *że płuca Kamila są w stanie toczenia*, w takim razie tylko w tym nadzieja, który z wysoka króluje nad światami i widzi myśli nasze i sądzi skrytości serc naszych. W takim razie ani powietrze mu nie pomoże i musi umrzeć — ten Kamil, którego zawsze kochałem, ale który dopiero za granicą zaczął być drugim mną i jestestwem mojego jestestwa. Jeżeli zaś podług opinii innych doktorów rzeczy nie doszły do tego stopnia w piersiach Kamila, pomimo niebezpiecznych symptomatów, w takim razie za życie jego ledwoby zaręczyć nie można; w takim razie klima południowe Francyi, temperatura, obora krowia, mleko ośle i powietrze go wykuruje. Dla doświadczenia skutków tego ostatniego sposobu uważania jego choroby, musimy wyjeżdżać z Paryża, im prędzéj tém lepiéj, o 230 lieus aż pod *Nièce*. Z jaką to trudnością ta podróż przychodzi. On jest tak słaby, że z łóżka prawie ruszyć się nie może, a tu ustawiczna słota, albo wichry wiosenne. Jakże go wsadzić do powozu? jak się odważyć wyjechać z Paryża i wystawić go choć na kilka godzin na to powietrze?

Tymczasem robią się wszelkie przygotowania do podróży, w którą Kamil instynktem wierzy jak w zbawienie. Niechaj Mama nigdy nie pisze o miniatnrach naszych, ta myśl jest dla Kamila niebezpieczna. Od kilku dni ciągle mi mówi: „Proszę cię, każ przyjść panu S... malarzowi znajomemu. Niechajże zrobi moją miniaturę;

poszlę ją Mamie do Polanki, bo niezadługo umrę, czuję, że żyć nie mogę, desorganizacya jest w moich piersiach (to jego ulubione wyrażenie), a trzeba żeby Papa widział mój portret przed śmiercią.“ Te wyrazy Kamila na wskróś mię przeszywają i są dla mnie powolną trucizną. „Kamilu,“ odpowiadam mu zawsze, „nie bądź dzieckiem, żaden suchotnik jeszcze nie myślał o śmierci. Ty właśnie dla tego, że ciągle myślisz, że żyć nie będziesz, nie umrzesz. Gdybyś miał suchoty, suchoty prawdziwe, tobyś zawsze miał nadzieję wyzdrowienia, ale że takie dziecińśtwa roją ci się w głowie, więc to jest znak nieomylny wyzdrowienia; a kiedyśmy oba szli na Moskalów pod Okuniowem, pod Wawrem, pod Liwem, pod Prytyczą, czemużeś wtenczas nie kazał robić portretu twego i mego, chociaż obadwa tysiąc razy na godzinę zginąć mogliśmy!“ Tylko co mu wypersawadowałem myśl miniatury, która u niego jest połączona z myślą śmierci, z myślą pamiątki dla Rodziców, gdy wtém przychodzi list Mamy, a w tym liście znowu mowa o miniaturach. Nowy ambaras. „Każ zrobić miniatury,“ mówił mi dzisiaj przeczytawszy list Mamy. „Ale Kamilu kochany, ty tak źle wyglądasz, przestraszysz Rodziców twojemi zapadłemi rysami. Każę zrobić miniaturę, ale nie teraz; potém, gdy się będziesz miał lepiéj.“ Ledwo go tém uspokoiłem. Niechaj Mama nie pisze o miniaturach. Ja wierzę, że Kamil przyjdzie do siebie, wtenczas każę go odmalować.

Dnia 9. Marca. — Dzisiejsza noc i ranek utwierdzają mnie w tém mniemaniu i przekonaniu. Od dni kilkunastu Kamilek spał pierwszy raz pięć, sześć godzin w nocy; dzisiaj mało co kaszlał; jest daleko weselszy i cały zajęty podróżą. Upadł śnieg marcowy i powietrze nadzwyczaj zimne, lecz darmo go nakłonić do cierpliwości. On o niczém nie myśli, tylko o najprędszym wyjeździe z Paryża. — Szanowny i kochany Lafayette jest głównym

protektorem téj całéj niezmiernie kosztownéj entrepryzy. On Kamilowi dostarcza pieniędzy, on protekcyę swoję zaręczył mu w rządzie, chociaż, prawdę mówiąc, Lafayette u Soulta nie wiele może, ale za to bardzo wiele u jego podkomendnych. Słabość Kamila była ciągle i jest tak kosztowna, że bez interwencyi tego prawdziwego protektora naszego we Francyi, nigdybyśmy z kłopotów naszych wybrnąć nie zdołali. Nie możemy ruszyć z miejsca, bez zapłacenia w hotelu 400 franków; droga będzie kosztowała drugie 400 franków, trzecie 400 franków potrzebne są na uetablizowanie koło Nièce i na powrót dla mnie; bo ja dla moich interesów koniecznie, odwiózłszy Kamila na południe i osadziwszy go tam, do Paryża wrócić muszę; słowem, bez tysiąca przeszło franków nie mógłbym uskutecznić téj ogromnéj drogi. Ale to są realne fraszki w porównaniu z niebezpieczeństwem Kamila, i nie masz tak trudnéj rzeczy, którejby za pomocą przyjaciół naszych zrobić nie można. Najtrudniejszy sęk w tém, żeby wyrobić u rządu 1. paszport i pozwolenie wyjazdu z Paryża, z zaręczeniem powrotu do Paryża po wyzdrowieniu; 2. powiększenie gaży dla Kamila; 3. pobieranie téj gaży na miejscu. To są tak trudne entrepryzy, że mi głowy nieraz braknie, co począć z tymi przeklętymi urzędnikami, którzy, jak wszędzie tak i we Francyi, są najnieznośniejszemi figurami. Rząd tak dalece jest niechętny Polakom, że wszelkiemi sposobami się chce pozbyć emigracyi. Używa do tego wszelkich środków. Kilka dni temu, ofiarował interwencyą swoją do Prus i Austryi, żeby dla Galicyanów i Poznanianów wyrobić amnestyę, to jest, pozwolenie powrotu do tych krajów dla tych, którzy są albo z Księztwa Poznańskiego albo z Galicyi; ponieważ zaś trudno będzie dobrowolnie skłonić do tego Galicyanów i Poznanianów, więc rząd postanowił ich zmusić przez zmniejszenie, a następnie przez odjęcie żołdu. Od 1. Kwietnia mamy być tedy wszyscy razem

oddani pod zarząd kommissyi spraw wewnętrznych. Dotychczas bowiem zależała emigracya od ministerstwa wojny, a to się znaczy, że emigranci Polacy porównani zostaną z emigrantami włoskimi, portugalskimi i hiszpańskimi, co na jedno wychodzi, że będą brali bez różnicy stopnia po czterdzieści pięć franków miesięcznie. Azatém Kamil jako major brał sto franków, a ja jako porucznik sześćdziesiąt franków, razem stosześćdziesiąt; będziemy pobierali od 1. Kwietnia tylko po czterdzieści pięć, a razem dziewięćdziesiąt franków, azatém odbiorą nam siedmdziesiąt franków. Cała moja usilność zależy na tém, żeby co do Kamila tę modyfikacyę zmienić. Muszę to uczynić przez wzgląd na jego słabość, a szczególnie przez wzgląd na moje natarczywe przełożenia, któremi nie daję pokoju ministerstwu. Zresztą mało mnie to obchodzi. Ta cała pensya bez zmniejszenia jest niczém prawie w porównaniu z naszemi teraźniejszemi, bardzo wielkiemi wydatkami, którym tylko kochany Michaś swoim dziennikiem zadosyć czynił i czyni, którym tylko starania Lafayetta poradzić mogą. Co do tego punktu jestem zupełnie spokojny i dam sobie radę.

Nierównie więcéj mię obchodzi los mojego pisma o rewolucyi, które w stanie obecnym wypracowania i uzbieranych przezemnie materyałów, jest *une affaire d'état* dla całéj Polski, a którego po polsku w Paryżu bez kilku tysięcy franków żadną miarą wydrukować nie mogę. Niezmiernie mi się podobał projekt Mamy, zbierania na ten cel prenumeraty. Trzeba, żeby się tem zajęły osoby z pewnemi koneksyami. Kontrakty lwowskie byłyby do tego najwłaściwszą epoką. Nie idzie tu o mój interes, ale o rzecz publiczną. Galicyanie pokazaliby się największymi cymbałami pod słońcem, gdyby mi nie przysłali na druk kilku tysięcy franków, które im w egzemplarzach za pomocą literackich kommissyonerów w Paryżu, Lipsku, Dreznie, Wrocławiu, Wiedniu, jak najpunktualniéj zwrócę. Co to za oby-

watelstwo u tych ludzi! Niedość że dotychczas ani grosza nie posłali emigracyi, któréj byt bez ogromnych funduszów, bez milionów może tu być podkopany, ale nie mogą się zdobyć na druki wyświecające interes rewolucyi? Więc my mogliśmy powstać, stracić dla wspólnego interesu wszystko, cośmy mieli; mogliśmy krwawe bitwy staczać z najpotężniejszym mocarzem kuli ziemskiéj, a oni dzisiaj nie mogą nam nawet dopomódz do ogłoszenia w ojczystym języku tych wszystkich dzieł. Co to za polityka! Gdybym był nie tak pewny Polaków jak jestem i sam nie był prawym Polakiem, tobym po francuzku albo po niemiecku przywary rządów naszych podał do wiadomości europejskiéj. W takim razie nietylko bym nie potrzebował pomocy galicyjskiéj, alebym mógł bardzo wiele zarobić, mógłbym nawet bardzo sławnym zostać między obcymi, którzy mnie gwałtem ciągną do wydania mego rękopismu po francuzku. Dotychczas nie chciałem tego uczynić, rozumiejąc zawsze, że polityczniéj jest swoim po polsku pisać prawdę, aniżeli całą Europę uwiadomić o nieskończonych głupstwach, które nas do dziesiejszego stanu przywiodły. Jak widzę, nie umieją tam ocenić w Galicyi téj roztropnéj polityki. Jakożkolwiek proszę Mamy, żeby ten list Papie komunikowała. Do Krzyżanowskiego piszę osobno w téj materyi. Papa i Krzyżanowski nie potrzebują z mojéj strony żadnego formalnego aktu do upoważnienia rozmaitych osób, aby prenumeratę zbierali. W tym interesie dosyć jest kazać wydrukować kartki z moim podpisem téj treści: „Historya politycznych i wojskowych wydarzeń ostatniego powstania narodowego, ze źródeł autentycznych, we dwóch tomach z mappami; cena dukata z kosztami transportu, z zastrzeżeniem, że ci, co nie prenumerują teraz, będą musieli dwa razy tyle zapłacić po wyjściu dzieła. Z broszur Michała mogą mieć ideę, co w tém dziele znajdować się będzie. Szpazier wydał po niemiecku trzy

tomy, w których tyle jest fałszów i plotek, że to dzieło za kompilacyę bajek bez żadnego sensu uważać można. Wszystkie koterye inspirowały po kolei tego głupiego Niemca, który o mnie samym tyle dzieciństw nabajał. Jeżeli tedy żadne prawdziwe pismo nie wystawi tego, co się u nas działo, cóż się stanie z całą chwałą naszą? co późniejsze czasy będą o nas rozumiały?

Piszesz mi Mama o Załuskim w takich wyrazach, jakby to był najlepszy człowiek, a ja mam honor uprzedzić państwo, że się potrzeba mieć z nim bardzo na ostrożności. Nie chcę nic złego o nim mówić; to wiem tylko, że jego konnekcye sięgają ledwo nie bieguna północnego. Bardzo mi się to nie podoba, że on, jak Mama piszesz, czatuje na wszystkie wiadomości z zagranicy. Bóg wie jaki on użytek robi z tych wiadomości. Powtarzam raz jeszcze, nie posądzam nikogo, ale radzę mieć się na ostrożności — il faut être sur le qui vive! z takimi ludźmi. Z tém wszystkiém ja się mylić mogę. — Dzisiaj Kamil napisał do Mamy na osobnéj karteczce; mego listu czytać mu nie dałem i proszę kochanéj Mamy, aby w listach, które obydwaj razem czytamy, najmniejszéj wzmianki nie zrobiła, że ja jego słabość za tak niebezpieczną wystawiłem. — Dokończę na ćwiartce Kamila.

8. Marca 1833 Kamil pisze:

List najukochańszéj Mamy datowany 21. Lutego doszedł nas 6. Marca b. r. Zasmucił on mnie o tyle, o ile Mama w nim tak niepotrzebnie alarmuje się moim stanem zdrowia. Ja tak się przyzwyczaiłem do cierpienia, że mnie już prawie nie dotykają, a co będzie nadal, o to niedbam i to sądzę być najmędrszą polityką. — Im prędzéj i nagléj wypadałoby mi wyjechać z Paryża, tém większe choroba zdaje się promadzić przeszkody, aby utrudnić albo przynajmniéj odwlec wyjazd. Przyłą-

czyła się pleura, na którą ciężko leżałem przez kilkanaście dni; dotąd jeszcze kolek w płucach pozbyć się nie mogę. Zresztą abym tylko cokolwiek był mocniejszy, natychmiast ruszę; bo czuję przez instynkt, że mnie tylko klimat pomódz może, a może późniéj w lecie wody badeńskie. Doktorowi mojemu wypowiedziałem posłuszeństwo co do lekarstw, któremi mnie zalewał; od trzech dni nic nie biorę wewnątrz; jest mi lepiéj, i choć kaszlę i nie śpię, ale przynajmniéj nie doświadczam mdłości, osłabień itd. Zaklinam Mamę, aby się bynajmniéj nie troszczyła tą słabością; ani nie wątpię, że z niéj wyjdę; a jeżeli się jeszcze cokolwiek ponudzę, to dla tego, aby potém czerstwiejszego używać zdrowia. Maurycy obszerniéj pisze, a ja całuję stopki Mamy i całéj familii.

Kamil Mochnacki.

Maurycy kontynuuje tę ćwiartkę.

Tymoleona ściskam serdecznie. — Jakie ja teraz smutne rachunki zaczynam czynić z sobą samym w dzisiajszém niebezpieczeństwie Kamila. Jużby mi więc ten jeden tylko brat pozostał? — Klimce Głogowskiéj zasyłam moje ukłony. Zasmuci ją ten list; ale wierz mi Mama, ja chcę, aby wszyscy, co znali i kochali Kamila, podzielali zemną całą moją obawę. Dla czegoż ja sam miałbym dźwigać cały ciężar żalu, który nas spotkać może? Może kiedy będziemy wszyscy razem wzywali pomocy nieba. Niebo nas prędzéj wysłucha. Kamil jest tak blady i dziwny teraz, że zdaje się, iż w połowie należy do tamtego świata, a w połowie do nas. Trzeba mu tedy prawdziwie chrześciańskim sposobem zagrodzić drogę do śmierci, *modlitwą*. Nie! wierz mi Mama, Pan Bóg nie zechce mi wyrządzić téj ciężkiéj krzywdy. Los

targuje się zemną; zdaje się, że mówi do mnie: a jeżeli ci go zachowam, czém mi się za to odwdzięczysz? — Szanownéj Cioci Cieńskiéj i Cioci Zosi zasyłam moje ukłony. — Listu od kochanego Papy oczekuję z największą niecierpliwością. Choć wyjadę z Paryża, adres ten sam. Michał mi listy odeszle.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

Jakie okropne położenie Maurycego! Żal swój jak czule wyraża! Co za ambaras straszny, wywozić brata, prawie umierającego, bez sił, bez wygód potrzebnych, bez pieniędzy. Wszystko się paliło w jego głowie; razem i podobieństwo jechania *coute qui coute* i żal cierpiącego, schodzącego Kamila, tego tak miłego, tak drogiego, kochanego, poważanego, pełnego cnót i przymiotów prawdziwie męzkich. Nie był to już ów Kamil, młody chłopiec, który niegdyś marzył po cichu pod płaszczykiem munduru saperów w szkole podchorążych. Marzył i milczał, rumienił się lub bladł, lecz milczał, bo musiał. Był to już Kamil, mąż dzielny, determinowany, charakteru niezłomnego; głowa dobra, zdatności niepospolite; żołnierz w całém znaczeniu; a jaki syn! Poznać to można w jego wyrażeniach się. Silił się z łoża swego boleści, gdzie zwątpił o swojém życiu, a pocieszał swoję matkę choć kilku wierszami swojéj ręki. Słowem, Kamil był to człowiek niepospolitego charakteru w każdym względzie. Nadto był on potrzebny Maurycemu i do rady i do działania; był on jego filarem, podporą, jego pociechą i jego wszystkiem. Miał bowiem wyraźne, przeważne znaczenie. Styl jego pisma był szczególnie miły, choć prosty; serce najlepsze; powierzchowność szczególnie ujmująca, Kamil był piękny chłopiec co się zowie, a przytém oficer. Wzrostu miernego, lecz nie mały, szczupły, nie nadto cieńki, zupełnie proporcyonalny; płeć biała, bladawa; zawsze zakrawał na kogoś bardzo delikatnego. Oczy niebieskie, duże, wypukłe, coś tak łagodnego i słodkiego jawiły; uśmiech częsty igrał na tych ustach niezmiernie pięknych; twarz okrągła, włosy czarne dość, ni bląd, ni chatin, z boku we włosach mały wicher; ucho małe, bardzo ładne; figurka jak utoczona.

Szybki, zwinny; gdy chodził, zdało się, że leci jak kula. Pamiętam, podczas rewolucyi prosił mię z sobą, by robić sprawunki, bo miał z wojskiem na Litwę odchodzić. Poszłam z nim, lecz niepodobna mi było nastarczyć kroku, zgubiłam go i sama wróciłam. Kamil mój był szczególnie miły, mało mówiący, ale czynny. Lubił czytać, pisał nawet do dzienników, lecz mu to, jako podchorążemu, zakazał pułkownik. Mówiono mi podówczas, że muzyka i piśmiennictwo, do czego Kamil miał wielką ochotę, psuły mu zasługi u wielkiego księcia Konstantego, który chciał tylko posłusznych żołnierzy i nic więcéj. Można sobie wyobrazić czém tak odmalowany Kamil mógł być dla Maurycego za granicą. Tracąc takiego brata ile cierpiał! Powtóre, jakże go oburzała niepodobna do wyexekwowania myśl drukowania jego dzieła o rewolucyi. Z jednéj strony widział najistotniejszą potrzebę, aby odkryć światu prawdę dla wsparcia chwały narodu, dla nauki i przykładu téj to ojczyzny, któréj poświęcił wszystko; z drugiéj strony zażalony na Galicyą, że tak obojętna, że nie dopomaga do wykrycia prawdy na pożytek narodu. To uniesienie się jego nie było słuszne, bo w istocie nie było komu chodzić za tém, a tak w tych wielkich zgryzotach niszczył Maurycy powoli swoje siły i nic dziwnego że musiał umrzeć w 31. roku życia swego.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Ojca.

Paryż, dnia 5. Kwietnia 1833. Rue de Rivoli. Hôtel de la Terasse Nr. 50.

Najdroższy, najukochańszy Papo!

List ostatni Papy z dnia 18. Marca b. r. zamiast zasmucenia mnie i Kamila, przejął nas owszem najżywszą radością. To wszystko, co Papie pobyt w Galicyi czyni nieznośnym, jest według mego zdania prawdziwém szczęściem dla nas; bo przyspiesza chwilę, w któréj znowu razem będziemy i już się nigdy nie rozłączymy. Od tego com dawniéj napisał w téj mierze, nie odstępuję. Nie masz dla Papy pobytu nigdzie na całym świecie, tylko z nami, tylko we Francyi. Tego wymaga nasza wspólna

spokojność, a prawdę powiedziawszy, zarazem i honor nasz. Razem poświęcaliśmy się dla sprawy publicznéj, razem powinniśmy znosić jéj konsekwencye. To wszystko, co Papa pisze o tułactwie między swymi, jest ewangielią. Nic prawdziwszego, Polska musiała zginąć! Dzieło swego wyjarzmienia rozpoczęła od prześladowania ludzi najzacniejszych, najrozumniejszych, a upadek swój, swoje nieszczęście piętnuje tém, że ich szanować nie umie, nie rozumie w tułactwie. Inny kraj chlubiłby się takimi ludźmi, jak darem Opatrzności, gdyby miał sposobność ocenienia, wspierania, wynagradzania takiego człowieka zasłużonego, jak nasz Papa kochany! Papa jesteś tém, czego Polska nie pojmuje, i wierz mi, kochany Papo, nie masz tak złego losu za granicą i nie masz takiego niedostatku, któryby mógł iść w równéj mierze z *tułactwem między swymi!* Ja nie wrócę do Polski, choćby była niepodległą! Najprzód wiem, że ludziom tak uczciwym, jak my jesteśmy, nigdy się tam powodzić nie będzie. Przyjdzie jednak czas i to niezadługo, w którym ziomkowie nasi inaczéj nas uważać będą; ale wtenczas staniemy się ostrożniejszymi. Wrócą do Polski ci sami ludzie, którzy ją zgubili, którzy ją znowu zgubią, choć ją Bóg wskrzesi! Tacy tylko są tam uważani, ale nie my. Nam zostać na ustroni i umrzeć na obcéj ziemi przystało. Czyż mógłem ja się kiedy spodziewać, abyś Papa był w Galicyi tułaczem — to mi się w głowie zmieścić nie może, choć to jest rzeczą tak naturalną. W którymże kraju dobrze się działo tym, co rewolucyą zaczęli? Najszczęśliwsze rewolucye gnębią twórców swoich; a cóż dopiero tak nieszczęśliwa jak nasza.

Francya jest jedyny kraj na świecie, gdzie my sobie coś zarobić możemy. Pytasz się Papa, jakie są nasze widoki, jakie nadzieje? Co poczniemy, żeby z głodu nie umrzeć? Na to odpowiem, a zacznę najpierwéj od

ogólnego stanu emigracyi. Rząd francuzki niczego nie zaniedbuje, aby przymusić emigracyę w największéj części do powrotu. Od 1. Kwietnia o połowę zmniejszył żołd, który Polacy dotychczas pobierali. Kamil jako major brał 100 franków na miesiąc, a ja jako porucznik 60 fr.; teraz Kamil 60, a ja 40 brać będziemy. Lecz czyż Papa sądzisz, że to mnie i Kamilowi jakową dyfferencyą czyni? Broń Boże! Jak tamten, tak ten żołd jest niedostateczny, i we Francyi na żadną uwagę nie zasługuje. Kamil rok przeszło choruje, a kuracya jest tak kosztowna, że nie było miesiąca, żebyśmy 300, 400 franków nie wydali, a jednak najwięcéj 200 fr. długów mamy. — Piszę to w willią wyjazdu naszego do *Hyères* nad morze śródziemne, gdzie doktorowie Kamilowi jechać kazali dla powietrza. Wystaw sobie Papa, że ten wyjazd przeszło 900 franków nas kosztuje. Dotychczas więc dziwny los nam sprzyjał. Prawda, że dotychczas nie miałem czasu obrócić na użytek finansowy moich środków; ale téż, jeźli mam prawdę powiedzieć, nie było potrzeby do tego. Niedostatek wcale nas nieuciskał. Kochany Michał ciągle nam dostarczał pieniędzy, które mu przychodziły z jego Pamiętnika. Z tego źródła nie tylko sam swoje potrzeby zaspakajał, ale i mnie utrzymuje w najściślejszém rozumieniu tego wyrazu. Dotychczas więc, jak powiedziałem, nie było potrzeby dawania lekcyi i koncertów na fortepianie; fortepian tyle dla mnie znaczy nie w Paryżu, ale na prowincyi, gdzie muzyka jest jeszcze zupełnie obcą, ile dobra wieś w Polsce. W Metz przeszłego roku dawałem koncert na fortepianie z amatorami koło Wielkiéj Nocy, wywdzięczając się zacnym mieszkańcom tego miasta za gościnność, z jaką kolumny polskie, tamtędy maszerujące, przyjmowali. — Michał Papie napisze, cobym był mógł zarobić, gdybym był chciał, w tém mieście. — Dzisiaj, ponieważ żołd nam zmniejszyli, ponieważ może go zupełnie odejmą dla

przypodobania się moskiewskiemu ambassadorowi, rzucam się tą drogą, która we Francyi nietylko wielki zaszczyt czyni politycznym oficerom, ale przynosi im wielkie zyski. Nigdybym nie śmiał narażać mego najdroższego Papy na tak wielką podróż, gdybym nie był pewnym, że w jednym z departamentów południowéj Francyi uczciwie i wygodnie żyć będziemy. — Jutro wyjeżdżamy. W Chalon, w Lyonie, w Tulonie, w Marsylii, w najpiękniejszym kraju na świecie, po drodze nawet rozpoczynam moje muzykalne zabiegi. O sobie bez pochlebstwa i jedynie dla zaspokojenia Papy powiedzieć mogę, że we Francyi nawet z Juste-milieu, z rządem, z Karlistami, zawsze mi się szczęściło. Posiadam język tak dalece, że mogę nim w każdéj kompanii płynnie mówić i pisać bez żadnéj trudności. Związki gdzie tylko zechcę porobię sobie. Wszędzie człowiek młody i czynny, wszędzie artysta da sobie radę; jest to kraj industryi, kraj sztuki, kraj zarobku; daję Papie słowo honoru, że na miesiąc w samych zaraz początkach będę mógł mieć 100 do 150 franków z fortepianu, dając tylko lekcye po trzy franki na godzinę, mówię to na samym początku; bo jeżeli Bóg da, że się uetablizujemy w miejscu przyzwoitém, to łatwo będzie można powiększyć tę sumę.

Listu tego już nie mógłem skończyć w Paryżu, kończę go tedy w Auxerres, o 40 lieus od Paryża, dnia 7. Kwietnia na drodze do *Hyères, departament de Vos,* gdzie Kamil mieszkać będzie.

Adaś Gurowski jest w Londynie; waryat, ale dobry człowiek, z najlepszém sercem i zawsze do nas przywiązany. Dałem mu polecenie, żeby w Londynie porobił kroki do zrealizowania dawnego mego planu. Napisze mi, jakie porobił znajomości we względzie koncertu, gdzie go dać najlepiéj? Czy na którem z wielkich przedmieść londyńskich, czy na prowincyi, n. p. w Birmingham, Manchester, Glasgow, i t. d.? Myślą moją jest, zebra-

wszy cokolwiek we Francyi pieniędzy, a potrzeba mi koniecznie mieć na ten cel 1500 franków najmniéj, pojechać do Londynu. Tam za pomocą komitetów i przyjaciół naszych dać koncert, z którego najmniéj, najmniéj mówię, 500 funtów szterlingów mieć mogę. Gurowski, który już raz był w Londynie, powiedział mi, że ze wszystkich zarobków ten jest najpewniejszym w Anglii, on mi radzi grać koncert dla ludu na przedmieściu. — Zaręczam kochanego Papę, że to nie są romanse. Jak żyję, tak dobrze nie grałem na fortepianie jak teraz, a ponieważ idzie o zrobienie pieniędzy, z całém poświęceniem rzucę się tą drogą, i nie wątpię, że w Anglii za parę lat przyjdę do pewnego nawet majątku. Reassumuję się. Fortepian jest naszą fortuną. Ja i Kamil bierzemy teraz od rządu 100 fr. Dla Papy wyrobimy 60 fr. na miesiąc; przyjdzie to z trudnością, ale nie masz takiéj rzeczy, któréjby za pomocą wpływów zrobić nie było można. Będziemy więc mieli 160 fr. na trzech. Nie może być, żebym 150 fr. z lekcyi nie miał, to jest na prowincyi. Będzie więc 300 fran. na miesiąc dla nas trzech; jest to bardzo mało, ale wyżyć można na prowincyi. Czyż to ja nie wiem jak Papa mało potrzebuje? Ta bieda długo nie potrwa, albowiem ja proszę Papy żebyś bez żadnéj zwłoki kroki następujące poczynił do ułatwienia projektu londyńskiego:

1. Myśl zbierania prenumeraty jest zbawienna. Pułkownik Łagowski napisał już w tym interesie do brata swego. On, Papa i Juzio zajmą się tym przez pełnomocników swoich.

Zbliżają się kontrakty Lwowskie. Posyłam Papie kilkanaście prospektów drukowanych z moim podpisem. Prenumerata na 2 tomy 15 fr. wynosi. Źleby było gdyby forsując we trzech, nie przedało się najdaléj we dwóch do trzech miesięcy 450 do 500 biletów. Niechaj Papa część prospektów moich poszle do brata pułkownika,

prosząc go, aby pieniądze uzbierane posłał do brata pułkownika do Paryża wiadomemi sobie drogami, niechaj się podejmie przedać 150 biletów. Przyjaciele nasi przedadzą we Lwowie 200 na kontrakty, Jozio przeda 100 z punktu swego. Papa pieniądze za te 200 i za te 100 niech weźmie i przyjedzie do nas. Jan Henryk którego serdecznie ściskam, nie odmówi swéj pomocy w czasie kontraktów. Przedaż pójdzie prędko i łatwo. Za te pieniądze nasz kochany Papa przyjedzie do Francyi. Dzieło się wydrukuje i przyniesie nasze zyski. Nakoniec będzie można coś przedsięwziąść w Londynie. Wszystko zależy na tém, żeby można znaleźć osoby chcące się tém interesować. Duch mojéj historyi znany już jest w Polsce z fragmentów umieszczonych w broszurach Michała.

2. Niechaj Papa z uwagą przeczyta list Michała tu załączony. Od powiększenia i tak już znanéj i znacznéj liczby prenumeratorów tych broszur wiele zależy. Przedewszystkiém idzie o to żeby Michał miał do czynienia wprost z którym księgarzem we Lwowie n. p. z Milikowskim, a nie przez pośredników, którzy go okropnie zdzierają zarazem i publiczność polską. Już ta entrepryza koniecznie się utrzyma. Wychodzi trzeci tom pamiętnika Emigracyi, który coraz więcéj nabywać będzie powagi. Najlepiéj jednak Michał się wyrazi względem środków polepszenia stanu finansowego dziennika.

W ogólności byt najdroższego Papy, nasz byt, i kochanego Michała, zależy na forsowaniu prenumeratorów mojego dzieła, na entrepryzie muzykalnéj, która jest daleko pewniejsza jak prenumerata w Galicyi, na staraniach handlowych w kraju, dla ustalenia pamiętnika Emigracyi. Te trzy spekulacje żadnéj zwłoki nie cierpią. Dwie drugie, to jest pierwszą i ostatnią Papa z Józiem, z Janem Henrykiem, z Milikowskim, z bratem pułkownika, przedsięweźmie z zachowaniem potrzebnéj ostrożności i tajemnicy. Są to czasy kupieckie, bądźmy ku-

pcami. Może nam się lepiéj powodzić będzie, jak na urzędach w ziemiach i w polityce. Sądzę, że biletów prenumeraty drukowanych posyłać nie potrzebuję; niechaj je Papa według wzoru przysłanego przez Michała w tym liście wydrukować każe. Wszakże to nie ulega cenzurze Lwowskiéj, tak sądzę. Gdyby zaś ulegało, to niech Papa pisze do Michała pod naszym adresem, a on w takim wypadku poszle i więcéj prospektów, i kilka set drukowanych biletów drogą sobie wiadomą, i o tém Papę uwiadomi. Pod żadnym pretekstem, w żadnym zamiarze, nigdy my dwaj nie wrócimy do Polski, chybaby nagle nasz kraj cudem opatrzności z grobu powstał cały, wielki, i był rządzony jak my myślimy! Jeżeli Papa nasz drogi przyjedziesz do nas za pomocą Bożą, wtedy prócz żalu za kochaną Mamą, za familią, nie będzie żadnéj nadziei, żadnéj ponęty, któraby nas mogła zwabić na ojczystą ziemię, prochy i kości nasze nigdy tam spoczywać nie będą. Przysięgam to na wszystko co mam świętego na ziemi i w niebie. Tak znam nasz naród, tak znam ludzi, którzy na niego działają i działać mogą. Tak jestem przekonany, że nigdy się w kraju naszym nie zmieni co do politycznego głupstwa, intryk nikczemnych panów i ich służalców. Tak wielką impressją uczyniła na mnie ostatnia rewolucja, że postanowiłem być wygnańcem do śmierci, a sposób, jak się tam obchodzą z Papą, utwierdza mnie w tym zamiarze. Gdybym dzisiaj wrócił do którejkolwiek części Polski, ręczę żebym się stał za dziesięć dni celem ogólnéj potwarzy i powszechnego prześladowania. Za granicą nikt mnie nie stara się szkodzić prócz swoich. Cudzoziemcy są moimi braćmi, swoi katami. Na miłość Boską zaklinam Papę! niechaj myśl pobytu naszego w ojczyznie nie bierze góry nad temi konsyderacjami w opinii kochanego Papy. Tu damy sobie radę, w kraju nigdy. Gdyby się nic z tego wszystkiego com napisał nie udało, to wten-

czas będziemy w Paryżu siedzieli. Ja, Papa i Michał będziemy dostarczali potocznych wiadomości do dzienników. Kto umie po niemiecku i po łacinie, nie dozna niedostatku we Francyi i w Anglii. Są i inne środki. Wszystko jest otwarte przed nami za granicą, w kraju zaś nie.

Od dnia dzisiejszego za trzy miesiące będziemy mogli powitać Papę we Francyi, Tymoleona niechaj Papa nie bierzę ze sobą. Rząd czyni co może dla pozbycia się emigracyi, zamknął listę emigrantów, nikogo z Polski nie przyjmuje. Papa przyjedzie pod cudzoziemskiém nazwiskiem, Tymoleona potem gdy się urządzą interesa nasze, sprowadzimy, teraz nie masz środka dla niego. Piszę to ze łzami w oczach, z zakrwawionêm sercem, bo gdyby było podobieństwem wyrwania z kraju tego chłopca, i utrzymania go tu za granicą, tobym połowę mego życia za to oddał.

Słabość Kamila straciła swój zatrważający charakter. Ujechał bez odpoczynku 40 lieus i nie jest zmordowany. Nocujemy tu w Auxerres, jutro pojedziemy o dziesiątéj do Dijou, ztamtąd do Lyonu, z Lyonu do Hiers.

List ten posyłam do Paryża na ręce Michała. Z drogi pisać będziemy. Całujemy rączki, nóżki stryja, stryjenki, Edzia Januarka, Maxymiliana, Piotrusia; Kamil także swój list załącza.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

W tym liście wykazuje się cały duch Maurycego. Nie lękał się bynajmniéj sprowadzić do siebie ojca, bo ufał swojéj głowie, swojemu talentowi do muzyki, w czem miał zupełną słuszność. Muzykę posiadał w najwyższym stopniu, gra jego na fortepianie była pełna. Oburzała go myśl, że człowiek równie godny jak zasłużony, człowiek wielkiego charakteru jakim był ojciec Maurycego, nie

doznał w Galicyi i najmniejszych względów; nikt go nie szukał, i nikt o nim wiedzieć nie chciał, chociaż przed 12 laty w téj saméj Galicyi był znany, szanowany, i kochany jako obywatel, jako człowiek z sercem i głową, pełen zdatności; teraz zapomniony musiał cierpieć niedostatek i tulić się u poczciwych ludzi, lecz najmniéj mogących osłodzić mu wszelką niedolę po stracie ojczyzny, własnego mienia, swego bytu pięknego i synów! — Można nazwać duchem wieszczym Maurycego w tém miejscu, gdzie pisze, że oba z bratem nie wrócą już nigdy do Polski, która ani kości, ani popiołów ich nigdy mieć nie będzie; bo i w rzeczy saméj byli obadwa na drodze ku bliskiéj śmierci. Pisali z Auxerres: Niestety! Kamil w pięć miesięcy żyć przestał w obcem ustroniu z Hyères dokąd właśnie podążył z taką trudnością, gdzie się wybrał z Paryża pomimo tak wielkiego niepodobieństwa i użył ostatnich sił swoich do téj wyprawy. A Maurycy po nim w rok jeden i miesięcy cztery w temże samem mieście Auxerres, gdzie nigdy mieszkać nie myślał, umarł, zstępując powoli do grobu od śmierci ukochanego brata. Pamięć jego uczcili przyjaciele postawiwszy mu pomnik w tém mieście; okazali przez to że Maurycy zasługiwał w całém życiu na lepszy los, aniżeli doświadczać go musiał przez zbieg najfatalniejszych okoliczności. Jakto Maurycy pełen był życia, pełen energii, pełen miłości synowskiéj, kiedy to pisał! Można powiedzieć że do lat 30 miał zakonserwowane uczucia: życia był skromnego, żadnego zbytku, żadnego excessu nie zrobił, był w całéj sile, ufał przyszłości. Lecz mocno się pomylił na swoich widokach w Galicyi, żadnéj ztamtąd pomocy nie doznał. W ów czas już zdemoralizowali się Galicyanie, stracili wiarę we wszystko; że złego na coraz gorszy stopień postępowano. Rząd prześladowanie rozpoczął, już niewolno było zbierać prenumeraty, już się wszystko niepowodziło, a ci do których przemawiałam jako matka, nie wszyscy odpowiedzieli staraniom moim, zawód na zawód na wszystkie strony, z pieniędzy albo bardzo mało, albo nic. Ta właśnie jest przyczyna, a nie inna, że owe dzieło Maurycego wyszło tylko w dwóch tomach, kiedy wsparte stałoby się kompletném, byłoby skarbem narodowym, wieczną pamiątką błędów i cnót naszych. Właśnie do wszystkich fatalności, które nas spotkały, i tę szkodę policzyć jeszcze można, że nie dopomożono temu młodemu człowiekowi o tyle zdolnemu jak się przecie przekonano, by ogłosił światu wszystkie prawdy bezstronnie, których był świadkiem, poczęści autorem i współuczestnikiem. Pisano, i pisało wielu w téj materyi, lecz nikt nie przewyższył, ani zrównał jemu nawet w wyjaśnieniu charakterów, wyłożeniu powodów, dla czego upadła ta

wielka sprawa narodu naszego, która już stała na tym stopniu, z którego po zasłużone, a sprawiedliwe pożytki dla siebie, śmiało już sięgać można było.

Nigdy dość odżałować nie można, że Maurycy nie dokończył przedsięwziętego dzieła; wszakże w listach swoich przy końcu do nas pisywanych donosił, że ma gotowe materjały na cztery tomy. Kiedy człowiek takich zdolności jak on, poświęci się całą duszą swojéj pracy, jakże okropnie być musi dla niego, gdy widzi, że mu ręki podać nie chcą! Nie można powiedzieć żeby nie ufano jego zdolnościom, gdyż miano czas go poznać i że potrafi niemal wszystko co zechce, wszakże w Warszawie świat literacki przemawiał już najpochlebniejszemi wyrazy za tym młodym człowiekiem; już pismo jego o literaturze zadziwiało pomysłem i sposobem nowych prawie wyrażań się; już recenzje po gazetach i rozmaite artykuły pisane z taką łatwością i trafnością sądu, przepowiadały w nim znakomitego autora swego czasu. Nie można też zamilczeć, że Galicyanie podobno najwięcéj zbłądzili w tém, że za lekko rzeczy traktowali w téj mierze; mieli sposobność zawezwać ojca będącego pomiędzy nimi, rozmówić się, jak przystało zrobić dla dobra przyszłości i teraźniejszości; nie raczono zastanowić się nawet nad tem; cudów od Twórcy żądać nie mamy prawa. Mamyż my jakiżkolwiek charakter? Gdzież się rozeszły ofiary owe serc prawych, kiedy zapominano na jaki użytek najwłaściwiéj potrzebaby je obrócić? Te wszystkie myśli dręczyły nas i Maurycego, którego dusza czysta i wyniosła, serce bijące zawsze dla dobra ojczystego, geniusz szczególny i talent nadaremnie się wysilały; nikt a nikt dopomagać mu nie chciał.

Więcéjby można robić jeszcze uwag nad temi listami; jedna myśl spycha drugą...

Marja M.

Kamil Mochnacki do Ojca.

Niedziela Wielkanocna. 1833.

Najukochańszy Papo!

Już przecie wyrwałem się z tego niegodziwego Paryża, jedynego i niezaprzeczonego źródła moich wszystkich słabości. Dokazałem sztuki, która niemało zadziwi

moich doktorów. I rzeczywiście jest się czemu dziwować. Załecali mi oni najstaranniéj abym z miejsca po kilka lieus na dzień i to ze wszelkiemi wygodami robił, nigdy się niepoważył w nocy jechać, a jeszcze mniéj w słotę. Ja sam miałem szczerą intencją wykonać te przepisy, bo w Paryżu przedwczoraj jeszcze po sześciomiesięczném prawie niewychodzeniu z pokoju, czułem się tak słabym iż nie byłem dość pewnym czy będę wstanie 10 lieus ujechać. Tymczasem inaczéj się stało. Ruch powozu, świeże powietrze, posłużyły mi zaraz w kilku pierwszych godzinach podróży, z czego ja korzystając, wszystkie doktorskie przepisy na bok odrzuciłem, i od razu na kamiennéj drodze w twardym powozie dniem i nocą 42 lieus uleciałem. Teraz kiedy to piszę czuję się nawet mocniejszym jak w chwili kiedym siadał do powozu w Paryżu. Ale dość o sobie, wracam się do przedmiotu, który dla mnie jest milszy i droższy nad moje zdrowie, nad moje życie, nad świat cały. Po tem co wyczytaliśmy z pierwszego i drugiego Papy listu, i po tem co Maurycy w obecnym liście Papie donosi, nadzieja niedawno jeszcze bardzo wątła połączenia się z Papą, zamienia się dla mnie w pewność. Wierzaj mi najukochańszy Papo, że ta sama myśl mię uzdrawia, a czegoż się nie mam spodziewać jak się zrealizuje? Co do środków utrzymania się za pomocą talentu Maurycego, bez żadnego zaślepienia, z najzimniejszą rozwagą odważam się Papę zapewnić, że są niezawodne. Ja nie jestem łatwowierny, i to co podaję musiało być przez wzgląd na konsekwencje bardzo pilnie rozważane, od samego początku przyjazdu naszego do Paryża jeszcze w roku 1831. Możność zarobienia pieniędzy we Francyi na drodze artystowskiéj miałem za bardzo podobne do zrealizowania. Maurycemu nieraz nagadywałem o tem, lecz potrzeba napisania historyi o rewolucyi i popierania dziennika Michała, odrywała go nieustannie od oddania się kultywowaniu téj

myśli. Teraz nie posiadam się z radości że cały jest zajęty tą myślą, i za dobre myśli można ręczyć. Co do zawodu literackiego, i tu nie są wyschnięte wszystkie źródła do zarobkowania, choć są daleko trudniejsze i mozolniejsze: dowodem tego jest dziennik Michała, który jemu i Maurycemu do tego czasu, prawie wszystek czas zajmował. Choć wyznać potrzeba z drugiéj strony, że nie małe pieniądze przyniósł. Jednèm słowem, najukochańszy Papo, materya ta jest wyczerpnięta. Obawa, abyśmy tu z głodu nie pomarli, niechaj będzie dla drogiego Papy jedną z najdrobniejszych przeszkód do połączenia się z nami. Czego sami nie dokażemy, Bóg dopomoże. Proszę najukochańszego Papy donieść Mamie, że listy jéj do nas doszły 15. Marca, i że na nie z drogi albo z miejsca odpiszemy. Prosimy wszystkie listy do nas adresować, jak dotychczas bez żadnéj zmiany, dojdą nas przez Michała. Całuję serdecznie rączki i stopki najlepszego z ojców przywiązany syn.

Kamil Mochnacki.

Maurycy Mochnacki do Michała Podczaszyńskiego.

Auxerres, dnia 7. Kwietnia 1833. Godzina 1. z południa.

Piszę o 40 lieus od Paryża, kochany Michasiu! Kamił cudów dokazał. W Melun zjadł obiad i daléj do Monterau pojechać umyślił ztąd bez odpoczynku do Sens, z Sens do Auxerres; bez odpoczynku czterdzieści lieus bez przypadku, bez fatygi, z mniejszym kaszlem jak w Paryżu, z przedsięwzięciem zrobienia drugiego takiego kursu do Chalons. Wątpię tedy, żeby nas w Chalons twe broszury zastały; adresuj je do Lyonu. — Posyłam ci list od Papy. Pisz do niego obszernie w materyach tam wskazanych i co żywo je odsyłaj. — Ruch powozu

i powietrze oczywiście w coupée służą Kamilowi. — Nastusia Dunina uściskaj. List Chłędowskiego, tu załączony, pokaż mu. — Tu nocujemy. Jutro daléj o dziesiątéj z rana. Jeżeli tak będą szły rzeczy, prędzéj może wrócę, jak spodziewałem się. — W Lyonie pewno dam koncert. — Dziś mnie głowa okrutnie boli, dla tego kończę. — Pułkownika uściskaj odemnie; powiedz mu, że Kamil większy zuch jak sądziliśmy; lecz on sam bierze pióro do ciebie.

Maurycy.

Kochany Michale!

Pożegnałeś mię nieboszczykiem suchotnikiem i kandydatem do Powązek, a ja ci donoszę, że żaden z Cześników na całéj kuli ziemskiéj tego nie dokazał po takiéj chorobie co ja. — Już doświadczałem w tych 24. godzinach wszystkich niewygód podróży: zimna, gorąca i powietrza, a jednak nie umarłem, i owszem czuję się silniejszym, niżeli kiedym wyjechał. — Proszę cię, kochany Michasiu, powiedz o tém Marcinkowskiemu, a kochanego pułkownika uściskaj odemnie po tysiąc razy.

Kamil.

Michał Podczaszyński do Bazylego Mochnackiego, ojca Maurycego.

Paryż, 14. Kwietnia 1833.

Parę dni, jak mi Maurycy przysłał z Chalons sur Saône list do Pana, posyłam go wraz z listem Kamila i z czterema ostatniemi numerami Pamiętników. — Co przewidywałem, to się ziściło. Kamilowi droga pomogła. Odebrałem wczoraj znowu list, w którym mi donosi Mau-

rycy, że Kamil jeszcze się lepiéj ma; że kaszel prawie zupełnie ustał, że sen ma spokojny, apetyt dobry. Było to więc nie co innego, jak hemoroidy. Pod tym więc względem proszę być zupełnie spokojnym. Nikt nas nie straszył, tylko doktorowie; a teraz jak na złość, wszystko to co przepowiadali o skutkach podróży, nietylko się nie sprawdziło, ale zupełnie inne, przeciwne symptomata widzimy.

Co Maurycy pisze, że może żyć z fortepianu, jest prawdą. Sam tego byłem świadkiem w Metz. Tak grających, jak on, bardzo jest mało na świecie. Ale to, co pisze, jakobym ja ponosił wydatki na nich, jest bajką; ponosiłem, ale tylko przez parę miesięcy; nie wydałem więcéj, jak parę set franków. Tylko Maurycy lubi exagierować. Gdybym miał, pewniebym nie żałował; ale dochody z prenumeraty właściwie do autora tak pięknych artykułów o rewolucyi, a to w największéj części należą. Gdyby nie Maurycy, mój Pamiętnik byłby lichotą; bo nikt pisać nie chce, kto umie; alboby może zupełnie ustał. To tylko dobrze, że i Polacy pierwszy raz dowiedzą się prawdy, i Maurycy pokazuje, że w swoim czasie to samo mówił i pisał co i teraz. Nikt już odtąd nie będzie mu śmiał czynić zarzutów z jego życia politycznego. Wyjaśnił charakter partyi naszych. Honoratkę zbił na miazgę; Lelewela do czubków odesłał; Kaliszanów przekonał, że są głupcy; arystokratów że niedołęgi i t. d. To wszystko szło powoli, plan się rozwijał bardzo leniwo. Dopiero teraz Kaliszanie otworzyli oczy, ale już nie czas. Biorą się już na sposoby. Pod prezydencyą niby Xawerego Bronikowskiego, Plichta, Kunat et Comp. zaczęli wydawać pisemka; już dwa numera wyszły. Rozpisali listy do Drezna i w Poznańskie, żeby roznoszono wieści, jakoby mój Pamiętnik był najszkodliwszy dla kraju. W Dreznie Adolf Cichocki, Krurzyński i Bansemer złożyli przeciw mnie kommissyę i posta-

nowili systematyczne plany prześladowania mnie exekwować. Ja pisałem do Drezna, żeby mi o tém dokładnie doniesiono, bo chcę tu wszystkie szczegóły wydrukować.

Wiesz pan D. zapewne że prawie cały zakład w Besançon poszedł do Niemiec. Stało się to w skutek prześladowań nowych, które przyobiecał w Izbie deputowanych minister d'Argout, i w skutku obelg jakiemi Polska, czyli Emigracja nasza była znieważona przez reprezentantów Francyi. Ten postępek braci besansońskich może mieć gorsze skutki dla Francyi jak się spodziewano. Francja widocznie z Moskwą trzyma, Austryi się to nie podoba, Aponyi sprawiedliwie się przeląkł Polaków, którzy w rewolucyi niemieckiéj mogą bardzo wiele złego narobić. Dzienniki mówią, że to dla tego Aponyi Paryż opuszcza, ale chyba żartują. Jakkolwiek bądź wczoraj na radzie ministrów była wielka wrzawa o naszą Emigracją. Soult szczerze nas bronił, powiadał, że nigdy nie pochwalał systematu prześladowania emigrantów. Przyszło do tego, że z jednéj i drugiéj strony miano żądać dymissyi. Ja z tego wszystkiego wnoszę, że może coś dobrego wyniknie dla naszéj sprawy, jeżeli tylko Austrya nie będzie ślępą na to, co Moskwa robi na wschodzie, tem gorzéj dla niéj jeżeli nie widzi. Piszesz nam Pan D. abyśmy oszczędzali Austryą w pamiętnikach, a ja powiadam, że i ja i Maurycy chybabyśmy byli niesumiennemi, gdybyśmy mogli Austryą drażnić. Owszem pisalibyśmy może podchlebne dla niéj artykuły, gdyby to nie narażało pamiętnika na szczekania półgłówków, którzyby nas za arystokratów ogłosili. Ja inaczéj uważam wewnętrzną politykę krajów, a inaczéj zewnętrzną. Z tego wynika, iż sądzę że my którzy jesteśmy zewnątrz systematu politycznego Europy, nie skąd inąd możemy na teraz się spodziewać czegoś, tylko z kłutni Austryi z Moskwą, a ta kłótnia musi nastąpić choćby stu Meternichów nie chciało. Wielu z naszych rachuje na rewolucją

ogólną europejską, ja także rachuję, ale tylko tak że ta rewolucja będzie przytłumiona na teraz, i że to może przyspieszy nasze wskrzeszenie. W téj chwili dowiaduję się, że telegraf doniósł, iż nasi w Schwarz-Waldzie wzięli broń i amunicją dla nich przygotowano, że wysłane przeciw nim dwa pułki Badeńskie, połączyły się z nimi. Nikt nie może przewidzieć wypadków.... Jeżeli mają bydź dla nas pomyślne, niech się dzieje wola Boża! Czy moje przewidywania polityczne się sprawdzą, czy się przekonam, że były urojeniem, zarówno rad będę wyznać błąd, jak przyznać się do proroctwa.

Chłędowski wczoraj przyjechał do Paryża, żona w Dreznie została, ma i ona także przyjechać. Nabielak ukłon zasyła. Ja roztargniony mniéj mojemi zatrudnieniami, jak tém co się dzieje, przepraszam że tak nieporządny list piszę, może w następnym liście doniosę coś ciekawego o naszych, coś pocieszniejszego lub smutniejszego. Tymczasem polecam mię pańskiéj pamięci i ojcowskiemu jego błogosławieństu.

Michał Podczaszyński.

Kamil Mochnacki do brata Maurycego w Paryżu.

Hyères, dnia 5. Maja 1833.

List ze stoma frankami odebrałem wczoraj. Gdyby kto kamień węgielny wyjął z budynku, nie szkodziłoby to tyle, ile zaszkodził wszystkim moim prospektom i projektom zawód 50 franków. Wczorajszy list zastał mię o 3 sous, które pozostały z owych 13 franków i odłużonego w hotelu za dni 18 po 6—8, 115 franków; dodać do tego należy mleko ośle 10 franków, więc całego długu 125. Dłużéj stać w hotelu w tak niewygo-

dnéj stancyi było niepodobna, a wynieść się także niepodobna, bo dług większy niżeli wexel. Mocno się zmartwiłem. Czekając w takiéj niespokojności i przez tak długi czas funduszów z Paryża, rozumiałem, że kiedy przyjdą nakoniec, wydobędą mnie ze wszystkich kłopotów, a tu właśnie przeciwnie się stało. Byłem przymuszony udać się do pana Denis, z którym zaledwo od kilku dni się poznałem, i który mnie w swoim domu przyjął bardzo uczciwie, poniżyć się i prosić po tak krótkiéj znajomości o pożyczenie 50 franków. Nie dziwuję się, że przyjął tę propozycyę z miną tak oziębłą, że gdybym był nie wspomniał na mój stan desperacki, natychmiastbym cofnął żądanie. Przez cały wieczór traktował mnie z tąż samą oziębłością. Straciłem znajomego i dom bardzo przyjemny. Gdybym był prosił pana Denis o 100 franków, wiem pewno, żeby mi je dał; ale co sobie myśli o mnie, to nie ciężko zgadnąć. Zapłaciłem dług w hotelu i przeniosłem się do domu wiejskiego z 25 frankami. Nie będę dopóty spokojnym, dopóki nie oddam tych 50 franków panu Denis. Liczyłem, że z żołdu potrafię się mu uiścić; ale cóż, kiedy ten pan Dufort z policyi taki oszust jak i wszyscy Francuzi, napisał w książeczce od wypłaty czegośmy nie spostrzegli, żem już pensyą za Kwiecień wziął naprzód w Paryżu; zamiast napisać, żem wziął forszus jednomiesięczny; ztąd tedy kwestya, czy mi zapłacą, czy nie, choć jeszcze o tém prefekt nic nie wie. — Piszesz mi Maurycy, abym robił długi, w miarę jak mi potrzeba. Otóż przekonaj się z tego przykładu, czy można robić człowiekowi obcemu długi, żyjąc w nieznaném mieście z Francuzami; a zwłaszcza w takiém mieście, które przyzwyczaiło się drzeć bez litości cudzoziemców, i tę metodę do wszystkich przybywających na kuracyę zastósowało. Na 1. Maja jeszcze leżałem w łóżku, kiedy gospodarz Hotelu des Ambassadeurs wszedł do mnie z księgą i oświadczył,

że jest zwyczajem u nich de règlee les comptes avec les voyageurs, le premières jours de chaque mois. Wystawcie sobie jakem się musiał czerwienić; jednak wpadłem na koncept i odpowiedziałem mu, że właśnie wczoraj posłałem wexel fourir sur une maison de banque à Marseille, spodziewam się przeto, że pieniądze zmieniane przyjdą jutro. Mais vous avez surement de la monnaie et votre compt n'est pas fort, le voici ce n'est que quatre-vingt quinze francs! Oui j'ai un peu de la monnaie, mais j'en aurai besoin pour de petites dépenses, que j'aurai à fair aujourd'hui et demin. Zamknął książkę i wyszedł, dziwiąc się mocno, że się znalazł przecie cudzoziemiec, który mu nie zapłacił na jego żądanie i na czas w którym zwykle od wszystkich bierze pieniądze. Otóż to takich roskoszy ja tutaj zażywam i zapewne nadal będę używać; bo tu nie znają, co to jest żyć na kredyt. — W mieście będzie mnie dzień kosztował 4 franki 10 sous; taniéj nikt nie jest w stanie wyżyć; lecz cóż taka kuracya warta, kiedy dla braku pieniędzy potrzeba sobie odmawiać najdrobniejszéj bagateli. Otworzyła się w tym miesiącu pora fruktów. Wszyscy zażywają się poziomkami, ale ponieważ są jeszcze trochę za drogie, więc ich kupić nie można. Wchodzę w te detale, abyście dokładnie pojęli całą lichotę mojego tutejszego życia; a to jest największe nieszczęście, że ani w tył ani naprzód posunąć się nie można; raz dla tego, że bez sum ogromnych wyruszyć ztąd i w innem miejscu się etablizować jest niepodobna, a po drugie, że ten klimat pomimo wszystkich prywacyi mi służy. Żałuję mocno, iż w skutek zaszłych okoliczności straciłem dom pana Denis. Jest on burmistrzem miasta Hyères, a zarazem jedynym człowiekiem, z którym można było żyć i uprzyjemnić pobyt w najszkaradniejszém i najnudniejszém mieście. Wiele nawet ressoursów przez to straciłem. U niego miałem książki, u niego konie wierzchowe; u niego się

często frukta zagraniczne się pożywały. Teraz to wszystko jeszcze mógłbym mieć, ale niemam czoła już pokazać się, zwłaszcza że w domu pełno kobiet, a między niemi zapewne plotek bez miary. Pan Denis miał ścisłe stosunki z panami polskimi, umiał popolsku i pracował wiele w literaturze. Było mu więc bardzo miło mieć w swoim domu Polaka, któryby mu przypominał dawne czasy, które przeżył między samymi Polakami.... Teraz jest bardzo bogaty, ma 60,000 dochodu i najpiękniejszy pałac w całém mieście. To wszystko wniosła mu żona, panna Sztulz, z którą się na dwa dni przed moim przyjazdem ożenił. — Pytasz mnie Maurycy, co za dług został u Zdziennickiego; pytasz jakbyś nie wiedział, że po nas w Paryżu tak mnóstwo zostało długów; a ten, o który się Zdziennicki upomina, jeszcze się liczy do przeszłego roku, z tą różnicą o ile mogę zapamiętać, że nie 24 franków, ale 21 franków mu się należy. Michałowi nie posyłam komplementów za jego braterską pamięć o mnie. Co wszystkie komplementa w porównaniu z tém co serce czuje i co chciałoby wyrazić dla okazania całéj wdzięczności przyjacielowi, który stał się prawdziwym bratem?

Maurycego milczenie przez dni 12, które przesiedział w Paryżu, nim się wziął do napisania listu, jest nie do darowania. Dalibóg, myślałem żeś kark skręcił z bankiety na dyliżansie w drodze, i że już nigdy nie będę miał o tobie wiadomości. Nadal wcale przestanę pisać, jeżeli z Paryża tak rzadko będą przychodziły listy. — Czy pisałeś do Papy po przyjeździe z Lyonu, i czy trwasz w projekcie połączenia się? Pan Dessaix czy pisał do ciebie? Książeczki twojéj w żaden sposób sous bande nie mógłem posłać, a to dla tego, że w środku jest pisane; musisz więc ponieść koszt porto w liście, co wyniesie pewno kilka franków. Dałby Bóg, aby redukcya nie przyszła do skutku, jak donosisz, toby nie mało po-

prawiło moje interesa. O przysłanie regularne broszur upraszam; ostatnia u mnie ma tytuł Kapet.

Do Szanownego Pułkownika Łagowskiego.

Miło mi było odebrać prawdziwy dowód przyjaźni Pułkownika w liście, który odczytałem z największą przyjemnością i uwagą. Nim odpiszę na niektóre punkta instrukcyi kochanego Karóla, którego brak tutaj nieraz mi się czuć daje; muszę się uskarzyć przed szanownym Pułkownikiem na brata, którego w najpierwszym moim liście pisanym z Hyères obligowałem o doniesienie mi o zdrowiu szanownego Pułkownika. Nie uczynił tego, oświadczając mi, że mi Pułkownik sam o tém doniesie najlepiéj w swoim liście; a ponieważ w liście Pułkownika nie znajduję żadnéj wzmianki o zdrowiu, proszę więc, aby w najpierwszéj jaka nastąpi expedycyi panów Pułkownik rozpowiedział mi o stanie swego zdrowia. Chciéj wierzyć szanowny Panie, że wszystkie kłopoty i zmartwienia nie są w stanie zatrzeć w mojéj pamięci zacnéj osoby kochanego Pułkownika, i że wiadomość o twojém wyzdrowieniu wiele może posłużyć do mojéj spokojności. Kochany Karól wymaga takich niektórych rzeczy, których ja wykonać nie mogę. Na wsi mieszkać nie mogę, bo jéj w całéj prowincyi nie masz! Są tylko ogrody, a w nich domki, w których mieszkają sami właściciele, ale w nich zaledwo familia się pomieścić może, a potém tamby potrzeba z głodu umrzeć, bo chłopy prowanckie żyją gorzéj od naszych żydów, czosnkiem i cebulą; lecz wszystko jedno dla mnie. Ja mieszkam teraz tak jak na wsi, bo w oddaleniu od miasta u podnóża gór i prawie między samemi ogrodami. Stan mojego zdrowia zdaje się, że się polepsza, choć kaszel jest jeszcze zawsze tak gwałtowny jak i był, ale w expektoracyi znajduję ulgę, a potem, co mnie najbardziéj cieszy, to reperacya żołądka, który po dwuletnich obstrukcyach i bólach zaczyna

teraz przychodzić do regularności. Z drugiéj strony całe moje ciało, szczególniéj nogi i ręce, które się ciągle trzęsą, tak są słabe, że z największą trudnością przychodzi mi odbywać spacery. Zdaje się, jakbym na pożyczanych nogach chodził. Proszę Karola, żeby mi wytłumaczył ból nieustanny w boku lewym, ale daleko niżéj niżeli ten, którego miałem w zimie. Jest on poniżéj bioder i zdaje się, że od żołądka idzie; bo wiele razy lub nadto jem, lub coś niezdrowego, to się powiększa, w kaszlu nie odzywa się, a uważałem, że w przechodzie rozchodzi się. Nocy moje są zawsze bezsenne, daleko nudniejsze jak dnie. Najmocniéj mnie się przykrzą poty, które są niepraktykowane; zaczynają się od północka i trwają aż do chwili, w któréj wstaję z łóżka. Jeżeli nie śpię to się nie pocę; ale bylebym tylko zmrużył oko, wnet występują w rzęsistych kroplach. Czasami trzy razy w nocy muszę zmieniać koszulę. Ależ to te poty, zdaje mi się, które muszą być przyczyną takiego osłabienia w mojém ciele. Apetyt mój nie wielki. Jadłbym frukta, ale nie ma jeszcze takich, któreby mi nie szkodziły. Pomarańczy jest pełno w Hyères, ale to tylko sława, że to są pomarańcze, bo tak kwaśne, że najzdrowszemu człowiekowi wykrzywiają usta. Zawłoki ani wizykatoryi nie noszę, bo nie czuję bólu w piersiach. Piję dużo mleka oślego, choć jest tak drogie jak w Paryżu, to jest, za franka filiżankę; ale ja sobie wypatrzyłem daleko od miasta oślicę i mam toż samo za 10 sous. Nie wiem jak długo to potrwa. Piję także i mleko krowie, prosto od doju; ale mój żołądek bardzo trudno przyzwyczaić do tych wszystkich mleczyw; zawsze prawie powstają jakieś wiatry i parcia, które mnie czasem po całych dniach męczą. — Żegnam szanownego Pułkownika Karola i proszę, żeby o mnie nie zapomniał.

Kamil Mochnacki.

Kamil Mochnacki do brata Maurycego w Paryżu.

Hyères, dnia 14. Maja 1833.

Kochany Bracie!

Mieszkam teraz w domu partykularnym, który się nazywa Hôtel d'Angleterre, dla tego, że niegdyś istotnie był hotelem. Mieszkanie tanie, dwa pokoje z terassem, z kuchnią, ze sprzętami i z nakryciem srebrném do stołu, puszczono mi za 20 franków miesięcznie. Zgoła apartament bardzo wygodny. Do czego nie mało się przyczynia exystencja kuchni, albowiem wszyscy mi mówią, że u siebie gotować jeść daleko taniéj wynosi, niżeli stołować się w Hotelach à table d'hote. Ja jednak dotąd nie rozpocząłem gospodarstwa, albowiem przybyłem do nowego mieszkania z 25 frankami, które w téj chwili już są tylko dziesiątkiem, a chcąc gotować u siebie trzeba mieć na codzienny expens pewną sumkę, któraby wystarczała na miesiąc, albo przynajmniéj na pół miesiąca naprzód.

Wszystko mi się coś zdaje, że będę musiał opuścić Hyéres, pomimo najdobroczynniejszych skutków jakie tutejszy klimat wywiera na moje zdrowie, i udać się do Avignońskiego Depot, którego szkaradny klimat dobrze mi się już raz dał we znaki. Ale cóż mam robić? to jest zapewne krok ostateczny. Ale Avignon jest najbliższym odemnie zakładem, i tam mam najwięcéj przyjaciół. Nie będę przynajmniéj dbał o to, co pocznę jak mi zabraknie grosza, bo będę żył jak inni. Tu przeciwnie, jak wyjdzie ostatnie sous tak śmiało można sobie zaśpiewać exekwie, bo prędzéj ci głowa peknie niżeli skąd dostaniesz pieniędzy. A to wszystko tem mocniéj aplikuje się do mnie, który jestem nieznany, nie mam znajomości, i wyczerpałem niejedno źródło, z którego można było coś wyczerpać. To jest stan którego żaden z was nie-

pojmuje; bo żaden się jeszcze w nim nie znajdował. Nic łatwiejszego jak żyć w Paryżu bez pieniędzy, wszak téj sztuki dokazywaliśmy przez całe miesiące, kredyt dostarczał wszystkiego, co potrzeba było do utrzymania się aż do zbytku. Ale tutaj nie żyjąc w hotelu gdzie się płaci epokami, i to zależy od kaprysu gospodarza, trzeba mieć zawsze w ręku pieniądze gotowe, choć niewielkie na wydatki dzienne. Gdybym się raz mógł tylko wydźwignąć, opłacić długi i mieć nadto w gotówce 100 fr. jużbym sobie dał rady potem na całe lato. Ale ponieważ to jest tak dobre jak niepodobne, i ja nigdy do takiéj summy nie przyjdę, bo wiem aż nadto jak sami jesteście ubodzy, a ja z nikąd indąd tych pieniędzy dostać nie mogę, więc mój dłuższy pobyt w Hyères byłby Donkiszoteryą, i naraziłby mnie w końcu na głód albo na infamią. Czekam z największą niecierpliwością na wypłatę mojéj pensyi, któréj dotychczas jeszcze nie odebrałem. Tą pęsją zapłacę stancją; dług pana Denis będę się starał spłacić z Avignionu. Proszę cię Maurycy udaj się jak najprędzéj do ministra spraw wewnętrznych, i przypomnij tym panom w biórze des Refugiés, że jeszcze do dziś dnia nie jestem zapłacony za miesiąc Kwiecień, i że to jest nadużycie za które minister już był strofowany w Izbie. Jakżeż stoi rzecz z redukcyą? Jak wam zapłacono tą razą? Napisz mi to, bo w tym nieporządku administracyjnym może redukcya nie przyszła do skutku, a mnie podług onéj zapłacą. Nie opuszczę jednak Hyères wprzódy, aż mi odpiszecie na następujące kwestye? Czy podpadłszy Lafajeta, niemożnaby go zmusić do zobowiązania, aby komitet francuzki przysyłał mi pęsią taką jaką dawniéj dawał Polakom w Paryżu, miesięcznie to jest 75 franków. Jeżeli funduszów nie ma, co jest wierutna bajka, cóż łatwiejszego byłoby komitetowi zebrać co miesiąc składkę wynoszącą tę sumę. Byle Maurycy chciał jeszcze koło tego

pochodzić, wiem pewno, żeby się za pomocą Leduchowskiego udało. Drugi projekt jest taki: egzystuje towarzystwo wzajemnego udzielania pomocy pieniężnéj tym, którzy się zechcą kształcić w jakiejkolwiek gałęzi naukowéj. To towarzystwo, mówią, że ma spore fundusze, niech mi da pensją i każe obeznać się z gospodarstwem krajów południowych. Tylko jeden punkt, to jest Hyères, w całéj Francyi ma temperaturę Włoch, Hiszpanii i innych krajów. Dowodem tego jest, że tylko na tym jednym punkcie rosną i dojrzewają bez żadnéj sztuki rośliny i frukta najcieplejszych krajów, pomarańcze, migdały, figi, cytryny, kawa, wino, muszkat itd., a z drzew cyprysy, palmy, cedry itd. Azatem to czegoby szukać potrzeba w dalszych krajach, znaleść można wszystko w Hyérs. A zresztą jeżeliby się to nie podobało, dla niepodobieństwa zaprowadzenia południowych plant w Polsce, mam port pod nosem półgodziny marszu przy wyspach Hyérskich, a większy i najsławniejszy może w Europie w Tulonie. Mogę się nauczyć w przeciągu pewnego czasu marynarki, albożby to było bez pożytku dla Polski? Ten ostatni projekt popierajcie. A nie widzę dla czegoby się towarzystwo sprzeciwiało. Gdyby chorobę moją dawali za powód niemożności przeznaczenia mię, ja im obowięzuję się zdawać miesięcznie raporta z tego czegom się nauczył... a) Najwięcéj potrzeba z téj strony ten interes przedstawiać towarzystwu, że dwojako się zasłuży, raz że uczyni zadość obowiązkom ludzkości, podając mi sposobność pozostania w Hyères, a tym samym odzyskania zdrowia, albowiem jestem pewnym, że w Avignionie w tak gwałtownym klimacie, stan mojéj choroby teraz znacznie polepszony, pogorszyć się musi; a drugi raz iż załatwi potrzebę ojczystą, bo przecie kiedyś musi być Polska, a Polski bez marynarki nie rozumiemy. Może towarzystwo przeznaczy mię do jednéj tylko sekcyi, to jest może polecić abym się doskonalił

w jednéj tylko sekcyi n. p. w konstrukcyi okrętów, do tego miałbym niewypowiedzianą łatwość. Zgoła jest to projekt dla mnie pożyteczny i dla kraju, azatem exekucją onego polecam waszéj gorliwości o dobro kraju, i temu widokowi, że gdyby przyszedł do skutku zbylibyście się mnie sobie z głowy. U nas tu najpiękniejsze pogody, powietrze jest tak przyjemne i tak zdrowe, że ja czuję z jaką radością płuca wewnątrz je przyjmują i oddają. Tę restauracją płuc nieraz już obserwowałem, i doktór tutejszy mówił mi że to nie jest złudzenie, ale że rzeczywiście to powietrze jest lekarstwem na zbolałe albo skaleczone płuca. Poziomki teraz są najobfitsze, w końcu mają nastąpić figi, a w Czerwcu już winogrona muszkatołowe. Co za roskosz żyć w takim kraju! Ale co za dekonfitura nie mieć pieniędzy! To prawdziwie tantalowskie męki. Co téż porabia szanowny nasz pułkownik? Teraz już i w Paryżu muszą być piękne dnie, już musiał pozdrowieć, musi biegać po ogrodzie tuleryjskim za piękną płcią. Ja jednak radzę statek, pauza znaczna po słabości nie zaszkodzi. U nas płeć piękna jest płcią szkaradną, kobiety prawie wszystkie jak beczki, wysokie, szerokie, okrutnie mocno zbudowane, i zdrowe jak konie, ale twarze brzydkie. Donieście téż co o Nastusiu Duninie, i co Łaski porabia rzuciwszy w świat przewyborny artykuł o szkole podchorążych, musi strasznie nosa do góry zadzierać. Co tam mówią o tym artykule w Paryżu?

Dla wiadomości waszéj, tylko proszę nikomu niekomunikować, wam dwom tylko mogę się zwierzyć, w jakiéj istotnie sytuacyi teraz się znajduję. Wiecie że mi z przysłanych przez was pieniędzy, i z pożyczonych od pana Denis, zostało tylko na dalsze utrzymanie 25 fr. Do tych pieniędzy musiałem moje życie zastósować, bo znikąd się już nie spodziewałem zasiłku, azatem od

4. Mają to jest od dnia jak się przeniosłem na moje nowe mieszkanie, żyję tylko mlekiem, które pod różnemi formami kilkakrotnie na dzień pożywam. Nie mam ja głodu i owszem ten rodzaj pożywienia bardzo mi się podoba, zawsze jestem syt. Cóż może być przyjemniejszego jak mleko, poziomki, jaja i chleb, ale to pozbawia mnie reszty sił które miałem w ciele tak dalece, że nie jestem w stanie kwadrans na własnych nogach się utrzymać, chodzić prawie mnie niepodobna. Ja ekonomię utrzymuję dla tego że nie wiem cobym począł, gdyby mi teraz, kiedy na kredyt nic nie mogę dostać, zabrakło aż do ostatniego sous. Mam jeszcze 10 franków, ale dreszcz mnie przechodzi gdy wspomnę że mogą bardzo prędko wyjść, nawet nie będzie za co mleka kupić. Przedałbym z ochotą mój frak, ale komuż się zwierzyć, komu dać ten interes w komis? kiedy nikogo nie znam, a potem Hyères jest tak podła mieścina, że 20 franków nie daliby za niego. Zaklinam was więc obydwóch poruszcie wszystek wasz rozum w głowie i wystarajcie mi się o 100 franków na życie, nie czekajcie aż ja przyjdę do ostateczności. Maurycy niechaj przypomina Dronirowi przyrzeczenie przysłania mi 100 franków na każde zawołanie, niech więc je teraz przyśle, nigdy mi lepiéj nie usłuży. Albo proś po prostu Leduchowskiego, niech sam pożyczy, albo wystuka od Lafayeta, powiedz im że mi pensyi nie dali. Bóg wie kiedy dadzą, przecie nie można dozwolić aby mnie w chorobie jeszcze i nędza dokuczała. Zgoła zkąd chcecie dostańcie pieniędzy bez zwłoki, bo u mnie tylko 10 franków.

Nota.

a) O mój Boże jaki to piękny charakter Kamila! Myśleć o przyszłości i pożytku kraju, w tak cierpkiéj pozycyi dla siebie jeszcze chcieć być użytecznym, jeszcze pracować kiedy już wszystkie siły fizyczne tego młodego człowieka były wycieńczone. Niepodobna

by się nie czuł bliskim śmierci. Jemuż to uczyć się okręty budować? Jemu zdawać raporta? Kamilowi nie było równego młodziana. Jaka zdolność? Te dwa listy rozdarły moje serce, wydzierały duszę. Wylałam potok łez, wysączyłam je do kropli. Widzieć pozycją tak trudną Kamila oddalonego, samego jednego bez żywéj duszy znajoméj w obcym zupełnie kraju. Rozpacz mnie wzięła. Mąż mój ukrywając list następny od Maurycego, oddał mi tylko te dwa Kamila, mówiąc że natychmiast posłał 20 dukatów Kamilowi. Była to prawie reszta pieniędzy, które miał dla siebie. Sam tułając się i potrzebując grosza na życie, a widział że mu go we Lwowie nikt nie da, bo i cóż o pożyczce myśleć kiedy kto stracił fundusze oddania, niemal wszystkie. Pocieszyłam się na moment wysłanemi pieniędzmi, lecz kalkulując że one nie prędko dojdą do Kamila, widząc że się ojciec wyzuł z ostatniego grosza, nieumiejąc sobie żadnéj rady dać, wiłam się z bólu a z nikąd pociechy nie doznałam. O Boże! zgrzeszyłam i byłam ukaraną. Dla czegoż nie padłam na oblicze w Domu Twoim, i nie poszłam Ci ofiarować stan méj boleści, złożyć niespokojność moję u stóp Twoich, dla czegoż nie poleciłam się Twéj Opatrzności? Ja nawet nie wiem gdzie była moja głowa, rozpacz robiła sobie ze mnie igrzysko. Działo się to we Lwowie, stałam u jednéj damy ze szlachetnemi uczuciami, ze sercem najlepszém, lecz ona sama w ogromnych potrzebach nie mogła mnie ratować. Co za pozycja moja: jako matka nie umiałam, nie śmiałam tego listu pokazać nikomu, choć był to czas zjazdu panów Galicyjskich na kontrakty Lwowskie, prosić nie umiałam, a nie było ani obcego, ani krewnego żeby się raczył zapytać o istotny stan nasz, a było bardzo wielu takich co przez dawne stósunki z nami i znajomość cośmy stracili w rewolucyi, mogli byli ratować nas bardzo małym kosztem. Nie unikano nas wprawdzie, ale my nie umieliśmy szukać nikogo. Tak pożerając siły nasze, prowadziliśmy życie między swymi podobne jak nasze dzieci za granicą między obcymi. Sama nie wiedziałam czego się bardziéj lękać, czy śmierci Kamila, czy téj oczywistéj nędzy niedostatku który ostatnie mu siły zabierał. O mój Boże! kiedy te drogie dzieci były z nami, mogłamże myśleć, że będą w niedostatku kiedy lub nędzy, że Kamil mój miły, ta piękna istota w ostatnich chwilach życia frasuje się tak silnie o jutro, i że bez żadnéj pociechy umierać musi....

Marya M.

Maurycy Mochnacki do ojca.

Paryż, dnia 18. Maja 1833. r. Rue Rivoli Nr. 50.

List kochanego Papy z dnia 30. Kwietnia odebrałem dnia 15. Maja. Na dniu 16. Maja zaraz posłałem Papie bilety ogólne prenumeraty w liczbie 30, z których każdy zawiera 10 egzemplarzy. Każdy z tych ogólnych biletów jest opatrzony moim podpisem. Dzisiaj posyłam 30 prospektów, na których mój podpis jest wydrukowany. Można tedy ludziom pewnym, patryotom życzliwym dziełu i autorowi, te ogólne bilety porozdawać. Każdy z takich kollektorów niechaj od siebie szczególne z swoim podpisem daje bilety. Innego nie masz sposobu w wyborze osób, którym Papa bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem przyjaciół naszych kolektę powierzyć będzie raczył. Nie można być nadto ostrożnym; każdy z tych zbiorowych biletów znaczy 150 franków. Nietylko więc trzeba charakteru politycznego, ale i moralnego, na którymby się zupełnie spuścić można. Azatém uczyniłem dwom głównym desideratom, które Papa wymieniłeś w ostatnim liście swoim, zadosyć. Posłałem bowiem 300 biletów i prospekty. Co do trzeciego desideratu, to jest: co do ogłoszenia w pismach francuzkich i broszurkach prenumeraty, nicby mi łatwiejszego nie było jak to uczynić, ale toby raczéj zaszkodziło niżeli pomogło entrepryzie naszéj. Ambassador moskiewski tyle tu może, że gdyby przeczytał coś podobnego w dziennikach paryzkich, mógłbym dostać rozkaz opuszczenia Paryża, a nawet i Francyi, a wtenczas dopiero musiałbym uledz pod ogromem niedoli. Wreszcie podobne ogłoszenie utrudniłoby tak kochanemu Papie jak i przyjaciołom naszym w Galicyi wykonanie tego delikatnego przedsięwzięcia. Co do rękojmi w odbiorze dzieła, porozumiem się w téj mierze z Milkowskim, który list do mnie pisał, że za kilka dni będzie w Paryżu. Ulegnie to dostarczenie na

miejsce tego dzieła nie małym zapewne trudnościom. Wszakże dzisiejsze położenie naszego kraju powinnoby uczynić tych, co prenumerować zechcą, wyrozumiałymi na tę prawdę, że opóźnienie dni kilkudziesięciu nic nie znaczy. Zawsze Lwów będzie głównym punktem, gdzie to pismo prenumeratora dojdzie. Wątpię zresztą, żeby promulgacya podobnego dzieła, które Austryi nie obraża, przez rząd tamtejszy bardzo czynnie *tamowana być miała.*

Bilety i prospekty które posyłam, są tylko dla Galicyi; dla Polski, Rossyi i Krakowa osobno Papie poślę.

Teraz przystępuję do wystawienia Papie moich teraźniejszych ambarasów, albo inaczéj powiem, mojego prawdziwego nieszczęścia, większego aniżeli wszystkie które dotychczas przebyłem! Idzie tu o Kamila. Słabość jego okropna, albo raczéj nie słabość, lecz ciągła bezprzestanna olbrzymia walka ze śmiercią, która co tylko może czyni, żeby go sobie przywłaszczyć.... dręczyła mię od końca przeszłego lata, przez całą zimę i do téj chwili pognębia. Niestety! przyszło do tego, że ja już żadnéj nie mam nadziei. Policzone są dnie jego.... Za miesiąc, za dwa, za trzy najdaléj....[a]) już kochany Papo będzie nas tylko dwóch: ja i Tymoleon! Wierzaj mi kochany, najdroższy Papo, trudno przeżyć śmierć naszego Kamila, lecz jeszcze trudniéj żyć obok jego choroby. Ja się w tym ostatnim znajduję przypadku. Kiedy kaszli, dźwięk jego kaszlu jest miedziany, a piersi zdają się być stalowe. Zdaje się że pumpa metaliczna wyczerpuje z niego jeden atom życia po drugim. Tu kres sztuki lekarskiéj. Tu się kończą ludzkie starania. Pisząc to, wyrażam całą summę moich zgryzot i oddaję w słowach to, co lepiéj płaczem tylko mógłbym wyrazić.... Pisząc to, stawiam Papie taką kategoryczną kwestyę: co lepiéj, czy widzieć na dwa, na trzy miesiące naprzód, że kochany nasz Kamil umrzeć musi, czy dowiedzieć się o tém niespodzianie gdy umrze? Tę pewność, która w takim

stopniu galopujących suchot jest nieomylna, ukrywałem póki mógłem sam przed sobą. Dzisiaj nie powinienem jéj ukrywać dłużéj kochanym Rodzicom. Trzeba się na to przygotować, co chybaby cud i miłosierdzie Boskie odmiénić mogło.

Niechaj Papa nie sądzi, jakobym ja chciał przygotować do tego kochanych Rodziców co się już stało! Broń Boże. Kamil żyje jeszcze, i podług opinii wszystkich lekarzy jeszcze kilka miesięcy żyć może, lecz w tym stanie słabości nadzieja wyzdrowienia jest iluzyą. Podróż odbył bez przypadku aż na miejsce. Mniéj kaszlał w pojeździe, jeszcze mniéj na statku parowym. Podróż ta wyczerpnęła wszystkie nasze fundusze, przeszło 1000 franków. Hyères leży w departamencie Var, 230 lieus od Paryża, nad morzem śródziemném. Jest to miasteczko małe, biedne i niesłychanie drogie, z powodu nacisku w ten jeden punkt górami otoczony wszystkich na piersi słabych Francuzów, Anglików, Niemców, Hiszpanów, ludzi bogatych, którzy przyjeżdżają wypraszać się tam od śmierci przez połykanie powietrza, o którém Kamil powiada: iżby w niém umarli z grobu powstawać powinni. Tak jest balsamiczne, tak wonne i łagodne. Żeby utrzymać Kamila w tém miejscu, musiałem natychmiast powrócić do Paryża. W Paryżu co mogę czynię, żeby mu dostarczać pieniędzy, gdyż dzień kosztuje go tam 10 franków bez lekarstw, bez oślego mleka, bez osła do przejażdżki, bez człowieka, którego do usługi koniecznie mieć musi. Filżanka oślego mleka kosztuje w Hyères 1 franka, stancya na dobę 3 franki, stół 3 franki. Lecz tu jak na nieszczęście w téj oto chwili zaczynają się urywać wszystkie moje środki. Prenumerata Pamiętnika, z któréj Michał dotychczas okrywał prawie wszystkie koszta utrzymania naszego i koszta słabości Kamila, nagle upadła w emigracyi dla dwóch przyczyn: 1. przez zmniejszenie żołdu, 2. przez ruszenie z miejsc

wszystkich zakładów, przez rozbicie ich na takie cząstki, że Polacy rozproszeni są teraz po całéj Francyi w odległościach o 300, o 400 lieus jeden od drugiego. Ten ostatni przeciwko nam rygor wymógł znać poseł moskiewski. Co tu począć? Przyjechałem do Paryża dla tego, żeby pomódz Kamilowi; żeby wrócić do niego z pieniędzmi, bo nie mogę mu dać skończyć o 200 mil od siebie. On tego żąda, tak być musi. Przeto zaklinam Papę na wszystkie obowiązki, ażeby był łaskaw dołożyć wszelkich starań do sprzedaży 100 do 150 biletów na dzieło moje, (coby licząc po 15 franków, uczyniło do 2000 franków) i tę summę bez zwłoki posłać do Paryża, za pośrednictwem jakiego bankiera we Lwowie. W drukowaniu dzieła nie uczyni to żadnéj diferencyi. Jest to jedyny środek którym do skutku przywieść mogę drugą podróż moję do Hyères. 2. Opłacenie długów Kamila w Hyères. 3. Zawiezienie go ztamtąd do Baden ku końcowi Czerwca, gdyż ten jeszcze środek proponowali doktorowie Kamilowi. Muszę kupić osła albo konika, żeby się po górach przejeżdżał, gdyż chodzić nie może. Tego ruchu każe mu zażywać nasz sławny Marcinkowski i Larray. Pókiśmy wszyscy byli zdrowi, mogliśmy się jako tako utrzymywać. Michał nasz, kochany pułkownik Łagowski, który jak drugi ojciec zawsze się opiekował Kamilem, zapobiegali wszelkim jego potrzebom. Ale dzisiaj słabość tak niesłychanie kosztowna, ale dzisiejsze środki rządu przeciwko emigracyi postawiły mnie w potrzebie użycia prenumeraty dzieła mojego dla uczynienia zadość obowiązkom braterskim. Na teraz nie ma innego środka wyjścia z tak krytycznego położenia. Jeżeli to być może, jeżeli uda się w czasie jak najprędszym po odebraniu tego listu, czy to przez rozprzedanie tych biletów, czy przez forszus od kogo wzięty zrealizować te 4000 franków o których Papa pisałeś, to w takim razie zaklinam Papę, przyjeżdżaj sam. Żadne lekarstwo nie pomogłoby

tyle Kamilowi! Nic więcéj jak obecność Papy nie zdołałoby ubiegające jego chwile przedłużyć. Gdyby to być mogło, to w takim razie niechaj Papa, żeby ani minuty czasu nie uronić, przez Szwajcaryą, bo tędy najbliżéj, wprost do Kamila jedzie! Ja z Paryża przybyłbym i razem z nim, o Boże! dzielilibyśmy jego ostatnie momenta. Jeżeli to zaś być nie może, to trzeba przynajmniéj część tych biletów sprzedać i przysłać mi najmniéj 2000 fr.

Posyłam Papie listy Kamila z daty 5. Maja. Maluje on dokładnie jego położenie w Hyères, a moje w Paryżu. Maluje on także stan jego słabości; symptomata są okropne! Jego listu nikomu się kommunikować nie godzi, a tém mniéj Mamie. Słabość Kamilla, stan obecny naszych interesów, nic to nie zmienia mojego przekonania, że nie gdzie indziéj tylko we Francyi Papa żyć możesz. Będziemy razem. Damy sobie radę. — Będziemy razem płakali. — Alboż w tém przynajmniéj nie doznamy pociechy? — Jutro, po jutrze nowy list z nowym transportem biletów i prospektów odeślę.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

a) Zapowiedzenie Maurycego przez zdania doktorów względem wyznaczonego czasu ciągnienia się egzystencyi drogiego Kamila, w istocie spełniło się co do godziny prawie. Od 18. Maja za trzy miesiące do 18. Sierpnia Kamil akurat życie swe pełne męczarni zakończył.... Tego ostatniego listu Maurycego mąż mój nie kommunikował mi aż po jego śmierci. Biedny ojciec sam jeden musiał dźwigać to brzemię tak bolesne, tak rozdzierające serce. Smutek jego tylko widziałam, kiedy przychodził do mnie, bo dla braku funduszów każde z nas osobno tuliło się pod dachem obcym. Ja zaś wówczas nadto cierpiałam, abym mogła czego jeszcze gorszego się lękać, nad te dwa listy Kamila. Zdawało się, że nic mu prędzéj nie potrzeba, jak sukursu pieniężnego. Traciłam głowę, rozum

mię odstępował. Nie miałam się komu powierzyć w zamęcie tych i rozmaitych zgryzot, które nas podówczas dotykały, mijał długi czas, listu nie było od dzieci, nakoniec oto ten przyszedł.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Ojca.

Marly le Roi, 28. Lipca 1833. r.

Kochany Papo!

Na list Papy z dnia 1. Lipca i poprzednie dwa, późno odpisuję, lecz nie mógłem wcześniéj, bo przez pięć tygodni ciągle bardzo ciężko chorowałem nie wstając z łóżka. Konstytucya moja krwista przy ciągłém mojém siedzeniu i pracy w domu, sposobiła mnie do tego. Krew zaczęła bić do serca i do głowy, tak że niebezpieczeństwo było wielkie. Natychmiast jednak zaradził złemu ten sam Rostkowski, który względów Papy dla siebie zawsze pamiętny i z życzliwości dla ojca, stał się największym przyjacielem i nieodstępnym towarzyszem synów. On mnie zaczął kurować i przez upuszczenie dwukrotne wielkiéj massy krwi i przez pijawki zapobiegł dalszym atakom. Ścisła trzytygodniowa dyeta i nagłe zmniejszenie krwi woluminu osłabiło mnie zupełnie, została tylko skóra i kości, tak schudłem, ale téż tego właśnie życzył sobie moj doktór kochany, który mnie nigdy nie odstępował. Gdy przeszła kryzys osłabienia, zaczął on mnie powoli restaurować i odżywiać. Nakoniec kazał z Paryża pojechać na wieś dla powietrza, fruktów i mleka. Od tygodnia przeto siedzę razem z Michałem i Rostkowskim u chłopa na wsi w Marly, od Paryża mil parę. Z tém wszystkiém niechaj Papa będzie łaskaw wszelkie listy po dawnemu adresować do naszego mieszkania w hotelu Rue de Rivoli Nr. 50. W tym hotelu mieszkać nie będziemy, ale nim znajdzie się nowa stancya, zawsze ten

sam adres zostaje, nim kochanego Papę o innym uwiadomiemy. Ja tu w Marly zaczynam prędko przychodzić do zdrowia i sił, codziennie wielkie kursa piechotą odbywam. Rostkowski każe mi codziennie po parę lieu chodzić i to po górach. Jest to może najpiękniejsze miejsce we Francyi. Żaden malowany pejzaż nie jest tak zachwycający jak Marly. W tym samym czasie kiedy ja chorowałem, Kamilowi polepszać się zaczęło. Stracił on jednak, jak pisze do mnie, zwyczajną mowę jaką miał, i tylko po cichu do ucha innym ludziom szeptać może. Żałuję żem list jego zostawił w Paryżu. Pisze on, że oddech jego stał się łatwiejszym, kaszel nie tak gwałtownym i poty mniejsze; ale za to powiada, że otworzyło mu się wielkie cierpienie w uchu lewém. Ja z tego zaczynam nabierać wielkiéj nadziei! Może téż ta nieszczęśliwa choroba weźmie kierunek inny! Wszak wiadomo, że on od najpierwszéj młodości cierpiał bóle w uchu, a gdy w uchu złe ustało, wtenczas dopiero przeniosło się do piersi, teraz z piersi przeniesie się znowu do ucha. Tak mniema i Rostkowski. Kamil napisał do mnie list pełen wyrzutów, żem Papę uwiadomił o naszych okolicznościach, a szczególniéj żem Papie jego listy posłał. Zły humor jego powiększyły szczególniéj owe dwadzieścia dukatów, które mu natychmiast odesłał Michał z listem Papy. Mówi on, że zabrać najlepszemu z ojców ostatni grosz, jest to zarabiać sobie na gniew Boga. Ale ja mu na to w czasie słabości mojéj odpisałem przez Michała, że to jest tylko forszus, który Papa odbierze sobie z prenumeraty mego dzieła. I w rzeczy saméj zaklinam Papę na wszystkie obowiązki, ażebyś te dwadzieścia dukatów odebrał z pierwszego transportu prenumeraty mojego dzieła, o któréj Papa piszesz w liście z dnia 1. Lipca. Potrzeba to koniecznie uczynić kochany Papo. Potrzeba to nawet wyrazić w najpierwszym liście co Papa do mnie napiszesz, inaczéj ani Kamil, ani ja

nie będziemy spokojni. Jakkolwiek skutkiem niepowodzeń emigracyi wpadliśmy w położenie krytyczne, nie jesteśmy tak nikczemni, ażebyśmy naszym kochanym rodzicom, równie jak my prześladowanym od losu, równym jak my tułaczom, i jeszcze nieszczęśliwszym od nas, bo między swymi się tułać muszą, zabierać mieli ostatni zasiłek. Azatém, drogi Papo, te dwadzieścia dukatów są długiem świętym, który Papa natychmiast będzie łaskaw odliczyć sobie z prenumeraty. Ja o to proszę imieniem mojém i Kamila.

Postęp prenumeraty mocno mnie cieszy, powoli zacznę dzieło drukować, a gdy wyjdzie, będziemy mieli, zdaje mi się, ze sprzedaży jego w różnych częściach Polski, fundusze dostateczne do utrzymania się za granicą, co nawet przyjazd Papy do Francyi znacznie ułatwi.

Egzemplarze dzieła przysłane niezawodnie będą do Lwowa za pomocą tutejszych bardzo już pewnych komunikacyi. Koszta transportu egzemplarzy zaprenumerowanych aż na miejsce ponosi autor.

Milkowski, z którym mi Papa każesz wchodzić w układy co do tego dzieła, nie jest negocjant. Przyjechał do Paryża pod pozorem kupowania manuskryptów, a zaczął od majaczenia i okazał widoczną chęć korzystania, myślał, że tu nas wszystkich w pole wywiedzie. Nigdy nie widziałem człowieka, z którymby szedł trudniéj interes. Pamiętnika Michała nie wziął ani jednego egzemplarza. Za bezcen chciał wziąść moją historyą, ale i od tego co dawał, 2400 franków, cofnął się, widząc, żem ja zachorował. „Autor może umrze, jest tak blady,“ mówił, i wywinął kominka, a lepiéj daleko się stało, bo dzieło wydrukujemy naszym kosztem. Chciał także kupić manuskrypt od Mickiewicza, jest także blady i słabowity. Przedsięwziął więc zawrzeć z nim umowę na przypadek jego śmierci. Mickiewicz rozgniewał się za to i odprawił z niczém tego wyrafinowanego dziada. Z tém wszy-

stkiém nie zaniedbam zawrzeć z nim potrzebnych układów co do przyjmowania prenumeraty i dystrybucyi dzieła.

Forszus 300 franków w ostatnim liście Papy także odebrałem i rączki Papy i Mamy całuję.

Maurycy Mochnacki.

Michał Podczaszyński kontynuuje ten list.

Marly le Roi, 28. Lipca 1833.

Szanowny Panie!

Nikt nie winien tyle temu że dotąd nie mieliście Państwo listu, jak ja. Maurycego słabość trwała właśnie trzy, cztery dni, upuszczenie krwi zabiło ją od razu, ale tylko osłabienie ze trzy tygodnie trwało. Rostkowski codzień mówił, że się ma lepiéj Maurycy, sądziłem, że lada dzień sam będzie mógł pisać. Potém nastąpiły przenosiny na wieś i tak się to odwlekło. Przepraszam więc. Niebezpieczeństwa nie było żadnego z Maurycym, ale pewny jestem, że kto inny jak Rostkowski mógłby był tę małą słabość bardzo niebezpieczną uczynić. Dość żeby chorobę krwi za słabość gorączkową poczytano. Rostkowski jest bardzo dobry lekarz i nienawidzi prawie łacińskiéj kuchni. Maurycemu, prócz kilku proszków Digitalis, żadnego lekarstwa nie dawał, i tylko régime jego regulował na osłabieniu, zalecał dyetę, a na wzmocnienie dobre rosoły. Trudno żeby który lekarz tak szczerze i gorliwie koło chorego chodził. Teraz nawet na wieś do niego się sprowadza. Nic mnie nigdy nie przekona, że Kamil dla tego tyle cierpiał, że porzucił Rostkowskiego, a wziął Marcinkowskiego. Wszystkie skutki, jakie z tego leczenia mogły wyniknąć, od roku blisko przepowiedział mi Rostkowski. Uważał on słabość Ka-

mila za podrażnienie płuc, Marcinkowski za słabość daleko większą. Teraz pokazuje się, że pierwszy miał racyą, a słabość Kamila najpewniéj z hemoroidów pochodzi. Co się tyczy bólu w uchu, i Rostkowski mówi że może to wrzód, który jeżeli pęknie od razu, zupełnie zdrów będzie Kamil. Jak Maurycy odzyskuje siły, dość gdy powiem, że wczoraj po górach przez pięć godzin chodziłem z nim w upał do St. Germain au Laye i nazad. Nietylkośmy chodzili, aleśmy biegali i przez godzinę na osłach jeździli w parku. Ja po tém wszystkiém tak się zmęczyłem, że prawie nie jadłem obiadu, kiedy Maurycy nawet nie spotniał na upale i jadł za czterech.

Trzeci tom Pamiętnika Emigracyi już skończyłem; nie wiem jakich numerów państwu nie posłałem; ostatni jest Henryk Walezy. Może téż i lepiéj, że nie posłałem, bo to na wielkie koszta Państwo naraża. — Polecam się pamięci Pańskiéj i proszę, żebyś przyjąć raczył odemnie synowskie uściskanie.

Michał Podczaszyński.

Nota.

Po długiém nieodbieraniu listów od moich synów, nie spodziewając pociechy żadnéj, z sercem uschniętém, nie chciałam, ani żądałam nic się dowiedzieć. Bawiłam to w Wybranówce, to we Lwowie, to w Żółkwi, znowu we Lwowie. Zebrałam na prospekta Maurycego od godnych, poczciwych ludzi, lecz bardzo niewielką ilość grosza, którą posłał ojciec synowi. Ja byłam ciągle zdesperowaną; nakoniec oddano mi list z poczty. Spotkałam go wzrokiem okropnego przestrachu, wzrokiem najmniéj życzliwym. Nic nie wyrzekłam; ani go się dotknąć, ani czytać chcę. Dzieci moje oddawna stały się źródłem boleści mego biednego serca, i cóż mogę się spodziewać nad ostatni cios śmiertelny? Nie chcę tego listu. Wyszłam z domu obcego; działo się to u najpoczciwszych ludzi, Muszyńskich. Poszłam do mego mieszkania; natenczas staliśmy z moją kochaną kuzyną Cieńską w oberzy Hofmana Hôtel de Russie; nie-

siono list zamną; mąż mój szedł obok mnie milczący i równie nie brał się otwierać tego listu. „Przez litość, kochana siostro,“ rzekłam do Cieńskiéj, „weź ten list, czytaj, mnie nic nie mów.“ — Wzięła go drżącą ręką ta najczulsza, najlepsza kobieta, poszła z nim do innych pokojów. Ja zostałam, lecz nie umiem powiedzieć czym była martwą bardziéj jak żywą. Blisko miesiąc upłynął od ostatniego listu. Choć w ostatnim były słowa pociechy, lecz moje serce już nie mogło być pocieszone; chociaż nie czytałam przedostatniego listu Maurycego, jednakże wieść o Maurycego chorobie, którą Michał Podczaszyński, jako pocieszyciel, starał się zmniejszyć, zostawiła wrażenie głębokie, podobne do przeczucia, że ta słabość jest bardziéj złośliwą, jak ją obaj malują. Weszła nakoniec, uśmiechając się, z otwartym listem, dobra moja kuzynka. „Czytaj,“ rzekła, „Kamil nie ma się gorzéj, Maurycy lepiéj; to Michał pisze o nich. Weź, czytaj, nie bój się kochanko!“

Marya M.

Michał Podczaszyński do ojca Maurycego.

Marly-le-Roi, dnia 7. Września 1833.

Szanowny i kochany Panie!

Odebraliśmy i list Pański i pieniądze w całości. Taki sposób przesyłania pieniędzy jest podobno lepszy i pewniejszy, jak przez wexel; azatém drugi transport tą samą drogą i przez tęż samą osobę można posyłać. Od dwóch miesięcy mieszkamy z Maurycym w Marly-le-Roi i podobno na zimę tu zostaniemy. Mieszkanie wygodne, życie tanie, spokojność, unikanie niekończących się w Paryżu, chyba z północą wdzięcznych wizyt, próżniaków, którzy nam bez litości czas zabijali. Oto są korzyści pobytu na wsi. O 1 lieu mamy miasto St. Germain, o 1¼ Versailles, o 5 lieu Paryż. Dyliżans o ¼ lieu od Marly co pół godziny idzie między Paryżem i St. Germain; cena miejsca w nim 25 sous, to jest tyle, ile wynosi w Paryżu kurs kabryoletów. W lecie okolice Marly

są cudowne, przynajmniéj nie ma piękniejszych koło Paryża. Górki, wzgórza, park, las i codzień coś nowego widzieć można. Królowie francuzcy bardzo lubili Marly, ale Paryżanie wszyscy je chwalą, a ani jeden z nich tu tego lata nie mieszkał, chyba ci, którzy mają tu grunta własne i domy. Wszyscy się cisną na lato do miasteczek wokoło Paryża rozszerzonych; i to zowią wsią, kiedy rzeczywiście wsi nie lubią. Maurycy bardzo sobie podobał pobyt w Marly. Prócz mnie mieszka z nim doktor Rostkowski. Trzymamy człowieka, Polaka, który nam usługuje i jeść robi. Kiedy tu przyjechał Maurycy tak był osłabiony, żeśmy musieli go pod rękę prowadzić; ale w tydzień odzyskał siły, teraz zaś jest tak zdrów, tak silny, i taki ma apetyt, jak wtenczas, kiedy z nim w Warszawie mieszkałem; otylszy nawet na twarzy wygląda aniżeli kiedykolwiek. Rostkowski przepowiedział, że może miesiąc lub dwa będą mu się odzywały attaki krwi, lecz zapewniał, że to nie będzie szkodliwe. Pokazało się jednak, że ani razu już mu się nie odżywało. Żadnych lekarstw nie brał i nie bierze; ale kawę raz tylko na dzień i to mleczną bardzo, piwo szlacheckie, wina bardzo mało i to najlepszego, wódki i ponczu nigdy. — Teraz czas winogronów; je więc ich po kilka funtów na dzień. Słabość jego była niebezpieczną i rozsądnemu tylko leczeniu bez lekarstw Rostkowskiego winniśmy to, że Maurycy zdrowszy jest nawet teraz, jak przed swoją słabością. Przyczyną jéj było najwięcéj zmartwienie ze smutnego stanu zdrowia Kamila. Oswajałem go jak mógłem ze złem, które czeka Kamila. Ojcu też samą radę muszę udzielić. Nie masz czasu się łudzić; zdrowie tego chłopca ustawicznym odmianom podlega i symptomata słabości coraz bardziéj się odmieniają. Teraz jest chwila przesilenia. Rostkowski mówi, że niezadługo kryzys się skończy; albo Kamil zdrów będzie, albo umrze. Potrzeba być przygotowanym

na ten cios; jeżeli taka jest wola Opatrzności, poddajmy się jéj.... Nic na umyśle Maurycego nie czyni takiego wrażenia, jak położenie moje, które mu bardzo często wystawiam przed oczy. — I ja mam serce, i ja jestem do kochania stworzony, jednakże przeżyłem śmierć kilku braci, matki, ojca, i sam jeden zostałem na świecie, tak nawet, że już ani istoty, ani punktu na ziemi nie masz, do którychbym mógł myśli moje zwrócić. Wszysto straciłem. We wszystkich jakie miałem kiedy zgryzotach, nie pociechy szukałem, ale uspokojenia umysłu. Lecz nic go tak nie uspokajało jak ta myśl, że nie jestem najnieszczęśliwszym, i że jeżeli podobało się opatrzności dotknąć mię boleścią, bluźniłbym, gdybym mniemał, że jestem najnieszczęśliwszy. Strata jaką może ponieść familia, przyjaciele, ojczyzna, jeżeli słabość Kamila zły obrot weźmie, będzie wielka i jedna z najdotkliwszych i nigdy nie odżałowana; ale tym, co go kochają, trzeba się przygotować na wszystko. Może też opatrzność ulituje się nad strapioną rodziną, może jéj powróci najdroższą istotę; tylko w jéj ręku spoczywa jeszcze cała nadzieja. Już blisko miesiąc upływa, jak mieliśmy ostatni jego list, bardzo krótki. „Nie wymagajcie,“ pisze nam, „żebym do was często pisywał, bo mi każde pisanie drogo kosztuje.“ Od przyjaciela jego w Hyères dowiedzieliśmy się, że już teraz kryzys nastąpiła. Codziennie czekamy nowéj wiadomości, która zdecyduje podróż Maurycego. Chce on Kamila przywieść do Marly, dawnoby pojechał po niego, gdyby miał pieniądze. Teraz, kiedy ma trochę, łatwo tego dokaże, chociaż Rostkowski wyraźnie mówi, że mu ta podróż może zaszkodzić, i że lepiéj, jeżeli po przejściu kryzys na awantaż pozostanie jeszcze przez miesiąc w Hyères. — Co będzie, najwierniéj doniosę; dla tego proszę codziennie się spodziewać odemnie listu. Nic nie zataję. Maurycy czy tak, czy tak, i pojechać chce koniecznie; ledwo parę dni czasu

wyprosiliśmy od niego do przyjścia nowéj wiadomości, która, jak mi mówił Rostkowski, albo powrót do zdrowia, albo śmierć nam zwiastuje; nic więc nie obwijam w bawełnę, piszę jak jest, proszę się nie poddawać próżnemu żalowi, który może jeszcze na radość się zamienić!

Przyszły list proszę adresować albo à Monsieur Maurice albo Michel à Marly-le-Roi Baulien, Rue Dufour Nr. 5., par Paris.

Tymczasem kończę te kilka słów, powtarzając moję prośbę, abyś, szanowny Panie, raczył spokojnie, cierpliwie i z rezygnacyą oczekiwać na mój list następny.

Michał Podczaszyński.

Nota.

Nie zrobiły na mnie wrażenia słowa pociechy mojéj dobréj kuzyny. Zacięta w smutku nie mogłam czytać sama tego listu, czytano go nam jak rozumiano, że trzeba dla utrzymywania mię jeszcze w nadziei. Ja nie chciałam wchodzić w rozbiór tak bolesny, ani w domysły, wszakże żebym go tylko była sama czytała, domyśliłabym się że mój kochany Kamil już nie żył, że to był list poczciwego Michała przygotowawczy tak wyraźnie że dość było najmniéj go przeczytać, aby się nie zapewnić że już się skończyły wszelkie łudzenia strapionych rodziców. Biedny Maurycy, brak pieniędzy trzymał go o 230 mil od umierającego Kamila w obcém miejscu bez znajomych, bez najbliższych, bez brata czułego, bez Michała najwierniejszego, najdawniejszego przyjaciela. Okropna pozycja umierającego Kamila zabijała Maurycego, pozbawiła go nakoniec sił i zdrowia, dla tego Maurycy się rozchorował, dla tego Kamil w tak opłakanéj sytuacyi bez żadnéj pociechy musiał umierać, a serce moje, serce ojca czuło to, widziało w naszéj bezsilności zaradzenia temu. Było nam niepodobna mieć pieniądze i pojechać ratować te drogie dzieci, najgłębsza boleść i smutek opanował nas. Byliśmy bardziéj dwiema statuami z kamieni aniżeli istotami życia, bo życie nasze było ciągłém cierpieniem, boleścią.

Nie wiem czy minęło parę dni po owym liście, kiedy z rana

mąż mój który odwiedzał nas w hotelu po kilka razy na dzień, kazał powiedzieć że słaby bardzo na oczy, że nie będzie u nas. Natychmiast pomimo mego zwyczaju dysponowania i czasem i ludźmi i końmi mojéj kuzyny, wydałam decydującą odpowiedź że po obiedzie będziemy obydwie o czwartéj u niego stojącego w mieszkaniu Muszyńskich na bocznéj ruskiéj ulicy. Niespokojna, niecierpliwa, bez przeczucia chodząca, pilnowałam godziny, wychodzę do ludzi, każę zaprzągać, ciągnę moją kochaną kuzynkę Cieńską do pojazdu; ona milczy, powoduje się, ale nic nie rozumie dla czego tak niecierpliwa i porywcza jestem. Wysiadamy, u Muszyńskich znalazłam jak powszechnie kilku emigrantów, między niemi zacny marszałek Barszczeski z Wołynia, mąż siedzi blady, smutny, oczy widocznie cierpiące, siadamy z kuzynką na przeciwnéj kanapie. Mąż milczy, wszyscy milczą, stoją, obserwują nieszczęśliwych rodziców. Czy nie było listu nowego z Paryża? pytam się męża, milczy, a w krótce mówi: był; był, odrzekłam, w ten moment jakby zasłona spadła mi z oczu, jakby się kurtyna podniosła, wyrzekłam jakbym widziała własnemi oczyma: Kamil mój już umarł! już nie żyje! Zacięłam się, w żalu zamilkłam, oczy stanęły mi słupem, bo krew cyrkulować przestawała. Kamil już nie żyje, wyjęknął strapiony ojciec, lecz głosem determinowanym.

Długi czas milczeliśmy, było tak cicho jak w grobie naszego pięknego, kochanego Kamila. Ta była cześć rodziców dla takiego syna, w pół kwadransa natura udzieliła sama ulgę uciśnionemu sercu; łzy puściły się strumieniem, słodkie i pełne religijnéj uwagi słowa mojéj kuzyny: owa wola Twórcy naszego, owa święta rezygnacja, ów stan męczenia się już tak długo mego dziecka, dozwalały łzom robić mi jakąś ulgę. O mój Boże! zawołał mój mąż, z kilku tysięcy wychodźców naszych potrzeba aby syn mój tak młody musiał najpierwszy umierać! Marszałek poważnie się odezwał: „Panie niech ci to przynajmniéj służy za pociechę, któréj żaden z nas nie dostąpi, że stratę twoją tak bolesną jak jest, podzieli z tobą cała nasza ojczyzna. Tak jest, twoi synowie są pełni chwały. Ojczyzna straciła na wielkich zdolnościach i charakterze twego syna, płaczmy go razem.“ Rzuciłam się w ręce nieszczęśliwego męża. Wyprowadził nas marszałek. Płakałam wróciwszy do hotelu, rzuciłam się na kolana za parawanem u łóżka mego, ukryłam twarz w dłonie z głową zwieszoną i tak modliłam się, skarzyłam się Bogu mojemu ofiarując jemu i syna mego i żal mój, błagałam już nie o żadne dobro nasze, lecz o zbawienie tego młodego męczennika. Istotnie ból piersi i początek suchót Kamila wzięły swój zaród owéj nocy 29 Listopada, trudy dni kilku bez

odpoczynku, z bronią w ręku, z piersiami otwartemi, w lekkim płaszczyku, bez żadnéj wygody w tak okropnych okolicznościach wywołały chorobę: odtąd kaszel i napady krwi, ból piersi wziął swój początek. Nazajutrz dopiero mąż mój oddał mi list następujący.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Rodziców.

Marly-le-Roi. Près St. Germain en Lay. Rue Dufour Nr. 5.
Dnia 8. Września 1833.

Spieszę się ze złą nowiną, bo i cóż to pomoże jeżeli ją odwlokę? Wreszcie to już nie jest w mojéj mocy. Kamil już nie żyje! na dniu 17 Sierpnia skończył życie okropne, połączone od miesiąca Stycznia ze strasznemi i ciągłemi cierpieniami. Ja jeszcze pierwéj, jeszcze przed Styczniem z jego kaszlu i krwiotoków niczém niepochamowanych miarkowałem nieszczęście. Były chwile na dzień krótkie, po nich następowały chwile wielkiego smutku z choroby która w jego piersiach czyniła gwałtowne postępy. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to ja przez dziewięć miesięcy pasowałem się z pewnością jego zgonu tak prędkiego, tak niezasłużonego od losu, dla mnie tak okropnego, ale na suchoty nie masz ratunku w mocy ludzkiéj, dyspozycją do tego miał nasz kochany Kamil jeszcze przed kampanią. Niechaj Papa nie sądzi że mnie napoje ostre, albo jakie pokarmy sprawiły ostatnią moją słabość, ja chorowałem ze zgryzoty jedynie, z zapewnienia się że Kamil żyć nie może!

Ten Kamil to był tylko miły sen naszego życia, zawsze zamknięty w sobie, daleki od domu, od rodziców, ledwo przy końcu dni swoich wszedł w ściślejszą znajomość z familją. Jakże ja byłem dumny kiedym z nim uchodził z kraju, zdawało mi się przy nim że nieszczęścia nasze publiczne były lżejsze o połowę. On miał

tyle przyjaciół wszędzie, ale po cóż nam to sobie przypominać! Czyż nie jest napisano żeśmy się oba urodzili tylko dla nieszczęścia! Za granicą jest do czterech tysięcy Polaków, ledwo ośmiu umarło, ale między nimi Kamil znajdować się musiał. Wreszcie nikt prócz niego nie umarł w takim kwiecie wieku i z taką stratą dla nas i dla ojczyzny! Papo kochany, Kamil był niepospolity człowiek.

Suchoty jest to słabość tak znana, tak niewątpliwie śmiertelną, że nie masz ojca, nie masz matki i brata któryby nie musiał sobie wyperswadować. Jednakże ja wiele razy pomyślałem, że ten chłopiec umrzeć musi, odchodziłem prawie od rozumu. Ostatnia chwila kiedym go żegnał na wieki zostanie w mojém sercu: dniem pierwéj w wilią mego odjazdu płakaliśmy obydwa jak dzieci. Kamil stetryczał był przez ciągłą chorobę, zrobił się fantastykiem i dziwakiem. Ale tego dnia, było to w połowie Kwietnia, widząc, że ja odjeżdżać muszę do Paryża, aby go w Hyères utrzymać, zaczął mówić bardzo wiele, gdyż od dawna był milczący i ponury, rozrzewnił się, nareszcie rzucił się mi na ręce i zaklinał na wszystkie obowiązki, żebym się wcale od niego nie oddalał! „Ja już nie długo pożyję, wolę umrzeć przy tobie Maurycy.“ To mi powiedział, ale ta scena między nami dwoma braćmi jest nie do opisania; Kamil płakał jak małe dziecko, i ja się nie mógłem wstrzymać od gorzkiego płaczu. Mój Boże! pomyślałem sobie, skąd jemu ta pewność śmierci, kiedy zwykli suchotnicy myślą, że żyć będą. Żeby się mu nie sprzeciwiać powiedziałem na to, że dobrze, zostanę z tobą, wtenczas Kamil począł obrachowywać nasze pieniądze, liczyć dochody i wydatki w Hyères. Z tysiąca fr., o które się wystarałem na tę wielką podróż, zostało tylko 25 fr.; jak zaczęliśmy rachować tak pokazało się, że w miasteczku tak drogiém jak Hyères jemu samemu najmniéj 100 fr. na miesiąc

trzeba było. Ta racja przeważyła, radziliśmy obydwa całą noc i zapadła decyzja, abym odjechał do Paryża a za miesiąc powrócił. O piątéj godzinie z rana 14. Kwietnia poraz ostatni uścisnąłem Kamila, twarz jego przy rannym księżycu była tak blada jak upiora, odprowadził mnie do statku parowego. To był już tylko szkielet Kamila, matka, siostra rodzona nie poznałyby go, tak suchoty wycieńczyły tę twarz szlachetną i piękną. A ja co tyle nieszczęść przeżyłem, tę ostatnią chwilę z Kamilem znieść nie mogę; obraz takiego już Kamila nad Rodanem kiedy poraz ostatni był u mnie, wybija mnie ze snu, truje mnie wolną trucizną.

Z Paryża do niego pojechać nie mogłem, najprzód że jakiekolwiek miałem pieniądze, wolałem jemu posłać po 50 po 100 franków jak stracić to na podróż i powiększać koszta utrzymania się w Hyéres, a powtóre że kilka razy zapadłem tego lata z powodu jego słabości. Nabawił mnie Kamil defektu, którego nie miałem, *drzenia w sercu*, i rozwinęły się od żalu początki anewryzmatu, z których Rostkowski wyprowadził mnie przez gwałtowne upuszczenie krwi. Ja więc albo słaby, albo bardzo zapracowany, albo bez pieniędzy, żadną miarą nie mogłem jechać, a do tego dodać trzeba niezmiernie wielką trudność wyrobienia sobie pozwolenia, bo tu nam jak się podoba któremu jeździć nie pozwalają. Kamil ciągle korespondował ze mną, wiele razy był w ambarasie pieniężnym pisał. Zawsze po takim liście posyłaliśmy mu choć nie wiele, ale dosyć często, ja, Michał i kochany nasz pułkownik Łegowski, raz nawet chociaż o tém nie wiedział jenerał Dwernicki. Najtrudniéj było kiedy Papa był łaskaw 20 # przysłać, wtedy przez pięć tygodni ciągle w łóżku leżałem na anewryzma. Po posłaniu tych pieniędzy odbierałem częste listy od Kamila, w których mię zobowięzywał na wszystko, ażebym Papie oddał tę summę z prenumeraty, i zawsze powta-

rzał te wyrazy: „Pamiętaj że mi Bóg nie pobłogosławi i w ostatnim momencie, jeżeli najlepszemu i najdroższemu ojcu ostatni grosz zabiorę,“ gniewał się w tych listach na mnie, żem Papie jego słabość i stan nasz opisał. Z niektórych jego listów błyskała nadzieja, że się mu poprawi, na początku Lipca ustały były poty co go zalewały, i zmniejszył się ból w piersiach; lecz tę iluzyą rozwiały natychmiast opinie doktora, z którym korespondowałem. Ten chwilowy przestanek był tylko przepowiednią bliskiéj już śmierci, Kamil wypluł resztę płuc, które wywiózł z Paryża, a choroba w ostatnim stopniu swoim poszła do ucha i w gardło, przy tém dysenteria go napadła. Wiedząc o każdym postępie choroby, chciałem w Lipcu pojechać żeby przynajmniéj ostatnie momenta z nim podzielić, aby na mojém ręku skonał. Gdy w tém z wielkiego żalu padłem na łóżko i dostałem gwałtownego kłucia w sercu, żem po wielkich tylko upuszczeniach krwi mógł przyjść do siebie. Ah kochany Papo! żal to straszna słabość, krew bije w serce jak młotem, a głowa ledwo nie rozpęknie się od bólu, doktor kazał mi pojechać na wieś dla powietrza, pojechaliśmy do Marly le Roi z Michałem. Tu już tylko dwa listy odebrałem od Kamila. Okropna, straszna jego rezygnacja.

Tydzień temu przyszedł list Papy z dnia 17. Sierpnia. Postanowiłem zamiar mój przywieść do skutku, zaraz posłałem 300 franków Kamilowi z pieniędzy które Papa przysłał, a wziąwszy drugie 300 choć z uszczerbkiem druku wybierałem się w podróż, prosząc Boga żeby mi choć godzinę pozwolił widzieć brata, gdy w tém nadchodzi okropna wiadomość! — Los pozazdrościł mi tego szczęścia, byłbym dał połowę życia mego za jednę minutę przy łóżku Kamila! ale cóż robić, na tę jego chorobę nie było środka.

Data 17. Sierpnia jest bardzo ważna w téj okoli-

czności, jest to ostatniego listu Papy data. Ojciec cieszył się nadzieją że mu syn nie umrze o téj właśnie chwili, kiedy on umierał. Ja także dnia 17 Sierpnia miałem osobliwszy przypadek: jechałem z Paryża do Marly, było to wieczorem, koło Malmaison postrzegam domek nad ramieniem Sekwanny przy zachodzie słońca, w przysionku stała trumna obita kirem z lichtarzami w około. To na mnie taką impresją zrobiło, że mając nabitą głowę niebezpieczeństwem Kamila przeczułem jego śmierć. a) Przyjechawszy do Marly nie mogłem sobie dać rady, tylko co zasnąłem Kamil w bieli cały stanął mi przed oczyma, obudziłem się natychmiast, zapaliłem świecę, zbudziłem Michała i doktora, mówiłem im że Kamil już umarł, oni się śmiali ze mnie, ale zanotowali ten dzień. Potem téj nocy zaczęły mnie boleć zęby trzonowe, a pamiętam, że Mama mówiła iż kiedy ten ból nadchodzi, to pewno ktoś z familii umrze. Jakoż rzeczywiście umarł dnia tego Kamil, jak się pokazało o téj saméj godzinie jak postrzegłem trumnę około Malmaison.

Stan i charakter suchot Kamila był tak gwałtowny w Kwietniu jeszcze gdyśmy wyjeżdżali, że tylko cudownemu niebu południowéj Francyi w Hyères, tylko łagodnemu i czystemu powietrzu prowincyi, winniśmy przedłużenie dni jego do 17. Sierpnia. Lecz z drugiéj strony i tego zataić nie mogę, że samotność narobiła wiele złego; pewny jestem, że gdybym był nie zachorował i pojechał do Hyères, Kamil, którego przywiązanie braterskie było nadzwyczajne, byłby może cokolwiek dłużéj pożył. Jego serce było tak jak koncha zamknięte dla całego świata, która się tylko dla mnie otwierała; co myślał i czuł z tem tylko się nie taił przedemną, dla innych był zimny, bo znał świat za młodu. Jego iluzyą, jego całém marzeniem było to, że Papa przyjedziesz i że razem na ustroniu żyć będziemy po tylu kłopotach, lecz od Kwietnia przekonawszy się, że żyć nie może, stetryczał bar-

dzo. Tego tylko pojąć nie mogę, skąd mu się ta pewność wzięła! lecz zawsze mówił gdym się go starał zapewnić że ozdrowieje: „Co ty mi gadasz, alboż to ja nie czuję dezorganizacyi w piersiach? Kto tak jak ja kaszli po 16 godzin na dobę, powinien uważać każdą minutę życia swego za ukradzioną śmierci, która nie wiem dla czego ma tyle cierpliwości ze mną i tylko mi się męczyć każe.“ W rzeczy saméj życie jego było tylko męczarnią, w nocy najwięcéj jak godzinę spał, ale drzymał, resztę przekaszlał. O mój Boże! wiele razy przybiegłem do niego z rana w hotelu naszym, nie mogę dostatecznie powiedzieć Papie, co się ze mną wtedy działo, każdego poranku oczy od gwałtownego kaszlu podsiniałe, twarzyczka tak malutka jak na portrecie, zapadła, blada, straszna! cały dzień milczący, ponury, kaszlał a chrzęst tego kaszlu był miedziany, i zdawało mi się że jego piersi były machiną stalową. W drodze na noclegu w Auxerre przebudził mnie tym kaszlem tak gwałtownym, że się aż od niego zachodził, wstałem, zapaliłem świecę, przybiegłem do łóżka, dla Boga! Kamilu co to jest? zawołałem, „To muzyka śmierci“ odpowiedział z zimną krwią, „Widzisz Maurycy jakie nieszczęście Pan Bóg zesłał na mnie.“ Wierzaj mi Papo, że te wyrazy na wskroś mnie przeszywały, nie mogąc pokonać żalu, począłem głośno płakać, oh najdroższy Papo to było nad siły moje. „Widzisz Maurycy, rzekł znowu Kamil, więc i ty jesteś pewnym, że ja umrę koniecznie a tylko mnie łudzisz; gdybyś nie wiedział tobyś tak nie płakał.“ Lecz ja mógłbym cały tom zapisać takiemi scenami; nie było miary we wzajemném przywiązaniu naszém, które powiększały przebyte razem niebezpieczeństwa: wygnanie, niepewność przyszłego losu, i oddalenie od całej familii.

Posyłam Papie kochanemu list Pana Peccard przyjaciela Kamila, prezesa komitetu w Avignon, mnie do-

brze znanego, w którym donosi mi o jego śmierci. Do tego listu dołączył Piccard kopią listu od pana Denis, prezydenta *Maire* miasta Hyères, który miał mowę na pogrzebie Kamila, kazał wystąpić gwardyi narodowéj z bronią artyleryi wojska dla oddania czci zwłokom polskiego oficera. Pogrzeb odbył się z największemi honorami. Dziennik tamtejszy l'Eclair du Midi opisuje go szczegółowo, posyłam i ten dziennik. Te akta powinny zostać w familii. Pewna dama francuzka posiada portret Kamila i jego włosy, będę się starał dostać od niéj ten portret i każę go przekopiować. Pojadę sam do Hyères gdzie mnie ciągnie jakaś nieznana siła, otworzę grób i utnę włosów dla Mamy! Muszę widzieć miejsce, gdzie został pochowany. Idzie mnie także o jego papiery i korespondencje, które nie chciałbym aby się dostały do jakiego Polaka. Portret Kamila będzie miała familia.

Mamie mojéj najdroższéj od razu o tém wszystkiém mówić nie trzeba; zaklinam Papę żeby na kilka tygodni Mama była do tego przygotowana, trzeba powoli z symptomatów prowadzić tę bolesną historją. Ja ten list dla samego Papy piszę, niechaj go Mama nie czyta na miłość Boską!

10 Września. — Trzy dni ten list piszę i nie mogę skończyć. Właśnie odbieram wiadomość z Paryża, że owa dama u któréj miał się znajdować portret Kamila, czyni trudności i powiada, że nie ma portretu. Nowy powód żalu dla mnie. Gdybym umiał malować, tobym go z pamięci odrysował. Przed odjazdem do Hyères Kamil jednego dnia powiedział mi, abym kazał zrobić jego miniaturę i posłał Papie, bo mówił mi: „Umrę niedługo, przynajmniéj niechaj mój portret będzie u Mamy." Naturalna rzecz że kazać go było wtenczas malować, byłoby to utwierdzić go w pewności, że żyć nie może. Sprzeciwiałem się temu najmocniéj kładąc za powód że do tego będzie jeszcze dosyć czasu gdy ozdrowieje. Jest

tu kolega szkólny Kamila, malarz Kondratowicz, który może go z pamięci zrobić, ja się z nim skombinuję i portret przyjdzie do skutku. Trzeba kochany Papo znieść ten cios mężką duszą. Niechaj nas jedna rzecz pociesza w téj stracie niepowetowanéj, to jest to: że śmierć ta była dla Kamila równém dobrodziejstwem Opatrzności, jak dla nas jest klęską i nieszczęściem dla Emigracyi, dla kraju który mało ma synów jemu podobnych. Niechaj nas to pociesza, że każda chwila któraby przedłużyła zgon jego, przedłużałaby zarazem jego męki! Cóż po życiu połączoném z przekonaniem o bliskiéj śmierci, cóż po życiu którego każdą minutę Kamil nasz okupować musiał okropnemi cierpieniami? Co do mnie; jabym był wolał żeby był zginął w bitwie jakiéj, jedynie dla tego żeby był tyle nie cierpiał. Lecz jest Bóg nad nami, który wszystkiém rządzi!

Kamil miał tyle przyjaciół ile ja przeciwników. Póki był zdrów, prawie nic się nie działo w Emigracyi bez jego rady, woli i wpływu. Jak się zaczęły formować zakłady, został pełnomocnikiem zakładu najliczniejszego avignońskiego. W tym charakterze kierował z przezornością i taktem ogólnemi sprawami naszemi. Kreował i wywracał komitety. Uległ wpływowi Lelewela na Lafayetta i pozyskał sobie u Lafayetta takiego protektora, że kiedy intrygi Platera i Kniaziewicza obudwu nas z Paryża wyrugować zamierzały przeszłego roku, Lafayette zaradził temu. A potém gdy Kamil dla słabości miał wyjeżdżać do Hyères, a pieniędzy nie było, Lafayette ich dostarczył. Swary, kabały emigracyjne nie zwichnęły go z prawdziwego toru. W jego przekonaniu emigracya nie powinna była zostawać ani pod wpływem księcia Czartoryskiego, ani pod wpływem Lelewela. Unikając tych obudwu ostateczności, wspierał stronnictwo Dwernickiego. I komitet pod jenerała Dwernickiego prezydencyą zaproponował zakładom i utrzymał. Liczne korresponden-

cye, ciągłe prace z tego powodu znacznie nadwerężyły jégo siły. Zawsze prawie, dopóki mógł, pisywał do późnéj nocy, a to wszystko co pisał, było nacechowane pojęciem rzèczy jasném i widziane z dobrego punktu. Nie podpada zaprzeczeniu, że gdyby był z Avignonu ku końcowi Marca roku zeszłego nie przybył do Paryża w interesach emigracyi, suchoty nie byłyby się rozwinęły w jego piersiach, a przynajmniéj nie tak prędko, i byłoby się skończyło na astmie, na dychawicy, która także zabija, lecz powoli w kilku leciech. Suchoty zaś w atmosferze mglistéj Paryża, dla ludzi młodych mających do nich usposobienie są zabijające i rzadko kiedy który Francuz w tém mieście lat 27 przeżyje. Cała ludność ma tu wejrzenie suchotne. Mężczyzni chudzi, wysmukli, kobiety bez piersi, szczupłe jak lalki. Dzieci nawet z suchotami się rodzą. Starca podeszłego, otyłego człowieka prawie tu nigdy widzieć nie można. Kamil z niewątpliwą skłonnością do suchot wpadł w tę atmosferę i zaraz dostał ich w wysokim stopniu, czego mógłby był uniknąć, gdyby był wiek swój krytyczny, rok 28., 29., 30., w Avignon przetrwał. Podróż naszę wielką i gwałtowną z Gołubia do Paryża, w szerz i w dłuż całych niemal Prus, odbył zemną w najlepszym stanie zdrowia. Gdy przybył do Paryża był rozkwitający, mężny jak nigdy. Lecz piszę to dla wiadomości samego tylko Papy, który wszystko wiedzieć powinien. Tak piękny chłopiec, między żołnierzami prawie wychowany, zatrzymał z koszar pewne dla zdrowia jego szkodliwe narowy, które rzadko który z wojskowych naszych zaniedbuje, zwłaszcza w Paryżu. Nie mógłem go od razu odzwyczaić od ponczu wieczorem, którego najmniejsza dozys była dla niego niebezpieczna, ani od tytuniu, który dopiero na dziewięć miesięcy przed śmiercią palić przestał, i był jego niezbędną potrzebą. Tysiące tedy przyczyn wpływało

na to złe i dozwalały się rozwinąć dyspozycyom, które już w szkole podchorążych były niewątpliwe.

Prosiłem Michała, żeby napisał do pana Denis Maira miasta Hyères, o przysłanie rzeczy, papierów i sepultury Kamila. Ostatnią w jednym z następnych listów prześlę famlii. W Paryżu przyjaciele i nieprzyjaciele nasi czynią przygotowanie do egzekwii za duszę nieboszczyka Kamila. Ja się na tém nabożeństwie znajdować nie będę. Nie mam siły do tego. Śmierć Kamila, chociaż byłem tego tak pewny, jak że jutro słońce zajdzie, uczyniła mnie niezdolnym do dalszéj pracy. Z tego powodu zaczęta już w drukarni Historya narodowego powstania dozna pewnéj przerwy. Jedyną moją pociechą jest teraz cudowna natura w Marly, gdzie zimować zamyślam; bo mi zbrzydł Paryż i hotel w którym mieszkałem. Nic mię do życia nie przywięzuje po tylu burzach, które jego jesień przyspieszyły, tylko ta myśl, że kochany Papa nasz nie będzie dłużéj zwlekał swego tu przyjazdu. Nie wiem co się stanie w polityce, to wiem tylko, że ostatni promyk mojego szczęścia na ziemi zajaśniałby z przyjazdem najdroższego Papy do Francyi,[b]) poczém już nas nic nie rozdzieli. W Marly, o dwie godzin jazdy od Paryża mamy już pewien rodzaj własnego gospodarstwa, pewien rodzaj własnego domu, z tego względu, że sami sobie jeść gotujemy i że tu trzy razy wszystko taniéj jak w Paryżu, azatém prawie taniéj jak w Polsce. Za dwa pokoje z meblami, łóżkami, kuchnią i wszystkiemi potrzebami kuchennemi, z piwnicą i pokoikiem dla starego wiarusa Franciszka, kucharza naszego, płacimy na dzień jednego franka, co czyni po sześć i pół sous na osobę. Za dwa franki na dzień możemy tu żyć wygodnie. Przybycie Papy ani grosz jeden tych wydatków nie powiększy, ale owszem powiększy dochody nasze wspólne. Ponieważ ja biorę 45 franków miesięcznie, Michał 45 fr., a Papie bez trudności 60 wyrobię za po-

mocą Rybińskiego, który teraz wszystko może, a dla nas jest najprzychylniejszy jak i był zawsze; za 150 fr. będziemy żyli w Marly jak królowie, a co pobocznie przez spekulacyą zyskamy, to swoją drogą. Dla tego, kochany Papo, nasz projekt trzeba przywieść do skutku, Kamil umarł w téj nadziei, ja i Michał w niéj tylko żyjemy. Tysiąc razy znośniejsze będzie dla Papy i tułactwo i nieszczęście z powodu straty syna między nami na obcéj ziemi, jak tam gdzie tak głucho i strasznie. Projekt tedy mój jest taki. Dzieło moje zaczęło się drukować; te 1500 fr. które Papa przysłał przez Rougemonta i drugie 1500 fr. które Papa prześle taką samą drogą, pokryją albo wszystkie koszta, albo daleko ich większą część; z trzeciemi tedy 1500 franków trzeba żeby Papa sam przyjechał i użył to na wydatki swéj podróży. Główną naszą kwaterą będzie zawsze Marly, ztąd tylko, gdy Papa przyjedziesz, będziemy oddawali wizyty Paryżowi. Zaręczam Papie za najlepszy rosół w świecie, za dobrą kawę i kartofle; więcéj nam nie potrzeba. Może być nawet wisk, jak Papa zachcesz, bo w bliskości o kwadrans drogi w St. Germain mamy zacnego sąsiada, wojewodę Ostrowskiego, u którego zawsze ktoś z Paryża bywa. Wreszcie i do nas do Marly przyjeżdżają bardzo znakomici ludzie; a jeżeli to się Papie będzie podobało, to kogo zechcę mieć będę na wisku dla Papy; jedném słowem, zaręczam, że wola Papy będzie panująca między nami. O! żadnéj przykrości, żadnego zmartwienia, żadnego niedostatku nie będzie, a rozkazy Papy najdroższego będą dla nas świętsze i punktualniéj wykonywane, jak rozkazy samego Ludwika Filipa. Ja to czuję, że razem potrafimy przeżyć Kamila, ale w oddaleniu to trudno będzie dla mnie i dla Papy. c) Z rana będziemy pracowali, po obiedzie będziemy chodzili i jeździli, a wieczorem będzie wisk; jeżeli posłużą spekulacye, to zwiedzimy kawał kraju; na-

koniec leży to już w naturze rzeczy, żebyśmy razem byli. To co Papa piszesz, że dopiero po dystrybucyi mego dzieła o zbliżeniu się do Francyi czynione będą starania, mocno mię zmartwiło. Trzecią część prenumeraty trzeba obrócić na podróż, umocować kogo we Lwowie do korrespondencyi z nami i dystrybucyi dzieła. Trzeba kochany Papo, porozumieć się w téj mierze z którym księgarzem, z samym nawet Milikowskim; chociaż zresztą są tu nieomylne sposoby dostarczenia ztąd do Galicyi wszelkiego podobnego transportu. Niejedno dzieło będziemy drukowali, azatém i to, które ma wyjść najdaléj za trzy, cztery miesiące, już powinno być w systemie naszych spekulacyi, tak, aby rzecz odbywała się bez obecności kochanego Papy.

Otoż to jest wszystko, co mi teraz napisać siły moje dozwoliły. Adres ten sam zawsze, à Maurice Camille Mochnacki, Rue Rivoli Nr. 50, Hôtel de la Terasse; bo chociaż pozbywamy się téj stancyi, zamówiliśmy jednak sobie zawsze chwilowy pobyt na przypadek przyjazdu z Marly i odbieranie listów. Wexlów w liście niechaj Papa nie przesyła, żeby czasem nie przepadły; tylko anons do Rougemonta, jak teraz. Proszę Papy, żeby o tém napisał do Józefa Krzyżanowskiego, a jeżeli można, list ten jemu kommunikował z tysiącznem uściskaniem odemnie. Kamil go tak kochał jak brata.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

a) Maurycy robi uwagę nad datą dnia 17. Sierpnia. Ja muszę jeszcze dodać, że właśnie d. 17. Sierpnia będąc w Żółkwi w zamku u mojéj kuzyny generałowéj Kempelen, zachorowałam mocno; noc i dzień cały w boleściach ogromnych przebyłam, ciągle marząc o słabości Kamila, i dopiero trzeciego dnia mogłam wstać

z łóżka. Ta słabość tak niespodziewana przerażała mnie trwogą, ale nie mogłam siebie rozumieć.

b) Maurycy wieszczym duchem pisze, że może jeszcze ostatni promyk jego szczęścia zabłysnąć na ziemi dla niego z przybyciem ojca. Niestety! życie Maurycego już było nader bliskie swemu końcowi. Nie było nawet czasu ziścić jego najgorętszych chęci sprowadzenia ojca. Nieszczęśliwy ten młodzian umierał bez żadnéj pociechy.

c) Maurycy zapraszając ojca pisze: „Ja to czuję, że razem potrafimy przeżyć Kamila ale w oddaleniu trudno będzie dla mnie i dla Papy. Zgadł; bo w istocie sam zostawszy, tego ciosu nie przeniósł, choroba jego, owe bicia krwi do serca były zaś ciągłą Maurycego słabością. Umarł ze zgryzot wielkich, umarł z żalu za bratem, ojcem i familią. Mówi: „że burze zbliżyły jesień jego życia." To prawda, Maurycy był tak silnéj konstytucyi, tak zdrów zawsze bez najmniejszego defektu, ale czuł wszystko całą siłą najwyższéj energii, wyczerpał to uczucie, potargał swoje życie. Gdyby ojciec mógł był pojechać do niego, Maurycy byłby żył jeszcze, Maurycy tak był czuły i kochający, że sam, bez brata, bez familii, bez nadziei powrotu do kraju, wygnaniec, tułacz egzystować nie mógł: czuł to i pisał o tem. Ojciec nie był w stanie pojechać do syna by go ratować, chociaż było to jego chęcią. Zebrani razem po tylu niebezpieczeństwach, na które byliśmy narażeni pod czas rewolucyi, za całe nasze szczęście mieliśmy, że nikogo z nas nie ujęto, nie uwięziono, nie umęczono; że żadne z nas nie umarło, chociaż ja okropną żółciową gorączkę przebyłam w Krakowie, rozdzielona od męża. Jakże więc mógł ojciec porzucać na los resztę familii? Ta myśl zabijała nas, każdego z osobna nadewszystko że żadnych funduszów, żadnych pieniędzy nie było, ani ich nadziei. Wszystkie projekta Maurycego były tylko marzeniem. Te pieniądze które mu ztąd ojciec posyłał był to grosz ostatni zawsze; bo prenumerata rzeczywiście bardzo szła tępo i na niczém się skończyła; rząd albowiem nie dozwalał i coraz bardziéj zabraniał wszelkich pism zagranicznych.

Marya M.

Pan Picard do Maurycego Mochnackiego.

Avignon, le 30. Août 1833.

Monsieur!

C'est avec le plus vive douleur que je viens vous transmêtre la triste nouvelle, que je reçois l'instant de Monsieur Denis, maire d'Hyères, à qui j'avais recommande votre frère Camille. La copie ci jointe de sa lettre contient le seul renseignement que je possède sur le triste évenement que je deplore avec vous. D'aprés l'état désespéré dans le quel se trouvait ce malheureux jeune homme à sont départ de Paris, vous étez sans doute préparé à cette perle douleureuse, mais votre affliction n'en séra pas moins vive de ceux, qui l'ons connu, pleurerons avec vous le fin prématurée d'un homme si digne d'un meilleur sort. Puissent les régrets qu'il inspire de le souvenir que consera en ses amis des hautes qualitées de son coeur et de son ésprit fournir quelque consolation à Vous et à ses autres parents.

Agréez Monsieur avec l'expression de ma douleur celle de ma haute consideration. Votre dévoué serviteur.

August Picard.

Pan Denis, prezydent miasta Hyères, do Augusta Picard do Avignon.

Hyères, le 28. Août 1833.

Monsieur!

Nous venons de perdre Monsieur Camille Mochnacki et je m'adresse à Vous pour que Vous apprenier cette triste nouvelle à son frère et aux autres personnes de sa famille dont j'ignore entierement le demeur. J'ai fait mettre sous clef ses vétements quelque livres et sa vo-

Ici bas dont tout est finé, pour l'infortuné Camille Mochnacki; ecoutez ces chants lugubres qui retentissent dans les airs. Voyez cette bière qui renferme tout ce qui resté du major polonais Camille Mochnacki. Entrez dans la demeure des morts. Voici l'heur des adieux!!!

Les pretres achevents les derniers prieres. Les flambeaux ce veritable symbole de la vie humain s'éteignent, et la plus morne silence succede à cette funebre céremonie.... Jusqu'à ce qu'enfin une voix amie et fortement émue celle du maire Monsieur A. Denis s'éléve pour adresser aux dépouille du Polonais quelques paroles touchentes qui exicitent le vive sympathie des assistence.

Et la foule se retire ensuite triste silenciance et livrée à d'ameres pensées.

Nota.

Otóż wszystko co do nas doszło o zgonie Kamila syna mojego, syna, który był chlubą naszą, a mógł spełnić w przyszłości najpiękniejsze nadzieje! bo charakter jego nieugięty, stałość umysłu rzadka, odwaga szczególna, krew zimna, serce gorące, głowa otwarta, oczytany niezmiernie, pracowity z natury, a piękny jak Adonis. Takiego to straciłam syna; podobało się Bogu zabrać tę naszą chlubę.... Podobało się wkrótce odebrać i Maurycego.... Boże, wyroki twoje niedocieczone! korzemy się przed niemi. Lecz ta próba straszna, ciężka, okropna, niech będzie zasługą przez naszą rezygnacją, przez naszą wiarę dla pozyskania innym dzieciom moim i nam szczęśliwéj przyszłości.

Dzięki autorowi artykułu w Journalu de Toulon et de Midi w Hyères. Cóż można czulszego, co sprawiedliwszego, co nareszcie pochlebniejszego napisać dla uczczenia zwłok Kamila, dla chwały jego w potomności, dla wielkiéj i tak pięknéj pamiątki familijnéj, nakoniec dla ulgi żalowi matki i ojca, brata i sióstr. Jak pięknie odmalował nieszczęście, cierpienie i smutne położenie Kamila osieroconego między zupełnie nieznanymi ludźmi. Jaką mu honorową cześć wyrządzili ci kochani Francuzi, nic więcéj nad to

żądać nie można, nic nawet [illegible]
snym kraju, ani w [illegible]
nie napisał, nie powiedział. [illegible]
Dzięki, dzięki raz jeszcze [illegible]
syła matka, ojciec i cała [illegible]

Pełna najokropniejszego [illegible]
wana przez moją [illegible]
wiłam dnie jak [illegible]
nych z powodu [illegible]
Łosia. Wszystko w [illegible]
miany, narady, wieczerze [illegible]
byłam, żyłam nie wiedząc [illegible]
tam w ogrodzie pięk[illegible]
mnie zawsze, ona płakała [illegible]

Maurycy Moc[illegible]

Dnia 2. Listopada 18[illegible]

Kochana M[illegible]

Że oddawna nie [illegible]
dziło to w części [illegible]
znajduje: czy w [illegible]
w Żółkwi u krewn[illegible]
stąd że nawet nie [illegible]
do Papy pisałem. [illegible]
okropnéj treści. [illegible] a
pełniła mnie [illegible] ał
napisać Mamie [illegible] o
z drugiéj stron[illegible] ie
bojaźni zak[illegible] ę
kajać może. [illegible] m
dowiedział [illegible] l-

suchót. a) Ale mógłżem ja jemu oszczędzić téj drogi do Paryża? Czyż nie byliśmy otoczeni przez Moskali? A w Prusach mógłżem brata zostawić, albo go stamtąd posłać do Galicyi? Wreszcie gdybym był mógł, czy Mama sądzisz żeby był Kamil na to zezwolił? Nigdy, Kamil tylko żył w téj nadziei że wróci do Polski z wojskiem; „Jestem major, mawiał, gdy się zaczną tworzyć legiony, wejdę do nich w stopniu pułkownika, zostanę jenerałem.“ Nasi wojskowi rewolucjoniści tem tylko mają nabitą głowę, jeżeli mam prawdę powiedzieć Mamo kochana! to i ja tak myślę, że lepiéj tułać się za granicą a do kraju tylko z bronią w ręku powracać, z rewolucją i obcém wojskiem. Co się tyczy detalów śmierci Kamila, które Mama chcesz wiedzieć, jakiż to smutny dla mnie obowiązek opisywać te detale! dla mnie który nadaremno odchorowałem okoliczności, które towarzyszyły jego śmierci, bo wiele razy o nich pomyślę tyle razy obmieram z żalu. O kochana moja Mamo! co to za smutek pomyśleć sobie że ja miałem brata który był do mnie tak przywiązany, a który odemnie 200 mil umarł nad morzem Śródziemném między obcymi. Lecz Bogiem się świadczę, że gdyby nie dwómiesięczna słabość moja tak niebezpieczna że nie mogłem wstać z łóżka, byłbym poleciał do Kamila, i moją własną ręką zamknął jego powieki. Kamil umarł w Hotelu d'Angleterre dnia 17. Sierpnia o godzinie 7. wieczorem. Od kilku dni przestał mówić, bo go chrypka oniemiała. Na parę dni przed śmiercią i do ostatniego momentu był najprzytomniejszym. O swojéj śmierci nie raz jeden ale sto razy mówił, pisał, że jéj życzy sobie, bo ona go tylko uwolnić mogła od cierpień, których widoku ja znieść nie mogłem. Niedostaku nie doznawał, bo co tylkośmy mogli, tośmy posyłali jemu. Pan Denis i pani Denis mieli o nim staranie, ale Kamil był tak ambitny, że żadnéj grzeczności od nich przyjąć nie chciał. Prócz

tego nad zdrowiem Kamila czuwał pan Desaie doktór, którego ja poznałem w Lyonie, który kochał Kamila, bo go jeszcze dawniéj znał. Czy się spowiadał Kamil, tego nie mogę jeszcze wiedzieć z pewnością, ale zaręczam Mamę że pomimo zepsucia dzisiejszych czasów był pełen religii, wiary i rezygnacyi. Straszna choroba, którą Bóg na jego młode lata dopuścił, dała mu czas do głębokiego namysłu, wiedział że umrze i zawsze od ziemi się odrywał. Lecz ja niechcę, nie mogę o tém pisać. Jest zapewne rząd wyższy na świecie, ale musi być bardzo ostry, kiedy nas tak ciężko karze za nasze przewinienia. Listów Kamila nie wiele było, trzy, cztery najwięcéj, lecz nie wiem gdzie są teraz, bo się gdzieś zapodziały w mnóstwie innych papierów, korekt i dzienników, podczas przenosin naszych do Marly: jak tylko się wynajdą zaraz je poszlę Mamie. Co tylko Mama kochana pisała do nas to wszystko Kamil odczytywał z największą uwagą i chował. Listy Mamy dopiero przyjdą z Hyères z jego rzeczami. Pewnie musiał coś pisać przed śmiercią do mnie, albo do rodziców ale tego jeszcze nie mam. W tém całém zdarzeniu nie mogę tego ani odżałować, ani odpłakać, żem nie był przy nim w ostatniéj godzinie. Któż temu winien jeżeli nie przeklęci doktorowie, którzy mi tam kazali zawieść Kamila aby przy nich nie umarł? Za dowód jego przytomności to poczytuję że przed samą śmiercią w wilią dnia 16. Sierpnia wstał z łóżka, ubrał się i chciał wyjść nad morze, które z okna jego widać było, ale natychmiast osłabł i znowu się położył. Noc przebył bezsenną, ranek dnia 17. Sierpnia zastał go bez sił, ale przy pamięci, napisał coś na ćwiartce papieru po polsku, a na wierzchu po francuzku, i tę ćwiartkę oddał młodéj kobiecie, wdowie jednego francuzkiego oficera, która go nigdy nie odstępowała w słabości. W napisku francuzkim kreślonym ołówkiem było tylko to, żeby mnie ta ćwiartka była od-

16*

dana, ta kobieta przyrzekła mu to. Zeszło południe w coraz większéj słabości, przyszedł pan Denis razem z doktorem i jednym Włochem emigrantem który bardzo kochał Kamila. Już się miało ku wieczorowi, pan Denis i doktór chcąc pocieszyć Kamila zaczęli mu mówić że to kryzys, która przejdzie, po czém będzie się miał lepiéj. Kamil się tylko uśmiechnął wziął zegarek do ręki i pokazał na godzinę, potém wziął ołówek do ręki i napisał te słowa: „*Je cesserai d'exister dans deux heures,*“ pan Denis, doktór i Włoch odeszli. Poczem, a już była godzina 6. wieczorem, Kamil zdjął z szyi łańcuszek z krzyżykiem i oddał go téj Francuzce i napisał znowu ołówkiem: „*C'est ma dernière heure.*“ prosił ją także, żeby łóżko jego kazała zanieść do okna, skąd był widok na morze. Uczyniono to. Ostatnią prośbą było Kamila, żeby go zostawiono samego. Francuzka odeszła myśląc że chce spać, wróciła za godzinę i znalazła go w rzeczy saméj śpiącego, — ale na wieki. — Tak zgasł ten młody człowiek. Wszystkie te detale wiem od Bogdana Zaleskiego, który podróżując w tamtych stronach, skłoniony mojemi prośbami, wstąpił z Marsylii do Hyères i o wszystkiém się dowiedział. Mnie to opowiadanie do płaczu pobudzało. Na nieszczęście nie mógł Zaleski wydostać téj ćwiartki papieru którą Kamil zapisał. W żalu gdzieś ją zapodziała ta Francuzka, ale obiecała ją przysłać mnie jak się znajdzie. Przed samą śmiercią odebrał także Kamil mój list ostatni, który do niego pisałem z Marly; przeczytał i położył na stoliku. Wierz mi, droga kochana Mamo, że żadne zmartwienie tak jeszcze głęboko nie wzruszyło mojéj duszy, nic mię tak nie rozżaliło na świecie, ani przeszłe nieszczęście, ani teraźniejsze potwarze, które znowu z największą zaciętością naprzeciwko mnie miotać się zaczynają. b) Wyczytuję z listu Mamy pewne nieukontentowanie, że ja Papę tak ciągnę do siebie. Zapewne byłoby to źle z mo-

jéj strony, gdybym przez to czynił krzywdę reszcie familii. O projekcie bibliotecznego ulokowania się nic nie wiedziałem. Jeżeli Papa ma nadzieję uplacowania się tym sposobem, to samo przez się rozumie się, że ja byłbym najgorszym synem, gdybym go chciał oderwać od téj nadziei. Ja tylko pod tym przypadkiem rozumiem przyjazd Papy do Francyi, jeżeliby tam żadnego sposobu nie miał utrzymania przy sobie Mamy i całéj familii w oddzielnym domu. Ale o tém nieraz jeszcze mówić będziemy. Ja radzę ulokowania się w bibliotece nie zaniedbywać, ale także jedno oko mieć obrócone ku nam. Jeżeli Papa umieści się we Lwowie, to nie tak prędko się zobaczemy. Lecz najmiléj mi będzie zostawać w dalszém od Papy rozdzieleniu, jeżeli przez to kochana nasza familia będzie się lepiéj miała, jeżeli przestanie się przenosić z miejsca na miejsce. Pomimo różnych utrapień, pomimo słabości Michała mego, którego kaszel coraz mocniejszy kwalifikuje na kandydata do suchot. c) Pomimo odnowienia się kabał w Emigracyi, intryg, plotek, ja przyszedłem do zupełnego zdrowia, i do téj energii temperamentu która mnie tylko w chorobie odstępowała Kamila. Mama piszesz mi że z tych pieniędzy które Papa przysłał nic nie mogłem na druk obrócić; zaręczam Mamę słowem syna, który nigdy nic nie taił przed Mamą, że dzieło się już drukuje i za 15 dni najdaléj pierwszy tom skończony będzie. Ten tom I. zaraz poszlę Mamie ażeby Mama różnym plotkom położyła koniec. Jak daléj drukować, pomyślę o tém. Po skończeniu tomu pierwszego będę oczywiście w niesłychanym ambarasie, gdy prenumerata tak źle idzie. Może pójdzie lepiéj gdy pierwszy tom przyjdzie do Lwowa. Nie czekając każę 200 egzemplarzy posłać. Na wyjściu tego dzieła wiele mi zależy. Nie idzie mi bynajmniéj o zarobek, bo jak się pozbędę téj pracy, to ani mi myśl nie przyjdzie, abym się nie mógł utrzymać za granicą. Przy

mojéj czynności, przy moich latach jeszcze nie zbyt starych, przy moim charakterze już tak wypróbowanym, przez zmiany losu nie masz nic podobnego. Mam ja także coś w sobie awanturniczego. Pojadę do Anglii, tam nawet z samego fortepianu, przy różnych protekcyach zrobię sobie kawałek fortuny. Ale teraz całą usilność przykładam do druku, mój honor jest w tym interesowany. Mamá pisze żebym się ożenił. To być niemoże... już zapóźno. Wreszcie bogate mnie nie zechcą, ubogiéj nie wezmę. Nie umiem się podobać kobiecie. Wreszcie nie staram się o to. Moją myślą jest myśl wybiegająca daleko: pracować jako artysta po wydaniu mego dzieła, z pracy zebrać tyle pieniędzy żeby można kupić kawałek ogrodu warzywnego i domek we Francyi, i sprowadzić Mamę, Olimpią, Klementynę i Tymolka i ciotkę Zosię. Jeżeli to przyprowadzę do skutku, wtenczas powiem o sobie jak *Chenier* na rusztowaniu: „Il y avait quelque chose dans cette tête.“ Jeżeli zaś tego nie zrobię to powiem: „Il y avait rien du tout.“ Wierz mi Mama: burze przeszły przez moje lata, i wszystko w nich wytrawiły prócz przywiązania do rodziców. Całą moją dumą jest że mam Ojca i Matkę, których ubóstwiam jak Świętych. Całem mojém szczęściem będzie, jeżeli resztę mego życia z niemi przepędzę, daleki od tego wszystkiego coby moją spokojność zakłócić mogło. Śmierć Kamila wzmocniła wszystkie naturalne węzły które mnie łączą z rodzicami. On umarł, myślę sobie, ale oni żyją, i ja jeszcze doczekam się tego że będę z niemi razem nie w Polsce, ale we Francyi. Mam więc cel mego życia i metę do któréj dążyć będę. Położywszy w to całe staranie żeby sobie coś zrobić, może i dokażę tego. Niechaj Mama częściéj do mnie pisuje. Kiedy przyjdzie list Papy albo Mamy, to wielka dla mnie uroczystość. Zatrudnienia moje teraz są nie małe. Dzieło drukuję, ale po wyjściu pierwszego tomu nie będę miał pie-

nędzy na drugi i trzeci tom. To się pokazuje z listu Mamy. Wszakże *il faut fair face à tout.* Ja tu będę biegał za interesami i kredytem u drukarzy w Paryżu, lecz Mamę proszę aby prenumeratę dalszą miała w swojéj łaskawéj pamięci. Cioci Cieńskiéj i Głogowskiéj rączki całuję.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

a) Niestety! suchoty Kamila wzięły początek w Warszawie, już w roku 1830., kiedy z rozkazu wielkiego księcia Konstantego przetrzymano szkoły pływania aż do Października, do czasu zwykle u nas chłodnego i nieprzyjaznego zdrowiu. Kamil podówczas jako podoficer szkoły podchorążych, musiał nie tylko sam pływać, ale i drugich uczyć pomimo delikatnego składu ciała, słabego zdrowia i kataru w który był popadł. Uważając to doktór Kulesza radził, ażeby Kamil wziął urlop na pewny czas i przestał robić służbę tak ostrą. Wówczas Kamil który marzył o przyszłéj rewolucyi i działał już w tym duchu, począł się śmiać z Kuleszy mówiąc: „Czy w rzeczy saméj sądzisz być rzeczą tak potrzebną, bym ja teraz zamiast pływania siedział w domu? cha! cha! cha! wybornie myślisz doktorze! a nie wiesz o tém, że Wielki książę piecuchów nie lubi; wziętoby mnie za pieszczocha, gdybym innych w szkole pływania pozostawił, a sam poszedł do domu, pomimo że to przykra jesień.“ Nieco późniéj bo już w Styczniu 1831. r. podczas rewolucyi Kamil jako oficer był na warcie przy rogatkach. Razu pewnego słyszę raptem szczęk broni, głośne chodzenie koło drzwi moich; przestraszona wychodzę i spostrzegam jak żołnierze na noszach okrytych płaszczami, niosą mojego kochanego Kamila do pokoju Maurycego. Co to jest? co się stało? Oto pani napad krwi.. słabość.. zapalenie nagłe.. krew wyrzuca ustami.. O wielki Boże! Puszczono mu krew zaraz... położono na łóżko.. skazano na dyety. Już zaledwo parę tygodni upłynęło, a już Kamila nic zatrzymać w domu nie mogło. Czém prędzéj się ubrał, zameldował że zdrów zupełnie, poszedł służbę robić, a nawet przeniósł się na swoją kwaterę. W następnym roku 1832. przebywając w Paryżu był jeszcze dosyć zdrów, gdy począł miewać potém znowu napady krwi ustami. Doktór Kulesza z Warszawy w je-

dnym liście pisze do mnie: „Wiadomo pani, że Kamil z początkami suchót wyjechał" itd. O mój Boże jakże mnie to zabolało mocno! uraziłam się jak mógł do matki napisać, że jéj syn ma suchoty! gniewałam się, a w pełni żalu napisałam gorzkie wymówki Kuleszy, co potém stało się przyczyną wielkiego nieporozumienia.

b) Maurycy pisze o potwarzach, które znowu z całą zajadłością na niego rzucać poczęto. Te to złośliwe namiętności emigrantów naszych polskich, nieustanne swary, zazdrość, zawiść bez granic przeistoczyły się w zajadłość i wściekłość, ztąd téż wszelkie przyjazne stosunki Maurycego zamieniły się w zazdrość i największą nienawiść ku niemu. Jakże biedny Maurycy sam jeden własnemi siłami mógł odeprzeć tyle pocisków na raz? Poczęto go prześladować na wszystkie strony; partja demokratyczna zagniewana na Czartoryskiego, Skrzyneckiego i na posłów, mogła mieć racją prześladować Maurycego, w którym jakoś nie znajdowała swojego zwolennika, nie dla tego aby on kochał arystokracją dla jakichściś widoków, lecz właśnie dla tego że Maurycy był łagodny dla nich przez właściwe sobie położenie rzeczy, nie miał sposobności znosić się i żyć w partyi demokratycznéj. Lubo nie rościł sobie żadnego prawa do arystokracyi, nie dążył do niéj, a nawet w duszy pogardzał śmiesznemi jéj prawami. Jednakże stosunki domu naszego sięgały więcéj tych ostatnich aniżeli pierwszych, co spostrzegłszy zawzięci demokraci powzięli między sobą to postanowienie, aby prześladować najniewinniéj Maurycego. Co téż istotnie przyłożyło się do skrócenia dni jego życia w kwiecie wieku, w sile młodości, co jaśniéj jeszcze wykaże list gospodyni domu po śmierci Maurycego pisany.

c) Pisze Maurycy: że Michał Podczaszyński kwalifikuje się do suchót. I w rzeczy saméj ten zacny przyjaciel, ta trzecia osoba synów moich nie pozbył się już więcéj tego kaszlu. Jak mu przykro być musiało myśleć, że Kamil z tagiegoż samego kaszlu umierać musiał. Biedne chłopcy! tak się kochali jak gdyby znali wspólne swoje przeznaczenie. Michał Podczaszyński umarł ostatni w Czerwcu 1835 r. Zaledwie miał czas napisać i to bardzo już niedołężnie bijografią Maurycego.

Marya M.

Bieg téj korespondencyi przerwany został z różnych powodów, a najbardziéj dla tego że dla różnych zaszłych i dość zgryźliwych

okoliczności ja nigdzie długo na jedném miejscu nie mieszkałam; a były niektóre i takie, które równały się albo może i przewyższały swoim rodzajem i swoją złośliwością, nawet boleść śmierci Kamila... Z Wybranówki pojechałam z moją kuzyną Cieńską na Podole do jéj córki, do wsi Medwedowce. Przez Styczeń r. 1834. jeszcze tam bawiłam, na początku Lutego gdy śniegi, lody i wody z rzek wystąpiwszy stawiają nieprzebyte trudności podróżnym, ja pędzona fatalnością losu wyjechałam o mil 18. do Wybranówki, i wkrótce po tem, bo jeszcze w początkach Lutego, znalazłam się we Lwowie na placu Bernardyńskim, w oficynie domu, w nędznéj stancyjce, wilgotnéj, ale już u siebie z mężem, siostrą i córką, i na własnym chlebie. Łzy ściśnionych serc ustawały powoli, bośmy byli razem, sami ze sobą rozumieliśmy się i cieszyli pospołu żeśmy byli razem i stancję i żywności zapłacone na miesiąc, oprócz tego miałam całego majątku cztery dukaty, a sofę do siedzenia przysłała poczciwa pani Muszyńska. W tym czasie przyszedł list z Paryża od Maurycego lecz takowy zaginął, pisze że sprowadził się znowu do Paryża, że się układa o drukowanie swego dzieła i nie pamiętam co więcéj. Potem długo listu nie było: bo prawdziwie my sami doświadczając losu tułactwa we Lwowie, owszem w Galicyi straciliśmy wszelką iluzyą; zajęci byliśmy jedynie tém jak dzień przepchnąć przed sobą, jak go przeżyć, gdzie mieszkać, na czém spać, skąd mieć opał. Z dobroci staréj jenerałowéj Poniatowskiéj dostaliśmy w jéj domu na Łyszanowie stancyjkę pod dachem, z któréj byliśmy bardzo szczęśliwi. Na wiosnę ja się bawiłam ogrodem; jenerałowa przyjeżdżała do swojego domu, mąż mój codzień do nas przychodził, piliśmy ze sobą kawę, jadaliśmy świeże mleko, a miałam z dobroci pewnych osób 20. r. m. k. na miesiąc. W takiém położeniu rzeczy doczekaliśmy się listu od syna.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Ojca.

Paryż, dnia 25. Lipca 1834. Champs Elisées. Rond-point Nr. 4.

Najdroższy Papo!

Nie wiem jaki los ten list który piszę spotka, bo już dawno bardzo od kochanych rodziców, od pół roku

przeszło nie mam ani słowa odpowiedzi na listów kilka które pisałem. Tylko z Drezna przysłano mi karteczkę od Mamy, a potém w Czerwcu widziałem słów kilka od Papy w liście nie do mnie ale do Ludwika N., gdzie Papa czynisz wzmiankę o pieniądzach 500 franków które odebrałem, i o liście który był adresowany do Marly, gdzie go jednak szukając na pobliskich pocztamtach w St. Germain i Louvelante nie znalazłem, ani na wielkiéj poczcie w Paryżu. Być może iż zmiany pomieszkania mojego są tego przyczyną, że na pocztach pośrednich ulicznych te listy się ze mną minęły. Ale mnie niepokoją listy moje które pisałem pod dawnym adresem: czy doszły? czy coś nie dzieje się z niemi po drogach? czy w ogólności korespondencya z Francją nie doznaje tam utrudzenia? bo bardzo wiele osób skarży się tu na to. Powtórzę więc w treści com parę razy w listach moich nadmienił. Po napisaniu ostatniego listu mojego przeniósłem się z Marly le Roi do Paryża na rok nowy dla druku drugiego tomu dzieła mojego, i stanąłem na ulicy Dauphine Hôtel Dauphine bardzo blisko drukarni, tam mieszkałem aż do 3. Maja, to jest do czasu, w którym się skończył druk tomu drugiego mojéj historyi. Ztamtąd przeniósłem się na Champs-Elysées gdzie teraz mieszkam, i mieszkać ciągle zamierzam. Upały niezmierne tego roku zmusiły mnie szukać lepszego powietrza w tém miejscu jak na ulicy Dauphine. Mieszkam między drzewami, cokolwiek daléj od miasta ale taniéj i zdrowiéj. Upały i ciągłe prace sprawiły, że dla krwi łatwéj do zapalenia się i uderzenia w głowę, musiano mi parę razy stawiać pijawki, tak że przez kilka tygodni byłem znowu słaby, nie tak jak przeszłego roku przed śmiercią Kamila, zawsze jednak niebezpiecznie. Teraz po długiéj dyecie i lekarstwach znowu chwała Bogu mam się lepiéj, ale czuję że to nie jest to zdrowie które miałem dawniéj. W ogólności skutki rany

z pod Ostrołęki dają mi się czuć ustawnie przy ziewaniu, która całą kolumnę pacierzową wstrząsa, przy kichaniu i śmianiu się. Doktorowie nie mogą na to nic poradzić, bo nawet kąpiele nie pomagają których wziąłem 60 i kilka bez skutku. Opisawszy stan mojego zdrowia, proszę kochanego Papy żeby mi o swojém doniósł; oraz o zdrowiu kochanéj Mamy, mojéj cioci Zofii, kochanéj Olimpki i Tymoleona. Mnie teraz kiedy sobie przypomnę że miałem tyle braci i siostr, tyle familii, że mieszkałem w domu drogich moich rodziców, zdaje się że to był sen tylko, a każda taka myśl głębokim smutkiem rozdziera duszę moją, osobliwie po śmierci Kamila. Już niema dla mnie żadnéj pociechy za granicą. I tylko to jedno że bardzo jestem zatrudnionym, to jedno życie moje czyni cokolwiek znośniejszém. Mógłbym tu jeszcze dodać, że tylko nadzieja iż się z Papą obaczę, dodaje mi sił i ducha, bo zresztą nie byłoby warto żyć na tym świecie.

Tom trzeci Powstania również gruby jak dwa pierwsze, 30 arkuszy, będzie skończony w przyszłym miesiącu; lecz historyi nie kończy, będzie więc i tom czwarty. Ogromne dzieło! Trzy razy większe jak myślałem, bo wszystkiego będzie 100—115 arkuszy. Pokazuje się więc kochany Papo, że miałem racyą wejść w entrepryzę z Chełmickim; bo skądżebyśmy byli wzięli tych 8—9 tysięcy franków, jakich cały nakład wymaga. Prenumeratorom obiecałem arkuszy 40 w prospekcie moim posłanym do Galicyi, lecz teraz już jest wydrukowanych arkuszy 64 w tych dwóch tomach, które wyszły, a jeszcze dwa tomy dostaną. Więc za 15 franków, które zapłacili, nic taniéj nabyć nie mogli. Tę rzecz warto rozważyć, kochany Papo! Tom pierwszy, drugi i trzeci wyexpedyuję do Papy w liczbie 300 egzemplarzy. Nastąpi to ku końcowi Sierpnia; nastąpi z niesłychaną trudnością; bo transport taki, to rzecz nie mała. Te trzy

tomy, każe tedy Papa rozdawać moim prenumeratom; ale inna rzecz będzie z tomem czwartym. Za ten tom gdy przyjdzie, będą musieli prenumeratorowie moi zapłacić osobno; będą musieli dopłacić po 10 franków; a to wszystko, co się z téj dopłaty uzbiera, będzie własnością Papy kochanego! Będzie to fundusz na drogę do Paryża; bo ta idea głęboko leży w mojéj duszy. Choćby nawet Papa niechciał długo zabawić w Paryżu, to przecie z sobą widzieć się musimy. Całe moje szczęście na tém zależy. — Praca, którą podjąłem, jest wprawdzie wielka, ale poprawia ona niezmiernie i interesa i położenia moje. Jakkolwiek pójdą interesa ogólne kraju, zaręczam kochanemu Papie, że autorowi Historyi Powstania źle nie będzie. Biorąc miarę z wrażenia, jakie to dzieło czyni w Emigracyi, łatwo mogę przeczuć skutki jego w kraju sprawić mogące. Tu przyszedłem do respektu u ludzi, tak, iż powiedzieć mogę, że teraz dopiero coś mogę, i niemal z pewnością zaręczyćbym mógł, że droga, którą sobie otwieram, którą sobie otworzyłem, zaprowadzi mnie daleko. Wszak to, kochany Papo, jak żyję takich nie odebrałem honorów, od wielkich i małych, od największych do najmniejszych. Nie piszę dla tego, żeby się chwalić, ale dla tego, że wiem, iż to kochanego Papę cieszyć będzie, że mu tu wstydu za granicą nie robię. Interes więc téj historyi nie jest zły wcale. Mam jeszcze wiele do zrobienia, lecz niewątpliwie koło Listopada wszystko będzie ukończone i posłane do Papy. — Michał jest bardzo słaby; słabość ta sama co Kamila. Wyjedzie on pewnie na południe; nie daj Boże, aby po to samo co Kamil. Stetryczał i zrobił się wielkim nerwowym fantastykiem, co przy kaszlu jego i krótkim oddechu nic mi dobrego nie zwiastuje.[a])

Adres mój, kochany Papo, jest ten sam: Maurice Camille, Champs Élysées, Rond-point Nr. 4. — Pomieszkanie moje jest śliczne i tanie między drzewami w alei,

która do bariery Étoile prowadzi. Codziennie widzę z okna kilka tysięcy pojazdów i kilkanaście tysięcy ludzi. Teraz w czasie lipcowéj uroczystości jest to hałas i gwar niepodobny do opisania. Francuzi zdają się być kontenci, ale to pozór tylko. — Głową tego rządu nie chciałbym być za nic w świecie; lecz mniejsza o to. — Adam Mickiewicz ożenił się tu z panną Szymanowską, córką pani Szymanowskiéj, sławnéj fortepianistki. Jest on niezmiernie szczęśliwy i kontent; przynajmniéj tak mi się wydawało, kiedym był u niego na obiedzie w *Sevres*. Teraz mieszka z żoną w Paryżu. On nic nie ma i ona nic nie ma; ale ona ma za sobą protekcyą klassy, która kontenta, że posiadła poetę, nie da mu uczuć biedy i składać się na niego będzie. — Przyjechał tu i nasz kochanek, minister Lubecki.... Oświadcza i każe oświadczać, że ma najsurowszy zakaz od cara widzenia się z kimkolwiek w Emigracyi. Ale to pozór tylko, aby się pod gwarancyą tajemnicy ze wszystkimi mógł widzieć. Ta missya jest pod tytułem likwidacyi summ należnych Polsce. Likwidacya, o któréj ani chcą wiedzieć Francuzi. Jest to zamach na nas. Krok ten kompromituje cara, bo dowodzi, że mu niezmiernie wiele na Emigracyi zależy. — Oczekuję z najwyższą niecierpliwością listu od Papy, listu najobszerniejszego, jaki tylko być może, zapełnionego szczegółami o zdrowiu Rodziców moich i całéj familii, listu pożądanego odemnie tak jak niczego więcéj nie pragnąłem. Osobliwie Mama, moja Mama! która przedtém tak wiele i często do mnie pisywała, zapomniała o jedynóm dziecku swojém za granicą. Ciotka Zosia, która także pierwéj, kiedy Kamil żył, pisała, teraz już nic pisać nie chce. Co ja z tego wszystkiego mam wnosić? chyba to, że źle jest być z daleka od domu; bo niezmiernie idziemy w zapomnienie. — Co się z Klimką dzieje? czy już poszła za mąż? także nic nie wiem. — Wczoraj widziałem Ludwika Filipa na *Quai*,

wśród ogromnego zbioru ludzi; kłaniał się wszystkim, albo raczéj miał ciągle kapelusz zdjęty z głowy, a sprawił sobie perukę czarną, bo mu w troskach monarchii lipcowéj wszystkie włosy powyłaziły. Synowie jego i on nic teraz nie robią, tylko ciągle na koniach objeżdżają Paryż i kłaniają się pospólstwu, jakby im dziękować chcieli za koronę. W Kwietniu kazali strzelać do tego pospólstwa; zabijali na ulicach kobiety i dzieci nawet; ostatnie na własne oczy widziałem. — Całuję rączki i nóżki kochanego Papy.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

a) Biedny Maurycy! pisze o kochanym swoim Michale Podczaszyńskim i przewiduje jego stratę, widząc też same symptomata słabości co i u Kamila. Prawdziwie jakby się losy usadziły piec na wolnym ogniu, męczyć, dręczyć na wszystkie strony i stopniowo mego Maurycego; on zaś, który głęboko czuł wszystko, przypłacił zdrowiem, a w końcu życiem tak srogie dolegliwości. Lecz z jaką cierpliwością, z jaką wytrwałością, to wszystko widzieć się daje w téj jego korrespondencyi. Jakie zajmujące położenie tego młodego człowieka. Tułacz rozłączony od rodziców raz pierwszy, od téj pewnéj, tak naturalnéj ich pieczołowitości. Sierota całą duszą kocha brata, tak mu nawet strasznie potrzebnego w każdym względzie, i traci go. Nawet nie może dla własnéj spokojności oddać mu ostatnich usług. Dręczą go zajadli, zaciekli tak zwani patryoci. Tęskni za ojcem i matką, których czci i kocha i widzi, że są zupełnie zrujnowani. Tu znowu dzieło o Historyi Powstania, o Rewolucyi, które tak mocno go zajmuje; spieszy się całą usilnością, brak pieniędzy przymusza go, że posłowi Chełmickiemu zbywa swoją pracę. Układa się jak można, aby się tylko ucieszyć raz mógł wydaniem na świat tych prawd, które on tylko sam jako naoczny świadek, jako współdziałający, jako rozpoznawca głębokiéj uwagi ogłosić mógł Europie. Czuł w sobie wielki talent opisywania dziejów tak mocno interesujących każdego Polaka. Ostatnie jego dobro, jedyny przyjaciel Michał Podczaszyński, i tego widzi już gasnącego; a to wszystko w przeciągu lat dwóch do trzech za

granicą. Nigdy spoczynku, nigdy pociechy, zmian mnóstwo, lecz zawsze na gorsze. Widzi, że go prawie wszyscy przyjaciele dawniejsi, zwaśnieni o zdania polityczne, odstąpili i stali się zawistnymi nieprzyjaciołmi. Okropne, ciężkie do zniesienia położenie samemu jednemu Maurycemu. Dla tego ostatnie listy Maurycego są szczególniejsze, ale boleści straty Kamila i bojaźń o życie Michała były niepokonanemi aż do śmierci Maurycego, która uprzedziła wszystko i była najmniéj przewidzianą.

Marya M.

Maurycy Mochnacki do Rodziców.

Paryż, dnia 2. Września 1834. Champs-Elisées Rond-point. Nr. 4.

Szanowni i Najdrożsi Rodzice!

List kochanych Rodziców z 19. Sierpnia odebrałem dnia 28. Sierpnia. Chciałem zaraz tego dnia odpisać, ale nie miałem sił, bo to właśnie było w czasie najmocniejszéj słabości mojéj, która mnie od Maja trapiła. Lecz teraz zaczynam z téj nowéj recydywy zupełnie do siebie przychodzić. Historya téj nowéj epoki słabości mojéj jest taka. Z dnia trzeciego na czwarty Sierpnia dostałem gwałtownéj gorączki, miałem kłucie w boku i bicie krwi do serca jak przeszłego roku. Widząc że polscy doktorowie nie mogą mi dać rady, wezwałem jednego z najsławniejszych lekarzy, pana Riccard, który natychmiast przybył i oświadczył, że mnie wykuruje bez żadnéj zapłaty, i że jest szczęśliwy, że mu się nadarza pora dopomodz Polakowi. Kazał on mi przystawić 100 pijawek we trzech dniach, leżeć w łóżku i jeść tylko pół funta winogron na dzień, pić filżankę lekkiego bulionu. Tym sposobem żyłem dni dwadzieścia nie ruszając się z łóżka i nie biorąc żadnej medycyny wewnątrz. Po dwudziestu dniach nowe pijawki, ale już tylko trzydzieści, i ta sama dyeta. Nareszcie słabość moja zła-

mała się właśnie wtenczas, kiedy przyszedł list od Papy, list, od którego zdrowemu człowiekowi można było zachorować, tak jest smutny i rozdzierający duszę! Dzisiaj, to jest 2. Września, tak się mam dobrze z łaski nieocenionego pana Riccard, że mogę wstać pisać, co większa, być pewnym, że słabość nie powróci. Na nowo więc odczytałem list kochanych rodziców. Wiadomości zrobiły na mnie nadzwyczajne wrażenie. Cóż to za upór losu! Co to za nieprzewidziane nieszczęścia! Scena z Tymoleonem najdotkliwiéj mnie obeszła, a smutny koniec pani Lubinowéj[1]) rozrzewnił aż do płączu. Wszystko to jest tragicznie i głęboko mnie porusza! Ale nieszczęścia tamtejsze prywatne naszę przypadają w porę tak nieszczęsną dla emigracyi w ogólności, że nie wiem czy to jest skutek słabości mojéj, ale prawdziwie że nie mam sił do wyrażenia co czuję. Nie wiem nawet co mnie mocniéj boli, czy domowa niedola, czy klęski które nam tu zagrażają? Król z Moskwą w zmowie, o niczém bardziéj nie myśli, jak żeby przymusić Polaków do powrotu. Pocco-di Borgo odebrał przed 15. dniami instrukcyą następującą: „Ktobykolwiek zgłosił się do ambassady po amnestyą, oświadczyć mu, że jeżeli jest żołnierzem wojskowym, będzie musiał odsłużyć lat 15 w wojsku rossyjskiém w głębi Rossyi, a jeżeli jest cywilnym, to odsiedzi lat 15 w gubernii Permskiéj albo w Jarosławskiéj. Czy dasz Papa temu wiarę? Oto zaraz 200 przystało na tę kondycyą. Z tego można wziąść miarę, jaki jest okropny dla Polaków pobyt we Francyi. Książę Lubecki jest tu przysłany na rekonesans. Jego działanie tajemne może pociągnąć za sobą ruinę emigracyi. Nie widzi się on z nikim i nie chce się widzieć z nikim. On tu jest przysłany po to, aby wyjednać u rządu uchylenie żołdu na rok jeszcze *ostatni* zapewnionego Polakom.

[1]) Ciotki w Warszawie.

Po czém naturalnie cała emigracya będzie musiała przyjąć amnestyą, jaką się będzie podobało dać carowi. Zważyć trzeba, że gdyby emigracya nawet po uchyleniu żołdu nie chciała wracać do kraju, rząd na mocy prawa z dnia 21. Kwietnia ma moc wyrugować ją przemocą. Wszakże amnestya jest tylko dla emigracyi w ogólności, bo co do 200 osób, między którymi i ja jestem, skazanych już na śmierć, dla tych nie będzie już nigdy żadnéj amnestyi. Te osoby muszą już albo umrzeć za granicą, albo wrócą do kraju kiedyś z bronią, ale tylko z bronią, inaczéj nie! Emigracya cała jest zakłócona, zaszargana, rozerwana. Nie masz 10 Polaków, którzyby byli zgodni ze sobą. Jest to wojna domowa najokropniejsza, o jakiéj tylko pomyśleć można. Jenerałowie bez powagi, szulery, umykają z Paryża, żeby ich za długi w St. Pelagie nie osadzono. Pełno duchów i pieniędzy moskiewskich po zakładach. Gazeciarze pod pozorem rewolucyi i patryotyzmu rozszerzają niezgody za pieniądze moskiewskie, bo i za cóż mogliby drukować tyle bezeceństw, tyle potwarzy, których tu nikt ani chce, ani może kupować? Zawrót głowy opanował większość. Znak ogólny dekompozycyi, która w biedzie okropnéj, jeneralnéj, koniecznie nastąpić musi. Nie poznaję moich najlepszych przyjaciół. Wszystko to wybiegło ze swego naturalnego kresu, jest do najwyższego stopnia zirytowane, podejrzliwe i zgłupiało w nieszczęściu.[a]) Ja zupełnie żyję oddzielony od tego wszystkiego.[b]) Pisząc Historyą powstania, musiałem wejść w stosunki z ludźmi, którzy rewolucyą rządzili i zgubili, z dawnymi nieprzyjaciołmi mymi. Ci ludzie, licząc w to całą partyą, która się w Paryżu znajduje, zachowali dziś więcéj zimnéj krwi, taktu, zdrowego rozsądku i sumienia jak rewolucyoniści. Oni jedni z całéj emigracyi nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z nimi w dobréj harmonii, bo potrzebuję od nich materyałów; co jednak

żadnego wpływu na dzieło moje nie ma, mieć nie będzie, ani może, bo ja piszę bezinteresownie. Ze wszystkich moich przyjaciół został mi tylko jeden Nastuś Dunin i Michał Podczaszyński. Pierwszemu szkodzi i dokucza zła reputacya jenerała Dwernickiego, szulera, marnotrawcy; drugi jest tetryk ze słabości i wielkiego niedostatku.

Donoszę tedy kochanemu Papie, że emigracya może być rozbitą w skutku położenia, które opisałem, ale że to na mój los żadnego wpływu mieć nie może; bo nie masz kombinacyi, w któréj mógłbym wrócić do kraju, jako należący do skazanych na śmierć w Warszawie. Mnie, jako takiemu, nic innego nie pozostaje, jak tylko siedzieć w Paryżu, pracować i zarabiać sobie na dobre życie i dobre imię u ludzi, i nadto starać się, żeby kochany Papa, dla którego nie masz bezpieczeństwa w Galicyi, połączył się zemną. O moich interesach to jeszcze donoszę Papie: Tom pierwszy i drugi, według życzenia Papy, wyexpedjuję drogą najpewniejszą, bez skompromitowania kochanego Papy. Za tom trzeci i czwarty prenumeratorowie moi niech zapłacą drugie 15 franków. Z tych pieniędzy ja ani jednego grosza nie potrzebuję. Wszystko co tylko się zbierze jest własnością kochanego Papy. Jest to święty fundusz na drogę dla Papy, na drogę, którą wpływ Moskwy w Austryi czyni konieczną i niezbędną. Expedycya tomów jest bardzo trudna, jednak jest podobna. Słabość moja wstrzymała postęp tomu trzeciego. Ledwo za dni 20 będę mógł pracować. Riccard zakazuje mi sedenteryi zupełnie teraz, pod karą recydywy; ale zabrania także i wielkiego ruchu. Tak być musi czas niejaki. Wiele razy dom nasz spotka jakie nieszczęście, po tylekroć od dzieciństwa mego spostrzegam około niego rękę przyjacielską kochanego i drogiego mojemu sercu pana Jana Henryka! — On jeden zawsze tę naszą skołataną nawę podpiera

w burzy i do reszty upaść nie pozwala. Jakże to pięknie z jego strony i jak szlachetnie!! To co mi Papa teraz o nim piszesz, do łez mnie pobudziło... Zawsze ten sam; kochać go więcéj nie mogę, jak go przedtém kochałem; ale uczę się w miarę nieszczęść naszych coraz lepiéj poznawać jego charakter i jego cnoty!

Chwała Bogu, że Klementyna skończyła swoją kareyrę rozwódki. Ale co się z jéj dziećmi dzieje? Wracając się do Tymoleona, nie tyle żałuję straconego przytułku dla Mamy, który nigdy nie mógł być serdeczny, skoro go taka drobnostka mogła odjąć Mamie, ile że mogło przyjść do kolizyi tego rodzaju; jednak postępek pani C... jest zadziwiający. Nie zgadza się to wcale z ową wysoką chrześciańską cnotą, o któréj kochana i dobra moja Mama tak wymownie i często opisała, a za którą ja i Kamil nieboszczyk zasyłaliśmy dzięki niebu. Wszakże można było wyperswadować Pannie romanse, a nie wypowiadać schronienia Matce tylu dzieci, osobie tak poważnéj, dobréj i nieszczęśliwéj w skutek powszechnego nieszczęścia, wreszcie krewnéj siostrze. — Otóż tego ja wcale nie pojmuję! Lecz *dom pod firmą Opatrzności*, jak się Mama wyraża w liście c), daleko dłużéj będzie gościnnym dla Mamy jak Polanka, gdzie widać gościnność była tylko grzecznością chwilową dla oka, dla świata, gdzie upatrywano tylko byle jakiéj okazyi pozbycia się ciężaru z domu. Zaczynając ten list, miałem zamiar napisać go najobszerniéj, ale to niepodobna. Dieta i pijawki tak mię osłabiły, że już mi ręce drżą i nogi, i znowu do łóżka pójść muszę. Za to wolę w miarę, jak mi zdrowie przybywać będzie, częściéj odzywać się do kochanych Rodziców; teraz zaś uściskać tylko ich rączki i nóżki. Nota bene. Wszystkie starania o wynalezienie listu Papy były daremne, ponowię go jednak, jak tylko zupełnie wyzdrowieję. I to jest także rzecz niewątpliwa, że ja pisałem parę listów, których Papa nie odebrał. Cóż-

bym miał za racyą tak upornie przytém obstawać? Pisałem te listy z ulicy Dauphine pod adresem zwyczajnym. Adres mój jeszcze ten sam, ale na zimę wyprowadzę się ztąd, i zaraz jak się to stanie doniosę o zmianie pomieszkania mojego.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

a) To co pisze Maurycy, powinno było być drukiem ogłoszone do zbioru jego artykułów, gdyby było nam podobna przesłać ten list do tych, którzy zbierali jego pisma po śmierci drogiéj pamięci syna mojego. Ponieważ cała emigracya, znajomi i nieznajomi, dawniejsi przyjaciele i późniejsi zawistni nieprzyjaciele, widząc Maurycego mającego stosunki i zażyłość z tymi panami, na których w rewolucyi sarkał tak sprawiedliwie, jednogłośnie, wiedząc, że pisze Historyą rewolucyi naszéj; widząc, że mu rozmaici panowie, znając jego talent pisania, oddają sprawiedliwość i starają się robić uprzejme stosunki z sobą, których dla największéj dokładności w historyi Maurycy koniecznie potrzebował, więc zajedli się stali nieprzyjaciele, krzycząc, dowodząc, że Maurycy zmienił charakter, zmienił zdanie dla interesu własnego i tym podobne obelgi miotali na niego z największą zajadłością. Ztąd wyszedł ów list drukowany Nabielaka, w którym mści się jak szalony, bredzi jakby zapłacony, klei niedorzeczności niesłychane; co większa, zapomina się, że on właśnie wyszedł na scenę téj rewolucyi jako uczeń tegoż samego Maurycego, który uważając w nim odwagę, oswajał go z chlubną przyszłością. Nabielak w swoim nierozumnym liście używa nawet stylu, którego nauczył się od Maurycego. Nie przeczę, że i pierwéj i teraz umieli i umieją pisać, lecz mieszkając w Warszawie i czytając wszystkie pisma ówczesne, każdy przyzna, że sposób najpiękniejszego wyrażenia się w stylu wziął początek prawie od Maurycego; przynajmniéj słowa Nabielaka, któremi czernić się odważył Maurycego, wyszły z pod pióra Maurycego, były prawie jego utworem. Nakoniec co za szał, jaka lekkomyślność, ciskać potwarze na tego, za którego przyjaźń i stosunki byłby może dawniéj wiele, wiele dał Nabielak. Był téż ukarany. Pogardzono tém pismem w Galicyi. Powiedziano, że Nabielak stracił rozum, stracił głowę w nieszczęściu, któréj zapewne nigdy mieć nie musiał...

Uważać trzeba te słowa Maurycego: „Zawrót głowy opanował wszystkich, znak ogólny dekompozyci, która w biedzie okropnéj, generalnéj koniecznie nastąpić musiała. Nie poznaję moich najlepszych przyjaciół; wszystko to wybiega ze swego kresu, jest do najwyższégo stopnia zirytowane, podejrzliwe i zgłupiało w nieszczęściu."

b) Daléj pisze Maurycy i tak się tłómaczy z podejrzenia, co na niego rzucali, jakoby zmieniwszy charakter dobrego Polaka rzucił się na stronę arystokracyi, która po większéj części była przyczyną zguby kraju. „Pisząc historyą powstania musiałem wejść w stosunki z ludźmi, którzy rewolucyą rządzili i zgubili, dawnemi nieprzyjaciołmi memi. Ci ludzie, licząc w to całą partią, która się w Paryżu znajduje, zachowali dziś więcéj zimnéj krwi, taktu i zdrowego rozsądku i sumienia, jak rewolucyoniści. Oni jedni z całéj emigracyi nie kłócą się z sobą i nie obmawiają nawzajem. Ja za to zostaję z niemi w dobréj komitywie; potrzebuję od nich materjałów do mojéj historyi, co jednak żadnego wpływu na dzieło moje nie ma i mieć nie będzie, bo ja piszę bezinteresownie."

Otóż to właśnie, co chciałabym żeby drukiem ogłoszone było, jak się Maurycy tłómaczy przed rodzicami w przedostatnim liście swoim, jak gdyby potrzebował zdać sprawę za potwarze, które na niego ciskali owi to w nieszczęściu i w zawrocie głowy emigranci. Kiedy Nabielak swe paszkwile drukował na szlachetnego Maurycego, niestety, Maurycy chorował i był bez przytomności, co bardziéj hańbi i potępia tego szaleńca w opinii wszystkich znających, czém był Maurycy. Nadewszystko Nabielak nie powinien był zapomnieć, że Maurycy nie był sierotą, że Maurycy miał familią, którą on znał, w któréj domu w Warszawie może mu się nie źle działo. Lecz nie warto i niegodna jest materia! błoto i nic więcéj, z którego już Nabielak nie wylizie.

c) Pisałam w roku 1834. do Maurycego, mieszkając na Łyszakowie w domu Poniatowskiéj. Niezmiernie skromne było to mieszkanie, pozwolone mi jako emigrantce przez wzgląd może bardziéj na familią znajomą téj Pani. W miesiącu Marcu zimno było okropne, pokoiki prawie pod dachem, trudno było wycierpieć. Zimno łzy czasami z oczu wyciskało. Późniéj znowu z powodu wielkich upałów było tam okropnie gorąco. Taka była moja pozycya, za którą jednak Bogu dziękowałam, że to przecie już nasz osobny był kącik: do stancyi jeszcze ofiarowała ta pani kwartę mleka na dzień, usługę i ogień na swéj kuchni; do tego ja miałam jeszcze na miesiąc 20 reńskich m. a. Owoż tedy byłam już spokojną i pi-

sałam do Maurycego, że założyłam dom dla nas na nowo pod firmą *Boskiéj Opatrzności*, co memu kochanemu Maurycemu ták się podobało, że w tym liście swoim powtórzył: „Lecz dom pod firmą Opatrzności, jak się Mama wyraża w liście, daleko dłużéj będzie gościnnym dla Mamy;...“ i w rzeczy saméj przepowiednia Maurycego ziściła się. Boska Opatrzność, w któréj najsilniejszą ufność położyłam, zarządziła odtąd losami naszemi tak, że stopniowo wzrósł mój domek na nowo i niedostatek nie dał się czuć więcéj, co prawdziwie cudem się tylko dziać mogło. Pod każdym względem zrujnowani zostaliśmy w skutek rewolucyi. Wprawdzie nieporozumienie moje z familią zadało mi cios bolesny; nie zasłużyłam na to bynajmniéj. Traf ten nawet nie biorę im za złe, lecz przypisuję go fatalnym losom, które mię prześladowały podówczas. Co się tycze wyrażenia się Maurycego w téj materyi, nie trzeba go. brać dosłownie. Maurycy zażalony, rozdrażniony, o 300 mil nie znający osób, mógł zanadto w żółci pióro umoczyć. Cnoty pani C. są nieporównane. Jéj szczerość, dobroć i uprzejmość, gościnność, jakiéj dała nam dowody, były, są i będą nieskażone. Zły duch wojował w okoliczności zaszłych naszych nieporozumień. Dziś się kochamy jak dawniéj; ale wówczas, dość podobno, by się drzewo ku upadku nachylać poczęło, aby kozy po nim skakać poczęły, jak to dawne przysłowie niesie. Emigrantka, musiałam także wówczas doznać losu emigrantów, tułać się i cierpieć różnego gatunku niedole. Zajęta jednak i synami za granicą i tą wielką naszą sprawą, tak nieszczęśliwie ukończoną, chorobą syna drogiego Kamila i potém jego śmiercią, żyłam w najsłodszych związkach i stosunkach z familią, zawsze u familii. Gdy się poczęły bolesne nieporozumienia ni ztąd ni zowąd, czułam to i widziałam, że upadek domu naszego, fortuny, widoków w przyszłości, staje się właśnie powodem do téj nowéj przykrości. Gdy więc mogłam znowu oddzielny domek założyć z moją familijką, dałam mu firmę *pod Boską Opatrznością* i dobrze się mnie dotąd w nim dzieje. Przy końcu Października przeniosłam moje mieszkanie na ulicę Ormiańską. Najęto mi parę pokoików i kuchnią porządną; opatrzyłam się w najistotniejsze sprzęty i chciałam koniecznie mego męża zaprosić do mieszkania z nami, który zawsze stał w mieszkaniu państwa Muszyńskich. Zbiegał czas na tych staraniach połączonych zawsze ze zmartwieniami. Powód wyprowadzenia się z ostatniego mieszkania była jakaś bojaźń trzymania emigrantów w domu pani Ponia.... Widoczna była jéj chęć pozbycia się nas, mając wzgląd przypochlebienia się rządowi, który począł ścieśniać coraz bardziéj wolność pobytu w Galicyi; już się ukosem patrzono na nas wszy-

stkich wyszłych z Polski, już się ogromnie rząd porozumiał z wolą nienawistną i mściwą cara. Powoli więc dano nam czuć, że nadal mieszkać nie mogę w domu pani Ponia..... chociaż do saméj swojéj śmierci miło i grzecznie w swoim mnie salonie przyjmowała. Drugi powód wyprowadzenia się na zimę ztamtąd był oddalenie zbyteczne od mieszkania mego męża, który codziennie nas odwiedzał. Zimową porą te przechadzki miałyby skutek najgorszy dla zdrowia jego delikatnego. Nakoniec już w Listopadzie odbieramy następujący list ostatni Maurycego.

List ostatni Mauryoego Moohnackiego do rodziców.

Dnia 6. Listopada 1834. Auxerres. Departement de Saône,

Najdrożsi Rodzice!

Jestem teraz w Burgundyi, w miasteczku Auxerres nad rzeką Saône, zkąd departament bierze swoje nazwisko. Jestem więc w tém samém miejscu gdzie raz nocowałem z Kamilem, odwożąc go do południowéj Francyi, zkąd obydwa pisaliśmy do kochanych rodziców. Powód mojego przeniesienia się z Paryża do Auxerres był nasamprzód, potrzeba wykurowania się w tutejszym klimacie górzystym z ostatków słabości, które mnie męczyły od Maja. Od miesiąca tu siedzę, i gdyby nie kaszel z kataru w piersiach, mógłbym powiedzieć, że jestem zdrów zupełnie, lecz to bagatela, która wkrótce zapewne przeminie. Druga przyczyna jest, że tu druk o połowę mniéj kosztuje, jako téż w ogólności wszystko jest o większą połowę tańsze jak w Paryżu. I tak np. pomieszkanie moje ze ślicznym widokiem na rzekę, która pod oknami płynie, i na góry, które otaczają miasto do koła, złożone z jednego dużego salonu i przedpokoju, z meblami, z pościelą itd., kosztuje mnie franków 11. na miesiąc. Jest tu także depot Polaków złożone z najgodniejszych i najuczciwszych oficerów. Mamy więc w kil-

kunastu własny menaż, własnego kucharza Polaka żołnierza, którego pomocnikiem jest podoficer kuchta, i jadamy razem. Obiad nasz przypomina zupełnie Polskę i kosztuje nas każdego na miesiąc z winem franków 18. Większéj taniości nietrzeba nawet szukać, ani podobna znaleść w Polsce. Po obiedzie zwykle zgromadzamy się na wisku u majora Dębowskiego, prezesa zakładu, albo u mnie, i tym sposobem wieczór nam upływa. Pomyślałem sobie, kochany Papo! iżby to był właśnie rodzaj życia, któryby się najwięcéj Papie podobał, i jeżeli gdzie to właśnie tu w Auxerres dałyby się zrealizować wszystkie plany snowane przez nas od lat dwóch, dążące do połączenia się z Papą. Tu za temi górami odetchnąłem cokolwiek; tak tu jest miło i cicho. Pozwolenie wziąłem z Paryża tylko na dwa miesiące, ale wezmę prolongacje i myślę tu zimować. Znając tyle Polonii osobiście, nigdzie nie natrafiłem na ludzi bardziéj uprzejmych, lepiéj wychowanych jak tu.

W Emigracyi wojna domowa trwa ciągle. Mnóstwo partyi, rozjątrzenia coraz większe. Nie ma końca temu wszystkiemu. O co idzie? Coby to wszystko znaczyło? Na to odpowiedzieć trudno, i nigdy dostatecznie! Jest partja jedna co się chce nazywać demokratami, druga jest partja Dwernickiego, który się prowadzi Bóg wie po jakiemu, trzecia jest partja dyplomatyczna, do czwartéj należą ci wszyscy, którzy nie chcą o niczém wiedzieć, i tylko w pokoju chcieliby się doczekać jakiejś pomyślnéj pory. Te stronnictwa wojują ze sobą w gazetach, i pojedynkują się indywidualnie. Już mnie to wszystko znudziło do najwyższego stopnia. Jedni rzucają klątwę na księcia Czartoryskiego, drudzy się temu opierają, i słusznie, bo kiedy ten człowiek mógł szkodzić sprawie naszéj, pozwolono mu wszystko czynić w rewolucyi; dzisiaj kiedy jéj już szkodzić nie może, a dopomódz chce, i ma potemu wpływy za granicą, nie widzę, dla czegoby go

miano dość późną i bezskuteczną zemstą od czci i wiary odsądzać. Takie jest moje przekonanie. I ja dzisiaj należę do jego obrońców, jakem należał kiedy był czas po temu w rewolucyi, do przeciwników jego najgwałtowniejszych.

Tom trzeci mego dzieła już gotowy, lecz jeszcze nie wydrukowany. Słabość moja trwająca ciągle przez pięć miesięcy jest tego opóźnienia przyczyną, teraz nawet rzecz idzie bardzo powoli, ponieważ sedentenyi jakiéjś wymaga. Tak ogromne dzieło, zabiłoby mnie niewątpliwie. Oprócz tego interesa nasze publiczne wymagają tego, ażeby tu z Auxerres wychodził dziennik w którym ja wielki udział, główną redakcją wziąłem na siebie, co moje dochody znacznie powiększa.

Expedycja egzemplarzy dla moich prenumeratorów już jest przedsięwzięta, pomimo ogromnych przeszkód. Niechaj Papa będzie łaskaw napisać mi czy te dwa pierwsze tomy dobrze przyjęte zostały w kraju, bo tam entrepryza kilkaset tomów ze swéj strony oddawna posłała.

Położenie moich drogich rodziców jest to, co mnie teraz najmocniéj dolega. Od zgonu Kamila nie miałem większego nad to zmartwienia. Cóż to za rzecz okropna tułać się między swoimi, we własném kraju być jakoby wygnańcem. Z tém wszystkiém ja powiadam, że na to złe nie masz tylko jedno lekarstwo, ażeby tu kochany Papa przyjechał. Z mojéj strony ta rada możeby się wydawała egoizmem dla reszty familii. Wprawdzie co do mnie w mojém dzisiejszém sieroctwie, całe moje szczęście zależy na tém tylko, iż sobie myślę, że tu Papa przyjedzie; jednakże nigdybym Papie nie radził oddalać się od familii i opuszczać kraj, gdybym nie wiedział z pewnością, że Papa nie zniesiesz, bo nie może znieść swego obecnego położenia. Nastawać na to, nastawać na to ciągle i koniecznie żebyś tu Papa przyjechał, jest to tylko chcieć ocalić zdrowie kochanego mego Papy,

za co mi cała familia wdzięczną być powinna. Tu jakożkolwiek bądź, jest wcale inne życie. Tu Papa znajdzie się natychmiast w swoim naturalnym elemencie, w ruchu, w czynności. Środki exystencyi nie interesują mnie bynajmniéj, pomimo całego rygoru, z jakim nowo teraz przybywającym odmawiają żołdu. Ja go wyrobię dla Papy, ja, który zostaję teraz w stósunkach zgody z osobami mogącemi wszystko w rządzie tutejszym. Czego żołdem nie opędziemy, to będziemy okrywali dochodami pobocznemi. Będziemy mieszkali w prowincyi, naprzykład w Auxerres, gdzie utrzymanie się jest niezmiernie łatwe, zkąd do Paryża za godzin 17 zajechać można. Tu we Francyi zaręczam za jak najdłuższe zdrowie, za dobry humor, za spokojność kochanego Papy. Biorę to na siebie, na moje sumienie. W kraju nie jestem pewny ani jednéj chwili. Zresztą lękam się moskiewskiego wpływu w Galicyi wszechmocnego. — Te są moje powody. A środki do podróży, te kochany Papa znajdzie w prenumeracie na drugie dwa tomy mego dzieła. Po rozdaniu dwóch pierwszych adres mój: à monsieur Maurice Camille, Auxerres Departament de Saône en France. *Ulica na któréj mieszkam nie ma jeszcze nazwiska*, ale to nic nie szkodzi bo mnie tu na poczcie znają, wreszcie można dodać u spodu na kopercie Chez Madame Turqui.

Począwszy od téj daty, korespondencja nasza pójdzie swoim trybem regularnym. Rączki Papy i Mamy całuję serdecznie, cioci i Olimpki. Kochanemu panu Janowi Henrykowi zasyłam serdeczne uściśnienie. Jest to Opatrzność naszego domu, jak te owe dobre duchy co kiedyś czuwały nad pewnemi familiami. Do Tymoleona i kasztelana Bieńkowskiego napisałbym, lecz zginął mi adres ich.

Maurycy Mochnacki.

Koniec téj korespondencyi. — W dni kilka Maurycy zachorował, a wkrótce w gorączce utracił przytomność, tak, że nawet nie czytał naszego ostatniego listu. Taka była wola Twórcy naszego — Boże! przyjmij tę ofiarę nowéj krwawego serca rodziców próby dopustu i rezygnacyi. Wezwałeś, Panie, Maurycego. Serce jego i dusza brzydziły się występkiem, unosiły się jedynie dla cnoty. Wezwałeś go Panie i jest dotąd już szczęśliwym, bo taka była Maurycego i matki jego wiara, nadzieja, miłość i ufność w nieskończoném miłosierdziu Twojém. Ja nie straciłam dzieci moich. Bóg mi je wziął pod opiekę swoją świętą dla ich dobra, o które tu na ziemi téj za trudno było dla nich. Bóg dobry powoła i mnie matkę ich wkrótce już, by mnie oddał dzieci moje, by im oddał matkę, gdyż nie mam wyobrażenie innego szczęścia w przyszłości gdyby ten święty węzeł natury, który łączy matkę z jéj dziećmi, mógł być tam rozerwany. Maurycy i Kamilu! Bóg nadzieja nasza, wiara i ufność. — Wkrótce, dzieci moje, będziemy połączeni.

31. Stycznia 1842.

Marya M.

Nota.

Nim zamieszczę kilka jeszcze listów wyjaśniających chorobę i śmierć Maurycego, dla pamiątki napiszę okoliczności moje domowe, w jakich podczas odbierania tych ostatnich listów znajdowaliśmy się. Pierwszy tom historyi powstania, dzieło Maurycego, doszło w rzeczy saméj, ale nie wiem jakim sposobem do rąk ojca, bo już policya zaczęła je ścigać jako owoc zakazany. Jakież ta książka, ta krwawa praca, można powiedzieć Maurycego, robiła wrażenie na sercach rodziców, na umysłach tych wszystkich, którzy czytali prawdy dotąd w ukryciu przed światem zostające, trudno wyrazić. Pociecha, smutek, łzy, uśmiech gorzki, podziwienie, zadowolenie z jasnéj i czystéj prawdy, któréj sami byliśmy świadkami, miotały duszą naszą naprzemiany. Wydzieraliśmy sobie tę książkę podówczas tak rzadką a tak ciekawą, by jedni czytali w dzień a drudzy w nocy, ja zaś przyciskałam ją do serca; lecz delektowanie się tym zbiorem wiadomości, pojęcie i zgłębienie treści odkładałam na późniéj, bo za ciężko było na mój umysł skołatany, na serce podrażnione, na odurzenie, którego ciągle doświadczałam z powodu rozmaitych okoliczności a zawsze dręczących, by można ją czytać z uwagą. Do przykrości z powodu wyprowadzenia się naszego z dworku pani Poniatowskiéj, przyłączyła

się obawa utracenia najlepszego a jedynego przyjaciela naszego Jana Henryka S., który nagle w skutek attaku apoplektycznego, od Czerwca jeszcze długą i niebezpieczną chorobę przebywał; dalsze niesnaski familijne, komerażе z powodu zdarzeń zaszłych między nami najniewinniéj, truły życie moje, ponieważ delikatność uczuć moich cierpiała niesłychanie. W końcu ostatnia moja spokojność o los najmłodszego syna mojego Tymoleona zrujnowaną została przez śmierć nagłą otrutego, jak się zdaje kasztelana Bieńkowskiego, który wziął Tymoleona na swoję opiekę, co właśnie stanowiło naszą spokojność o przyszłość syna. Bieńkowski umarł, nowe udręczenie! Tak to podówczas ścigały nas kłopoty, jedne gorsze od drugich; wypoczynku żadnego, z tego powodu ja się znajdowałam prawie w stanie odrętwienia. Napisaliśmy nasz list ostatni do Francyi na początku Grudnia 1834. r. i donieśliśmy o nowym naszym kłopocie co dalęj wypadnie robić z Tymoleonem. Tak zeszło jak mi się zdaje aż do 24. Stycznia 1835. r. gdy razu jednego przed samym obiadem, siedząc w drugim pokoiku naszego mieszkania, oczekuję mego męża aby zjejść razem z nim obiadek, bo jeszcze dla ciasnoty nie mieszkał z nami, lecz dla tego, że wygodniéj i blisko pozostał u Muszyńskich. Postrzegam wchodzącego męża chwiejącego się na nogach; blady jak śmierć, oczy gasnące, nie miał sił płaszcza utrzymać na sobie który o parę kroków wlókł się po ziemi. Mąż mój pada na kanapę, Boże mój co to jest?... pytam się... milczy, westchnął ojciec, a ja wnet odgadłam: Maurycy nasz pewno już umarł... Nie żyje już Maurycy wyrzekł biedny ojciec.

Cóż nad to więcéj powiedzieć! Już się więc od razu wszystko skończyło; wszystko ucięło. Śmiertelnym ciosem uderzona w samo serce potoczyłam się na ścianę, Zosia siostra moja, Olympia córka między nami. Łzy nawet nie płynęły, zatamowały się wszystkie arterye życia mego, zdawało się, że oddech ustaje, po długim wreszcie jęku nas obojga, zapytałam: Zkąd ta wiadomość? Gdzie list? Kto o tém donosi? O Boże! może to fałsz jeszcze! Niestety! to nie fałsz, odpowiedział mój mąż, byłem w cukierni Pole jak zwyczajnie przeczytać gazetę, i wyczytałem, że Maurycy Mochnacki jeden z najznakomitszych pisarzy tegoczesnych, wychodźca z Polski, umarł 20. Grudnia w Auxerres. Zebrałem ostatek sił moich zerwałem się i oto tu przywlekłem się do was. Ktoś nawet z cukierni litując się nademną, szedł za mną i tu mnie aż na schody odprowadził. Dowiedzieliśmy się potém, że to był poczciwy, nieoceniony nasz autor Nowakowski.

Rzecz najszczególniejsza! dla czego ja od razu zgadłam wcale

nie przewidzianą i najmniéj spodziewaną śmierć Maurycego? dla czego na żadną inną przyczynę nie złożyłam tego ogromnego smutku, w którym widziałam wchodzącego męża? Oh! ta śmierć syna musi mieć coś sympatycznego z jego rodzicami. Syn umarł, ojciec o tém się dowiedział i dość było pokazać się matce, by oczami, fizyognomją zakomunikować tę wspólną boléść.

Stanowczy ten cios w domku naszym zadał jakby śmierć ogólną sercom a nawet że tak powiem, władzom duszy naszéj. Taczania się, jęki, wykrzywianie fizyonomii, chodzenie z kąta w kąt, pomięszanie, wszystko to było, ale łzy ani kropli. Ojciec leżał na sofie z głową na piersiach, rękami założonemi, czasami wybąknął tylko, Boże mój! któżby się tego nieszczęścia spodziewał, a ja czułam że mi siły ustają, że się oddech tamuje; żal z serca pochodzący jest boleścią, ściśnieniem nie do opisania, nie do wyrażenia. W drugim pokoju padam na łóżko, zakrywam twarz rękami; na to wchodzi kochany nasz przyjaciel domu Jan Henryk S. spostrzega od razu, że coś okropnego zajść musiało, przechodzi koło męża mojego, idzie daléj, znajduje mnie na łóżku. Dla Boga! co się tu stało? rzecze, ja milczę... Co się tu stało? pyta powtórnie niecierpliwy, trzebaż powiedzieć! jeszcze pauza z mojéj strony... Maurycy mój umarł! Co? to być nie może! to bajka, zkąd ta wiadomość? Ach! cicho rzekłam, nie bajka, ojciec czytał o tém artykuł z Francyi w gazecie powszechnéj. Osłupiał poczciwy Jan Henryk, lecz by się żalowi nie dać szerzyć, natychmiast szczerym swym charakterem postanowił wzmocnić ducha mego, azatém ze surową fizyonomią rzecze: Na śmierć niemasz rady, cios który was dotknął, dotyka i kochających was przyjaciół; strata ta nie tylko jest waszą, ale stratą kraju, a nawet stratą powszechną, tak pod względem charakteru jako téż i wielkich zdolności Maurycego. Lecz gdy umarli nie wstają z grobu, gdy każdy z nas umrzeć raz musi czy prędzéj czy późniéj; azatém nie widzimy w téj śmierci nic nadzwyczajnego. Biorąc mię za rękę, tak daléj rzecze: pokój niech będzie twojemu kochanemu Maurycemu, oddaj go Najwyższemu, lecz pamiętaj pani, coś winna mężowi, pamiętaj żeś go wspierać powinna i nie dawać mu upadać na siłach, w boleściach, i nie żywić w nim arcy słusznego żalu; masz porę okazać wyższość swéj duszy; pamiętaj pani nakoniec... racz a to pamiętać, żebyś się nie stała niewdzięczną przyjacielowi waszemu, który przez całe życie zasługiwał się domowi waszemu. Jeżeli nie uspokoicie żalu, nadaremnego już, jeżeli okropnością smutku dręczyć mię będziecie.. milczałam... ale ta mowa łzy mi wycisnęła, uczułam całą prawdę. Cóż to? rzecze, więc ja u was niczém nie jestem, niczém nie będę,

nie mam żadnych zasług, żadnych względów, o nie! tak być niepowinno... Zaklinam cię, pani, zrób tę ofiarę dla najszczerszego i najnieinteressowańszego przyjaciela waszego, wstań, przyrzec, że pokonasz ten cios, i że dopomożesz mi do uspokojenia nieszczęśliwego ojca. Masz racją, rzekłam, chcę wszystkiego próbować. O Maurycy, mój drogi synu, pokój tobie! Bogu cię polecam...

Poszłam za wolą Jana Henryka, tego szlachetnego człowieka. Podałam mu rękę i odtąd jedynie zajęta byłam mężem moim wraz z nim i różnemi osobami, którzy powoli po rozgłoszeniu naszego nieszczęścia odwiedzać nas poczynali, niosąc udział żalu straty naszéj i tamując o ile kto zdołał bieg ten krwawego bólu. Na noc odprowadzono i bardzo z sił opadłego męża mego do jego mieszkania. Położył się prędko. Jaka noc była, każdy pojmie. Jaka noc była moja, gdym się sama została? Oddałam się całéj zgryzocie, przemyślałam o całéj okropności tego zdarzenia, to modliłam się, to płakałam, to chodziłam, to znowu rzucona o pościel jęczałam. Ranek znowu powołał mię zobaczyć, w jakim stanie mąż mój nieszczęśliwy się znajduje. Poszłam do niego. Blady, milczący, zbolały, wyrzekł, że nie ma sił, by wstał z łóżka. Klęknęłam koło niego, utuliłam jak tylko mogłam, okazując moją rezygnacyą. Nakoniec to rzekłam: Pamiętaj, drogi mężu, zanim nasze dzieci zostały skarbem naszym, ja, ich matka, byłam dla ciebie wszystkiém, tak jak wzajemnie byłeś i jesteś najpierwszém dobrem mojém. Pamiętaj, że ja jestem sierotą, że jedynie w tobie i na tobie polega spokojność może i cały byt mój. Wiesz, żeśmy stracili cały majątek. Któż o twojéj żonie, o Olimpii, o Zosi, o Tymoleonie myślić będzie? Kto się opiekować nami będzie? Przysiągłeś nigdy mię nie opuszczać, a teraz niedbasz o życie, niedbasz o nas, oddając ostatek twych sił na pastwę żalowi. Chceszże nas do rozpaczy przywieść? Temi słowy naprowadziłam to jego poczciwe serce. Uściskał nas, począł się ruszać, przyjął podaną kawę; w parę godzin rozmawialiśmy o tém już z rozwagą, jedno drugiemu podawało powody tego zdarzenia, oczekiwaliśmy listów z Paryża. Jan Henryk z swojéj strony czuwał nad utrzymaniem sił moich: swojemi prośbami, groźbami jak mógł tak się stawiał. Ja zaś czułam, że się jemu wdzięczność należała za tyle dowodów jego poświęcenia się dla nas. Lecz żal matki po stracie takich synów ma swoje prawa nadewszystko. Płakałam gdzie tylko mogłam. Moja dusza była rozdarta. Tak minęło dni parę, chodziłam do kościoła Dominikanów, modliłam się. W najgłębszych pomysłach dostała mi się książka pierwszy raz do ręki l'Imitation de Jesus Christ; wczytywałam się w nią, nabierałam ducha, pokory, rezygnacyi; nabie-

rałam tego gorącego pragnienia stawienia się Bogu tak jako chrześcianka prawdziwa; czytałam, modliłam się, czułam jakąś ulgę. Dnia jednego u stóp ółtarza bardzo rano po prawym ręku w kościele żal bardzo mocny ścisnął moje serce nachylone aż do ziemi jakby z losem moim pojednane, ukojone w żalu całą duszą w Bogu, zdawało mi się, że jakieś błogie uczucia wstąpiły powoli do serca mego. Nie mogę się podnieść; łzami zalana zostawałam czas jakiś. O Boże litościwy, pomyślałam sobie, Maurycy mój nie żyje, a ciężar tej straty zdaje mi się, jakby był lżejszym na sercu mojém. Idę do domu, mąż mój się uśmiecha: Oto masz list wprawdzie nie od Maurycego... zdaje się, że w tym liście Maurycy chociaż chory ale żyje jeszcze... czytajmy, czytajmy.... Czekaj, kochany mężu, wtenczas się odezwałam: ja aż nadto czuję, że Maurycy już nie żyje. Pamiętaj nie robić sobie nadziei z tego listu, cóżkolwiek on pomyślnego zawierać może. Serca nasze już razem śmiertelnym ugodzone, raz zabite, czyż mogą się łudzić? O! Maurycy już umarł, mężu mój kochany, bo ja, matka jego, to czuję. Lecz czytajmy. Adres listu zupełnie nieznajoméj ręki.

List Walewskiego, oficera polskiego z depôt w Auxerres.

Auxerres, 20. Grudnia 1834.

Zastanowi pewnie Pana D..., że nieznajomy odpisuje w imieniu Pana Maurycego. Chcę się więc dać poznać o ile to przy nieznaném imieniu potrafię. Pragnę się zalecić sercu ojca, kiedy mię syn zaszczyca swojém przywiązaniem i ściślejszą, śmiało to wyrzec mogę, przyjaźnią, jak kogokolwiek w naszéj Emigracyi. Jeszcze w Warszawie, idąc raz z Maurycym, miałem szczęście widzieć się z Panem D., ale nie mam pretensyi, aby mąż tyle zajęty sprawami publicznemi, miał pamiętać tę drobną okoliczność wśród wielkich wydarzeń rewolucyi. Po upadku Warszawy zjechaliśmy się z Maurycym w Paryżu; odtąd był ciągle na mnie łaskaw. Od czasu po-

wrotu jego z Marly mieszkaliśmy zawsze razem w Dauphine à Champs Elisées. Z Paryża przybyliśmy do Auxerres. Tu znowu nierozdzielni wspólnie pracujemy, bawimy się i poważamy. Pewno już nic nas nie rozłączy, pochlebiać to sobie śmiem; bo nasz Maurycy tyle czuły, znany z charakteru swego, z swego najlepszego serca, tyle jest kochający; dobrotliwa jego dusza nic dla mnie nie ma skrytego. Nie jest mi obcy żaden stosunek jego familijny. Kocha ją nad wszystko. O niéj najmiléj mu zemną rozmawiać, o niéj też najwięcéj zemną mówi, powierza mi wszystko i pozwala czytać wszystkie listy. — Gdy w połowie zeszłego miesiąca pojechał na dni kilka do Paryża, ja miałem zostać w Paryżu, ja miałem zostać w zakładzie; ale go odwiózł i przywiózł Janusz Woronicz, nasz przyjaciel, który niemniéj jak ja jest troskliwy o dobro Maurycego i jego zdrowie. Upoważnił mię jak zwyczajnie do odbierania wszelkich listów, aby na ważniejsze odpowiedzieć, lub mu je przesłać do Paryża. List zaś każdy Pana D. miałem zatrzymać, a kopią przesłać do Paryża Maurycemu niezwłocznie. W istocie nadszedł w tym czasie przedostatni list Pana D. przysłano go z byłego naszego mieszkania w Champs Elisées. Maurycy bawiąc podczas swego pobytu w Paryżu u Woronicza, nie mógł mieć o tym liście wiadomości. Ja po przeczytaniu tego listu, chociaż w nim nic nie znalazłem zastraszającego, wachałem się jednak posłać kopię Maurycemu; bo nie wiedziałem w jakiéj go zastanie dyspozycyi, a wiem jakie wrażenie nań robi każde familijne doniesienie, prócz tego miał za trzy dni powrócić. Zaraz za jego przybyciem przeczytałem mu ten list. W śmierci kasztelana Bieńkowskiego widział nowy dowód nieprzebłaganego przeznaczenia, które prześladuje jego nieszczęsną rodzinę. Dla tego to, widząc go tyle skłonnego do smutku z powodu każdego wydarzenia, słabego przytém od niejakiego czasu, obawiałem się od-

dać mu list Pana D. z daty 4. Grudnia. Przeczytałem go sam wprzódy, a znalazłszy go pocieszającym, miałem go już wręczyć, gdy mnie następne od tego odwiodły uwagi. Oświadczasz Pan D. życzenie, aby Maurycy kontynuował Historyą, a porzucił Dziennik. Ja mu to samo ciągle powtarzałem; prosiłem, zaklinałem, aby porzucił pisemko, co mu goryczy narobić może, a nawet koniecznie narobić musi; lecz na prośby utrzymywał stale, że podobny dziennik na zbawienie sprawy bezwątpienia wpłynie i nie dał się odwieść od przedsięwzięcia. Opponowałem przeciw temu jego poświęceniu się nowemu, wzywałem ku pomocy naszych przyjaciół, aby mu równie odradzali, nakoniec groziłem Maurycemu, że napiszę do Pana D., abyś ojcowską powagą odwiódł go od tego zamysłu; uczułem nareszcie, że moje naleganie bezowocne i nieprzyjemne Maurycemu. Postanowiłem nareszcie dysymulować i pochwalać zamiar dziennika i zająć się nawet jego pomocą. Podobało mu się to widocznie, nie chciałem więc okazaniem listu Pana D. wznawiać dyskusyę w słabowitości jego położenia. Nie wątpiłby albowiem, że list ten na moją pisany prośbę; gniewałby się na mnie, a więcéj, jak kiedy, potrzebna mi jego powolność, gdyż odemnie tylko przyjmuje lekarstwa. Mnie jednemu udawało się dotąd umiarkować znaną Panu D. niechęć jego do lekarzy. Drugi mnie jeszcze upoważnił do tego kroku powód. List Pana D. zakończony niewyraźnie położoną cyfrą, tak jakby nie był skończonym. Prócz tego w listach Pana D., które odbierałem z Maurycym, bywały zawsze karteczki. Obawiałem się więc, by przy swojéj o familię troskliwości, nie miał podejrzenia, że kartki przykre doniesienie zawierające umyślnie wyjąłem. Do tego w dzień odebrania listu miał się gorzéj, dziś znowu lepiéj. Lekarze zapewniają jednomyślnie, że minęło przesilenie choroby, że odtąd powoli wprawdzie, ale ciągle będzie lepiéj. Spodziewam się więc,

że mu za kilka dni będę mógł oddać list; własnoręczną jego odpowiedź przeszlę natychmiast dla zaspokojenia Pana D. Tymczasem zapewniam Pana D., że chociaż ta słabość Maurycego więcéj nas niepokoi jak poprzednia, żadnego jednak niebezpieczeństwa nie ma. Czuję wszelako, ile to niedostatecznie pocieszy troskliwego ojca, czuję własną winę, że przedtém nie pisując do Pana D., teraz wyrazom moim wagi dać nie umiem. Ale czyjéjże użyję powagi? Między będącymi w tutejszym zakładzie kocha Maurycy majora Dębowskiego, kapitana Olszewskiego, kocha wszystkich, bo wszyscy rodacy przywiązani, a on sam jest tyle kochającym, ale ci równie nieznani Panu D. Pan Michał w Paryż, nie pisuje teraz do nas, zmienił jak mi mówią mieszkanie. Piszę do niego i proszę, aby o wszystkiém doniósł Panu D., piszę i do Franciszka Grzymały. Co do pielęgnowania Maurycego możesz być Pan D. zupełnie spokojnym. Czuję ja mój obowiązek i pamiętam, jak Maurycy był niepocieszony, troskliwy podczas mojéj słabości. Nasi w zakładzie tu są wylani dla Maurycego, gotowi własnego udzielić zdrowia. Nas dwóch nieodstępnych przy nim w dzień, trzech w nocy. Zezwalam na to więcéj, aby dogodzić ich przywiązaniu, jak dla istotnéj tego potrzeby. Municypalność tutejsza wezwała mnie, by przyjąć ofiarowane ich dla Maurycego posługi i starania kobiet tutejszego miasta kommissyi zdrowia. Szpitale, zakonnice, wiele prywatnych domów, wszystko się tu ubiega o pierwszeństwo w usłudze dla Maurycego; bo wiedzą kto jest ten Maurycy, a mieli czas poznać go i polubić. Mieszkanie mamy zdrowe, obszerne: trzy pokoje, własną kuchnię, swojego kucharza, szczerego Polaka do usług. Lekarzem jest pan Hirault, wielka figura przez ustaloną w biegłości w sztuce sławę. Był on lekarzem matki Napoleona, potém pierwszym lekarzem cesarzowéj Francuzów. Na konsylium wzywa pięciu miejscowych lekarzy. Przez osobi-

ste przywiązanie do Maurycego zaprosił pan Mongé słynnego lekarza z innego departamentu. Na niczém nam nie braknie. Prefekt oświadczył mi, że jest reskryptem ministra upoważniony do dania wszelkiéj pomocy, jakiejby stan chorego wymagał. Pieniądze mamy; przyjaciele nasi z Paryża nadesłali nam wszystkiego co potrzeba. Zesłali i polskich lekarzy. Książę Czartoryski, Władysław Zamojski, jenerał Dembiński oświadczyli gotowość do pokrycia wszelkich wydatków. Dębowski major, Karsznicki, Woronicz ofiarowali swoje kassy. Śmiało powiem, że w domu pod okiem rodziców nie mógłby mieć staranniejszéj pomocy. Cała Emigracya, że tak rzekę, cała Francya zajęła się tą słabością. Buletyny zdrowia posyłamy na wyraźne żądanie coddziennie do Paryża, do polskich zakładów, do miast francuzkich, gdzie żywotniejszy duch publiczny czuje, jakie to drogie zdrowie dla Polski, dla Europy. Z Anglii pisują krajowcy nasi. Do oddalonéj Ameryki pisujemy o stanie zdrowia Maurycego; bo już wszędzie poznany i pojęty!

Jeżeli powszechny smutek ze słabości syna zdoła zmniejszyć żal obywatelskiego ojca, to zaświadczam, że niewidziana przedtém jednomyślność całéj Emigracyi stłumiła namiętny głos partyi na widok niebezpieczeństwa. Gdyby ta słabość miała trwać dłużéj, zapewne zamieniłaby wszystkich stronnictw żal na jeden i wspólny. Nigdy nikt z żyjących nie miał takiego wzięcia u ludzi jakie posiada dziś Maurycy. Buletynu zdrowia Panu D, nie posyłamy, bo jest w obszerniejszym nieco formacie. Ostatni podpisany przez wszystkich sześciu francuzkich lekarzy jest bardzo zaspokajający; ważniejsze w nim wyrażenia są: „Les symptômes alarments sont complètement disparu.“ Co do natury słabości zgodzili się w jéj oznaczeniu lekarze bez dyskussyi. Nie wątpię o rychłém wyzdrowieniu Maurycego, kiedy lekarze odgadli z precyzyą to wszystko, na co się przez rok patrzyłem. Je-

szcze w Kwietniu pokazało się zapalenie, zapewne w skutek jednostajnego, ciągle pracowitego życia, a braku zmysłowéj rozrywki. Odtąd miał się Maurycy już lepiéj już gorzéj; nigdy jednak zupełnie dobrze. Odrzucał rady ku zmianie życia i w takim stanie kończył tom drugi swego dzieła z niewypowiedzianém natężeniem. Po tego wykończeniu nastąpiły swary, zgryzoty; a na serce był zasłabł jeszcze roku zeszłego po śmierci Kamila. By przerwać zgryźliwe komentarze proponowałem wyjazd w okolice Paryża, mieszkanie jakie wiejskie na ustroniu, gdzieby nie było Polaka i sposobności do dyskussyi. O tajemniczym tym pobycie na wsi nie miał nikt wiedzieć. Z radością przyjął Maurycy ten projekt. Zajęliśmy się przygotowaniem do podróży. Minister pozwolił mieszkać gdzie chcemy; płatnik miał sam odbierać dla nas nasze miesięczne gaże. Tymczasem nasi zgodzili się na wydawanie Dziennika, jak go Maurycy projektował. Ucieszony, że przywiedzie do skutku myśl ulubioną, postanowił wyjechać do zakładu. Nie dał się inaczéj skłonić, zapomniał o zdrowiu. Nie myślał, tylko o sprawie publicznéj. Wyjechał do Auxerres, już nie dla odpoczynku, ale dla większéj jeszcze pracy. Chciałem korzystać z przywiązania jego do mnie: groziłem, że zostanę w Paryżu, lecz musiałem uledz usilnym jego prośbom; zapewniał mnie, że za kilka tygodni wrócimy. W Auxerres rozpoczął polityczne walki; to go wiele kosztowało. Nie traciłem nadziei, że się da namówić do powrotu; w Paryżu, wnosiłem, znajdę więcéj pomocy, w Auxerres prawda mógłby mieć więcéj rozrywki, a nadewszystko więcéj wypoczynku. Wszystko inaczéj poszło, pomimo wszelkich moich ostrożności i zabiegów; bo Maurycy wpadał coraz w gorsze zapały przez dziennik, a z powodu słabości stawał się drażliwszym. Prosiłem więc Woronicza, żeby Maurycego na kilka dni do Paryża wywiózł i tam go zatrzymał z przyjaciołmi, gdyby się

nie bardzo usilnie opierał temu, a ja z rzeczami miałem sam nadjechać i sam go do zostania w Paryżu i do zerwania przykréj, zgryźliwéj pracy ostatecznie przymusić. Napisano mi z Paryża, że Maurycy stale odrzuca tę radę, ale wzywano mię do przybycia podług umowy naszéj. Obawiałem się jednak wystąpić ze zbyt uporczywą opozycyą, chociażby ta była w jego interesie. Powrócił z Paryża, uczuł się być słabym. Nie rozpaczam wszelako, że go koniecznie nie zatrzymano w Paryżu; bo i w Auxerres ma wszelką pomoc, a po słabości swobodniejsze będzie miał miejsce do rekonwalescencyi. O defekt, albo smutne jakie skutki téj słabości na przyszłość, nie ma żadnéj obawy. Myślano wprawdzie z początku, ża pierś ucierpiała, ale instrument nowego wynalazku, który jest w téj mierze nieomylną skazówką, którego używają do sądowania stanu choroby piersiowéj, przekonał nas, że pierś zupełnie zdrowa. Ten jest wierny obraz położenia Maurycego. Obawiam się, aby czułość ojcowska nie wyprowadzała z tego niepokojących wniosków. Wolałem jednak za wiele raczéj, jak za mało powiedzieć. Wiem, że każdy szczegół obchodzić będzie przywiązanego ojca; przez przywiązanie moje określiłem może przesadnie stan cierpienia Maurycego. Lecz ktoby z boku i przez zbieg naszych różnych okoliczności mógł smutniéj tłumaczyć i groźniéj wystawić Panu D. słabość Maurycego jak jest w istocie, upraszam Pana D., przyjąć najuroczystsze zapewnienie, że żadnego niebezpieczeństwa nie ma. Rozważnie to mówię, rzetelnie, mówię do mężczyzny. Ukrywać stan istotnego złego, byłoby więcéj szkodliwém, jak pomnażanie onego. Gdyby było niebezpieczeństwo i ugruntowana obawa o życie Maurycego, wolałbym raczéj przygotować ojca, jak go niebacznie łudzić nadzieją niepewną.

Obywatelu bez ojczyzny! nieszczęśliwy ojcze! zniósłeś już tyle publicznych, domowych i rodzinnych, ciężkich

przeznaczenia razów. Zniósłeś to mężnie. Obywatelowi tak godnemu, ojcu tak dobremu, doniósłbym wszystko, choć najokropniejsze; bo wiem, że to wszystko potrafiłbyś znieść jako mąż w całém znaczeniu tego wyrazu. Szczęściem, że tak nie jest. Ja żadnéj obawy nie czuję, a jednak jestem tak blisko. Lekarze ani chcą słyszeć o niebezpieczeństwie. Będę często umieszczał buletyn o stanie zdrowia; w każdym razie, choćby i najgorszym, nic nie zataję. Adres do mnie ten sam, albo prosto do mnie: Antoin Walewski, officier polonais à Auxerres; lub téż: à M. Gracieux Faure Employé à Auxerres, departement d'Yonne.

Jestem z najgłębszém uszanowaniem Pana D. sługa i przyjaciel Maurycego.

Antoni Walewski.

Nota.

Gdyśmy ten list odczytali, dziwne były nasze uczucia. O! kochany, poczciwy Walewski!... Dzięki tobie za te wszystkie szczegóły tak interesujące, któreś raczył oddalonym rodzicom przysłać. Tu rodzaj pociechy wstąpił do umysłów naszych, tu data listu Walewskiego 20. Grudnia ta sama, którą w Gazecie Powszechnéj położono jako termin śmierci Maurycego. Tu pewność, że Maurycemu nie zbywa na potrzebach, na pieniędzach, na lekarzach; tu chlubny sposób zajmowania się nim tylu osób prywatnych i władz nawet. Tu rodzaj szczególny zapewnienia o życiu Maurycego. Wszystko to zabłysło dla duszy mojéj i zgasło. — Czułam, że śmierć Maurycego jest niezawodną, bo moje serce zabite było. — Umarli nie wstają, a ja odżyć nie mogłam. — Ah! nie łudźmy, się wyrzekłam. Dotąd Maurycy nie żyje już pewno, niech sobie poczciwy Walewski co chce pisze... Nikt z nas nie śmiał wierzyć temu listowi, jednakże chwytano go, czytano, admirowano, cieszono. Dla mnie, wyrzekłam raz jeszcze, mój Maurycy nie umrze raz drugi... I znowu dni parę minęło. Wzmacnialiśmy się wzajemnie siłami naszemi, jedno dla drugiego siliło się być mężnym, mocnym. Ojciec najsłabszy fizycznie, prawie ciągle na nogach się nie mógł trzymać. Ponawiałam zaklęcia, żeby chciał żyć dla mnie, dla nas, tak, jak

mi to zaprzysiągł przed urodzeniem Maurycego. Wystawiłam mu smutny mój stan sieroctwa i reszty jego familii. Często z westchnieniem powtarzał mi mój mąż kochany: „Wierzaj mi, wstydem jest przeżyć takich synów.“ Wprawdzie i ja to czułam. Co większa, tak się czułam upokorzoną od losu, że mi się zdawało, iż jestem biedną, najnikczemniejszą istotą, którą sam Bóg już opuścił, że dozwolił i odebrał dobro ojczyzny mojéj, dopuścił by to wszystko co było chlubą narodu, znikało jak cień przed oczami naszemi, odbierając nam znaczenie, majątek, odwracając serca najbliższych naszych od nas aż do wymyślenia występków, tam, gdzie kiedyś cnoty jaśniały (to odnosi się do zdarzeń które mnie w famili spotkały) nakoniec odebrał ostatnią nadzieję moją, tych dwóch synów, którzy, śmiało mówić można, byli chlubą narodu. Tę ostatnią pociechę mieć wydartą z piersi kochających rodziców i tak już losem znękanych; tak niespodziewanie... Boże... oczywisty palec Twój nas dotyka! Pokora, rezygnacja wstąpiły do duszy mojéj z Twego miłosierdzia, lecz uczucia wstydu méj nędzy, były jeszcze karą Twoją.... O! przepuść Panie.... Znowu ja do kościoła z moją książką L'Imitation de Jesus Christ. Pokora, pokora, miłosierdzie Boskie. Nadzieja i ufność odprowadzały mnie spokojniejszą. Weszłam tak usposobiona do męża mego, widzę go siedzącego przy stoliku między mnóstwem szpargałów, papierów starych, obcych. Ucieszyłam się, bo widziałam, że postanowił już pracować, aby żyć dla nas, i swoją pracą nam pomagać. Za parę dni znowu odebraliśmy list następujący, który okropną pewność potwierdził, lecz więcéj już nam szkodzić nie mógł. Jest to list odpowiadający na moje wezwanie do Auxerres.

List Majora Dębowskiego z zakładu Auxerres.

Auxerres, 3. Lutego 1835.

Madame!

Dopełniając smutnego obowiązku, jakiego pani żądasz, donoszę z największą boleścią opis straty nieporównanéj, niewynagrodzonéj, którą dotknął rodziców, — ojczyznę, — przyjaciół, — i ludzkość. — Nie będę się rozwodził nad żalem, jaki ten cios zadał każdemu sercu

prawemu, bo wspomnienie tak świeżéj rany zbyt jest okropne.

Maurycy w końcu Września opuścił Paryż i niegodnych przyjaciół. Przyjechał do Auxerres z Antonim Walewskim, wiernym i prawdziwym przyjacielem. On, podobno jeden z dawnych niby-przyjaciół, pozostał Maurycemu stałym. Przybycie Maurycego Mochnackiego nader było chlubne dla naszego zakładu, bośmy znali całą wartość tego człowieka stanu. — Zdrowie jego nie było dobre. Ale życie spokojne w Auxerres, powietrze zdrowe i kuchnia polska, szybko powracały mu siły, tak dalece, że przy końcu Października cieszyliśmy się zupełném jego zdrowiem; kaszel tylko lekki czasem nas niepokoił. Maurycy 7. wyjechał do Paryża, nie mogliśmy mu wyperswadować téj podróży. 23. Listopada powrócił do Auxerres znacznie osłabiony, z mocnym kaszlem. Przywiózł sobie proszki z Paryża, zapisane przez polskiego doktora Wołowskiego, które nazajutrz zaczął zażywać. W cztery dni kaszel zupełnie ustał, ale za to ból w krzyżach i głowie zaczął dokuczać. 29. Listopada chciał Maurycy jeść z nami obiad, siedział u stołu, ale widać było cierpienie na jego twarzy, i nic prawie nie jadł. 30. Listopada sprowadziłem mu doktora Francuza najsławniejszego, który był nadwornym przy cesarzowéj, pod pretextem, że mu wizytę robi, poznawszy go w wilią na naszym obiedzie. Doktór ten zyskał Maurycego zaufanie, zaczął się go radzić, od tego momentu codziennie doktór ten go odwiedzał, zaręczając nas, iż ta choroba nie jest niebezpieczna. Buletyny zdrowia posyłaliśmy do Paryża, osobom tym które równie jak i my były troskliwe o jego zdrowie. 9. Grudnia doktór w wieczór wyegzaminowawszy Maurycego, oświadczył nam z radością, że się już choroba zupełnie skończyła, iż teraz tylko sił mu potrzeba. Maurycy zapytał doktora czyby nie mógł jeść ostryg, doktór pozwolił 12. sztuk, Maurycy chciał

więcéj wytargować, i nazajutrz śniadanie miał jeść doktór z Maurycym. 10. Grudnia rano przychodzę do Maurycego i zastaję go zmienionego; o dziesiątéj godzinie z rana przychodzi doktór a wyegzaminowawszy Maurycego, z pomięszaniem oświadcza nam, że słabość pokazuje się znowu. Żądaliśmy natychmiast konsylium i czterech najlepszych doktorów w ten moment sprowadziliśmy, i do Paryża napisaliśmy, ażeby przysłali doktora polskiego, co uskuteczniono i przysłano Rostkowskiego, który zawsze leczył Maurycego. Doktorowie zdecydowali, że to jest zapalenie muzgu, i w ten moment puszczono krew i przystawiono pijawki, chociaż na początku słabości już mu doktór puścił krew i stawiał pijawki. Od tego czasu nietylko ci doktorowie, ale jaki tylko przejeżdżający doktór się zdarzył, przychodzili sami i sprowadzali nowych, i ciągle były narady. Zawsze nam oni robili nadzieję, chociaż nie taili niebezpieczeństwa. Umysł Maurycego coraz w gorszym znajdował się stanie, i coraz mniéj miał przytomności. Doktorowie osądzili za potrzebne puścić mu krew, i znowu postawili pijawki, synopizma i moczenie nóg. Niestety! nic nie polepszyło stanu zdrowia. Koledzy dzień i noc kolejno pilnowali Maurycego, każdy z nas gotów był poświęcić się, aby uratować męża tak potrzebnego ojczyznie.... Podobało się Najwyższemu dotknąć nas tą okropną klęską... 20. Grudnia o godzinie piątéj po południu zakończył życie najspokojniéj.... Można powiedzieć, że zgasł wpośród zebranych kolegów i doktorów... Żadnego nawet westchnienia nie wydał, kiedy czysta i szlachetna dusza jego do szczęśliwego i wiecznego przeniosła się życia.....

Pogrzeb Maurycego odbył się wspaniale. Kościół Fary wybito czarnym kirem i rzęsisto oświecono, nabożeństwo wielkie, muzyka gwardyi narodowéj, wszystkie władze, Prefekt, jenerał komenderujący z całym sztabem w wielkich uniformach, gwardja narodowa w paradzie. Ciało

Maurycego wynieśli z kościoła przez całe miasto na przemian koledzy. Francuzi, cywilni i wojskowi dobijali się, ażeby mogli nieść zwłoki tak znakomitego młodzieńca i męża; co kilkanaście kroków odbierali sobie jedni drugim, ledwo przy cmentarzu my mogliśmy odebrać im nasz skarb. W czasie téj exportacyi muzyka wojskowa przegrywała i przerywała to głuche milczenie, które uszanowanie sprawiało. Strzelanie całego batalionu, który asystował temu smutnemu obrządkowi, ciągle powtarzano. Ludność kilkotysięczna tłoczyła się za ciałem Maurycego. Na cmentarzu Antoni Walewski przemówił w języku francuzkim. Mowa jego tak rozczuliła publiczność do najwyższego stopnia, że płacz był powszechnym; potém przemówił w języku polskim kapitan Olszewski. Mowa jego była drukowana, w krótkich wyrazach oddał hołd cnotom, zasługom i talentom Maurycego, zakończył temi wyrazy: „Że Maurycy Mochnacki dość żył dla swojéj sławy, ale zbyt krótko dla ojczyzny, któréj był mocnym filarem.“

Pamięć Maurycego będzie wieczną, bo jego dzieła mu to zapewniają. Ale my, chcąc się wywiązać z wdzięczności dla ziomka, sławą narodowi należącego, zatrudniamy się postawieniem mu pomnika. Serce jego jest zachowane, aby kiedyś w ojczystéj znajdowało się ziemi, włosy wszystkie mu ostrzyżono i za relikwie rozebrano. Ja z mojéj części udzieliłem pani Turqui, która je ma Pani D. przysłać, a w tym liście przyłączam także trochę, bo może który list nie dojdzie. Papiery spisaliśmy, i opieczętowane złożyliśmy w Paryżu towarzystwu literackiemu polskiemu, w którém są przyjaciele Maurycego. Listy wszystkie i papiery po świętéj pamięci Kamilu są nieprzeglądane i nieczytane. Między manuskryptami żadnéj całości nie ma. Do trzeciego tomu powstania narodowego tylko kilka arkuszy wstępu się znajduje i to niepoprawne; są jednak myśli na małych świstkach

godne Maurycego. Nasz zakład jest opiekunem. Ja sam odwoziłem do Paryża te papiery, i bez wyraźnéj woli państwa D. nikomu nie będą wydane, na co oczekiwać będziemy ich rozkazu. Jaki użytek z tych kawałków zawsze ważnych zrobić każecie, upoważnijcie kogo. Garderoba Maurycego była bardzo emigracyjna, wszystkie rzeczy spisane oddałem Walewskiemu w depozyt; nic bowiem nie było przedawane. List od ojca po śmierci przyszedł i odebrał go Walewski, przedostatni ja odebrałem podczas Maurycego bytności w Paryżu, w którym wyczytał, że brat najmłodszy słaby; mocno to uczuł i był bardzo niespokojny o jego los. Pocieszał się tylko nadzieją, że go ojciec odwiedzi, że razem żyć będziemy. Ta myśl nawet w chorobie dodawała mu siły, o tém lubił zemną najczęściéj rozmawiać. Śmierci nie przewidywał, bał się tylko suchot, a on właśnie płuca miał najzdrowsze, ale serce, błona sercowa taka była cieńka, iż choćby téj słabości nie miał, nie mógłby żyć nad rok jeden.

Chełmicki, wydawcą jego Historyi, myślę, że nie ma prawa żądać pozostałych papierów, kiedy nie dotrzymał warunków kontraktu i kiedy za życia Maurycego wojnę z nim toczył i narzucał mu kolor, w jakim autor miał pisać. Zdaje się, że teraz myśli Maurycego byłyby powykrzywiane. Jeżeli Pani D. zechcesz jakich informacyi lub detali, zechciéj tylko rozkazać, a dla mnie będzie najprzyjemniej dopełnić jéj woli. — Mam honor pisać się z wysokiém uszanowaniem.

Stefan Dębowski.

List Pani Turqui,

gospodyni domu w którym mieszkał Maurycy,

razem przysłany z poprzedzającym w odpowiedzi na moje do niéj smutne zgłoszenie się.

Auxerres, le 6. Février 1835.

Détaille concernant la maladie et la morte de Monsieur Maurice.

Madame!

A l'époque de la morte il y avait deux mois et demi qu'il avait quitté Paris pour faire sa residence à Auxerres. En cette ville il y fut environt un mois bien portant. A cette époque ayant voulu reconduire un de ses amis à Paris à son retour il tomba malade. Un de ses amis nommé Antoin a eu pour votre fils Madame tous les soins qui peuvent caracteriser la véritable amitié. Il a aide par messieurs les officiers polonaises, qui n'ont cessé de lui prodiguer les plus tendres soins. Le major de ses officiers s'également distingua par lassiduité de ses visites et de ses soins. Pendant la maladie de monsieur Maurice, un médecin polonais avec qu'il avait fait ses études, quitta Paris où il habitait et vient à Auxerres pour être à même de lui prodiguer tous le soins dont il pouvait avoir besoin. Il se reunit à quatre médecins de cette ville qui voyaient ce fils infortuné, ayant consulté ensemble le caractère de la maladie. Ils tomberent d'acord quelle était de plus graves, quelle ne laissait aucunne espoire de guérison, en un mot, qu'ils etaient même surpris qu'il eut pu vivre aussi longtemps d'après la gravité de cette maladie et qu'il ne pouvait y avoir que les soins extraordinairs qui lui etaient données qui avaient pû retarder aussi longtemps le terme de son existence. Enfin le samedi 20. Decembre 1834 on eut la douleur de le voir expirer dans le 4 heure

du soir. Vous apprendrez avec plaisir qu'il est mort comme vous l'aviez élèvé et comme il avait vecu *un bon chrétien.* Deux heures avant cet instant terrible il avait reçu les saintes huiles.

Après la mort de votre cher fils, Madame, le médecin polonais jaloux de conserver pour lui et pour ses compatriotes des tristes mais cheres restes de ses dépouilles mortelles il se décida à l'ouvrire dans le présance d'Antoin, son intime ami, à reconnut que la toilette qui enveloppe le coeur etait criblée, et on pouvait apercevoir le jour à travers de son coeur. Sa cervelle se trouvait aussi endommagée. On croit que la principale cause de sa maladie etait un chagrin de plus cruels. Il s'était persuadée que son père etait arété. Mais quelqu'un lui ayant dit que sa mère, vous Madame, etait morte, il ne put le croire. Alors il se décida à fair une tentative pour établir avec ses parents une correspondance, qui pourait lui apprendre la véritable position de ses chères parents, dont la seperation cruelle etait cause de son infortune. Alors il me fit la proposition que ce mêmes parents puissent m'adresser leurs lettre ce cela que je consentie de tout mon coeur.

Son cher ami Antoin conserve pour lui son crâne et le coeur de votre cher fils Madame, a été embaumé et envoyé à Paris pour les compatriotes. Ainsi à Auxerres on a arrangé toutes ces choses consernant de monsieur Maurice, pour que une foi ces amis d'ici et ces de Paris puissent vous le fair tenir chères parents comme le dernier gage et le plus cher qu'ils puissent vous procurer.

Son ami Antoin a voulu si il pouvez, après la mort de ce qu'il avait de plus cher, retourner à Paris. Il est bien malade en ce moment. Son enterement a été de plus beau: la garde nationale, le géneral, tous les au-

torités civiles et militaires, une foule immence de la population d'Auxerres formaient son convoi. Il a été ainsi accompagné jusqu'à son dernière demeure, arrivé là au cimetière, son ami Antoin à prononcé sur la tombe son oraison funerelle en Francais. Et c'est par ce dernier témoignage d'un sincère amitié que ce fidéle ami a fait connaitre votre tendre fils Maurice; vous receverez avec cette lettre des cheveus de ce même fils cheri que le major polonais qui a bien voulu m'en offrir une petite partie de ces qu'il a recuellir à l'instant de la mort. Il m'a même priè de vous anoncer qu'il aurait l'honneur de correspondre avec vous incessement.

Maintenant que je vous ai fait et fourni tous les rencegnements qui sont à mon pouvoir. Oserais-je Madame, vous adresser quelques mots de consolations? Je ressent moi-même, combien cette triste lettre a vous affligé, tout en vous donnant toutes les consolations possibles en ces douloureuses circonstances. Vous aviez un fils cheri. Je vous annonce sa perte.... Quel coupe cruel pour une tendre mère!... Je le ressens... je la partage ce coupe.... Mais ce fils etait vertué, il chrétien.... Il a rempli ses devoirs de citoyen, de chrétien. Aussi bien que si la triste, la cruelle mort l'avait pris dans vos bras. Que de sujets de consolation pour un père et une mère. Offrez donc à Dieu ce sacrifice; autant qu'elle est grande. Il n'en sera que plus méritoire! et moi aussi, Madame, j'ai perdu ce qui pouvait me rendre heureuse sur la terre. Cette perte je l'ai fait il y a quelques mois... J'ai perdu un epoux qui reunissait toutes les qualitées, qu'un homme peut réunir. J'ai poussé de soupires, j'ai verses des larmes le plus améres comme vous en versez.... Mais après tout, que fair pour repares cette perte... l'offrire à Dieu en commune avec vous.... Recevez Madame, l'assurence des mes sentiments distinguées et cro-

yez-moi avec le plus profonde respecte, Madame, votre très humbles et très obéissance servante

V. Turqui.

Mon adresse: V. Turqui, Rue de Vicilles Lannovie Nr. 2, Auxerres, departement d'Yonne.

J'ai remis la lettre que vous m'avez fait l'honneur de m'adresser à monsieur le major, pour lui servir de renseignement pour le papier qui peuvent vous être necessair. Quand aux papiers qu'on laissez monsieur votre fils à sa mort, ils ont étaient porté à Paris par ces amis et compatriotes afin qu'ils puissent être visiter par messieurs les officiers et autres Polonais, qui s'interessent à sa famille. La lettre que vous l'aviez adresser à monsieur votre fils, n'est arrivé que le lendemain de la mort 21. Décembre. Dans ces papiers ils s'y trouvent deux volúmes de votre dernière revolution, quand à ces habilement, ils ont èté envoyé à Paris avec son coeur.

Nota.

Odebrawszy te dwa autentyki, raz jeszcze krew ścięła się w żyłach moich, nie dla tego, by zapewnienia o śmierci Maurycego były nowemi ciosy dla mnie — wszakże już byłam tego pewna — lecz te wszystkie detale już okropne, już łagodzące, już nieco pocieszające, musiały na nowo rozdrażniać i ranić biedne serce rodziców. Już tedy poczciwy Michał Podczaszyński, pomimo że pisał do niego o téj śmierci Walewski, nie chciał lub nie mógł więcéj pisać do nas. Wyobrazić sobie łatwo przy jego słabowitości, co to za raz okropny śmierć tego Maurycego, którego on tak cenił i kochał i który sam jeden w ich tułactwie był całą jego miłością nadzieją i podporą! Nie! Podczaszyński pewno nie był w stanie więcéj korespondować z rodzicami Maurycego; ta okropność już była nad jego siły. Michał żył z Maurycym w domu naszym w Warszawie, znał nasze serce, nasz dom, skład wszystkich okoliczności.

Wiedział, że z Maurycego utratą wysilił się los nieubłagany w ciemiężeniu nas; wiedział, że nie ma pociechy, nie ma ratunku dla potępieńców losu. Cóż miał pisać? zamilczał. Napisał w dni kilka krótki rys biografii Maurycego; publikowana w Journalach paryzkich wkrótce i do nas doszła. Lecz ta biografia jest tak piorem uszkodzoném, jakto powiadają, napisana, że widocznie coś i wszędzie jéj braknie. Prawda, że Michał Podczaszyński zbiedzony i chorobą swoją i coraz większym niedostatkiem, ztetryczał, skwasił się przez różne swary pomiędzy emigrantami, słowem zmienił się w téj gorącéj energii, z jaką pisywał do nas. Azatém, gdy jeszcze śmierć wydarła mu przyjaciela jedynego i ostatniego, nie wiele mu już w życiu i samego nawet życia pozostało. Ta biografia, którą tak niedołężnie napisał Maurycemu, podobno to już była ostatnia praca jego. Chorując i słabnąc już tylko żył kilka miesięcy.

Wracając się do stanu méj duszy w owych okolicznościach, byłam po odczytaniu listu pani Turqui rozrzewnioną, jak ta dobra Francuzka uczuła stratę matki i jakąż mi niesie sama biedna radę: „Offrez donc Madame à Dieu ce sacrifice, autant quelle est grand, il n'en sera que plus meritoire.“ Poczciwa pani Turqui, doprawdy natrąciła mi jeszcze jakąś wzniosłość upadłego już ducha. Ta myśl ofiary, godnéj swoją wielkością bycia ofiarowaną Twórcy naszemu, miała coś dla mnie nadzwyczaj silnego, Mego Maurycego śmierć, jego stratę, boleść moją ofiarować. Tak jest, rzekłam, sam Bóg znał to jego serce kochające rodziców i ojczyznę; jego wielkie ofiary, które gotów był zawsze tym dwom celom poświęcić. Gdy mi go odebrał, zna dobrze i widzi wielkość naszéj straty. Niechże wszelako będą błogosławione jego święte zamiary i wyroki! Wkrótce napisałam sobie oto tę modlitwę:

27. Janvier 1835.

Dieu! Vous m'avez lancé de nouvaux le coup, le plus doulourée et vous voyez mon ame dechiré. Mes entrelles fument des douleurs. Mais telle a etoit votre sainte volonté. Deignez voir une mère deplorée avec quelque pitieu. J'ai besoin, o mon Dieu! de toute votre assistance pour pouvoir suporté dignement c'est-à-dir avec toute resignation ordonne par vous cette nouvelle perd de mon fils chéri Maurice. C'est avec un coeur navrée de douleur. Une ame dechiré. Vous me voyez avec quelle ardeur je t'invoque, o mon Dieu! en me prosternant au pieux de vos autelles. O Dieu de misericorde! Deignez agréer l'offre de mes souffrances.... Et recevez l'ames des mes enfants Maurice et Kamille dans vos bras Paternelles. Et quel secour plus officiese puis-je procurer à mes chers enfants, ô mon Dieu! Que de vous offrire pour leurs saluts

le precieux sang de notre sauveur. Oui seigneur! voilà le cas le plus important de profiter pour moi de l'acte de votre sainte amour pour nous. Indignes que nous somme, j'ose vous l'offrire donc ô nôtre Père commune pour mes enfants Maurice' et Kamille. Quelque dignes qu'ils soyent de chatiments. O! ouvrez leur aujourd'hui les tresors immenses des satisfactions de votre sainte justice, par le sang rependu de la mort sur le croi de notre sauveur Jesus-Christ. Et faites-leur trouver dans se sacrifice, dont la prix est infini de quoi accitér toutes leurs dettes envez vous. O grand Dieu! Createur de nos ames. Ayez donc pitieu de votre propre ouvrage. Père infiniment misericordieux, faites misericorde à vos enfants. Auteur de notre salut immolé pour nous. Applique nous les mérités de votre mort et de vos cruelles souffrances et de votre precieux sang rependu pour nous. Amen.

Tak ukończyłam zbiór tych listów, najdroższą, oraz najboleśniejszą pamiątkę po synach moich. Niech ta pamięć zostanie dla przyszłego pokolenia jako chluba familii, niech następnie synowie trzeciego brata Tymoleona, Kamil i Maurycy, przejąwszy się cnotami, charakterem i przymiotami dwóch swoich stryjów Maurycego i Kamila, starają się naśladować te wielkie wzory swéj familii. Ja proszę, aby całe moje pokolenie odtąd zachowywało dla pamiątki imie Maurycego i Kamila, to jest, aby zawsze dwaj pierwsi synowie najstarszego z familii tak się nazywali. Tym sposobem żyć będą jeszcze przeszłością, jeszcze słodyczą pamięci wspomnień najchlubniejszych.

Nadto dołączę tu wszystko, co zebrałam dotyczącego się wypadków z życia lub pism moich synów. Życie ich tak krótkie, a nigdy długo na jedném miejscu nie dało sposobności, aby pióro zdolniejsze czyjeś zrobiło rys wyraźniejszy tych dwóch prawdziwie historycznych młodzianów; lecz to pewna, że obydwaj byli oryginalni od początku, od urodzenia swego i sami z siebie i przez sposób, jakim byli prowadzeni. Ledwo że im nie przyznać należy szczególności nawet pomiędzy rówiennikami, co się powoli wyjaśni później. Przytoczyć tu muszę słowa Maurycego w jednym z jego listów: „że łatwiéj zdziałać doskonale rzecz jaką, jak ją doskonale opisać."

Wyjątki z wspomnienia o Maurycym Mochnackim,

zebrane z rozmaitych pism publicznych;

tudzież

wiadomości o jego wychowaniu i młodocianym wieku.

„Maurycy Mochnacki przepędził w Auxerres ostatnie dni życia, wytrawionego gorącém czuciem ojczyzny i natężeniem wszystkich sił wielkiego umysłu do jéj ratowania, a następnie do nauczenia Polaków, jak się z grobu dźwigać mają. Po śmierci Maurycego Mochnackiego, rozebrawszy ciało jego doktorowie, znaleźli serce jego rozszerzone, a wszystkie organa żywotne, pomimo najskromniejszego życia tak zużyte, jak u zgrzybiałego starca. Maurycy Mochnacki przed ostatnią słabością swoją przepowiedział swój bliski koniec. Nieraz w czasie przechadzki wpadał w rodzaj zachwytu i otaczającym go ziomkom gadał o cudach tamtego świata, które spostrzegał w grze duchów. „Wy nie słyszycie tego,“ mówił on, „ale ja, co się wkrótce z niemi połączę, już je przeczuwam, już słyszę ich grę harmonijną, która świat napełnia.“ — Patrzali na niego w zadumieniu przyjaciele i wspólnie z nim przeczuwali śmierć jego. Maurycy Mochnacki w wylaniu się dla siebie tych przyjaciół, w téj czci narodowéj, którą go otoczyli, w téj miłości, którą mu przy śmierci przez starania swoje około niego okazywali, widział wynagrodzone wszystkie prześladowania, któremi go niesprawiedliwość lub zawiść ziomków przez całe życie prześladowały.“

Oto jest co Michał Podczaszyński w kilka dni po śmierci przyjaciela swego Maurycego do pism publicznych napisał słabém już piórem skołatanego umysłu i starganych sił; bo słabym będąc, pra-

wie na schyłku życia, widocznie nie miał téj energii z jaką dawniéj byłby wystąpił w przedmiocie tyle go obchodzącym. Podczaszyński albowiem, mąż wielce zasłużony literaturze ojczystéj, pełen przymiotów niepospolitych, szczególnie posiadający dar podobania się pod względem charakteru i mocy duszy, przyjemnéj postaci, miły w pożyciu domowém, zaledwie o kilka miesięcy przeżył przyjaciela swego. Umarł w Paryżu dnia 4. Lipca 1835. roku mając lat 34. Przyjaźń jego z Maurycym wzięła swój początek w r. 1821. Jedno serce, mała różnica wieku, geniusze odznaczające się, zaczęły sympatyzować od razu. Michał Podczaszyński rodem z Litwy, z Wilna, syn profesora uniwersytetu, człowiek piękny z powierzchowności, równie piękną, szlachetną, wzniosłą posiadał duszę. Przyjechawszy do Warszawy zasłyszał pomiędzy młodzieżą o zjawionym, świeżo przybyłym z Galicyi Maurycym Mochnackim, którego wkrótce poczęto dystyngować, a młodzież poszukiwała chciwie. Michał po śmierci ojca swego, zabrawszy kilka, a może i kilkanaście tysięcy w spuściźnie, szczerze dzielił grosze pomiędzy tymi, których widział potrzebnymi, z tą niedbałością o pieniądze i własną przyszłość, jaka cechuje młodych ludzi, rachujących na swe zdolności, że im nie zabraknie nigdy na utrzymanie własnego życia. Wkrótce téż stracił szczupły swój fundusik; lecz nie można powiedzieć aby go zmarnował na zbytki; przyszło w końcu do tego, że w szczupłéj swojéj stancyjce słodko marząc o literaturze i poezyi, trzeba było samemu sobie w piecyku ugotować kaszę lub kartofle. Otóżto wtenczas jeszcze, jadając one razem z Maurycym, byli najszczęśliwsi z siebie, kochali się mocno. Mój Maurycy nie znał niedostatku dotyczącego wygód domowych, nie znał téż i zbytku; widział, że strasznie było kuso już koło Michała; począł tedy przemyśliwać, jakby to Michała umieścić w swoim pokoju i zaprosić go do naszego stołu. Za mojém w końcu zezwoleniem, kochany Michał Podczaszyński stał się naszym domownikiem, z czego Maurycy był najszczęśliwszym. Ci dwaj przyjaciele sympatyzując ze sobą, często odprawiali żwawsze dysputy, które dla łatwości komunikacyi pomieszkania dawały się mnie słyszeć.

Tu poznawałam naturę obu: Michał, pełen rozsądku, żywy, wszystko co twierdził było jasne; Maurycy zaś głęboko oczytany, głębiéj sięgając, z flegmą, głosikiem pół cichym pół cieńkim, wyłuszczał rzeczy z precyzyą niecofniętą nigdy. Michał się zapalał i grubym donośnym głosem hałasował. Czasami umilkli oba na moje wejście, albo na widok tacy z kawą, do któréj oba zawsze wdzięcznie się uśmiechali; a czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów niewyczesanych, dla

szybkości bez kapeluszów biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciwko mieszkającego; a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznią całéj młodzieży, nawzajem oskarżali się i za sędziego brali. Te sceny tak bywały częste i zajmujące, że ich pominąć nie mogę; charakteryzują one szczęśliwy wiek naszéj młodzieży, która żyła w całém znaczeniu tego wyrazu, światłem wszelkich nauk i mądrością ludzi sławnych: żyła talentami i zdolnościami wielkiemi; zamiłowana w tego rodzaju pracy, zaledwo miała czas zasłyszeć o próżnościach i zabawach, balach lub wieczorach. Książki, polityka Europy, nieszczęście sprowadzone na swobody kraju przez rządy wyłącznie cesarzewicza Konstantego; bo nie powiem, aby przez szczególną złą wolę ku nam samego monarchy Aleksandra I., zajmowały całą młodzież podówczas. Teraz przystępuję do owego pisemka Michała Podczaszyńskiego, o którego powodach niedołężności wyżéj wspomniałam.

Wiadomość o życiu Maurycego Mochnackiego.

Paryż, 30. Grudnia 1834.

Maurycy Mochnacki, zmarły w Auxerres d. 20. Grudnia 1834. roku, urodził się w Galicyi, we wsi Bojaniec, cyrkule żółkiewskim, wsi dziedzicznéj swoich rodziców. Całe wychowanie swoje odebrał w domu rodzicielskim; w żadnych szkołach publicznych nie był. W roku dopiero 1819—1820. chcąc być przyjętym do uniwersytetu warszawskiego, przez kilka miesięcy uczęszczał do szóstéj klassy Liceum.

Od roku 1820—1823. był ciągle w uniwersytecie w wydziale prawa, kiedy jedna prawie nic nie znacząca okoliczność zmieniła wszystkie jego zamiary i na dalszy ciąg życia jego wpływ swój wywarła.a)

Na kilkanaście dni przed złożeniem magistrowskiego egzaminu we własném mieszkaniu napadnięty przez policyanta pijanego i zelżony, gdy uderzeniem go w twarz broniąc się tylko, chciał napaść poskromić i odeprzeć,

porwano go do więzienia z rozkazu wielkiego księcia Konstantego, przez 40 dni, pod gołém niebem, z największymi zbrodniarzami, przeznaczony był do robót publicznych w ogrodzie belwederskim.

Nie poprzestał jednak Konstanty na tém jedném okrucieństwie. Kazał go wykreślić z listy uczniów uniwersytetu, zabronił mu zdawać egzamin magistrowski i dał rozkaz wszystkim władzom rządowym, aby go do żadnego urzędu publicznego nie przypuszczały.[b])

W kilka miesięcy późniéj kommissya śledcza warszawska, dowiedziawszy się z zeznań jednego więźnia w Litwie, że Maurycy Mochnacki był członkiem gminy Akademickiéj Towarzystwa Patryotycznego, szeroko wówczas rozgałęzionego po całéj Polsce, wtrąciła go do więzienia Karmelitów. Maurycy w więzieniu jakkolwiek krótko wzięty, związku nie wydał, nikogo nie skompromitował, co mógł zaprzeć to zaparł i ledwo po dziesięciomiesięcznych mękach wypuszczony został na wolność. — Przed uwięzieniem swojém nic jeszcze nie pisał, prócz drobnych artykułów, które umieszczał w Astrei r. 1823.

Dopiero w roku 1825. wraz zemną, Podczaszyńskim, założył pismo naukowe pod tytułem: Dziennik Warszawski; lecz do redakcyi jego tylko przez sześć pierwszych miesięcy należał. Późniéj, gdy zakaz wielkiego księcia nie przypuszczania go do żadnych urzędów pomimo najusilniejszych starań familii i przyjaciół, nie mógł być cofniętym, Maurycy, chcący dawniéj ćwiczyć się na drodze dyplomatycznéj,[c]) powziął zamiar zostać adwokatem, aby w téj karyerze niezawisłéj od kaprysów władzy rządowéj mógł znaleść środki dalszego kształcenia się w ulubionych sobie naukach. Ale i tu wola przeciwna wielkiego księcia stawiła mu zaporę. Nie pozwolono mu zdać egzaminu magistra, który, jak wiadomo, był głównym warunkiem dla starających się o tytuł adwokata. Co większa, groźbami nowego uwięzienia i prześladowania

nawet niewinnéj Maurycego familii, gwałtem prawie wtrącono go do bióra cenzury; bo na téj tylko drodze rząd chciał otwierać Maurycemu drogę i pole do zasług.d) Własnoręczne pismo radcy Stanu Szaniawskiego, głównego cenzora ówczesnego, ogłoszone i podane do gazet w czasie rewolucyi za dyktatury, dowiodło już, jakiéj wagi nikczemniéj były zarzuty nieprzyjaciół Maurycego, przypominających mu dwumiesięczne jego urzędowanie w cenzurze.e) Na tém urzędowaniu Maurycy albo nie przychodził wcale do bióra, albo z najnieprzykładniejszą niedbałością, albo robił wbrew zamiarom rządu, że go zrazu strofowano po kilkakroć na piśmie, a potém wygnano z bióra, jako niegodnego zaufania rządu.

Te wszystkie prześladowania zmusiły go do zajęcia się pracą, do któréj najmniéj był usposobiony. W roku 1826, 27, 28, 29 i 30, należał do redakcyi Izydy Polskiéj, pisma poświęconego przemysłowi i rólnictwu, najprzód jako tłómacz, a potém jako kollaborator głównego wydawcy, a tytułem dyet pobierający pensyę adjunkta wydziału fabryk w ministeryum spraw wewnętrznych; bo nawet i na ten urząd wakujący nie mógł otrzymać nominacyi z woli wielkiego księcia. Rewolucya tedy zastała go pozbawionego możności piastowania urzędów krajowych, a kommissya wyznaczona przez dyktatora do papierów pozostałych w Belwederze po wielkim księciu Konstantym, znalazłszy między niemi kopię pisma karmelickiego, uznała także za rzecz stósowną ogłosić Maurycego za niegodnego piastowania urzędów w kraju. f)

Należąc do redakcyi Izydy Polskiéj, Maurycy nie przestawał poświęcać się ulubionym sobie przedmiotom, to jest: filozofii i literaturze, uważając jedną i drugą jako jedyny w owym czasie środek zajęcia umysłu i utrzymania ich ciągle w stanie, jak on powiadał, insurrekcyi. W tym duchu z Ksawerym Bronikowskim najprzód Gazetę Polską, któréj od 1. Grudnia 1827. do 1.

Grudnia 1829 był redaktorem, a potém zaraz Kuryera Polskiego, do którego codziennie prawie podawał artykuły aż do wybuchnięcia rewolucyi.

Pomijam liczne a bezimienne pisma, które podówczas ogłaszał. Najgodniejsze jest uwagi pismo jego pod tytułem: „Głos obywatela z ziemi zabranéj“, które w rękopiśmie po całym kraju w niezliczonych egzemplarzach się rozeszło i najzbawienniejszy sprawiło skutek na umysły członków sądu sejmowego, do których to autor przemawiał.g) W ostatnich dniach przed wybuchnieniem rewolucyi wydał tom pierwszy swego dzieła o Literaturze.h)

Wśrod tych zatrudnień naukowych, które za rozrywkę raczéj uważał, nie przestawał z bratem swoim Kamilem, uczniem wówczas szkoły podchorążych, pracować we wszystkich spiskach jakie od koronacyi Mikołaja w roku 1828. młodzież wojskowa knowała. W dniu 29. Listopada 1830. z bronią w ręku wyszedł na ulicę i rozpoczynał sprawę ową na starém mieście w Warszawie wraz z drugimi, jak to już wiadomo.i)

W pierwszych zaraz chwilach narodowego powstania świadek błędów ówczesnego rządu, w zarodku samym dostrzegł kontrewolucją chytrze przez księcia Lubeckiego ukartowaną. Utworzył więc natychmiast klub rewolucyjny z ramienia jego z bronią w ręku zasiadł w Radzie administracyjnéj jako członek przybrany z głosem doradczym.k) Klub ten wprawdzie trwał tylko dni kilka, wywrócił jednak trzy rządy, na ruinach których w dniu 5. Grudnia 1830. powstała Dyktatura. Ruch rewolucyjny tak dzielnie się objawiający wśród niesłychanych zapor które mu stawiano, w jednym Maurycym Mochnackim najwymowniejszy miał organ i najsprężystszego działacza, ale przewaga systemu reprezentowanego przez Lubeckiego, zadała mu cios śmiertelny. W chwili gdy umysły wszystkich zajęte były najwięcéj sposobem ratowania

kraju, rozpoczęły się przez zawiść odznaczającego się jeniuszu Maurycego, pokątne plotki systematyczne nań potwarze. Wtedy i pismo owo karmelickie wydobyto z akt, i bezczelne zarzuty należenia do cenzury rozgłaszano po gazetach końcem dyskredytowania jego opinii. A stronnicy tych samych ludzi, którzy ustąpić chcieli z rządu tymczasowego, a co prędzéj pojednać się z carem, niby dla dobra jakiegoś mniemanego w ich trwożliwych sercach, oświadczali między sobą tajemnie jakoby była potrzeba usunąć się wtedy, jeżeliby Lubecki z rządu był oddalony. A tak w jednym Lubeckim ojca ojczyzny, a w Maurycym Mochnackim podłe narzędzie Moskwy widzieli; co w istocie odwrotnie potrzeba było widzieć, jako w końcu wszyscy się o tém przekonali ze szkodą kraju całego. Potrzeba było wszystkiego złego, które na kraj spłynęło z systematu Lubeckiego, potrzeba było upadku Dyktatury, aby nie oni, ale lud przez nich zwiedziony, przyznał i oddał sprawiedliwość głębokim pojęciom Maurycego politycznym. Zaczęło się było wreszcie wyjaśniać niebo przez dni kilka, a widziano że ten tylko dobrze radzi, któremu jak najmniéj kazano ufać z góry rządu; i zaczynały się jeszcze wznosić głosy wczesnego żalu. Wtedy Maurycy Mochnacki wystąpił z nowym dziennikiem, któremu dał tytuł nowéj Polski, w duchu tych samych zasad, które pierwéj na klubie i w radzie administracyjnéj rozszerzał. Przez kilkanaście dni pisywał artykuły pełne prawdy i rad najzbawienniejszych: co poczynać w tak krytycznéj chwili. I na nowo oburzył przeciwko sobie umysły tych, którzy nie sprzyjali bynajmniéj owéj wielkiéj sprawie narodowéj, i tych którzy ją zaślepieniem swojém i fałszywym zapałem gubili. Znowu tedy przypomniano mu cenzurę, a pismo karmelickie na liczne egzemplarze w biórach rządowych przepisano. Po domach prywatnych i po kawiarniach tłumnie zbierającym się słuchaczom na głos

czytano, a głos prawdy, głos wołający na puszczy nazwano (że tu użyję wyrazów historycznych) brzękiem rubli moskiewskich i talarów pruskich. Wśród takich wrzasków wojska nieprzyjacielskie wkraczają do kraju. Tu Maurycy składa pióro, a pomimo że bynajmniéj nie był obeznany z orężem bierze się do niego. Wódz naczelny Radziwiłł żądającemu wnijść w szeregi narodowe, przysyła patent oficerski, Maurycy go nie przyjmuje, i jako prosty żołnierz zaciąga się do pierwszego pułku strzelców.[1]) Jaka była jego konduita pod Grochowem, raport jenerała Szembeka i gazety zaświadczają. Z kontuzją w ramieniu i lekką raną w prawą nogę powrócił do Warszawy, a przepędziwszy na wsi w Krakowskiém dni kuracyi, gdy ustała ta desperująca wówczas nieczynność wojska, wstąpił nanowo w szeregi wojskowe, ale już jako oficer; mówiąc, będąc ranny już raz przeciem sobie już zasłużył moją rangę. Był więc w bitwach pod Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą i pod Ostrołęką gdzie najnieszczęśliwiéj przy obronie armat cztery ciężkie rany odebrał. W nagrodę męztwa ozdobiony został krzyżem złotym. Resztę czasu od bitwy Ostrołęckiéj aż do upadku Warszawy już na kuracyi częścią w lazarecie, częścią w domu przepędził. Nie mogąc już bronią służyć ojczyznie, w miarę jak mu siły wracały, pracował dla jéj dobra piórem i radą. Pamiętne będą na zawsze jego pisma umieszczone w miesiącu Sierpniu i pierwszych dni Września w dzienniku powszechnym. Dowodził w nich, że do ostatka nie rozpaczał o losie ojczyzny, że do ostatka umiałby wynajdować sposoby jéj wybawienia, które zawsze ze wzgardą tylko, podejrzliwością i urąganiem były odrzucane przez tych co krajem rządzili. Sprawiedliwie potém Maurycy mówi o sobie, że był prorokiem nie przeszłości, ale przyszłości. Obarczony zarzutami swoich przyjaciół politycznych, a szczególniéj jednego z członków upadłego rządu narodowego,

że nieutrzymaniu się swemu w radzie administracyjnéj, podczas kiedy był w niéj umieszczony, winien był upadek swego systematu. Zaczął wreszcie poznawać Maurycy Mochnacki, że istotnie dobro kraju wymagało aby był miał jakikolwiek udział u steru rządu, starał się więc pod Krukowieckim wnijść do rady. Chęć jego działania wzięto za ambicją fatalną dla kraju. Najprzód radzcą stanu przeszkodzono mu zostać. A tak od początku do końca rewolucyi poczytywano za największy patrjotyzm, zatykać uszy na wszystko coby mówił Maurycy, psuć jawnie lub podstępami coby mógł zdziałać, wynajdować wszelkie czernideł sposoby, na jakie tylko dowcip pełzających umysłów, wszelkich partyj politycznych mógł się zdobywać. Nastąpiła wreszcie Emigracja. Maurycy i tu nie milczał, ale i tu go ścigano. Za to co zdziałał, albo raczéj co mu przeszkodzono zdziałać w rewolucyi, nazwano go ambitnym, niebezpiecznym dla kraju. Byli nawet i tacy, którzy, co się spodziewając zamieszek w Paryżu, zawczasu dla niego w imaginacyi swojéj stawiali szubienicę, za to że od lat dziecinnych prawie konspirował przeciw nieprzyjaciołom Polski, że pismami swemi przez sześć lat ciągle przed rewolucją pracował nad oświeceniem i usposobieniem do rewolucyi umysłów młodzieży polskiéj, nazwano go obskurantem. Zarzucano że przez pisma w więzieniu karmelickiém chciał pogrążyć naród w największéj ciemności. Napróżno przez pisma swoje umieszczone w pamiętniku Emigracyi silił się nad ustaleniem i zdeterminowaniem wyobrażeń politycznych, już to o ostatniéj naszéj rewolucyi, już o przyszłéj reformie społecznéj Polski, już o duchu rewolucyjnym, który prędzéj czy późniéj obali w feodalnéj niegdyś Europie wszystkie podstawy instytucyi społecznych wieków średnich. Napróżno w dziele swojém ostatniém: *Powstanie narodu polskiego* do cierpkości częstokroć posuwał ton prawdy, wszystkim partyom

politycznym dowodząc, że wszystkie zgubiły kraj dla tego że nie były rzeczywiście, i w żaden sposób nie mogły być prawdziwemi partyami, że były tylko koteryami lub dziecinnemi igraszkami w obec najpoważniejszych wypadków, od których los Polski i całéj ludzkości był zawisł. Napróżno gdy ciemnota lub zła wola w umysłach tych ludzi, którzy krajem rządzili, nie dozwoliła mu w rewolucyi odwrócić złego, które on sam jeden najdoskonaléj widział, starał się aby przynajmniéj potomność z opisania błędów korzystała. Nigdzie jeszcze nie czytamy ani ocenienia jego talentów politycznych, ani okazałych zalet jego dzieła. Kiedy przeciwnie najlżejsze błędy, chwilowa słabość pasującego się z przeciwnościami umysłu, wśród cierpień fizycznych nic nie znaczące w massie tak ważnych zasług, tak jasnych i tak po mistrzowsku rozwijających się w jego pismach pojęć filozoficznych, historycznych i politycznych, poczytano mu za odstępowanie od zasad na których przyszłe szczęście ludów spoczywać będzie. Lecz przynajmniéj potomność pewno o nim inny sąd wyda, m) a ci którzy go za życia rozumieli, opłakiwać będą zawsze tę gwiazdę jasną i tak dobroczynną dla narodu polskiego, zbyt wcześnie zgasłą.

Co do mnie, przez piętnaście lat uwielbiałem przymioty serca Maurycego Mochnackiego, umiałem cenić jego talenta, z nim młodość przepędziłem, byłem świadkiem jego prześladowania i jego nieszczęść, w każdém jego niepowodzeniu widziałem wróżbę dla wszystkiego co miałem najdroższego w świecie; dla tego kochałem go jak tylko można kochać człowieka. Nikt nademnie mniemanych jego zbrodni w więzieniu Karmelitów i cenzurze nie widział bliżéj i jaśniéj. Nikogo téż bardziéj nademnie nie oburzały zarzuty przewrotnych lub zaślepionych ludzi, z których żaden nie wytrzymałby ani jednéj takiéj próby, na jakie on przez całe życie był wy-

stawiony, a którzy jedno nic nieznaczące słabość młodzieńczego wieku, przez tyle lat w najohydniejszéj wystawiali barwie, ażeby jasną prawdę, któréj on tyle razy w stanowczych dla narodu momentach jedynym był organem zasłoną błędu okryć, a chęć jego służenia poczciwie ojczyznie za występną ambicją podać. Wszystkie ich życzenia już się teraz spełniły. Pozostaje im tylko kazać wielbić pamięć proroka, którego za życia kamienowali.

Nota.

*) Nieprzyjaciele Maurycego do śmierci nie mogli mu przebaczyć, że dręczony głodem i różnemi innemi mękami w więzieniu, jako to, że bez pościeli, łóżka, światła, o kawałku chleba i wodzie po 48 godzin zostawiony, straszony szukając sposobu zatumanienia swoich indagaczy, udawał niby ducha nawrócenia się i okazywał wielkie jenialne pomysły. I tak ułożył niby, czyli podpisał, czy téż tylko jak mówił, redagował plan konceptu innych prawdziwych służalców Moskwy, (których zgroza cytować żyjących, lecz można umarłych lub obwieszonych). Nowosieloowa, Hankiewicza, jakoby zatamowywania oświaty kraju przez urządzenia nowe edukacyi publicznéj; tak właśnie jak gdyby Rossja potrzebowała w téj mierze nauki osiemnastoletniego więźnia Maurycego Mochnackiego, lub żeby opinie i rozumowania abstrakcyjne w więzieniu przymusem wyciśnięte, tak jak była wyciśnięta przysięga całego narodu na wierność carowi, były czynami pociągającemi za sobą hańbę u współobywateli. Po prostu, myśli w tém piśmie zawarte były myślami Nowosielcowa, albo raczéj jego namiestników Szaniawskiego i Hankiewicza, którzy dla tego starali się skłonić Maurycego do przyjęcia za swoje i do przyjęcia ułożonego w tén sposób przez nich pisma, i do połączenia go wraz z podaną prośbą o uwolnienie go z więzienia; ażeby dowiedli cesarzowi Alexandrowi, że więzienie u Karmelitów, świeżo podówczas założone, na wzór pokutnych więzień Ameryki północnéj, miało na celu poprawę moralną, naprowadzenie młodych umysłów na drogę którą rząd za zbawienną uważał. Ci jednak którzy ten krok Maurycego (w istocie dowód tylko niedojrzałości umysłowéj) za zbrodnię ogłaszali, zapomnieli że pismo to wszelako nigdy nie było szkodliwe,

że owszem skazane było na zapomnienie wieczne w aktach komissyi śledczéj. I gdyby konduita Maurycego za czasów dyktatora nie była tak śmiałą i głośną jaką była w istocie, pewnoby o tém piśmie nigdy świat nie wiedział, a jeśliby się dowiedział, za nicby je uważał. Ale nieprzyjaciołom rewolucyi i jenerałowi Chłopickiemu wówczas dyktatorowi szło o zdyskredytowanie osoby Maurycego, o oczernienie jego, o zbałamucenie opinii publicznéj, bo mniemano na nieszczęście, że od tego zbawienie kraju zawisło. Uwiedziona publiczność zawierzyła zrazu, że to co doradził Maurycy Mochnacki w pierwszych dniach rewolucyi było tak szkaradne, jak myśli Nowosielcowa, Szaniawskiego i Hankiewicza w owém piśmie zawarte.... A tak przeciwnicy Maurycego zwyciężali.

Michał Podczaszyński.

Nota.

a) Dla pamiątki następnego pokolenia zamierzam porobić tu wierne dodatki, w celu dopełnienia rysu życia syna mojego Maurycego Mochnackiego.

Maurycy od urodzenia miał w sobie zawsze coś oryginalnego. Z woli ojca chował się w następujący sposób: skoro się tylko urodził dnia 13. Września zdrów zupełnie, wyniesiony był natychmiast z pokoju na powietrze na 10. minut, potém skąpany w wodzie zimnéj pokojowéj, która pół dnia czekała na niego, wcale grzaną nie będąc. Do lat trzech chodził boso, latem i zimą, i do tego wieku mięsa prawie nie jadał, żywiony był kaszami wszelkiego rodzaju, i zacierkami, chleba bardzo mało, nabiału jak najwięcéj. Był szczególniéj zdrów i ogromnie silny; oprócz trudności niejakiéj przy wyrzynaniu się zębów, nie było z nim żadnego ambarasu; a pomimo że w pierwszym, drugim, a nawet i trzecim roku życia chował się we Lwowie, gdzie raz na raz widywał ludzi obcych w domu naszym, szczególniéj był dzikim zawsze i nie można go było oswojić z obcymi. Najbardziéj kochał moją pannę służącą, ktora go wychowywała nie dając nawet mamce piastować go na rękach, lecz wszystko sama koło niego robiła. To téż przywiązanie Maurycego do owéj osoby nadzwyczajne było, wielką moc wywierające na niego. Do lat 5 była w stanie prowadzić go sposobem najmoralniejszym, wszystko na nim wymogła, dla tego téż Maurycy nie miał żadnego nałogu. Późniéj żył sobie swobodnie na wsi w Bó-

jańcu, i wzrastał najszczęśliwiéj pomiędzy młodszém rodzeństwem. Zdarzyło się w roku 1809. podczas wojny Francuzów z Austryą, gdy Polacy weszli do Galicyi, a obywatele rozebrali rządy pomiędzy sobą, że postanowili wyprawić ucztę w dniu 15. Sierpnia w cyrkule Żółkiewskim i w samymże zamku Żółkiewskim, jako w dniu imienin wielkiego zwycięzcy Napoleona I. Uroczystość rozpoczynała się nabożeństwem w kościele katedralnym, gdzie z ambony czytaną była rota przysięgi na wierność dla ubóstwianego podówczas monarchy, w którym nadzieję pokładano, że wskrzesi naród polski, oraz że sam będzie królem polskim. Z takiem uczuciem i z taką nadzieją zbiegli się wszyscy obywatele do kościoła, rząd już był reprezentowany przez nich, wojsko polskie stanęło szpalerem, władze zaś i obywatele umieścili się przed wielkim ołtarzem, damy zasiadły wszystkie miejsca kanoników. Mąż mój odjechał podówczas do Wiednia z hrabią Ignacym Miączyńskim, jako sekretarz legacyi do bawiącego tam cesarza Napoleona. Ja zaś, chcąc, by nasz Maurycy, dopiero w 6. roku będący, jakokolwiek zastąpił ojca swojego na tym tak wielkim i tak uroczystym obchodzie, ubrawszy go w strój biały i szarfę niebieską, wzięłam go na kolana, a podniosłszy jego rączkę i paluszek do góry kazałam mu powtarzać za księdzem i za sobą ową przysięgę wraz z całém gronem obywatelstwa. Takim sposobem Maurycy od dzieciństwa powziął wrażenie, by kochać swój kraj; przez tę tak solenną okoliczność i ucztę pojął, że to było wielkie Święto, które już się potém nigdy nie powtórzyło, a Maurycy rosnąc zawsze się o nie dopominał.

Do roku 1815. chował się na wsi. Początkowo miał nauczyciela bardzo łagodnego i dobrego. Spacery pieszo, czasem na koniku dawały mu więcéj rozrywki niż pożytku; my zaś oboje pragnęliśmy dać dzieciom naszym jak najstaranniejsze wychowanie pod każdym względem: ten był upragniony cel życia naszego, na ten koniec wszelkie ofiary z nas samych, z majątku naszego chętnie poświęcaliśmy. Dla dania edukacyi dzieciom naszym porzuciliśmy piękne nasze gospodarstwo wiejskie i wszelkie przyjemności życia wygodnego, wyjechaliśmy do Lwowa, przyjęliśmy nauczycieli i metrów i sami tam mieszkać postanowiliśmy. Maurycy jako najstarszy był najpierwszym celem życia naszego. Od ósméj godziny rano miał podzielone wszystkie godziny do nauk, pojmował z największą łatwością i wkrótce do rozkładu godzin i nauk tak przywykł, że nawet dobrowolnie nie chciał wychodzić z domu, trzeba go było przymuszać do spaceru. Z największą łatwością wyuczył się mówić po francuzku i po niemiecku, łaciński język przyszedł mu jakoś niepostrzeżenie z powodu że sam ojciec dawał mu lekcje tego

języka: wkrótce uczył się na pamięć najpiękniejszych wyjątków z Wirgiliusza i innych autorów klassycznych, szczególniéj podobała się Maurycemu historja grecka, czytywał Plutarcha, uczył się go na pamięć, pożerał z chciwością wszystko co miało charakter i cechę bohaterstwa. Wielcy ludzie, wielkie czyny, jedynie duszę jego zajmowali. Razu pewnégo czytając Iliadę Homera zamknąwszy się na klucz, zaczął deklamować głośno z największym zapałem tak, że gospoparz domu, stary, poczciwy Niemiec, idąc galerią pod oknem, zatrzymał się i przez ciekawość zajrzał. Cóż zobaczył? oto, jak Maurycy z największą zawziętością bombardował do pieca ciskając wszystko co miał pod rękami, książki, piłki linije, i tym podobne. W tym piecu wyobraził sobie mężnego Achillesa, którego obalić postanowił. Stary Tiszer przestraszony wpada do nas: „Dla Pana Boga żywégo! panicz musiał chyba zwaryować gdyż piec bombarduje, a szkoda pieca,“ poszłam i znalazłam Maurycego rozognionego, rozczerwienionego, który zawstydził się i uspokoił, ale odtąd mocno się gniewał na poczciwego Niemca, i zawsze figle mu płatał; z których jeden był takowy: Tiszer stojąc na dziedzincu poczuł od razu, że coś kropi go po głowie; poziera do góry, nie widzi nikogo, mruczy po trochu; znowu kropi po peruce aż krople wody na twarz spadają; no, to pewno te panicze z góry, poczekajcie Achillesy! lezie Niemiec na drugie piętro, wchodzi do pokoju Maurycego i pyta czy oni go kropili? „Ach uchowaj Boże, panie Tiszer, rzekli obydwa Maurycy z Kamilem, toby nawet niegrzeczném było,“ Tiszer dał sobie wyperswadować zwłaszcza że nie widział ani wody, ani szklanki, ani kropidła, wiedział nadto że grzeczne chłopczyki mieszkają u niego na drugiem piętrze. Lecz skoro przypadkiem podsunął się pod okno, znowu kropienie w dużych kroplach spadało na niego: „a to niepoczciwe chłopcy, zataili się jak myszy, dam ja wam,“ i stary lezie znowu, ale już na skargę do mnie: „Co to te panicze wyprawiają, dla czego moja peruka taka mokra, a to jak pod ich oknem stoję“... Idę ja z moim Tiszerem do chłopców: dzieci, co wy tu za niedorzeczności wyprawiacie? pan Tiszer się skarży. Ej nie, moja mamo, rzecze Kamil z miną utajoną, oczyma wytrzyszczonemi, a Maurycy tak zagłębiony w lekcyi matematyki, że mnie zupełnie przekonali, iż kropienie nie od nich pochodziło; No ja przepraszam paniczów, rzecze Tiszer, ja sam wiedział, że być nie mogło aby te panicze kropili, ale, Herr Jezus, kto mię tak zawdy kropi! Zaledwo nasz Niemiec zlazł na dół, aż tu Kamil wyciąga z kieszeni gębkę mokrą, wysadza rękę za okno by Tiszera pokropić i gębkę znowu chowa do kieszeni. Maurycy rzuca lekcją

i matematykę, kładzie się od śmiechu: otóżto mamo, za to taka przygoda Tiszerowi, że mi nie dał zwalczyć Achillesa. Strofowałam ich mocno, oni się śmiali do rozpuchu, a Tiszer aż do śmierci nie wiedział kto mu perukę kropił w jego własnym domu.

Maurycy wiedząc, że przypodoba się ojcu, przykładał się najusilniéj do muzyki, a chociaż w początkach palce jego niezgrabne pokaleczone, pozacinane nożem, scyzorykiem, bo wiecznie coś majstrował, czyniły niepodobieństwo metrowi ułożenia jego ręki do fortepianu, chociaż w pierwszych miesiącach metr sumienny zapewniał mnie że szkoda czasu i pieniędzy dla takiego niezgrabjasza; wszelako Maurycy wkrótce zaczął zadziwiać pięknością tuszu i słodyczą harmonii, która z pod téj niby to niezgrabnéj ręki i palców wychodziła. I w rzeczy saméj, muzyka Maurycego miała w sobie coś nadzwyczaj wzruszającego, doskonałego, coś tak melodyjnego, a najwięcéj kiedy na dobrym swego wyboru fortepianie, rzucał się czasem do gry i improwizował co mi się często zdarzało zasłyszeć w Warszawie przed rewolucją, pewno wtenczas musiał harmoniować. Burzliwe, owe straszne, pełne niebezpieczeństwa czasy ze straszniejszą jeszcze przyszłością... Ach! nie zapomnę nigdy wdzięku i melodyi owéj, która dla mnie miała coś nadzwyczajnego, poruszającego i wieszczego. Gdyśmy przez cztery lata mieszkali we Lwowie, jedynie dla edukacyi dzieci, wieczory nasze codziennie odprawiały się przy stoliku; ojciec czytywał dzieciom albo też Maurycy ze swoim metrem i skrzypcami siedział przy fortepianie. Zawsze Maurycy był celem przed innymi wszystkich starań, kazałam go uczyć tańczyć, ale tak był niezgrabny i głowę zawsze chował pomiędzy ramiona, tak dalece tych lekcyi nie chciał, że szkoda było płacić za każdą po pół dukata pani Nolange.

Maurycy nie chodząc do szkół publicznych i mało z domu wychodząc nie znał ulic we Lwowie, ciągle uczył się w domu, bardzo wiele czytywał i korzystał, ale tak był sam w sobie jakby do innego świata należał. Dość dziki, nie umiejący sobie poradzić nie umiał bynajmniéj żyć z ludźmi, ani ich szukał ani chciał o niczém wiedzieć; dom, rodzice, rodzeństwo, Bójaniec, metrowie, fortepian, a nuty jakiego lepszego autora i książki były wszystkiém dla niego.

Tak przyjechaliśmy do Polski w r. 1819. Tam mieliśmy folwark o cztery mile od Warszawy na Czersku. Ojciec w początkach sam jeden jeździł do Warszawy, a ja musiałam oddawać się domowemu gospodarstwu wyglądając czasu póki nie będziemy mogli razem tak mieszkać, dla ukończenia edukacyi synów i sposobienia

ich na urzędników. Często pytałam Maurycego do czegoby się chciał sposobić? Odpowiedź jego zawsze była jednostajna: ja będę się kierował na drodze dyplomatycznéj, bo chcę i muszę coś więcéj znać i rozumieć nad to co mam dziś przed oczyma, bo wszystkie prywatne, domowe rzeczy i okoliczności dla mnie są nader obojętne, ją czuję w sobie ducha, który wszystko chce pojąć co tylko jest do zrozumienia, widzenia i słyszenia. Gdy ja czasem zająć chciałam Maurycego gospodarstwem, poprostu dla tego by mnie dopomagał w tym moim trudnym dla mnie zawodzie, posyłałam go do stodół by miał oko na robotę najemników i młocarzy, mój Maurycy rzecze ze słodką miną: dobrze kochana mamo i poszedł; nadchodzę późniéj i widzę jak Maurycy obłożony do koła książkami deklamuje wiersze na osobności na snopkach; odtąd nie posyłałam go więcéj, bo przekonałam się, że dusza jego nie harmoniuje że snopkiem. Gdy pierwszy raz posłaliśmy Maurycego do Warszawy z poczciwym i zacnym Hanem, który był przez nas wybrany do prowadzenia pierwszéj jego młodości, wziął go ze sobą w południe na obiad do restauratora, co było nowością dla niego, bo pierwszy raz jadł z obcymi i osobami których nie znał; miał przeto minę bardzo ciekawą, co się zwykle wyrażało przez mocne otwieranie i przymrużanie oczu i pewną niespokojność. Po obiedzie Han dobył pieniędzy by płacić za obiad, a to co? rzecze Maurycy, czy to taka grzeczność? w dawnéj Sparcie nie płacono za to że kto jadł obiad; Han mocno się ucieszył z osobliwszego młodzieńca w 19. wieku. Ale ja matka rozumiałam Maurycego, on nie znał ani chciał nic innego znać prócz porządku życia domowego i familijnego, umysł jego zajęty dziejami jedynie przeszłości nie mógł nawyknąć do nowości życia teraźniejszego.

Przystąpiliśmy nakoniec do uporządkowania systemu edukacyi szkólnéj. Po raz pierwszy dowiedział się Maurycy, że potrzeba tak się przygotować aby zdać egzamin surowy z szóstéj klassy, to go nie zastraszało bynajmniéj, chociaż w życiu swojém nigdy egzaminów nie zdawał ani nawet prywatnych z klass początkowych. Posiadał języki, umiał gruntownie po łacinie, we wszystkiém przez ojca wyćwiczony najbardziéj, i w kilka miesięcy tak był przygotowany przez zacnego Hana, że z podziwieniem wszystkich profesorów dano mu klassę szóstą. O doskonałéj zaś jego znajomości języka łacińskiego dużo gadano, dziwiono się nawet jak taki młody chłopiec nie uczęszczający do szkół publicznych, mógł lepiéj od innych umieć tyle rzeczy; zaszczyt ten przypisano oczywiście ojcu Maurycego, on zaś sam zwrócił na siebie uwagę ówczesnéj młodzieży pełnéj ambicyi i oświaty o talenta i o geniusz. Odtąd mło-

dzież światlejsza uprzedzając Maurycego poczęła się z nim zaznajamiać i wciągać go w swoje gorące a tajemne plany. Nie miarkowaliśmy pcdówczas co to znaczy.

Maurycy zapisany na kurs pierwszoroczny prawa, uczęszczał do akademii, marzył o dyplomatyce, grywał na fortepianie, o żadne inne zabawy nie dbał. Chodził już samopas zupełnie po mieście, gdyż dochody nasze nie pozwalały płacić więcéj guwernera a ktokolwiek bądź inny już był za mało dla Maurycego, któremu po egzaminie otworzyły się oczy i poznał, że coś więcéj posiada niż drudzy. Chciałam go czasami brać ze sobą na wieczory do domów zacnych by go prezentować raz dla mojéj własnéj macierzyńskiéj satysfakcyi, powtóre by go oswoić z towarzystwem wyższem, żeby go wprowadzić w stósunki moje, by go wcześnie nauczyć jak to potrzeba zaczynać starać się i zasługiwać na względy u ludzi, ażeby na późniéj mieć jakieś prawo do ich pamięci. Ledwie parę razy udało się mnie mieć Maurycego na wieczorze u powszechnie naówczas poważanéj starościny W., staruszki zachowującéj wszelkie jeszcze dawnych polskich domów obyczaje; zabawne było to widzenie jak Maurycy ze swoją minką nieśmiałą gwałt sobie zadawał, chodził krok w krok za mną ani na moment nie odstępując mnie, a jak był niezgrabny w ukłonach często mi powtarzał: „Mamo chodźmy już,“ ale ta jego niezgrabność miała w sobie coś oryginalnego, coś miłego, ja wiedziałam co to znaczyło, bom całą jego duszę pojmowała, wiedziałam, że co jest czcze, próżne, co się zowie tonem lub etykietą, wszystko to nudzi go, gdyż jego umysł zawsze był zajęty ideałem bohaterów o których czytał i marzył, wszystko inne fraszkami nazywał. „Gdzież, mawiał mi, znajdę w towarzystwie, które mnie tyle subjekcyi kosztuje, gdzie nie wiem nawet co robić, owych wielkich ludzi, którzy w książkach sami się mnie przedstawiają przed oczy? Ja z nimi wolę wiecznie obcować w duszy mojéj, aniżeli drogi mój czas tracić na próżnych ukłonach i ceremonjach.“

Tak rzeczy szły powoli, ojciec zajęty urzędem publicznym już nie bardzo wglądał w czynności syna, zaledwo dla siebie znajdował chwile krótkiego czasu do wypoczynku. Tymczasem jedna z moich znajomych z któréj synem Maurycy razem mieszkał, ostrzegła mnie, że Maurycy czasami po pół nocy wraca do domu, że razu pewnego wszedłszy do mieszkania swego syna o godzinie czwartéj rano, znalazła Maurycego śpiącego nierozebranego i tak niedbale rzuconego na łóżku z pistoletem obok niego leżącym, który rurą sięgał aż poduszek. Z moich indagacyi w tym względzie śmiał się Maurycy odpowiadając: „Niech mama nikomu o tém

nie mówi, bo z tego kłopot, W. książe i co tak już młodzież prześladuje, myślałby, że niewiedzieć co się robi.“ Chociaż przekonaną byłam, że nie żadna lamparterja wyprowadza Maurycego z domu nocną porą, poczęłam jednak mocniéj czuwać nad nim, lecz już więcéj nie wychodził późno i zdawało się jakoby się wszystko uciszyło. Maurycy kochał ojca nadewszystko i szczególniéj się go bał, było więc cicho; chociaż dostrzegać się dawało, że młodzież po swojemu namawiać chciała Maurycego na schadzki, z czém miał wielki kłopot niemogąc i nieśmiejąc zwierzyć się ani ojcu ani mnie zobowiązawszy się przysięgą na milczenie. Pewnego razu tak się zdarzyło: podczas obiadu wchodzi do nas nieznajomy jakiś młodzian, pomięszany, pyta o Maurycego, szczęściem go nie było u stołu; ten młodzian, jak się późniéj dowiedziałam z zeznań od jednego z więźniów stanu, był to znajomy Maurycego i współprzysiężony, którego rada czyli starsi wysłali z rozkazem poprowadzenia Maurycego na Bielany i tam z wysokiego stronnego brzegu wtrącenia go niby od niechcenia do Wisły. Był to więc wyrok śmierci na Maurycego za jego chęć wyłamania się z pod praw, pod które poddał się początkowie, a których, mieszkając z rodzicami, na żaden sposób nie mógł wykonywać zwłaszcza, że nie miał nigdy pieniędzy. Szczęściem nie znaleziono Maurycego w domu a wyrok ten śmierci z czasem odmieniono na wielką reprymandę.

Tymczasem nadszedł czas egzaminu z pierwszego roku akademickiego. Maurycy tak był pewnym siebie, że wcale nie chciał zachowywać formalności przepisanych przez Rektora dla uczni. Potrzeba było regularnie uczęszczać do akademii i co trzy miesiące miewać świadectwa od professorów, że się uczęszczało. Czas egzaminu nadszedł, a tu nie ma ani jednego świadectwa. Maurycy śmiało idzie po kolei do wpisu w godzinach przeznaczonych na egzamin. Zgromiono go i zapowiedziono, że utracił prawo do tego. Zagniewany Maurycy prosi, bym się za nim wstawiła. Zmartwiłam się; chodzę po professorach, nic nie pomaga. Trzeba było aż powagi ojca użyć, by wstawił się za synem do ministra oświecenia. To żenowało ojca, ale cóż robić? Minister przez wzgląd na ojca wydał rozkaz, by Maurycego natychmiast egzaminowano. Ten idzie zagniewany na professorów. Ja się martwię, truchleję, pewna, że przez niełaskę i nieukontentowanie, professorowie nie dadzą przejścia krnąbrnemu uczniowi. Godzina siódma wieczorem: Maurycy schodzi zmęczony i rzecze: „Otom się wygadał; ręczę, że 10 razy więcéj niż kto inny; na gwałt ci panowie wynajdowali łapki na mnie, ale im się nie udało; oto masz, mamo:“ i poczyna wyciągać z kieszeni pogniecione attestata professorów różnych przedmiotów,

tak właśnie, jakby nie przykładał żadnéj ceny do tak ważnych dowodów. Czytam. We wszystkiém stoi dobrze Maurycy: pomyślałam sobie w duchu, on ma racyą nazywać wszystkie formalności głupstwami i wyszydzać je; bo oto nie mogli mu zaszkodzić, chociaż najwyraźniéj im zawinił. Uściskawszy Maurycego prosiłam go, aby na przyszłość nie wystawiał rodziców na podobne ambarassy i dodałam: pamiętaj Maurycy, już masz własne doświadczenie. Ja na rok przyszły ani kroku nie zrobię wstawiania, ani upokarzających próśb za tobą nie uczynię; jesteś uczniem i powinieneś zachowywać wszelkie przepisy akademickie. Pójdź natychmiast zemną do rektora i przeproś go. Dobry Maurycy uczynił com żądała, po raz pierwszy ucałował rękę najgodniejszego swego rektora.

Od tego czasu rok przeminął, gdy znowu wypadało Maurycemu zdawać egzamin, dla którego najczęściéj wychodził do swoich przyprzyjaciół, bo skryptów własnych nie miał. Pewnego dnia wszedłszy do stancyi przyjaciela, zrzucił mundurek, nałożył małą fajeczkę i wysłał służącego po jakieś papiery potrzebne do nauk; w tém przypomina sobie, że trzeba dać dokładniejszą informacyą służącemu względem owych rękopismów; w prędkości rozebrany jak był z fajeczką wybiega aż na dół do sieni wiodącéj na ulicę, by zawołać służącego. Przechodzący podówczas komisarz policyi S., z natury grubianin i podpiły, znany przez młodzież jako złośliwy i niegodziwy człowiek, postrzegłszy Maurycego: dla czego palisz tytuń na ulicy, dla czego nie masz munduru? zawołał i jednocześnie porwał za fajkę, by ją wydrzeć z ust i szarpnął tak gwałtownie, że aż rozkrwawił usta Maurycemu; w okamgnieniu Maurycy na odwet za tę zniewagę uderzył w twarz komisarza, ale tak silnie, że go od razu powalił na ziemię, a sam zemknął do mieszkania. Rzecz ta narobiła wiele hałasu, doszła zaraz do wiadomości W. Xięcia Konstantego, który kazał wice-prezydentowi Lubowidzkiemu dostawić do siebie do Belwederu obydwóch i komisarza i obwinionego studenta. Lubowidzki wsadza obydwóch do jednego pojazdu, aby dwaj antagoniści mogli się z sobą porozumieć. Komisarz zmiękczony prośbami familii Maurycego, niby rozczulony, tak się pierwszy odzywa: „Panie Maurycy, Pan bardzo źle wyjdziesz za swoję popędliwość; ja zaś nie wiedziałem, kto Pan jesteś, bez munduru i z fajką w ustach; a palić fajki na ulicy nie wolno; jestem w randze komisarza i byłem oficerem w wojsku, a że Pan mnie uderzyłeś, przez to zgubiony jestem, dadzą mi dymisyą, a ja mam żonę i dzieci. Najlepiéj zaprzyj się Pan przed księciem i powiedz, że to fałsz, żeś mnie nie uderzył.“ Maurycy tą namową uradowany rzuca się komisarzowi na szyję i tak usposobieni stają w Belwederze. —

Niedługo szybkim a szerokim krokiem wpada W. X., twarz tygrysa rozjątrzonego, brew stercząca, oko straszne, głos chrapliwy; „Tyś to się odważył uderzyć cesarskiego urzędnika?“ Maurycy struchlały rzecze: „Nie, jam go nie uderzył.“ „Jakto, pyta się Xiążę zapalczywie komisarza, on cię nie uderzył?“ Na to komisarz rzecze: „Tak jest, ten oto młodzieniec uderzył mnie wczoraj w twarz za to, że mu chciałem zabronić palić lulki na ulicy.“ — Nie można sobie wyobrazić w jaką złość aż do wściekłości wpadł Wielki Książę. Rzucił się całą figurą swoją na stojącego opodal Maurycego, porwał go za piersi, wstrząsł nim, jak młodém drzewkiem, podniósł go do góry, a mruczał jak niedźwiedź rozjuszony. Potém porywa za guziki, obrywa je, drze w pasy mundurek uniwersytecki. „Won z nim, rzecze do Lubowidzkiego, w kajdany! głowę ogolić na krzyż! włożyć suknie aresztanckie i dać wikt aresztancki; niech wespół z aresztantami pracuje w taczkach i śpi razem z nimi!!!“ O Boże, co za okropność! Matce wolno jest zrobić tu uwagę, iż albo Bóg dla widoków niedocieczonych dał władzę takiemu człowiekowi, albo zły duch miał moc i wydał potworę w postaci uciemiężyciela ludzkiego.

Gdy Lubowidzki wyprowadzał znękanego takim wyrokiem Maurycego, łatwo sobie wyobrazić, co mógł czuć młodzieniec tén pełen ambicyi. Wtém nagle W. X. jakby zreflektowany, woła Lubowidzkiego i pyta: „Kto jest ten uczeń?“ Lubowidzki odpowiada: „Syn obywatela i urzędnika w Komisyi oświecenia.“ „Głowy nie golić, sukni aresztanckiéj nie dawać, ale niech robi w taczkach z aresztantami w ogrodzie belwederskim.“ Takie to Maurycy przechodził próby. Ja zaś podówczas byłam na wsi. Gdy się o tém dowiedziałam, jak lwica rozjątrzona puściłam się na całą noc do Warszawy, Bóg wie czém i po jakiemu. W szaleństwie mojém dużo mogłabym była zaszkodzić i Maurycemu i mężowi i nareszcie sobie saméj. Rozum mnie odstąpił zupełnie, a ktokolwiekbądź ważył się skrzywdzić moje dzieci, na tego całą siłą napaść, oczy wydrzeć, z krócicy do niego wypalić, zdawało się być świętą moją powinnością. Już czuwano nademną, dawano pilne baczenie, wystawiano rzeczy w innych kolorach: powiadano, że Maurycy się śmieje, że mają wzgląd na niego, że się tylko w południe przed generałem pokazuje z taczkami; że to jest nieszczęście powszechne, że się na to znajdą sposoby. Jeździłam do ministra oświecenia. Tén otworzył ręce na moje przyjęcie, przytulał mnie, cieszył, ledwo nie płakał, prosił o cierpliwość, mówiąc, że to nie sprowadzi żadnéj hańby na Maurycego, każdego z nas to może spotkać, a Maurycy dobrze się znalazł. Jeździłam potém do generała Rożnieckiego, ale tego

człowieka aż na rozdrożach mieszkającego, z duszą zaprzedaną, bez serca, ledwo mojemi prawdami mogłam naprowadzić, co się mnie, jako matce, jako kobiecie, nakoniec jako synowicy jego dawniejszego przyjaciela należało. Ten zły człowiek chciał mnie szkodzić, ale nie mógł; skakał pod sufit ze złości, ale przecież odjeżdżającéj podał rękę do karety i po błocie wyprowadził. Jeździłam także po radę do Lubowidzkiego; ten filut cieszył mię jak mógł. W miesiąc późniéj Maurycy już był przy nogach moich na wsi — przy moich piersiach. — Uwolnił go W. Xiążę; nawet nie wiem, jak się to stało. Najprędzéj, że zasługi, wielka zdatność ojca jego jako urzędnika musiały dojść do wiedzy Xięcia, lub też może i doszła do niego rzeczywista prawda, że komisarz był pijany i po brutalsku postąpił z Maurycym.

Co się daléj działo na skutek tego wypadku już Podczaszyński wymienił. Maurycy wykreślony z liczby uczniów uniwersytetu, skazany był na nieczynność, pozbawiony kierowania się przez urzędy: nudził sobą, grał tylko dużo na fortepianie; czytał i żył sobie swobodnie ze swoim nieocenionym przyjacielem Michałem Podczaszyńskim, który miał wiele mocy nad nim. Czytali, pisali, spacerowali, zawsze razem. Czas kilkomiesięczny przeleciał: my jeszcze nie znaleźliśmy sposobności zatrudnić Maurycego jakowymś pożytkiem na przyszłość. Ważyliśmy tylko i rozważali tyrańską władzę W. Xięcia bez duszy i serca, który nie był w stanie pojąć jaką krzywdę, jaką boleść sprawia, jaką przykrość przynosi rozpacz niewinnym rodzicom, niszcząc ich najchlubniejsze nadzieje a najbliższe sercu, depcąc nogami cały los, całą przyszłość ich synów, synów, dla których miłości zrzekli się własnego mienia, poświęcili majątek.

W takim stanie byliśmy, gdy oto w Listopadzie r. 1823. o szóstéj godzinie z rana dało się słyszeć pukanie u drzwi naszych: Kto to? — Otwórzcie, odpowiadają. Otwierają, — wchodzi dwóch policyantów z latarką. Lokaj się pyta: „pocoście tu zawitali?“ „Mamy rozkaz zabrać Pana Maurycego Mochnackiego, syna Pana tego mieszkania. Ta okropna wiadomość dochodzi do uszu ojca i do mnie. Skamieniałam na ten głos. Ojciec oddaje syna, bo inaczéj nie może. Maurycy nieulękniony zapewnia, że o niczém nie wie, że musi być jakieś nieporozumienie; zaklina, byśmy byli spokojni, że powróci wkrótce. Ojciec sam idzie z nim do Lubowidzkiego, vice-prezydenta policyi. Niestety! dowiedział się, że mają rozkaz zaprowadzić Maurycego do więzienia u Karmelitów na Lesznie jako więźnia stanu. Dowiedział się zarazem o składzie całéj komisyi śledczéj, na ten cel ustanowionéj, złożonéj z generała Kołzakoffa, jako prezydującego, Stankiewicza i trzech innych.

Nie potrzebuję opisywać smutku naszego domu. Kto jest ojcem i matką, pojmie go. Nakoniec nie w tém miejscu pisać o tém wypada, lecz opiszę raczéj nieszczęście syna, który zawsze z całą odwagą, z całą siłą duszy poddawał się swemu losowi, jak gdyby oddawna do tego był przygotowany. Tam więc u Karmelitów, wysiedział tam Maurycy owe 11 miesięcy, o których i jakim sposobem tam się sprawiał, by nikogo nie skompromitować a siebie wydobyć, wspomina Michał Podczaszyński. Trzeba było koniecznie oszukać Stankiewicza, Nowosielcowa i W. Xięcia.

Gdy byłam u generała Kołzakoffa, powinnam mu oddać całą sprawiedliwość, że najgodniejszy człowiek, serce miał czułe, robił prosto swoją powinność, nie mięszał owéj piekielnéj chciwości potępiania, zawikłania obwinionych, jedynie dla widoków osobistych by się przysłużyć rządowi dla gratyfikacyi, orderów lub stopnia, jak to powszechnie robiono za carewicza. Generał Kołzakoff przyjmował mię ze szczerością, z litością, tłómaczył się otwarcie, że Maurycy wplątany, że odznacza się dobrą głową, charakterem i zdolnościami, że ten młodzieniec zadziwia całą komisyę i robi honor rodzicom; że cóżkolwiekbądź on mi winszuje takiego syna. Nie było to pochlebstwo, bobym się była poznała na tém, albowiem Moskale cenili niezmiernie młodych ludzi oświeconych, oczytanych, takich właśnie, jakim był Maurycy, co u nich było rzeczą arcyrzadką. Skarżyłam się poufnie dobremu generałowi, że carewicz zakazał Maurycemu kontynuować dalszych nauk, a to go pozbawia na przyszłość i urzędów i wszelkiego sposobu dystyngowania się. „Niech Pani o to będzie spokojna," rzecze generał, „ja ręczę za to, że jak z tym zakazem, lub bez takowego, Pan Maurycy będzie, bo już jest nawet tak uzdatnionym do wszelkich promocyi urzędowania, że poszukiwać go będą niezawodnie; potrafi służyć dobrze krajowi, chociaż egzaminów nie składał." Nie szczędził generał wszelkiéj grzeczności ni uprzejmości dla mnie, dodając, że oszukiwać mnie nie będzie, obiecywać nic nie chce; że sprawa z W. Xięciem trudniejsza, jakby się to mogło zdawać; ale że mogę być spokojną, bo Maurycy sam siebie wydobędzie, a on go pewno nie potępi przed W. Xięciem. — Przeciwnie niegodziwy chytry Stankiewicz chciał korzystać z dobréj głowy Maurycego i postanowił zmusić go na swoją korzyść; straszył go więc okropnie, zaprzysięgał, że jeżeli za kim brama raz się zamknie, wieczne go potém czeka zamknięcie i potępienie: „już światła nie zobaczysz, Panie Maurycy, jakem Stankiewicz, szukaj drogi do zbawienia, którą ci przedstawiam po ojcowsku." Maurycy uwierzył, i dla tego stawał się Stankiewiczowi powolnym; wtenczasto reda-

gował owo pismo karmelickie, za które późniéj tyle był prześladowany. Stankiewicz zaś z Nowosielcowem cieszyli się, że znajdują sposoby nawracania tyle uzdatnionych młodych ludzi. Jako dowód pismo to pokazywali W. Xięciu Konstantemu, a tén rzekł: „Wy duraki, on was oszukuje — ale niechaj i tak budiet'“. Pokazuje się, że o tém piśmie najlepsze było zdanie carewicza. Te szczegóły słyszałam z ust samego Stankiewicza, który przedemną udawał niby na pochwałę Maurycego, jakoby i on sam tak myślał, co nieprawda; gdyż postępowanie jego po wypuszczeniu nawet z więzienia Maurycego było niegodziwe: zadawał sobie wiele pracy, jak prawdziwy lucyper, żeby zdemoralizować Maurycego i nakłonić go na stronę moskiewską. A wszystko chytrze, surowo, dla wpojenia obawy, że jego władza nie ustała jeszcze. Przechwalał się, że Maurycy jemu jedynie zawdzięcza swoje wyjście z więzienia. Biedny Maurycy, znękany w więzieniu odjęciem wolności, męczony głodem, trzymany samotnie bez światła, bez zatrudnienia; straszony rozsiewanemi bajkami oprawców, widział jak jeden z więźniów powiesił się, słyszał jak po nocy wyniesiono trupa; w całéj sprawie głucho, ciemno, czegóż się mógł spodziewać? czego się miał trzymać? Z drugiéj strony dały mi się słyszeć od starego, poczciwego wojewody Grabowskiego wielkie pochwały znakomitych zdolności Maurycego; ten, lubo moim był przyjacielem, ale nieborak i ślepy i głuchy na wszystko, co się dotyczyło rozkwitającéj się oświaty i wielkiéj prawości pomiędzy młodzieżą, rozpowiadał, że słyszał od Nowosielcowa, z powodu owego pisma karmelickiego, jakoby Maurycy Mochnacki był człowiekiem wielkich nadziei, a chociaż nie miał jak tylko lat 18 wieku, posiadał więcéj rozumu i wiadomości jak drugi najstarszy. Nie rozumiał on tych pochwał; moje zaś wszystkie usiłowania dążyły do tego, by jaknajprędzéj syn był wypuszczony z więzienia na wolność. Nareszcie chwila ta szczęśliwa nastąpiła. Razu pewnego w południe zajeżdża przed dom doróżka, pozieram przez okno, aż tam coś jednym susem wskoczyło do sieni z pojazdu. Przeczucie matki nie myli, zawołałam: Maurycy, synu mój! Wybiega ojciec, lecimy wszyscy na schody: był to w rzeczy saméj Maurycy, który od chęci prędszego dostania się zgięty we dwoje, po dwa schody naraz bierze, w największym nieładzie, pada u nóg naszych i rzewliwie płacze, o Boże! jak to psie korzące się, skomlące u stóp swego pana. Wydzieramy go sobie; ja padam na kolana, by go prędzéj uchwycić i do piersi przytulić. Wielka to scena! rodzeństwo, siostry, brat najmłodszy, sługi, obcy ludzie, wszystko to się zbiegło od razu! O wy, którzyście widzieli tak jak ja syna wracającego z niewoli, z więzienia,

czasem bez nadziei oglądania go więcéj — bo w Bogu tylko nadzieja — wy tylko ten obraz pojmiecie!...

Nareszcie uciszyło się wszystko. Mauryceniu nie wolno było nic mówić: co, jak, dla czego? i na co się to wszystko stało, więc milczał; ale wzrok jego stał się ponury, zawsze bojaźliwy, chytry nawet jakiś, niedowierzający; światło trzeba mu zawsze palić we dnie i w nocy, tak nie lubił ciemności. Gdy mu powiadałam, jakie wieści o nim chodziły, ile pochwał słyszałam od wojewody Grabowskiego i od Szaniawskiego. „Ach! mamo kochana!“ zawołał, „na miłość Boską! niech mama nic o tych pismach nie wspomina, to hańba moja, nie chluba! Sami dyktowali mi te pisma, obiecali wypuścić, skoro przyjmę takie rzeczy za swoje. Dla tego téż mnie wypuścili, ale raz jeszcze zapewniam mamę, że musiałem to pisać.“

Minęło znowu kilka czasów: Maurycy począł się nudzić, ponieważ żadnéj czynności nie miał. Udałam się po radę do radzcy stanu Szaniawskiego, który mnie i nam wszystkim wyperswadował, że Maurycy póty będzie podejrzanym u W. Xięcia i wiecznie prześladowany, aż dopóki nie wejdzie do bióra Nowosilcowa lub do cenzury. Woleliśmy tę ostatnią; lecz niebawem Maurycy wyszedł ztamtąd, bo nie mógł przenieść tego na sobie. Zawołany na reprymardę od radzcy Stanu Szaniawskiego, za opieszałość w uczęszczaniu do bióra, taką dał otwartą radzcy odpowiedź, że ledwo go samego nie zawstydził, że był głównym cenzorem. Uściskał go radzca po przyjacielsku i dał dymissyą. Mógł to Szaniawski zrobić łatwo, raz dla tego, że w gruncie przeciwny był temu swemu urzędowi; powtóre znał kto jest Maurycy; po trzecie był dobrym człowiekiem i przyjacielem naszym. Bynajmniéj się nie gniewał, gdy mu Maurycy dał do zrozumienia, że w duchu owego czasu niebardzo jest bezpiecznie być cenzorem. Miał też zupełną racyą Maurycy, bo w kilka czasów późniéj, gdy rewolucya dojrzała w królestwie polskiém, chciano powiesić pana dyrektora cenzury, co mogłoby było nastąpić, gdyby Maurycy nie dołożył wszelkiego starania by nawrócić Szaniawskiego do wzięcia urlopu i wyjechania na ten czas do Wiednia.

Maurycy porzuciwszy cenzurę, pracował następnie w komisyi rządowéj spraw wewnętrznych w wydziale fabryk i pisał Izydę, pismo techniczne. Nie robił to z zamiłowania, przeciwnie, nie cierpiał swojéj czynności. Izyda, pismo rólnicze, pełne wyrazów technicznych, niezrozumiałych dla niego nudziło go śmiertelnie, lecz musiał przyjąć pierwsze lepsze wakujące zatrudnienie, jakie się nadarzyło, i to zamaskowane na etacie, by carewicz nie spostrzegł.

W takim stanie rzeczy doczekaliśmy się sądu sejmowego na

przestępców politycznych z roku 1826. pod prezydencyą wojewody Bielińskiego ustanowionego. Wtenczasto Maurycy napisał bezimiennie owo pismo tak dzielnie i stanowczo wpływające na uniewinnienie obwinionych pod tytułem: *Głos obywatela z ziemi zabranéj*, które w dziele „*Powstanie Narodu Polskiego* jest zamieszczone. Było to sztucznie i hazardownie napisane własną ręką; dał przepisać kuzynie, na dowód że ją najmocniéj kocha; zwierzył się arcy-biskupowi Woroniczowi. Szanowny ten starzec pobłogosławił go. Pismo rozleciało się raniutko do wszystkich członków owego sądu. Czytano, dziwiono się, ktoby mógł być autorem takowego; przejęli się wszakże duchem onego. Oryginalny rękopism był u mnie w ukryciu; ja tylko słyszałam jak odgadywano autora.

Już się zbliżał koniec roku 1830. Maurycy był niezmiernie zajęty swojém dziełem o *literaturze*, zawsze mawiał: byłbym skompromitowany gdybym nie wydał tego com ogłosił; przepadnę gdy tego nie dokażę. A tu w rozwinięciu się rewolucyi lipcowéj francuzkiéj bohatery nasze pozachodzili w głowy by z czasu korzystać u siebie, biedny Maurycy nie mógł chcieć, nie mógł niechcieć należeć do owych ważnych wypadków, jako człowiek liberalnych zasad, jako uznany z głowy i serca, jako patriota mógłże się usunąć? Ale widział nieporządek w systemacie, przewidywał całą okropność, gdy się nie uda, widział zgubionych rodziców. Nieraz czoło zachmurzone, oko łzą zaszłe, wsparty na łokciu dumał w swym pokoju gdzie stół zielonem suknem nakryty, miniatura Michała Podczaszyńskiego przysłana z Paryża, kazanie księdza Skargi, trupia głowa na murku wysoko, szafa wielka z książkami, na stole rękopisy różne i maszynka z czarną kawą i rumem znajdywały się; pisać bowiem, lulkę palić i pić czarną kawę z rumem, wieczne było Maurycego zatrudnienie. Nieraz wchodzę do niego i pytam: mój Maurycy, czego ty taki zachmurzony jesteś? uśmiechnął się: o moja ty najlepsza mamo! ja się czasem w méj skórze pomieścić nie mogę, ani pogodzić różnych sprzeczności, które mam przed sobą. Nieraz kiedy Maurycy był wesół, z jakąś książką pod pachą, bo tak zawsze chodził, zgłodzony leciał na obiad do domu, wtenczas był nader miły a pogadanka familijna najprzyjemniejsza. Ja mówiłam mu: ożeń się mój Maurycy, zobaczysz jak cię żona pielęgnować będzie; wtenczas Maurycy klękał przy mnie: o moja dobra, piękna mamo! jak tylko znajdę taką kobietę jak ty jesteś, zaraz się ożenię, ale ja wiem dobrze takiéj ja nie znajdę, chciejże mi się sama poszukać i ożeń mnie, bo widzisz mama, że ja nie mam czasu o tych fraszkach myśleć, a potém ja muszę moją literaturę co tchu wydać... i znowu skoczył odemnie, swy-

wolił z rodzeństwem, że nieraz aż stawał się chaos w pokoju ze sprzętów.

Tymczasem był jakiś wielki ruch pomiędzy młodzieżą, widziałam jak do pokoju Maurycego wchodziło wiele nowych twarzy, słyszałam straszne dysputy, widziałam jak wyjeżdżali za miasto na obiady, rozumiałam, że się bawią. Maurycy kochał swoich przyjaciół Wołyniaków, Ukraińców i Litwinów, — nie wiedziałam, że rewolucja dojrzewa. — Ostatnich prawie dni Listopada wchodzę raz do mieszkania Maurycego i zastaję go przy zielonym stole piszącego, ale oczy mu się iskrzą, kawa na wpół niedopita, pisze a pisze, na mnie nie uważa, ja stoję pod piecem; nakoniec Maurycy po długiém jeszcze pisaniu uśmiecha się, daje ostatnią kreskę piórem skrzypiącém, podnosi ręce do góry złożone, zakłada za głowę, łzy mu z oczu padają, O wielki Boże! zawołał, westchnął, zapłakał, rzucił pióro i przybył do mnie; Ach! kochana mamo, w tym momencie skończyłem moje dzieło o literaturze, ale to co teraz napisałem jest przedmowa krótka, téj mamie dziś nie dam do czytania, za dni kilka dzieło pójdzie do druku i będziesz mama czytała wszystko razem.

Tę przedmowę napisał Maurycy w duchu już rewolucyjnym; dla tego zaś zapłakał, że się okropnie passował sam ze sobą lękając się narazić kraj, tylu ludzi i rodziców na los śliski, niepewny. Zamieszczam tu ją dla tego, że w pierwszém wydaniu dzieła o literaturze mało gdzie się znajduje, ponieważ Rossyanie po wejściu napowrót do kraju kazali ją powyrzynać, a książkę bez przedmowy w bieg puścić.

„Czas nareszcie przestać pisać o sztuce, co innego zapewne teraz mamy w głowie i w sercu, improwizowaliśmy najpiękniejsze pienie narodowego powstania! Życie nasze jest poezją. Zgiełk oręży i huk dział ten będzie odtąd nasz rytm i ta melodja.

Nie literatura polska, ale polski kraj szeroki, bujny z wszystkim ludem swoim, z łanami i stepami, taki jaki był przed wiekiem niechaj nas przedewszystkiém zajmuje. Nie wielu znajdę czytelników, — cieszę się z tego. Ogłosiłem przed rewolucją wydanie niniejszego dziełka. W pisaniu rozszerzyło się nad zamiar autora, tak, że dwa tomy całość składać mają. Bóg wie kiedy wyjdzie tom

drugi. Z drżeniem w sercu, drżącą ręką kreśliłem ostatnią stronnicę tego pierwszego tomu na dni kilka przed 29. Listopada. Były to chwile niepewności, niebezpieczeństwa, okowy brzęczały w słuchu moim, samotność, więzienie jak mgła szerzyło się w duszy mojéj; niebo to wszystko na lepsze odmieniło! — Skończywszy pierwszą część, wszystkie exemplarze mego pisma na to skazuję, żeby butwiały w księgarniach, póki nie odzyskamy bytu politycznego.

Pisałem w Warszawie dnia 14. Grudnia 1830.

Maurycy Mochnacki.

Dowiedziałam się późniéj od niego, że postanowił naumyślnie zwlekać wybuch rewolucyjny, aż póki nie dokończy swego dzieła. Tak dalece obawiał się, aby na późniéj odkładające dokończenie, nie znalazł przeszkód nieprzełamanych do wyjścia onego. Gdy go więc zastałam przy ukończeniu, zajęty był ową wielką myślą, że już tylko o dni kilka od rewolucyi i wtenczas to ze łzami w oczach nakreślił pierwsze linie téj przedmowy, którą późniéj dokończył, już po rozpoczęciu owéj wielkiéj sprawy narodowéj. Całował mnie Maurycy i rozrzewniał się; musiał zapewne żegnać mnie w tém roczuleniu, czego się nie domyśliłam. Winszowałam mu skończenia pisma od którego zawisło pierwsze jego wystąpienie na świat literacki i prawdziwy honor pisania; które to powołanie, jak mawiał, było jego żywiołem; w rzeczy saméj pisywał rozmaite artykuły do gazet co mu przychodziło z łatwością. Pamiętam, razu pewnego napisał w gazecie pochwały dla naszego skrzypka Lipińskiego, a raczéj zrobił rozbiór doskonałości gry jego na skrzypcach w koncertach; trzeba było dziwić się rozwinieniu w opisie téj doskonałości melodji i muzyki. Słyszałam mówiących znawców, że niewiedzieć, która sztuka jest doskonalszą czy wycechowanie na skrzypcach Lipińskiego muzyka? czyli też wysłowienie się Maurycego malownicze, brzmiące, pełne nowych wyrażeń, przejmujące duszę? Ja sama natenczas zdumiałam się po raz pierwszy i ledwo wierzyć mogłam, że to arcydziełko jest pismem od niechcenia, lekkim rzutem pióra mojego syna.

Do wszystkich zalet pióra Maurycego łączyła się nieporównana łatwość. Pisał szybko i od razu jak napisał tak drukował. Zdarzało się jednak, że i całe ćwiartki nawet i arkusze przemazywał,

a kiedy mu znajomi wyrzucali, że przez to robi szkodę, odpowiadał; „Nigdy człowiek tego nie żałował, co zmazał.“

Nakoniec nadeszła owa stanowcza, ale straszna chwila to jest; dzień 29. Listopada. Maurycy z przekonania, nie z szału poświęca powinnościom życie własne i los swoich rodziców, tłumi w sobie żal, trwogę, widzi niedoskonałość w układzie tego wielkiego dzieła, passuje się sam ze sobą, lecz nie ustępuje kroku; hazarduje wszystko, bo takie miał przekonanie o powinności służenia ojczyznie i ratowania, którą nad wszystko przekładał. Rano wyszedł z domu ledwo się na mnie pojrzał, i nie było go przez dzień cały. Mówił mi potém jego przyjaciel Anastazy Dunin, że gdy się dowiedział, iż z 18. oficerów gwardyi strzelców konnych spiskowych cofnęło się 16. i tylko 2. pozostało przy spisku, na którąto broń najwięcéj rachowano, tak się był zmartwił, że chciał się zastrzelić z rozpaczy, lecz Dunin zmusił go do wypicia szklanki wina starego aby go upoić dla zabicia czasu do wieczora, co się téż i udało. Obudzony Maurycy strasznie wymyślał na Dunina za ten podstęp lecz nie było czasu; o godzinie siódméj wieczorem poszedł ze związkowymi: Duninem, Kormańskim i siedmiu innymi na stare miasto gdzie rozpoczęli ową sprawę głośno przy bębnach, a potém z ludem, który się przyłączył w momencie, poszli rozbić arsenał i broń zabrać.

Co się ze mną działo, matką trzech synów wplątanych w rewolucją?... O Boże! co za hałas, co za krzyk, bębny, pochodnie, całe ulice w ogniach, strzelają, arsenał zdobyty, cały lud uzbrojony. Dzieci moje! każdy strzał w sercu matki się odezwał; cóż o tém pisać! biegamy od okna do drzwi, od drzwi do kątów, po schodach, po galeryi słuchamy; ludzie wchodzą, wychodzą, nowiny straszne, szybkie jak błyskawica; dzieci moje! ja tylko o was myśleć mogłam. O północy wchodzi Maurycy z Duninem, twarz wypogodzona, pałasz w ręku; uśmiecha się jakby ciężar jaki zrzucił z siebie, rzuca się na kanapę i oddycha. Zbiegliśmy się wszyscy, opowiadają nam, że interesa dobrze idą, że generałowie, którzy poginęli to z własnéj winy, niedługo wyszedł Maurycy, bo mówił mnie, że się niegodzi téj nocy w domu siedzieć, kiedy wszyscy skupieni są i działają... Ach Boże! to jeden syn mój, ale gdzież drugi i trzeci? nazajutrz dopiero o godzinie 8. z rana opowiada Dunin, że Kamila zostawił zdrowego przy armatach, aż tu niedługo i Kamil wchodzi w największym nieładzie, mundurek stary bo znajdując się rozebrany prawie na lekcji w szkole podchorążych, gdy na dane hasło wybiegł z koszar na ulicę nie było już czasu wracać się po ubranie; koszula rozpięta, wprawdzie zawi-

nięty płaszczem ale strasznie roztargany, twarzyczka jego zawsze miła, była niesłychanie blada, głos cichy, zmęczony; gdyż on był także wykonawcą planów przez siebie ułożonych, sam też o nich wiedział najlepiéj. Zawołałam, kochany Kamilu! Jestem tu mamo, pozwól niech odetchnę... bo taką mam biedę z motłochem, podostawali sobie broni z arsenału i strzelają to w prawo to w lewo; obskoczyliśmy go, ja co prędzéj podałam mu kieliszek wina, wypił, postawił karabin, „takżem zmarzł, bom się nie miał czasu ubrać,“ pozapinał się, roztarł ręce, był szczęśliwy i swobodny. Po chwili cichym głosem, stojący znowu z karabinem w ręku, rozpowiedział nam ów sławny i cudowny swój pochód ze szkoły podchorążych aż do arsenału. To prawda, że szczególna odwaga, męztwo tych młodych podoficerów! Wkrótce téż mój Kamil odszedł do wyznaczonéj sobie powinności, zapewniwszy mnie, że Tymoleon z gwardyą grenadyerów w bezpiecznem stoi miejscu; przeto na ten raz zostałam spokojną o moich synów.

Dzień cały przeminął w największym nieładzie i niebezpieczeństwie, można się było spodziewać mordów strasznych, gdyby Carewicz chciał próbować wejść gwałtem do Warszawy napowrót; równie i na pijane pospólstwo z bronią w ręku nie wiele można było rachować, by noc spokojną zostawiło. Ja upadałam na siłach, uczułam się być osłabioną tak, że padłam na łóżko. Wieczorem o ósméj wchodzi Kamil, ze zwykłą sobie roztropnością rzecze: dzisiejsza noc będzie trudniejsza, przyszedłem tu wartować moich kochanych rodziców, dano mi rozkaz pilnować żeby pijaki nie pozwalali sobie, ja téż najprzód tu przyszedłem; i zaraz całą broń ponabijał i położył ją na stole, poszedł do piwnic wyszukać drzewa, zatarasował niém drzwi, potém usiadł w nogach łóżka i prosił o zupełną spokojność. Leciały godziny, pospólstwo strzelało na ulicy, chwilami tylko pokładano się u mnie, mówiono o wypadkach całodziennych, o nadziejach, o wojsku ściągającém się z prowincyi, o radzie administracyjnéj, co postanowiła, jaką odezwę wydała, a z któréj nikt rozumnym być nie może; właśnie wszedł Maurycy gniewając się na radę administracyjną za ową pierwszą odezwę i na jenerała Chłopickiego, że się na nim zawiedli, ale, rzecze, jutro sam wydam odezwę, którą wstrząsę ich serca, ich mózgi, w tém postąpiwszy kilka kroków na środek improwizował z serca i z duszy bez namysłu mowę niby do narodu, lecz tak piękną, energiczną, pełną ognia, ale pisać jéj nie mógł, bośmy trzymali światło za parawanem z obawy, że pospólstwo strzelało z ulicy do okien na tych co w domu siedzieli. Dopiero ze dniem Maurycy

napisał tę oto odezwę pierwszą, lecz ona nie miała téj siły co pierwsza jego piękną improwizacja.

Pierwsza odezwa do mieszkańców Warszawy

przez

Maurycego Mochnackiego

w dniu 2. Grudnia 1830. roku.

Za krew u obcych przelaną od ostatniego rozbioru Polski, za tułactwo i bezprzykładne poświęcenia, w nagrodę męstwa i cnoty walczących braci naszych, odzyskaliśmy na kongresie wiedeńskim tę cząstkę kraju, która się teraz nazywa królestwem Polskiém. Rodacy! Mianoż u nas w poszanowaniu te zaprzysiężone prawa i swobody? Nie. Od lat piętnastu przed naszemi oczyma, w obliczu narodu, codziennie prawie konstytucya gwałconą jest i nadwerężaną w sposób przynoszący hańbę ludowi i tym, którzy go uciskali. Rozmnożyli się u nas wyniośli satrapowie świadomi intryg, stróiciele kabał, dalekim upominkiem na złe przywodzili serca, mało statku mające. Mieliśmy służalców co nam rozkazywali; mieliśmy podszczuwaczów, którzy naród polski i cesarzowicza dla własnego zysku utrzymywali w rozdzieleniu wzajemném i nienawiści; mieliśmy fakcyonistów i partyzantów na wysokich urzędach i w wojsku na pierwszych stopniach; mieliśmy szpiegów, którzy dobrą wiarę między uczciwymi Polakami i wzajemne zniszczyli zaufanie. Zapytajcie się stróżów potajemnych więzień, których pełno było w stolicy, a ci wam powiedzą, jacy ludzie cierpieli za swoje zdania i myśli w tymto kraju konstytucyjnym. Zapytajcie się młodzieży patryotów, a powiedzą wam, jakich dziwactw i jak grubijańskiego przewodzenia azyatyckiéj dumy na sobie doświadczali. Grosz publiczny marnowano i rozkradano; ścieśniano edukacyą narodową; lud biedny uciśniony przywieść chciano ku ostatniéj

ciemnocie zakazem myślenia, pisania i mówienia, a to, żeby o krzywdach swoich nie rozpamiętywał i skarg swoich nie rozwodził przed światem. Administracya ostatni krwawego potu zarobek wyciskała od obywatela i rólnika. Pełno było nadużyć, wszędzie pełno sromoty i hańby. Różne zanosiliśmy o to skargi do tronu, ale nigdy wysłuchanemi nie były. Nareszcie w ostatniéj rospaczy nie mogąc tego wszystkiego przemódz na sobie, podnieśliśmy oręż na dniu 29. Listopada 1830. roku w obronie praw i swobód naszych, dla pokazania tego przed całym światem, że chociaż ciemiężeni obcą przemocą nie przyszliśmy jeszcze ku temu spodleniu, żebyśmy krzywd naszych i obelg nie znali, i dla położenia im tamy wszyscy razem zginąć nie mieli odwagi. Ziomkowie! Bracia! Walczmy dla wolności myślenia i wyjawienia myśli naszych; walczmy dla zachowania moralnego charakteru naszego, który spodlić i demoralizować w nas chciano! Walczmy dla usunięcia od rządu ludzi nieudolnych, zaprzedanych; dla porażenia szpiegów, dla pociągnienia do odpowiedzialności złodziejów, wezwawszy Boga, aby téj słusznéj sprawie rozpaczającego narodu pobłogosławił. Walczmy nakoniec dla wspierania i utrzymania wojska naszego, które nam tak piękny przykład dało.

Napisawszy na prędce tę odezwę, myślał Maurycy jakimby sposobem ją wydrukować, wiedział bowiem jakie napotka trudności w każdéj drukarni nawykłéj do posłuszeństwa cenzurze. Tymczasem trzeba było objaśnić rzecz ludowi i zdać niejako sprawę publiczności dla czego i co to się stało? zwłaszcza, że proklamacja dnia pierwszego po powstaniu wydana przez radę administracyjną, nie miała w sobie bynajmniéj ducha powstania, owszem jako w imieniu Mikołaja napisana bardziéj do uległości zachęcała, niźli podnosiła ducha rewolucjonistów. Po krótkim namyśle o ważności swéj odezwy, biegnie Maurycy pomiędzy oficerów mówi im o co rzecz idzie, otaczają go i prowadzą do swego pułkownika Bogusławskiego, dowódzcy 4. pułku liniowego. O co idzie rzecz? pyta pułkownik.

Oto napisałem odezwę do ludu, odpowiada śmiało Maurycy, i z determinacją, proszę pułkownika dać mi assystencją wojskową by ją drukować natychmiast. Oto jest, proszę czytać. A panu kto dał prawo takie rzeczy pisać i ogłaszać? i zmarszczył się okropnie zestarzałego systematu pułkownik, widząc co to znaczy. Na to Maurycy nie mając dłuższego czasu do tłomaczenia się, pokazuje pistolet i rzecze: „to są dzisiaj prawa ludzi kochających swój kraj.“ Wtem oficerowie obskoczyli pułkownika do koła, daj pułkowniku rozkaz, bo inaczéj być nie może. Ci panowie, jak widzę, dziś rządzą całém wojskiem. Bogusławski stulił uszy, wydał rozkaz, a Maurycy w drukarni znalazł posłusznych. Odezwa rozleciała się w momencie i odtąd każdy już wiedział, czego się miał trzymać.

Maurycy jednak rozpaczał, gdy widział jak jenerał Chłopicki na którego całe wojsko rachowało, wyraźnie unikał, chował się. Gdy więc ktoś nadszedł oznajmując, że widział już jenerała Chłopickiego na koniu przed frontem wojska polskiego, którego dowództwo objął; natenczas Maurycy dostał z radości i z téj nagłéj odmiany po raz pierwszy attaku opressyi serca, począł się śmiać konwulsyjnie, padł bez sił w miejscu gdzie stał i na przemian z okropnym śmiechem płakał. Tuliłam go, wodą oblewałam, dawano mu pić wodę, rękę wiązano, a ja umierałam ze strachu. Takie to ciosy ciągle mnie spotykały, a moja miłość macierzyńska tém mocniéj wzrastała im bardziéj poznawałam mego Maurycego. Wielka jego dusza często wynosiła go nad pomysły łatwiejsze do wykonania, rzucał się na wszelkie niebezpieczeństwa, nie lękał się śmierci bynajmniéj jak gdyby już raz odważył swoje życie i ofiarował je dla miłości świętéj, a mocniejszy nad wszystkie związki natury, to jest: dla miłości ojczyzny.

Nie zdołam opisać wszystkich operacyj i narażań się Maurycego; to wiem tylko z pewnością, że niewielu podobnych mu było a gdyby starsi posiadali taką energią, taką miłość ojczyzny, taką prawość serca i ducha, niezawodnie zdziwiona Europa musiałaby oddać sprawiedliwość, a car Mikołaj zostałby królem w dawnych granicach całéj Polski bez najmniejszego swego uszczerbku.

Obrano Maurycego członkiem rady najwyższéj wespół z drugimi, dla tego bo nie ufano radzie, nie ufano księciu Lubeckiemu. Wprawdzie Maurycy z wzrokiem i przenikliwością sokoła był bardzo między nimi potrzebny, lecz postrzegł od razu, że ten nadzór na nic się nie przyda, zwłaszcza w tak młodym wieku nie czuł się na siłach poradzić wszystkiemu; niechcąc więc robić zawodu patrjotom, prędko postanowił obrać sobie inny punkt działalności, to jest głośny organ ogłaszania publicznie z mownicy prawd jak

rzeczy idą, ostrzegając od nieszczerości w działaniu jenerała Chłopickiego, który oburzył na siebie wojsko. Zginiesz Maurycy, zginiesz! wołali wojskowi obracając karabiny ku piersiom schodzącego z mownicy. Maurycy blady, milczący szedł daléj za interesami, które najlepiéj rozumiał. Pewnego razu jenerał Chłopicki wpadł w niesłychaną passją po przemówieniu się z zuchwałym Krukowieckim. Dla czego jenerale Krukowiecki nie spełniłeś mego rozkazu, nie ściągnąłeś na godzinę z wojskiem, a przyszedłeś o dzień późniéj? zawołał Chłopicki. Nie mogłem, odpowiada mu Krukowiecki, prędzéj stanąć, ale i pan jenerał sam nie stawiłeś się aż dnia trzeciego na czele pożądaném od wojska. Ta zuchwała odpowiedź Krukowieckiego wprawiła we wściekłą złość i tak z natury swéj gwałtownego Chłopickiego mało apoplexyi nie dostał przez zburzenie krwi; drzwi roztrzaskał w passyi, wpadł w wielką słabość. Nieprzyjaciele Maurycego z téj okazyi rozgłosili, że Maurycy na radzie administracyjnéj dokuczył jenerałowi wyrzutami, które rozgłaszał publicznie, a że słabość jenerała stała się niebezpieczną, wojsko zatém tracąc dzielnego wodza poczęło szukać winowajcy. Akademicy, których równie Maurycy obraził (co niżéj opiszę) z rozkazu swego dowódzcy Szyrmy obstąpili nasz dom i poczęli go szukać w całém mieszkaniu plądrując wszystkie kąty, a wszędzie głosili: Maurycy, wielki winowajca przyjdzie pod sąd, zgubił wodza naczelnego swoją popędliwością. Tymczasem Maurycy na ulicy ostrzeżony, że go szukają, zamienił swój płaszcz z przyjacielem i dostał się na radę administracyjną, tam opowiedziawszy księciu Lubeckiemu o swojém niebezpieczeństwie, oddał się mu w opiekę; Lubecki musiał mu dać schronienie, ale nie zapomniał przymówić „jak niebezpieczno jest panie Mochnacki tak wysoko latać.“

Gdy jenerał Chłopicki postanowił osobą swoją naród oszukiwać, a rzeczywiście wraz z księciem Lubeckim zamyślał o układach z carem; tymczasem zaś dla powściągnienia i utrzymania w spokojności zburzone umysły, szczególniéj akademików, których było około dwóch tysięcy, a że najbardziéj obawiał się téj dzielnéj a porywczéj młodzieży, wziął ich więc jako guidów do swojego boku. Pochlebiał im Chłopicki, komendę nad nimi powierzył profesorowi Szyrmie; pozwalał, by cała ta zgraja otaczała go w pokojach, przedpokojach, sieniach i schodach, a czasem pomieścić się nie mogąc aż na ulicy kończyła się. Uboższym sprawiał mundury, niektórym nawet jeść kazał dawać. Razu pewnego Maurycy przechodząc koło mieszkania naczelnego wodza, widział próżnujących akademików, obtaczających, niewiedzieć dla czego, schody i wejścia do domu od ulicy, stanął i miał do nich mowę: „że ko-

ledzy bracia czas źle trwonią, że powinni raczéj uczyć się mustry i prosić by ich do wojska zaciągnięto, a toby się uzdatnili do bliskiego boju z nieprzyjacielem, nie zaś takie życie bezczynne prowadzić, krzywdząc młodzież dobrze myślącą, gdyż bez ogródki, mówię wam, że macie minę pieczeniarzy wodza naczelnego." Na to oburzyli się wszyscy akademicy, a że ich dowódzca pan Szyrma a nawet i sam naczelny wódz nie lubili Maurycego, zaczęła młodzież prześladować go; ztąd to wyszły zarzuty za owe pismo karmelickie i za cenzurę. Maurycy chciał osobiście rozmówić się z jenerałem Chłopickim, ale ten dumny z ciasném pojęciem i wygasłą miłością ojczyzny człowiek, prowadzony chytrością Lubeckiego, dał siebie wprzód oszukać nim potrafił drugich oszukiwać. Nie życzył sobie by go oświecano w jego błędach, i chciał aby to co postanowili z Lubeckim poczytywano było za najzbawienniejsze dla kraju; utrudzał zatem widzenie się i unikał rozmów z patrjotami, zasłaniał się Szyrmą i uwiedzioną młodzieżą akademicką. Słyszałam mówiących, że Lubecki przez swoich wpływał na aresztowanie Maurycego polecone Szyrmie. Maurycy miał naprzeciwko siebie tyle głosów, że przychodziło mu z największą trudnością wypełnianie obowiązków przez prawość nakazywanych. Razu pewnego stojąc w pokoiku moim przy oknie zobaczyłam tłumy ludzi, zgiełk straszny, a to wszystko dążyło wprost ulicą długą ku mieszkaniu naszemu w domu Paulinów na samym końcu ulicy położonemu, Maurycy rozebrany pisał coś szybko, patrz, mówię do niego, czego ci ludzie zbiegli się? Kochana mamo, rzecze, oni tu prosto idą do nas, bardzo być może, że to po moją głowę, bo wiem, że są na mnie spiski. Ach dla Boga! Maurycy schroń się, zaklinam cię na miłość macierzyńską. Nie! dobra moja mamo, taki człowiek jak ja chować się nie powinien, owszem pierwszy wystąpić naprzeciwko niebezpieczeństwu. Ubrał się więc co prędzéj wziął mnie za rękę i zaprowadził do salonu z zimną krwią, usiadł spokojnie oczekując owéj rzeszy, ale tak był blady jak chusta. Na ten raz zgraja minęła dom nasz, a Maurycy śmiał się sam ze siebie, że tak solenną minę przybrał.

Niedługo potém, nie wiem w jakiéj intencyi, ale niezawodnie nieprzychylnéj dla Maurycego, książę Adam Czartoryski i marszałek Ostrowski wyrobiwszy Maurycemu patent na oficera od naczelnego wodza, wyprawić go postanowili na Wołyń dla zaniesienia tam iskier powstania, ponapisywali mu listy wierzytelne z najpochlebniejszemi świadectwami, było tam: „wierzcie temu młodemu człowiekowi jak ewangielii, wierzcie jak nam samym i wykonajcie co doradzi." Przybiega mój Maurycy z owemi listami

i pieniędzmi na drogę: „jadę kochana mamo dopełniać najświętszego obowiązku mojego, wezwać braci naszych może dotąd śpiących, lecz wiem, że to dzieło połączone jest z wielkiém niebezpieczeństwem, jednakże chlubię się z tego i dam sobie radę. Dobra mamo! niech ja mam z łaski mamy na tę drogę jakiego poczciwego sługę, któryby o mnie miał staranie, jadę z Duninem Nastusiem Wołyniakiem, który mi drogę pokaże, a służący będzie trzeci z nami.“ W dni kilka byłam jeszcze śpiąca, kiedy mój kochany Maurycy ubrany w mundur stanął przedemną: już cię żegnam najlepsza mamo, jadę na Wołyń, każą mnie się spieszyć; ale co za śliczny list dał mi do swoich znajomych kochany Ostrowski, lecz adju, adju kochana mamo; uściskał moje nogi, spieszę się jeszcze do Papy, i służącego nie biorę bo dyktator na ten koszt mojéj podróży przyłączył jakiegoś akademika by tą okazją dostał się na Wołyń. Źle mi będzie i bardzo źle bez służącego lecz co robić? i zniknął. Ja biedna matka zapłakałam, nie wiedziałam podówczas, że to były łzy stanowcze, zapowiadające, że już syna mojego nigdy więcéj nie zobaczę. W istocie niedługo potém wyjechałam z Warszawy, Maurycy zaś powrócił już po moim odjeździe, mocno się ucieszył, że mnie sądził być daleko od wszelkich ówczesnych niebezpieczeństw. Rozpowiadał o rozmaitych przygodach swojéj podróży, z przyczyny owéj missyi od rządu, niby tak zaszczytnéj dla niego, a to było najpodobniéj, ukartowana chęć pozbycia się niewygodnego jasnowidza. Naprzód, ów akademik razem posłany przyznał się w drodze, że był śpiegiem dyktatora na czyny Maurycego, powtóre, gdy Maurycy w Lublinie szerzył publicznie swoje prawdy i dodawał zachęty, publiczność oburzyła się w traktyerni, porwano się na Maurycego, wnet powstały dwie partje przeciwne, za i przeciw niemu; z pomiędzy wrzawy wyśliznął się szczęśliwie. Trzecia przygoda była najgorsza. Maurycy, nie wiem dla czego, oddał swoje listy wierzytelne komu innemu, sam zaś zatknąwszy chorągwie wolności na granicy, powrócił do Warszawy. Wkrótce Moskale przytrzymali owego nieboraka z listami i powiesili. Miało to podobieństwo jak gdyby taki sam los dla Maurycego był przygotowany, lecz Opatrzność Boska strzegła go, pełniąc może wyroki ukarania na kim innym.

Po powrocie Maurycego do Warszawy zatrudnieniem jego było ciągle działać z największém poświęceniem się dla sprawy publicznéj, jako mówca miewał mowy publicznie, jako zdolny pisarz pisał śmiałe artykuły, które zebrane razem wydane są w jednym tomie, pod tytułem: *Pisma rozmaite Maurycego Mochnackiego.* Oddział porewolucyjny.

Niedługo, gdy Moskale wtargnęli do kraju, Maurycy zaniechał swarów, rzuca pióro, bierze karabin do ręki i mundur na siebie, jako prosty grenadyer stawa w szeregu przy bracie swoim Kamilu, poruczniku podówczas w czwartym pułku strzelców pieszych, powtarzając z uśmiechem: „idę się bić z nieprzyjacielem, lecz to nie sekret, że prochu nie cierpię, wyraźny mam wstręt do niego."

Ja byłam w Surowie u kuzyna mojego Łosia, gdy mi przyniesiono gazetę, w któréj był długi artykuł: jako „Maurycy Mochnacki najpierwszy rzucił się w szeregi nieprzyjacielskie, młody ten człowiek pełen zasług dowodzi, że nie tylko piórem i głową służyć umiał ojczyznie, lecz na pierwszą potrzebę broni, nie zważając na małość praktyki w téj sztuce, rzucił się w niebezpieczeństwo dla przykładu z niesłychaną determinacją. Cześć temu młodzieńcowi niech będzie!"

Oblałam łzami radości tę gazetkę, chowam ją na pamiątkę u siebie. W batalii pod Wawrem dnia 19. Lutego, Maurycy po raz pierwszy był raniony w nogę i długo na placu bitwy leżał. Kamil równie raniony, ale w rękę, spostrzegł wieczorem, że koło niego nie ma brata jak zwykle, a szukając go na pobojowisku, pomimo bolesnéj swojéj rany, natrafił szczęśliwie już zmrokiem na leżącego pomiędzy zabitymi. Dopomógł mu jedną ręką do powstania z ziemi, dał ratunek i pomalutku powlekli się oba ku domowi na Pragę do Warszawy. Tymczasem doszła już była wieść do Warszawy do stroskanego ojca, że oba synowie ranni; szedł więc na Pragę, szukał dzieci swoich od wozu do wozu pomiędzy ranionymi i wrócił do domu zdesperowany, bo nic się o nich dowiedzieć nie mógł. Chodzi po pokoju pełen rozpaczy z siostrą moją Zofią, która jakby anioł opiekuńczy czuwała z nadprzyrodzoną siłą moralną we wszystkich naszych nieszczęściach, by najpierwsza mogła nieść pomoc, ukrywając czułość swoją wrodzoną. Około godziny 10. wieczorem drzwi się pomaleńku otwierają, wsuwają się dwaj bracia ranni, wsparty jeden na drugim, Maurycy na Kamilu. Ojciec przyjmuje obudwu w swoje objęcie; już się śmieją, byli szczęśliwi z ran odniesionych, że przynajmniéj pozostali przy życiu i że dziś jeszcze mogli zaspokoić ojca, który natychmiast odwiózł ich do lazaretu. Przedemną nieszczęsną długo ukrywano gazetę oznajmującą o odniesieniu rany przez Kamila i dopiero gdy już oba byli zdrowi, doniesiono mi o tém. Wkrótce po wyjściu z lazaretu Kamil powtórnie był ranny: nowa zgryzota! lecz owego czasu dni wszystkie, co mówię, godziny wszystkie, tak we dnie jak i w nocy niosły na przemian dla mnie nowiny gorsze jedne o drugich. Życie moje było

ciągłą katuszą i wieczną obawą o życie męża i trzech synów moich. Tu na granicy, gdzie byłam, trudność dostania się do Galicyi pod jakiś przecież dach przyjacielski; tu na granicy nieszczęśliwéj Polski, ciągła obawa napadnięcia przez nieprzyjaciół; tu się snują kozaki w bliskości; tu cholera grasuje i sprząta tysiące ofiar; niewygoda, szczury nakoniec w nieprzepłoszonéj liczbie, zagnieżdżone na folwarku, w którym zajmowałam mieszkanie w alkierzyku, bo tam było więcéj gości; tu niepomyślne nowiny z Warszawy od wojska; wodzowie zamiast walczenia, wdają się w układy z przemożnym panem. W takiém położeniu rzeczy doczekałam się listu od męża z Warszawy, który mi donosi o bitwie pod Ostrołęką i o najniebezpieczniejszém ranieniu Maurycego, że dostał kulą, która przerznąwszy się bokiem, nadwerężyła całą jego istotę, i znowu taż sama kula wpiła się pod pachę i przeszyła ramię: jak nieopatrzony leżał długi czas bez życia; jak krew z płaszcza lała się; jak kula ze suknem była wtłoczona i z niém razem z ciała wyjęta;*) i wszystkie dalsze okropności. Na tę wiadomość padłam bez duszy w ogrodzie, gdziem się schowała; bo taki miałam zwyczaj, by mię nikt nie widział, gdy listy jakie czytałam; po cóż bowiem robić widowiska z siebie, a byłam już w Dobruszinie u poczciwéj Urbańskiéj. Przyszedłszy do siebie czytałam daléj i zostałam pocieszoną: że Maurycy zdrów będzie; że gorączki nie ma; że rany się goją; że ciotka Zosia i ojciec zawsze są przy nim w lazarecie; że ma wszelkie wygody, zaniesiono mu nawet moje łóżko.

Oto taki to był koniec wojskowéj karyery Maurycego; ozdobiony został krzyżem złotym wojskowym: *virtuti militari*, i zamknął usta wszystkim oszczercom.

Następujący kawałek wyjęty z jednéj gazety, którą noszę w pugilaresie, przytaczam tu dosłownie:

Maurycy i Kamil Mochnacki.

„Dzienniki doniosły, że Maurycy i Kamil, bracia Mochnaccy, ranieni przybyli do Warszawy; lecz dzienniki

---

*) Rana Maurycego Mochnackiego, otrzymana pod Ostrołęką, była szczególna i osobliwsza. Jedna kula karabinowa, zapewne ze sztucera, aż pięć ran czyli dziur od razu w ciele zrobiła. Uderzyła z boku z ukosa z prawéj strony, w sam środek pleców, pod kość pacierzową, rekoszowała, to jest odskoczyła od kości i wpiła się z drugiéj strony stosu pacierzowego, tuż przy kości, przeszła popod żebrami, wyleciała bokiem pod pachą i nakoniec przeszyła lewe ramię, gdzie z drugiéj strony wyrzniętą była, ale szczęściem nie uszkodziła kości. Wiadomość ta pochodzi od naocznego świadka, bo od lekarza ze szpitalu wojskowego oficerskiego w szkole applikacyjnéj, który opatrywał Maurycego i doglądał go przez ciąg jego choroby.

nie doniosły, że ci sami szlachetni obywatele dnia 19. Lutego również ponieśli blizny za wolność, za niepodległość. Dzienniki nie doniosły, że Kamila Mochnackiego już trzecią ozdobiła rana. Ludzie płochéj czyli złéj woli zarzucali braciom Mochnackim, a szczególniéj Maurycemu, że zamiast walczyć, rozumieją, że mają dwuznaczny patryotyzm. Czemże odpowiadali swoim szkalownikom, swoim oszczercom? — Milczeniem. — Czém dziś zawstydzają? — Uczciwemi bliznami, poniesionemi w sprawie ojczyzny, a może i piękną śmiercią?

„Cóż czynią oczerniciele? Siedzieli spokojnie, i kiedy im zabrakło jednych, sięgali drugich złośliwemi potwarzami. — Sądziliśmy że po wypędzeniu Moskali znikną doniesienia, znikną potwarze, miotane na ziomków i na cnotę; lecz są potwarcy, są doniesienia; jest ten sam handel na cnotę.

„Przykład braci Mochnackich jest piękny; milczeli na wszystkie potwarze. Odwagi swéj, nienawiści wrogów, patryotyzmu, dowiedli niewątpliwemi oznakami, walczyli, odnieśli blizny, są dekorowani krzyżami złotemi. Najpiękniejszym przymiotem człowieka jest, na złość i nienawiść odpowiadać nowemi zasługami, nowém cierpieniem i niczém niezachwianą miłością ojczyzny.“

Już nakoniec po bitwie pod Ostrołęką, gdzie tak ciężko raniony był Maurycy, przestano mu robić w pismach zarzuty i przekonano się powszechnie o jego zupełném poświęceniu się na drodze najniebezpieczniejszéj, na drodze krwawego boju. Odtąd Maurycy, już niezdatny bić się za ojczyznę, chciał jéj wszelkiemi innemi sposobami pomagać do wydobycia się z gruzów. Co działał i pisał znajduje się drukowane w zbiorze pism jego porewolucyjnych. Nakoniec listy jego tu załączone do rodziców dowodzą, że jeszcze i we Francyi, oddając się jedynie opisaniu prawdy, dla pożytku narodu w przyszłość, dla odsłonienia pozatajanych figurantów, dzia-

łających przeciwnie dobréj sprawie, a udających że tak być musiało, że tak nieszczęście zrządziło, gdy przeciwnie jasną jest rzeczą, że krajowi ani nie brakło na rękach, ani na pieniędzach, ani na mężnych i zdątnych wojownikach; lecz brakło na głowach u steru rządu, na sumieniu i na wielkości duszy.

Gdy więc za granicą jeszcze wzburzone rozmaite stronnictwa rozpoczęły na nowo prześladować Maurycego, gdy z listów jego pokazuje się, że on dla wydania swego dzieła niepodobne rzeczy siłą swą moralną, całym ogniem swéj duszy, swego jestestwa popierać musiał. Gdy po rozebraniu ciała po śmierci jego doktorowie znaleźli, że były zniszczone organa jego życia, wytrawione, pomimo młodego wieku, i tak jak u starca już zużyte. Zkądże to pochodziło? Zdrowie Maurycego dobre, budowa najdoskonalsza bez żadnego defektu, życie bardzo skromne, bo ani złych nałogów nie miał, ani miał czas i sposobność nabrania ich, ani z natury swéj do nich się poczuwał. Prowadzenie się jego zaraz od pierwszéj młodości było wzorowe; lecz ogień geniuszu owe siły moralne przez wielkie zgryzoty od młodości, od pierwszego uwięzienia go w Belwederze, następnie wysilenie się w rewolucyi, daléj upadek kraju, upadek domu naszego, a na końcu najboleśniejsza choroba i śmierć oddalonego Kamila, ukochanego brata, to mu sprawiało wyczerpanie i zużycie sił, enerwacyą, i ta była przyczyna śmierci Maurycego, męczennika politycznego. Załączam tu dwa artykuły, wyjaśniające jego kłopoty i najprzykrzejsze pożycie.

List Maurycego Mochnackiego do Michała Hubego,

Referendarza Stanu.

Paryż, 18. Sierpnia 1832.

W ciekawém dziele, które Pan ogłosiłeś w języku niemieckim, pod tytułem: „Russisches Schreckens- und Verfolgungs-System“, wyczytuję na stronnicy 226. wyrazy następujące:

„Co do papierów znalezionych w archiwum W. Xięcia, nie mogę zamilczyć o projekcie, pisanym przez młodego Polaka, prześladowanego od despotyzmu moskiewskiego w więzieniu u Karmelitów, podczas indagacyi komitetu śledczego Nowosielcowa; tudzież o liście, który inny prześladowany pisał do W. Xięcia. — Projekt ten,

którego autor, hołdując obskurantyzmowi, zalecał nadać stósowny do tego kierunek edukacyi młodzieży; tak dalece podobał się W. Xięciu, że go natychmiast królowi pruskiemu kommunikować rozkazał, co téż rzeczywiście uskutecznione zostało.

„Dowodzi ta okoliczność, że absolutne rządy moskiewski i pruski, poprzysięgały sobie dołożyć wszelkich starań dla stłumienia rozszerzającéj się w Europie cywilizacyi.

„Co się zaś tyczy wyżéj wzmiankowanego listu, który zaraz po uwolnieniu swojém przed sąd sejmowy, ów inny prześladowany do W. Xięcia napisał; autor jego popadł w ciężkie podejrzenie obietnicą dania tyranowi materyalnych dowodów swojéj dla niego usłużności, byle mu nadal względ życzliwy zapewnił.

„Oczekuję od obydwóch wyjaśnienia téj rzeczy, a tymczasem nazwiska ich pokrywam milczeniem. Uczynić to już nakazuje ich własny honor i zkądinąd niepokalana reputacya; albowiem w przeciwnym razie możnaby im zarzut zrobić, iż ich prześladowania były tylko pozorne i wynikało z planu, o którym na stronnicy 113. wspomniałem.

„Komitet rozpoznawczy (utworzony po dniu 29. Listopada) uznał obydwóch za niezdolnych do sprawowania urzędów publicznych w Polsce.“

Te są twoje własne wyrazy, zacny autorze, a na stronie 113. dajesz do zrozumienia, że despotyzm moskiewski umyślnie i pozornie tylko pewne namówione prześladował indywidua, żeby po uwolnieniu swojém z więzienia, udając męczenników, ciągnęli łatwowiernych w samołówkę mniemanego patryotyzmu, który był tylko sztucznym rodzajem szpiegostwa.

Kilka dni temu oznajmiłeś mi Pan, iż to do mnie ściągają się wyżéj przytoczone wyrazy, i że, jeżeli nie pospieszę z wyjaśnieniem więzienia mego u Karmelitów,

ogłosisz w następnych częściach pisma swego nazwisko moje i umieścisz mnie na liście osób, ulegających zarzutowi wspomnianemu na stronie 113.

Długo w téj materyi milczałem, bo czułem wstręt i dziś jeszcze nieprzełamany do rozpisywania się o sobie samym. Nie odpowiadałem na zarzuty tego rodzaju w Polsce; nie chciałem bowiem, ażeby rozumiano, iż wyżéj niżeli zasługują, cenię je. Za granicą ulotne broszury, noszące na sobie wyraźną cechę paszkwilu, artykuły w gazetach niemieckich i pismo Szpazyra, równie jak pokątne usilnie rozsiewane plotki, napróżno mnie pociągnąć starały się w rozprawę z ludźmi, których za sędziów moich nie uznaję, o których złe czy dobre o mnie mniemanie wcale nie dbam. I teraz nierozumiéj Pan, że mnie ton niejako urzędowy, który się przebija w wyrazach tu przytoczonych jego dzieła, z pogróżką zastósowania zarzutu na karcie 113. do napisania tego listu skłonił. Nie jestem jeszcze, chwała Bogu, delinkwentem. Wnioski z tego względu Komitetu, którego Pan byłeś prezesem, ani mnie poruszyły, ani zatrważają. Komitet, jak Pan piszesz, uznał mnie za niezdolnego do sprawowania publicznych urzędów w Polsce. Ja uznaję Komitet za niewłaściwy trybunał w téj mierze, a jeśli wrócimy do Polski całéj i niepodległéj z bronią w ręku, to wtenczas założę apellacyą od zapadłego wyroku do wyższéj instancyi.

Jeżeli tedy piszę, bądź Pan przekonany, że to bardziéj czynię przez szacunek osobisty dla niego, niżeli w zamiarze wywiedzenia z błędnéj, a niebardzo pochlebnéj dla mnie opinii osób, dla których żadnego nie mam szacunku. Nie spowiadam się tu moim nieprzyjaciołom politycznym z grzechu, którego nie popełniłem, ale tylko rzecz wyjaśnię autorowi pisma, dotyczącego sprawy narodowéj. Nie jest to tłumaczenie się, qui s'excuse s'accuse, mówią Francuzi, nie jest usprawiedliwienie, bo

nie poczuwam się do żadnéj winy; jest to tylko po prostu wiadomość, z któréj Pan w drugim tomie swego dzieła możesz, jeźli mu się tak będzie zdawało, zrobić stósowny użytek.

Lecz przystępuję do rzeczy. — Jako członek tajemnego politycznego związku, którego celem była Polska cała i niepodległa, dostałem się był 1822 czy 1823, bo już tego dobrze nie pamiętam, razem z innymi członkami tego związku do więzienia Stanu. Trzy tygodnie minęło, nim mnie wezwano do indagacyi. Czytałeś Pan bezwątpienia akta kommissyi śledczéj, azatém przyznasz, że ten szczegół jest prawdziwy. Prezesem komitetu był jenerał Kołzakoff, członkami: Stankiewicz, Podoski, Falęcki, Superson i stary radzca Stanu, który jak się nazywał nie pamiętam. Całą operacyą kierował Nowosielców. Stan zeznań wszystkich niemal więźniów Stanu, kolegów moich, których w ciągu tych trzech tygodni, nim kolej na mnie przyszła, wysłuchano, był taki: 1. że było tajne towarzystwo pod tytułem Wolnych Braci Polaków; 2. że członkami towarzystwa są ci po nazwisku wymienieni, i wyliczono prawie wszystkich; nakoniec 3. co do mnie samego, że przyjęty zostałem do grona „Wolnych Braci Polaków" szczególniéj na zasadzie biegającéj o mnie w tém tajném towarzystwie pogłoski, jakobym należał do innych tajnych związków, któreby za obrębem jego działały; tudzież jakobym sam miał być twórcą jednego takiego związku, złożonego z uczniów klasy szóstéj Liceum warszawskiego uniwersytetu. Pokazał mi Stankiewicz rezultat tego śledztwa, opatrzony podpisami moich kolegów, moich przyjaciół. Znalazłem się w krytyczném i niebezpieczném położeniu. Tego co inni zeznali, co już miało na sobie charakter oczywistości, ani odwołać, ani osłabić nie mogłem. Zwyklé więźniowie Stanu jedni o drugich to prawią, co wszystkich razem kompromituje. Chytry komitet Nowosielcowa jedno ze-

znanie, Bóg wie jakiemi wyłudzone środkami, uważał za najlepszy sposób zyskania, a często wymuszenia następnych. W takim systemacie śledztwo zastósowane do umysłów młodych i niewdróżonych w szalbierstwo przebiegłego jurysty, umiejącego na pamięć jak pacierze wszystkie fortele i wykręty prawne, znającego jak Stankiewicz wszystkie kruczki moskiewskie, umiejącego korzystać z każdéj chwili słabości, albo zawrotu, albo rozstargnienia, a częstokroć bojaźni (bo terroryzm niepospolitą grał rolę w klasztorze OO. Karmelitów). W takim, mówię, dedalowym łabiryncie złéj wiary i podejść ze strony inkwizytorów, nie wyszeptać, nie wykrztusić szczeréj prawdy, było rzeczą prawie niepodobną; azatém co do pierwszego punktu przyznałem, że był związek Wolnych Braci Polaków, ale pomimo całéj przewrotności Stankiewicza, pomimo wszystkich jego usiłowań, stale do ostatka zaprzeczałem, że celem tego związku była rewolucya w sprawie politycznéj niepodległości narodu polskiego. Nie wygrożono na mnie tego zeznania. Statecznie twierdziłem, że celem związku była tylko narodowość. Tą narodowością przez cały miesiąc bałamuciłem kommissyą, która przez ten czas pół funtem chleba i kwartą wody dziennéj żywności, nadaremnie starała się wytargować u mnie ściślejszą precyzyą definicyi tego wyrazu. Jeżeli Pan z uwagą roztrząsałeś akta moje u Karmelitów, powiedz nieżyczliwym mnie osobom, czy jakiekolwiek inne zeznanie moje pod tym względem stan rzeczy pogorszyło w opinii inkwizytorów? Co do drugiego punktu tych tylko wymieniłem członków, którzy razem zemną byli uwięzieni, którzy sami do wszystkiego się przyznali przed otworzeniem mojego protokółu.

Tu się pana zapytuję jako prezesa komitetu do przeglądania podobnych papierów, czy kogokolwiekbądź z mojego zeznania aresztowano? Czy która matka, siostra, żona z mojego wielomówstwa opłakiwać musiała syna,

brata albo męża? Czy którejkolwiek rodziny spokojność zakłóciłem? Powiedz to, bo na tém bardzo wiele zależy. Mnie z daleka z głębi Litwy głos jednego z wtajemniczonych w to towarzystwo do więzienia wtrącił, ale nie miałem żalu do niego, bo z musu mówił. Ponieważ tedy nie byłem ani donosicielem, ani oskarzycielem, ponieważ żadném słówkiem nieostrożnie wyrzeczoném nie powiększyłem liczby ofiar, ponieważ, krótko mówiąc, nie zdradziłem jak panu wiadomo nikogo w téj sprawie, musiałem więc z takiemi ludźmi jak Stankiewicz, Nowosilcow, Załęcki, których pan znasz, bardzo przezornie postępować. Nie dosyć było żadnemu z współbraci moich związkowych nie zaszkodzić, trzeba było jeszcze samego siebie uratować, i bardzo wielu jeszcze innych, o których Nowosilcow nie wiedział. Żeby tego dokazać, trzeba było zyskać wiarę u Stankiewicza. Ażeby u niego zyskać wiarę, trzeba go było przekonać, że w to co pierwéj wierzyłem nie wierzę, że tego co pierwéj miałem za święte i godne poważania nie poważam. Trzeci ów punkt tylą poparty zeznaniami: „że należałem do innych związków; że jednego sam byłem założycielem.“ Ten trzeci punkt wzniecający takie podejrzenie, rokujący gdyby został objaśniony tak obfite żniwo Nowosielcowowi i Stankiewiczowi, otwierający im nowe pole do nowych śledztw, do nowych uwięzień, ten punkt, mówię, zaczął być dla mnie strasznym. Odmienił w rzeczy saméj całą rolę moją u Karmelitów. Z więźnia powołanego obcemi zeznaniami z ofiary cudzéj szczebiotliwości, musiałbym sam zostać delatorem wypadków nieznanych jeszcze rządowi i sprawcą mnogich nieszczęść tylu rodzin. Co pan na to powiesz? Miałem wtenczas lat ośmnaście. Czyż godziło mi się ten wiek tak młody, tak niewinny, czarnym i krwawym piętnować znakiem, któregoby nic nigdy potém nie starło, któregoby rysy w siwiźnie, ku schyłkowi starości, tylko coraz bardziéj się zaczerniały?

Do tego nie miałem odwagi. Niechaj co chcą mówią o mnie moi przeciwnicy, nie zdołają mnie jednak odsądzić od tytułu jednego z najstarszych konspirantów w Polsce kongresowéj. Polska potężna i niepodległa była jedynym romansem mojéj młodości. Myśl, że prędzéj czy późniéj Moskwę z jéj petersburskiemi carami zapędzimy w stepy azyatyckie, była jedyną poezyą mego życia. Z tą wiarą się urodziłem, w tych pryncypiach byłem wychowany; innego przekonania politycznego nie mam. Zaczynałem rok piętnasty mego życia, kiedym po raz pierwszy przysięgał przed zamaskowanemi mistrzami, umrzeć dla téj prawdy. Nigdy mi nie wyszły z pamięci chwile, kiedym to ślubował w znak męki Zbawiciela, wyrytéj na szabli. W komnacie osłonionéj kirem, przy lampie, któréj drżące światełko ledwo migało z trupiéj czaszki: któż to odprawował te tajemnice, te prawdziwe eleuzyjskie misterye patryotyzmu w późnych nocnych godzinach? kto po księżycu w cieniach zapadłego zamczyska na wzgórzach dynasowskich ukrywał schadzki i zmowy? albo je nawet nieraz miewał w wilgotnych lochach tego gmachu? To byli studenci. I jaż to z owych koleżeńskich, małoletnich związków przyjęty do bractwa wolnych Polaków, rozleglejszego i dojrzalszych w swoim zastępie liczącego mężów. Z tego bractwa osadzony we trzy lata późniéj u Karmelitów, miałem wyszeptać przed Stankiewiczem te prawie dziecinne sprawy od początku do końca, i wikłać nietylko siebie samego, ale i drugich w śledztwo, któreby lat cztery, pięć a może i dłużéj potrwało? Honor i sumienie nakazywały mi uśpić podejrzenie wzniecone z tego względu w umyśle moich inkwizytorów. Jakiż był sposób wyparcia się tego wszystkiego? Jak przekonać Stankiewicza, że tak nie było? Stankiewicza, który ze skazówek, z pogłosek, z napomknień dorozumiewał się wiele rzeczy, a o wszystkiém chciał wiedzieć dokładnie? Powtarzam raz jeszcze, że

do tego celu tylko jedna droga prowadziła. Potrzeba było komissyą oszukać. Nieprzyjaciela albo mocą w niwecz obrócić, albo jeżeli to niepodobna, podejść w każdym czasie i miejscu, zdrowa polityka doradza. Ja się w ostatnim znajdowałem przypadku. Byłem w mocy najchytrzejszego z ajentów Nowosielcowa. Chciałem także skrócić czas mojego więzienia, które się i tak do jedenastu miesięcy przeciągnęło. Wiadomo panu, jak się z nami obchodzono w tym klasztorze. Mnisza cela 4 do 5 łokci kwadratowych zawierająca, z oknem od dołu do góry kratą warownem i grubemi na zewnątrz zasutem deskami, tak zwanem pudełkiem wynalazku Rożnieckiego, gdzie dzień świta zimową porą o godzinie 10 z rana, a gruby zmrok zapada o drugiéj po południu, gdzie potém przez 18 godzin doby nie dają ani książki ani światła. Otóż mieszkanie politycznych pustelników! Gdybym na jeden tylko miesiąc zamknął w takiéj komórce kogokolwiek z członków komitetu, któremu pan przewodniczyłeś w rozpoznawaniu papierów karmelickich, ręczę, iżby przysiągł jak drugi Galileusz, że ziemia się nie rusza, jeśliby tego żądano. Wielu patryotów przed rewolucyą, jako naprzykład szanowny sąsiad mój najstarszy karmelita Adolf Cichocki, lat kilka w takiéj komnacie przesiedzieli. Życie ich upływało nakształt ciężkiego snu albo cienia, któremu wyszedłszy na świat zdawali się być podobniejsi niżeli ludzkiemu stworzeniu. Zacny Adolf zaszczepił był jednego razu krzewinę w ogrodzie, gdzie mu czasem z żołnierzem od warty używać przechadzki pozwalano, i doczekał się drzewa z téj delikatnéj latorośli. Zapadłe policzki, cera twarzy żółta, śniada, jak robotnika ołowianych kopalni, chwiejąca się postawa, więźnia Karmelitów długo potém od innych odróżniały ludzi. Wielu za młodu przez czas niezbyt długi doczekało się schyłku lat męzkich na téj pokucie. Brzęk kluczy, westchnienia za ścianą, modlitwa umierającego:

otóż muzyka klasztoru Karmelitów! W głuchéj nocy przerażał czasem krzyk: „Strzeżcie się bracia, trują nas!“ Następowała potém cichość i słychać tylko było na dziedzińcu albo na kurytarzu turkot bębna, tłumiący konającego przestrogę. Tak Zyc umierał pod numerem 12. Dostał jak mówią pomięszania zmysłów, w kilka godzin znaleziono go powieszonego na haku od kraty. Kogoż to wynoszą po nocy cicho na marach przy latarni? mieszkańcy Leszna szepczą jeden drugiemu. To więzień Karmelitów! Kogoż to potém grzebią na rozstajnéj drodze? Ofiarę Karmelitów!

Czy pan wchodzisz w tę psychologiczną prawdę, że podobne sceny dziwne wrażenie sprawić mogą na młodych umysłach? W takiem miejscu trzeba nieraz więcéj odwagi, więcéj rezygnacyi, niżeli na placu bitwy. Ja to mówię z doświadczenia.

Żeby się uwolnić, szczególniéj atoli, żeby nie być przymuszonym do wyśpiewania całéj historyi poprzednich rzeczywiście mało ważnych związków, i nie mających nic wspólnego z towarzystwem Wolnych Braci Polaków, ale mogących komitetowi Nowosielcowa nastręczyć sposobności do nowych śledztw, a Stankiewiczowi i jego pomocnikom wskazać perspektywę nowych zatrudnień, nowych nagród, przyjąłem był za zasadę, że tak powiem, polityki mojéj u Karmelitów, udawać żałującego, poprawionego. To się bardzo komitetowi podobało. Powiedziałem i zapisałem to w protokule, jak pan zapewne postrzegłeś, że jeżeli wyjdę z więzienia zostanę księdzem. Nic bardziéj jak to nie trafiało w myśl Stankiewicza. Łączył on w charakterze swoim obłudę świętoszka religijnego z fanatyzmem politycznym. Pochwalił mój zamiar, rzekł jednak: „Potrzeba, żebyś pierwéj pracował w cenzurze Szaniawskiego. Pod sterem tego męża, mówił, oduczysz się wszelkich kacerstw politycznych i religijnych.“ Obiecałem być cenzorem, jakem obiecał, że

księdzem zostanę. Ztąd moje późniejsze stosunki z Kantem polskim. Coraz bardziéj wypogodzało się czoło Stankiewicza; widocznie ostygał w inkwizytorskim ferworze. Systema obłudy zdawało mi się być tak dalece potrzebne wtenczas, że mówiłem to co nigdy w myśli mojéj nie powstało, i pisałem co tylko się Stankiewiczowi podobało extra materiam, to jest, za obrębem sprawy, za którą byłem uwięziony, i związków dawniejszych, których ślad zatrzeć było główném mojém usiłowaniem. Ile razy téj rzeczy dotknąć chciano, po tylekroć zbijałem trybunał Nowosielcowa z tropu teoryami mojego nawrócenia, które inkwizytorów mamiły, a nikomu nie szkodziły, a mnie wywodziły z krytycznego położenia.

Najfałszywsze tedy maxymy polityczne, najprzewrotniejsze utopie, utopie, z których się w duchu śmiałem, zapełniają mój protokół od początku niemal do końca. W inną zupełnie sferę udało mi się przenieść rzecz śledztwa. Nie znajdziesz tam pan faktów; inkwizycya ustała; rozpoczęto długą dysputę. Nieraz całe sessye zbywałem teologiczno-politycznemi rozprawami, w których żadnego sensu nie było. Stankiewicz rządził samowładnie losem więźniów stanu. Tylu umorzył! Mnie mógł lat kilka, gdyby mu się podobało, trzymać w więzieniu bez potrzeby. Ja sobie tego nie życzyłem. Nie chciałem być jak Łukasiński, Dobrogojski i inni męczennikiem związków, które się same rozbiły bez skutków. Obskurantyzm był à l'ordre du jour u Karmelitów, w Belwederze w komisyi oświecenia. Czyż mi wypadało liberalnie rozmawiać z Stankiewiczem, pytam pana? Coby ztąd za pożytki wypłynęły dla polskiego liberalizmu?

Zostałem więc, bo mi trzeba było zostać obskurantem w klasztorze Karmelitów, księdzem, cenzorem. To tylko jedno i tym sposobem mogły się otworzyć dla mnie drzwi mojego więzienia. Tym tylko sposobem mógłem przekonać komisyą, iż prawdę mówię, twierdząc, że moje

związki dawniejsze nie były polityczne, że nie zasługiwały na uwagę rządu. Uwierzono mi, dopiąłem więc zamierzonego celu. Co pan w dziele swojém nazywasz *projektem*, nie było nim rzeczywiście. Żadnego komisyi śledczéj nie podawałem *projektu*, ale odpowiadałem tylko na kwestye zawsze prawie polityczne, ogólne, które mi Stankiewicz rozstrzygać kazał protokularnie. Przyniósł już je z sobą ułożone najczęściéj i zapisywał w aktach. Widać, że takie miał polecenie. Przytaczam dla wiadomości pana niektóre z tych zapytań. I tak naprzykład: „Co jest przyczyną tylu tajnych towarzystw w Polsce? Jak zapobiedz szerzeniu się ducha rewolucyjnego?“ i t. d. Jeżeli nie tak odpisywałem w tych przedmiotach, jak sobie życzyła komisya a raczéj jak chciał Stankiewicz, wtenczas bez namysłu zmieniano protokół. Pismo, które pan nazywasz niewłaściwie *projektem*, trzy razy takiéj zmianie podpadało. Czemuż komitet, któremu poruczono akta karmelickie, tych brulionów nie wynalazł? Byłby tam postrzegł rękę Nowosielcowa i Stankiewicza, ich uwagi, liczne poprawki i odmiany. Mnie tylko redakcyi starania zostawiono. Trzy razy musiałem przepisywać tę dziwną utopią absolutyzmu, trzy razy w coraz inszym kolorze wystawiać pomysły nie moje, i niejako stylizować tylko koncepta głowy takich serwilistów, jakiemi byli dla przypodobania się W. księcia Nowosielcow, Hankiewicz, Falęcki. Jakkolwiek daleko w stosunkach moich z tym komitetem prawdziwych łotrów posunąłem był obłudę, wreszcie jakkolwiek zręcznie mógłem grać dla omylenia ich sądu rolę nawróconego, wyrzekającego się dawnych zasad; trudno mi jednak było dosięgnąć w tym względzie kresu przez nich zamierzonego. Wspominasz pan w dziele swojém, że to pismo bardzo się podobało w. księciu i że je królowi pruskiemu komunikował. Ztąd wnosić można, jaką do tego wagę przywięzywano u Karmelitów. Hankiewicz miał manią prozelityzmu polity-

cznego, chciał przekonać w. księcia, że w jego szkole za jego staraniem więźnie stanu nabywają prawdziwego wyobrażenia o rzeczach. Przykładem tego miało być wyznanie mojéj wiary politycznéj. Ileż to razy on powtarzał:, „że z przytrzymania u Karmelitów najzbawienniejsze skutki wynikają dla prawdziwéj moralności, dlá tronu i ołtarza.“ Niewątpliwie musiał mieć zamiar całe pokolenie młodzieży polskiéj zreformować na takiéj pokucie. Był to misyonarz absolutyzmu, apostoł poddaństwa.

Dołożyć tu powinienem uwagę, że najmniejsze z mojéj strony przeciwienie się, opór w przyjmowaniu odmian proponowanych przez komisyą, wzniecały do najwyższego stopnia w toku redakcyi tego pisma oburzenie Stankiewicza. Groził mi nietylko przedłużeniem do niezmierzonego czasu więzienia, ale nadto troskliwie zalecał mieć baczny wzgląd na los mojéj rodziny. Mój ojciec był osiadłym w Polsce kongresowéj obywatelem, sprawował urząd. Wiadomo panu, jakie i od kogo w téj materyi listy odbierałem w więzieniu za pośrednictwem komisyi Nowosielcowa. W téj mierze powołuję się na świadectwo komitetu, którego pan byłeś prezesem.

Tymto w kształtem w skutku przyjętego przezemnie trybu postępowania z komisyą Nowosielcowa, w duchu prawdziwego matactwa, którém jedynie z mocy ludzi zaprzedanych rządowi, z mocy urzędników wszystko podówczas mogących wyrwać się starałem, sporządzony został przez tę komisyą, a przezemnie podpisany ów akt pamiętny, znany pod tytułem pisma u Karmelitów. Zaręczam panu, iż gdyby którykolwiek rząd poważył się wykonać szczególne pomysły téj kolosalnéj parodyi despotyzmu, zostałby wywrócony we dwudziestu czterech godzinach. Jeżeli, jak pan twierdzisz, w. książe posłał ten dar w ofierze gabinetowi berlińskiemu, żałuję bardzo, że pruska polityka nie przyjęła tego pisma za zasadę działań swoich. Jużby podobno dotychczas i rządu

pruskiego i Prus nie było na tym świecie. Śmiało to mówię. Bitwa jenejska mniéj była niebezpieczna dla pruskiéj monarchii, jak zamienienie w systema rządowéj władzy tego państwa utopii, kreślonéj w więzieniu pod wpływem terroryzmu moskiewskiego, poprawianéj przez Nowosielcowa i Stankiewicza, pochwalanéj przez w. księcia i Szaniawskiego.

Dzisiaj jeszcze trwam w tém przekonaniu, iż żadnemu despotycznemu rządowi pożyteczniéj dla dobra ludzkości radzić nie można, jak to mu zalecać najusilniéj, czemby natychmiast rozbity został. Nadużycia szkodziły wolności, podały w niesmak najpiękniejszy kształt politycznego porządku, rzeczpospolitę. Czemużby excesa nie miały także zgubić i na wieki osławić jedynowładztwa? Żadna instytucya nie ginie bez wewnętrznego zepsucia, każda sama się pierwéj zepsuć musi nim upadnie. Umiarkowanie, łagodność, rozsądek podpierają, ustalają i na nieszczęście popularyzują władzę nieograniczoną. Starać się, żeby z własnéj wybiegła sfery, jest to, zdaniem mojém, do jéj ruiny się przyłożyć.

Pod tym względem *utopia* podpisana przezemnie u Karmelitów, jeżeliby któremu ministrowi pruskiemu, austryackiemu albo moskiewskiemu podobało się zastósować do użytku praktycznego absolutnéj władzy, przyniosłaby ważniejsze korzyści sprawie wolności i sprawie polskiéj, niżeli najbujniejsze teorye liberalne.

Z tego wszystkiego pokazuje się: 1. że aktu, który pan projektem nazywasz a Szpazier planem, ja autorem nie jestem; 2. że go podpisać musiałem, bo to było ultimatum Nowosielcowa i conditio sine qua non mojego uwolnienia; nakoniec 3. że ten akt interesowi despotyzmu moskiewskiego i pruskiego nietylko żadnéj nie przyniósł korzyści, ale w niweczby obrócił te obadwa rządy, gdyby jego zasady rozwiniono w systemacie władzy wy-

konawczéj. Tak ogromna dozys politycznego nierozumu rozsadziłaby instytucyą jedynowładztwa.

Te są objaśnienia, które pan żądałeś odemnie w téj materyi, pod rygorem zarzutu pozornego tylko prześladowania. Mnie się zdaje, że komitet pod przełożeństwem pana rozstrzygający akta karmelickie w Warszawie, byłby daleko właściwiéj postąpił sobie, gdyby był zażądał tych objaśnień przed odsądzeniem mnie od prawa sprawowania publicznych urzędów w Polszcze.

Zarzuty w dziele pana zniewalają mnie do porównania zasług moich z zasługą osób tę magistraturę składających, która na mnie taki wyrok wydała. Ja młode moje lata trawiłem w tajnych związkach patryotycznych. Członkowie komitetu, którego pan byłeś prezesem, nigdy nie konspirowali. Ja byłem trzy razy uwięziony pod Belwederem. Przez czterdzieści dni pracowałem w kajdanach w ogrodzie belwederskim. W. książe kazał mię wykreślić z liczby uczniów uniwersytetu i zabronił urzędowym reskryptem złożyć egzamin na magistra, azatém także odsądził mnie od prawa sprawowania urzędu.

U Karmelitów a pierwéj na ratuszu, członkowie komitetu za podobne sprawy nigdy w więzieniu nie siedzieli. Kiedy się zebrał sąd sejmowy, ja wpływałem na jego radę tajemnemi pismami, które swój skutek sprawowały, które w innym duchu było kreślone, niżeli mniemane wyznanie wiary u Karmelitów, które całą Polskę obiegły, jak zaświadczą moi koledzy, znajomi, przyjaciele. Szczególniéj pismo moje puszczone w obieg pod tytułem: *Głos obywatela z W. Xięstwa Poznańskiego*.

Członkowie komitetu pańskiego takich pism nigdy nie byli autorami. Kurjer polski a pierwéj gazeta polska pod moją i Xawerego Bronikowskiego redakcją, były to w swoim czasie dzienniki bardzo patrjotyczne. Za dowód w téj mierze niechaj posłużą napomnienia, że ich nie powściąga, dawane cenzurze przez Szaniawskiego

i Nowosielcowa, napomnienia zamieszczone w urzędowy protokuł Łubkowskiego. Członkowie komitetu, dzienników sposobiących młodzież do powstania, redaktorami nie byli. Ja niemały miałem udział w czynnościach ostatniego związku wojskowego, skąd noc 29. Listopada wyniknęła. Żaden z członków komitetu do tego nie należał. Gdy rzecz rozpoczęto 29., ochwiewała kabała nastrojona przez Lubeckiego. Broniłem wtedy sprawy ojczystéj publicznie i jawnie, z narażeniem sławy szarpanéj przez wrogów kraju i życie stawiałem na niebezpieczeństwo; członkowie komitetu wtedy milczeli. Wnioski, żeby rozbroić W. księcia, uwięzić jego i rozbroić gwardją, daléj bezbronną wówczas zająć Litwę; te trzy główne narodowego powstania desyderya obwieściłem w swoim czasie. Kiedy carewicz mógł opanować stolicę, popierałem te prawdy z bronią w ręku w obec Moskali za rogatkami obozujących. W imię tych prawd zawierających w sobie Polskę, wdarłem się był mocą na czele ludu do rządowéj władzy. Członkowie komitetu podobnych wniosków nie wymyślali, ani razem ze mną nie pokutowali za śmiałe i wczesne zadanie nieprawdy całéj opinii publicznéj, kiedy ślepo wierzyła Chłopickiemu, temu kolosowi podówczas powszechnego zaufania. Nie byłżem w tym względzie prorokiem przyszłości? Gdy Moskale wtargnęli do kraju, komitet i ci którzy mnie z nim razem obwołali w Warszawie wrogiem ojczyzny, nie odbywali kampanii z bagnetem w ręku, nie walczyli jak ja pod Okuniewem, Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą, Ostrołęką, nie wskażą ran i blizn, które ja w bojach odniosłem, znak krzyża polskiego ich piersi nie okrywa!

Z tego przeto wynika, że komitet zawcześnie i bez rozmysłu w rzeczach takiéj wagi odsądził mnie od prawa sprawowania publicznych urzędów w Polsce. Nigdy cudzéj poczciwéj sławie nie ubliżyłem, ale mojéj bronić

w tym liście dla użytku dalszych części dzieła pańskiego za rzecz potrzebną osądziłem. List ten niechaj dobréj harmonii między nami nie zrywa, tak jak jéj dotąd nie zerwały zarzuty przez pana czynione.

Proszę przyjąć z mojéj strony zapewnienia rzetelnego szacunku, z którym mam honor zostać i t. d.

Maurycy Mochnacki.

Nota.

Trzeba zawdzięczyć Michałowi Hubemu, że swemi zaczepkami zimno, nierozważnie poczynionemi podbudził ognistego ducha Maurycego, zmusił go poniekąd a bardziéj znudził, że aż napisał swoją obronę i list ten ogłosił drukiem, będący jasnym dowodem prawdy i aż nadto wystarczający do zbicia wszelkich pozornych zarzutów przeciwko Maurycemu, który inaczéj nigdyby nie był pisał o sobie zwłaszcza dla tłomaczenia się z mniemanéj winy, która żadną nie była jak tylko jedynym środkiem do ochronienia drugich i wydobycia siebie z więzienia. Stało się najpomyślniéj, gdyż owym listem zamknął usta raz na zawsze wszelkim potwarzom, zwłaszcza, że istnienie Maurycego na téj ziemi od owego listu nader krótkie już było.

Oto jest jeszcze inny artykuł Maurycego téj saméj niemal treści wyjęty, z pierwszego tomu jego dzieła: *Powstanie narodu.*

„Sądzę, że tu jest najwłaściwsze miejsce odpowiedzieć na liczne zarzuty, które mnie przed rewolucją, po rewolucyi i w emigracyi czyniono, z powodu mojéj opinii i zachowania się mojego w związku. Od chwili wejścia mojego do spisku jedna mnie tylko myśl zajmowała; kto będzie kierował powstaniem?

Nie wątpiłem, że w Warszawie i województwach wszystko się porwie do broni za daniem pierwszego hasła, ale zarazem byłem przekonanym, że nie tak to ła-

two rządzić rewolucją jak ją zacząć. Wysocki ciągle był téj opinii że tylko o zaczęciu myśleć należało, a resztę zdać na naród i Opatrzność. Ja przeciwnie starałem się przekonać Wysockiego, że w naszém położeniu zaczęcie było mniejszéj wagi, że lepiéj nie zaczynać jak nie módz, albo nie umieć po temu, co się zaczęło, nadać kierunek zamierzony. Z tego to powodu między mną i Wysockim, między mną i innymi związkowymi przychodziło nieraz do żywych sporów, nawet do nieporozumień, które chociaż znowu zgodzone, mogły nakoniec osłabić i zerwać wszelkie stósunki między nami. W odnoszeniu się Wysockiego i podchorążych do sejmu pod względem władzy kierować mającéj powstaniem, widziałem słabość, nie bezinteresowność. W abnegacyi podchorążych, którzy zawsze mówili: „Chcemy zacząć, a potém zniknąć ze sceny aby nie powiedziano żeśmy zaczęli dla własnego wyniesienia się,“ widziałem zgubę sprawy, bo któż ją mógł lepiéj bronić, jeżeli nie ci sami co dla niéj życie poświęcili? Nie mogąc przewieść mego zdania, iż koniecznie należało wystąpić na scenę z rządem dla wyrażenia myśli rewolucyi, dla oddalenia w pierwszéj zaraz chwili osób, które jéj dla położenia i interesu swego sprzyjać nie mogli, zacząłem powątpiewać o wszystkiém, były nawet chwile, w których ciężko żałowałem żem wszedł do związku mającego dość odwagi do zaczęcia rewolucyi, ale niedosyć żeby opanować potém w niéj władzę. Więziony kilka razy przed 29., trzymany przez jedenaście miesięcy u Karmelitów, zbyt ciężko pokutowałem za nieład i nieroztropność tajnych związków, żebym nie miał słusznych powodów lękania się podobnego rezultatu i w spisku podchorążych; gdzie rzeczy tak szły jak właśnie trzeba było żeby po tylu poprzednich prześladowaniach skończyć cały zawód na rusztowaniu albo Syberyi.

W spisku podchorążych byli po większéj części lu-

dzie młodzi, oficerowie, podporucznicy, najwięcéj kapitanowie, z cywilnych mało kto miał sposobność z imienia, z majątku, z wpływów lub głowy dać się poznać krajowi; gdyż jak wiadomo, w królestwie kongressowem przed 29. i w innych częściach Polski życia publicznego ani politycznego nie było. Na téj zasadzie polegając, mniemali spiskowi: „że rewolucja byłaby stracona gdyby oni sami stanęli na jéj czele," ponieważ tak zawsze mówili: kto nas zna, kto nam zaufa, kto pójdzie za nami? Ile razy starałem się naprowadzić związek na myśl rządu, potylekroć zbijano mnie podobnemi argumentami. Rozumowanie moje polegało na innych maxymach, cóż ztąd, mówiłem spiskowym, że nas nikt teraz nie zna w kraju, ale czyliż się nie damy wszystkim poznać przez samo zaczęcie rewolucyi? a po rewolucyi rozpoczętéj, czyliż pierwsze kroki rządu złożonego z nas spiskowych, nie uczynią nas natychmiast wielkimi i znanymi całemu światu? Wystawcie sobie wrażenie, które sprawimy przez uwięzienie W. księcia, przez rozbrojenie jego gwardyi, przez rzucenie jednéj kolumny wojska do Litwy i zajęcia Wilna, przez rzucenie drugiéj kolumny do Brześcia i poruszenie Wołynia? Jeżeliby te pierwsze kroki, te pierwsze czyny nadzwyczajne nie uczyniły nas wielkimi, głośnymi i popularnymi w narodzie, toż zapytuję was: Cóż już jest w stanie nas wsławić? Jeżeli naród nie zaufa tym wielkim czynom, jeżeli nie zaufa naszéj energii, naszéj śmiałości, czemuż nakoniec ufać będzie. Jeżeli po zajęciu Wilna poślemy do cara list otwarty z tém wyrażeniem, że głowę Konstantego rzucimy pod stopy pierwszych kolumn moskiewskich, któreby posłał dla stłumienia pierwszych powstań naszych, czyliż rozumiecie, że rząd tak działający i tak przemawiający nie znajdzie kredytu w Polsce? Nakoniec starałem się przekonać spiskowych, cywilnych i wojskowych, że władzę w pierwszéj chwili choćby dla tego tylko należało

mieć w ręku, żeby ją zdać komu innemu. Jeżeliby tego wymagały naglące okoliczności, że inna jest rzecz zostawić ją na bruku i potém się po nią schylać lub wydzierać ją tym co ją pierwsi uchwycą; inna zaś przyjść z gotową już rzeczą i targować się o nią.

To rozumowanie nie trafiało do ich przekonania, oburzyło tylko wielu naprzeciwko mnie. Nazywano mnie ambitnym i posądzono o chęć wyniesienia się osobistego. Zaliwski szczególniéj korzystał z tego żeby mnie oczernić przed innemi, rozumiejąc, że ja usiłuję postawić Wysockiego na czele rządu, przydać mu Lelewela i Zwierzkowskiego, ażeby na ten triumvirat wywierać wpływ nieograniczony. Nie mogę dostatecznie wypowiedzieć ile mnie to, nie te zarzuty, ale to jedynie dręczyło, iż myślano jakoby zbrodnią było mieć ambicyą w spisku.

Taki był pod tym względem stan wyobrażeń w związku podchorążych aż do rewolucyi lipcowéj w Paryżu. Po dniach lipcowych gdy się i u nas gorliwiéj poczęto krzątać około powstania, ponawiałem moje przełożenia lecz jako i dawniéj bez żadnego skutku. Naszą powinnością zacząć, naród przystąpi do rewolucyi, sejm postanowi władze. Taka była wtenczas powszechna loika. Wysocki dręczony zazdrością Zaliwskiego żył tylko w sejmie. Moje opinie wpadały w coraz większy dyskredyt, moja usilność udyscyplinowania spisku przybierała w przekonaniu Wysockiego i w przekonaniu innych, charakter coraz jawniejszéj ambicyi i miłości własnéj szkodliwéj sprawie. Jednego razu wchodzi do mnie Wysocki i powiada: „Wszystko już jest gotowe, zacznijmy rewolucją; jakie jest twoje zdanie? odpowiedziałem: nie zaczynać bo nie mamy jeszcze rządu! Te słowa tak dalece rozgniewały Wysockiego, iż wyszedł nie pożegnawszy się ze mną. Od tego czasu on mnie, ja jego unikałem. W téj porze panowały największe nieporozumienia w spisku. Było to na początku Października. Po-

stanowiłem się usunąć od wszystkiego, miałem nawet zamiar wyjechać za granicę, w tém przekonaniu, że chociaż spiskowi zaczną rewolucją, podadzą tylko głowy swoje w ręce kata, a kraj narażą na największe nieszczęście. Wszystkie skutki ulicznego rozruchu pokonanego natychmiast przez rząd stanęły mi natychmiast przed oczyma. Ani prośby brata mego, jednego z założycieli związku podchorążych, ani późniejsze przedstawianie Wysockiego nie mogły mnie odwieść od tego zamiaru. Stroniłem od spiskowych. I słusznie ktoś o mnie napisał teraz za granicą, żem drzwi moje przed nimi zamykał. Tak było w istocie. Miałem ich za marzycieli, którzy cały swój dowcip wysilali żeby zrobić burdę, bo zdaniem mojém, burdą zostać mogła rewolucja zaczęta bez rządu. Więcéj powiem, gdy się trzydziestu kilku oficerów związkowych zgromadziło w hotelu francuzkim na ulicy długiéj, jak przypominam sobie 8. Października, wezwany w ich imieniu przez Wysockiego, żebym poszedł na to zgromadzenie, odpowiedziałem, że nie pójdę i mam całą sprawę za straconą, prosiłem także Wysockiego aby powiedział tym oficerom między którymi był i Zaliwski, że lepiéj dać pokój wszystkiemu, niżeli tak nierozumnem postępowaniem narażać sprawę publiczną na pewny upadek. Ta odpowiedź narobiła mi jeszcze więcéj nieprzyjaciół. Nie usprawiedliwiając jéj przytaczam com mówił i jak myślałem powiadam.

„W kilka dni temu rozeszła się była wiadomość, że car z carową i następca tronu miał zajechać do Warszawy i zimowac w Warszawie. Korzystałem z téj okoliczności, żeby znowu wejść w stosunki z Wysockim. Otworzyłem mu zdanie moje. Spróbujmy jeszcze jednego środka, mówiłem mu. Spróbujmy, czy się nie uda zrobić téraz tego, czegośmy nie zrobili podczas koronacyi. — Wysocki odpowiedział, że i on ten zamiar ponowić pragnie i że większa część spiskowych byłaby za tém. Sta-

nęło więc między mną i nim na tém, że rewolucya zacznie się, tak jak przed rokiem miała być zaczęta, na Saskim placu. W rzeczy saméj ta opinia przez kilkanaście dni panowała w związku. Ja tuszyłem sobie, iż chociaż nic względem rządu nie postanowiono w spisku, wszelako podobny akt, zrywając od razu wszelkie stosunki Polski z Moskwą, nadałby rewolucyi stanowczy charakter, albowiem nie byłoby się z kim układać, ani nikogo obawiać.

„Nie wstydzę się żadnéj opinii, którą wtenczas popierałem. Dzisiaj ukrywać ich nie mam żadnego powodu. Że nie ufałem rewolucyi, przystępując do dzieła z taką lekkomyślnością, jest szczerą prawdą; żem odradzał zaczęcie dla powyższych względów. Lecz nie zasługują na odpowiedź moją ci ludzie, co głoszą teraz, jakobym po tém wszystkiem przestał działać i należeć do spisku. — Przeciwnie i o tém raport Wysockiego wspomina. Gdy nadeszła chwila niebezpieczeństwa, gdy przeto opuszczać go byłoby nikczemnością, wyrzekłem się wszelkich moich opinii. I jakkolwiek bez żadnego ładu rzeczy dobiegały do swego kresu, jakkolwiek wszystko działo się Bóg wie po jakiemu, a nie tak jakbym ja sobie życzył, dzieliłem jednak pracę związkowych. Nareszcie z bronią w ręku wyszedłem na ulicę. — Ci co mnie dzisiaj spotwarzają, niechaj przypomną sobie com wtedy mówił: „Wszystkoście źle zrobili, ale rzeczy przyszły do tego stopnia, że wolę zginąć z wami, jak dla przewiedzenia mojéj opinii odstąpić teraz od związku.“

Oto jest jeszcze list od Antoniego Walewskiego, opisujący chorobę Maurycego, z którego wyjątki są drogim mi śladem tego syna, którego nigdy zapomnieć nie mogę, o którym każde wspomnienie, każde słowo jest dobrem mojém najmilszém.

List Antoniego Walewskiego do ojca Maurycego.

Paryż, 20. Kwietnia 1835.

Kochany Ojcze!

Chcę używać prawa, którém mnie obdarzyłeś, Panie! Chcę być, kiedy mi dozwalasz twoim synem; bom osierocony, bo straciłem przez śmierć Maurycego prawdziwego ojca, co mnie kochał, nauczał, prowadził. Nie zdołaliśmy ubłagać niebios, aby zachowały drogiego nam obywatela! Powołały wcześnie w dni 12., jakby Opatrzność okropnością i nagłością straty chciała zagłuszyć cierpienie stroskanéj rodziny. Burzliwe życie zakończył mąż wielki spokojnie w naszém objęciu dnia 20. Grudnia. Tkliwa jego dusza miała tę pociechę, któréj nie miewają ludzie wysokiego powołania. Nie ujrzał obok śmiertelnego łoża obojętnéj twarzy. Gdy list do Pana D. pisałem już wprzód na dni kilkanaście, nie ukrywaliśmy sobie klęski, która nas spotkać miała. Jeszcze dnia 8. Grudnia wątpiono o życiu Maurycego. Wyraźnie oświadczyli lekarze, „że niepodobna ocalić to drogie dla Polski życie.“ Bywały chwile nadziei, ale nie dla mnie. Ja jeszcze w Paryżu wątpiłem o życiu Maurycego. Wielką w nim spostrzegłem zmianę od pierwszéj słabości, w którą był wpadł po śmierci Kamila. Jak przyjeżdżał z Marly, gdzie się miał najlepiéj, jak się zdawało, jak sam mawiał, uważałem, że się czémkolwiek fatygował, idąc na piętro odpoczywał, oddech miał krótszy, brał się często za serce. Przyznawał się, że mu bardziéj bije serce; że go we śnie nawet często budzi. Przypisywał to swojéj ranie. Lekarzy radzić się nie chciał. Gdy razem zaczęliśmy mieszkać na ulicy Dauphin, miał zgryźliwe stósunki z posłem Chełmickim i Chłędowskim, z powodu funduszów na swoje dzieło i z powodu opinii. Po każdéj takowéj utarczce, a te bywały częste, miał się gorzéj na

zdrowiu, nie skarząc się jednak na żadną boleść wyraźną. Odmianę humoru przypisywał brakom i stosunkom z tymi ludźmi. Wszelako już wtenczas uważałem, że była skłonność do słabości. Nazywał się ociężałym i powtarzał, że już jest niezdolnym do działania, że mu życie jest obojętne. Nie chcę bronić tych panów, ale muszę wyznać, iż często ulegali Maurycemu, ale jednak było zawsze coś draźliwego w jego zdrowiu. Razu jednego wrócił w wieczór z obiadu. Czuł się mniéj słabym, mniéj rannym jak mawiał. Rozmawiał nadto, co się mu rzadko trafiało; w guście męzkim, bardziéj wolnym, przyznał się, że się zabawiał z dziewczętami. Na drugi dzień tak zasłabł, że lekarz pijawkami obłożyć musiał i wkrótce ta słabość minęła. Wyprowadził się na Champs-Elisées, już dla tego, że to zdrowsze miejsce, i aby być bliżéj tych, co mu mieli dostarczać materyałów. Ja zostałem się jeszcze na dni kilka w dawném mieszkaniu. Podczas tego czasu dostał od Pana D. pieniądze. Chodził wiele, robił małe sprawunki. W nowém mieszkaniu znalazłem go bardzo korzystnie zmienionego. Powiedział mi, że się zupełnie czuje zdrów, nawet, jeżeli mam prawdę wyznać, wyznał mi lekką męzką lampateryą, jak mówił, do czego pewno był wciągnięty. Ta odmiana miejsca i osób w kilka dni jednak okazało się, że mu nie wyszła na dobro. Znowu zapadł na zdrowiu; widno było, że osłabienie wracało za każdą okazyą. Zaczął się leczyć, ale bardzo niedbale; schowało się złe znowu, miał się już zupełnie dobrze przez tydzień, ale wróciło pierwsze zapalenie. Leczono go, tak jak wprzódy, pijawkami, lecz już trudniéj z nim było i to trwało dłużéj. Jak tylko mógł wychodzić, chodził wiele, nie zważając na przepisy i zdawało się nam w końcu, że już znowu jest bardzo dobrze. Wtém bez najmniejszéj przyczyny, bo ciągle byłem z nim razem, zasłabł mocniéj. Leczył się znowu przez całe sześć tygodni z największą dokładnością. Już

go od téj słabości ani na chwilę nie odstępowałem i nic nie pozwalałem, co lekarze zabraniali. Kąpiele brał w domu. Prócz naszych polskich lekarzy przyjeżdżał jeszcze pan Riccard, jeden z pierwszych lekarzy paryzkich. Zaczął być bardziéj niecierpliwym i już mocniéj narzekać na brak zdrowia. Ciągle dowodził, że popsuty jego organizm nie da się zupełnie wzmocnić nigdy; że widzi, iż wkrótce umrzeć trzeba, i że chciałby tylko jak najprędzéj umierać. Lekarze nie mogli się wydziwić czém się ta słabość tak opiera i nie pojmowali zkąd pochodzi, kiedy nie było istotnéj przyczyny. Radzili kuracyą radykalną, odmianę życia wyjazd do wód i t. d. W takim stanie kończył tom drugi swego dzieła. Odbierał wizyty tych poł-przyjaciół, co go więcéj gryźli, draźnili, jak jawni przeciwnicy. To pisał, to leżał, a miał się to lepiéj, to gorzéj; gdy wtém dostał gwałtownego kaszlu, wielkiego bólu głowy, znowu jak się zdawało bez żadnéj wyraźnéj przyczyny. Ten symptom najbardziéj go zastraszył, myślił tedy, że ma suchoty. Przekonali go doktorowie, że ma piersi zdrowe. Uwierzył, ale nie chciał dopuścić, żeby mógł żyć jeszcze. Znowu powtarzał, że jest jakieś zepsucie w w organizmie, kiedy najmniejsza słabość tak się rozwija gwałtownie i trwale. Już był odtąd więcéj zmienionym; najchętniéj rozmawiał o grobie, o przyszłości, o Kamilu! i o przedmiotach równie smutnych. Od tego czasu mniéj już miałem nadziei o nim; bo wierzyłem w przenikliwość tego bystrego ducha! Przed wyjazdem do Auxerres wyszedł, można było powiedzieć, ze słabości; ale w chodzie, w mowie, w twarzy, było coś większego jak zwyczajne osłabienie po chorobie. — O postępie słabości, to zdrowia, w Auxerres, już donosiłem Panu D. i polemice, jaką tam rozpoczął. Czy jednak ta draźliwość pochodziła z choroby, czyli dalsza choroba z téj draźliwości? nie wiem; to jednak rzecz pewna, że ta irytacya wcale mu nie była na pożytek, cho-

ciaż w Auxerres miał swobodne chwile. Chciał tam koniecznie zaprosić Pana D.; cieszył się, jak widział obok siebie kolegów, lecz zaledwo wyszli, zaraz mnie wołał na spacer, albo do łóżka obok siebie kłaść się kazał i jak zwyczajnie, rozmawiał o śmierci, o religii i t. d. Gdy wrócił z Paryża stracił kaszel, co go bardzo pocieszało, ale wydawał nam się znacznie słabszym. Ból głowy postępował, a 29. Listopada już był okropnym. Rano mógł jeszcze czytywać, ale już nie trwale, 2. Grudnia, że mu dzienniki są niezrozumiałe, że dużo wyrażeń, i t. d. Tu pierwszy raz dojrzałem osłabienie umysłowe, ale fantazya była jeszcze żywa, więcéj mówił jak zwyczajnie, był czulszym, więcéj wzruszonym, gdy mówił o rodzinie, o Polsce, jak przedtém podczas zdrowia. Było jakieś omylenie w jego głosie, jakaś powolność w dyskusyi przy pozorze najgłębszego uspokojenia, tu znowu najsmętniejsze pomysły, co niezmierny sprawiało na nas efekt i nadzwyczajnie boleśny, trudny do opisania. Potrzebą mu się stało sprawiać artystowskie wrażenia, szukał niemal sposobności do tego, ale nie lubił, żeby było wielu przytomnych, najczęściéj dawał mi do zrozumienia, aby inni wyszli, i wtenczas długo był zwykł mówić. W tém co on mówił, była własność, najlogiczniejszy nawet związek; ale niezawsze mnie się zdawało być stósownie do położenia. Rozmowy poważniejszéj, rozumowań unikał, mówił, że go to morduje. Najprzyjemniéj mu było gdy sam z nim byłem i gdy go mówiącego słuchałem. W nocy po kilka razy mnie budził, zdawało mu się, że już jest ranek i długo mówił, ale zawsze o duchach, o religii i t. d.

Pewnego wieczora chciał koniecznie, abym gdzie wyszedł rozerwać się. Już było późno, nie miałem kogo zaprosić, a nie chciałam go zostawić samego, Maurycy zaś nalegał koniecznie, abym sobie poszedł. Wyszedłem, alem się nie oddalił, chodziłem tylko około domu. Wi-

działem jak światło zagasił i wróciłem natychmiast. Zastałem go śpiącego, ale się natychmiast obudził; spytał „gdzieś był i co słychać?“ odpowiedziałem, że się wzmogła burza i żem się wrócił od kościoła. „Wiatr zawsze bywa większy koło kościołów,“ zaczął mówić Maurycy, Są to duchy zmarłych, a w powietrzu wydają tony. — Chciałbym, żeby prędko i moja dusza była takim powietrznym tonem. Ja wierzę w duchy, w najmilsze ich tony, rozmawiam się z Kamilem, z moim ojcem widuję się często przez sen. Zachodzi spólnictwo między duchami, jeżeli są sobie podobne. Ja do ciebie przyjdę po śmierci, jeżeli w duchy wierzysz itd.“ Trzymał mnie silnie, ściskał mnie kilkakrotnie, rozczulał i rozrzewniał nadzwyczajnie. Położyłem się na kanapie koło jego łóżka. Ale on nie spał, tylko ciągle gadał, już teraz sam do siebie i najczęściéj od rzeczy. To była pierwsza obserwacya, zasnął dopiero koło ósméj z rana, sen miał mocny; o 9. przyszedł Pan Hirauld, za głośno przemówił, raptem się zerwał Maurycy, miał już wejrzenie niespokojne, tak jak obłąkane; rozmawiał bardzo obojętnie z doktorem, chociaż zwyczajnie bywał z nim bardzo grzecznym, pieszczotliwym nawet. Uderzyło to pana Hirauld, prosił Maurycego, aby wstał z łóżka i poszedł do komina na pogadankę. Maurycy nie chciał, powiedział, iż mu się podoba zostać w łóżku itd. Uprosiliśmy go, aby wstał. Przyniesiono ostrygi, nie chciał jeść, chociaż o nie ciągle przedtém prosił. Nalewał wino na ostrygi, rozkładał je po stole itd. Wrócił do łóżka i powiedział mi cicho do ucha, żeby sobie doktór odszedł. Opowiedziałem doktorowi co było w nocy. Nie wątpił, że to już najwyższe osłabienie mózgu i że nie masz sposobu uleczenia kiedy kilkokrotne puszczenie krwi nie pomogło. Powtórnie zwołana rada lekarska potwierdziła ten okropny wyrok. Odtąd już był prawie ciągle nieprzytomnym. Od 10. Grudnia już nie miał nigdy zupełnie wolnych zmysłów, po-

znawał wprawdzie osoby, zdawało mi się, że mnie do końca poznawał, ale to już było więcéj mechaniczne jak rozważane. Mało sypiał, nic nie rozróżniał co jadł. Jadł wiele, ciągłe miał pragnienie, nieustającą gorączkę, ból w całém ciele; krzyczał gdy go podnosiłem; sam żadnéj siły nie miał, nieustannie gadał niezrozumiale, ale nigdy furiozo. Przy końcu mówić przestał, ustami tylko poruszał, palce jeden po drugim oglądał, wpatrywał się w przytomnych, uśmiechał się, ale nie odpowiadał na żądne zapytanie, pił co mu podano, ale już był bez czucia, ciągle połykał, chociaż mu szklankę od ust odjęto. Na 24 godzin przed śmiercią poszedł o własnéj sile na łóżko, powołał mnie znakiem, silił się, jak gdyby chciał był coś mówić, ale już nic nie wymówił, ścisnął mnie tylko nadzwyczajnie silnie, i tak zasnął, trzymając mię za rękę. Widzieliśmy z twarzy, że się gorączka wzmagała. Przybyli lekarze, ale już nic nowego nie zapisali. W nocy marzył, gadał mocniéj jak zwyczajnie, ale niezrozumiale; wymówił nakoniec moje imie, zawołali na mnie, ale mnie już nic nie powiedział, gdzieindziéj spoglądał i marzył. W parę godzin potém podałem mu wody, wpatrywał się we mnie i zawołał znowu po imieniu, całował mnie, ściskał ale już nic wymówić niemógł. Od godziny 6. z rana 20. Grudnia już był jak w stanie nieżycia. Oczy miał na wpół zamknięte, głośniejszy oddech, czasem stękał, wpadł potém w zupełne odurzenie i nieczułość tak, że żadnego znaku życia nie dawał. Długo nie wiedzieliśmy czy żyje czy nie żyje, westchnął nakoniec kilka razy i skonał.

Zgodzili się wszyscy Polacy na to aby otworzyć ciało, szczególniéj się lekarze tego domagali. Znaleziono że siatka, która okrywa serce, a która u zdrowego człowieka jest zupełnie gęstą i grubą, była tak rzadką i wycieńczoną, że się stała przezroczystą; z tego uznali lekarze, że nie było środka ratunku, kiedy najpotrzebniéj-

szy organ do życia był nadwerężonym. Serce to najlepiéj zachowane z czaszką razem zostaje w bibliotece polskiéj w Paryżu. Polacy w Auxerres chcą przynajmniéj serce przesłać rodzinie, kiedy ciało w obcéj spoczywać musi ziemi, a czaszkę gdy będziem wracali przywieść do Polski. Wezwali mnie jednak abym wprzód spytał o pozwolenie Pana D., nie wiem jakie wypadnie, ale mam ufność, że Pan D. nie zganisz postępowania kolegów, którzy w zapale szacunku dla pamięci Maurycego odstąpili może od zwyczajów w Polsce. Przyznam się iż mocno żałuję, że pozwoliłem otworzyć ciało, kiedy w mojéj mocy było zabronić tego, ale byłem sam słaby, żal przywodził mnie do rozpaczy, nie mogłem opierać się. Widzieliśmy wszyscy razem połączeni w tym kroku tylko cześć dla niego najwyższą, kiedy ci co go za życia i po śmierci szarpali, przezywają ten nasz postępek w dobréj wierze uczyniony kanibalizmem. Chcę uprzedzić Pana D., że nasi nieprzyjaciele piszą przeciw temu z obfitym dodatkiem oszczerstwa i niedorzeczności, i dla tego nie obawiamy się, że oni nas zowią winowajcami, wszak oni w każdym kroku przychylnym Maurycemu za życia jeszcze jego zawsze upatrywali złe. Ale żałujemy żeśmy się nie zastanowili jakie to zrobić może wrażenie na matkę, na siostry! Pociesz nas Pan D., nie ukrywaj jak to przyjąłeś! Przebacz dobrym chęciom jeżeliśmy co przekroczyli, bo zresztą nic nie zaniedbaliśmy co jest zwyczajem w Polsce.

Pan Gracieux, daję na to słowo honoru, zaprosił księdza który oddawał Maurycemu ostatnie sakramenta o ile brak przytomności dozwalał. Obok ciała odprawiały się modlitwy. W dzień pogrzebu zanieśliśmy go w trumnie do kościoła, gdzie się odprawiało za niego uroczyste nabożeństwo. Duchowieństwo wyprowadzało ciało na cmentarz ze wszystkiemi obrządkami. Nie mówię tu o pompie, o okazałości, którą była taką jaką nigdy je-

szcze wprzódy nie widziano w Auxerres, bo i władze i mieszkańcy starali się nadzwyczajnie o wystawne oddanie ostatniéj usługi Maurycemu, ale chcę tylko powiedzieć żeśmy w niczém nie ubliżyli religijnéj ustawie dla ciała. Na cmentarzu równie zachowano porządek kościelny. Prosiliśmy potém o żałobne nabożeństwo za duszę zmarłego. W dni kilkanaście odprawiono Exekwie w Paryżu za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego i jenerała Dębińskiego. I to właśnie najbardziéj zgorszyło przeciwników i nie podobało się zawistnym.

Ciało spoczywa na cmentarzu w suchém miejscu, które sami obraliśmy. Dziś najwięcéj zajmujemy się składką na pomnik, który mu na grobie postawiemy, porobione są już inskrypcje wynoszące 800 franków, rzeźbiarz pewien sam się ofiarował bezpłatnie wykonać dzieło. Plan i napis pomnika mnie powierzono. Względem planu wezwałem artystów by go ułożyli, napis pewno mi pan D. wskażesz, a przynajmniéj jeżeliby ojcu wybór był trudny, doradzić zechcesz jaki jest stósowniejszy, łaciński czy polski. Wizerunek został zrobiony jak najdokładniejszy, jeszcze roku przeszłego, przez Oleszczyńskiego. Zrobiony także z drugiego dnia po śmierci odcisk od twarzy, zrobiono przeszło sto biustów w Paryżu, w Lipcu rozkupili Polacy i Francuzi. Starać się będę aby ci, co na pomnik zbierają pieniądze, tym kosztem kazali marmurowych kilka biustów zrobić, byłbym szczęśliwy przesłać je Panu D....

Tu następuje opis zostawionych papierów, mnóstwo wyraźnych manuskryptów, korespondencje, charaktery, plany, a to wszystko w ogromnéj ilości, oraz porządek téj ich tam komissyi dla opisu przechowania, oddania co się komu należy, i nawet jakie pieniądze były, jaki wydatek. Poczciwy Walewski najporządniéj działający odwołuje się z resztą do Michała Podczaszyńskiego, który obiecał pisać do nas, lecz widać, że nie miał serca, siły i odwagi pisać o już nie egzystującym Maurycym.

Dalej Walewski tak kończy swój list.

Proszę, Pana D. racz mi donieść czy aprobujesz nasze wszystkie czynności. Całe życie zarabiać będę na względy ojca tego, którego kochałem, szanowałem, poważałem, z którym to drogim Maurycym tyle miłych chwil przepędziłem! Jak długo ta jego szlachetna dusza istniała, najmilszą była dla niego rozmowa zemną o rodzinnych stósunkach, o domie, o rodzicach. Ja też już słabego pocieszałem jak mogłem i tak uzyskałem jego kochanie, obiecywał mi wynagrodzić, mówił: jak wrócimy do kraju będziesz dzieckiem naszéj rodziny. Zrozumiałem ja ostatnie jego wejrzenie na mnie, zdawał mi się mówić: pozdrów moich rodziców!...

Jestem z najgłębszém uszanowaniem

Antoni Walewski.

Dopiero późniéj dostały się do nas w listach gazety, wyjątki drukowane z roczników lub broszurek, podobno z roku 1836.

Pomnik Maurycego Mochnackiego.

Polacy zakładu Auxerres w których gronie nieodżałowanéj straty Maurycy Mochnacki ostatnie chwile szacownego dla sprawy i literatury polskiéj życia przepędził, podali myśl dla uczczenia jego pamięci stósownym grobowcem. Myśl ta przyjętą została przez Emigracją, ale jéj szczupłe fundusze nie dozwoliły długo jeszcze złożyć na to potrzebnéj sumy. Wszelako Aleksander Jałowicki, któremu wykonanie téj myśli zostało powierzone, zajął się czynnie włożonym na siebie obowiązkiem, i w téj chwili pomnik Maurycego Mochnackiego już jest ukończonym. Stanowi go popiersie odlane z brązu

w kolosalnéj wielkości, wyniesione na kolumnię z kamienia ośm do dziewięciu stóp wysokości. Popiersie to bardzo szczęśliwie wykonaném zostało przez Władysława Oleszczyńskiego. Koszta tego pomnika wyniosły 1100 fr.

Rodacy mieszkający w Paryżu mogą widzieć w księgarni polskiéj Rue des Marais St. Germain Nr. 17, model popiersia odlany z gipsu. Popiersie to sprzedaje się po czterdzieści franków.

Księgarnia polska w Paryżu chcąc się przyczynić do wystawienia pomnika Maurycemu Mochnackiemu własną jego pracą, a razem oddać literaturze i historyi ojczystéj niepospolitą przysługę, postanowiła zebrać i wydać wszystkie pisma Maurycego Mochnackiego, zacząwszy od dnia rewolucyi, rozrzucone po rozmaitych dziennikach i broszurach. Wydanie to jest ozdobione popiersiem Maurycego Mochnackiego na stali rytowaném przez Antoniego Oleszczyńskiego. Książka zaś ma tytuł: Pisma rozmaite Maurycego Mochnackiego, oddział porewolucyjny.

Polacy zakładu Auxerres do Emigracyi polskiéj.

„Śmierć Maurycego Mochnackiego jest klęską narodową! Straciliśmy w nim żołnierza co krwią swoją pola Ostrołęki skropił, straciliśmy najlepszego pisarza. Maurycy Mochnacki w pośród nas ostatnie chwile szacownego dla sprawy i literatury życia przepędził. Nauczyliśmy się cenić go jako najlepszego Polaka, jako jednego z tych wyższych ludzi, których opatrzność zsyła na oświecenie narodu. Strzegliśmy dni jego z największą troskliwością, ale zabiegi nasze nie pokonały, łzy nasze nie przebłagały choroby, która Maurycego Mochnackiego Polsce wydarła. My pierwsi opłakaliśmy niewynagrodzoną tę stratę. My odprowadziliśmy Mochnackiego do grobu, i do nas należy wskazanie jego grobu przechodniom polskim.

Dla tego wzywamy was bracia do oddania czci należnéj zasługom Maurycego Mochnackiego przez wystawienie mu pomnika. Nie jest on bynajmniéj potrzebnym dla sławy Mochnackiego, bo ją sobie sam wypisał dziełami swojemi, ale jest potrzebnym dla nas, jako świadectwo, że za zasługi narodowe odpłacać umiemy. Niech pomoc tułaczów polskich skromna jak ich ubóstwo, pospieszy wykonać tę myśl naszą zgodną z uczuciem waszém."

(Tu następują imiona tych, którzy dawali pieniądze do składki.)

Do zebranych tu pamiątek dodam jeszcze ostatnie artykuły Maurycego pisane w Auxerres. Umieszczam zaś je z powodów następujących: wyjaśniają najprzód sposób widzenia, stan Emigracyi która zbałamucona, zawichrzona w nieustannych dyskusjach pomiędzy sobą i potępieniach samych siebie, ściągnęła naganę powszechną; powtóre dowodzą śmiałość i determinacją młodego człowieka, który jak ów missjonarz poświęca się, a rządzony przeczuciem, że dnie jego krótkie są i policzone, chociaż słaby, występuje i pisze prawdę generałowi Dwernickiemu, pomimo, że go dawniéj kochał, że wielbił w nim odwagę, dzielność i bohaterstwo. Daléj, ostatnia jego odezwa do całéj emigracyi, lubo łącznie z innymi, jak podpisy mnogie świadczą, jest raczéj testamentem Maurycego jako Polaka do Polaków, przekaz jego gorącéj wyobraźni i ostatniéj myśli razem. Ja mam przekonanie, że to ostatnie pismo jego mało co więcéj nad jeden miesiąc przed śmiercią pisane było, bo ma charakter wieszczy, jest w niém tak coś dzielnego, mocnego i wyraźnego, że mi się wydaje być nadzwyczajném obok zdezorganizowanych już zupełnie sił fizycznych. Młody człowiek w całéj sile duchowéj umierający, nie z przypadkowych okoliczności, nie z suchót lub innego defektu, ni wady w organizmie, długo musi ustępować z pola, długo umierać; tak właśnie jak Maurycy świadczy ta długo i często ponawiająca się słabość od śmierci Kamila, któréj nie mógł przeżyć. Nakoniec i dla tego jeszcze kładę tu ostatnie jego pisma, że ostatni tom pism porewolucyjnych z którego te artykuły wypisuję, staną się wkrótce bardzo rzadkiemi i trudnemi do nabycia, z powodu że rządy obecne starają się by je z Francyi nie dopuścić zarówno do wszystkich części Polski; i zapobiedz rozszerzaniu wielkich myśli młodego Polaka. Mnie zaś

jako matce niechaj będzie wolno dla imienia mego, dla pokolenia zachować tę pamiątkę geniuszu, charakteru i wielkich cnót mego syna. Miło jest każdéj familii przechowywać cnoty przodków swoich, niemi się chlubić i na ich fundamencie rozpościerać nadzieje pięknych przykładów dla potomności. Niech pamięć Maurycego służy w najodleglejsze lata moim za światło i ozdobę; nie namawiam nikogo by go naśladował; bo wszelkie naśladownictwo, podług mnie, w dziełach lub charakterach mistrzowskich jest niedołęztwem. Maurycy był oryginalny w swoim rodzaju we wszystkiém co tylko stanowiło jakową wyższość, że jemu samemu tylko przystało i najlepiéj było z tém co działał; a co nie w jednym przypadku zdawało się ludziom, że bezpotrzebnie zdziałał. Nie radzę nawet iść za jego przykładem w tém tak wielkiém przedsiębierstwie, a tak stanowczém około dobra naszéj ojczyzny. Zostawmy raczéj zupełnie Opatrzności przyszłe losy naszéj ulubionéj, z piersi matek wyssanéj myśli miłości ojczyzny! Jeżeli święte wyroki Boskie i wola jego ku nam skłonione będą, zrządzi niechybnie spełnienie żądz naszych prawych. Lecz jestem zdania, że nie przez mądrość ludzką, ani przez poświęcanie się namiętne, ale z potrzeby, z przekonania ludów Polska równowagą Europy być powinna i kiedyś nią być musi. Zresztą w każdym stanie i pod każdém panowaniem pełnijmy obowiązki nasze, prowadzące do wszelkich cnót. Boże niech się zawsze stanie, według woli Twojéj Panie!

Marya M.

List do jenerała Dwernickiego

od oficerów i żołnierzy z zakładu Auxerres.

Auxerres, dnia 17. Października 1834.

Jenerale!

Z prawdziwą boleścią w sercu przychodzi nam wynurzyć ci opinię naszą o twojém, jenerale, oświadczeniu, ogłoszoném pod datą 27. Września, którém (bo inaczéj tego nikt nie uważa) tak wyraźnie przystąpiłeś do aktu zdziałanego w Poitiers, uznającego Xięcia Czartoryskiego za nieprzyjaciela kraju i emigracyi. Krok ten z twéj stro-

ny, jenerale, jest nader stanowczy; skutki jakie stąd dla emigracyi, w części i dla kraju wyniknąć mogą, są nadto widoczne, ażebyśmy ci z całą naszą żołnierską i obywatelską otwartością przełożeń naszych w téj mierze uczynić nie mieli!

Sądziliśmy, jenerale, w prostocie serc naszych, że pierwszym twym obowiązkiem będzie, najsurowiéj skarcić zabiegi kilku indywiduów, działających przeciwko interesowi emigracyi, a chcących wmówić w emigracyą, jakoby działały w duchu jéj większości. Spodziewaliśmy się, że przez wzgląd narodowy, z powagą właściwą twojéj randze, twemu wiekowi; nareszcie zaufaniu, jakiém cię zaszczyciła większość rodaków, powstaniesz szczególniéj na zgorszenie, którego się dopuszczono, wytaczając przed sąd cudzoziemców machinacye przeciw Czartoryskiemu, dzielącemu nasze tułactwo, będącemu u celu nienawiści i zemsty cara moskiewskiego; lecz twe oświadczenie wywiodło z nas tego błędnego o tobie mniemania. Jenerale, zamiast użyć twéj powagi dla zapobieżenia nadal przynajmniéj podobnym postępkom, cudzoziemców nawet oburzającym, sam do klątwy rzuconéj w Poitiers, swoją przydajesz klątwę, sam uznajesz wyraźnie Czartoryskiego za wroga emigracyi i kraju, sam przeto całą powagą swoją utwierdzasz czyn równie niemoralny w zasadzie, jak niepolityczny w skutkach.

Jako człowiek wyższego znaczenia, jako polityk, powinieneś był, jenerale, pierwéj zgłębić konsekwencye, jakie koniecznie prędzéj czy późniéj wynikną z twego przystąpienia do tak złéj sprawy, z sankcyi udzielonéj przez ciebie tak złemu przykładowi. Dzisiaj osądzono Czartoryskiego. Za dni kilka, za kilka tygodni, na mocy tegoż samego prawa ty, jenerale, osądzony i wyklęty zostaniesz. Wyroki! wyroki infamii będą więc po sobie szybko następowały. Niesława powszechna stanie się prawem publiczném, żywiołem emigracyi. Każda zasługa

igraszką intrygantów, a ty, jenerale, nie będziesz mógł powiedzieć do siebie w czystości własnego sumienia: „Czyniłem co mógłem, żeby zapobiedz temu złemu."

Jako żołnierz postawiony na czele żołnierzy, wyraźniéj jeszcze tém potwierdzeniem aktu w Poitiers, odstąpiłeś, jenerale, od właściwego tobie charakteru. Pozwól, ażebyśmy ci przypomnieli okoliczności, wśród których przybyłeś doFrancyi, które towarzyszyły twemu, jenerale, wyniesieniu na stopień prezesa emigracyi. Emigracya była natenczas niepokojona zabiegami komitetu pod prezydencyą Lelewela, który się chciał koniecznie utrzymać, — który niewzględny na to, że domowe tylko niezgody przywiodły do upadku ostatnie narodowe powstanie w Polsce, i siedmdziesiąt tysięcy wojska polskiego przymusiły broń złożyć na własnéj ziemi; obmyślał środki, jakby przedłużyć te niezgody za granicą. Ajenci rzeczonego komitetu psuli jedność braterską w zakładach; rzucano początki partyi pomiędzy wojskowych, puszczano w obieg niepolityczne maxymy, że, ażeby Polskę wydźwignąć z jarzma, trzeba najpierwéj zacząć od rewolucyi krwawéj, społecznéj. Emigracya odrzuciła jednomyślnością te maxymy przez odrzucenie komitetu, który zdawał się je reprezentować; a uważając, że jest sama tylko częścią wojska narodowego, ciebie, jenerale, jako żołnierza insurekcyi postawiła na swém czele.

To przejście od komitetu pod prezydencyą Lelewela i pod wpływem zgromadzeń na ulicy Taranne, do twego komitetu, jenerale, miało w sobie głębszą rozwagę polityczną. Było to dość wyraźne ustanowienie, bardziéj wojskowego, niżeli cywilnego porządku w emigracyi. Była to skazówka, czego się nadal trzymać mamy. Władza twoja była jasna, jenerale; widziano w tobie tylko walecznego żołnierza Boremla, i posadzono na miejscu ówczesnego naczelnika sekty społecznéj Lelewela.

Wtedy, kiedyśmy się wszyscy rzucili w twoje objęcie,

jenerale, któżby był pomyślał, że przed upływem dwóch lat w ten sposób zawiedziesz nasze zaufanie? Że zacierając w samym sobie święty charakter i powołanie twoje, z żołnierza, z bohatera, zechcesz nakoniec przeobrazić się na *sektarza*, na reformatora społecznego? Albowiem takie jest, nie inne, prawdziwe znaczenie twego, jenerale, akcessu do aktu zdziałanego w Poitiers, obwinionego w pozory, które nas jednak — nas przynajmniéj nie łudzą.

Tak jest, jenerale! zacząłeś być członkiem sekty, która tu przybrała nazwisko Towarzystwa Demokratycznego, i zachwiałeś przez to swoich dawnych kolegów, starych żołnierzy, opinią o sobie. Powtarzamy ci raz jeszcze. Ten krok jest stanowczy i dla emigracyi i dla ciebie samego, jenerale. Tém uważniéj, tém silniéj czynić go potrzeba.

Pomijamy to, jenerale, że przystępując do deklaracyi w Poitiers, uznajesz Czartoryskiego za nieprzyjaciela kraju i emigracyi, to jest: że uznajesz w obliczu inaczéj przekonanéj Polski i Europy, zbrodniarzem stanu człowieka, którego Moskwa za usługi położone w kraju i w jego sprawie, także za zbrodniarza uznała, a który właśnie dla tego ostatniego wyroku (nieco sprawiedliwszego zapewne, niżeli komisya Poitierska) stał się dzisiaj niezmiernie popularnym, azatém silnym w opinii całego kraju naszego. Pomijamy i to także, jenerale, że nie wziąłeś ani od narodu, ani od wojska żadnéj missyi do wydawania klątw tego rodzaju za granicą; bo narod i wojsko widziało w tobie swego wodza i obrońcę, a nie kryminalnego sędziego. Na to wszystko, jakokolwiek jest ważne, nie mamy względu; lecz pominąć tu nie możemy, że nadając swoją sankcyę dekretowi tajnego jakiegoś, nieznanego nam trybunału, dekretowi, którego podpisów dotąd nikt nie śmie objawić, Zawiązałeś, generale, ścisłe, pod pewnym względem solidarne, przez ten jeden

czyn stósunki z ludźmi, składającemi bardzo drobny ułamek emigracyi; z ludźmi, którzy wyosobniwszy się z ogółu, stanęli w jawnéj sprzeczności nietylko ze sposobem myślenia całéj emigracyi, ale także z duchem i pierwszemi interesami dwudziestu milionów Polaków — co większa, z interesami i środkami przyszłego powstania narodu polskiego!

Nie to tylko, jenerale, że osobiście okazałeś się niesprawiedliwym względem Czartoryskiego, zasługuje na wzgląd pierwszy w tém wydarzeniu; lecz i to równie nas zasmuca, że wszedłszy we wspólność z autorami urojonego dekretu komisyi Poitierskiéj, zaszkodziłeś samemu sobie w opinii kraju i emigracyi, że naraziłeś się na niebezpieczeństwo stracenia nabytéj w Polsce, a za granicą utrzymanéj wziętości, która nam była tak potrzebną.

Polska, jenerale, jest to kraj, który, gdy odzyszcze swą niepodległość, niewątpliwie będzie potrzebowała wielkiéj reformy społecznéj na korzyść i w interesie ogromnéj większości narodu. Pod tym względem, w takim sensie my wszyscy jesteśmy demokratami, i biada temu, ktoby nim być nie chciał! lecz zarazem, jenérale, Polska jest to kraj, który i przed dokonaniem téj reformy, taki jak jest dzisiaj, koniecznie przez nas szanowany i kochany być winien. W téj Polsce jeden stan wyłącznie wszystko jeszcze może, bo w nim wyłącznie koncentruje się jeszcze własność i oświata, dwa główne elementa siły publicznéj. Ten stan jest więc dotychczas potężny. Powstawał tyle razy, i wiele razy jeszcze zechce, cały lud za sobą do broni powoła. Takie jest rzeczywiste położenie naszego kraju. Jedna klassa ma tam najwięcéj wpływu i najwięcéj w różnych okolicach Polski charakteru narodowego. Tego stósunku my dziś przed odzyskaniem niepodległości odmienić nie potrafimy! To więc jak jest, trzeba przyjąć i uważać jako faktum exystujące. Wyrażamy myśl naszą w krótkości. Nie o to jeszcze idzie,

jaką ma być przyszła Polska, ale o to jedynie, aby poruszyć do własnéj obrony tę Polskę, jaka jest dzisiaj. Cóż mówią i piszą dzisiaj ci ludzie, którym ty, jenerale, podałeś rękę? Ludzie, którzyby sobie równém prawem przywłaszczyć chcieli tytuł demokratów, jak gdyby kto chciał sobie tylko wyłącznie przywłaszczyć tytuł uczciwego w towarzystwie człowieka. Oto wszystkie ich pisma i mowy zmierzają do tego: „Trzeba szlachtę w pień wyciąć, majątek jéj odjąć i między lud rozdać.“ Czy rozumiesz, jenerale, że téj polityce kilku mgłych głów, gdzie zaledwie zaświtać poczyna poranek nowszéj cywilizacyi, czy sądzisz, jenerale, że téj polityce kilku zepsutych próżniactwem nieuków, albo najętych przez moskiewskich szalbierzy, nie udzieliłeś żadnego wsparcia przez twe oświadczenie z dnia 27. Września? Jeżeli tak sądzisz, jenerale, to nie wiesz, coś uczynił; gazeciarze sekty lepiéj to wiedzą i już obwołują cię za swego. Z naszéj strony powiedzieć ci to, było powinnością ojczyzny!

Lecz idźmy daléj, jenerale! W Polsce lud prosty czytać jeszcze nie umie; czyta prawie sama szlachta. Owe więc pogróżki tak zwanych demokratów nie trafiają do massy, bo ona jest umarłą dla ich gazet, a zatém nie poruszą massy. Trafiają tylko do szlachty, którą to oburza, w części i zniechęca. Jenerale! dotykamy tu najistotniejszych interesów przyszłego powstania Polski. Jedyny środek insurekcyi, jedyny środek poruszenia ludności krajowéj są właściciele ziemscy. Zechcąż powstać, gdy postrzegą takich, jak ty mężów, jenerale, na czele lub wpośród sekty, zapowiadającéj Polsce rzeź i rabunek w nagrodę powstania? Nie, ta polityka nie może być zbawienną, która obraża mogących i chcących powstać, a żadnego natomiast sposobu poruszenia mass krajowéj ludności nie wynalazła. Zerwałaby ona tylko wszystkie związki emigracyi z narodem. Ten jeden kolor

uczyniłby nas więcéj nienawistnymi krajowi, niżeli Moskale, Austryacy i Prusacy.

Są rzeczy, o których nawet mówić jest niebezpiecznie, która z tém wszystkiém powiedziane i wydrukowane przez indywidua albo nikomu, albo mało komu znane, niczyjéjby uwagi na siebie nie zwróciły. Póki ta osobliwsza demokracya sama w sobie mową i drukiem derezonowała, milczeliśmy, nie sądząc być dla nas rzeczą przyzwoitą wchodzić w zapasy z tém, co, jakożkolwiek głośno krzyczało, było jednak i małe i przemijające; ale co innego teraz, gdy twe imię, jenerale, przybyło niejako w pomoc sekcyi. Ten wypadek odmienia całą kwestyą. Do kilku zér przybyła jedność, i ztąd powstała liczba.

Miejsce wysokie, jakie dotychczas zajmowałeś, jenerale, w emigracyi, powinno cię było oswoić z obowiązkami i widokami człowieka stanu. Stanąłeś na czele emigracyi, przęto należało ci miéć na pieczy ogólne interesa narodu, który emigracya prezentuje za granicą. Jakiekolwiek znaczenie nadać zechcesz twemu oświadczeniu z daty 27. Września, zawsze ono będzie z twéj strony, jenerale, pogwałceniem tych ważnych, ogólnych interesów narodowych. Zawsze będzie ono nosiło na sobie cechę związku (ściślejszego, niżeli honor twój i nasz mógł zcierpieć) z towarzystwem, którego mowy i pisma dotąd nic prawie nie znaczące, nabyły pewnéj wagi przez twój akces do robót i machinacyi w Poitiers.

Piórem naszém, zawierz jenerale, kieruje tylko wzgląd zimny na dobro ogólne znacznie uszkodzone w tym wypadku, i wielka waga, którą do twéj sławy wojskowéj przywięzujemy. Nie wchodząc dzisiaj w rozbiór czynności Czartoryskiego, nie możemy ukrywać przed tobą, jenerale, że go uważamy za człowieka mającego w kraju uważanie powszechne i stosunki rozleglejsze niżeli ty jenerale, niżeli którykolwiek z nas, za człowieka z nie-

małemi wpływami, także za granicą, a zatem za człowieka Emigracyi i narodowi potrzebnego. Cóż ztąd za korzyść upatrzyłeś dla sprawy naszéj jenerale, że go chcesz wydrzeć powszechnemu zaufaniu? Potępiać dzisiaj tego męża bez żadnych dowodów, jest to się osłabiać, jest to, jenerale, rzucać się na ostatnią może komunikacją, jaka nam została z własnym krajem. W dzisiejszych okolicznościach nie na osłabianiu krwawo zarobionéj, uczciwéj sławy, ale owszem na mocowaniu każdéj reputacyi, każdego znanego imienia, każdego wpływu zależy dobrze zrozumianéj Emigracyi i narodu interes. Uderzyło nas szczególniéj, że na samego tylko Czartoryskiego powstała taka zawziętość, kiedyż przecie on nie był samowładnym w rewolucyi, kiedy zostawał pod wpływem i rozkazami sejmu, kiedy w rządzie tyle tylko znaczył co i każdy z jego kolegów, kiedy wreszcie przed upadkiem sprawy, zupełnie się od wszystkiego uchylił.

Sposób w jakim go potępiasz jenerale, za czynności w rewolucyi, zdziwił nas i zasmucił. Piszesz, że „wyszedłszy z swym korpusem za zakres granic kongresowego królestwa, nie byłeś obecny działaniom księcia Czartoryskiego, a zatem czynionych mu zarzutów przez kilka tysięcy rodaków naocznych świadków, tych działań zaprzeczyć nie możesz.“ Ten manewr jenerale nie jest godzien ani twego sędziwego wieku, ani twego żołnierskiego powołania, które tchnąć powinno szczerością. Najpierwéj dla czegoż mówisz o kilku tysiącach, kiedy ledwo kilku tylko znalazło się takich, co się o to starają, aby Czartoryskiemu te zarzuty były przez wszystkich uczynione? A potém, wieleż to tysięcy rodaków nie było obecnych twoim naprzykład działaniom w ostatniéj wojnie, a jednak nie zaprzeczało pochwałom, gdyś na nie jenerale za twe pomyślne wyprawy zasługiwał? Gdyby się w Warszawie trzymano zasady, nieświadczenia zatem czego się nie widziało, czyżbyś był jenerale

kiedykolwiek zasłynął w Polsce? Uwielbiano cię z powieści jenerale, z gazet, z raportów, a ty dzisiaj rzucasz podejrzenie na charakter księcia Czartoryskiego, dla tego, że nie byłeś świadkiem naocznym jego czynności! Z drugiéj strony, wieluż to rodaków nie było obecnych, gdyś pierwszy składał oręż na ziemi polskiéj, a jednak złość nawet ludzka umilkła w tém zdarzeniu, każdy opłakiwał to nieszczęście, a nikt ci nawet nie wytknął tego pierwszego zgubnego przykładu, przez wzgląd na interes publiczny, przez wzgląd na to, że nawet w nieszczęściu trzeba umieć szanować każde znane i zasłużone imie. W Emigracyi oskarzasz jenerale Czartoryskiego za wyprawę Portugalską, za legią Algierską, a zatém za rzeczy, które nie wzięły żadnego skutku, a zatém za myśli, za projekta, które przed żadnym trybunałem na świecie nie stanowią winy. Gdyby książe Czartoryski był człowiekiem namiętnym, gdyby ci chciał oddać wet za wet i nawzajem ciebie publicznie potępić, czyliżby z twéj nieszczęśliwéj katastrofy w rewolucyi nie mógł wyciągnąć ciężkich zaskarżeń? A w Emigracyi, czyliżby nie mógł powstać na szkodliwsze niżeli legia Algierska i Portugalska, bo rzeczywiste wyprawy do Szwajcaryi, do kraju, wyprawy z których tyle okropnych skutków wyniknęło, a które miały miejsce w czasie twego urzędowania w komitecie, a których ty jenerale chociaż nie byłeś autorem, jednak z obawy krytyki gazeciarzów ani im zapobiedz ani ich potém przykładnie zganić nie śmiałeś. Gdyby Czartoryski nie miał względu na potrzeby szanowania wziętości, czyliżby ci nic innego nie znalazł do zarzucenia w twoim jenerale systemacie emigracyjnym? Mógłby ci on powiedzieć, że wybrany prezesem Emigracyi, pozwoliłeś zacierać w około siebie systematycznie sławę tylu znakomitych, wyższych oficerów, twych towarzyszów broni, równie jak ty zasłużonych krajowi. Mógłby ci dać do zrozumienia, że tolerując potwarz na

około siebie i nie ujmując się za niczyją sławą, starałeś się częścią pobłażać, częścią nawet pochlebiać każdéj przemijającéj, namietnéj opinii w Emigracyi, żeby tylko nie utracić téj popularności, jaką mniemasz posiadać i módz zachować, choćby téż kosztem dobra publicznego.

Daruj jenerale, że ci to przypominamy kończąc ten list dla nas boleśny. Lękasz się niepotrzebnie artykułów i krytyk w gazetach. Oświadczenie twoje z dnia 24. Września było skutkiem téj obawy, o tém przekonani jesteśmy. Lękając się potwarców, mniemasz zapewne że oni ogółem kierują, i w tém się mylisz. Chcąc się podobać ogółowi, rozumiesz, że najlepszym środkiem popularności jest pobłażanie kilku, i w tém się także mylisz. Tylko słowa prawdy, słowa ostre w potrzebie, tylko gotowość powstania w każdéj chwili, nawet na ogół gdy błądzi, zachowują ludzi przełożonych nad ogółem w szacunku u ogółu; to tylko prawdziwą popularność utrwalić jest w stanie.

Auxerres dnia 14. Października 1834.

Podpisy.

Stefan Dębowski, major strzelców. Antoni Olszewski, kapitan. Leon Wolicki. Józef Bnierski. Bernard Stempczyński. Adam Groza. Józef Skorutoski. A. Szmidz. Izy. Gużkowski. Dominik Renkiewicz. Jan Płachecki. Roman Kłobukowski. Maurycy Mochnacki. i t. d.

PISMO OKÓLNE.

Oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu Auxerres do rodaków w Emigracyi.

Rodacy!

Od pierwszéj chwili przybycia naszego do Francyi uczuliśmy wszyscy tę prawdę, że aby módz coś zdziałać jeszcze w interesie nieszczęśliwéj ojczyzny naszéj, potrzeba nam było nasamprzód ustanowić władzę, któraby z naszego upoważnienia w tym duchu działała. Nie tylko w interesie Emigracyi, lecz w interesie całego kraju polskiego, który teraz w nas tylko widzi reprezentantów swéj sprawy, chcieliśmy się urządzić za granicą, lecz na nieszczęście dotąd nasze usiłowania pod tym względem wszelkie były daremne. Emigracja czyniła różne próby, stanowiła różne władze, wpadała na różne pomysły, nakoniec znalazła się w stanie zupełnego bezrządu. Ten bezrząd szanowni rodacy przy rozproszeniu emigracyi po całéj Francyi, po całéj Europie jest największém nieszczęściem, jakiego doczekać się mogliśmy, jest tém złém, które usunąć (aczkolwiek przyjdzie z niemałą trudnością) każdy dobry Polak za pierwszy swój obowiązek względem ojczyzny poczytuje.

Nie rozszerzając się nad skutkami zbyt widocznemi jakie już wyniknęły z tego stanu, sądzimy, że wartoby się zastanowić nad tém szczególniéj, dla czego dotąd żadna władza przez nas obrana, ani położonemu przez nas zaufaniu w sobie odpowiedzieć ani nawet utrzymać się nie zdołała? Wyjaśnienie tego mogłoby nas doprowadzić do widoków prawdziwszych, którychby się trzymać należało w ustanowieniu jakiejkolwiek władzy emigracyjnéj, władzy centralnéj.

Pozwólcie szanowni ziomkowie, abyśmy zdanie nasze w téj mierze poddali pod waszą rozwagę. Piszemy do was w sprawie publicznéj, a zatem mamy prawo sądzić że choćbyście nie podzielali naszego przekonania, jednakże wyrozumieć i wysłuchać nas zechcecie.

Dotąd w znacznéj części rodaków składających Emigracją panowało i panuje wyobrażenie, że Polskę dźwigną z upadku ludy europejskie, na drodze rewolucyi społecznéj, powszechnéj, w dniach lipcowych nagle wznowionéj, po długiéj przerwie i równie nagle zatrzymanéj. Znaczna część Europy tak myślała i tak myśli jeszcze. Sam postęp wieku, podług ich mniemania, miał nas wrócić ojczyznie. Przeciwnie znaczna mniejszość sądziła, że taka rewolucja jest jeszcze daleka, albo niepodobna, i że prędzéj Polska powstanie na drodze wojny rządów z rządami, gabinetów z gabinetami, bez powszechnego wstrząśnienia społecznego.

Pierwsza opinia przemogła w Emigracyi, ztąd wychodziliśmy jako z zasady fundamentalnéj w ustanowieniu naszych komitetów, w ich organizacyi, w wyborze nawet osób, któreśmy do nich powoływali. Rewolucja ludów przeciwko tronom zajęła nas całkiem, w naszym szczupłym obrębie, w tym wielkim, świetnym widoku staraliśmy się zawczasu jako Emigracja, oznaczyć położenie nasze tak w obec rządów jako téż nieprzyjaznych im stronnictw, ledwo nie na każdym punkcie w Europie. W nadziei bliskiéj rewolucyi powszechnéj działo się dotychczas wszystko prawie, co się tylko działo w Emigracyi. Pod tym wpływem dla ludzi z żywą imaginacją wszechmocnym, miały miejsce, wyprawa do Szwajcaryi, wyprawa do Polski; nakoniec pod tym wpływem, uwaga wielu współbraci obróciła się na stan społeczny Polski. I na téj to drodze powstała sekta między nami, która przybrała nazwisko Demokracji, sekta która zdaje się wierzyć w to, że jest pożytecznie i politycznie zalecać

dzisiejszéj Polsce rewolucją społeczną bez żadnego środka poruszenia ludności mass krajowéj, które jéj nie rozumieją, a z narażeniem i obrazą jednych, jakie pozostały, środków insurekcyi. Jakiekolwiek jednak konsekwencje mogły wypłynąć z tego, dotąd w Emigracyi przeważnie utrzymującego się wyobrażenia o rewolucyi społecznéj, powszechnéj, nie chcemy go bynajmniéj osłabiać. I my wierzymy w postęp czasu! ale nie sądzimy aby ten postęp dał się naprzód oznaczyć i z jakąźkolwiek wyrachować pewnością. Być może, że rewolucja ogólna europejska nada w mgnieniu oka inny kształt téj części świata, ale być także może, że to nie tak prędko nastąpi, bo to co jest powszechne i niezmienne zdaje się potrzebować dłuższych przeciągów czasu.

Podług nas pomoc ludów jest równie problematyczną, równie pełną zagadek, jak wiara w pomoc rządów.

Powtarzamy raz jeszcze te obydwie opinie same w sobie uważane, mogą mieć swoją prawdziwość i sumienność, któréj im nie zaprzeczamy, lecz rozum nie dopuszcza przyjąć jedną lub drugą za prawidło postępowania naszego w Emigracyi. Dla Polski i Emigracyi szanowni ziomkowie, trzeba czegoś prędszego, trzeba czegoś pewniejszego. Dzieło zagłady narodu szybko postępuje. Ciemiężcy Polski wynajdują codziennie środki zniszczenia gwałtowne, wprost do celu trafiające; a my środki ratunku mielibyśmy odkładać na lata i dziesiątki lat?

W położeniu dzisiejszém narodu polskiego jest równie nieużytecznie, równie niebezpiecznie oczekiwać pomocy ludów, jak oglądać się na wojnę między rządami, i na skutki jakieby ztąd dla nas wyniknąć mogły. Inne ludy chociaż ujarzmione mają jeszcze o czém dotrwać do chwili wybawienia swego, my Polacy nie! My się w inném położeniu znajdujemy, nasze godziny są policzone,

my musimy się prędzéj zbawić niżeli inni, bo prędzéj daleko uledz możemy pod ciężarem naszéj niedoli.

Ojcowie nasi przed rozbiorem Polski wierzyli, że interes równowagi europejskiéj nie dopuści zniknąć Polsce z rzędu mocarstw niepodległych. Była to więc wiara w pomoc i sympatią polityki całéj oświeconéj Europy. Ta wiara rosła w Polsce w miarę wzrostu potęgi Moskwy, Prus i Austryi, i Polska podzieloną została. Dzisiaj wierzymy, że Polsce po tylu bezskutecznych powstaniach nie da umrzeć wielki interes rewolucyi społecznéj powszechnéj. Miałożby być w charakterze naszym pierwéj upadać, a teraz nakoniec zginąć w skutku tego samego nigdy niepoprawionego błędu?

Komuż bardziéj jak nam rodacy, przystałoby wyrzec z całą dumą, jaką nas tylko nieszczęście natchnąć może, z całą godnością naszéj niedoli: „Niczyjéj pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy.“

Wiara niegdyś w politykę równowagi pozbawiła nas udzielnego bytu, wiara w politykę rewolucyi pozbawia nas teraz środków ratowania się w ostatecznéj niemal zagładzie. Spróbujmy więc, nauczeni okropném doświadczeniem, nie spuszczać się na nikogo, ani na ludy, ani na rządy, na ludy dla tego, że ich cząstkowe i powolne na drodze rewolucyi poruszenia, zbyt wiele czasu zostawują tyranom Polski do wytępienia ze szczętem całego narodu naszego; na rządy dla tego: iżby w każdym wypadku, wtedy nawet gdyby wojnę ze sobą prowadziły, okazały się łatwe i gotowe poświęcić interes exystencyi naszéj innym pobocznym względom, jak tego mieliśmy już tylokrotne przykłady.

Rodacy! wszystko co do was mówimy w tym przedmiocie zmierza do okazania, że przyszedł czas, w którymby nakoniec należało położyć kres marzeniom. Marzeniem jest wszelkiéj natury obca pomoc w obec środków, jakich używa święte przymierze przeciwko naro-

dowi polskiemu. Z tego względu jest marzeniem, nie tylko dyplomatyka, jest równém marzeniem rewolucja powszechna.

Daleko mędrzéj, daleko bezpieczniéj powiedzieć nareszcie samym sobie, powiedzieć poraz pierwszy od lat stu: rachujmy na wszystko co wypaść może; ale się na nic nie spuszczajmy i nie wierzmy w nic, tylko w samych siebie. Naród, który nie przestał być jeszcze narodem, który jeszcze chce być narodem, w jakimkolwiek stanie się dziś znajduje tylko sam siebie uratować może. My szanowni ziomkowie, wierzymy w siłę i w życie narodu polskiego, wierzymy w to, że dla kilkudziesiąt milionów Polaków gdy chcą jednéj rzeczy nie masz nic niepodobnego, nawet w dzisiejszém choć tak okropném położeniu!

Powiedzcie nam bracia, czy podzielacie z nami te przekonania? Dotąd insurekcje w Polsce były daremne, ale dla tego tylko żeśmy z regularnemi wojskami nieprzyjacielskiemi prowadzili wojny regularne, systematyczne. Geniusz Polski wynajdzie dla jéj zbawienia inną nieznaną jeszcze wojnę. Niezmiernemu uciskowi wyrówna wtedy niezmierny opór, a historja powie o nas w swoim czasie, że jarzmo królów przymusiło naród najłagodniejszy i najoświeceńszy Słowiańszczyzny do środków wojowania godnych Atylli i Dżengiskona. Lecz lepiéj żeby cała ziemia nasza spustoszała w takiéj obronie, jak pod jarzmem i okrucieństwem świętego przymierza. Napiszcie nam bracia, czy i to przekonanie z nami podzielacie?

Rzucone tu myśli zbieramy w jedno, i dla łatwiejszego porozumienia się z wami rodacy, tłomaczymy się w ten sposób:

Polityka zagraniczna zdziałała wszelkie złe, które trapi Emigracją. Ona nadała swój kolor wszystkim czynnościom naszym. Ona nas rozdzieliła. Ona nas oderwała od źródła naszego, od ziemi rodzinnéj. Jedni zbytecznie

zaufali ludom, drudzy w liczbie niezmiernie mniejszéj, zbytecznie zaufali stanowi rzeczy obecnemu, a wszyscy razem zapomnieli o własnym kraju, o narodzie polskim, jako o sile mogącéj zerwać obce pęta bez cudzéj pomocy. Nie jest naszym zamiarem zaczynać wojnę papierową z inaczéj od nas myślącymi. Nie ustanawiamy tu nowéj nauki, nie wprowadzamy żadnéj nowéj ani partyi ani sekty. To co mówimy nie uwłacza żadnéj opinii sumiennie wyznawanéj, nie walczy z żadną opinią. Wszelako sądzimy, że wszyscy dobrzy Polacy w Emigracyi jakkolwiek zresztą ich polityczne i społeczne wyobrażenia bardzo różne być mogą, zważywszy, że z niesnasek i rozdwojenia wyniknęła trzechletnia zgubna bezczynność nasza, powinni dla wyjścia z téj bezczynności, połączyć się z sobą, w imie téj świętéj prawdy, że naród nasz ma jeszcze wolą i siłę dostateczną do powstania przeciwko obcym ciemiężcom.

Osądźcie Bracia! Czyli nie moglibyśmy na téj drodze zostać jedną całością? przyjść do jakiejś organizacyi za granicą, do utworzenia pewnego centralnego zarządu, do ukojenia pomiędzy sobą prywatnych uraz i publicznych niezgód? wśród których zmaleliśmy, które sparaliżowały całą energię emigracyi, które głęboko zasmuciły kraj nasz ojczysty!

Dotąd nic nam się nie udawało w emigracyi dla tego jedynie, żeśmy nie mieli pierwszego względu na siłę i życie narodu dwudziestomilionowego, któréj się nic oprzeć nie zdoła, gdy zostanie poruszona, którą jednak trzeba umieć poruszyć.

Teraz spróbujmy wyjść z téj zasady i zacznijmy działać. Żeby módz działać, trzeba mieć pierwéj swój rząd. Pominąwszy kilku indywiduów, których interes osobisty zniewala do podsycania niezgody domowéj między nami, któryż Polak w emigracyi nie chciałby się przyłożyć do utworzenia władzy pojętéj w celach insurekcyi, opartéj na zasadach insurekcyi?

Emigracya na téj drodze wyjdzie z anarchii, która jéj bytowi we Francyi zagraża. Interesa nasze emigracyjne prócz powszechnych narodowych, znaglają nas, zmuszają, Szanowni Rodacy, do myślenia o samych sobie. Kiedy my czcze rozbieramy kwestye, kiedy się osławiamy w obcych nawet gazetach, kiedy jedni drugich za zdrajców ogłaszamy, kiedy rozjątrzenie między nami do tak wysokiego dochodzi stopnia, że nawet niektórzy z pośród nas zapominają, co się honorowi narodowemu należy, wróg nasz, car moskiewski, tymczasem bynajmniéj o nas nie zapomina. Wieciéż, że przysłał do Paryża ajenta swego Lubeckiego. Celem missyi Lubeckiego nie są ani mniemane likwidacye, ani mniemane pożyczki, któremi Moskale przybycie tego ministra do Francyi zasłonićby chcieli. Prawdziwym celem jego missyi jest emigracya. Odjąć żołd emigracyi, to jest, wyjednać w rządzie, ażeby odjęty został, a potém wyjednać, ażeby na mocy prawa z 21. Kwietnia przeciwko wygnańcom. Polacy przymuszeni zostali do przyjęcia amnestyi, a tém samém do opuszczenia Francyi. Otóż pomysły godne gabinetu petersburgskiego, otóż projekta rzeczywiste cara, które wykonać podjął się minister Lubecki. Przypuszczać bowiem, żeby tu miał przybyć dla uskutecznienia likwidacyi lub pożyczki, byłoby to tylko nie znać chytrości tego gabinetu. Kto pojął naturę monarchii lipcowéj, wie, do jakiego punktu w pewnych okolicznościach dochodzi tu potrzeba ulegania natarczywości obcych mocarstw. — W razie, gdyby ministrowie poświęcić nas chcieli téj natarczywości, gdyby tego chcieli koniecznie, znalazłaby się większość w Izbach gotowa, zadosyć uczynić temu żądaniu. To zaprzeczeniu nie ulega. Zresztą nie czyńmy sobie illuzyi. W Izbach ściśle już obliczono miliony, potrzebne na nasze utrzymanie. Dary obce ani wieczne, ani długie być nie mogą, a lepiéj wiedzieć to zawczasu, niżeli doczekać się tego niespodzianie. W razie tedy osta-

tecznym, Rodacy, w razie najgorszym: rozsypani na takiéj przestrzeni, bez porozumienia się wspólnego, bez wiedzy o samych sobie, bez żadnych stosunków z własnym krajem, bez żadnych środków materyalnéj eksystencyi, jakżebyśmy sobie zaradzili?

Prosty rozsądek dyktuje, że w największém nieszczęściu, równie jak na wypadek nieprzewidzianych pomyślności, lepiéj jest być urządzonymi i zgodnymi, jak w stanie zupełnego rozprzężenia.

Te powody skłoniły nas odezwać się do was, Szanowni Rodacy! Idzie tu o los kraju i emigracyi. Każdy Polak ma prawo myśleć i działać w sprawie narodowéj swojéj. Powinnością naszą jest donieść wam, Bracia! żeśmy się, aczkolwiek nieliczni w zakładzie naszym w Auxerres, zawiązali w zgromadzenie, które ma na celu wnijść w stosunki bliższe pod tym względem ze wszystkiemi zakładami podobnie jak my myślącemi.

Pierwszą rzeczą, do któréj po ukonstytuowaniu się naszem zwróciliśmy uwagę, jest potrzeba ustanowienia władzy ogólnéj centralnéj. Jest to dużo opóźniona i zapewne ostatnia chwila, w któréj jeszcze tego dokazać i o tém myśleć możemy....

Powiedzieliśmy wam, z jakich zasad wychodzimy co do utworzenia takiéj władzy. Rozumiemy wszelako, iż zniesienie się na drodze częścią publicznéj, częścią prywatnéj między zakładami co do zasad i celów téj władzy, poprzedzić powinna sama jéj organizacya i wybór osób do sprawowania onéj mogących być powołanemi. Naznaczcie przeto, Szanowni Ziomkowie, miejsce, któreby się stać mogło ogniskiem tych wspólnych, wzajemnych porozumień. Podług nas trzeba wynaleść władzę dla insurekcyi i w duchu zasad insurekcyi, azatém władzę, któréj pierwszym charakterem powinna być możność zawiązania stosunków z narodem. Ten warunek wszystko w sobie obejmuje.

O wielu rzeczach publicznie ze sobą rozmawiać nie możemy. Pozostałoby więc część, i to nie mało ważną, tych porozumień się, powierzyć prywatnéj korespondencyi; lubo zresztą nie byłoby w tém nic ani nowego, ani sekretnego dla świata, że ludzie, którzy z bronią w ręku powstali, o powstaniu tylko i o wyjarzmieniu kraju swego myślą i rozmawiają. Gdyby inaczéj o nas trzymali nieprzyjaciele nasi, czyniliby nam krzywdę.

Auxerres (Sonne), dnia 23. Października 1834.

Stefan Dębowski, major. **Leon Woljcki**, kapitan. **Antoni Olszewski**, kapitan. **Roman Kłobukowski**, podporucznik. **Józef Bajerski**, kapitan. **Adolf Groza**, podporucznik. **Izydor Guźkowski**, kapitan. **Bernard Stempczyński**, porucznik. **Antoni Walewski**, porucznik. **Maxymilian Zagórowski**, porucznik. **Józef Skorutowski**, podporucznik. **Ignacy Mokrski**, porucznik. **Teodor Jasieński**, podporucznik. **Telesfor Kiersz**, porucznik. **Józef Zagórowski**, podporucznik. **Franciszek Zagórowski**, podporucznik. **Dominik Rentkiewicz**, odoficer. **Hryzostom Bogucki**, żołnierz. **Julian Żukowski**, podp. **Jan Płachecki**, major. **A. Szmidt**, lekarz batalionowy. **Teofil Żukowski**, podporucznik. **Maurycy Mochnacki**, porucznik.

KONIEC.

Pisałam to i ukończyłam dnia 7. Marca r. 1842. Prawdziwy ten testament ostatniéj woli Maurycego.

Wyjątek z dziennika paryzkiego.

Wzmianka o Kamilu Mochnackim, i artykuły pisane jego ręką,

dnia 6. Kwietnia 1833.

Ten artykuł dołączam jako pamiątkę po drugim synu, nader drogą sercu memu.

„Jako pamiątkę po tym młodzieńcu, szanowanym powszechnie dla łagodności charakteru, gorącéj miłości oj-

czyzny i nieporównanéj w boju waleczności, jest to jedyne pismo, które po Kamilu Mochnackim pozostało. — Snać widząc wysoką zdolność pisarską w bracie swoim starszym Maurycym, z którym wszystkie usiłowania o przywrócenie bytu narodowego Polski połączył, nie potrzebował pisać tego, co na drodze politycznéj razem układali, ale całą usilność swoją ku temu skierował, aby wspólne pomysły razem wykonać. W spisku, który przygotował rewolucyą, Kamil Mochnacki wówczas podchorąży w batalionie saperów, był jednym z najczynniejszych i jednym z tych pierwszych kilku, którzy ją stworzyli. On im napisał przysięgę. W nocy 29. Listopada był jednym z najwaleczniejszych. W całéj kampanii r. 1831. był jednym z najwytrwalszych, chociaż raniony razy kilka. Wysłany na zwidzenie obozu Dybicza przez wodza ówczesnego księcia Michała Radziwiłła, nietylko że się z największą radością podjął téj najniebezpieczniejszéj missyi, lecz przebrany za chłopa, ukryć potrafił swoją naturalną delikatność. Usmarowany woził się z krupami i słoniną, lichą szkapą i wózkiem wpośród obozu nieprzyjacielskiego. Wszystko najdostateczniéj obejrzał, zrysował, i oddał wodzowi, za co najczuléj uściskany czuł się wtenczas najszczęśliwszym. Nakoniec w tułactwie był najwierniejszym, najrozsądniejszym synem ojczyzny. Nie szukając żadnego wyniesienia się, żadnego ze stopnia podchorążego, w ciągu kampanii doszedł do stopnia majora i uzyskał ozdobę krzyża wojskowego. Odniesione rany, tęsknota za krajem, za familią, a mianowicie dojmująca boleść upadku sprawy narodowéj przyspieszyły zgon tego szlachetnego młodzieńca.“

Sprawa jenerała Jankowskiego
opisana przez Kamila Mochnackiego.

Jenerał moskiewski Rydygier wymknął się Jankowskiemu, zabrawszy mu 30 wozów amunicyi i kasę. Opinia głośno obwiniała Jankowskiego po części o wyraźną zdradę, po części o opieszałość, w skutek któréj korpus Rydygiera prawie o połowę mniejszy, nietylko nie był zniesiony, lecz nadto wojsko narodowe pod komendą tego jenerała poniosło niemałą szkodę. Wódz naczelny w trudném ujrzał się położeniu. Dał on wprawdzie Jankowskiemu rozkaz, żeby Rydygiera pobił, lecz we dwa dni późniéj, powziąwszy od jenerała Skarzyńskiego fałszywą wiadomość o ruchu całéj armii moskiewskiéj ku Pradze, posłał mu drugi rozkaz, zamykając w treści, „aby Jankowski z swoim korpusem w jak najprędszym czasie stanął pod Pragą.“ Całą odpowiedzialność nieszczęść, jakieby wyniknąć mogły, gdyby w skutek opóźnienia się korpusu Jankowskiego wódz naczelny zmuszony był przyjąć bitwę od nieprzyjaciela i przegrał ją, wkładał ten rozkaz na Jankowskiego. „Tylko niezawodna pewność pobicia i zniesienia do szczętu korpusu Rydygiera, mogłaby upoważnić Jankowskiego do niewykonania tego rozkazu.“

Rozkaz ten był złożony w kopii w aktach komisyi rozpoznawczéj. Oryginał jego zostawał u Jankowskiego.

Wiedział wódz naczelny, że Jankowski, oddany pod sąd wojenny, uniewinniłby się tym rozkazem co do wyprawy pod Łysoboki. W takim razie cała wina na niego spaśćby musiała i zawziętość opinii publicznéj przeciwko niemuby się obróciła. Lecz wiedział także Skrzynecki, że Jankowski może uledz karze śmierci nie za wypuszczenie Rydygiera, ale za utratę amunicyi, dla tego téż nie życzył sobie oddać Jankowskiego pod sąd i jak mógł tak to odwlekał, rozgłaszając w pismach i rozkazach, że

Jankowski jest strzeżony, i że zasłużoną karę odbierze. Wtenczas właśnie przybył do Warszawy Zarczyński, obywatel z Podola. Miał on list od niejakiéj pani Cybulskiéj, mieszkającéj na pograniczu Galicyi, we wsi swojéj siostry, żony pana Inesa. List ten był adresowany do naczelnego wodza. Zarczyński komunikował go Tyszkiewiczowi, Tyszkiewicz Horodyskiemu, a ten pana Zarczyńskiego z listem prezentował Skrzyneckiemu.

Przed wręczeniem listu wodzowi naczelnemu położył Zarczyński za warunek, aby jego imię w téj sprawie było zatajone, co gdy mu przyrzeczono, oddał list. — Pani Cybulska donosi naczelnemu wodzowi: „Że w Warszawie knuje się ogromna konspiracya naprzeciw rządowi narodowemu i rewolucyi; że na czele tego spisku stoi Hurtig; że Jankowski sprzedał się Moskalom, (notabene list był pisany przed rozprawą Jankowskiego z korpusem Rydygiera); że Krukowiecki silnie intryguje i zbiera partyą, która ma mu poruczyć zwierzchnią władzę w kraju; że Lessel, cukiernik, ma u siebie kassę spiskowych, a jenerał Sałacki koresponduje z Moskwą.“ Denuncyacya ta, chociaż niedokładna, bo pani Cybulska nic z pewnością nie donosiła, powtarzając tylko, co sama słyszała, przypadła w sam raz, w najdogodniejszą porę dla wodza naczelnego i wybawiła go ze wszystkich kłopotów względem Jankowskiego. Skrzynecki tak mówił; zdrada kraju jest wyższém uchybieniem jak przestępstwo militarne. Pierwéj tedy trzeba oddać Jankowskiego pod sąd nadzwyczajny w oblężoném mieście; a jeżeli ten sąd uzna jego niewinność co do zdrady stanu, dopiero wtedy sąd wojenny ukarze go za to, że Rydygiera nie pobił. Kazał więc natychmiast zwołać sąd nadzwyczajny, który miał się składać z osób mogących zaspokoić troskliwość opinii i gazet głośno wołających o prędkie ukaranie oskarzonych. Powołano do sądu na prezesa: jenerała Emiliana Węgrzeckiego, na członków: kapitana Adama

Przeradzkiego, kapitana Drzewieckiego, porucznika Mochnackiego (to jest mnie), podporucznika Tomasza Ostrowskiego, syna wojewody, i podporuczników: Rupniewskiego i Bieczyńskiego. Sąd ten złożony z samych prawie aktorów 29. Listopada, miał być dla publiczności rękojmią, że zdrada kraju udowodniona, przykładnie będzie ukarana.

Nie tego żądał w duchu Skrzynecki. Szło mu, bo tego krytyczne jego położenie wymagało, aby ta sprawa ile możności jak najdłużéj potrwać mogła. Denuncyacyi nie wierzył, czego najlepszym jest dowodem, że Krukowieckiego, którego także obejmowała, pod sąd oddać nie kazał. Nic bardziéj takiéj polityce wodza naczelnego nie mogło zaszkodzić, jak prędkie uniewinnienie Jankowskiego przez sąd nadzwyczajny, gdyż w takim wypadku Jankowski musiałby być oddany pod sąd wojenny, a wtedy odkryłoby się, kto rzeczywiście winien, iż Rydygier nie został pobity? Umyślił przeto zawikłać zdradą stanu sprawę, odejmując sądowi wszelką możność wyjaśnienia w krótkim czasie zarzutów objętych w denuncyacyi.

Narobiwszy więc dużo hałasu po pismach i rozkazach, gdzie tak przemawiał, jakby faktum zdrady kraju nie podlegało żadnéj wątpliwości, oddał pod sąd Hurtiga, Sałackiego i Lessela, jako wyraźnie wskazanych przez denuncyacyę, a Fenshawe Słupeckiego i panią Bażanow, jako połączonych z pierwszemi stosunkami, bądź familijnemi, bądź ścisłej przyjaźni. Gubernator stolicy sporządził akt zaskarżenia, a sąd rozpoczął działania, nie mając nic na udowodnienie zbrodni obwinionym, prócz niedostatecznéj, urywkowéj denuncyacyi i papierów zabranych oskarżonym, które poprzednio przejrzane przez komisyę rozpoznawczą, żadnego spisku nie odkryły.

Skrzynecki przewidując, że sąd znajdujący się w tak dziwném położeniu względem opinii publicznéj, spraw-

dzić zechce denuncjacją i sam się weźmie do zgromadzenia materjałów, mogących wyjaśnić tę sprawę. Nic nie mówiąc ani sądowi ani rządowi narodowemu, posyła adjutanta swego Zamojskiego na pogranicze Galicyi do pani Cybulskiéj celem, jak późniéj powiadał, zasięgnienia bliższéj wiadomości od niéj o stanie rzeczy, mianowicie zaś ażeby porwać Inesa i żywcem go do sądu dostawić. Adjutant czy to że ściśle się trzymał danéj sobie instrukcyi, czy to, że zręczniéj sobie w tém zdarzeniu poradzić nie umiał, nie tylko od pani Cybulskiéj niczego się więcéj nie dowiedział, ale nadto przez nierozważne wybadywanie się ostrzegł Inesa o niebezpieczeństwie, które mu zagrażało, tak że zaraz téj saméj nocy Ines umknął w głąb Galicyi, a może do Moskalów. Zdawało się Zamojskiemu, że ofiarą 200 czerwonych złotych, śpiega obładowanego złotem moskiewskiém, czy w rzeczy saméj Skrzynecki wyprawiając tak niezręcznego agenta, zamierzał pozbyć się Inesa, czy to w dobréj wierze uczynił, tego nie wiem. To tylko pewna, iż w skutku téj missyi odjęta została sądowi jedyna sposobność udowodnienia zbrodni, lub uniewinnienia Jankowskiego. Sąd nic nie wiedząc o delikatnéj missyi Zamojskiego, wkrótce po rozpoczęciu prac swoich delegował Kamila Mochnackiego do rządu narodowego, z propozycją aby rząd obmyślił środki sprowadzenia do Warszawy Inesa z pogranicza Galicyi, a panny Sałackiéj z Krakowa. Prezes rządu narodowego wskazywał nieprzełamane trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, mówił, że narażać się rządowi austryjackiemu gwałtowném porwaniem poddanego z jego państw, byłoby niepolitycznie, że ta missja nigdy się nie uda, że może za sobą pociągnąć smutne konsekwencje i t. d. Toż samo i względem panny Sałackiéj mówiono w rządzie, i względem niejakiego pana Fiorentiniego, mocno skompromitowanego. Prezes rządu narodowego nadmieniał i co do

do rzeczy pospolitéj, że ktokolwiek szuka tam schronienia zostaje pod gwarancją traktatu, i że takiego gwałtu nie można się dopuszczać. Nadaremnie delegowany przedstawiał rządowi narodowemu, że tylko od tych dwóch osób Inesa i panny Sałackiéj sąd prawdy dowiedzieć się może. Po długiém ociąganiu się i rząd nakoniec zezwolił aby tylko papiery panny Sałackiéj i jéj matki były zabrane w Krakowie. Jeden z członków rządu pan Barzykowski oświadczył urzędownie, że do dostawienia sądowi tych ważnych papierów kroki stósowne zostały przedsięwzięte. Dopytywał się sąd troskliwie jakiéj natury te kroki być mogły, i kto został przeznaczony do téj missyi, obawiając się, aby jak pierwsza, ze szkodą dla sprawy nie była. Rząd starał się zaspokoić w téj mierze troskliwość sądu.

Odczytywał sąd pisma i listy zabrane uwięzionym pilnie odznaczając każde niejasne wyrażenie. Listy panny Sałackiéj tchnęły wielką niechęcią przeciwko sprawie narodu, co jednak na żadną uwagę nie zasługiwało, ponieważ przed rewolucją jeszcze były znane Warszawie związki domu Sałackich z Moskalami. Sałacki równie niechętny sprawie, był jednak w rewolucyi przez Chłopickiego użyty, jako jenerał inżynieryi miał sobie powierzone wydatkowanie prochu i amunicyi. Jeszcze Moskale nie weszli do kraju gdy tajemną zawiązał korespondencją z jenerałem Knoryngiem od kirasjerów. Córka pisywała listy z Krakowa na ręce ojca, ten je przesyłał różnemi sposobami Moskalom. Po wkroczeniu nieprzyjaciela uważano Warszawę w stanie oblężenia, każda korespondencja, każda komunikacja mieszkańców z nieprzyjacielem, w takim stanie rzeczy zasługiwała na karę śmierci. Z tych tedy listów, które były złożone w sądzie pokazało się, że Sałacki korespondował z Dowrem jenerałem moskiewskim w Petersburgu, że wyraźnie nie sprzyjał rewolucyi, i uważając ją za karę zesłaną od

Boga, niecierpliwie oczekiwał przytłumienia powstania. Przekonywał się sąd coraz widoczniéj, że między panną Sałacką a Knoryngiem ciągnęła się i trwała korespondencja, liczył przeto wiele na papiery, które w Krakowie matce i córce miały być zabrane, rozumiejąc, że z nich jeśli nie wykryje zdrady knowanéj w murach stolicy, to przynajmniéj znajdzie objaśnienie mogące sprawę przyprowadzić do końca.

Wtenczas dyrektor policyi pan Czarnocki przysłał do sądu zawiadomienie, że Fiorentini już jest w Warszawie pod strażą policyi, wzywał przytém sąd, aby delegował dwóch członków do przejrzenia zabranych mu papierów. Sąd bez zwłoki wyznaczył do tego mnie i Rupniewskiego; udaliśmy się natychmiast do mieszkania dyrektora policyi, gdzie się Fiorentini znajdował, lecz przejrzawszy jego papiery nic w nich nie znaleźliśmy. Niemożna było nawet dostrzedz śladu, że między nim a Sałackim były stósunki, o których wiedzieliśmy z papierów Sałackiego, obróciwszy się więc wtedy do pana Fiorentiniego zacząłem z nim rozmowę z któréj następujące tylko pytanie i odpowiedź przytaczam:

„Kiedy pan przyjechałeś? Przed godziną wysiadłem z deliżansu. Sam? Po co pan przyjechałeś do Warszawy? Tego nie wiem, bo pan dyrektor policyi w liście pisanym do mnie tego nie wyraził, kazał mi tylko jak najprędzéj z papierami przyjeżdżać do Warszawy, wziąłem tedy papiery i przyjechałem, oto jest list, którym mnie wezwano.

Przeczytawszy list dyrektora policyi, rzekłem do Rupniewskiego zajętego jeszcze przeglądaniem papierów, że może zaprzestać téj roboty, bo pan Fiorentini miał dosyć czasu sam przejrzeć swoje papiery, i zapewne nic takiego nie przywiózł, coby go przed sądem skompromitowało. Wziąłem potém na bok dyrektora policyi i za-

pytałem go, dla czego z taką niedbałością sobie postąpił w dostawieniu papierów i osoby Fiorentiniego? Wiedziałem o tém, odpowiedział dyrektor policyi, ale nie sądziłem aby papiery Fiorentiniego albo on sam mogły się na co przydać sądowi, zresztą instrukcja, dodał, rządu narodowego była taka a nie inna... niestósowność przedsiębrania w obecnym czasie gwałtownych środków... jedném słowem wierzaj mi pan, ale mógłem sobie inaczéj postąpić. Więc tąż samą drogą i papiery Sałackiego zamyślasz pan dostawić sądowi? zapytałem.

Co do Sałackiego, odpowiedział Czarnocki, to nie tak łatwa sprawa, dobrze się już panna musiała przygotować, gdyż wie, że jéj ojciec jest w więzieniu. Jednakże napisałem ja do pana S. przyjaciela ich domowego, aby się starał wyśledzić działania i zamiary skryte panny, a jeśli się uda, to żeby i listy przejmował. Powiedział to z bardzo misterną miną. Jakto, zawołałem, przez przyjaciela domowego chcesz pan tego dokazać? A cóż robić, odpowie Czarnocki, nie mogłem znaleźć inszego lepszego agienta, zresztą sądzę, że każdy Polak przenosi teraz interes i dobro kraju nad wszystkie względy przyjaźni i stósunki domowe.

Z téj rozmowy przekonałem się, że sąd żadnéj pomocy nie otrzymał od rządu i że rządowi nic na tém nie zależało, aby ta sprawa w prędkim czasie została ukończona. Jakże inaczéj pojąć postępowanie jednego z głównych agentów téj władzy dyrektora policyi? Myśl napisania do osoby ciężko skompromitowanéj przed sądem wojennym, żeby przybyła do stolicy ze wszystkiemi papierami, prawdziwie oryginalna, doskonale wyświeca naturę interesu, którego główniejsze szczegóły tu wyłożyłem.

Położenie Jankowskiego było godne litości. W szóstym tygodniu śledztwa przybywają obywatele z pod Siedlec, i pod przysięgą zeznają, iż Moskale przechodząc

tamtędy przechwalali się jakoby ze znakomitymi Polakami mieli porozumienie. „Jak ma wasza sprawa iść dobrze, mówili, kiedy macie między sobą zdrajców jenerałów, np. Jankowskiego.“ Toż samo zeznanie potwierdzali przed sądem inni jeszcze obywatele z tych okolic późniéj przybyli. Rosły mnogie podejrzenia. Okazywało się jednak z dat owych zeznań, że Moskale o tém co mówili obywatelom, mogli wiedzieć z gazet warszawskich, które o wszystkiém uwiadomiały nieprzyjaciela, kiedy mieszkańcy okolic przez niego zajętych czytać ich nie mogły. I położenie sądu było bardzo krytyczne. Opinia w nieszczęściach jest więcéj jak kiedy łatwowierna. U nas nikt nie tłomaczył klęsk publicznych nieudolnością, błędami, wszyscy wyprowadzali je ze zdrady, wyobrażenia tak przystępnego pojęciu najciemniejszego gminu. Nie potępić tych, których rząd narodowy i wódz naczelny za zdrajców ogłosili, na jedno wtenczas wychodziło co uledz zarzutowi zdrady. Sąd znajdował się w podobnym przypadku i trzeba było całéj mocy charakteru, nieugiętości szanownego prezesa tego sądu, żeby bezstronność zachować, i nie dać się unieść popędowi opinii już ledwo nie powszechnéj. W towarzystwie patrjotyczném zaczęto oczerniać członków sądu nadzwyczajnego, ztąd rozchodziły się wieści dla podburzania pospólstwa, że sędziowie równie są zdrajcami jak i oskarzeni. Tym potwarzom przypisać potrzeba, że późniéj w nocy 15. Sierpnia jenerał Węgrzecki prezes sądu, tylko co nie zginął od wystrzału z pistoletu w bramie zamkowéj.

Sąd nie mając żadnéj pomocy od rządu w sprawdzeniu zarzutów czynionych Jankowskiemu, nie mogąc go wśród tych okoliczności ani uniewinnić, ani potępić, okazał go jako zostającego pod zarzutem zdrady stanu na destytucją, i na cały czas kampanii poddał pod dozór policyjny. Wyrok natychmiast 8. Sierpnia wydrukowano, niewiadomo jednak dla czego tylko sto egzemplarzy ka-

zano odbić, a i te sto prawie w mgnieniu oka gdzieś się podziały, tak że tylko sześciu członków sądu dostało po jednym egzemplarzu, a publiczność o tém wszystkiém ani wiedziała.

Po zapadłym wyroku wypadło tedy Skrzyneckiemu oddać natychmiast Jankowskiego pod sąd armii, pod sąd właściwy, do rozpoznania jego wykroczeń w wyprawie przeciw Rydygierowi. Dla czego natychmiast tego nie uczynił, dla czego aż do złożenia przez siebie dowództwa naczelnego od 8. do 11. Sierpnia, zostawił Jankowskiego w więzieniu sądu nadzwyczajnego, chociaż mu sąd nadzwyczajny w tych trzech dniach czynił kilkakrotne z tego względu przełożenie, nietrudno dociec. Jankowski padł ofiarą polityki Skrzyneckiego i rządu narodowego. Dzisiaj można rzec śmiało, że był niewinny, ponieważ w sprawie za którą go aresztowano, żadnego przestępstwa dowieść mu nie było można, a wódz naczelny do ostatniego momentu zwłóczył zwołanie sądu armii, któryby go niezawodnie uznał za niewinnego co do wypuszczenia Rydygiera stósownie do wyraźnego rozkazu wodzą naczelnego, a karę śmierci mógłby wymierzyć tylko za stratę amunicyi i kassy.

KONIEC.

82 50ST2 53 005 BA

Dv6233

Stanford University Libraries
3 6105 013 573 121

CECIL H. GREEN
STANFORD UNIVERS
STANFORD, CALIFORN
(650) 723-
grncirc@stan

All books are subj

DATE D

JAN 04 2005
NOV 24 2004